

CÓRKA  
ZEGARMISTRZA

POWIEŚĆ AUTORKI ZAPOMNIANEGO OGRODU

KATE  
MORTON

ALBATROS

*Ojciec mówił na mnie Birdie, powtarzał, że jestem jego małym ptaszkiem.  
Dla wszystkich wokół byłam córką zegarmistrza. Edward nazywał mnie  
swoją muzą, przeznaczeniem. Ludzie zapamiętali mnie jako złodziejkę  
i oszustkę.*

*Nikt już nie pamięta mojego prawdziwego imienia.*

*I nikt nie wie, co naprawdę stało się tamtego lata.*

Latem 1862 roku grupa młodych artystów, którym przewodził utalentowany Edward Radcliffe, przybyła do malowniczej posiadłości Birchwood. Planowali spędzić miesiąc na łonie natury, szukając inspiracji.

Ale sielanka skończyła się tragicznie: jedna z kobiet została zastrzelona, druga zniknęła - podobnie jak pewna bezcenna pamiątka rodowa - a życie Edwarda legło w gruzach.

Ponad 150 lat później Elodie Winslow, młoda archiwistka z Londynu, znajduje zdjęcie zniewalająco pięknej kobiety w wiktoriańskim stroju i szkicownik artysty, z rysunkiem domu stojącego w zakolu rzeki.

Dlaczego ten dom wydaje się Elodie znajomy? Kim jest młoda kobieta na fotografii? Czy kiedykolwiek pozna jej tajemnicę?

**NIEZWYKŁA HISTORIA O SKRYWANYM SEKRECIE, OKRUTNYM  
MORDERSTWIE, ZUCHWAŁEJ KRADZIEŻY, SZTUCE, MIŁOŚCI I STRACIE.**



CÓRKA  
ZEGARMISTRZA  
KATE MORTON

Z angielskiego przełożyła  
Anna Dobrzańska

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

*Tej autorki*

DOM W RIVERTON  
ZAPOMNIANY OGRÓD  
MILCZĄCY ZAMEK  
STRAŻNIK TAJEMNIC  
DOM NAD JEZIOREM  
CÓRKA ZEGARMISTRZA

Tytuł oryginału:  
THE CLOCKMAKER'S DAUGHTER

Copyright © Kate Morton 2018 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Polish translation copyright © Anna Dobrzańska 2019

Redakcja: Marta Grał

Zdjęcie na okładce: © National Trust Images / BE&W (*detal zegara*)

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Alex Merto

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Kasia Meszka

ISBN 978-83-8125-555-4

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)

*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, [hachi.media](http://hachi.media)

*Dla Didee za to, że była matką, która  
zabrała nas, byśmy zamieszkali na szczycie góry,  
i udzieliła mi najlepszej porady, jaką może dostać pisarz.*

CZĘŚĆ PIERWSZA  
**Torba**

# I

Przyjechaliśmy do posiadłości Birchwood, bo Edward twierdził, że jest nawiedzona. Wówczas jeszcze nie była, lecz tylko nudni ludzie pozwalają, by prawda stanęła na drodze dobrej opowieści, a Edward nigdy taki nie był. Jego pasja, jego oszałamiająca wiara we wszystko, co robił, była jedną z rzeczy, które w nim pokochałam. Miał gorliwość kaznodziei, swoje opinie wyrażał tak, jakby wybijał z nich lśniące monety. Przyciągał do siebie ludzi, budził w nich entuzjizm, o którego istnieniu nie mieli pojęcia, i sprawiał, że wszystko prócz niego samego i jego przekonań blakło i odchodziło w zapomnienie.

Edward nie był jednak kaznodzieją.

Pamiętam go. Pamiętam wszystko.

Pracownię ze szklanym dachem w londyńskim ogrodzie jego matki, zapach świeżo mieszanej farby, drapanie włosia o płótno, kiedy Edward pieścił wzrokiem moje ciało. Tamtego dnia ciarki przebiegały mi po plecach. Chciałam zrobić na nim wrażenie, chciałam, by pomyślał, że jestem kimś, kim nie byłam, i czując na sobie jego wzrok, słyszałam w głowie błagalny głos pani Mack: „Twoja matka była damą, pochodzisz ze szlacheckiego rodu, nie zapomnij o tym. Rozegraj to właściwie, a odzyskasz wszystko, co ci odebrano”.

Tak więc tamtego pierwszego dnia siedziałam wyprostowana na palisandrowym krześle w pobielonym pokoju za obsypaną kwieciami płataniną groszku pachnącego.

\*

Kiedy byłam głodna, jego najmłodsza siostra przynosiła mi herbatę i ciasto. Jego matka przychodziła wąską ścieżką, by zobaczyć, jak pracuje. Widziała



w nim spełnienie rodzinnych nadziei. Uwielbiała syna. Wybitnego członka Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych zaręczonego z panną z zamożnego rodu i przyszłego ojca gromadki brązowookich dziedziców.

Nie był dla dziewcząt mojego pokroju.

\*

Jego matka obwiniała się o to, co wydarzyło się później, lecz łatwiej by jej było zatrzymać czas, niż nas rozdzielić. Nazywał mnie swoją muzą, swoim przeznaczeniem. Mówił, że wiedział to od razu, gdy tylko zobaczył mnie w zamglonym świetle latarni gazowej w foyer teatru przy Drury Lane.

Byłam jego muzą, jego przeznaczeniem. Tak jak on był moim.

To było dawno temu, a jakby zdarzyło się wczoraj.

Och, pamiętam, ukochany.

\*

Ten kącik w połowie głównych schodów jest moim ulubionym.

To dziwny dom, zbudowany po to, by wprowadzić w zakłopotanie. Schody, które zakręcają pod dziwnym kątem, kanciaste i nierówne; okna rozmieszczone na różnych wysokościach, tak że patrząc na niektóre, trzeba było mrużyć oczy; deski podłogowe i wyłożone boazerią ściany z ukrytymi drzwiczkami.

W tym kącie jest dziwnie, niemal nienaturalnie ciepło. Zauważyliśmy to, kiedy przybyliśmy tu po raz pierwszy, i w ciągu pierwszych tygodni lata na zmianę zgadywaliśmy, jaka jest tego przyczyna.

Odkrycie prawdy zajęło mi trochę czasu, ale w końcu ją poznałam. Znam to miejsce tak dobrze jak własne imię.

\*

To nie domem, lecz światłem Edward kusił innych. W słoneczny dzień z okien poddasza roztacza się widok na Tamizę i dalej, aż po góry Walii.

Wstęgi jasnego fioletu i zieleni, kredowe granie sięgające chmur i ciepłe powietrze, w którym wszystko zdaje się opalizować.

Oto jak brzmiała jego propozycja: cały miesiąc lata pełen malowania, poezji i pikników, opowieści, nauki i wynalazków. Światła będącego darem niebios. Z dala od Londynu, z dala od wścibskich spojrzeń. Nic dziwnego, że pozostali chętnie się na to zgodzili. Edward potrafiłby nakłonić do modlitwy samego diabła, gdyby tylko chciał.

Tylko mnie wyznał inny powód, dla którego tutaj przybył. Bo choć naprawdę nie brakowało tu wspaniałego światła, Edward skrywał tajemnicę.

\*

Ze stacji kolejowej przyszlismy pieszo.

Był idealny lipcowy dzień. Wiatr szarpał rąbkiem mojej spódnicy. Ktoś wziął ze sobą kanapki i zjedliśmy je po drodze. Ależ musieliśmy stanowić widok – mężczyźni z poluzowanymi fularami i kobiety z rozwiewanymi wiatrem długimi włosami. Śmiech, przekomarzanie się, zabawa.

Cóż za wspaniały początek! Pamiętam szmer pobliskiego strumienia i krzyk grzywacza wysoko w górze. Mężczyznę prowadzącego konia, wóz z siedzącym na belach słomy chłopcem, zapach świeżo skoszonej trawy. Ach, jakże brakuje mi tego zapachu! Kiedy dotarliśmy do rzeki, stado tłustych gęsi przyglądało się nam paciorkowatymi oczkami; odczekały, aż je minimy, i dopiero się rozgęgały.

Wszystko było jasne i radosne, lecz ta radość nie trwała długo.

Pewnie już to wiecie, gdyby bowiem ciepło przetrwało, nie byłoby tej historii. Nikogo nie obchodzą leniwe, szczęśliwe lata, które kończą się tak, jak się zaczęły. Tego nauczył mnie Edward.

\*

Odosobnienie nie było tu bez znaczenia; dom przycupnięty nad brzegiem rzeki przypominał wciągnięty na ląd wielki statek. Pogoda również robiła

swoje. Upalne dni, jeden za drugim, a potem letnia burza, która tamtej nocy zagoniła nas wszystkich do środka.

Wiał wiatr, drzewa jęczały, a grzmoty przetaczały się nad rzeką, by wziąć dom w swoje władanie, gdy tymczasem w środku rozmowa zeszła na duchy i czary. Ogień trzaskał na palenisku, płomienie świec drżały, a w ciemnościach, w atmosferze rozkosznego lęku i wyznań, narodziło się coś złego.

Nie duch. O nie, nic z tych rzeczy – to, co się stało, było wyłącznie dziełem człowieka.

Dwoje niespodziewanych gości.

Dwie z dawna skrywane tajemnice.

Wystrzał w ciemnościach.

\*

Światło zgasło i wszystko spowiała czerń.

Lato dobiegło końca. Pierwsze liście opadły i gniły w kałużach pod rzednącymi żywopłotami, a Edward, który kochał ten dom, zaczął sztywnym krokiem przemierzać jego korytarze. Uwięziony.

W końcu nie mógł dłużej tego znieść. Spakował swoje rzeczy, gotowy wyjechać, a ja nie mogłam go zatrzymać.

Po nim, jak zawsze, wyjechali inni.

A ja? Ja nie miałam wyboru. Zostałam.

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

## *Lato 2017*

To była ulubiona pora dnia Elodie Winslow. Lato w Londynie; w pewnym momencie późnego popołudnia słońce zdawało się zatrzymywać w swojej wędrówce po niebie, a światło wlewało się przez świetliki w chodniku, padając wprost na jej biurko. Najlepsze jednak było to, że po wyjściu Margot i pana Pendletona Elodie została sama.

Piwnica Stratton, Cadwell & Co. w budynku przy Strandzie nie była szczególnie romantycznym miejscem, w przeciwieństwie do pomieszczenia magazynowego w New College, gdzie Elodie pracowała w wakacje tuż po tym, jak skończyła studia magisterskie. Nie było tu ciepło. Nigdy. Nawet podczas fali upałów takiej jak ta, siedząc przy biurku, Elodie musiała wkładać sweter. Ale od czasu do czasu, przy pomyślnym układzie gwiazd, biuro z jego zapachem kurzu i toczącą swe wody Tamizą było niemal urocze.

W małej, wąskiej kuchence za ścianą zastawioną szafkami na dokumenty Elodie wlała do kubka wrzącą wodę i włączyła minutnik. Margot uważała, że to przesada, ale Elodie lubiła, gdy herbata parzyła się dokładnie trzy i pół minuty.

Ze wzrokiem wbitym w ziarna piasku przesypujące się w klepsydrze wróciła myślami do wiadomości, którą dostała od Pippy. Odsłuchiwała ją na telefonie, gdy lawirując między samochodami, przechodziła przez ulicę, by kupić kanapkę na lunch. Było to zaproszenie na przyjęcie promocyjne, które zdaniem Elodie zapowiadało się równie kusząco jak siedzenie w poczekalni przed wizytą u lekarza. Na szczęście miała już plany – zamierzała odwiedzić

ojca w Hampstead i odebrać kasety, które dla niej odłożył – nie musiała więc wymyślać wymówek.

Odmawianie Pippie nie było łatwe. Były najlepszymi przyjaciółkami od trzeciej klasy szkoły podstawowej w Pineoaks. Elodie często dziękowała w duchu pannie Perry za to, że posadziła je w jednej ławce: Elodie, nową dziewczynkę w dziwnym mundurku i z zaplecionymi nieudolnie przez ojca krzywymi warkoczykami, i Pippę, z jej szerokim uśmiechem, dołeczkami w policzkach i rękami, które gdy mówiła, pozostawały w ciągłym ruchu.

Od tamtej pory były nierozłączne. Przez szkołę podstawową, liceum, a nawet potem, kiedy Elodie wyjechała do Oksfordu, a Pippa studiowała w Central Saint Martins. Teraz nie widywały się już tak często, ale można się było tego spodziewać. Londyński świat sztuki tętnił życiem towarzyskim, nic więc dziwnego, że Pippa, która kiedy biegła z otwarciem jednej galerii albo instalacji do drugiej, na okrągło przysyłała Elodie zaproszenia.

Tymczasem świat archiwów był miejscem zdecydowanie nietowarskim. Tak przynajmniej twierdziła Pippa. Elodie pracowała do późna i często miała do czynienia z ludźmi; sęk w tym, że ci ludzie nie żyli. Panowie Stratton i Cadwell, założyciele Stratton, Cadwell & Co., podróżowali po świecie w czasach, gdy ten zaczynał się kurczyć, a wynalezienie telefonu nie zdążyło jeszcze osłabić zaufania do korespondencji. I tak Elodie całymi dniami obcowała z zakurzonymi wyblakłymi przedmiotami należącymi do zmarłych, natrafiając na relacje z wieczorku w Orient Expressie lub spotkania wiktoriańskich podróżników poszukujących Przejścia Północno-Zachodniego.

Takie spotkania towarzyskie w czasie sprawiały jej nieopisaną radość. To prawda, że nie miała wielu przyjaciół – przynajmniej takich z krwi i kości – lecz nie martwiła się tym. Męczyło ją to całe uśmiechanie się, rozmowy i spekulacje na temat pogody i zawsze wychodziła ze spotkań wyczerpana; czuła się tak, jakby zapodziała gdzieś swoje pokłady żywotności i miała ich już nigdy nie odzyskać.

Teraz wyciągnęła z kubka torebkę herbaty, wycisnęła do zlewu ostatnie krople i dołała odrobinę mleka.

Wróciła do biurka, gdzie promienie popołudniowego światła zaczynały codzienną wędrówkę, i grzejąc ręce o kubek, nad którym unosił się obłok

pary, przejrzała pozostałe zadania. Była w połowie katalogowania relacji młodszego Jamesa Strattona z jego wyprawy na zachodnie wybrzeże Afryki w 1893 roku; musiała napisać artykuł do kolejnego numeru miesięcznika „Stratton, Cadwell & Co.”, a pan Pendleton zlecił jej korektę katalogu nadchodzącej wystawy, zanim ten pójdzie do druku.

Uwagę Elodie, która przez cały dzień podejmowała decyzje w sprawie słów i ich szyku, przykuło woskowane kartonowe pudło stojące na podłodze pod biurkiem. Stało tu od poniedziałkowego popołudnia, kiedy z powodu awarii wody w biurach na piętrze trzeba było natychmiast opróżnić starą szatnię – nisko sklepioną dobudówkę, do której nie wchodziła chyba od dziesięciu lat, odkąd zaczęła tu pracować. Pudło znaleziono na dnie zabytkowej szyfoniery, pod stertą zakurzonych żakardowych zasłon; przyklejona na wieczku etykieta głosiła: *Zawartość szuflady biurka na poddaszu, 1966 – nieskatalogowana.*

Znalezienie materiałów archiwalnych w nieużywanej szatni, dziesiątki lat po tym, jak tam trafiły, było niepokojące, nic więc dziwnego, że pan Pendleton zareagował nerwowo. Miał bzika na punkcie procedur i Elodie i Margot przyznały zgodnie, że dobrze się stało, że osoba, która odbierała przesyłkę w 1966 roku, dawno już tu nie pracuje.

Do tego wszystko wydarzyło się w najmniej odpowiednim momencie, odkąd bowiem przysłano konsultanta do spraw zarządzania w celu „ograniczenia kosztów”, pan Pendleton chodził kompletnie skołowany. Już samo naruszenie jego przestrzeni wydawało się wystarczającym ciosem, ale podawanie w wątpliwość jego metod pracy było już nie do przyjęcia. „To tak, jakby ktoś pożyczał twój zegarek, żeby powiedzieć ci, która jest godzina”, wycedził kiedyś przez zaciśnięte zęby po porannym spotkaniu z konsultantem.

Niespodziewane pojawienie się pudła mogło wywołać u niego apopleksję, tak więc Elodie – która w równym stopniu nie lubiła spiąć co bałaganu – zobowiązała się wszystko naprawić, uprzątnąć i ukryć przed wzrokiem przełożonego.

Nie chcąc wywołać jego kolejnego wybuchu złości, schowała pudło pod biurkiem, teraz jednak, skoro została sama w pustym biurze, uklękła na dywanie i wyciągnęła je z kryjówki...

\*

Punkciki światła zaskoczyły ją i torba wciśnięta głęboko na dno pudła odetchnęła. Podróż była długa i co zrozumiałe, męcząca. Jej krawędzie zaczynały się przecierać, klamry zaśniedziały, a we wnętrzu czuć było nieprzyjemną woń stęchlizny. Warstwa kurzu na stałe przywarła do eleganckiej niegdyś powierzchni, przez co stała się torbą, którą ludzie trzymali na odległość i przechylając głowę, próbowali odgadnąć, co też może zawierać. Była zbyt stara, by na coś się przydać, ale roztaczała wokół siebie trudną do określenia historyczną aurę, przez co szkoda ją było wyrzucić.

Kiedyś była kochana, podziwiana za elegancję – i co ważniejsze, za swoją funkcję. Służyła wiernie pewnej osobie w czasie, kiedy przedmioty takie jak ona były wysoko cenione. Od tamtej pory ukrywano ją i ignorowano, odzyskano i zdyskredytowano, zgubiono, znaleziono i zapomniano.

Teraz, jeden po drugim, przedmioty, które zalegały na niej przez dziesiątki lat, były usuwane, aż w końcu ona także wynurzyła się na powierzchnię w tym pomieszczeniu wypełnionym elektrycznym brzęczeniem i skrzypieniem rur. Wśród rozproszonego żółtego światła, woni papieru i miękkich, białych rękawiczek.

Rękawiczki chroniły dłonie kobiety: młodej, o wąskich ramionach, delikatnej szyi i twarzy okolonej krótkimi, czarnymi włosami. To ona trzymała torbę w wyciągniętych rękach, ale nie z niesmakiem.

Dotyk miała delikatny. Zaciśnięte w zamyśleniu usta przywodziły na myśl drobną sznurowaną sakiewkę, a zmrużone lekko szare oczy rozszerzyły się, gdy z uwagą oglądała ręcznie wykonane szwy, najprzedniejszego gatunku indyjską bawełnę i równy ścieg.

Kiedy musnęła kciukiem inicjały na klapie, spłowiałe i smutne, torba zadrżała z radości. Uwaga, jaką poświęcała jej ta młoda kobieta, sugerowała, że to, co okazało się nieoczekiwanie długą podróżą, być może właśnie dobiegało końca.

*Otwórz mnie, nęciła torba. Zajrzyj do środka.*

\*

Dawno, dawno temu torba była lśniąca i nowa. Wykonana na zamówienie przez pana Simmsa we własnej osobie w fabryce W. Simms & Son przy Bond Street, zaopatrującej rodzinę królewską. Połączone inicjały ręcznie wytłoczono na gorąco; każdy srebrny nit i kłamra zostały starannie dobrane, obejrzone i wypolerowane; najwyższej jakości skórę skrojono i zszyto z dbałością o szczegóły, po czym z dumą natłuszczono i wyczyszczono. Dalekowschodnie przyprawy z sąsiedniej perfumerii – goździki, olejki sandałowe i szafran – napełniły torbę nutą dalekich, egzotycznych miejsc.

*Otwórz mnie...*

Kobieta w białych rękawiczkach otworzyła zmatowiałą srebrną kłamrę i torba wstrzymała oddech.

*Otwórz mnie, otwórz mnie, otwórz mnie...*

Odchyliła skórzaną klapę i po raz pierwszy od przeszło wieku ciemne zakamarki torby wypełniły się światłem.

Wraz z nim powróciły bezładne urywki wspomnień: dźwięk dzwonka nad drzwiami W. Simms & Son; szelest spódnic młodej kobiety; tętent końskich kopyt; zapach świeżej farby i terpentyny; upał, pożądanie, szepty. Blask latarni gazowych na dworcach kolejowych; długa kręta rzeka; pszeniczny zapach lata...

Odziane w rękawiczki dłonie cofnęły się, unosząc z sobą zawartość torby.

Dawne doznania, głosy przycichły, ślady wyblakły i w końcu wszystko spowiała pustka i cisza.

To był koniec.

\*

Elodie położyła zawartość pudła na kolanach, torbę zaś odłożyła na bok. Był to piękny przedmiot, nijak niepasujący do pozostałych, które wyjęła z kartonu. Były wśród nich głównie artykuły biurowe – dziurkacz, kałamarz, drewniana wkładka z przegródkami na długopisy i spinacze... i etui na okulary, z krokodylej skóry, opatrzone etykietą producenta z napisem: *Własność L. S-W*. Sugerowała ona, że biurko wraz z całą jego zawartością należało niegdyś do Lesley Stratton-Wood, wnuczki brata Jamesa Strattona.



Wiek się zgadzał – Lesley Stratton-Wood zmarła w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku, co tłumaczyło pojawienie się pudła w siedzibie Stratton, Cadwell & Co.

Ale torba – chyba że była to doskonale wykonana kopia – była zbyt stara, by mogła należeć do pani Stratton-Wood, a znajdujące się w niej przedmioty wyglądały na pochodzące sprzed dwudziestego wieku. Wstępne oględziny ujawniły dziennik w czarnej oprawie z monogramem E.J.R. i marmurkowym wzorem, mosiężne etui na pióro ze środkowego okresu epoki wiktoriańskiej i spłowiałą zieloną teczkę na dokumenty. Na pierwszy rzut oka nie sposób było powiedzieć, do kogo należała torba, ale pod skrzydełkiem teczki widniał pozłacany tłoczony znak: *Czcigodny James W. Stratton, Londyn, 1861*.

Teczka na dokumenty była płaska, więc Elodie pomyślała, że pewnie jest pusta, kiedy jednak otworzyła zatrask, w środku coś na nią czekało. Była to delikatna srebrna ramka, na tyle mała, by zmieściła się w dłoni. Znajdowała się w niej fotografia młodej kobiety z długimi włosami, jasnymi, ale nie blond, z których część upięto na czubku głowy w niedbały kok. Kobieta patrzyła przed siebie, brodę miała lekko uniesioną, wysokie kości policzkowe. Zaciśnięte usta wyrażały determinację, może nawet sprzeciw.

Elodie ogarnęło znajome uczucie wyczekiwania, gdy przyglądała się sepiowej fotografii – obietnicy życia, które czekało, by ktoś odkrył je ponownie. Suknia kobiety była luźniejsza niż te, które zwykle noszono w tamtym okresie. Biały materiał udrapowany na ramionach i dekolcie układał się w literę V. Jeden z bufiastych rękawów był podwinięty aż do łokcia. Kobieta miała szczupły nadgarstek, a wsparta na biodrze dłoń podkreślała wcięcie w talii.

Otoczenie wydawało się równie niezwykle jak modelka, kobieta bowiem nie pozowała na kanapie ani na tle zasłony z widokiem, tak charakterystycznych dla wiktoriańskich portretów. Stała na dworze, otoczona bujną roślinnością. Światło było rozproszone, przez co efekt wydawał się upajający.

Elodie odłożyła zdjęcie na bok i sięgnęła po dziennik z monogramem. Otworzył się, odsłaniając grube kremowe kartki drogiego papieru czerpanego. Zapisane starannym pismem linijki były tylko dopełnieniem licznych

rysunków piórkiem przedstawiających postacie, widoki i rozmaite przedmioty. A zatem to nie dziennik, lecz szkicownik.

Spomiędzy kartek wypadł wydarty skądś skrawek papieru. W poprzek zapisano na nim dwa zdania: *Kocham ją, kocham ją, kocham ją. I jeśli nie mogę jej mieć, oszaleję, kiedy bowiem nie ma jej przy mnie, boję się...*

Słowa urywały się, jak gdyby wypowiedziano je na głos. Elodie odwróciła kartkę, ale autor nie zdradził, czego się bał.

Opuszkami palców musnęła litery. Na oglądanym w ostatnich promieniach słońca papierze widać było pojedyncze nitki, a także maleńkie, przejrzyste punkciki w miejscach, gdzie ostrze stalówki przebiło papier.

Wsunęła świstek z powrotem między kartki szkicownika.

Mimo czasu, który upłynął od napisania wiadomości, jej przesłanie było niepokojące: świadczyło jasno i dobitnie o tym, że pewne rzeczy pozostały niedokończone.

Elodie ostrożnie odwracała kartki wypełnione kreskowanymi rysunkami, tu i ówdzie na marginesie pojawiały się robocze szkice profili twarzy.

Nagle zamarła.

Ten szkic był bardziej szczegółowy od pozostałych, pełniejszy. Przedstawiał rzekę, wysunięte na pierwszy plan drzewo i las widoczny w oddali za rozległym polem. Po prawej stronie za zagajnikiem wznosił się szczyt domu z bliźniaczymi szczytami, ośmioma kominami i ozdobnym wiatrowskazem przedstawiającym słońce, księżyc i inne symbole niebieskie.

Rysunek wykonano z wielką dokładnością, nie to jednak przykuło uwagę Elodie. Miała wrażenie *déjà vu* tak silne, że poczuła ucisk w piersi.

Znała to miejsce. Wspomnienie było tak żywe, jak gdyby tam była, a jednak wiedziała, że odwiedziła to miejsce wyłącznie w wyobraźni.

Słowa pojawiły się równie jasne i czyste jak pieśń ptaka o poranku: *Krętą ścieżyną szli, łąką w kierunku wierzb, i nad rzekę zanieśli swe sekrety i miecz.*

I nagle przypomniała sobie. Była to historia, którą opowiadała jej mama. Bajka do poduszki, romantyczna i zagmatwana, o bohaterach, złoczyńcach i królowej elfów, a jej akcja toczyła się w domu pośród ciemnych lasów otoczonych długą wijącą się rzeką.

Nie pochodziła jednak z książki z obrazkami. Mama opowiadała baśń, kiedy siedziały obok siebie w dziecięcym łóżeczku Elodie w pokoju ze skośnym sufitem...

Zegar na ścianie wybił godzinę. Był to ostrzegawczy niski dźwięk dobiegający z gabinetu pana Pendletona, i Elodie zerknęła na zegarek. Była spóźniona. Czas kolejny raz stracił kształt, a jego strzałka zmieniała się w wirujące wokół niej drobinki kurzu. Elodie ostatni raz zerknęła na znajomą scenerię, włożyła szkicownik i resztę przedmiotów z powrotem do pudła, zamknęła je i wsunęła pod biurko.

Zebrała swoje rzeczy i zaczęła się szykować do wyjścia. Była w połowie codziennego rytuału sprawdzania i zamykania drzwi, kiedy poczuła nieodpartą chęć. Nie mogąc się jej oprzeć, szybkim krokiem podeszła do pudła, wyjęła szkicownik i wsunęła go do torby.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Elodie złapała autobus linii 24 na północ od Charing Cross do Hampstead. Metrem byłaby szybciej, ale nim nie jeździła. Było tam za dużo ludzi, za mało powietrza, a ona źle się czuła w ciasnych przestrzeniach. Niechęć ta towarzyszyła jej od dziecka i zdążyła się do niej przyzwyczaić, ale teraz żałowała, że tak jest. Podobała jej się sama idea metra jako przykładu dziewiętnastowiecznego przedsięwzięcia, jego wiekowe płytki, historia i kurz.

Samochody wlokły się jeden za drugim w ślimaczym tempie, zwłaszcza w okolicach Tottenham Court Road, gdzie budowa linii Crossrail obnażyła tyły wiktoriańskich szeregowców z cegły. Był to jeden z ulubionych widoków Elodie; pozwalał zajrzeć w przeszłość tak rzeczywistą, że dało się jej dotknąć. Jak zawsze próbowała sobie wyobrazić życie ludzi, którzy mieszkali w tych domach dawno temu, w czasach, gdy południową część St Giles stanowiły slumsy – zapuszczony rojny labirynt krętych uliczek, dołów kloacnych i sklepów z ginem, pełen hazardzistów, prostytutek i uliczników – gdzie Charles Dickens odbywał swe codzienne spacerki, a alchemicy pracowali wytrwale na cuchnących ściekami ulicach Seven Dials.

James Stratton młodszy, który jak wielu ludzi epoki wiktoriańskiej fascynował się ezoteryką, opisywał w swoich dziennikach wizyty u pewnej spirytystki i jasnowidzki w Covent Garden, z którą łączył go długotrwały flirt. Jak na bankiera James Stratton miał wyjątkowy dar pisania, a jego dzienniki dawały barwny, pełen współczucia, a czasami zabawny obraz życia w wiktoriańskim Londynie. Był miłym człowiekiem, dobrym, zaangażowanym w poprawę życia biednych i wywłaszczonych. Jak pisał do przyjaciół, próbując przekonać ich do swoich filantropijnych idei, wierzył, że „aby odmienić życie i perspektywy człowieka, wystarczy dać mu miejsce, gdzie wieczorem będzie mógł złożyć głowę do snu”.

W kręgach zawodowych był szanowany, a nawet lubiany – ot, radosny człowiek, którego chętnie zapraszano na przyjęcia, bogaty obieżyświat i człowiek sukcesu epoki wiktoriańskiej. Ale w życiu osobistym był znacznie bardziej samotny. Ożenił się późno, po kilku krótkotrwałych romansach z niewłaściwymi kobietami; były wśród nich aktorka, która uciekła z włoskim wynalazcą, i modelka, która zaszła w ciążę z innym. Po czterdziestce obudziło się w nim głębokie, trwałe uczucie do jednej ze służących, cichej dziewczyny imieniem Molly, której często sprawiał drobne przyjemności, choć nigdy otwarcie nie wyznał jej swych uczuć. Zupełnie jakby celowo wybierał kobiety, które nie chciały – albo nie mogły – go uszczęśliwić, pomyślała Elodie.

– Czemu miałyby to robić? – spytała Pippa, unosząc brwi, gdy Elodie wspomniała o tym pewnego wieczoru przy tapas i sangrii.

Elodie nie była pewna. Wiedziała tylko, że w jego korespondencji nic nie było jawne; słowem nie wspominał o nieodwzajemnionej miłości, tak jak nie przyznawał się do tego, że jest nieszczęśliwy, lecz pod powierzchnią listów wyczuwało się jakąś melancholię, jak gdyby uparcie poszukiwał czegoś, co już zawsze miało pozostać poza jego zasięgiem.

Zdażyła się przyzwyczać do podejrzliwości, która malowała się na twarzy Pippy za każdym razem, gdy wypowiadała na głos podobną myśl. Nie potrafiła opisać słowami intymności obcowania z przedmiotami należącymi niegdyś do innego człowieka. Nie rozumiała współczesnej potrzeby upubliczniania najskrytszych uczuć; sama strzegła swojej prywatności i zgadzała się z francuskim poglądem *le droit à l'oubli* – o prawie do bycia zapomnianym. A jednak jej praca – więcej, jej pasja – polegała na ocaleniu od zapomnienia, a nawet odtwarzaniu życia tych, którzy nie mieli w tej materii żadnego wyboru. Czytała najbardziej osobiste myśli Jamesa Strattona, dzienniki niespisywane z myślą o potomności, tymczasem on nigdy o niej nie słyszał.

– To oczywiste, że się w nim kochasz – mówiła Pippa, kiedy Elodie próbowała jej wytłumaczyć.

Ale to nie była miłość. Elodie najzwyczajniej w świecie podziwiała Jamesa Strattona i czuła się w obowiązku chronić jego dziedzictwo. Ten człowiek

wyprzedzał swoją epokę, a zadaniem Elodie było dopilnować, by go za to szanowano.

Obracając w głowie słowo „szanowano”, pomyślała o ukrytym w torbie szkicowniku i poczuła, że się rumieni.

Co, na Boga, ją opętało?

Czuła panikę zmieszaną ze strasznym, cudownym i podszytym poczuciem winy radosnym oczekiwaniem. Nigdy w ciągu dziesięciu lat pracy w archiwach Stratton, Cadwell & Co. w tak oczywisty sposób nie złamała zasad ustanowionych przez pana Pendletona. Mówiły one jasno i wyraźnie: wyniesienie czegokolwiek z piwnicy – gorzej, ukrycie przedmiotu w torbie i, o zgrozo, przewiezienie londyńskim autobusem dwudziestego pierwszego wieku – to wyjątkowy przejaw braku szacunku. Rzecz niewybaczalna.

Lecz kiedy autobus linii 24 okrążył stację Mornington Crescent i wjechał w Camden High Street, Elodie, upewniwszy się, że nikt na nią nie patrzy, wyjęła szkicownik z torby, pospiesznie przerzuciła kartki i zatrzymała się na stronie z rysunkiem domu i rzeki.

I tym razem ogarnęło ją dojmujące uczucie swojskości. Znała to miejsce. W historii opowiadanej przez mamę dom był bramą do innego świata. Dla Elodie, skulonej w matczynych ramionach i wdychającej jej egzotyczny zapach narcyzów, cała ta opowieść była niczym brama, zakłęcie, które przenosiło ją z tu i teraz do krainy wyobraźni. Po śmierci matki świat opowieści stał się jej kryjówką. Czy to w czasie przerwy na lunch w nowej szkole, w domu podczas długich cichych popołudni, czy nocami, kiedy napierająca zewsząd ciemność groziła uduszeniem, wystarczyło ukryć się, zamknąć oczy, przekroczyć rzekę i las i wkroczyć do zaczarowanego domu...

\*

Autobus dotarł na South End Green i Elodie zatrzymała się przy straganie koło stacji Overground, po czym pospieszyła Willow Road w kierunku ogrodów Gainsborough. Dzień nadal był ciepły i wyjątkowo duszny i kiedy stanęła przed drzwiami maleńkiego domu ojca – niegdyś chatki ogrodnika – czuła się, jakby przebiegła maraton.

– Cześć, tato – rzuciła, kiedy pocałował ją w policzek. – Przywiozłam ci coś.

– No nie wiem – bąknął, z powątpiewaniem zerkając na roślinę doniczkową, którą trzymała w dłoniach. – Po tym, co przydarzyło się tej ostatniej?

– Wierzę w ciebie. Poza tym pani, od której ją kupiłam, powiedziała, że wystarczy ją podlać dwa razy w roku.

– Dobry Boże, naprawdę? Dwa razy w roku?

– Tak powiedziała.

– Niewiarygodne!

Mimo upału ojciec przygotował kaczkę w pomarańczach, swoją specjalność, i jak zawsze zjedli razem przy kuchennym stole. Byli rodziną, która spożywała posiłki w jadalni tylko przy wyjątkowych okazjach: w Boże Narodzenie, urodziny albo gdy matka Elodie uznała, że powinni zaprosić na Święto Dziękczynienia amerykańskiego skrzypka z żoną przebywających właśnie w Londynie.

Jedząc, rozmawiali o jej pracy, przygotowaniach do nadchodzącej wystawy, chórze ojca i zajęciach, które prowadził ostatnio w jednej z miejscowych podstawówek. Jego twarz pojaśniała, gdy opowiadał o dziewczynce, której skrzypce były niemal tak długie jak jej ramię, i jasnookim chłopcu z własnej woli przychodzącym do sali prób i błagającym o lekcje gry na wiolonczeli.

– Widzisz, jego rodzice nie bardzo lubią muzykę – wyjaśnił ojciec.

– Niech zgadnę: dogadaliście się?

– Nie miałem sumienia powiedzieć „nie”.

Uśmiechnęła się. Jej ojciec miał słabość do muzyki i do głowy by mu nie przyszło, żeby odmówić dziecku, które dzieliło jego pasję. Wierzył, że muzyka ma moc, która odmienia ludzkie życie – „ich umysły, Elodie” – i nic nie ekscytowało go bardziej niż rozmowy o plastyczności mózgu i zdjęcia z rezonansu magnetycznego wskazujące na związek między muzyką a empatią. Elodie serce się ścisnęło, gdy obserwowała go, jak słucha koncertów, i widziała bezbrzeżne skupienie na jego twarzy, kiedy siedział obok niej w teatrze. Sam był niegdyś zawodowym muzykiem. „Tylko drugim

skrzypkami”, zaznaczał za każdym razem, gdy pojawiał się ten temat. Po czym dodawał z niemal nabożnym szacunkiem: „Nie to, co ona”.

*Ona.* Wzrok Elodie powędrował do jadalni po drugiej stronie korytarza. Z miejsca, w którym siedziała, widziała tylko brzegi kilku ram, ale nie musiała patrzeć na ścianę, by wiedzieć, gdzie dokładnie wisi jaki obraz. Ich ułożenie nigdy się nie zmieniało. To była ściana jej mamy. Ściana Lauren Adler, pełna urzekających czarno-białych fotografii tryskającej energią młodej kobiety z długimi, prostymi włosami, tulącej do siebie wiolonczelę.

W dzieciństwie Elodie tak często przyglądała się fotografiom, że na dobre wryły się w jej pamięć. Jej matka podczas rozmaitych koncertów z koncentracją wymalowaną na twarzy, widoczną w wysokich kościach policzkowych, w skupionym wzroku i zwinnych szczupłych palcach dotykających strun, które lśniły w blasku lamp.

– Masz ochotę na deser?

Ojciec wyjął z lodówki salaterki z musem truskawkowym. Elodie nie mogła nie zauważyć, jak stary wydaje się tata w porównaniu ze zdjęciami matki, której młodość i piękno zostały zakłute w bursztynie wspomnień.

Ponieważ pogoda była piękna, wzięli kieliszki z winem i deser na taras na dachu z widokiem na ogród. W dole na trawniku trzech braci rzucało frisbee, najmniejszy biegał między dwoma pozostałymi, podczas gdy siedzący nieopodal dorośli nachylali się ku sobie zajęci rozmową.

Letni zmierzch spowijał świat sennym blaskiem i Elodie nie chciała psuć atmosfery. A jednak po kilku minutach swobodnego, kojącego milczenia, w którym oboje się specjalizowali, postanowiła zaryzykować.

– Wiesz, o czym dzisiaj myślałam?

– O czym? – zapytał. Brodę miał ubrudzoną śmietaną.

– O bajce na dobranoc z dzieciństwa. Tej o rzece i domu z wiatrowskazem z księżycem i gwiazdami. Pamiętasz ją?

Roześmiał się zaskoczony.

– Boże drogi! Ależ mnie zaskoczyłaś. Tak, oczywiście, uwielbiałaś ją. Dawno już o niej nie myślałem. Zawsze zastanawiałem się, czy nie jest zbyt straszna, by opowiadać ją dziecku, ale twoja mama uważała, że dzieci są dużo odważniejsze, niż się wydaje. Mówiła, że dzieciństwo to przerażający czas



i jeśli dziecko słucha strasznych opowieści, czuje się mniej samotne. Chyba się z tym zgadzałaś, bo kiedy wyjeżdżała na tournée, nie podobały ci się książki, które ci czytałem. Czułem się odepchnięty. Chowałaś je pod łóżkiem, żebym ich nie znalazł, i upierałaś się, żebym zamiast tego opowiedział ci o polanie w głębokim, ciemnym lesie i magicznym domu nad rzeką.

Elodie się uśmiechnęła.

– Nie byłaś zadowolona z moich starań. Tupiałaś nóżkami i krzyczałaś: „Nie!” albo „Nie tak!”.

– Ojejku.

– To nie była twoja wina. Twoja mama była świetną gawędziarką.

Ojciec popadł w melancholijną zadumę, mimo to Elodie, która zwykle uważała, by nie rozdrapywać jego dawnych ran, tym razem nie zamierzała dać za wygraną.

– Zastanawiam się, tato... czy ta baśń pochodziła z jakiejś książki?

– Chciałbym. Dzięki temu nie straciłbym tyle czasu, próbując pocieszyć swoje niepokieszone dziecko. Nie, to była rodzinna opowieść przekazywana z ust do ust. Pamiętam, jak twoja mama mówiła, że usłyszała ją w dzieciństwie.

– Też tak myślałam, ale może się pomyliła? Może ten, kto opowiedział jej tę baśń, przeczytał ją w książce? Jednej z tych ilustrowanych wiktoriańskich bajek dla dzieci.

– Możliwe. – Ściągnął brwi. – Ale skąd te wszystkie pytania?

Z nagłym ukłuciem zdenerwowania Elodie wyjęła z torby szkicownik, otworzyła go na rysunku domu i podała ojcu.

– Znalazłam to dziś w pudle w pracy.

– Ładne... widać, że ktoś miał talent... piękny charakter pisma... – Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w szkic, po czym spojrzał na córkę niepewnym wzrokiem.

– Tato, nie widzisz? To dom z tej opowieści. To ilustracja tego samego domu.

Kolejny raz spojrzał na rysunek.

– No cóż, widzę dom. I rzekę.

– I las, i wiatrowskaz z księżycem.

– Tak, ale... kochanie, są dziesiątki domów, które pasują do tego opisu.

– Tak dokładnie? Daj spokój, tato. To ten sam dom. Szczegóły się zgadzają. Co więcej, artyście udało się uchwycić jego atmosferę. Przecież to widzisz, prawda? – Nagła chęć posiadania sprawiła, że wyjęła szkicownik z ojcowskich rąk. Nie mogła lepiej tego wytłumaczyć; nie wiedziała jak, nie miała pojęcia, co to oznacza ani dlaczego szkicownik znalazł się w archiwum, wiedziała tylko, że to dom z opowieści jej matki.

– Przepraszam, kochanie.

– Nie przepraszaj, tato. Nie ma za co. – Wypowiadając te słowa, czuła pod powiekami piekące łzy. Głupota! Płakać nad pochodzeniem bajki do poduszki. Rozpaczliwie szukała w głowie innego tematu, czegoś, czegokolwiek, co sprowadzi rozmowę na inne tory. – Miałeś jakieś wieści od Tipa?

– Jeszcze nie. Ale wiesz, jaki on jest. Nie uznaje telefonów.

– Wpadnę do niego w weekend.

Milczenie, które tym razem zapadło między nimi, nie było ani swobodne, ani kojące. Elodie obserwowała taniec ciepłego światła na liściach. Nie wiedziała, dlaczego czuje się taka wzburzona. Nawet jeśli to był ten sam dom, jakie to miało znaczenie? Albo artysta robił szkice do książki, którą czytała jej mama, albo ktoś zobaczył dom na własne oczy i postanowił wpleść go do opowieści. Wiedziała, że powinna odpuścić i powiedzieć coś miłego...

– Zapowiadają ładną pogodę – odezwał się ojciec, lecz w tej samej chwili Elodie wykrzyknęła:

– Dom ma osiem kominów, tato. Osiem!

– Och, skarbie...

– To dom z jej opowieści. Popatrz na wimpergi...

– Drogie dziecko.

– Tato!

– To wszystko ma sens.

– O czym ty mówisz?

– O ślubie.

– Jakim ślubie?

– Twoim, oczywiście. – Uśmiechnął się dobrotliwie. – Ważne wydarzenia często zmuszają nas do zmierzenia się z przeszłością. A ty tęsknisz za mamą.

Powinienem był wiedzieć, że teraz będzie ci jej brakowało bardziej niż kiedykolwiek.

– Nie, tato, ja...

– Właściwie jest coś, co chciałem ci dać. Zaczekaj chwilę.

Elodie westchnęła, odprowadzając ojca wzrokiem, gdy schodził po żelaznych schodach do domu. Z zawiązanym w pasie fartuchem i nieco zbyt słodką kaczką w pomarańczach był człowiekiem, na którego nie można było długo się gniewać.

Zauważyła kosa, który przyglądał się jej przycupnięty na jednej z bliźniaczych nasad kominowych. Obserwował ją z uwagą, a po chwili posłuszny rozkazowi, którego nie mogła usłyszeć, poderwał się do lotu. Najmłodsze z dzieci zaczęło płakać i Elodie przypomniała sobie słowa ojca o tym, jak marudziła, podczas gdy on robił, co mógł, wymyślając bajki na dobranoc. Potem zostali już tylko we dwoje.

Nie było łatwo.

– Przechowywałem go dla ciebie – powiedział, stając na szczycie schodów. Myślała, że przyniesie taśmy, które miał dla niej odłożyć, ale pudełko, które trzymał, było za małe, niewiele większe od pudełka na buty. – Wiedziałem, że pewnego dnia... nadejdzie właściwy czas... – Oczy zaszklily mu się od łez i pokręcił głową. – Masz, sama zobacz – dodał, podając jej pudełko.

Uniosła wieczko.

W środku leżał pas jedwabnej organzy koloru kości słoniowej, którego wycinany w półokrągłe ząbki brzeg obrębiono delikatną aksamitną wstążką. Elodie od razu wiedziała, co to jest. Zbyt często przyglądała się stojącej na dole fotografii w pozłacanej ramce.

– Tamtego dnia wyglądała tak pięknie – odezwał się ojciec. – Nigdy nie zapomnę, kiedy stanęła w drzwiach kościoła. Byłem niemal pewny, że się nie pojawi. Przed ślubem mój brat kpil ze mnie niemiłosiernie. Uważał, że to świetna zabawa, a ja, niestety, sam mu się podkładałem. Nie mogłem uwierzyć, że powiedziała „tak”. Byłem pewien, że doszło do nieporozumienia; wszystko to było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Wzięła go za rękę. Od śmierci matki minęło dwadzieścia pięć lat, lecz rana w sercu ojca była tak świeża, jakby zdarzyło się to wczoraj. Elodie miała

ledwie sześć lat, wciąż jednak pamiętała, jak patrzył na mamę, gdy spacerując razem, trzymali się za ręce. Pamiętała też pukanie do drzwi, ściszone głosy policjantów i rozdzierający serce krzyk taty.

– Robi się późno – zauważył i poklepał ją po dłoni. – Powinnaś wracać, skarbie. Chodźmy na dół, znalazłem taśmy, których szukałaś.

Zamknęła pudełko. Za chwilę zostawi go w towarzystwie bolesnych wspomnień, ale miała rację: czekała ją długa podróż powrotna do domu. Poza tym już dawno przekonała się, że nie jest w stanie ukoić jego smutku.

– Dzięki, że przechowujesz dla mnie welon. – Wstała i musnęła ustami jego policzek.

– Mama byłaby z ciebie dumna.

Uśmiechnęła się, ale idąc za nim na dół, zastanawiała się, czy rzeczywiście tak by było.

\*

„Dom” był małym, schludnym mieszkaniem na samej górze wiktoriańskiej kamienicy w Barnes. Wspólna klatka schodowa z powodu mieszczącej się na dole smażalni ryb pachniała tłuszczem jak paczka chipsów. Na szczęście zapach nie docierał tak wysoko. Mieszkanie składało się z otwartego pokoju dziennego z aneksem kuchennym i sypialni o dziwnym kształcie z dobudowaną do niej łazienką, ale na sam jego widok serce Elodie biło mocniej.

Jedno z okien sypialni wychodziło na rząd wiktoriańskich budynków: stara cegła, okna otwierane pionowo i ścięte dachy z terakotowymi nasadami kominowymi. W przerwach między budynkami mogła dostrzec Tamizę. Co więcej, jeśli usiadła na parapecie, widziała górny odcinek rzeki, aż do zakola i wznoszącego się nad nim mostu kolejowego.

Z okna na drugiej ścianie rozciągał się widok na ulicę i stojący po drugiej stronie bliźniaczy budynek. Mieszkająca w nim para jadła kolację, kiedy Elodie wróciła do mieszkania. Dowiedziała się, że są Szwedami, co tłumaczyło nie tylko ich wzrost i urodę, ale także osobliwy skandynawski zwyczaj jedzenia po dwudziestej drugiej. Nad kuchenną ławą w ich mieszkaniu

wisała lampa, która wyglądała, jakby zrobiono ją z krepiny; w jej drżącym różowawym świetle skóra Szwedów zdawała się lśnić.

Elodie zaciągnęła kuchenne zasłony, zapaliła światło i wyciągnęła welon z pudełka. W przeciwieństwie do Pippy nie знаła się na modzie, ale wiedziała, że to wyjątkowa rzecz. Cenna ze względu na wiek i sławę Lauren Adler, lecz dla Elodie miała przede wszystkim wartość sentymentalną, należała bowiem do jej matki, po której pozostało zdumiewająco niewiele rzeczy.

Po chwili wahania podniosła welon i przyłożyła go do czubka głowy. Wsunęła grzebień we włosy i organza opadła na jej ramiona. Elodie opuściła ręce.

Pochlebiało jej, że Alastair poprosił ją o rękę. Oświadczył się jej w pierwszą rocznicę dnia, kiedy zostali sobie przedstawieni (przez chłopaka, z którym chodziła do szkoły, pracującego w firmie Alastaira). Zabrał ją do teatru, a następnie na kolację do wykwintnej restauracji w Soho i gdy szatniarz odbierał ich płaszcze, szepnął jej do ucha, że większość ludzi tygodniami czeka tu na rezerwację. Czekając na deser, wręczył jej pierścionek w pudełeczku niebieskim jak jajo rudzika. Była to scena rodem z filmu i Elodie miała wrażenie, że patrzy na wszystko z boku: Alastair z jego przystojną twarzą, na której malowało się wyczekiwanie, i idealnymi białymi zębami; i ona w nowej sukience uszytej dla niej przez Pippę na przemówienie, które wygłosiła miesiąc wcześniej z okazji stu pięćdziesięciolecia Stratton Group.

Siedząca przy stoliku obok starsza kobieta powiedziała do swojego towarzysza: „Czyż to nie cudowne? Popatrz tylko! Rumieni się, bo jest taka zakochana”. Słyszając to, Elodie pomyślała: Rumienię się, bo jestem taka zakochana. A gdy Alastair uniósł pytająco brwi, widziała siebie, jak się uśmiecha i mówi: „Tak”.

Na ciemnych wodach rzeki zabrzmiała syrena mgłowa i welon wypadł z rąk Elodie.

Pewnie tak to się odbywa. Tak właśnie zaręczają się ludzie. Będzie ślub – jeśli wierzyć temu, co zapisano na zaproszeniach, za sześć tygodni, gdy, jak powiedziała matka Alastaira, „późnoletnie ogrody Gloucestershire będą prezentowały się najbardziej zjawiskowo” – i Elodie dołączy do grona

małżeństw, które spotykają się w weekendy, żeby rozmawiać o domach, kredytach i szkołach. Bo z czasem pewnie pojawią się dzieci, a ona zostanie matką. Nie będzie taka jak jej mama – utalentowana i błyskotliwa, urzekająca i nieuchwytna – ale jej dzieci będą szukały u niej porady i pocieszenia, a ona będzie wiedziała, co zrobić i powiedzieć, bo przecież rodzice tak mają, prawda?

Odłożyła pudełko na obity brązowym aksamitem fotel w kącie pokoju, lecz po chwili wahania wsunęła je pod niego.

Walizka, którą zabrała z domu ojca, nadal stała przy drzwiach, tam gdzie ją zostawiła.

Planowała zacząć odsłuchiwać taśmy, nagle jednak poczuła się zmęczona, ogromnie zmęczona.

Wzięła więc prysznic, po którym z miną winowajcy zgasiła lampkę i weszła pod kołdrę. Jutro zajmie się taśmami. Nie mogła dłużej zwlekać. Matka Alastaira, Penelope, dzwoniła już trzy razy od śniadania. Elodie nie odbierała, czekając, aż włączy się automatyczna sekretarka, ale lada dzień Alastair oświadczy, że „Mamcia szykuje niedzielny lunch”, a ona wyląduje na fotelu pasażera w roverze i zostanie zawieziona trzypasmówką do ogromnego domu w Surrey, gdzie będzie ją czekać przesłuchanie.

Wybranie nagrania było jednym z trzech przydzielonych jej zadań. Drugim była wizyta w lokalu, w którym miało się odbyć przyjęcie i który należał do przyjaciółki Penelope („Tylko po to, żeby się przedstawić, resztę zostaw mnie”). A trzecim współpraca z Pippą, która zaoferowała, że zaprojektuje dla niej suknię. Jak na razie Elodie nie wypełniła żadnego z tych zadań.

Jutro, obiecała sobie, spychając na bok wszystkie myśli o ślubie. Jutro.

Zamknęła oczy i wsłuchując się w dobiegające z dołu głosy ostatnich klientów zamawiających dorszka w cieście i frytki, wróciła myślami do drugiego pudełka, które zostawiła pod biurkiem w pracy. Pomyślała o oprawionej w ramki fotografii młodej kobiety. I szkicu domu.

Znowu poczuła ten dziwny niepokój, jak urywek wspomnienia, którego nie mogła sobie przypomnieć. Oczami wyobraźni zobaczyła szkic i usłyszała głos, który należał, a zarazem nie należał do jej matki: *Krętą ścieżyną szli, łąką w kierunku wierzb, i nad rzekę zanieśli swe sekrety i miecz.*

Kiedy w końcu zasnęła, w chwili gdy jej umysł trwał zawieszony między jawą a snem, rysowany piórkiem szkic rozplynał się, zastąpiony obrazem skąpanych w słońcu drzew i srebrzystych wód Tamizy. Ciepły wiaterek musnął jej policzki; znajdowała się w miejscu, które choć nieznane, było jej bliskie niczym dom.

## II

Życie w Birchwood jest ciche i spokojne. Od tamtego lata upłynęło wiele czasu, a ja nabrałam różnych przyzwyczajeń, przez co każdy dzień jest podobny do poprzedniego. Nie mam wyboru. Rzadko miewam gości, a ci, którzy się pojawiają, nie zabawiają tu długo. Nie jestem dobrą gospodynią. Zresztą w Birchwood nie mieszka się łatwo.

Większość ludzi boi się starych budynków, tak jak boi się starych ludzi. Thames Path stała się popularnym miejscem wśród spacerowiczów i czasami wieczorem albo wczesnym rankiem zatrzymują się na ścieżce i zaglądają ponad murem ogrodu. Widzę ich, ale nie pozwalam, by oni zobaczyli mnie.

Rzadko wychodzę z domu. Kiedyś biegałam po łące z sercem dudniącym w piersi i policzkami ciepłymi od słońca. Ruchy miałam lekkie i zwinne. Te czasy dawno już minęły.

Ludzie, którzy przystają w uliczce, słyszeli plotki na mój temat, wskazują więc palcami i nachylają się ku sobie jak plotkarze na całym świecie. „To wydarzyło się tutaj” – szepczą. „To tutaj mieszkał” albo „Myślisz, że ona to zrobiła?”.

Ale nie wchodzi, kiedy furтка jest zamknięta. Słyszeli, że to nawiedzone miejsce.

\*

Przyznaję, że nie zwracałam uwagi, kiedy Clare i Adele mówiły o duchach. Byłam zajęta, błędziłam myślami gdzieś indziej. Później często tego żałowałam. Z czasem taka wiedza okazałaby się przydatna, zwłaszcza kiedy zaczęli się pojawiać moi „goście”.



Jeden z nich właśnie przybył. Jak zawsze najpierw go wyczułam. Świadomość, subtelna, lecz oczywistą zmianę w cuchnących stęchlizną przeciągach, które nocami liżą stopnie schodów i osiadają na nich. Trzymałam się z daleka i z nadzieją, że nie będzie mnie niepokoił, czekałam, aż wróci bezruch.

Tyle że bezruch nie wrócił. Podobnie jak cisza. Ten – wiem, że to on, mignął mi bowiem przed oczami – nie jest hałaśliwy, w przeciwieństwie do niektórych, ale ja nauczyłam się słuchać, wiem, czego nasłuchiwać, i kiedy ruchy nabrały regularności, zrozumiałam, że zamierza zostać.

Minęło dużo czasu, odkąd miałam gościa. Kiedyś niepokoiłi mnie swoimi szeptami i postukiwaniem, miałam mrozące krew w żyłach przecucie, że moje rzeczy i miejsca nie należą już do mnie. Zajmowałam się swoimi sprawami, ale przyglądałam się im, każdemu z osobna, tak jak mógłby to robić Edward, i z czasem odkryłam, jak się ich pozbyć. To proste istoty, a ja jestem wprawiona w pomaganiu im podczas ich podróży.

Nie wszystkim jednak, są bowiem wśród nich takie, do których się przekonałam. Te Wyjątkowe. Biedny, smutny żołnierz, który krzyczy nocami. Wdowa, której wściekły płacz rozbrzmiewa między deskami podłogowymi. I oczywiście dzieci – samotna uczennica, która chciała wrócić do domu, poważny mały chłopiec, który próbował naprawić matczyne serce. Lubię dzieci. Są bardziej spostrzegawcze. Nie nauczyły się jeszcze nie widzieć.

Nadal nie wiem, co sądzić o tym nowym. Czy będziemy w stanie żyć zgodnie i jak długo ze sobą wytrzymamy. On jeszcze mnie nie zauważył. Jest bardzo skupiony na tym, co robi. Codziennie snuje się po kuchni z zarzuconym na ramię brązowym płóciennym workiem.

Na początku wszyscy tacy są. Mało spostrzegawczy, pochłonięci własnymi sprawami i tym, co ich zdaniem powinno być zrobione. Ja jednak jestem cierpliwa. Niewiele mam do roboty poza patrzeniem i czekaniem.

Widzę go teraz przez okno, jak idzie w stronę małego cmentarza na skraju wioski. Zatrzymuje się i czyta napisy na nagrobkach, jakby kogoś szukał.

Zastanawiam się kogo. Tak wielu tam pogrzebano.

Zawsze byłam ciekawska. Ojciec mawiał, że taka się urodziłam. Pani Mack powtarzała, że to tylko kwestia czasu, zanim moja ciekawość doprowadzi do

jakiejś tragedii.

No i proszę. Znikł za wzniesieniem, tak że nie widzę już, dokąd idzie, co niesie w torbie i co zamierza tam robić.

Chyba jestem podekscytowana. Jak już mówiłam, minęło sporo czasu, a obserwowanie nowych gości zawsze podnosi mnie na duchu. Odwraca moje myśli od zmurszałych kości przyzwyczajęń.

Kości takich jak te...

Czy kiedy wszyscy spakowali się i uciekli, a powozy wyrwały do przodu, jak gdyby ścigały je całe zastępy piekielne, Edward obejrzał się za siebie i w dogasającym świetle dnia zobaczył w oknie to, co miało zastąpić jego koszmar?

Czy kiedy wrócił do Londynu i ukrył się za sztalugą, mrugał czasami, by odegnąć sprzed oczu moją twarz? Czy śnił o mnie podczas długich nocy, gdy moje myśli biegły ku niemu?

Czy pamiętał wtedy, tak jak ja pamiętam teraz, blask świecy tańczący na tapecie ze wzorem w owoce i liście morwy?

Są też inne kości. Te, które sama sobie zakazałam polerować. Po co się zastanawiać, skoro w pobliżu nie został nikt, kogo mogłabym zapytać.

Wszyscy odeszli. Odeszli dawno temu. Pytania należą do mnie. Supły, których nikt nigdy nie rozplącze. Bezustannie obracane w dłoniach, zapomniane przez wszystkich oprócz mnie. Albowiem ja nie zapominam niczego, niezależnie od tego, jak bardzo się staram.

# ROZDZIAŁ TRZECI

## *Lato 2017*

Dziwne, niepokojące uczucie towarzyszyło Elodie także następnego dnia, dlatego jadąc pociągiem, próbowała spisać wszystko, co zapamiętała z matczynej opowieści na dobranoc. Gdy Londyn przemykał za szybą niczym rozmazana smuga, a siedząca nieco dalej grupa chłopców śmiała się z czegoś, co zobaczyli w telefonie, oparła notatnik na kolanie i zapomniała o bożym świecie. Długopis sunął po papierze, lecz w miarę jak pociąg zbliżał się do Waterloo, entuzjazm Elodie zaczął przygasać. Zerknęła na to, co zapisała: na baśń o domu z niebiańskim wiatrowskazem, krętej rzece o wodach srebrzystych jak rtęć, cudownych i strasznych rzeczach, które nocami działały się w lesie, i poczuła się zawstydzona. W końcu to tylko bajka dla dzieci, a ona była dorosłą kobietą.

Gdy pociąg zatrzymał się na peronie, sięgnęła po stojącą na podłodze torbę. Jej wzrok zatrzymał się na szkicowniku owiniętym w czystą bawełnianą ścierkę do naczyń i ogarnęła ją fala niepewności, kiedy przypomniała sobie swoją lekkomyślność, nagłą nieodpartą chęć, by zabrać szkicownik, i rosnące przekonanie, że szkic stanowił zapowiedź jakiejś tajemnicy. Podejrzewała nawet – dzięki Bogu miała na tyle rozumu, by nie wspominać o tym ojcu! – że rysunek przez te wszystkie lata czekał właśnie na nią.

Telefon zadzwonił, kiedy mijala kościół St Mary le Strand; na ekranie pojawiło się imię Penelope. Nagłe zdenerwowanie uświadomiło jej, że być może ojciec miał rację. Może to rzeczywiście ślub, a nie rysunek domu wzbudzał te dziwne uczucia. Zignorowała telefon i schowała go do kieszeni.

Skontaktuje się z przyszłą teściową po południu, kiedy po spotkaniu z Pippą będzie mogła przedstawić Penelope jakieś konkrety.

Po raz tysięczny żałowała, że nie ma przy niej mamy, która stanowiłaby jakąś przeciwwagę. Wiedziała z dobrych źródeł – nie tylko od ojca – że Lauren Adler była wyjątkowa. W wieku siedemnastu lat Elodie postanowiła dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Najpierw z internetu, a potem postarała się o kartę wstępu do Biblioteki Narodowej, gdzie znalazła wszystkie artykuły i wywiady związane z błyskotliwą karierą Lauren Adler. Wieczorami w sypialni czytała je, tworząc obraz tryskającej energią młodej kobiety o niebywałym talencie, wirtuozki, której biegłość w grze na wiolonczeli nie miała sobie równych. Elodie najbardziej lubiła wywiady, bo w nich, zamknięte w cudzysłowach, tkwiły słowa wypowiedziane przez matkę. Jej myśli, jej głos i ulubione zwroty.

Elodie przeczytała kiedyś książkę znaną pod łóżkiem w pokoju hotelowym w Grecji o umierającej kobiecie, która napisała do swoich dzieci serię listów o życiu i o tym, jak powinny postępować, by mogła czuwać nad nimi z grobu. Ale Lauren Adler nie wiedziała, że umrze, i nie zostawiła swojej jedynej córce żadnych wskazówek. Wywiady okazały się jednak wspaniałą rzeczą i siedemnastoletnia Elodie zgłębiała wszystkie, ucząc się ich na pamięć i szeptem powtarzając niektóre zwroty do wiszącego nad toaletką owalnego lustra. Były dla niej niczym ulubione fragmenty wierszy, jej własny zbiór życiowych przykazań. Bo w przeciwieństwie do Elodie, która walczyła z trądzikiem i była beznadziejnym przypadkiem młodzieńczego braku pewności siebie, siedemnastoletnia Lauren Adler promieniała. Równie skromna co utalentowana, grywała już solo na balach, pracując na tytuł muzycznej ulubienicy narodu.

Nawet Penelope, której pewność siebie była tak stara i niezmienna jak sznur pereł na jej szyi, mówiła o matce Elodie z niemal nabożnym szacunkiem. Nie pytała o „jej mamę”, lecz zawsze o „Lauren Adler”. „Czy Lauren Adler miała ulubiony utwór koncertowy?”, „Czy było miejsce, w którym Lauren Adler najbardziej lubiła grać?”. Elodie odpowiadała na te pytania najlepiej, jak mogła. Nie wspominała, że większość z tego, co wie, pochodzi z wywiadów, które były łatwo dostępne, jeśli tylko ktoś wiedział,

gdzie szukać. Zainteresowanie Penelope było miłe i Elodie kurczowo się go trzymała. W wielkim domu Alastaira, w obecności jego wytwornych rodziców odzianych w tweedy i diagonale, pośród tchnących tradycją ścian obwieszonych portretami przodków, potrzebowała każdej możliwej przewagi.

Na początku ich związku Alastair wspominał, że jego matka jest miłośniczką muzyki klasycznej. W dzieciństwie sama grała, lecz po debiucie w towarzystwie porzuciła przygodę z muzyką. Opowiadał historie, którymi zjednywał sobie Elodie: o koncertach, na które zabierała go matka, kiedy był chłopcem, o radosnym podnieceniu, jakie czuł w dniu, gdy London Symphony Orchestra grała swój pierwszy koncert w centrum sztuki Barbican, albo o pojawieniu się dyrygenta na deskach Royal Albert Hall. Na wszystkie te wydarzenia chodzili tylko we dwoje, matka i syn – to był ich czas („Ojciec uważa, że to przesada. Jego ulubioną rozrywką jest rugby”). Nadal podtrzymywali tę długoletnią tradycję i raz w miesiącu wybierali się na koncert, a po nim na kolację.

Słyszając to, Pippa uniosła brwi, zwłaszcza gdy Elodie wyznała, że nigdy nie została zaproszona, by do nich dołączyć; ona jednak się tym nie przejmowała. Wyczytała gdzieś, że mężczyźni, którzy dobrze traktują matki, są najlepszymi partnerami. Poza tym miło było wiedzieć, że nie wszyscy zakładają, że musi być miłośniczką muzyki klasycznej. Przerabiała to wielokrotnie: obcy ludzie pytali ją, na jakim gra instrumencie, a gdy mówiła, że na żadnym, patrzyli na nią zmieszani. „Nawet trochę?”

Tymczasem Alastair ją rozumiał. „Wcale ci się nie dziwię – powiedział. – Nie ma sensu konkurować z doskonałością”. I choć Pippa zachnęła się, kiedy to usłyszała („Jesteś doskonała w byciu sobą”), Elodie wiedziała, że nie to miał na myśli – nie był wobec niej krytyczny.

To jego matka wpadła na pomysł, żeby na ślubie puścić film o Lauren Adler. Kiedy Elodie powiedziała, że ojciec ma całe mnóstwo nagrań z koncertów i że jeśli Penelope chce, poprosi go, by wyjął je ze składziku, przyszła teściowa spojrzała na nią z czymś, co można opisać wyłącznie jako szczere uwielbienie. Po raz pierwszy dotknęła dłoni Elodie i wyznała: „Raz widziałam ją, jak gra. Była olśniewająca, taka skupiona. Profesjonalistka

w każdym calu, dzięki czemu jej muzyka nie miała sobie równych. To straszne, co się stało, po prostu straszne. Byłam zdruzgotana”.

Tego Elodie się nie spodziewała. Rodzina Alastaira nie „spoufalala się”, a w luźnych rozmowach nie poruszała takich tematów jak utrata bliskiej osoby czy żałoba. Tym razem temat też został ucięty równie nagle, jak się pojawił, a Penelope jak gdyby nigdy nic zaczęła rozprawiać o wczesnej tego roku wiośnie i o tym, jak wpłynie na Chelsea Flower Show. Elodie, mniej wprawna w szybkich zmianach tematu, nadal czuła na ręce jej dotyk, a wspomnienie śmierci matki towarzyszyło jej do końca weekendu.

Lauren Adler siedziała na miejscu pasażera w samochodzie prowadzonym przez amerykańskiego skrzypka, gdy oboje wracali do Londynu z koncertu w Bath. Pozostali członkowie orkiestry wrócili dzień wcześniej, zaraz po koncercie, ale matka Elodie została, by wziąć udział w warsztatach z lokalnymi muzykami. „Była bardzo szczodra – powtarzał często ojciec jak litanie człowieka pogrążonego w żałobie. – Ludzie nie oczekiwali tego od niej, od kogoś tak wielkiego, ale ona kochała muzykę i robiła, co mogła, by spędzać czas z tymi, którzy również ją kochali. Nie miało znaczenia, czy są profesjonalistami czy amatorami”.

Według raportu koronera, który Elodie znalazła w miejscowych archiwach, przyczyną wypadku była kiepska nawierzchnia szutrowej wiejskiej drogi i zła ocena sytuacji. Zastanawiała się, dlaczego nie jechali autostradą, ale koronerzy nie snują domysłów związanych z wyborem drogi. Kierowca zbyt szybko wszedł w ostry zakręt, koła straciły przyczepność i samochód wypadł z drogi. Siła uderzenia wyrzuciła Lauren Adler przez przednią szybę, powodując liczne złamania. Nawet gdyby przeżyła, już nigdy nie zagrałaby na wiolonczeli. Elodie dowiedziała się tego od przyjaciół mamy, muzyków, których rozmowę podsłuchiwała, kiedy na stypie siedziała ukryta za kanapą. Najwyraźniej uważali, że w tym wypadku śmierć była mniejszym złem.

Elodie nie widziała tego w ten sposób, podobnie jak jej ojciec, który przetrwał pogrzeb ze spokojem człowieka znajdującego się w szoku, co niepokoiło ją znacznie bardziej niż rozpacz, w której pogrążył się później. Myślał, że zdoła ukryć żal, siedząc za zamkniętymi drzwiami sypialni, lecz

stare ceglane ściany nie były wystarczająco grube. Mieszkająca obok pani Smith uśmiechała się z ponurym zrozumieniem, gdy co wieczór, przejmując jego obowiązki, serwowała Elodie tosty i jajka gotowane na miękko i snuła barwne opowieści o Londynie z czasów wojny: o nocach spędzonych pośród huku bomb i bombardowań i dniu, kiedy otrzymała ozdobiony czarną obwódką telegram z wieściami o jej zaginionym ojcu.

Nic więc dziwnego, że od tamtej pory śmierć matki nieodmiennie kojarzyła się Elodie z wybuchami bomb, zapachem siarki i dojmującą tęsknotą dziecka, które rozpaczliwie pragnie, by ktoś opowiedział mu bajkę.

\*

– Dzień dobry. – Margot gotowała wodę, kiedy Elodie weszła do pracy. Sięgnęła po ulubiony kubek Elodie, postawiła obok swojego i wrzuciła do środka torebkę herbaty. – Uprzedzam: od rana szaleje. Tym razem konsultant sporządził listę „zaleceń”.

– Boże.

– Właśnie.

Elodie podeszła z kubkiem do biurka, uważając, by nie zwrócić na siebie uwagi pana Pendletona, kiedy mijala jego gabinet. Lubiła swojego zrędliwego starego szefa, ale kiedy miał zły humor, bywał opryskliwy, a ona miała dość pracy bez niepotrzebnego uzupełniania katalogu.

Nie musiała się jednak martwić: pan Pendleton był bez reszty czymś pochłonięty i wściekłym wzrokiem wpatrywał się w ekran.

Usiadła przy biurku i nie tracąc czasu, wyjęła z torby owinięty w ścierkę szkicownik i włożyła go z powrotem do pudełka. Dała się ponieść chwilowemu szaleństwu, ale – na szczęście – było już po wszystkim. Teraz musiała tylko skatalogować rzeczy i raz na zawsze przypisać im miejsce w archiwach.

Włożyła rękawiczki i wyciągnęła dziurkacz, kałamarz, drewnianą wkładkę z przegródkami i etui na okulary. Już na pierwszy rzut oka widać było, że to przedmioty biurowe pochodzące z połowy dwudziestego wieku. Inicjały na etui świadczyły o tym, że należało ono do Lesley Stratton-Wood, więc ze

spokojem przystąpiła do spisywania zawartości pudła. Przyniosła nowe, przełożyła do niego przedmioty i przykleiła listę z boku.

Najbardziej ciekawiła ją torba. Elodie przystąpiła do drobiazgowej inspekcji, zwracając uwagę na wytarte skórzane krawędzie i kilka rys widocznych z tyłu. Szwy na łączeniach były wysokiej jakości, a na jednej z klamer wytłoczono pięć stempli probierczych, świadczących o tym, że wykonano ją w Anglii ze standardowego srebra. Elodie włożyła do lewego oka monokl powiększający i przyjrzała się bliżej: tak, był tu lew oznaczający srebro najwyższej próby; lampart symbolizujący Londyn (brak korony dowodził, że przedmiot wykonano po roku 1822); mała litera „g” zapisana staroangielską czcionką wskazywała rok (wystarczył szybki rzut oka na tabelę i Elodie wiedziała, że chodzi o rok 1862); głowa królowej Wiktorii i w końcu monogram złotnika – inicjały W.S.

Elodie spojrzała na katalog i przesunęła palcem po liście, aż natrafiła na niejakiego Williama Simmsa. Uśmiechnęła się z uznaniem. Torbę wykonano w W. Simms & Son, zakładzie produkującym ekskluzywne towary ze srebra i skóry, posiadającym licencję dostawcy królewskiego. Jeśli dobrze pamiętała, sklep mieścił się przy Bond Street.

Dowiedziała się wiele, lecz nie wszystko, bo pozostałe znaki na torbie – rysy i ślady znoszenia – były równie ważne. Świadczyły o tym, że niezależnie od tego, jak szlachetne było jej pochodzenie, nie służyła wyłącznie do ozdoby. Jej właściciel często nosił ją przewieszoną przez ramię – prawe, jak zauważyła Elodie, wodząc palcami po nierówno wytartym pasku – przez co obijała się o jego lewe biodro. Elodie spróbowała zawiesić ją na ramieniu, uświadomiła sobie jednak, że przyzwyczajenie nakazywało jej przełożyć ją na drugie ramię. Istniało zatem duże prawdopodobieństwo, że właściciel był leworęczny.

To eliminowało Jamesa Strattona, mimo że znalazła w torbie jego teczkę na dokumenty; ale przecież wskazywały na to już pozłacane inicjały – E.J.R. – wytłoczone na kłapie. Elodie czubkiem palca musnęła pochyłe E. Te same inicjały widniały na szkicowniku. Mogła więc założyć, że były to inicjały człowieka, który wykonał rysunki i że to do niego (albo do niej) należała torba. A zatem ten ktoś był artystą? James Stratton współpracował z kilkoma



znanymi artystami tamtej epoki, lecz Elodie nie pamiętała, by widziała te inicjały. Zawsze mogła je wygooglować, ale знаła lepszą – i szybszą – skarbnicę wiedzy z zakresu sztuki. Wyjęła telefon, poczuła ucisk w żołądku, widząc, że Penelope zostawiła drugą wiadomość, i napisała do Pippy:

Cześć! Kojarzysz jakiegoś artystę, prawdopodobnie ze środkowego okresu epoki wiktoriańskiej, o inicjałach E.J.R.?

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast:

Edward Radcliffe. Spotkanie aktualne? Czy zamiast na 12 możemy się umówić o 11? Wyślę ci adres.

Edward Radcliffe. Brzmiało jakby znajomo, choć na pewno nie był artystą, z którym James Stratton prowadził regularną korespondencję. Wpisała nazwisko w wyszukiwarce i kliknęła na stronę Wikipedii. Wpis był krótki. Elodie przebiegła wzrokiem pierwszą część, notując w pamięci, że urodzony w 1840 roku Edward Radcliffe był niemal rówieśnikiem Jamesa Strattona, przyszedł na świat w Londynie, ale część dzieciństwa spędził w Wiltshire. Był najstarszym z trójki rodzeństwa, jedynym synem miłośnika sztuk pięknych i kobiety, która próbowała sił jako artystka. Przez kilka lat wychowywali go dziadkowie, lord i lady Radcliffe, gdy rodzice przebywali na Dalekim Wschodzie, gdzie kolekcjonowali japońską ceramikę.

Kolejny paragraf opisywał jego burzliwą młodość, wybuchowy charakter i wczesnie rozwinięty talent odkryty przypadkiem, kiedy starszy artysta (nieznany Elodie, lecz najwyraźniej sławny) natknął się na prace Radcliffe'a i wziął go pod swoje skrzydła. Były obiecujące wystawy, żywiołowy romans z Królewską Akademią, krótka, lecz ostra publiczna wymiana zdań z Dickensem po dość kiepskiej recenzji, a w końcu rehabilitacja, gdy sam wielki John Ruskin zamówił u niego obraz. Wszystko wskazywało na to, że Edward Radcliffe był na najlepszej drodze do wielkiej kariery, i Elodie zaczynała się zastanawiać, dlaczego nie zna żadnych jego prac, zanim dotarła do ostatniego akapitu.

Edward Radcliffe był zaręczony z panną Frances Brown, córką właściciela fabryki w Sheffield; niestety, po tym jak w wieku zaledwie dwudziestu lat zginęła tragicznie podczas włamania z kradzieżą, wycofał się z życia publicznego. Mówiono, że w tamtym czasie pracował nad arcydziełem, lecz jeśli tak było, ani obraz, ani żaden ze szkiców wstępnych nie ujrzały światła dziennego. W 1881 roku Radcliffe utonął niedaleko wybrzeża w południowej Portugalii i ciało sprowadzono do Anglii, gdzie został pochowany. Choć jego dorobek artystyczny nie był tak wielki, jak mógłby być, Radcliffe pozostaje ważną postacią świata sztuki połowy dziewiętnastego wieku, był bowiem członkiem założycielem Bractwa Magenta.

Bractwo Magenta. Nazwa kojarzyła jej się z pracą i Elodie zanotowała, żeby poszukać jej w bazie danych korespondencji Strattona. Jeszcze raz przeczytała ostatni akapit i tym razem zatrzymała wzrok na wzmiankach o przedwczesnej tragicznej śmierci Frances Brown, wycofaniu się Radcliffe'a z życia publicznego i jego utonięciu w Portugalii. Jej umysł połączył te trzy fakty, rysując obraz człowieka, którego obiecująca kariera została przerwana gwałtownie przez złamane serce i którego organizm został doprowadzony do skrajnego wyczerpania.

Sięgnęła po szkicownik i zaczęła przewracać kolejne kartki, aż natknęła się na luźny świstek z zapisanym na nim miłosnym wyznaniem. *Kocham ją, kocham ją, kocham ją. I jeśli nie mogę jej mieć, oszaleję, kiedy bowiem nie ma jej przy mnie, boję się...*

Czy rzeczywiście istnieje miłość tak potężna, że jej utrata może doprowadzić człowieka do szaleństwa? Czy ludzie naprawdę mogą aż tak kochać? Pomyślała o Alastairze i oblała się rumieńcem, bo przecież byłaby zrozpaczona, gdyby go straciła. Ale czy oszalałaby ze smutku? Czy wyobrażała sobie, że mogłaby pogрузić się w nieutulonym żalu?

A jeśli to ona by umarła? Wyobraziła sobie narzeczonego w nieskazitelnej garniturze szytym na miarę przez krawca, który ubierał również jego ojca; gładką, przystojną twarz przyciągającą uwagę kobiet, gdziekolwiek się pojawili; ciepły głos, w którym pobrzmiwał wrodzony

autorytet. Alastair był taki pewny siebie, taki schludny i opanowany, że nie potrafiła sobie wyobrazić, by cokolwiek mogło go przywieść do szaleństwa. Co więcej, myśl o tym, jak szybko i cicho zasklepiłaby się rana po jej odejściu – jak tafla jeziora po wrzuceniu do niego kamyka – podziałała na nią otrzeźwiająco.

Nie to, co ogólna rozpacz po śmierci jej matki, towarzyszące jej emocje, artykuły w gazetach opatrzone urzekającymi, czarno-białymi zdjęciami Lauren Adler i pełne słów takich jak *tragedia*, *błyskotliwa* i *wielka strata*.

Może Frances Brown również była błyskotliwa?

Coś przyszło jej do głowy. Teczka na dokumenty należąca niegdyś do Jamesa Strattona nadal była w torbie. Elodie wyjęła z niej oprawioną w ramki fotografię.

Czy to była Frances Brown? Na oko wiek się zgadzał – kobieta na zdjęciu nie miała więcej niż dwadzieścia kilka lat.

Elodie przyjrzała się uważniej, zafascynowana jej spojrzeniem utkwionym w obiektyw. Było to spojrzenie osoby opanowanej. Kogoś, kto ma wyrobione poglądy i zna swoją wartość. Kobiety, o której namiętny młody artysta mógłby pomyśleć: *...jeśli nie mogę jej mieć, oszaleję...*

Wpisała w wyszukiwarkę obrazów *Frances Brown* i na monitorze pojawiły się liczne kopie tego samego portretu: młodej kobiety w zielonej sukni i – jak można się było tego spodziewać – pięknej. Nie była to jednak dziewczyna ze zdjęcia.

Elodie poczuła ukłucie rozczarowania. Zdążyła się już do niego przyzwyczaić. Taki już los archiwistów, współczesnych poszukiwaczy skarbów, którzy przetrząsają pozostałości cudzego życia, sortują je metodycznie i tworzą archiwa, zawsze z nadzieją, że tym razem natrafią na wyjątkowe znalezisko.

To był strzał w ciemno: szkicownik i notatka znajdowały się w tej samej torbie co teczka na dokumenty zawierająca fotografię, ale poza tym nie było żadnego oczywistego związku. Torba i szkicownik należały do Edwarda Radcliffe'a, a teczka do Jamesa Strattona. Na razie nic jednak nie wskazywało, że ci dwaj w ogóle się znali.

Jeszcze raz wzięła do rąk fotografię. Ramka, w którą ją oprawiono, była wysokiej jakości: wykonana ze standardowego srebra, misternie zdobiona. Teczka Jamesa Strattona pochodziła z roku 1861, można więc było przypuszczać, że znajdujące się w niej zdjęcie również należało do niego i że wszedł w jego posiadanie nieco później. A także że sfotografowana kobieta była dla niego na tyle ważna, że postanowił je zatrzymać. Kim jednak była? Czy łączył ich potajemny romans? Elodie nie przypominała sobie, by w dziennikach czy listach Strattona natknęła się na jakąkolwiek wzmiankę na ten temat.

Jeszcze raz spojrzała na piękną twarz, jak gdyby szukała w niej wskazówek. Im dłużej na nią patrzyła, tym bardziej była zaintrygowana. Fotografia miała ponad sto lat, może nawet sto pięćdziesiąt, lecz twarz kobiety wydawała się dziwnie współczesna. Równie dobrze mogła należeć do jednej z dziewcząt, które w lecie śmiały się z przyjaciółmi na ulicach Londynu i cieszyły się promieniami słońca. Sprawiała wrażenie pewnej siebie i rozbawionej, a poufałość, z jaką patrzyła na fotografa, niemal wprowadzała w zakłopotanie. Zupełnie jakby Elodie nakryła ich w intymnej sytuacji.

– Kim jesteś? – mruknęła pod nosem. – I co łączyło cię ze Strattonem?

Było coś jeszcze; coś, czego Elodie nie potrafiła nazwać. Kobieta na zdjęciu zdawała się rozświetlona i nie chodziło tylko o twarz z pięknymi rysami i malującym się na niej ożywieniem, lecz również o całą stylizację. Długie, proste włosy, romantyczną suknię, luźną i skromną, a jednak zmysłowo podkreślającą jej talię, i podwinięty rękaw, odsłaniający musniętą słońcem skórę. Elodie niemal czuła wiejący od rzeki ciepły wietrzyk, który owiewał twarz kobiety, unosił jej włosy i ogrzewał białą bawełnianą tkaninę sukni. A jednak umysł płatał jej figle, bo na zdjęciu nie było rzeki. Najwyraźniej urzekła ją swoboda fotografii i jej atmosfera. Taką właśnie suknię chciałyby włożyć do ślubu...

Ślub!

Zerknęła na zegar i zobaczyła, że dochodzi kwadrans po dziesiątej. Nie odpisała na wiadomość Pippy, ale musiała się zbierać, jeśli miała na jedenastą dotrzeć do King's Cross. Wrzuciła do torebki telefon, notatnik, dziennik i okulary przeciwsłoneczne. Zerknęła na biurko, by sprawdzić, czy czegoś nie

zapomniała, i ni stąd, ni zowąd sięgnęła po oprawioną w ramkę fotografię kobiety w ślicznej sukience. Widząc, że Margot stoi pochylona nad szafką na dokumenty, owinęła zdjęcie w ścierkę do naczyń i wsunęła do torby.

Po wyjściu z biura jeszcze na schodach zaczęła pisać odpowiedź.

W porządku. Właśnie wychodzę. Wyślij mi adres i niedługo się zobaczymy.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Tego dnia Pippa pracowała w wydawnictwie przy New Wharf Road, tworząc instalację w holu wejściowym. Kiedy Elodie przyjechała kwadrans po jedenastej, zastała przyjaciółkę przycupniętą na szczycie niezwykle wysokiej drabiny na środku pustego holu. Pippa wieszała pod sufitem długie suknie i inne staroświeckie ubrania – halki, pantalony i gorsety – a efekt jej pracy był czarujący, jak gdyby kołysani wiatrem widmowi tancerze koloru kości słoniowej unosili się nad ziemią. Widząc to, Elodie przypomniała sobie jeden ze swoich ulubionych wierszy Oscara Wilde’a:

*Tanecznym, lekkim krokiem idąc,  
W księżycu blasku zmierzaliśmy ulicą  
Pod dom nierządnicy...*

*Na naszych oczach tancerze widmowi  
Dali się porwać skrzypcom i rogowi,  
Wirując jak czarne liście na wietrze...<sup>1</sup>*

Na widok przyjaciółki Pippa krzyknęła coś, mimo że w zaciśniętych zębach trzymała drewnianą linijkę.

Elodie odmachnęła jej na powitanie i wstrzymując oddech, patrzyła, jak Pippa pochyliła się, by przymocować halkę do żyłki wędkarskiej.

Chwilę później jej przyjaciółka zeszła z drabiny w jednym kawałku.

– Zaraz wracam! – zawołała do mężczyzny za biurkiem i zarzuciła plecak na ramię. – Idziemy na kawę.

Kiedy wyszły przez duże szklane drzwi, Elodie dostosowała się do jej kroku. Pippa miała na sobie ciemne ogrodniczki i pikowane trampki tak lubiane przez nastoletnich chłopców, którzy w piątkowe wieczory zbierali się

w smaźalni ryb. Osobno ani ogrodniczki, ani buty niczym się nie wyróżniały, a jednak na Pippie wyglądały zjawiskowo, przez co Elodie, w dżinsach i balerinach, poczuła się jak szara myszka.

Kiedy przeszły przez wysoką zamkniętą bramę, do której jakimś cudem Pippa miała kod, i ruszyły wzdłuż kanału, zapaliła papierosa.

– Dzięki, że przyszłaś wcześniej – rzuciła, wydmuchując dym. – Żeby skończyć, będę musiała pracować w przerwie na lunch. Dziś wieczorem przyjeżdża autorka promować książkę. Pokazywałam ci? Jest boska. To Amerykanka, która odkryła, że jej nieżyjąca od dawna ciotka z Anglii była niegdyś kochanką króla i zgromadziła bajeczną kolekcję sukien. Przechowywała je z kulkami na mole w szafie w New Jersey. Niewiarygodne! Moja ciotka zostawiła mi w spadku nos jak kłamkę.

Przeszły przez ulicę i dalej przez most, zmierzając w stronę przeszklonej restauracji w pobliżu stacji metra.

Znajoma kelnerka zaprowadziła je do okrągłego stolika w kącie na tyłach lokalu.

– Macchiato? – spytała.

– Świetnie – odparła Pippa, po czym zerknęła na przyjaciółkę. – I...?

– Podwójne espresso ze spienionym mlekiem – powiedziała Elodie.

Pippa nie zamierzała marnować czasu; od razu wyjęła z torby pękaty album z wycinkami, pełen rozmaitych świstków i próbek.

– Oto jak to widzę – oświadczyła i rozentuzjasmowana zaczęła opisywać rękawy i halki, zalety i wady peplum, dobrodziejstwa naturalnych materiałów, prezentując kolejne zdjęcia, aż cały stół pokryły kartki wyrwane z magazynów, próbki materiałów i szkice. – I co ty na to? – spytała w końcu.

– Podoba mi się – przyznała Elodie. – Wszystko.

Jej przyjaciółka się roześmiała.

– Wiem, że trochę tego dużo, ale tyle różnych pomysłów chodzi mi po głowie. A ty? Masz jakieś pomysły?

– Mam welon.

– O la la!

– Tata wygrzebał go dla mnie. – Elodie podała jej telefon ze zdjęciem, które zrobiła rano.

– Należał do twojej mamy? Szczęściara, jest piękny. Założę się, że od jakiegoś znanego projektanta.

– Pewnie tak. Ale nie wiem, od którego.

– To bez znaczenia, i tak jest śliczny. Teraz tylko musimy dopasować do niego równie piękną suknię.

– Znalazłam zdjęcie czegoś, co mi się podoba.

– No to na co czekasz, pokaż je.

Elodie wyjęła z torby ścierekę do naczyń i zawiniętą w nią srebrną ramkę.

Pippa, wyraźnie rozbawiona, uniosła brew.

– Przyznaję, że spodziewałam się wyrwanej kartki z „Vogue’a”.

Podawszy jej zdjęcie, Elodie czekała, czując w dołku nerwowe ściskanie.

– Jest piękna – rzuciła Pippa.

– Znalazłam tę fotografię w pracy. Przeleżała ponad pięćdziesiąt lat w schowku pod schodami, ukryta w skórzanej torbie na dnie pudła przywalonego zasłonami.

– Nic dziwnego, że wygląda na zachwyconą, że w końcu się z niego wydostała. – Pippa podniosła zdjęcie do oczu. – Ta suknia jest boska. Zresztą wszystko to jest boskie. To bardziej fotografia artystyczna niż portret. Wygląda jak te robione przez Julię Margaret Cameron. – Podniosła wzrok. – Czy to zdjęcie ma coś wspólnego z wiadomością, którą wysłałaś mi dziś rano? Tą o Edwardzie Radcliffe?

– Nadal próbuję to ustalić.

– Wcale by mnie to nie zdziwiło. Ta fotografia jest typowym przykładem estetycyzmu. To ujmujące spojrzenie, luźna sukienka i postawa. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że pochodzi z połowy lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku.

– Skojarzyła mi się z preraphaelitami.

– Na pewno jest z nimi powiązana; zresztą w tamtych czasach artyści inspirowali się nawzajem. Mieli obsesję na punkcie natury i prawdy, koloru, kompozycji i znaczenia piękna. Ale podczas gdy preraphaelici dążyli do



realizmu i szczegółów, malarze i fotografowie z Bractwa Magenta byli skupieni na zmysłowości i ruchu.

– Nie uważasz, że to światło ma w sobie coś poruszającego?

– Fotograf byłby zachwycony, gdyby to usłyszał. Światło było dla nich kluczową kwestią. Zaczepnęli swoją nazwę z teorii kolorów Goethego, wzajemnej zależności między światłem a ciemnością. Uważali, że w spektrum gdzieś między czerwienią i fioletem istnieje ukryty kolor, który zamyka koło barw. Musisz pamiętać, że były to czasy, gdy nauka i sztuka przeżywały prawdziwy rozkwit. Fotografowie tak jak nigdy wcześniej mogli używać technologii do manipulowania światłem i eksperymentować z czasem naświetlania dla uzyskania nowych efektów. – Pippa urwała, gdy kelnerka przyniosła kawę. – Edward Radcliffe był bardzo szanowany, ale nie tak sławny jak inni członkowie Bractwa Magenta.

– Czyli?

– Thurston Holmes, Felix i Adele Bernardowie. Spotkali się w Królewskiej Akademii i połączyły ich kontestatorskie przekonania. Byli sobie bliscy, ale żyli w okrutnym świecie dziewiętnastowiecznej sztuki, często rozdarci wewnątrz, wśród kłamstw i pożądania. Radcliffe był wyjątkowo utalentowany, lecz zmarł młodo. – Kolejny raz spojrzała na fotografię. – Dlaczego myślisz, że miał z nią coś wspólnego?

Elodie opowiedziała jej o pudle i torbie z inicjałami Edwarda Radcliffe'a.

– W środku znalazłam teczkę na dokumenty, która należała do Jamesa Strattona. Była w niej tylko ta fotografia.

– A Radcliffe był jego przyjacielem?

– Nic mi o tym nie wiadomo – przyznała Elodie. – To jedna z zagadek. – Popijając kawę, zastanawiała się, czy powinna mówić dalej. Była rozdarta. Z jednej strony chciała opowiedzieć przyjaciółce o wszystkim i wykorzystać jej wiedzę z historii sztuki, z drugiej walczyła z dziwnym uczuciem, które ogarnęło ją, gdy podała jej zdjęcie; zupełnie jakby była o nie zazdrosna i chciała zatrzymać fotografię i szkic wyłącznie dla siebie. W końcu uznała, że to tylko niewytłumaczalny impuls, którym nie należy się przejmować, i po chwili dodała: – Oprócz zdjęcia znalazłam w torbie coś jeszcze. Szkicownik.

– Jaki szkicownik?

– W skórzanej oprawie, mniej więcej tej wielkości. – Rozłożyła rękę. – Całe strony wypełnione szkicami piórkiem i odręcznymi zapiskami. Myślę, że należał do Edwarda Radcliffe’a.

Pippa, której nigdy nic nie było w stanie zaskoczyć, wstrzymała oddech. Szybko jednak wzięła się w garść.

– Było tam coś, na podstawie czego można określić datę?

– Nie przejrzałam wszystkiego, nie dokładnie, ale teczka Strattona pochodzi z 1861 roku. Nie mam pojęcia, czy coś łączy te przedmioty... poza tym, że przez ostatnie sto pięćdziesiąt lat leżały w tej samej torbie.

– Jak wyglądały te rysunki? Co przedstawiały?

– Postacie, portrety, krajobrazy, dom. Dlaczego pytasz?

– Krążyły plotki o niedokończonym dziele. Po śmierci narzeczonej Radcliffe nadal malował, ale stracił zapał. I zmienił tematykę. A potem utonął za granicą. Wszystko to było bardzo tragiczne. W kręgach historyków sztuki „niedokończone dzieło”, nad którym pracował przed jej śmiercią, obrosło legendą. Ludzie wciąż snują domysły i wysuwają rozmaite teorie. Od czasu do czasu ktoś podchodzi do tematu na tyle poważnie, żeby napisać o tym pracę, chociaż nie ma zbyt wielu dowodów na potwierdzenie teorii o „niedokończonym dziele”. To jedna z tych plotek, które są zbyt kuszące, by pozwolić im umrzeć.

– Myślisz, że szkicownik mógł mieć z tym coś wspólnego?

– Musiałabym go zobaczyć. Pewnie nie masz już w torbie żadnych zawiniętych w ścierkę niespodzianek?

Elodie poczuła, że się rumieni.

– Nie mogłabym wynieść szkicownika z archiwum.

– Może więc wpadnę w przyszłym tygodniu i rzucę na niego okiem?

– Lepiej najpierw zadzwoń. – Coś ścisnęło ją w żołądku. – Pan Pendleton jest na wojennej ścieżce.

Niezrażona Pippa machnęła ręką.

– Jasne. – Odchyliła się na krześle. – A tymczasem zabiorę się za twoją suknię. Już ją widzę: romantyczną, boską. Bardzo współczesną... w stylu lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku.

– Nigdy nie byłam przesadnie modna.

– Gdybyś nie wiedziała, nostalgia jest teraz bardzo w modzie.

Pippa była serdeczna, ale dziś jej serdeczność irytowała Elodie. Jako osobę skłoną do nostalgii, zabolą ją słowa przyjaciółki. W jej ustach zabrzmiały złośliwie, niczym zarzut. Ludzie myślą nostalgię z sentymentalnością, a przecież to drugie jest czymś cikliwym i przesłodzonym, podczas gdy nostalgia jest czymś przejmującym i bolesnym, czymś związanym z najgłębszą tęsknotą: ze świadomością, że nie można zatrzymać czasu ani go cofnąć, by odzyskać straconą chwilę czy osobę albo zrobić coś inaczej.

Oczywiście Pippa żartowała i zbierając ze stołu próbki i wycinki, nie miała pojęcia, co myśli przyjaciółka. Dlaczego jestem dziś taka wrażliwa? – zastanawiała się Elodie. Odkąd zajrzała do torby, była nerwowa i niespokojna. Czuła się rozkojarzona, jakby miała wrażenie, że o czymś zapomniała. Ubiegłej nocy śniło jej się, że jest w domu ze szkicu, który nagle zamienia się w kościół, a ona uświadamia sobie, że spóźniła się na ślub – swój własny ślub. Chciała biec, lecz nogi odmówiły jej posłuszeństwa – gięły się pod nią, jakby były ze sznurka – a gdy w końcu dotarła na miejsce, odkryła, że to nie na ślub się spóźniła, lecz na koncert, na którym jej matka – nadal trzydziestoletnia – grała na wiolonczeli.

– A jak reszta przygotowań do ślubu? – spytała Pippa.

– Dobrze. W porządku. – Słowa Elodie zabrzmiały lakonicznie, co nie umknęło uwadze jej przyjaciółki. Chcąc uniknąć dalszych pytań, które mogłyby zdradzić jej złe samopoczucie, dodała pospiesznie: – Oczywiście jeśli chcesz znać szczegóły, najlepiej porozmawiaj z Penelope. Wiem tylko tyle, że ślub będzie piękny.

– Żeby tylko nie zapomniała powiedzieć ci, gdzie i kiedy masz się pojawić.

Uśmiechnęły się do siebie – znowu były sojuszniczkami – po czym Pippa zapytała ze zgryźliwą uprzejmością:

– A jak narzeczony?

Jej znajomość z Alastairem nie zaczęła się najlepiej, co nie było żadnym zaskoczeniem, bo Pippa miała ukształtowane poglądy, cięty język i nie trawiła głupców. Nie to, żeby Alastair był głupcem – na myśl o tym Elodie się skrzywiła – po prostu on i Pippa byli zupełnie różni. Zawstydzona swoim

wcześniejszym zachowaniem, Elodie postanowiła, że pozwoli przyjaciółce triumfować.

– Jest spokojny, że to jego matka dyktuje warunki.

Pippa rozciągnęła usta w uśmiechu.

– A twój tata?

– Znasz go. Jest szczęśliwy, jeśli ja jestem szczęśliwa.

– A jesteś?

Elodie zgromiła ją wzrokiem.

– Dobrze już, dobrze – rzuciła Pippa. – Jesteś szczęśliwa.

– Tata dał mi nagrania.

– Czyli nie miał nic przeciwko?

– Na to wygląda. Niewiele mówił. Myślę, że zgadza się z Penelope, że dzięki temu będzie tak, jakby mama tam była.

– Ty też tak myślisz?

Elodie nie chciała poruszać tego tematu.

– Musimy mieć jakąś muzykę – odparła. – Więc to chyba rozsądny wybór.

Jej przyjaciółka wyglądała, jakby chciała coś dodać, ale Elodie ją uprzedziła.

– Mówiłam ci, że moi rodzice pobrali się, bo musieli? Ślub był w lipcu, a ja urodziłam się w listopadzie.

– Mała pasażerka na gapę.

– Wiesz, jak lubię przyjęcia. Zawsze szukam miejsca, w którym mogłabym się ukryć.

Pippa się uśmiechnęła.

– Zdajesz sobie sprawę, że na tym będziesz musiała wytrwać od początku do końca? Że tego będą oczekiwali goście?

– A skoro mówimy o gościach, byłabyś tak miła i potwierdziła swoje przybycie?

– Jak to?! Listownie? Mam wysłać odpowiedź pocztą?

– Najwyraźniej to ważne. Bardzo.

– Cóż, skoro tak...

– Właśnie tak, a dowiedziałam się z pewnego źródła, że moi przyjaciele i rodzina przeciwstawiają się systemowi. Tip jest następnym na mojej liście.

– Tip! Co u niego?

– Wybieram się do niego jutro. Pewnie nie chcesz ze mną jechać?

Pippa skrzywiła się z rozczarowaniem.

– Mam fetę w galerii. A skoro o tym mowa... – Dała znać kelnerce, żeby przyniosła rachunek, i wyciągnęła z portfela dziesięciofuntowy banknot. Czekaając, wskazała fotografię leżącą obok pustej filiżanki Elodie. – Będę potrzebowała kopii, żeby zacząć myśleć o twojej sukni.

– Nie mogę ci jej pożyczyć. – Elodie poczuła, że znów ogarnia ją ta zaborczość.

– Jasne. Zrobię zdjęcie telefonem. – Pippa sięgnęła po zdjęcie i obróciła je tak, by nie przesłaniał go jej cień.

Elodie włożyła ręce pod uda, w myślach ponagłając przyjaciółkę, po czym owinęła fotografię w ścierkę.

– Wiesz co? – odezwała się Pippa, oglądając zdjęcie w telefonie. – Pokażę je Caroline. Pisała pracę o Julii Margaret Cameron i Adele Bernard. Założę się, że powie nam coś więcej o modelce, może nawet będzie wiedziała, kto zrobił to zdjęcie.

Caroline była mentorką Pippy z Akademii Sztuk Pięknych, filmowcem i fotografką cenioną za uwiecznianie piękna w sytuacjach i okolicznościach, w których nikt się go nie spodziewał. Jej prace były dzikie i urzekające, pełne rachitycznych drzewek, niszczących domów i smutnych krajobrazów. Miała mniej więcej sześćdziesiąt lat, ale sprężyste ruchy i energię dużo młodszej kobiety; z braku własnych dzieci traktowała Pippę trochę jak córkę. Elodie spotkała ją kilka razy przy okazji rozmaitych imprez. Opanowanie i autentyczność tej kobiety z przykuwającymi uwagę siwymi włosami – prostymi i gęstymi, sięgającymi łopatek – sprawiały, że Elodie czuła się źle we własnej skórze.

– Nie – odparła pośpiesznie. – Nie rób tego.

– Dlaczego?

– Po prostu... – Nie mogła powiedzieć, że jeszcze do niedawna fotografia należała do niej i tylko do niej, bo zabrzmiałaby jak osoba małostkowa, a do tego niezrównowazona. – Nie chcę sprawiać jej kłopotu. Jest taka zajęta...

– Żartujesz? Będzie zachwycona.

Elodie zdobyła się na słaby uśmiech, pocieszając się w duchu, że Caroline rzeczywiście może pomóc. Postanowiła odsunąć od siebie osobiste uprzedzenia; w końcu jej praca polegała na tym, by dowiedzieć się jak najwięcej na temat fotografii i szkicownika. A jeśli powiązania z Radcliffe'em zaowocują nowymi informacjami na temat Jamesa Strattona, archiwiści ze Stratton, Cadwell & Co. będą mieli powody do dumy. Nieczęsto odkrywano nowe fakty na temat znanych postaci epoki wiktoriańskiej.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Elodie wracała piechotą. Wybrała okrężną drogę Lamb's Conduit Street, bo lubiła tę okolicę, a wyglądający jak pudełko czekoladek front księgarni Persephone w gołęzim kolorze zawsze poprawiał jej nastrój. Weszła do środka – z przyzwyczajenia. Chłonąc muzykę swingową lat trzydziestych ubiegłego wieku, kartkowała dzienniki wojenne Vere Hodgson, kiedy zadzwonił jej telefon.

Zobaczywszy na wyświetlaczu numer Penelope, Elodie poczuła, że ogarnia ją panika.

Wyszła z księgarni, przecięła pospiesznie Theobalds Road i High Holborn i dotarła aż do Lincoln's Inn Fields. Mijając gmach Królewskich Sądów, przyspieszyła kroku, przeszła przed czerwonym autobusem na drugą stronę ulicy, a gdy dotarła na Strand, już prawie biegła.

Zamiast wrócić prosto do pracy, gdzie poirytowany pan Pendleton z wielką przyjemnością przyłapałby którąś ze swoich podwładnych na wykonywaniu prywatnych telefonów, skręciła w brukowaną uliczkę, która biegła zygzakiem w stronę rzeki, i znalazła ławkę na nabrzeżu Wiktorii, tuż obok przystani.

Wyjęła notatnik i otworzyła na stronie z numerem telefonu lokalu w Gloucestershire, w którym miało odbyć się wesele. Zadzwoniła tam i umówiła się na wizytę w przyszły weekend. Nie czekając, aż jej entuzjazm osłabnie, wybrała numer przyszłej teściowej, przeprosiła za to, że nie odbierała jej telefonów, i złożyła raport na temat poczynionych postępów: opowiedziała kolejno o lokalu, welonie, sukni i nagraniach.

Kiedy rozmowa dobiegła końca, przez kilka minut siedziała bez ruchu. Penelope była wyraźnie zadowolona, zwłaszcza gdy Elodie wspomniała o walizce pełnej materiałów wideo z koncertów jej matki. zaproponowała nawet, by zamiast jednego nagrania odtworzyć drugie na koniec ceremonii.

Elodie obiecała, że wybierze trzy nagrania, które obejrzą razem i wspólnie podejmą decyzję.

– Lepiej wybierz pięć – odparła Penelope. – Tak na wszelki wypadek.

Czyli Elodie wiedziała już, co będzie robiła w weekend.

Prom wiozący turystów do Greenwich odbił od nabrzeża i mężczyzna w czapce z flagą Stanów Zjednoczonych skierował obiektyw długoogniskowy na Iglę Kleopatry. Stado kaczek podleciało, by zająć zwolnione miejsce i wylądowało z gracją na lekko wzburzonej wodzie.

Gdy niewielkie fale wzbudzone przez prom chlupnęły o brzeg, a powietrze wypełnił zapach błota i soli, Elodie przypomniała sobie wpis z dziennika Jamesa Strattona, w którym opisywał Wielki Smród z 1858 roku. Ludzie nie mieli pojęcia, jak wówczas cuchnął Londyn. Ulice tonęły w ludzkich i zwierzęcych odchodach, gnijących warzywach i odpadach z rzeźni. Wszystko to – i dużo, dużo więcej – trafiało do rzeki.

Latem 1858 roku fetor unoszący się znad Tamizy był tak potworny, że trzeba było zamknąć Pałac Westminsterski, a ci, którzy mogli sobie na to pozwolić, opuścili miasto. To zainspirowało młodego Jamesa Strattona do utworzenia komitetu, którego celem było uprzątnięcie Londynu. W 1862 roku opublikował nawet w czasopiśmie „Builder” artykuł, w którym nawoływał do działania. W archiwach znajdowała się korespondencja między nim a sir Josephem Bazalgette’em, którego system ściekowy był jednym z wielkich osiągnięć wiktoriańskiej Anglii. Odprowadzał on nieczystości z najbardziej zaludnionego centrum, więc nie tylko redukował przykry zapach, ale także sprawił, że znacząco spadła liczba zachorowań na choroby przenoszone przez wodę.

Myśl o Strattonie przypomniała Elodie, że ma pracę i obowiązki, do których powinna wrócić. Spieszyła się, świadoma, ile czasu minęło, odkąd wyszła na spotkanie z Pippą, i odetchnęła z ulgą, gdy po powrocie okazało się, że pan Pendleton został wezwany i do końca dnia nie będzie go w biurze.



Chcąc nadrobić stracony czas, Elodie spędziła popołudnie, katalogując pozostałe przedmioty z pudła. Im szybciej się z tym uwinie, tym lepiej.

Zacząła od wpisania w bazę danych nazwiska Radcliffe i zdumiała się, gdy otrzymała dwa wyniki wyszukiwania. Jednym z pierwszych zadań, które przydzielono jej po tym, jak rozpoczęła pracę w archiwum, było przeniesienie do komputera papierowej bazy danych. Szczyciła się niemal fotograficzną pamięcią do ludzi, których znał, i miejsc, w których bywał James Stratton, lecz nie pamiętała, by kiedykolwiek natknęła się na nazwisko Radcliffe.

Zaintrygowana, odnalazła w aktach właściwe dokumenty i wróciła z nimi do biurka. Pierwszy był list z 1861 roku napisany przez Jamesa Strattona do marszanda Johna Haverstocka, z którym planował zjeść kolację w nadchodzącym tygodniu. W ostatnim akapicie Stratton wyrażał nadzieję, że *opowie mi Pan nieco więcej o malarzu, na którego nazwisko natknąłem się ostatnio – Edwardzie Radcliffie. Słyszałem, że ma rzadki talent, choć mając okazję przyjrzeć się próbkom tego talentu, śmiem twierdzić, że – przynajmniej po części – polega on na umiejętności nakłonienia modelek, by odśłoniły nieco więcej, niż to konieczne. A wszystko to rzecz jasna w imię sztuki.*

Z tego, co pamiętała, James Stratton nie posiadał żadnych obrazów Radcliffe'a (choć zapisała, by to sprawdzić), a zatem mimo zainteresowania malarzem, ostatecznie nie zdecydował się na kupno żadnej z jego prac.

Druga wzmianka pojawiła się kilka lat później w dzienniku Strattona z 1867 roku. Na końcu jednego z wpisów zanotował:

*Wieczorem odwiedził mnie ten malarz, Radcliffe. Przybył niezapowiedziany o bardzo późnej porze. Przyznaję, że zasnąłem z książką w ręce i obudziło mnie kołatanie do drzwi. Biedna Mabel była już w łóżku i musiałem zadzwonić na nią, by przyniosła przekąski. Równie dobrze mogłem się nie kłopotać i pozwolić jej spać, Radcliffe bowiem nawet nie tknął kolacji. Zamiast tego, wyraźnie wzburzony, zaczął krążyć po pokoju i nijak nie mogłem go uspokoić. Zachowywał się jak oszalone zwierzę, wzrok miał dziki, a długie włosy w nieładzie od ciągłego przeczesywania ich delikatnymi, bladymi palcami.*

*Emanował pełną niepokoju energią, jak człowiek opętany. Chodząc w tę i we w tę, mruzczał pod nosem coś niezrozumiałego o klątwach i przeznaczeniu. Był w żalonym stanie, co szczerze mnie zmartwiło. Lepiej od innych wiem o stracie, jakiej doświadczył, lecz trudno patrzeć, jak cierpi; jego rozpacz jest dowodem na to, co złamane serce robi z najbardziej wrażliwymi duszami. Przyznaję, że słyszałem plotki o jego żalonym stanie, lecz nie dałbym im wiary, gdybym nie zobaczył tego na własne oczy. Postanowiłem zrobić co w mojej mocy, by naprawić, co się da, i mu pomóc. zaproponowałem, żeby został, i zapewniłem, że przygotowanie pokoju to żaden kłopot, jednak odmówił. Poprosił tylko, bym przechował dla niego kilka rzeczy, a ja, oczywiście, się zgodziłem.*

*Prośba ta wyraźnie go zdenerwowała i wyczuwałem, że przychodząc do mojego domu, nie miał zamiaru zostawiać tu tych przedmiotów i że pomysł ten przyszedł mu do głowy pod wpływem chwili. To tylko skórzana torba, pusta, jeśli nie liczyć oprawionego w skórę szkicownika. Nigdy nie nadużyłbym jego zaufania i nie zajrzałbym do środka, ale przed wyjściem nalegał, bym to zrobił. Biedak kazał mi przysiąc, że będę chronił torbę i szkicownik. Nie dociekałem, przed kim miałbym je chronić, a gdy zapytałem, kiedy zamierza wrócić, nie odpowiedział. Jedyne spojrzał na mnie ze smutkiem, podziękował za kolację, której nie tknął, i wyszedł. Jeszcze długo czułem jego udręczoną obecność i nadal ją czuję, nawet teraz, gdy pisząc te słowa, siedzę przy dogasającym ogniu.*

Wpis był przygnębiający i Elodie niemal czuła opisaną w nim *udręczoną obecność*. Stanowił odpowiedź na pytanie, w jaki sposób James Stratton wszedł w posiadanie torby Edwarda Radcliffe'a, wciąż jednak nie było wiadomo, jak to się stało, że w ciągu sześciu lat Radcliffe poznał Strattona na tyle dobrze, by ten, dręczony własnymi demonami, pojawił się u niego w środku nocy. I dlatego właśnie jemu powierzył pieczę nad torbą i szkicownikiem. Elodie zanotowała, by przejrzeć archiwa przyjaciół i współników Strattona i zobaczyć, czy gdzieś nie pojawia się nazwisko Radcliffe.

Zastanowiła ją fraza: *naprawić, co się da*. Był to dziwny dobór słów, który sugerował, że Stratton w jakiś sposób przyczynił się do upadku malarza. Ale jak? Nie mógł dobrze znać Edwarda Radcliffe'a – ani w prywatnych zapiskach, ani dokumentach z lat 1861–1867 nie wspominał o nim ani słowem. Poza tym według Pippy i Wikipedii było powszechnie wiadomo, że Radcliffe popadł w rozpacz po śmierci narzeczonej, Frances Brown. Jej nazwisko również nie pojawiała się w zapiskach Strattona. Elodie zanotowała sobie, żeby sprawdzić, czy nie było o niej wzmianki w dokumentach jego współpracowników.

Otworzyła w komputerze nowe archiwum, wprowadziła opis torby i szkicownika, po czym dodała streszczenie listu i wpisu do dziennika oraz szczegółowy odnośnik do związanego z nim pliku.

Odchyliła się na oparcie fotela i przeciągnęła.

Miała z głowy dwa zadania, pozostało jeszcze jedno.

Niestety, ustalenie tożsamości kobiety ze zdjęcia będzie dużo trudniejsze. Elodie brakowało punktów zaczepienia. Ramka była wysokiej jakości, właściwie jak wszystko, co posiadał James Stratton. Elodie włożyła monokl powiększający i obejrzała ją w poszukiwaniu znaków probierczych. Wypisała je na skrawku papieru, choć wiedziała, że prawdopodobnie nie naprowadzą jej na to, kim była kobieta na zdjęciu i co łączyło ją z Jamesem Strattonem.

Zastanawiała się, jak fotografia trafiła do torby Radcliffe'a. Czy był to przypadek, czy znalazła się tam celowo? Podejrzewała, że kluczem do wszystkiego jest tożsamość kobiety. Oczywiście istniała możliwość, że nie była dla Strattona nikim wyjątkowym, a ramkę dziesiątki lat po jego śmierci włożyła do torby wnuczka jego brata, do której należało biurko. Choć wydawało się to mało prawdopodobne. Strój kobiety, jej poza i sceneria sugerowały, że modelka i zdjęcie byli współcześni Strattonowi. Możliwe więc, że sam schował fotografię w teczkę, którą następnie włożył do torby.

Elodie zakończyła oględziny ramki, zrobiła notatki, by uzupełnić opis – wgniecenie na górze, jak gdyby ktoś ją upuścił, delikatne zadrapania z tyłu – i przyjrzała się kobiecie. Gdy na nią patrzyła, kolejny raz przyszło jej do głowy słowo „rozświetlona”. To było coś w wyrazie jej twarzy, płynności włosów i błysku w oczach...

Uświadomiła sobie, że wpatruje się w nią, jak gdyby oczekiwała, że kobieta się wytłumaczy. Ale niezależnie od tego, jak bardzo wyteęzała wzrok, nie znalazła w jej twarzy, ubraniu, a nawet w tle niczego, co stanowiłoby jakąkolwiek podpowiedź. Choć zdjęcie sprawiało wrażenie profesjonalnego, w żadnym rogu nie było znaku pracowni, a Elodie nie była na tyle obeznana z fotografią epoki wiktoriańskiej, by wiedzieć, czy jest coś jeszcze, co mogłoby naprowadzić ją na to, gdzie i kiedy zostało zrobione. Może jednak mentorka Pippy, Caroline, będzie w stanie pomóc.

Odłożyła ramkę na biurko i rozmasowała skronie. Zdjęcie było wyzwaniem, ale nie zamierzała się poddawać. Lubiła dreszczyk emocji, jaki towarzyszył poszukiwaniu prawdy; stanowił przeciwwagę dla przyjemnego, lecz monotonnego procesu tworzenia archiwów.

– Znajdę cię – szepnęła. – Możesz być tego pewna.

– Znowu mówisz do siebie? – Margot stanęła przy biurku Elodie i zaczęła przetrząsać zawartość torby, którą miała na ramieniu. – To pierwszy symptom. – Znalazła opakowanie miętówek i wytrząsnęła dwie na wyciągniętą dłoń Elodie. – Pracujesz do późna?

Elodie zerknęła na zegar i zdumiona odkryła, że dochodzi już wpół do szóstej.

– Nie dziś.

– Alastair przyjeżdża po ciebie?

– Jest w Nowym Jorku.

– Znowu? Musisz za nim tęsknić. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby Gary nie czekał na mnie w domu.

Elodie przyznała, że tęskni za narzeczoną, na co Margot posłała jej pełen współczucia uśmiech, który po chwili przerodził się w radosne pożegnanie. Wyjęła z torby neonowe słuchawki, podłączyła je do iPhone'a i kołysząc biodrami, ruszyła na spotkanie weekendu.

Biuro pograżyło się w papierowej ciszy. Widoczna na przeciwległej ścianie smuga światła zaczynała swą codzienną wędrówkę w kierunku biurka. Elodie rozgryzła miętówkę, wydrukowała etykietkę na pudło i jak zwykle w piątek po południu zaczęła porządkować biurko, by móc rozpocząć tydzień z czystym kontem.

Nie chciała się do tego przyznawać, a już na pewno nie przed Margot, ale w głębi duszy czekała na wyjazdy Alastaira do Nowego Jorku. Oczywiście, że za nim tęskniła, lecz cieszyła się na myśl, że przez kolejne sześć nocy będzie mieszkała u siebie, spała we własnym łóżku, wśród swoich książek, że będzie mogła pić herbatę z ulubionej filiżanki, nie musząc negocjować ani się tłumaczyć.

To prawda, co mówił: jej mieszkanie było małe, a klatka schodowa cuchnęła starym olejem, podczas gdy jego elegancki apartament w Canary Wharf był przestronny, z dwoma łazienkami, zawsze ciepłą wodą i ścianami dość grubymi, by nie musieli słuchać telewizora sąsiadów. Sęk w tym, że Elodie lubiła swoje mieszkanie. Owszem, trzeba było się namęczyć, żeby odkręcić kurek w kuchennym zlewie, a kiedy włączała pralkę, prysznic ledwie ciurkał, ale było to jedno z tych miejsc, w których toczyło się prawdziwe życie prawdziwych ludzi. Zmysłne stare szafki i skrzypiące podłogi tchnęły historią, podobnie jak toaleta, do której wchodziło się po trzech obitych wykładziną schodkach.

Alastair uważał, że to urocze, że Elodie potrafi znajdować przyjemność w życiu w tak skromnych warunkach, a jednak powtarzał:

– Powinnaś mieszkać u mnie, kiedy wyjeżdżam. Nie musisz wracać do siebie.

– Kiedy lubię tu być – odpowiadała.

– Tutaj? Poważnie? – Odbyli już na ten temat co najmniej piętnaście rozmów i Alastair niezmiennie zachowywał sceptyczne spojrzenie, zwłaszcza kiedy przypominał sobie kącik, w którym Elodie ustawiła należący do ojca stary obity aksamitem fotel, i wiszącą nad nim oświetloną kolorowymi światłkami półkę pełną skarbów. Był wśród nich obraz, który dostała od pani Berry na trzydzieste urodziny, szkatułka, którą po śmierci mamy podarował jej Tip, i oprawione w ramki zdjęcia z fotobudki w wesołym miasteczku, na których ona i Pippa miały po trzynaście lat.

Alastair preferował duński styl z połowy dwudziestego wieku i wierzył, że coś, czego nie można kupić w Conran Shop, w ogóle nie nadaje się do pokazania. Zgadzał się, że mieszkanie Elodie jest „przytulne”, lecz zaraz dodawał:

– Ale po ślubie będziesz musiała się wyprowadzić. Nie możemy wstawić łóżeczka dziecięcego do łazienki.

Oczywiście niecierzenie się perspektywą zamieszkania w tak pięknym, lśniącym apartamencie granoczyło z grubiaństwem, ale Elodie nie lubiła blichtru, tak jak nie lubiła zmian. „Trudno się dziwić – stwierdziła pani psycholog, do której chodziła przez jakiś czas po tym, jak przeprowadziła się do Oksfordu. – Straciłaś matkę. To jedna z najbardziej znaczących i przerażających zmian, jakich może doświadczyć dziecko”. Takie zmiany, jak poinformowała Elodie doktor Judith Davies („Mów mi Jude”) po trzech miesiącach cotygodniowych wizyt w ciepłym frontowym pokoju jej edwardiańskiego domu, odbijają się na psychice człowieka.

– To znaczy, że będą miały wpływ na każdą moją decyzję? – spytała Elodie.

– Tak.

– Już zawsze?

– Prawdopodobnie tak.

Niedługo potem przestała spotykać się z doktor Davies („Jude”). Nie widziała sensu, choć brakowało jej dzbanka z herbatą miętowo-cytrusową, który na początku każdej sesji pojawiał się na porysowanym drewnianym stoliku.

Pani doktor miała rację: Elodie nie radziła sobie ze zmianami. Myśl o obcych ludziach panoszących się w jej mieszkaniu, wieszających swoje zdjęcia na haczykach, które własnoręcznie wbiła w ściany, ustawiających filiżanki na parapecie, na którym hodowała zioła, i cieszących się widokiem z okna, napawała ją takim samym lękiem, jaki czuła czasami na wakacjach, gdy budziła się w zupełnie nowym miejscu kompletnie zagubiona.

Nie miała serca, by poinformować o przeprowadzce właścicielkę mieszkania. Pani Berry miała osiemdziesiąt cztery lata i dorastała w domu w Barnes, który wtedy był jeszcze domem rodzinnym, a nie dwoma piętrami i poddaszem nad smażalnią ryb. Teraz zajmowała mieszkanie z wyjściem do ogrodu za smażalnią. „Kiedyś mieścił się tu salonik mojej mamy – lubiła wspominać po kieliszeczku lub dwóch ulubionego sherry. – Była taką damą, taką piękną damą. To znaczy nie pochodziła z arystokratycznej rodziny, co to, to nie, ale taką miała naturę”. Kiedy pani Berry wracała do przeszłości, w jej

oczach pojawiał się błysk i robiła się mniej ostrożna w grze w karty. „Co jest atutem? – pytała na początku każdego rozdania. – Piki? Czy trefle?”

Elodie będzie musiała odwołać wieczorną partyjkę. Obiecała Penelope, że do poniedziałku sporządzi listę nagrań i wybierze materiały wideo. Teraz, kiedy była na fali, nie mogła pozwolić, by cokolwiek ją rozpraszało.

Wyłączyła komputer, zamknęła pióro i położyła je nad notatnikiem. Biurko było czyste, jeśli nie liczyć torby, szkicownika i oprawionej w ramkę fotografii. Podczas gdy torba i szkicownik mogły trafić już do nowego pudła, a w nim do magazynu, fotografię czekał kolejny weekend pośród artykułów biurowych w środku niedawno odnalezionego pudła.

Zanim schowała fotografię, zrobiła zdjęcie telefonem, tak jak wcześniej Pippa. Będzie go potrzebowała, żeby zastanowić się nad suknią. Nie zaszkodzi też, jeśli porówna ją z welonem.

Po chwili zastanowienia sfotografowała też szkic domu. Nie dlatego, że nadal wierzyła, że jest w nim coś magicznego i że to dom z baśni, którą opowiadała jej mama. Zrobiła to, bo podobał się jej rysunek. Był piękny i sprawiał, że czuła więź z matką i szczęśliwą częścią swojego dzieciństwa.

Na koniec włożyła torbę i szkicownik do nowego pudła z nalepioną na nim wydrukowaną wcześniej etykietką i wychodząc, zaniósła je do magazynu.

### III

Pani Mack mawiała, że budżet biedaka jest pełen planów. Powtarzała to za każdym razem, gdy chciała, by jedno z nas dopuściło się kolejnego oszustwa; my, dzieci, które żyłyśmy jak szczury w korytarzach między maleńkimi pokoikami nad sklepem z ptakami przy Little White Lion Street.

Ostatnio wiele myślałam o pani Mack. O Martinie, Lily i Kapitanie. A nawet o Bładym Joe, pierwszej osobie, którą naprawdę pokochałam. (Drugiej, jeśli wezmę pod uwagę ojca, choć z miłością do niego różnie bywało).

Pani Mack była dość miła na swój sposób. Znaczyło to, że miała ciężką rękę dla tych, którzy się jej narazili, i język tak ostry, że smagał niczym bicz, ale była sprawiedliwsza od większości ludzi. Na swój sposób. Była dla mnie dobra – przygarnęła mnie, kiedy byłam w rozpaczliwej sytuacji, wierzę nawet, że mnie kochała. W końcu ją zdradziłam, ale dopiero wtedy, gdy musiałam.

Po tej stronie jest inaczej. Ludzie są kustoszami. Każdy pielęgnuje swoje ulubione wspomnienia, ustawiając je w takim porządku, by tworzyły zadowalającą narrację. Niektóre wydarzenia są naprawione i wygładzone, by można było się nimi pochwalić; inne, uznane za niegodne, są odsuwane na bok i składowane w przepelnionych magazynach ludzkich umysłów. Tam, przy odrobinie szczęścia, szybko popadają w zapomnienie. Nie jest to proces nieuczciwy, tylko tak bowiem ludzie są w stanie wytrzymać sami ze sobą i brzemieniem własnych doświadczeń.

Ale tutaj jest inaczej.

Pamiętam wszystko, a wspomnienia tworzą rozmaite obrazy w zależności od tego, w jakiej kolejności spadają.

Czas płynie inaczej, kiedy jestem sama w domu; nie wiem, jak odmierzać lata. Mam świadomość, że słońce wciąż wschodzi i zachodzi, a nocami jego



miejsce zajmuje księżyc, ale nie czuję upływu czasu. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość nie mają znaczenia – jestem poza czasem. Tutaj i tam, tam i tu, jednocześnie.

Mój gość jest już ze mną od pięciu dni. Byłam zaskoczona, gdy się pojawił ze swoją poobijaną walizką i zarzuconą na ramię brązową torbą, która przywodzi na myśl torbę Edwarda, tym bardziej że tamtej nocy drzwi do domu były zamknięte. Już dawno nikt nie został tu na noc. Odkąd Stowarzyszenie Historyków Sztuki otworzyło dom dla zwiedzających, widuję jedynie weekendowych wycieczkowiczów w praktycznych butach i z przewodnikami w dłoniach.

Ludzie ze stowarzyszenia zakwaterowali młodzieńca w pokojach dawnej słodowni, części zamkniętego terenu, w którym przez krótki czas mieszkał dozorca i do której zwiedzający Nie Mają Wstępu. Nie mógłby zamieszkać w domu, ponieważ przekształcono go w muzeum. Zabytkowe meble – większość pochodzi z kolekcji Edwarda, który kupił je razem z domem – zostały poprzestawiane tak, by zrobić miejsce dla turystów, którzy kręcą się tu w weekendy. Na fotelach położono związane aksamitnymi kokardkami bukietki lawendy, by nikt nie próbował na nich usiąść.

W sobotnie ranki, tuż przed tym, nim mój zegar wybije dziesiątą, w domu pojawia się grupa ochotników, którzy rozchodzą się po pokojach. Na szybach mają plakietki z napisem *Przewodnik* i ich zadaniem jest przypominać ludziom, żeby Nie Dotykali! Znają prawdziwe po części historyczne anegdoty, gdy więc złowią wzrok któregoś z turystów, mogą omotać go swoimi opowieściami.

Jedna z nich, niejaka Mildred Manning, lubi siadać na prostym krześle u szczytu schodów prowadzących na poddasze i obnażać zęby w upiornej parodii uśmiechu. Nic nie sprawia jej większej radości niż przyłapywanie nieświadomego gościa, kiedy ten odkłada broszurkę na stojący obok niej stolik. Owo naruszenie daje jej zasłużoną okazję do tego, by przypomnieć, że „na meblach Edwarda Radcliffe’a nie można kłaść absolutnie niczego”.

Edward znienawidziłby ją. Nie znosił fanatycznej troski o „rzeczy”. Wierzył, że pięknymi przedmiotami należy się cieszyć, a nie je czcić. Dlatego z myślą o nim, gdy zbliża się jesień, spędzam popołudnia uwieszona ramion

Mildred. A gdy jestem blisko, nawet najwięcej warstw ubrań nie jest w stanie zapewnić człowiekowi ciepła.

\*

Zrobiłam wstępne rozeznanie: mój gość ma blond włosy o szarym odcieniu i skórę brązową od słońca. Jego dłonie są zniszczone, ale zręczne. Nie przypominają pięknych dłoni malarza. To dłonie człowieka wiedzącego, jak posługiwać się narzędziami, które zabiera ze sobą, gdy codziennie wychodzi z domu.

Odkąd się pojawił, jest bardzo zajęty. Budzi się wcześnie, przed wschodem słońca, i choć nie jest z tego powodu zadowolony – stęka i mrużąc oczy, spogląda na telefon, który przez cały czas trzyma przy łóżku – decyduje się wstać, zamiast trochę poleniuchować. Szybko i byle jak zaparza filiżankę herbaty, bierze prysznic i ubiera się, zawsze w te same stroje: koszulkę i sprane niebieskie dżinsy, które wieczorem wiesza na oparciu stojącego w rogu giętego krzesła.

Czymkolwiek się zajmuje, wymaga to od niego wpatrywania się w mapę gruntów należących do posiadłości i odręcznie napisane notatki. Zaczęłam stawać w pewnej odległości za jego plecami i próbuję odkryć, o co mu chodzi. Ale wszystko na nic. Pismo jest zbyt drobne i niewyraźne, bym mogła je odczytać, a nie mam odwagi podejść bliżej. Znamy się zbyt krótko, bym wiedziała, jak bardzo mogę się zbliżyć. Potrafię być męczącą towarzyszką, a nie chcę go wystraszyć.

Na razie.

Więc czekam.

Przynajmniej wiem, co trzyma w tej swojej brązowej torbie – wczoraj ją rozpakował. To aparat. Prawdziwy aparat, jaki rozpoznałby Felix, gdyby nagle zmaterializował się tu i teraz.

Rzeczą, której Felix na pewno by nie pojął, jest sposób, w jaki mój gość podłącza aparat do komputera, tak że wszystkie zdjęcia pojawiają się na ekranie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nie korzysta już z ciemni ani roztworów z ich gryzącym zapachem.

Ubiegłej nocy patrzyłam, jak przegląda fotografię za fotografią. Na większości były cmentarz i nagrobki. Nie znałam ich, ale i tak patrzyłam jak urzeczona. To był pierwszy raz od wielu lat, kiedy mogłam „opuścić” to miejsce.

Po tym, jak zobaczyłam jego fotografie, próbuję zgadnąć, po co właściwie tu przyjechał.

Wciąż jednak pozostaje to dla mnie zagadką.

Teraz go nie ma, zniknął po śniadaniu. Ale ja jestem cierpliwa, znacznie bardziej cierpliwa niż kiedyś.

Wyglądam przez okno na schodach i patrzę ponad kasztanowcem w kierunku swojej starej przyjaciółki Tamizy. Nie sędzę, by mój młodzieniec wrócił tą drogą: w przeciwieństwie do innych, którzy przed nim pojawiali się w Birchwood, on nie przepada za rzeką. Czasami przygląda się jej, tak jak niektórzy przyglądają się obrazom, ale zawsze z daleka i chyba nigdy nie z radością. Na razie nie pływał jeszcze łódką.

Nie, przyglądając się rzece, robię to dla siebie. Tamiza płynęła przez moje życie, tak jak krew przepływa przez ciało. Teraz mogę dojść jedynie do ściany stodoły na północy, do potoku Hafodsted na zachodzie, sadu na wschodzie i klonu palmowego na południu. Przez lata próbowałam dotrzeć nieco dalej. Niestety, nie udało mi się. Zawsze gdy znajduję na to odwagę, czuję, jakby niewidzialna kotwica trzymała mnie w miejscu. Nie znam się na fizyce; wiem tylko, że tak jest.

Mój gość nie jest tak młody, jak mi się zdawało. Jest umięśniony i zdolny, emanuje pulsującą fizycznością zwierzęcia zaganianego do zagrody wbrew własnej woli, ale coś wyraźnie mu ciąży. Ciężkie doświadczenia zmieniają człowieka: mój ojciec postarzał się o dziesięć lat po śmierci mamy, kiedy właściciel zaczął dobijać się do naszych drzwi i prowadzili rozmowy, które z czasem stały się coraz bardziej nerwowe, aż w końcu, w pewien ponury zimowy dzień, właściciel oświadczył, że miał dotąd anielską cierpliwość, że nie jest instytucją charytatywną i czas, by ojciec poszukał nowej posady.

Mojego gościa trapią jednak inne problemy. W zniszczonym skórzanym portfelu nosi fotografię. Widziałam, jak wyciąga ją późną nocą i przygląda się jej z uwagą. To zdjęcie dwójki małych dzieci, niewiele większych od

niemowląt. Jedno z nich uśmiecha się promiennie do obiektywu, drugie jest bardziej powściągliwe.

Sposób, w jaki marszcząc brwi, spogląda na fotografię – jak wodzi kciukami po papierze, jakby wierzył, że dzięki temu powiększy ją i zobaczy więcej szczegółów – utwierdza mnie w przekonaniu, że to jego dzieci.

Wczoraj wieczorem zadzwonił ze swojego telefonu do kogoś o imieniu Sarah. Ma ciepły głos i był miły, lecz widziałam, że walczy sam ze sobą, bo nerwowo ścisnął długopis i co chwila zatapiał palce we włosach.

Mówił: „Ale to było dawno temu”, „Zobaczysz, że się zmieniłem” i „Chyba zasługuję na drugą szansę?”.

Przez cały czas spoglądał na zdjęcie, nerwowo skubiąc palcami lewy górny róg.

To przez tę rozmowę zaczęłam myśleć o ojcu. Bo przed panią Mack i Kapitanem to zawsze on szukał swojej drugiej szansy. Z zawodu był zegarmistrzem, wytrawnym rzemieślnikiem; umiejętności ojca nie miały sobie równych, a z jego usług korzystali właściciele najbardziej misternych czasomierzy. „Każdy zegar jest wyjątkowy – powtarzał. – I tak jak twarz u człowieka, tarcza zegara, niezależnie od tego, czy jest ładna, czy nie, stanowi tylko maskę, za którą skrywa się mechanizm”.

Czasami mu towarzyszyłam. Nazywał mnie swoją pomocnicą, ale tak naprawdę wcale mu nie pomagałam. Kiedy prowadzono go do biblioteki albo gabinetu, ja zawsze w towarzystwie sumiennej pokojówki schodziłam do jednej z przestronnych kuchni, w których toczyło się prawdziwe życie okazałych angielskich domów. Każdą dowodziła pulchna kucharka, dwojąca się i trojąca, czerwona na twarzy z czołem mokrym od potu, dbająca o to, by w spiżarni nie zabrakło słodkiego dżemu z kawałkami owoców i świeżych bochenków chleba.

Ojciec mawiał, że moja matka dorastała w takim właśnie domu. Podobno gdy przyjechał naprawić zegar jej ojca, siedziała w oknie na piętrze. Ich oczy się spotkały, zakochali się w sobie i potem już nic nie było w stanie ich rozdzielić. Jej rodzice próbowali na wszelkie sposoby, młodsza siostra błagała ją, by została, ale moja matka była młoda, krnąbrna i rozpieszczona. No i uciekła. Dzieci z natury rozumieją wszystko dosłownie, kiedy więc

usłyszałam tę opowieść, wyobraziłam sobie mamę, jak biegnie ile sił w nogach; widziałam powiewające za nią satynowe halki, kiedy uciekała z wielkiego zamku, zostawiając za sobą ukochaną siostrę i oszalałych ze zgrozy apodyktycznych rodziców.

Wierzyłam w to.

Historie opowiadał mi tata, nie miałam bowiem okazji poznać mamy. Umarła, kiedy miałam cztery lata, dwa dni przed jej dwudziestymi pierwszymi urodzinami. Zabiły ją suchoty, choć ojciec przykazał koronerowi, by na akcie zgonu napisał bronchit, bo jego zdaniem brzmiało to bardziej wytwornie. Niepotrzebnie się przejmował: poślubiwszy mojego ojca i porzuciwszy łono utytułowanej rodziny, matka dołączyła do grona zwykłych śmiertelników, na których historia nie zważa.

Ojciec zachował jej portret, mały szkic, który trzymał zamknięty w złotym medalionie i który był dla mnie bardzo cenny. Przynajmniej do czasu, gdy musieliśmy zamieszkać w dwóch pokojach, po których hulały przeciągi, w nędznej uliczce we wschodnim Londynie, gdzie wiecznie czuliśmy zapach Tamizy, a krzyki mew i żeglarzy mieszały się ze sobą w nieustającą pieśń. To tam medalion zniknął w dłoniach handlarza starzyzną. Nie wiem, co się stało ze szkicem. Wpadł w szczeliny czasu i trafił do miejsca pełnego zagubionych rzeczy.

\*

Ojciec nazywał mnie Birdie, mówił, że jestem jego małą ptaszyną. Powtarzał, że moje prawdziwe imię jest piękne, ale pasuje do dorosłej damy, że to imię, które nosi długie suknie i piękne jedwabie, ale nie ma skrzydeł, żeby wzbić się w powietrze.

– Myślisz, że chcę mieć skrzydlate imię? – spytałam go.

– Owszem, tak myślę.

– Więc dlaczego daliście mi takie, które nie ma skrzydeł?

Wówczas robił się poważny, jak zawsze, gdy rozmowa schodziła na jej temat.

– Dostałaś imię po ojcu twojej mamy. Bardzo chciała, żebyś miała coś, co będzie związane z jej rodziną.

– Chociaż oni nie chcieli mnie znać?

– Tak – odparł z uśmiechem i zmierzwił mi włosy, co zawsze dodawało mi pewności siebie. Zupełnie jakby w obliczu jego miłości żadna strata nie miała znaczenia.

Warsztat ojca był miejscem pełnym cudów. Duży, wysoki stół pod oknem przywodził na myśl morze sprężyn i nitów, podziałek i drucików, dzwonek, wahadeł i uroczych wskazówek. Zakradałam się tam przez otwarte drzwi, klękałam na drewnianym stołku i oglądałam to wszystko, podczas gdy ojciec pracował. Obracałam w dłoniach dziwaczne mądre mechanizmy, czubkami palców naciskałam maleńkie kruche części i podnosiłam do słońca metalowe drobinki, aż zaczynały lśnić. Zadawałam pytanie za pytaniem, a on odpowiadał, patrząc na mnie znad okularów, ale kazał mi obiecać, że nie pisnę nikomu ani słowa o tym, co tutaj widziałam. Albowiem mój ojciec nie tylko naprawiał zegary, lecz także pracował nad własnym wynalazkiem.

Jego Wielkim Projektem było stworzenie Tajemniczego Zegara, którego budowa wymagała wielu godzin spędzonych przy stole warsztatowym, częstych dyskretnych wizyt w urzędzie, w którym przyjmowano i wydawano patenty na wynalazki. Ojciec mówił, że dzięki Tajemniczemu Zegarowi, gdy go udoskonali, będziemy bogaci – jaki bowiem zamożny człowiek nie chciałby zegara, którego wahadło będzie się poruszać bez nakręcania czy nastawiania?

Słuchałam go i kiwałam głową – tego wymagała powaga jego słów – lecz w równym stopniu imponowały mi zwyczajne zegary, wiszące na ścianach warsztatu od podłogi aż po sufit. Ich serca biły, a wahadła kołysały się w ciągłej delikatnej dysharmonii. Po tym jak pokazał mi, jak je nakręcać, stawałam na środku pomieszczenia i patrzyłam na ich jakże rozmaite tarcze, podczas gdy one tykały do mnie zgodnie.

– Ale który wskazuje dokładny czas? – pytałam.

– Ach, Birdie... Powinnaś raczej zapytać: który go nie wskazuje?

Wyjaśnił mi, że nie ma czegoś takiego jak dokładny czas. Czas to pojęcie: nie ma początku ani końca, nie można go zobaczyć, usłyszeć ani poczuć. Rzecz

jasna można go zmierzyć, ale nie wymyślono słów, które dokładnie opisałyby, czym jest czas. A co do „dokładności” czasu, jest to kwestia umowna.

– Pamiętasz kobietę na peronie? – spytał.

Odparłam, że tak. Pewnego ranka, kiedy naprawiał duży zegar na stacji kolejowej na zachód od Londynu, a ja się bawiłam, zobaczyłam mniejszą wersję zegara wiszącą na ścianie przy kasie biletowej. Przerwałam zabawę i patrzyłam to na jedną, to na drugą tarczę. Nagle podeszła do mnie kobieta.

– Ten tutaj wskazuje dokładny czas – powiedziała, celując palcem w mniejszy zegar. – A tamten – z marsową miną spojrzała na zegar, który ojciec właśnie kończył nakręcać – czas londyński.

Tak oto dowiedziałam się, że choć nie mogę być w dwóch miejscach jednocześnie, z całą pewnością mogę być w jednym miejscu w dwóch czasach.

Niedługo potem ojciec zaproponował, byśmy pojechali do Greenwich, „domu południka”.

„Południk Greenwich”. Nowe słowa rozbrzmiewały mi w uszach niczym zaklęcie.

– To linia, od której zaczyna się czas – ciągnął. – Od bieguna północnego do południowego dzieli ziemię na pół.

Jego słowa do tego stopnia rozbudziły moją dziecięcą wyobraźnię, że rzeczywistość musiała mnie rozczarować.

Gdy dotarliśmy do celu naszej wycieczki, zobaczyłam zadbane trawnik okazałego kamiennego pałacu, gdzie na próżno szukałam wielkiego, poszarpanego rozdarcia na powierzchni ziemi, które sobie wyobrażałam.

– Oto i ona... – Ojciec wskazał wyciągniętą ręką. – Dokładnie przed tobą, prosta linia. Zerowy stopień długości geograficznej.

– Ale ja nic nie widzę. Tylko... trawę.

Roześmiał się, zmierzwił mi włosy i zapytał, czy zamiast tego nie wolałabym popatrzeć przez teleskop w Królewskim Obserwatorium.

Zanim umarła mama, kilka razy płynęliśmy rzeką do Greenwich i siedząc w łódce, ojciec uczył mnie czytać – słowa w książkach, pływy w rzece i miny ludzi, z którymi podróżowaliśmy.

Pokazał mi, jak odczytywać czas z pomocą słońca. Ludzi od zawsze fascynowała ta wisząca na niebie wielka gorąca kula. „Nie tylko dlatego, że

daje nam ciepło – mawiał. – Ale też dlatego, że daje nam światło. Coś, czego nasze dusze pragną najbardziej”.

Światło. Zaczęłam obserwować je na wiosennych drzewach, zauważać, jak sprawia, że młode listki robią się półprzezroczyste. Patrzyłam, jak kładzie cienie na ścianach, rozrzuca gwiazdny pył na powierzchni wody; jak tańczy na ziemi, przeświecając między prętami w ogrodzeniach z kutego żelaza. Chciałam go dotknąć, tego cudownego narzędzia. Pochwycić je opuszkami palców, tak jak robiłam to z maleńkimi przedmiotami na stole warsztatowym ojca.

Pochwycenie światła stało się moją misją. Znalazłam pustą małą puszkę z wieczkiem na zawiasach i zrobiłam w niej gwoździem kilka małych dziurek. Wyszłam z nią na dwór, usiadłam w najbardziej nasłonecznionym miejscu, jakie udało mi się znaleźć, i czekałam, aż zrobi się tak gorąca, że zacznie mnie parzyć w dłonie. Lecz kiedy ją otworzyłam, w środku nie czekał na mnie żaden uwięziony promyk. Tylko pusta zardzewiała stara puszka.

\*

Pani Mack mawiała, że czarne chmury lubią nadciągać stadami. Nie była to uwaga na temat pogody – choć potrzebowałam czasu, żeby to zrozumieć – lecz spostrzeżenie dotyczące nieszczęść, które jej zdaniem zawsze chodzą parami.

Po śmierci mamy stada chmur nadciągnęły nad głowę taty i moją.

Po pierwsze, to był koniec naszych wycieczek do Greenwich.

Po drugie, znacznie częściej widywaliśmy Jeremiaha.

Można powiedzieć, że Jeremiah był przyjacielem ojca; obaj dorastali w tej samej wsi. Kiedy mama żyła, odwiedzał nas czasami i bywało, że tata zabierał go jako ucznia na naprawy dużych zegarów na stacjach kolejowych. Instynkt dziecka podpowiadał mi jednak, że Jeremiah był źródłem napięć między rodzicami. Pamiętam, jak ojciec, próbując uspokoić mamę, mówił pojednawczo: „Stara się wykorzystać, jak może, to, co dał mu Pan Bóg” albo „On chce dobrze” i przypominał jej, że choć Jeremiah niewiele dostał od życia, jest „naprawdę dobrym i bardzo przedsiębiorczym człowiekiem”.



To drugie niewątpliwie było prawdą: Jeremiah wykorzystywał każdą nadarzącą się okazję. Był handlarzem starzyzną, garbarzem, a swego czasu uwierzył, że dorobi się jako domokrążca sprzedający pastylki do ssania Steel's Aromatic.

Po śmierci mamy, gdy ojciec powoli staczał się w mroczne odmęty smutku, Jeremiah zaczął zabierać go na długie popołudniowe spacery, a gdy wracali po zmroku, ojciec na pół śpiący wisiał uczepiony ramienia przyjaciela. W takie dni Jeremiah spał na kanapie w naszym salonie, żeby następnego dnia służyć nam „pomocą”.

Ojciec miał coraz więcej wolnego czasu. Zaczęły drżeć mu ręce i nie potrafił się skupić. Otrzymywał coraz mniej zleceń, przez co stał się zgorzkniały. Tymczasem Jeremiah zawsze był w pobliżu, by podtrzymać go na duchu. Przekonał ojca, że i tak traci czas na naprawy, że powinien pracować nad udoskonaleniem Tajemniczego Zegara, bo to w nim jest jego przyszłość, i że oni dwaj – z Jeremiahem jako jego agentem – odniosą sukces.

Kiedy właściciel mieszkania stracił resztki cierpliwości, to Jeremiah poprzez swoje kontakty pomógł ojcu znaleźć pokoje w budynku przycupniętym w cieniu wieży kościoła Świętej Anny. Wydawało się, że zna mnóstwo ludzi, a przy tym był człowiekiem, który lubił zabierać głos i zawsze miał do załatwienia „jakiś interes”. To Jeremiah nadzorował sprzedaż patentów mojego ojca i to on powiedział mi, żebym się nie martwiła, kiedy komornik zaczął dobijać się do drzwi, krzycząc, że ojciec jest winien pieniądze. Twierdził, że zna człowieka, który prowadzi szulernię w Limehouse, i że przy odrobinie szczęścia tata znów stanie na nogi.

A gdy ojciec zaczął spędzać każdą noc w pubie przy Narrow Street i wracał o świcie w oparach tytoniu i whisky tylko po to, by zasnąć przy pustym stole z fajką w ustach – kiedy sprzedał ostatnie zębatki i nity, żeby spłacić karciane długi – Jeremiah pokręcił ze smutkiem głową i oświadczył: „Twój staruszek nie ma szczęścia. Nigdy nie spotkałem większego pechowca”.

\*

Komornik nie przestawał walić do drzwi, lecz ojciec go ignorował. Zaczął obsesyjnie mówić o Ameryce. W jego sytuacji pomysł ten wydawał się jak najbardziej rozsądny. Moglibyśmy zostawić za sobą smutek i złe wspomnienia i zacząć od początku w zupełnie nowym miejscu. „Mają tam ziemię, Birdie – mawiał – i słońce na wyciągnięcie ręki. Czyste rzeki i ziemię, którą można przekopywać bez obaw, że człowiek natknie się na kości”. Sprzedał ostatnią sukienkę mamy, które przechowywał dla mnie, i kupił dla nas bilety na statek płynący do Ameryki. Spakowaliśmy nasz skromny dobytek do jednej małej walizki.

Tydzień, w którym mieliśmy wypłynąć, był zimny. Spadł pierwszy tego roku śnieg, a ojciec upierał się, że przydadzą się nam każde pieniądze. Codziennie przychodziliśmy na nabrzeże, gdzie niedawno wywrócił się statek zaopatrzeniowy, i szukaliśmy zagrzebanych w błocie skarbów, które czekały na najwytrwalszych. Pracowaliśmy godzinami od rana do wieczora, w deszczu, deszczu ze śniegiem i śniegu.

Grzebanie w błocie było męczące i pewnego wieczoru byłam całkowicie wyczerpana. Przemoczona do suchej nitki padłam na materac i nie byłam w stanie się podnieść. Nagle poczułam zawroty głowy i ból, kości wydawały mi się zimne i ciężkie. Szczękałam zębami, choć czoło miałam rozpalone, a świat wokół mnie pociemniał, jakby ktoś opuścił niewidzialną kurtynę.

Czułam się zagubiona niczym mała drewniana łódeczka na wzburzonym morzu. Czasami słyszałam głosy ojca i Jeremiaha, strzępy rozmów pośród barwnych obrazów, które podsuwała mi wyobraźnia.

Majaki sprawiały, że widziałam w pokoju cienie i powykrzywiane potwory; wpełzały ze ścian, wybałuszały oczy i wyciągały szponiaste łapy, szarpiąc moją kołdrę. Rzuciałam się i wierciłam w mokrej pościeli, próbując uchylić się przed ich dotykiem, i szeptałam zaklęcia, które, nie wiedzieć czemu, nagle wydały mi się ważne.

Słowa przeszywały moje urojenia niczym rozżarzone do czerwoności igły, znajome słowa, takie jak „medyk”... „gorączka”... „Ameryka”... które niegdyś miały jakieś znaczenie.

I wtedy usłyszałam głos Jeremiaha:

– Musisz płynąć. Komornik wróci. Już zapowiedział, że tym razem wsadzi cię do więzienia albo zrobi coś gorszego.

– Ale moje dziecko, moja Birdie... nie może podróżować w takim stanie.

– Zostaw ją. Sprowadzisz ją, kiedy się urządzisz. Znam ludzi, którzy zaopiekują się nią za niewielką opłatą.

Moje płuca, moje gardło i umysł płonęły, gdy próbowałam krzyknąć „Nie!”. Nie wiem jednak, czy zdołałam cokolwiek wykrztusić.

– Ma tylko mnie – rzekł ojciec.

– Tym gorzej, jeśli sędzia uzna, że powinieneś za długi zapłacić życiem.

Chciałam krzyczeć, wyciągnąć rękę i chwycić ojca. Uczepić się go i przyłgnąć do niego tak, by nikt nigdy nas nie rozdzielił. Na próżno. Potwory znowu ściągnęły mnie w mrok i przestałam cokolwiek słyszeć. Dzień zmienił się w noc, a moja drewniana łódeczka kolejny raz wypłynęła na wzburzone wody...

To wszystko, co pamiętam.

Kiedy się ocknęłam, był ranek. Słońce kłuło mnie w oczy i pierwsze, co usłyszałam, to śpiew ptaków za oknem. Ale nie były to ptaki, które tutaj, w posiadłości Birchwood, trelami witają każdy nowy dzień, ani te, które wily gniazda pod parapetem w naszym małym domku w Fulham. To była ptasia kakofonia, setki ptaków krakały i ćwierkały w nieznanym mi językach.

Gdzieś w pobliżu rozbrzmiał dźwięk dzwonu; od razu rozpoznałam w nim dzwon kościoła Świętej Anny, ale on również brzmiał jakoś inaczej, niż go zapamiętałam.

Byłam rozbitkiem wyrzuconym przez morze na obcy brzeg.

Chwilę później usłyszałam obcy kobiecy głos.

– Budzi się.

– Tatuś – próbowałam powiedzieć, lecz gardło miałam wyschnięte i z ust dobył się świszczący szept.

– Ćśśś... już dobrze – uspokajała mnie kobieta. – Już dobrze. Pani Mack jest przy tobie. Wszystko będzie dobrze.

Uchyliłam powieki i zobaczyłam unoszącą się nade mną potężną postać.

Za nią, na stole przy oknie, dostrzegłam swoją małą walizeczkę. Ktoś ją otworzył, wyciągnął moje ubrania i poskładane w staranną kupkę ułożył

obok.

– Kim pani jest? – wykrztusiłam.

– Nazywam się Mack, ten tu to Martin, a tam stoi Kapitan. – W jej głosie pobrzmiwało radosne zniecierpliwienie.

Rozejrzałam się po pokoju, omiatając wzrokiem obce wnętrza i wskazywanych przez nią dziwnych ludzi.

– A tatuś? – Rozplakałam się.

– Ćśśś. Boże, dziecko, nie ma potrzeby się mazgać. Dobrze wiesz, że twój ojciec popłynął do Ameryki i ściągnie cię, kiedy będzie gotowy. Tymczasem poprosił panią Mack, żeby się tobą zaopiekowała.

– Gdzie ja jestem?

Kobieta się roześmiała.

– Jak to, gdzie jesteś, dziecińko? W domu! A teraz przestań się krzywić, bo zostanie ci taka buzia.

\*

I tak oto narodziłam się dwukrotnie.

Pierwszy raz w małym pokoiku w naszym rodzinnym domu w Fulham, pewnej rześkiej, letniej nocy, kiedy księżyc był w pełni, gwiazdy świeciły jasno, a rzeka wiła się pod oknem niczym srebrzysty wąż.

I drugi raz, kiedy miałam siedem lat, w domu pani Mack, nad sklepem, w którym sprzedawano ptaki i klatki, w części Covent Garden znanej jako Seven Dials.

# ROZDZIAŁ SZÓSTY

## *Lato 2017*

Kiedy Elodie wróciła do domu, zastała panią Berry pośród malw i ostróżek. Drzwi do ogrodu na końcu korytarza były otwarte na oścież i Elodie widziała staruszkę z uwagą przyglądającą się kwiatom. Nigdy nie przestało jej zadziwiać, jak ktoś, kto grając w karty, potrzebuje okularów ze szklami niczym denka od butelek, żeby odróżnić karo od kierów, bez trudu dostrzega pędraki na liściach.

Zamiast umknąć na górę, Elodie ruszyła w głąb korytarza, minęła należący do pani Berry zegar szafkowy – który nadal cierpliwie i cicho odmierzał czas – i zatrzymała się w drzwiach.

– Wygrywa pani? – zapytała.

– Dranie – odparła staruszka, zdejmując z liścia tłustą zieloną gąsienicę i podstawiając ją Elodie pod nos. – Podstępne małe diabły, a do tego łakome. Potwornie łakome. – Wrzuciła gąsienicę do starego słoika, gdzie dołączyła do swoich towarzyszek. – Napijesz się czegoś?

– Chętnie. – Elodie położyła torbę na betonowym stopniu i weszła do ogrodu. Zamieni ze starszą panią kilka słów i zabierze się do przeglądania nagrań.

Pani Berry postawiła słoik na stojącym pod jabłonią eleganckim stoliku z kutego żelaza i zniknęła w kuchni. Jak na osiemdziesięcioletką była zdumiewająco dziarska, co – jak twierdziła – zawdzięczała temu, że nigdy nie zrobiła prawa jazdy. „Piekielne smrodzące maszyny. A jakie są drogie! Straszne. Lepiej chodzić piechotą”.

Chwilę później wyszła, niosąc na tacy dzbanek musującego napoju o pomarańczowej barwie. Rok temu razem z grupą z zajęć plastycznych pojechała na wycieczkę do Toskanii, gdzie odkryła w sobie zamiłowanie do Aperol Spritz. Nalała im obu pełne szklanki i przesunęła jedną w stronę Elodie.

– *Salute!*

– Na zdrowie.

– Odesłałam dziś potwierdzenie zaproszenia – oznajmiła pani Berry.

– Cudownie. To znaczy, że chociaż jeden z moich gości pojawi się w kościele.

– I zastanawiałam się nad swoim czytaniem. Znalazłam piękny fragment wiersza Rossetti<sup>2</sup>. Jest jak skrawek tkaniny Morrisa<sup>3</sup>, pełen pawi, owoców i spokojnych mórz...

– Brzmi bosko.

– Ale trywialnie. Zbyt trywialnie jak dla ciebie. Wolę Tennysona. *Gdybym kochany był tak, jak tego pragnę, nie znalazłbym lęku przed wielką kulą Ziemi, ni pasmem zła, które życiem zowią – gdybym miał miłość twoją*<sup>4</sup>. – Położyła na piersi drobną dłoń i uśmiechnęła się błogo. – Och, Elodie, jakaż to prawda! Jaka wolność! Jaka radość! Uwolnić się od lęków życia, wiedząc, że istnieje coś takiego jak miłość.

Elodie przyłapała się na tym, że kiwa głową z równym entuzjazmem.

– To piękne – powiedziała.

– Prawda?

– Nie wiem tylko, co matka Alastaira pomyśli o wierszu, który opisuje życie jako pasmo nieszczęść między śmiercią i narodzinami...

– Phi! A co ona ma do tego?

– Hm... pewnie nic.

– Zresztą nie o to w tym wierszu chodzi. Jest o tym, że bez względu na to, jak wiele zła i nieszczęść może nas spotkać w życiu, człowiek kochany czuje się chroniony.

– Myśli pani, że to prawda?

Pani Berry się uśmiechnęła.

– Mówiłam ci kiedyś, jak poznałam męża?

Elodie pokręciła głową. Pan Berry zmarł, zanim wprowadziła się na poddasze. Widziała jednak zdjęcia, całe mnóstwo zdjęć rozpromienionego mężczyzny w okularach, z wianuszkami siwych włosów na niemal łysej głowie. W mieszkaniu starszej pani było ich pełno: wisiały na ścianach i stały na kredensach.

– Byliśmy dziećmi. Wtedy nazywał się Bernstein. Na początku drugiej wojny światowej przyjechał do Anglii w pociągu z Niemiec w ramach akcji ratunkowej Kindertransport. Moi rodzice zgłosili się jako przybrani rodzice i w czerwcu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku Tomas trafił do nas. Jak dziś pamiętam tamtą noc: otworzyliśmy drzwi, a on stał na progu, samiuteńki jak palec, z nóżkami jak patyczki i poobijaną walizką w ręce. Śmieszny maluch. Włosy i oczy miał czarne i ani w ząb nie mówił po angielsku. A jaki był grzeczny. Usiadł przy stole, bez słowa przełknął kapustę kiszoną mojej mamy, a potem zaprowadziliśmy go do pokoju, który rodzice przygotowali specjalnie na jego przyjazd. Byłam nim zafascynowana... wiele razy prosiłam o braciszka. W ścianie między naszymi pokojami była szczelina, mysia dziura, której mój tata nigdy nie załatał. Patrzyłam przez nią i stąd wiedziałam, że co wieczór kładł się do łóżka, lecz kiedy dom pogrążał się w ciszy i mroku, przemykał z kocem i poduszką do szafy i tam zasypiał. Chyba właśnie to sprawiło, że go pokochałam. Kiedy przyjechał, miał przy sobie zdjęcie zawinięte w list od rodziców. Później powiedział mi, że mama wszyła mu tę maleńką paczuszkę w podszewkę kurtki, żeby nie zgubił jej w czasie podróży. Całe życie miał przy sobie tę fotografię. Byli na niej jego eleganccy rodzice i on, mały szczęśliwy chłopiec, który nie miał pojęcia, co się wydarzy. Później dowiedzieliśmy się, że oboje zginęli w Auschwitz. Pobraliśmy się, kiedy skończyłam szesnaście lat i razem wyjechaliśmy do Niemiec. Po wojnie było tyle zamieszania, tak wiele strasznych rzeczy trzeba było naprawić. Był bardzo dzielny. Czekałam, aż to do niego dotrze, aż uświadomi sobie, jak wiele stracił. Kiedy odkryliśmy, że nie możemy mieć dzieci, i potem, gdy najlepszy przyjaciel i wspólnik oszukał go i omal nie zbankrutowaliśmy, albo kiedy odkryłam guza w piersi... zawsze był taki dzielny. Taki odporny. Myślę, że to właściwe słowo. I nie chodziło o to, że był niewrażliwy... wiele razy widziałam, jak płacze... potrafił jednak poradzić

sobie z rozczarowaniami, z trudami i smutkiem. Za każdym razem podnosił się i parł naprzód. Nie jak szaleniec, który nie może pogodzić się z przeciwnościami losu, ale jak człowiek pogodzony z tym, że życie jest z natury niesprawiedliwe. Że jedyną sprawiedliwą rzeczą w życiu jest przypadkowość tej niesprawiedliwości.

Poprawiła okulary.

– Mówię ci to nie dlatego – ciągnęła – że lubię snuć wspomnienia albo zamęczać moich młodych przyjaciół smutnymi opowieściami w słoneczne piątkowe popołudnia. Po prostu... chciałam, żebyś zrozumiała. Żebyś wiedziała, jak kojąca bywa miłość. Jak to jest dzielić z kimś życie, tak naprawdę, do tego stopnia, że poza tym niewiele rzeczy ma znaczenie. Świat to bardzo hałaśliwe miejsce, Elodie, i choć życie pełne jest radości i cudów, są w nim również zło i smutek, i niesprawiedliwość.

Elodie nie wiedziała, co powiedzieć. Całkowite zgodzenie się z tą z trudem wywalczoną mądrością wydawało się nieszczerze, a jakie miała doświadczenie, by mogła się nim podzielić ze swoją osiemdziesięcioczeroletnią przyjaciółką? Pani Berry nie oczekiwała jednak odpowiedzi. Sącząc napój, wpatrywała się w coś ponad jej ramieniem, więc Elodie również pogrążyła się w rozmyślaniach. Uświadomiła sobie, że przez cały dzień nie miała wieści od Alastaira. Penelope wspominała przez telefon, że miał spotkanie z nowojorskim zarządem i że wszystko świetnie poszło. Może razem z kolegami z pracy świętował fuzję?

Wciąż nie bardzo wiedziała, czym zajmuje się firma Alastaira. Chyba miała coś wspólnego z przejmowaniem spółek. Tłumaczył jej to wielokrotnie – chodziło o konsolidację, połączenie dwóch jednostek, tak by podnieść ich wspólną wartość – ale Elodie wciąż dręczyły te same dziecinne pytania. W jej pracy „przejęcie” oznaczało dostarczenie jakiegoś przedmiotu. Czegoś realnego, namacalnego, co można wziąć do rąk i wyczytać jego historię.

– Kiedy Tomas umierał – podjęła nagle pani Berry – już pod sam koniec, zaczęłam się niepokoić. Tak bardzo obawiałam się, że będzie się bał, że nie chciałam, by odchodził sam. Nocami śniłam o tamtym małym chłopcu na progu naszego domu. Nic nie mówiłam, ale zawsze potrafiliśmy czytać sobie w myślach i pewnego razu spojrział na mnie i powiedział, że od dnia,



w którym się poznaliśmy, nigdy niczego się nie bał. – Oczy jej się zaszklily, w głosie słycać było zdumienie. – Rozumiesz? Nic nie było w stanie go przestraszyć, bo wiedział, jak bardzo go kocham.

Elodie poczuła, że coś ściska ją za gardło.

– Szkoda, że go nie poznałam.

– Owszem, szkoda. Polubiłby cię. – Pani Berry upiła solidny łyk. Na stoliku między nimi przycupnął szpak, łapczywym wzrokiem zmierzył słoik z pędrakami, krzyknął głośno i pofrunął na gałąź jabłoni.

Elodie uśmiechnęła się, a starsza pani roześmiała głośno.

– Może zostaniesz na kolację? – zaproponowała. – Tym razem opowiem ci weselszą historyjkę o tym, jak Tomas i ja przypadkiem kupiliśmy farmę. A potem zagramy kilka partyjek i pokażę ci, gdzie raki zimują.

– Och, bardzo bym chciała, ale dziś nie dam rady.

– Nawet jednej partyjki?

– Niestety, nie. Goni mnie termin.

– Znowu praca? Za dużo pracujesz.

– Nie tym razem. Chodzi o przygotowania do ślubu.

– Przygotowania do ślubu! Naprawdę w dzisiejszych czasach ludzie lubią komplikować sobie życie. Czegóż więcej potrzeba niż dwojga kochających się ludzi, którzy powiedzą sobie „Tak”? Zresztą moim zdaniem to ostatnie też nie zawsze jest potrzebne. Gdybym mogła przeżyć to wszystko raz jeszcze, uciekłabym do Toskanii i ślubowała mojemu Tomasowi na skraju jednej z tych średniowiecznych wiosek na szczycie wzgórza, ze słońcem na twarzy i wiankiem z kapryfolium na głowie. A po wszystkim delectowałabym się butelką diabelnie dobrego chianti.

– A jest jakieś inne chianti?

– Oto i moja dziewczynka!

\*

Na górze Elodie zrzuciła buty i otworzyła okna. Kapryfolium w ogrodzie rozrosło się przez lato, pięło się po tylnej ścianie domu, a niesiony ciepłym popołudniowym wiatrem zapach wypełniał całe mieszkanie.

Uklękła na podłodze i otworzyła walizkę z kasetami, które spakował dla niej ojciec. Rozpoznała ją – tata kupił ją dwanaście lat temu, kiedy przekonała go, żeby jechał na koncert do Wiednia. Walizka widziała lepsze czasy i wydawała się kiepskim wyborem na tak cenną zawartość. Nikt nigdy nie domyśliłby się, że skrywała jego serce, i Elodie przypuszczała, że właśnie takie było jego zamierzenie: zapewnić mu jak najlepszą ochronę.

W środku znalazła co najmniej trzydzieści kaset wideo, każda z przyklepioną do niej etykietką, na której ojciec swym starannym pismem zapisał datę i miejsce koncertu oraz tytuł utworu. Dzięki pani Berry Elodie weszła w posiadanie prawdopodobnie jednego z ostatnich odtwarzaczy wideo w całym Londynie i teraz podłączyła go do telewizora. Sięgnęła po pierwszą z brzegu kasetę i wsunęła ją do kieszeni odtwarzacza. Z nerwów ścisnęło ją w żołądku.

Kaseta nie była przewinięta do początku i pokój natychmiast wypełnił się muzyką. Lauren Adler, słynna solistka i matka Elodie, pojawiła się na ekranie. Nie zaczęła jeszcze grać, ale trzymała w objęciach wiolonczelę, tuląc policzek do szyjki instrumentu, podczas gdy za jej plecami grała orkiestra. Była taka młodziutka. Brodę miała lekko uniesioną, wzrok utkwiała w dyrygencie, długie włosy opadały jej na ramiona i plecy. Czekala. Reflektory oświetlały połowę jej twarzy, podczas gdy druga połowa kryła się w cieniu. Lauren Adler miała na sobie czarną satynową suknię na wąskich ramiączkach; jej gładkie ramiona – zwodniczo silne – były nagie. Nie miała biżuterii poza prostą złotą obrączką; palce spoczywające na strunach były opanowane i gotowe.

Po chwili na ekranie pojawił się dyrygent, mężczyzna w czarnym fraku, z białą muszką. Ruchem rąk uciszył orkiestrę i po kilku sekundach skinął głową Lauren Adler. Zaczerpnęła powietrza i zaraz potem ona i jej wiolonczela rozpoczęły swój taniec.

W licznych artykułach o matce, które Elodie łąpczywie pożerała, jeden przymiotnik pojawiał się najczęściej: talent Adler był zachwycający. Wszyscy krytycy byli tego samego zdania. Przyszła na świat, by grać na wiolonczeli, i każdy utwór muzyczny, nawet nieznany, w jej rękach rodził się na nowo.

Ojciec zachował wszystkie nekrologi, ale ten zamieszczony w „The Times” był tak wyjątkowy, że oprawił go w ramkę i powiesił wśród zdjęć, które

zrobiono w salach koncertowych. Elodie czytała go tak wiele razy, że na dobre utkwiał w jej pamięci: *Talent Lauren Adler był niczym pęknięcie w skorupie zwyczajności, przez które można było dostrzec czystość, jasność i prawdę. To był jej dar dla publiczności, która poprzez muzykę Lauren Adler mogła doświadczać tego, co ludzie religijni nazywają Bogiem.*

Według etykiety na kasecie koncert odbył się w 1987 roku w Royal Albert Hall, a Lauren Adler grała *Koncert wiolonczelowy h-moll*, op. 104, Dvořáka. Elodie zrobiła krótką notatkę.

Jej matka grała teraz bez akompaniamentu, podczas gdy orkiestra – rozmazane morze kobiet o poważnych twarzach i mężczyzn w okularach z ciemnymi oprawkami – siedziała nieruchomo za jej plecami. Rozdzierające serce dźwięki wiolonczeli sprawiły, że Elodie ciarki przeszły po plecach.

Lauren Adler wierzyła, że nagranie to rzecz martwa. Opowiadała o tym w udzielonym dla „The Times” wywiadzie, w którym opisywała koncert na żywo jako urwisko, nad którym spotykają się strach, oczekiwanie i radość; wyjątkowe doświadczenie z udziałem publiczności i wykonawcy, które jeśli się je uwieczni, traci całą swoją moc. Elodie nie pozostało jednak nic poza nagraniami. Nie miała wspomnień o matce wiolonczelistce. W dzieciństwie tylko kilka razy zabrano ją na koncert. Oczywiście słyszała mamę, jak ćwiczyła w domu, ale nie pamiętała jej występów na żywo, przez co nie była w stanie oddzielić jej muzyki od koncertów granych przez innych muzyków.

Nigdy nie przyznałaby się do tego ojcu, który żył w przekonaniu, że Elodie nosi w sobie te wspomnienia; co więcej, wierzył, że są one jej nieodłączną częścią. „Twoja mama grała dla ciebie, kiedy była w ciąży – powtarzał jej niezliczoną ilość razy. – Mówiła, że bicie ludzkiego serca jest pierwszą muzyką, jaką słyszymy, i że każde dziecko przychodzi na świat, znając rytm matczynej pieśni”.

Często mówił do niej tak, jakby dzieliła jego wspomnienia. „Pamiętasz, jak grała dla królowej, a kiedy skończyła, publiczność przez trzy minuty oklaskiwała ją na stojąco? Pamiętasz tamten wieczór, gdy zagrała na Proms<sup>5</sup> wszystkie sześć suit na wiolonczelę Bacha?”

Elodie nie pamiętała. W ogóle nie знаła matki.

Zamknęła oczy. Ojciec stanowił problem. Jego smutek był wszechobecny. Zamiast pozwolić, by rana, która otworzyła się po śmierci Lauren Adler, zasklepiła się – zamiast pomóc jej się zasklepić – jego rozpacz i niepokodzenie się z odejściem żony sprawiały, że wciąż była otwarta.

Pewnego dnia kilka tygodni po wypadku, będąc w ogrodzie, Elodie usłyszała rozmowę dwóch kobiet, które pełne najlepszych intencji przyjechały wyrazić swe ubolewanie i wracały właśnie do samochodu. „Dobrze, że dziewczynka jest jeszcze taka malutka – powiedziała jedna z nich, kiedy dotarły do bramy. – Dorośnie, zapomni i nigdy się nie dowie, co straciła”.

W pewnym sensie miała rację: Elodie zapomniała. Miała za mało własnych wspomnień, by zapełnić nimi dziurę, którą wyrwała w jej życiu śmierć matki. Z drugiej strony, kobieta się myliła, bo Elodie dokładnie wiedziała, co straciła. Nie pozwolono jej zapomnieć.

Otworzyła oczy.

Za oknem było ciemno, noc wyparła zmierzch. W środku ekran telewizora śnieżył. Nawet nie zauważyła, kiedy muzyka przestała grać.

Zeszła z okiennego parapetu, wyjęła kasetę i wybrała kolejną.

Tę opisano *III kwintet smyczkowy C-dur Mozarta, KV 515, Carnegie Hall, 1985*. Elodie przez kilka minut stała, oglądając wstęp. Nagranie miało formę dokumentu; rozpoczynała je prezentacja muzyków – trzech mężczyzn i dwóch kobiet – którzy przyjechali do Nowego Jorku na wspólny występ. Podczas gdy lektor prezentował każdego z nich, materiał filmowy pokazywał jej matkę w pokoju prób, jak śmiała się z innymi, kiedy skrzypek z ciemnymi kręconymi włosami wymachiwał śmiesznie smyczkiem.

Elodie rozpoznała w nim przyjaciela matki, amerykańskiego skrzypka, który prowadził samochód w drodze z Bath do Londynu tego dnia, kiedy oboje zginęli. Pamiętała go jak przez mgłę: raz czy dwa był u nich z rodziną na kolacji, kiedy przyjeżdżali do Londynu ze Stanów. No i oczywiście widziała jego zdjęcia w gazetach, w artykułach, które ukazały się po wypadku. Kilka było też w pudłach z fotografiami, których ojciec nigdy nie uporządkował.

Podczas gdy kamera śledziła jego ruchy, Elodie patrzyła na niego i próbowała zdecydować, co sądzi o człowieku, który mimowolnie pozbawił życia jej matkę i który, zważywszy na okoliczności ich śmierci, już na zawsze

pozostanie związany z Lauren Adler. Ale myślała wyłącznie o tym, jak młodo wyglądał, jak bardzo był utalentowany i o tym, że pani Berry miała rację, mówiąc, że sprawiedliwość życia polega wyłącznie na przypadkowym rozdzielaniu najbardziej bolesnych ciosów. W końcu on również zostawił rodzinę.

Na ekranie pojawiła się Lauren Adler. Gazety miały rację: jej uroda zapierała dech w piersi. Elodie oglądała koncert, robiła notatki i zastanawiała się, czy nagranie nadaje się do tego, by pokazać je na ślubie, a jeśli tak, to które fragmenty wybrać.

Kiedy kasetę się skończyła, wsunęła do odtwarzacza następną.

Była w połowie oglądania *Koncertu wiolonczelowego e-moll* Elgara, op. 85, z London Symphony Orchestra z 1982 roku, kiedy zadzwonił telefon. Zerknęła na zegar. Było późno i w pierwszej chwili przestraszyła się, że coś stało się ojcu, ale to była Pippa.

Elodie przypomniała sobie o promocji książki w wydawnictwie w King's Cross i pomyślała, że przyjaciółka jest pewnie w drodze do domu i chce porozmawiać.

Jej kciuk zawisł nad ekranem, ale zanim zdążyła wcisnąć ODBIERZ, komórka umilkła.

Zastanawiała się, czy nie oddzwonić, w końcu jednak wyciszyła ją i cisnęła na kanapę.

Słyszając dobiegający z ulicy śmiech, westchnęła.

Nadal czuła lekki niepokój, który towarzyszył jej od spotkania z Pippą. Owszem, była zazdrosna o fotografię wiktoriańskiej kobiety w białej sukni, ale chodziło o coś więcej. Teraz, siedząc w pokoju pełnym utkanych przez matkę melancholijnych dźwięków, uświadomiła sobie, że chodziło o sposób, w jaki Pippa zapytała o nagrania.

Rozmawiały już o tym, kiedy Penelope wpadła na pomysł, by podczas ślubu wykorzystać nagrania z koncertów Lauren Adler. Pippa zastanawiała się wtedy, czy ojciec przyjaciółki nie będzie miał obiekcji, zwłaszcza że na samo wspomnienie o żonie łzy napływały mu do oczu. Elodie podzielała jej obawy, okazało się jednak, że tata jest podobnego zdania co Penelope, a jej propozycja sprawiła mu cichą radość.

A jednak dziś, kiedy Elodie wspomniała o tym Pippie, ta, zamiast porzucić temat, drażyła dalej, pytając, co ona na to.

Teraz, słuchając ostatnich przejmujących dźwięków koncertu Elgara, Elodie zastanawiała się, czy przyjaciółka nie zrobiła tego celowo. Z nich dwóch to zawsze ona była bardziej żywiołowa i lubiła zwracać na siebie uwagę, podczas gdy Elodie, nieśmiała z natury, wolała grać drugie skrzypce. Może więc Pippie nie podobała się ta nagła zamiana ról?

Po chwili jednak Elodie zawstydzila się własnych myśli. Pippa była dobrą przyjaciółką, która zgodziła się zaprojektować i uszyć jej suknię ślubną. Nigdy nie zrobiła niczego, co mogłoby sugerować, że zazdrości Elodie jej sławnej mamy. Co więcej, była jedną z nielicznych osób, które nigdy szczególnie nie interesowały się Lauren Adler. Elodie była przyzwyczajona, że ludzie, kiedy dowiadawali się, że jej matką była słynna wiolonczelistka, zasypywali ją gradem pytań, zupełnie jakby dzięki niej mogli wchłonąć odrobinę talentu i tragedii otaczających postać Lauren Adler. Ale nie Pippa. Choć przez lata często wypytywała Elodie o matkę – czy za nią tęskni, czy pamięta dużo z czasów, kiedy żyła – Lauren Adler interesowała ją wyłącznie jako matka przyjaciółki. Zupełnie jakby muzyka i sława – choć niewątpliwie ciekawe – nie miały w tym przypadku żadnego znaczenia.

Nagranie dobiegło końca i Elodie wyłączyła telewizor.

Bez Alastaira, który upierał się, że „w weekend trzeba się wyleżeć”, zamierzała wstać wcześniej rano i pójść na długi spacer na wschód, wzdłuż rzeki. Chciała odwiedzić swojego ciotecznego dziadka, Tipa, zanim ten otworzy swój sklep.

Wzięła prysznic, położyła się do łóżka, zamknęła oczy i próbowała się zmusić do zaśnięcia.

Noc była ciepła, ale Elodie czuła niepokój. Krążył nad jej głową niczym komar, który czeka tylko, by przysiąść i ją ukąsić.

Wierciła się przez chwilę, przewróciła się na prawy bok, a zaraz potem na lewy i znowu na prawy.

Myślała o pani Berry i jej mężu Tomasie i zastanawiała się, czy to prawda, że miłość jednej osoby – kogoś tak drobnego i pomarszczonego jak ta staruszka – może okazać się wystarczająca, by ukoić czyjeś lęki.

Bała się tak wielu rzeczy. Zastanawiała się, czy potrzeba czasu, by miłość zyskała taką moc? Czy ona również odkryje kiedyś, że świadomość uczucia, jakim darzy ją Alastair, uczyniła ją nieustraszoną?

Czy kochał ją dość mocno? Skąd mogła to wiedzieć?

Jej ojciec na pewno kochał tak matkę, ale zamiast dodać mu odwagi, jej śmierć uczyniła go bojaźliwym. Edward Radcliffe również kochał miłością, przez którą stał się bezbronny. *Kocham ją, kocham ją, kocham ją. I jeśli nie mogę jej mieć, oszaleję, kiedy bowiem nie ma jej przy mnie, boję się...*

Ona... Oczami wyobraźni Elodie zobaczyła kobietę ze zdjęcia. Ale to przecież była jej obsesja. Nie miała dowodów na to, że coś łączyło kobietę w białej sukni i Radcliffe'a; owszem, znalazła fotografię w jego torbie, ale należała ona do Jamesa Strattona. Nie, Radcliffe pisał o Frances Brown, narzeczonej, której śmierć – o czym wszyscy wiedzieli – przywiodła go do zguby.

*Jeśli nie mogę jej mieć...* Obróciła się na plecy. Dziwne, że pisał w ten sposób o kobiecie, z którą był zaręczony. Przecież już same zaręczyny oznaczały coś zgoła innego. „Miał” tę kobietę.

Chyba że napisał tę wiadomość po śmierci Frances, kiedy – podobnie jak ojciec Elodie – stał nad otchłanią rozpaczony. Czy wtedy narysował dom? Czy był on prawdziwy? Czy to tam zamieszkał po śmierci narzeczonej, by odzyskać siły i spokój?

Myśli kłębiły się w głowie Elodie niczym stada czarnych ptaków krążące coraz bliżej i bliżej.

Jej ojciec, matka, ślub, kobieta ze zdjęcia, szkic domu, Edward Radcliffe i jego narzeczonej, pani Berry i jej mąż, mały niemiecki chłopiec sam na progu domu, życie, strach, nieuchronność śmierci...

Wystraszona, że nocne przemyślenia kolejny raz wciągną ją w mroczną pętlę, odrzuciła pościel i wyslizgnęła się z łóżka. Przechodziła przez to wystarczająco wiele razy, by wiedzieć, że nie zaśnie. Lepiej więc zrobić coś użytecznego.

Okna wciąż były otwarte i odgłosy nocnego życia stanowiły znajome pocieszenie. Świat po drugiej stronie ulicy był spowity mrokiem.

Elodie włączyła lampkę i zaparzyła filiżankę herbaty.

Włożyła do odtwarzacza kolejną kasetę z opisem *Suita nr 1, G-dur Bacha. Queen Elizabeth Hall, 1984*, i usiadła po turecku w starym obitym aksamitem fotelu.

Kiedy minęła północ, u progu nowego dnia, wcisnęła PLAY i patrzyła, jak piękna młoda kobieta, która miała u stóp cały świat, wchodzi na scenę, podnosi rękę, by pozdrowić oklaskującą ją publiczność, i obejmując wiolonczelę, zaczyna czynić czary.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Cioteczny dziadek Elodie mieszkał na końcu Columbia Road, w mieszkaniu z wyjściem do ogrodu. Był ekscentrykiem i samotnikiem, ale kiedy matka Elodie żyła, przychodził w weekendy na lunch. W dzieciństwie bała się go; już wtedy wyglądał staro ze swoimi krzaczastymi brwiami i palcami długimi i chudymi jak strączki fasoli. Dobrze pamiętała, jak zaczynał się wiercić, kiedy rozmowa schodziła na tematy, które go nie interesowały. Ale podczas gdy ona zbierała burę za to, że wkłada palce w roztopiony wosk stojącej na stole świecy i odkleja od opuszek zastygnięte krople, nikt nie zwracał uwagi Tipowi, który zbierał woskowe łezki na kupkę, po czym układał z nich na obrusie rozmaite wzory, a gdy znudziła go ta zabawa, odgarniał je na bok.

Matka Elodie uwielbiała swojego wuja. Była jedynaczką i zaprzyjaźnili się, kiedy przez rok mieszkał z nimi w ich rodzinnym domu. „Mówiła, że różnił się od innych dorosłych – opowiadał Elodie ojciec. – Że był jak Piotruś Pan, chłopiec, który nigdy nie dorósł”.

Zauważyła to po śmierci matki. Wśród życzliwych dorosłych był Tip i jego ceramiczna szkatułka, której wieczko pokrywała niezwykła mozaika muszelek, kamyków, kawałków płytek i lśniących odłamków szkła – czyli wszystkiego tego, na co dzieci zwracają uwagę, a obok czego dorośli przechodzą obojętnie.

– Co to za szkatułka? – zapytała go Elodie.

– Kawalek magii – odparł bez cienia pobłażliwego uśmiechu, który zwykle pojawia się na twarzach dorosłych, kiedy mówią o takich rzeczach. – Ta jest dla ciebie. Masz jakieś skarby?

Przytaknęła, pamiętając o małym złotym pierścionku, który dostała od mamy pod choinkę.

– W takim razie będziesz miała je gdzie ukryć.

Miło ze strony Tipa, że zaopiekował się nią, kiedy wszyscy inni byli pochłonięci własnym smutkiem. Od tamtej pory rzadko się widywali, ale Elodie nigdy nie zapomniała dobroci, którą jej okazał, i miała nadzieję, że przyjdzie na jej ślub.

Był pogodny ranek i idąc ścieżką wzdłuż rzeki, cieszyła się słońcem. W końcu zasnęła w brązowym aksamitnym fotelu i przez całą noc wierciła się i śniła strzępy snów, aż w końcu o świcie obudził ją śpiew ptaków. Teraz, zbliżając się do mostu Hammersmith, uświadomiła sobie, że nadal ma sztywną szyję, a w głowie słyszy przejmujące dźwięki wiolonczeli.

Stado mew kołowało nad rzeką, a przy widocznych w oddali hangarach dla łodzi krzątali się wioślarze, chcąc jak najlepiej wykorzystać słoneczny dzień. Zatrzymała się na moście przy jednym z szarzielonych filarów i oparta o barierkę, obserwowała płynące w dole wody Tamizy. To z tego miejsca w 1919 roku skoczył porucznik Charles Wood, by ratować tonącą kobietę. Elodie myślała o nim za każdym razem, gdy przechodziła przez most. Kobieta przeżyła, ale Wood zmarł na tężec w wyniku odniesionych ran. Los okazał się wyjątkowo okrutny dla człowieka, który przeżył służbę w Królewskich Siłach Powietrznych podczas pierwszej wojny światowej tylko po to, by umrzeć z powodu aktu odwagi w czasie pokoju.

W miarę jak zbliżała się do nabrzeża Chelsea, Londyn budził się do życia. Dotarła do mostu kolejowego Charing Cross i sprzed budynku Królewskich Sądów złapała autobus linii 26. Usiadła w pierwszym rzędzie na wyższym poziomie: była to przyjemność z dzieciństwa, która nadal sprawiała jej frajdę. Trasa autobusu biegła Fleet Street aż do City, obok sądu Old Bailey i katedry Świętego Pawła i dalej Threadneedle Street, gdzie skręcała na północ przy Bishopsgate. Elodie, jak zwykle, wyobrażała sobie, jak wyglądały te ulice w dziewiętnastym wieku, kiedy Londyn należał do Jamesa Strattona.

Wysiadła na Shoreditch High Street. Pod wiaduktem grupa dzieciaków miała lekcję hip-hopu, podczas gdy ich rodzice stali wokół nich, trzymając w dłoniach kubki z kawą na wynos. Przeszła przez ulicę, przecięła wąskie zaułki i za rogiem skręciła w Columbia Road, gdzie właśnie zaczynano otwierać sklepy.

Columbia Road była jedną z tych tętniących życiem ukrytych ulic, z których słynął Londyn. Po obu jej stronach stały rzędy niskich ceglanych szeregowców, w których mieściły się sklepy z turkusowymi, żółtymi, czerwonymi, zielonymi i czarnymi witrynami. Sprzedawano tam stare ubrania, biżuterię artystyczną, ręcznie robione skarby i gustowne różności. W niedzielę, podczas targu kwiatowego, kiedy powietrze pachniało jak jeden wielki bukiet, okolica roiła się od ludzi, ale dziś o tej porze ulica była niemal pusta.

Z boku budynku, w którym mieszkał Tip, znajdowała się żelazna furтка, a za nią porośnięta fiołkami ścieżka prowadząca do ogrodu. Czarne litery i wymierzony palec namalowane za pomocą szablonu na stojącej od frontu kolumnie z białej cegły wskazywały drogę do mieszkania z wyjściem do ogródka. Furтка nie była zamknięta i Elodie weszła na podwórze. Na końcu ścieżki, w kącie ogrodu, stała szopa z wyciętym nad drzwiami napisem *Pracownia*.

Drzwi były uchylone. Elodie otworzyła je pchnięciem i jak zwykle ogarnęła wzrokiem niesamowitą kolekcję intrygujących rzeczy. Niebieska kolarzówka stała oparta o prasę drukarską z epoki wiktoriańskiej. Na stołach warsztatowych pod ścianami stały rozmaite starocie. Lampy, zegary, radia i maszyny do pisania walczyły o przestrzeń z metalowymi tacami pełnymi ozdobnych czcionek. Szafki pod stołami były pełne zapasowych części o dziwnych kształtach i tajemniczych narzędzi; na ścianach wisiały obrazy olejne i szkice piórkiem, które mogły wprowadzić w zakłopotanie niejedną galerię.

– Halo?! – zawołała Elodie. – Cześć, Tip – zwróciła się do mężczyzny stojącego przy stole na tyłach pomieszczenia.

Obejrzał się przez ramię i popatrzył na nią znad szkieł okularów, ale nie wydawał się zaskoczony jej wizytą.

– W samą porę. Możesz mi podać najmniejsze dłuto?

Elodie wybrała je z wiszącego na ścianie zestawu i podała Tipowi ponad stołem.

– Od razu lepiej – rzucił, robiąc nacięcie. – A więc... co słyszeć w wielkim świecie? – Zupełnie jakby wpadła godzinę temu, żeby przynieść mu zakupy.

– Wychodzę za mąż.

– Za mąż? Nie jesteś trochę za młoda? Myślałem, że masz dziesięć lat.

– Trochę więcej. Miałam nadzieję, że przyjdiesz. Wysłałam ci zaproszenie.

– Poważnie? Dostałem je? – Wskazał ręką stos papierów na skraju stołu przy drzwiach. Wśród rachunków za prąd i ulotek z agencji nieruchomości Elodie dostrzegła kremową kopertę wybraną i zaadresowaną przez Penelope. Nie była otwarta.

– Mogę? – zapytała, machając nią w powietrzu.

– Skoro tu jesteś, możesz przekazać mi wszystko osobiście.

Usiadła przy stole naprzeciw Tipa.

– Ślub odbędzie się w przyszłym miesiącu, w sobotę dwudziestego szóstego. Nic tylko się pojawić. Tata powiedział, że chętnie przywiezie cię i odwiezie.

– Przywiezie?

– Wesele odbędzie się we wsi Southrop w Cotswolds.

– Southrop. – Skupił się na kresce, którą zamierzał wyciąć. – Czemu akurat tam?

– Matka mojego narzeczonego zna właścicielkę lokalu. Jeszcze tam nie byłam, ale wybieram się w przyszły weekend. Znasz to miejsce?

– Jest ładne. Nie byłem tam od lat. Mam nadzieję, że nie zepsuli go unowocześnieniami. – Przeciągnął ostrzem po osełce i podniósł je do światła, żeby ocenić efekt. – Nadal masz tego samego chłopaka? Jak mu było... David, Daniel...

– Danny. Nie.

– Szkoda, lubiłem go. Pamiętam, że miał ciekawe poglądy na służbę zdrowia. Nadal pisze tę swoją pracę?

– Z tego, co wiem, tak.

– Chciał zastosować ten sam system co w Peru?

– W Brazylii.

– Właśnie. A ten? Jak ma na imię...?

– Alastair.

– Alastair. Też jest lekarzem?

– Nie, pracuje w City.

– Jest bankierem?

– Przejmuje spółki.

– Aha. – Tip przetarł ostrze miękką ściereczką. – Zakładam, że jest dobry.

– Tak.

– Miły?

– Też.

– Zabawny?

– Lubi żartować.

– I dobrze. To ważne, żeby związać się z kimś, kto będzie potrafił nas rozśmieszyć. Tak mi powiedziała matka, a była kobietą, która wiedziała to i owo o życiu. – Przeciągnął ostrzem po krętym żłobieniu. Pracował nad krajobrazem z widokiem na rzekę; kręta linia tworzyła nurt rzeczny. – Wiesz, twoja mama też przyszła zobaczyć się ze mną przed ślubem. Siedziała dokładnie tam gdzie ty.

– Jej również nie odpowiedziałeś na zaproszenie?

Elodie żartowała, ale Tip się nie roześmiał.

– Przyszła porozmawiać o tobie. Właśnie dowiedziała się, że jest w ciąży. – Wygładził kawałek linoleum, dociskając kciukiem odstający kawałek przy górnej krawędzi. – To był dla niej trudny okres, nie czuła się dobrze. Martwiłem się o nią.

Nie pamiętała, by kiedykolwiek słyszała, że w pierwszych miesiącach ciąży matka cierpiała na poranne mdłości. Według ojca ciąża Lauren Adler była jednym z nielicznych powodów do odwołania koncertów.

– Chyba nie byłam planowanym dzieckiem.

– Raczej nie – zgodził się. – Ale byłaś kochana, co jest znacznie ważniejsze.

Dziwnie było wyobrażać sobie, że jej własna matka, młoda kobieta, przeszło trzydzieści lat temu siedziała w tym samym miejscu, na tym samym taborecie i rozmawiała o dziecku, które wyrośnie na nią, Elodie. Myśl ta obudziła w niej poczucie dziwnej więzi. Nigdy nie myślała o matce jak o swojej rówieśnicy.

– Bała się, że przez dziecko będzie musiała zakończyć karierę? – spytała.

– Nic dziwnego. To były inne czasy. No i sytuacja była skomplikowana. Miała szczęście, że Winston stanął na wysokości zadania.

Sposób, w jaki mówił o jej ojcu – jak gdyby był żołnierzem powołanym do służby, kiedy ona przyszła na świat – sprawił, że poczuła się urażona.

– Chyba nie uważał tego za poświęcenie. Był dumny z mamy. Miał nowoczesne poglądy. Nigdy nie twierdził, że powinna przestać pracować tylko dlatego, że była kobietą.

Tip spojrział na nią znad okularów. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił i zapadła między nimi niezręczna cisza.

Elodie była opiekuńcza wobec ojca, także wobec siebie i matki. Ich sytuacja była wyjątkowa: Lauren Adler była wyjątkowa. Ale ojciec nie był męczennikiem i nie zasługiwał na współczucie. Uwielbiał uczyć; wielokrotnie zapewniał Elodie, że nauczanie jest jego powołaniem.

– Tata był zawsze rozważny – odezwała się. – Był świetnym muzykiem, ale wiedział, że talent mamy to zupełnie inny kaliber, że jej miejsce jest na scenie. Był jej największym fanem.

Wypowiedziane na głos słowa zabrzmiały kiepsko, ale kiedy Tip się roześmiał, poczuła, że to dziwne napięcie opada.

– To prawda – przyznał. – Akurat tu się zgadzamy.

– Nie każdy może być geniuszem.

– Myślisz, że nie wiem? – Uśmiechnął się ciepło.

– Oglądałam nagrania z jej koncertów.

– Tak?

– Odtworzymy niektóre z nich podczas ceremonii ślubnej, zamiast wynajmować organistę. Mam je wybrać, ale to nie jest proste.

Tip odłożył ostrze.

– Kiedy pierwszy raz usłyszałem, jak gra, miała cztery lata. To był Bach. Ja w tym wieku cieszyłem się, jeśli udało mi się nie pomylić butów przy wkładaniu.

Uśmiechnęła się.

– Trzeba przyznać, że buty bywają podstępne – zauważyła, skubiąc palcami róg kremowej koperty. – Dziwnie się czuję, oglądając te nagrania. Myślałam, że poczuję jakąś więź... uznanie...

– Byłaś malutka, kiedy zginęła.

– Starsza niż ona, kiedy pierwszy raz usłyszałeś, jak gra Bacha. – Elodie pokręciła głową. – Nie, była moją matką. Powinnam pamiętać więcej.

– Niektóre wspomnienia nie są takie oczywiste. Mój tata zmarł, kiedy miałem pięć lat, i też niewiele pamiętam. Ale nawet teraz, siedemdziesiąt siedem lat później, kiedy przechodzę obok kogoś palącego fajkę, słyszę dźwięk uderzania palcami w klawisze maszyny do pisania.

– Palił, kiedy pisał?

– Palił, kiedy moja mama pisała.

– No tak. – Prababka Elodie była dziennikarką.

– Przed wojną, nocami, kiedy mój ojciec nie pracował, oboje siadali razem przy drewnianym kuchennym stole. On wypijał kufel piwa, a ona whisky, śmiali się i rozmawiali, a potem ona wracała do pisania artykułu. – Wzruszył ramionami. – Kiedy o tym myślę, nie stają mi przed oczami żadne obrazy. Tak wiele wydarzyło się od tamtej pory. Ale kiedy czuję dym z fajki, wracam wspomnieniami do czasów dzieciństwa, kiedy zasypiałem spokojny ze świadomością, że oboje rodzice są w domu. – Spojrzał na ostrze. – Gdzieś tam drzemią w tobie wspomnienia. Musisz tylko odkryć, jak je uruchomić.

Elodie rozważyła jego słowa.

– Pamiętam, jak wieczorami, gdy kładłam się do łóżka, opowiadała mi bajki na dobranoc.

– A widzisz!

– Jedna szczególnie zapadła mi w pamięć. Myślałam, że pochodzi z książki, ale tata mówi, że to opowieść, którą mama usłyszała, kiedy była mała. Właściwie – wyprostowała się – powiedział, że to opowieść rodzinna przekazywana z pokolenia na pokolenie. Była o lesie i domu w zakolu rzeki.

Tip wytarł ręce w nogawki spodni.

– Czas na kubek herbaty – rzucił.

Podszedł do starej lodówki i sięgnął po stojący na niej pochlapany farbą czajnik.

– Słyszałeś ją? – spytała Elodie. – Wiesz, o czym mówię?

Kiedy wyciągnął w jej stronę pusty kubek, skinęła głową.

– Znam tę historię – przyznał, wyjmując z opakowania jedną torebkę herbaty, a zaraz potem drugą. – Opowiadałem ją twojej mamie.

W pracowni było ciepło, ale Elodie poczuła na przedramionach dziwny chłód.

– Mieszkałem przez jakiś czas z rodziną mojej siostry Beatrice, twojej babki, kiedy Lauren była mała. Lubiłem twoją mamę. Nawet bez muzyki była radosnym dzieckiem. Nie wiodło mi się wtedy, straciłem pracę i mieszkanie, rozpadł się mój związek. Dzieciaki nie zwracają jednak uwagi na takie rzeczy. Woląłem wtedy być sam i popadać w coraz większe przygnębienie, ale twoja matka mi na to nie pozwalała. Czepiała się mnie jak rzep psiego ogona i chodziła za mną krok w krok. Błagałem siostrę, żeby ją zabrała, ale Bea zawsze wiedziała lepiej. Opowiedziałem twojej mamie historię o rzece i lesie, żeby na chwilę odpocząć od jej ciągłej paplaniny i niekończących się pytań. – Uśmiechnął się z rozrzewnieniem. – Cieszę się, że ci ją powtórzyła. Baśnie trzeba opowiadać, inaczej umierają.

– Tę lubiłam najbardziej – wyznała Elodie. – Była taka prawdziwa. Myślałam o niej, kiedy mama wyjeżdżała, i śniłam o niej nocami.

Czajnik zaczął gwizdać.

– Miałem tak samo, kiedy byłem chłopcem.

– Twoja mama opowiedziała ci tę historię?

– Nie. – Tip wyjął z lodówki butelkę mleka i nalał odrobinę do kubków. – W dzieciństwie musiałem opuścić Londyn, jak my wszyscy: moja mama, brat, siostra i ja. Wszystko zorganizowała mama. Nasz dom został zbombardowany i znalazła miejsce na wsi. To był cudowny stary dom, pełen niesamowitych mebli... zupełnie jakby poprzedni właściciele wyszli na spacer i nigdy nie wrócili.

Elodie przypomniała sobie rysunek w szkicowniku; widząc go, pomyślała, że opowieść pochodziła z ilustrowanej książki, do której stworzono ten rysunek. Stary umeblowany wiejski dom jak żaden inny nadawał się do tego, by zostawić w nim wiktoriańską książkę, która dziesiątki lat przeleżała w zapomnieniu, aż w połowie kolejnego stulecia znalazł ją pewien mały chłopiec. Niemal wyobrażała sobie tego chłopca, Tipa, jak bierze ją do rąk.

– To tam ją przeczytałeś?

– Nie przeczytałem jej. Nie pochodziła z książki.

– Ktoś ci ją opowiedział? Kto?



Elodie wyczuła jego wahanie, zanim odpowiedział.

– Przyjaciółka.

– Ktoś, kogo poznałeś na wsi?

– Cukru?

– Nie, dzięki. – Elodie przypomniała sobie zdjęcie, które zrobiła telefonem. Czekaając, aż Tip skończy przygotowywać herbatę, wyjęła telefon, zignorowała kolejne nieodebrane połączenie od Pippy i znalazła w galerii zdjęcie szkicu. Kiedy Tip postawił przed nią kubek, podała mu telefon.

Spojrzał na ekran i uniósł krzaczaste brwi.

– Skąd to masz?

Opowiedziała mu o pudle znalezionym pod stertą zasłon na dnie zabytkowej szyfoniery i o torbie.

– Od razu wydał mi się znajomy, zupełnie jakbym tam była. Dopiero później dotarło do mnie, że to dom z opowieści. – Obserwowała jego twarz. – Bo to on, prawda?

– Tak. To również dom, w którym ja i moja rodzina mieszkaliśmy w czasie wojny.

Elodie odetchnęła z ulgą. A więc miała rację. To był dom z opowieści. I istniał naprawdę. Jej cioteczny dziadek Tip mieszkał w nim jako chłopiec podczas wojny. Ktoś z miejscowych wymyślił historię, która utkwiała mu w pamięci i którą wiele lat później opowiedział swojej małej siostrzenicy.

– Wiesz – odezwał się Tip, z uwagą przyglądając się zdjęciu – twoja mama też przyszła zapytać mnie o ten dom.

– Kiedy?

– Mniej więcej na tydzień przed śmiercią. Zjedliśmy razem lunch i poszliśmy na spacer, a kiedy wróciliśmy, zapytała mnie o dom na wsi, w którym mieszkałem w czasie bombardowania Londynu.

– Co chciała wiedzieć?

– Z początku prosiła tylko, żebym jej o nim opowiedział. Twierdziła, że pamięta, jak o nim mówiłem, i że wyobrażała go sobie jako magiczne miejsce. A później zapytała, czy mógłbym jej powiedzieć, gdzie dokładnie znajduje się ten dom. Czy pamiętam adres albo najbliższą wioskę.

– Chciała tam pojechać? Po co?

– To wszystko, co wiem. Spotkała się ze mną, bo chciała się dowiedzieć czegoś więcej o domu z opowieści. Wtedy widziałem ją po raz ostatni – dodał szorstko i przeciągnął palcem po ekranie, żeby wyjść z galerii, ale zamiast tego otworzył poprzednie zdjęcie.

Elodie zauważyła, że pobladł jak ściana, jak gdyby cała krew odpłynęła mu z twarzy.

– Co się stało? – spytała.

– Skąd to masz? – Wyciągnął telefon w jej stronę, pokazując fotografię wiktoriańskiej kobiety w białej sukni.

– Znalazłam oryginał w pracy – wyjaśniła. – Razem ze szkicownikiem. Czemu pytasz? Znasz ją?

Tip nie odpowiedział. Wpatrywał się w zdjęcie, chyba nawet jej nie słyszał.

– Wujku? Wiesz, jak miała na imię ta kobieta?

Podniósł wzrok, a gdy spojrzała mu w oczy, zobaczyła, że zniknęła z nich cała otwartość. Były to oczy dziecka przyłapanego na kłamstwie.

– Nie bądź śmieszna – odparł. – Niby skąd miałbym ją znać? Nigdy w życiu nie widziałem jej na oczy.

## IV

Jest tuż przed świtem, a ja siedzę w nogach łóżka, w którym śpi mój gość. To takie intymne, przyglądać się komuś, jak śpi; dawno, dawno temu powiedziałabym, że wówczas człowiek jest najbardziej bezbronny, ale wiem z doświadczenia, że to nieprawda.

Pamiętam pierwszy raz, kiedy nocowałam w pracowni Edwarda. Malował do późnej nocy, a świece stojące w butelkach z zielonego szkła jedna po drugiej zmieniały się w kałuże stopionego wosku, aż w końcu zrobiło się zbyt ciemno, by mógł kontynuować. Zasnęliśmy razem na poduszkach, które zaścielały podłogę w kącie najbliższej pieca. Obudziłam się pierwsza, gdy świt wpełzał leniwie nad szklany sufit, i leżąc na boku z ręką pod głową, patrzyłam na sny, które przemykały mu pod powiekami.

Zastanawiam się, o czym śni ten młody człowiek. Wieczorem wrócił tuż przed zmrokiem i od razu wyczułam w domu zmianę energii. Ruszył prosto do dawnej słodowni, gdzie się rozgościł, a ja poszłam za nim. Kiedy jednym płynnym ruchem zdjął koszulę, nie mogłam odwrócić wzroku.

Jest przystojny jak mężczyźni, którzy nie silą się na bycie przystojnymi. Ma szeroką pierś i ramiona człowieka nawykłego do pracy i dźwigania ciężarów. Mężczyźni na nabrzeżu Tamizy mieli takie ciała.

Dawno, dawno temu, widząc, że nieznany mężczyzna rozbiera się, wyszłabym z pokoju albo odwróciłabym głowę; dziwne, jak głęboko zakorzeniają się w nas pewne zachowania. Ale skoro niczego mu nie odbiorę, postanowiłam patrzeć.

Myszę, że zeszywniała mu szyja, bo gdy szedł do małej łazienki, widziałam, jak ją masuje i jak przechyla głowę to w jedną, to w drugą stronę.

Noc była ciepła i wilgotna, a ja wpatrywałam się w jego kark, w miejsce, gdzie kończą się włosy i gdzie niedawno spoczywała jego dłoń.

Brakuje mi dotyku.

Tęsknię za nim.

Edward nie miał ciała mężczyzn harujących na nabrzeżu, ale był silniejszy, niż można się było spodziewać po człowieku, który całymi dniami wodził pędzlem po płótnie... i wzrokiem po ciałach modelek. Pamiętam go w blasku świec – w jego pracowni w Londynie i tutaj, w tym domu, pewnej burzowej nocy.

Mój gość śpiewa pod prysznicem. Nie wychodzi mu to najlepiej, ale nie wie przecież, że ma publiczność. Kiedy dorastałam w Covent Garden, zatrzymywałam się czasem, by posłuchać śpiewaków operowych ćwiczących w teatrach. Dopiero gdy zjawiali się dyrektorzy, wymachując wściekle rękami i wykrzykując groźby, kryłam się w cieniach.

Chociaż mój gość zostawił drzwi do łazienki otwarte, pomieszczenie jest tak małe, że zaraz zaparowało, a gdy w końcu wyszedł spod prysznicza, stanął przed lustrem i przetarł je dłonią. Stałam nieco za nim i gdybym wciąż oddychała, w tamtej chwili wstrzymałabym oddech. Kilka razy zdarzyło się, że w odpowiednim świetle zobaczyłam siebie w lustrze. Najlepsze jest to okrągłe w jadalni, pewnie z powodu zaokrąglonych brzegów. Rzadko udaje mi się sprawić, by inni również mnie zobaczyli. Nie, „sprawić” to niewłaściwe słowo, bo nie miałam świadomości, że robię cokolwiek inaczej.

Ale mój gość mnie nie widział. Potarł dłońmi szczeciniastą brodę i poszedł poszukać ubrań.

Chciałabym znowu mieć twarz. I głos. Prawdziwy głos, który każdy może usłyszeć.

Człowiek zawieszony między dwoma światami bywa samotny.

\*

Pani Mack mieszkała z człowiekiem znanym jako Kapitan, którego na początku wzięłam za jej męża, ale okazał się jej bratem. Kapitan był również

chudy, jak ona krągła, i utykał z powodu drewnianej nogi – pamiątki po zderzeniu z powozem na Fleet Street.

„Utknęła mu w kole – dowiedziałam się od jednego z dzieciaków mieszkających na ulicy. – Wlekli go przez milę, zanim na dobre nie urwało mu nogi”.

Drewniana noga była wykonaną ręcznie protezą, którą przypinał pod kolanem skórzanymi paskami i srebrnymi sprzączkami. Zrobił ją jeden z jego przyjaciół mieszkających w dokach i Kapitan z dumą polerował sprzączki, woskował paski i wygładzał każdą drzazgę. W końcu drewno stało się tak gładkie, a paski tak nawoskowane, że noga niejednokrotnie ześlizgiwała się z kikuta, płosząc tych, którzy nie wiedzieli o jego ułomności. Kapitan słynął również z tego, że odpinał nogę i wymachiwał nią na tych, których zachowanie uważał za naganne.

Nie byłem jedynym dzieckiem, jakie trafiło pod opiekę pani Mack. Oprócz wielu innych zajęć, o których mówiono wyłącznie półsłówkami i ściszonymi głosami, zajmowała się przygarnianiem dzieci. Co tydzień zamieszczała w gazecie ogłoszenie następującej treści:

#### *POSZUKIWANE*

*Szanowana bezdzietna wdowa  
chętnie otoczy opieką lub adoptuje dziecko.  
Płeć bez znaczenia.*

\*

*Ogłoszeniodawca oferuje  
wygodny dom i dobrą opiekę.  
Niewielka opłata; wiek poniżej dziesiątego roku życia.*

\*

#### *WARUNKI*

*5 szylingów za tydzień albo pełna adopcja niemowląt  
poniżej trzeciego miesiąca życia  
za kwotę 13 funtów.*

Z początku nie rozumiałam tej wzmianki o niemowlętach poniżej trzeciego miesiąca życia, ale w domu pani Mack była dziewczynka trochę ode mnie starsza, która wiedziała to i owo. Właśnie od niej dowiedziałam się, że w przeszłości pani Mack adoptowała dzieci. Lily Millington, bo tak nazywała się dziewczynka, opowiedziała mi o malutkim chłopcu, Davidzie, dziewczynce o imieniu Bessie i bliźniakach, których imion nikt już nie pamiętał. Niestety, wszystkie były chorowite i umarły. Uznałam, że to wyjątkowe nieszczęście, ale kiedy powiedziałam to na głos, Lily Millington uniosła tylko brwi i odparła, że ani szczęście, ani nieszczęście nie miały z tym nic wspólnego.

Pani Mack tłumaczyła, że przygarniając mnie, wyświadczyła przysługę mojemu ojcu i Jeremiahowi, który – jak się okazało – był jej dobrym znajomym. Miała wobec mnie plany i była pewna, że jej nie zawiodę. Właściwie, dodała, mierząc mnie srogim wzrokiem, mój ojciec zapewnił ją, że jestem grzeczną dziewczynką, która zawsze była posłuszna i napawała go dumą.

– Jesteś grzeczna? – spytała. – Twój tata mówił prawdę?

Wyjaśniła mi, że u niej każdy pracuje na swoje utrzymanie. A to, co zostanie, odeśle mojemu tacie, żeby pomóc mu urządzić się w Ameryce.

– I wtedy będzie mógł mnie ściągnąć?

– Tak – przyznała i niedbale machnęła ręką. – Tak, tak. Wtedy będzie mógł cię ściągnąć.

\*

Lily Millington roześmiała się, kiedy powiedziałam jej, że pani Mack ma wobec mnie wyjątkowe plany.

– Och, na pewno znajdzie dla ciebie jakąś robotę, o to się nie martw. Jest bardziej pomysłowa, niż ci się zdaje, i zawsze dostaje to, co chce.

– A później popłynę z moim tatą do Ameryki.

Kiedy to mówiłam, Lily mierzwiła mi włosy tak jak kiedyś ojciec, przez co jeszcze bardziej ją lubiłam.

– Tak, szkrabie? – pytała. – Ale będzie ubaw. – A gdy była w wyjątkowo dobrym humorze, dodawała: – Myślisz, że w tej twojej walizeczce znajdzie się

miejsce dla mnie?

Opowiadała, że jej ojciec był „niedobry” i że lepiej jej bez niego. Jej mama była aktorką („Ładnie powiedziane” – prychała, słysząc to pani Mack) i Lily jako mała dziewczynka występowała w bożonarodzeniowych widowiskach. „Nazywali nas świetlistymi wróżkami, bo świeciłyśmy na żółto z przodu sceny”.

Wyobrażałam sobie Lily jako wróżkę i jako aktorkę, którą planowała zostać. „Aktorkę i dyrektorkę, jak Eliza Vestris<sup>6</sup> albo Sara Lane<sup>7</sup>” – mówiła, przechadzając się po kuchni z zadartą brodą i otwartymi ramionami. Pani Mack, kiedy tylko to słyszała, rzucała w nią mokrą ścierką i wołała: „Lepiej zmyj te brudne naczynia i odstaw je na półki, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre!”.

Lily Millington miała cięty język, wybuchowy charakter i wiedziała, jak ją zdenerwować, ale była mądra i zabawna i w pierwszych tygodniach po tym, jak obudziłam się nad sklepem z ptakami i klatkami w Seven Dials, była moim wybawieniem. Sprawiała, że wszystko wydawało mi się lepsze. Dzięki niej byłam silniejsza. Gdyby nie ona, nie przetrwałabym rozłąki z ojcem, bo tak przywykłam do bycia córką zegarmistrza, że bez niego nie wiedziałam, kim jestem.

Instynkt samozachowawczy to jednak dziwna rzecz. Mieszkając w tym domu, miałam wiele sposobności, by zobaczyć na własne oczy, jak ludzie znoszą niewyobrażalne rzeczy. Podobnie było ze mną. Lily Millington wzięła mnie pod swe skrzydła i tak mijały kolejne dni.

Pani Mack miała rację, mówiąc, że w jej domu każdy pracuje na siebie, ale ze względu na charakter jej „wyjątkowych planów” wobec mnie, mogłam trochę odpocząć. „Będiesz miała chwilę, żeby się zadomowić – oznajmiła, wymownie kiwając głową na Kapitana. – A ja się wszystkim zajmę”.

Robiłam, co mogłam, by schodzić jej z drogi. Jak na kogoś, kto przygarniał dzieci, pani Mack nie darzyła ich szczególną sympatią i często grzmiała, że jeśli będziemy plątać jej się pod nogami, nie pożałuje pasa. Dni ciągnęły się w nieskończoność, a w domu nie było zbyt wielu kątów, w których można się było schować, codziennie rano włókłam się więc za Lily Millington, kiedy szła do pracy. Z początku nie była zadowolona, bała się, że przeze mnie ją „złapią”,

ale potem uznała, że jestem kompletnie „zielona” i ktoś powinien pokazać mi co i jak, zanim wpakuję się w tarapaty.

Po ulicach jeździły wówczas kolorowe powozy i zaprzężone w konie omnibusy; na Leadenhall Market zaganiano kaczki i świnie, a sprzedawcy handlujący rozmaitym jedzeniem – baraniami nóżkami, marynowanymi ślimakami morskimi i pasztecikami z węgorza – zachwalali swoje towary. Dalej na południe, gdzie musiałyśmy przemykać ocienionymi brukowanymi uliczkami Covent Garden, znajdował się plac, na którym straganiarze sprzedawali prosto z wózków najlepsze truskawki, tragarze nosili na głowach kosze pełne owoców i warzyw, a uliczni sprzedawcy lawirowali w tłumie, oferując ptaki i węże, miotły i szczotki, Biblie i ballady, krążki ananasów, chińskie ozdoby, wianki cebuli, laski i żywe gęsi.

Zaczęłam rozpoznawać stałych bywalców, a Lily Millington zadbała o to, by oni również mnie zapamiętali. Moim ulubieńcem był francuski magik, który co dwa dni pojawiał się w południowym zakątku targowiska, najbliżej Strandu. Za nim miał stragan rolnik, który handlował najlepszymi jajkami, więc zawsze kręcił się tam spory tłum. Zwróciłam uwagę na magika, bo wyglądał tak wytwornie: był wysoki i szczupły, co jeszcze bardziej podkreślały cylinder i wąskie spodnie; nosił surdut i kamizelkę, miał podkręcone wąsy i ciemną kozią bródkę. Mówił niewiele – komunikował się z publicznością za pomocą obwiedzionych czarną kredką dużych oczu. Sprawiał, że monety znikają ze stojącego przed nim stolika i pojawiały się w czepkach i szalach gapiów. Potrafił też wyczarować portfele i biżuterię należące do oglądających go ludzi, którzy ze zdumieniem i oburzeniem patrzyli na swoje precjoza w rękach obcego człowieka.

– Widziałaś, Lily?! – zawołałam, gdy pierwszy raz zobaczyłam, jak wyciąga monetę zza ucha jakiegoś dziecka. – To magia!

Lily Millington ugryzła marchewkę, która, nie wiedzieć jak, pojawiła się w jej dłoni, i poradziła mi, żebym następnym razem patrzyła uważniej.

– To iluzja – odparła, zarzucając na ramię długi warkocz. – Magia jest dla tych, których na nią stać, a my do nich nie należymy.

Wciąż jeszcze nie rozumiałam, kim byliśmy „my” i czym właściwie zajmowali się Lily Millington i pozostali. Myślę, że po prostu byli dobrzy



w tym, co robili. Wiedziałam tylko, że całymi godzinami włóczyłyśmy się po ulicach, że niekiedy musiałam czekać na Lily, kiedy na chwilę znikła w tłumie, i że czasami musiałyśmy uciekać – choć nie bardzo wiedziałam przed kim – w labiryncie krętych uliczek.

Czasami było jednak inaczej. Z chwilą gdy opuszczaliśmy dom pani Mack, Lily Millington robiła się nerwowa, jak wychudzony kot, który nie lubi, kiedy się go głaszcze. W takie dni znajdowała mi miejsce na targowisku i kazała obiecywać, że będę tam na nią czekała. „Nigdzie nie chodź, rozumiesz? I z nikim nie rozmawiaj. Lily niedługo po ciebie wróci”. Nie wiedziałam, dokąd chodzi, ale nie było jej dłużej niż zwykle, a gdy wracała, minę miała posępną i zagadkową.

Właśnie w jeden z takich dni podszedł do mnie mężczyzna w czarnym płaszczu. Czekałam na Lily przez – jak mi się zdawało – całą wieczność. Znudzona, oddaliłam się od wyznaczonego miejsca i przykucnęłam pod ceglany murem. Obserwowałam dziewczynę sprzedającą róże i nie zauważyłam człowieka w czarnym płaszczu, dopóki nie stanął tuż przede mną. Na dźwięk jego głosu wzdrygnęłam się.

– No, no, co my tu mamy? – Brutalnie ujął mnie pod brodę, zmusił, bym na niego spojrzała, i przyglądał mi się spod zmrużonych powiek. – Jak masz na imię, dziewczynko? Kim jest twój ojciec?

Zamierzałam odpowiedzieć, kiedy zjawiała się Lily i niczym promień światła wcisnęła się między nas.

– Tu jesteś – rzuciła i silnymi, szczupłymi palcami chwyciła mnie za ramię. – Wszędzie cię szukam. Mama czeka na jajka. Musimy wracać do domu.

Zanim zdążyłam otworzyć usta, pociągnęła mnie za sobą w płataninę uliczek.

Dopiero gdy zbliżyłyśmy się do domu, zatrzymała się. Obróciła mnie twarzą do siebie; na jej policzkach rozkwitły czerwone plamy.

– Powiedziałaś mu coś? – spytała. – Tamtemu człowiekowi?

Pokręciłam głową.

– Na pewno?

– Chciał wiedzieć, jak mam na imię.

– Powiedziałaś mu?

Znowu pokręciłam głową.

Lily Millington położyła mi ręce na ramionach, które wciąż podnosiły się i opadały po długiej i szybkiej ucieczce.

– Nigdy nie zdradzaj nikomu swojego prawdziwego imienia, rozumiesz, Birdie? Nigdy. A już na pewno nie jemu.

– Dlaczego?

– Bo to niebezpieczne. Nie tutaj. Tutaj, jeśli chcesz być bezpieczna, musisz udawać kogoś zupełnie innego.

– Jak iluzja?

– Właśnie.

Wtedy opowiedziała mi o przytułku, bo stamtąd pochodził mężczyzna w czarnym płaszczu.

– Jeśli dowiedzą się prawdy, zamkną cię i nigdy nie wypuszczą. Kaza ci pracować, aż zedrzesz palce do krwi, i będą cię chłostać za najmniejsze przewinienie. Pani Mack bywa surowa, ale takim jak my mogą się przydarzyć dużo gorsze rzeczy. Słyszałam o dziewczynie, której kazali zamiatać. Kiedy zostawiła kłaczek kurzu na podłodze, zdarli z niej ubrania i zbili ją na kwaśne jabłko kijem od miotły. Słyszałam też o chłopcu, którego wrzucili do worka i powiesili pod sufitem tylko dlatego, że zmoczył łóżko.

Widząc, że łzy napłynęły mi do oczu, Lily złagodniała.

– No już, już dobrze. Przestań się mazać, bo sama będę musiała cię stłuc. Ale musisz mi obiecać, że nigdy, przenigdy nie zdradzisz nikomu swojego prawdziwego imienia.

Dopiero gdy obiecałam, że tego nie zrobię, wydawała się zadowolona.

– Dobrze. – Pokiwała głową. – A teraz chodźmy do domu.

Skręciłyśmy za rogiem w Little White Lion Street, a gdy zobaczyłyśmy sklep z ptakami, Lily powiedziała:

– Jeszcze jedno. Nie wypaplasz pani Mack, że zostawiłam cię samą, dobrze?

I tym razem przysięgam, że tego nie zrobię.

– Ma wobec ciebie „wyjątkowe plany” i gdyby wiedziała, co robię, urwałaby mi głowę.

– A co robisz, Lily?

Przez chwilę wierciła mnie wzrokiem, aż w końcu pochyliła się w moją stronę, tak że poczułam ostry zapach jej potu, i szepnęła mi do ucha:

– Oszczędzam. Dobrze jest pracować dla pani Mack, ale nigdy się nie uwolnisz, jeśli sama trochę nie odłożysz.

– Sprzedajesz coś, Lily? – Spytałam niepewnie, bo nie nosiła owoców, ryb ani kwiatów jak inni handlarze.

– W pewnym sensie.

Nigdy nie powiedziała mi więcej, a ja nie pomyślałam, żeby zapytać. Pani Mack mówiła, że Lily Millington jest pyskata, ale kiedy było trzeba, Lily milczała jak grób.

Zresztą i tak nie miałam okazji, żeby wypytać ją o więcej. Znałam Lily Millington ledwie sześć tygodni, kiedy została zabita przez pijanego marynarza, który nie zgodził się zapłacić tyle, ile zażądała za swoje usługi. To ironia losu, że wiem tak mało o dziewczynce, z którą związałam się na resztę życia. A jednak Lily Millington jest dla mnie kimś niezwykle ważnym, dała mi bowiem swoje imię: najcenniejszą rzecz, jaką miała do zaoferowania.

\*

Chociaż pani Mack była biedna jak mysz kościelna, roztaczała wokół siebie aurę dostojności. W jej domu mówiło się, że rodzina była kiedyś przeznaczona do Większych Rzeczy, lecz kilka pokoleń wcześniej Okrutny Los i Wielkie Nieszczęście pozbawiły ją należytych przywilejów.

I jak przystało kobiecie z tak znamienitego rodu, zatrzymała pokój od frontu, który nazywała swoim „salonem” i w który inwestowała każdy dodatkowy grosz. Były tu kolorowe poduszki i mahoniowe meble, oprawione w ramki motyle przyszpilone do aksamitnych poduszczyk, szklane klosze, wypchane wiewiórki, podpisane zdjęcia członków rodziny królewskiej i kolekcja kryształów z prawie niewidocznymi pęknięciami.

To było święte miejsce, do którego żadne z dzieci nie miało wstępu, chyba że na specjalne zaproszenie, lecz trudno było się go doczekać. Tak naprawdę poza panią Mack tylko dwie osoby mogły tam wchodzić: Kapitan i Martin. No i oczywiście pies pani Mack, dzikarz, który uciekł z łodzi i którego nazwała

Grendel, bo dawno temu usłyszała to imię w wierszu i spodobało się jej. Pani Mack hołubiła go i przemawiała do niego z czułością, z jaką nigdy nie zwracała się do ludzi.

Drugą istotą – zaraz po Grendelu – na którą pani Mack przelewała swoje uczucia, był jej syn Martin. Miał dziesięć lat, kiedy jako siedmiolatka zamieszkałam przy Little White Lion Street. Był duży jak na swój wiek – może nie wysoki, ale dobrze zbudowany – przez co zdawał się zajmować więcej miejsca, niż mu się należało. Nie grzeszył ani inteligencją, ani tym bardziej uprzejmością, był za to wyjątkowo przebiegły, co – śmiem twierdzić – w tamtym czasie i miejscu było równie przydatne jak teraz.

Wiele razy zastanawiałam się, czy Martin byłby inny, gdyby jego życie potoczyło się inaczej. Czy gdyby urodził się na przykład w rodzinie Błatego Joe, wyrósłby na wytwornego, przyzwoitego dżentelmena? Jestem niemal pewna, że tak – nauczyłyby się manier i wiedziałyby, jak przywdziewać maski potrzebne, by przetrwać i rozwijać się niezależnie od pozycji społecznej. To był jego największy dar: wrodzona umiejętność przewidywania, z której strony powieje wiatr, i ustawiania żagli względem niego.

Martin musiał być owocem niepokalanego poczęcia, bo nikt nigdy nie wspominał o jego ojcu, a pani Mack nie mówiła o nim inaczej jak „mój synek Martin”. Wystarczyło spojrzeć na ich twarze, by wiedzieć, że jest jego matką, ale podczas gdy ona tryskała optymizmem, głowa Martina zawsze była pełna mrocznych myśli. We wszystkim widział ciemne strony, a gdy dostawał prezent, natychmiast zaczynał się zastanawiać nad alternatywami, bez których będzie się musiał obejść. Trzeba jednak przyznać, że była to kolejna cecha wielce przydatna w tej części Londynu.

Mieszkałam z nimi nad sklepem z ptakami od dwóch miesięcy, a Lily Millington nie żyła od dwóch tygodni, kiedy pewnego wieczoru po kolacji zaproszono mnie do salonu.

Idąc tam, miałam duszę na ramieniu, wiedziałam bowiem, co dzieje się z dziećmi, które denerwują panią Mack. Drzwi były uchylone i zajrzałam przez szparę, tak jak robił to Martin, kiedy jego matka zabawiała któregoś ze swoich „wspólników”.

Kapitan stał przy oknie z widokiem na ulicę i jak zwykle opowiadał o niebywałych mgłach, które nawiedzały Londyn zimą 1840 roku.

– Wszystko było zupełnie białe, statki niczym duchy wpadały na siebie na środku Tamizy.

Grendel leżał rozciągnięty na kanapie, Martin przygarbiony siedział na trójnożnym podnóżku, a pani Mack usadowiła się przy kominku w swoim fotelu z uszami. Od jakiegoś czasu wieczorami zasiadała do sekretnego projektu krawieckiego, a gdy ktoś o niego pytał, odpowiadała, żeby pilnował własnego nosa, bo inaczej sama go popilnuje. Teraz ów projekt leżał na jej kolanach.

Musiałam zbyt mocno naprzeć na drzwi, bo uchyliły się szerzej z paskudnym skrzypnięciem.

– Proszę, proszę – rzuciła pani Mack, zerkając wymownie na Martina i Kapitana. – Małe urwisy i ich wielkie uszy. – Teatralnym gestem przebiła igłą materiał, zębami odgryzła nitkę i zawiązała na końcu supełek. – Wejdz, niech no ci się przyjrzymy.

Pospiesznie stanęłam u jej boku, a ona podniosła materiał, który trzymała na kolanach. Była to sukienka, piękniejsza od tych, jakie nosiłam, odkąd wyrosłam z ubrań, które mama cerowała z pietyzmem, kiedy jeszcze żyła.

– Obróć się, dziewczyno, podnieś ręce nad głowę. Zobaczmy, czy będzie pasować.

Pani Mack rozpięła górny guzik mojego fartucha i zdjęła mi go przez głowę. Nie było mi zimno, ale przeszedł mnie dreszcz, gdy materiał sukienki dotknął mojej skóry.

Nie rozumiałam, co się dzieje – czym zasłużyłam sobie na ten piękny, kosztowny prezent – ale wiedziałam, że lepiej nie pytać. Maleńkie perłowe guziczki wiły się wzdłuż kręgosłupa aż do karku, a moją talię oplatała zawiązana na kokardę szeroka satynowa wstążka w kolorze najdelikatniejszego błękitu.

Czułam za plecami obecność pani Mack, jej ciepły, ciężki oddech – wdech i wydech, wdech i wydech – kiedy poprawiała i wygładzała materiał. Skończywszy, obróciła mnie twarzą do siebie.

– No i jak? – zwróciła się do obecnych w pokoju.

– Ładniutka jest – wychrypiał Kapitan, nie wyjmując fajki z ust. – A do tego ma taki słodziutki głosik. Takiej tu jeszcze nie mieliśmy. To prawdziwa mała dama.

– Jeszcze nie – odparła pani Mack wyraźnie zadowolona. – Ale wystarczy trochę nad nią popracować, udzielić jej kilku lekcji etykiety i pokręcić jej włosy na papilotach. Czyż nie wygląda jak z obrazka, Martinie?

Napotkałam wzrok jej syna, ale nie podobało mi się to, jak się na mnie gapił.

– A co z kieszeniami? – spytała pani Mack. – Znalazłaś je?

Kiedy opuściłam ręce, moje palce natrafiły na kieszenie. Były głębokie – tak głębokie, że nawet prostując ramiona, nie sięgałam dna. Zupełnie jakby ktoś wszył mi w halki torby.

Zdumiało mnie to, ale najwyraźniej była to właściwa reakcja, bo pani Mack parsknęła chrapliwym śmiechem i wymieniła spojrzenia z Kapitanem i Martinem.

– No proszę – mruknęła niczym zadowolona kotka. – Widzicie? Widzicie?

– Cóż – odparł Kapitan. – Dobra robota, pani Mack. Dobra robota. Wygląda świetnie i nikt nie będzie niczego podejrzewał. Wyczuwam nieoczekiwany przypływ gotówki. Kto by nie chciał pomóc małej dziewczynce, która się zgubiła?

\*

Mój gość w końcu się porusza.

Chyba żaden z dotychczasowych gości nie wstawał tak niechętnie, by powitać nowy dzień. Nawet Juliet, która leżała zagrzebana w pościeli do ostatniej chwili, chociaż jej dzieci ganiały już po domu, aż w końcu wbiegały do sypialni, by ściągnąć ją z łóżka.

Podejdę bliżej wezłowia i zobaczę, czy to coś da. Sama jestem ciekawa. Niektórzy są niewrażliwi i mogę stać tuż obok, a oni nic nie czują. Inni od razu mnie dostrzegają, jak mój mały przyjaciel w czasie bomb i samolotów, ten, który tak bardzo przypominał mi Błatego Joe.

Zatem test. Powoli, ostrożnie podejść do łóżka i zobaczyć, co się wydarzy.

A wydarza się to:

Mój gość dygocze, krzywi się, wyskakuje z łóżka i piorunuje wzrokiem otwarte okno, jakby za wszystko winił wiatr.

Czyli jest wrażliwy. Dobrze wiedzieć, będę musiała być ostrożna.

To znacznie utrudnia mi zadanie, ale poniekąd mnie to cieszy. Ach, ta próżność. Zawsze miło, kiedy ktoś cię dostrzega.

Wyciąga z uszu zatyczki, które wkłada na noc, i idzie do łazienki.

Zdjęcie dwóch małych dziewczynek znalazło nowy dom na półce nad umywalką i kiedy on kończy się golić, bierze je do rąk. Gdy przygląda się fotografii, ma taki wyraz twarzy, że bez wahania wybaczyłabym mu wszystko.

Wczoraj wieczorem znów rozmawiał z Sarah. Był mniej cierpliwy niż poprzednio i słyszałam, jak mówi: „To było dawno temu, od tego czasu wiele się zmieniło”. A zaraz potem dodał wolnym, spokojnym głosem, który nie wiedzieć czemu, brzmiał gorzej niż krzyk: „Ależ, Sar, dziewczynki nie wiedzą nawet, kim jestem”.

Najwyraźniej udało mu się ją przekonać, bo w czwartek umówili się na lunch.

Po rozmowie telefonicznej wydawał się niespokojny, jakby nie planował tego małego zwycięstwa. Wszedł z butelką piwa na zewnątrz i usiadł przy jednym z drewnianych stołów piknikowych, które członkowie Stowarzyszenia Historyków Sztuki ustawili nieopodal dzikiej jabłoni na trawiastej polanie z widokiem na potok Hafodsted. W soboty roi się tu od turystów, którzy starają się nie upuścić tac z herbatą, babeczkami i kanapkami zakupionymi w kawiarni mieszczącej się w starej stodole, gdzie uczennice organizowały koncerty. Ale w tygodniu cicho tu i spokojnie. Mój gość siedział samotny i przygarbiony, popijał piwo i patrzył na widoczną w oddali stalowoszarą rzekę.

Przypominał mi Leonarda z tamtego lata dawno, dawno temu, kiedy Lucy zamierzała przekazać dom i jego administrację stowarzyszeniu. Leonard siadywał w tym samym miejscu, z kapeluszem opuszczonym na jedno oko i nieodłącznym papierosem w zębach. Zamiast walizki nosił worek

marynarski, a w nim starannie spakowane wszystko to, bez czego nie mógł się obejść. Był żołnierzem, co wiele tłumaczyło.

Mój młody gość jest w kuchni i gotuje wodę na poranną herbatę. W pośpiechu rozleje trochę na stół i zaklnie pod nosem, a potem siorbiąc, upije kilka łyków, resztę zostawiając na parapecie, żeby wystygła, podczas gdy on będzie brał prysznic.

Chcę wiedzieć, co tutaj robi, po co mu ta łopata i czy fotografia dziewczynek ma z tym coś wspólnego. Kiedy znowu wychodzi na zewnątrz z łopata i brązową torbą na aparat, czekam. Robię się coraz bardziej niecierpliwa i coraz mniej podoba mi się to śledzenie go.

Coś gdzieś się zmieniło. Czuję to, tak jak kiedyś wyczuwałam nadciągającą zmianę pogody. Jakby ciśnienie atmosferyczne uległo zmianie.

Czuję to.

Jak gdyby coś lub ktoś nacisnął przełącznik i chociaż nie wiem, czego się spodziewać, wiem, że coś nadchodzi.



# ROZDZIAŁ ÓSMY

## *Lato 2017*

Elodie siedziała w oknie swojego mieszkania z matczynym welonem na głowie i patrzyła na rzekę, która w ciszy toczyła swe wody w stronę morza. Było to jedno z tych idealnych popołudni, jakie nie zdarzają się często: kiedy powietrze zdaje się przesycone zapachem czystej bawełny i świeżo skoszonej trawy, a w migotliwym świetle lśnią tysiące wspomnień z dzieciństwa. Ale Elodie nie myślała o dzieciństwie.

Na High Street nadal nie było śladu Pippy. Minęła godzina, odkąd zadzwoniła, i od tego czasu Elodie siedziała beczynn timer, nie mogąc się na niczym skoncentrować. Przyjaciółka nie chciała podać przez telefon żadnych szczegółów; powiedziała tylko, że to ważne i że ma coś, co musi jej dać. Wydawała się zniecierpliwiona, niemal zdyszana, co było równie niezwykle jak jej propozycja, by przyjechać do Barnes w sobotni wieczór.

Ale w ten weekend nic nie było normalne. Nic nie było normalne, odkąd Elodie znalazła pudło, a w nim szkic i fotografię.

Kobieta w białej sukni. Tip twierdził, że nic o niej nie wie, a gdy Elodie zaczęła naciskać, zamknął się w sobie. Pozbył się jej z pracowni najszybciej, jak się dało, mrując, że powinien otworzyć sklep i tak, tak, oczywiście, zobaczą się na ślubie. Jego reakcja nie pozostawiała jednak żadnych wątpliwości i choć Elodie nie wiedziała, jak to możliwe, rozpoznał kobietę na zdjęciu, tak jak rozpoznał dom na szkicu. Był to dom, w którym mieszkał jako chłopiec z rodziną jej babki.

Po tym, jak delikatnie dał Elodie do zrozumienia, że powinna już iść, poszła do pracy. Otworzyła drzwi kodem, którego używano w weekendy, i weszła do

budynku. W piwnicy było ciemno i jeszcze chłodniej niż zwykle, ale nie zabawiła tam długo. Wyjęła z pudła pod biurkiem oprawioną w ramki fotografię, zabrała szkicownik z archiwum i wyszła. Tym razem nie dręczyły jej wyrzuty sumienia. Nie potrafiła tego wytłumaczyć, czuła jednak, że poniekąd zdjęcie i szkicownik należą teraz do niej. Odnalezienie ich było jej przeznaczone.

Wzięła fotografię do ręki i podniosła do oczu. Kobieta ze zdjęcia patrzyła na nią zuchwale, jak gdyby rzucała jej wyzwanie. „Znajdź mnie – mówiło jej spojrzenie. – Dowiedz się, kim jestem”. Elodie obróciła ramkę w dłoniach i musnęła opuszką palca widoczną na srebrze pajęczynę zadrapań. Znajdowały się po obu stronach, zupełnie jakby ktoś celowo podrapał powierzchnię szpilką albo innym ostrym przedmiotem.

Oparła ramkę o parapet przed sobą. Wyobrażała sobie, że tak samo robił kiedyś James Stratton.

Stratton, Radcliffe, kobieta w bieli... wszyscy byli ze sobą powiązani. Tylko jak?

Matka Elodie, Tip, który w dzieciństwie był zmuszony opuścić Londyn, przyjaciółka, która opowiedziała mu historię o domu nad Tamizą...

Elodie kolejny raz wyjrzała przez okno na rzekę. Miała niejasną świadomość, że w przeszłości często to robiła. Rzeka była wielkim milczącym nośnikiem pragnień i nadziei, starych butów, kawałków srebra i wspomnień. Jedno z nich wróciło do niej teraz: ciepły dzień, kiedy była małą dziewczynką, dotyk wiatru na skórze, jej mama i tata na pikniku nad brzegiem rzeki...

Musnęła ząbkowane brzegi welonu, gładkie pod jej palcami. Trzydzieści lat temu być może jej mama robiła to samo, kiedy stała przed kościołem i szykowała się, żeby podejść do ołtarza, przy którym czekał na nią ojciec Elodie. Przy dźwiękach jakiego utworu Lauren Adler szła nawą główną? Elodie nie wiedziała i nigdy nie pomyślała, żeby o to spytać.

Całe popołudnie przeglądała nagrania. Przerwała tylko raz, kiedy zadzwoniła Pippa, i teraz jej myśli płynęły przy dźwiękach wiolonczeli. „Będzie tak, jak gdyby tu była – powiedziała Penelope. – Jakbyś miała ją u swego boku”. Tyle że wcale tak nie będzie. Elodie to wiedziała.

Gdyby mama żyła, dobiegałaby teraz sześćdziesiątki. Nie byłaby młoda i niewinna i nie miałyby dziewczęcego uśmiechu. Jej włosy zaczynałyby siwieć, a skóra – wiotczeć. Życie zostawiłoby ślady na jej ciele i duszy, a żywiołowość i emocje, którymi emanowały nagrania, z czasem by przygasły. Ludzie, widząc ją, nadal szeptałiby słowa takie jak „geniusz” czy „nadzwyczajna”, ale nie znizaliby głosu, by dodać to trzecie, najważniejsze: „tragedia”.

Właśnie to miała na myśli Pippa, kiedy zapytała, czy Elodie zgadza się, by na ślubie puszczono nagrania Lauren Adler. Nie była zazdrosna ani niemą. Myślała o swojej przyjaciółce i ona pierwsza wiedziała, że to nie będzie tak, jakby matka Elodie prowadziła ją do ołtarza, tylko tak, jak gdyby Lauren Adler weszła na scenę z wiolonczelą w ręce, zmuszając córkę, by kroczyła w jej długim cieniu.

Słyszając dźwięk domofonu, Elodie zerwała się i podbiegła do drzwi.

– Tak? – rzuciła.

– Cześć, to ja.

Wcisnęła guzik otwierający drzwi wejściowe i otworzyła te do mieszkania. Czekala na Pippe, nasłuchując niesionych wiatrem znajomych dźwięków ulicy i wdychając zapach smażonych ryb i frytek.

\*

W końcu zdyszana Pippa dotarła na górę.

– Chryste, od tych zapachów robię się głodna. Boski welon.

– Dzięki. Nadal nie mogę się zdecydować. Napijesz się czegoś?

– Kieliszek. – Pippa wcisnęła jej do rąk butelkę wina.

Elodie zdjęła welon i powiesiła go na skraju kanapy. Nalała dwa kieliszki pinot noir i podeszła z nimi do siedzącej w oknie przyjaciółki. Pippa wzięła zdjęcie i przyglądała mu się z uwagą.

– No i? – spytała zniecierpliwiona Elodie, podając jej wino.

– No i... – Pippa odłożyła zdjęcie i skupiła się na przyjaciółce – wczoraj wieczorem na przyjęciu widziałam się z Caroline. Kiedy pokazałam jej zdjęcie w telefonie, wydało jej się znajome. Nie wiedziała, gdzie widziała tę kobietę,

ale potwierdziła, że fotografię zrobiono w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Jej również skojarzyło się z prerafaelitami i Bractwem Magenta. Powiedziała, że musiałyby zobaczyć oryginał, żeby określić dokładniejszą datę, i że papier, na którym zrobiono zdjęcie, może zdradzić tożsamość fotografa. A gdy wspomniałam o Radcliffe... Pomyślałam o szkicowniku, który znalazłaś, i o tym, że może stanowić wskazówkę do zaginionego obrazu... No więc kiedy wspomniałam o Radcliffe, Caroline powiedziała, że ma kilka książek o Bractwie Magenta i że mogę po nie wpaść.

– No i?

Pippa sięgnęła do plecaka i wyciągnęła starą książkę w potarganej obwolucie. Elodie starała się nie krzywić, kiedy przyjaciółka otworzyła ją tak, że aż zajęczał grzbiet, i zaczęła gwałtownie przerzucać kruche pożółkłe kartki.

– Patrz, Elodie – rzuciła, wskazując jedną z reprodukcji i dźgając ją palcem.

– To ona. To kobieta ze zdjęcia.

Kartka była przebarwiona na brzegach, ale widoczny pośrodku obraz pozostał nietknięty. Według zamieszczonego na dole podpisu obraz był zatytułowany *Śpiąca królowna*, a namalował go Edward Radcliffe. Kobieta na obrazie leżała w altanie porośniętej liśćmi i pąkami kwiatów czekającymi, by rozkwitnąć. Tu i ówdzie między splątanymi gałęziami przycupnęły ptaki. Fale długich rudych włosów okalały jej śpiące oblicze. Oczy miała zamknięte, ale rysy twarzy – wysokie kości policzkowe i kształtne, pełne usta – nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

– Była jego modelką – szepnęła Elodie.

– Modelką, muzą i jeśli wierzyć tej książce – Pippa przewróciła kartki i zatrzymała się na następnym rozdziale – jego kochanką.

– Kochanką Radcliffe’a? Jak się nazywała?

– Z tego, co ustaliłam dziś rano, wiąże się z tym jakaś tajemnica, bo modelka używała fałszywego nazwiska. Tutaj jest napisane, że nazywała się Lily Millington.

– Po co miałyby używać fałszywego nazwiska?

Pippa wzruszyła ramionami.

– Może pochodziła z szanowanej rodziny niepochowalającej tego, co robiła, a może była aktorką, która używała pseudonimu artystycznego. W tamtym

czasie wiele aktorek pracowało jako modelki.

– Wiadomo, co się z nią stało?

– Nie miałam czasu, żeby przeczytać książkę, ale przejrzałam ją pobieżnie. Autor już na wstępie pisze, że trudno cokolwiek ustalić, zwłaszcza że nawet jej prawdziwe imię pozostaje tajemnicą, wysuwa jednak nową teorię, według której ta kobieta złamała Radcliffe’owi serce, bo ukradła mu jakąś biżuterię – pamiątkę rodzinną – i uciekła do Ameryki z innym mężczyzną.

Elodie pomyślała o artykule w Wikipedii i włamaniu, podczas którego zginęła narzeczona Radcliffe’a. Pokrótce opowiedziała o nim Pippie, po czym dodała:

– Myślisz, że chodzi o to samo włamanie? Że ta kobieta, jego modelka, była w to jakoś zamieszana?

– Nie mam pojęcia. Niewykluczone, chociaż nie traktowałabym tych teorii zbyt poważnie. Rano pogrzebałam trochę w bibliotece cyfrowej i znalazłam teksty krytykujące autora, który podobno opierał się na informacjach pochodzących z jednego niezidentyfikowanego źródła. Istotny jest za to obraz naszej kobiety w bieli. Teraz wiemy przynajmniej, że ona i Radcliffe się znali.

Elodie pokiwała głową, choć myślała o znalezionej w szkicowniku luźnej kartce z zapisanymi na niej słowami wyrażającymi miłość, strach i szaleństwo. Czy zostały skreślone przez Radcliffe’a po tym, jak kobieta w bieli, modelka, Lily Millington, zniknęła z jego życia? Czy to ona, a nie urocza narzeczona, złamała mu serce, uciekając do Ameryki z jego pamiątką rodzinną? I co ze Strattonem? Co łączyło go z tą kobietą? W końcu to on przechowywał jej oprawione w ramkę zdjęcie, trzymając je w torbie należącej do Radcliffe’a.

Pippa przyniosła z kuchni butelkę pinot i naląła wina do kieliszków.

– Jest jeszcze coś, co chciałam ci pokazać – powiedziała.

– Kolejna książka?

– Nie, nie książka. – Usiadła. Dziwne, niepodobne do niej wahanie obudziło czujność Elodie. – Wspomniałam Caroline, że to ty zainteresowałaś się tą sprawą po tym, co znalazłaś w archiwum. Zawsze cię lubiła.

Pippa chciała być miła, pomyślała Elodie. Caroline ledwie ją przecież znała.

– Powiedziała jej – ciągnęła – że szyję dla ciebie suknię, i zaczęłyśmy rozmawiać o ślubie, o nagraniach, muzyce i o tym, co musiałś czuć, oglądając koncerty swojej mamy. I wtedy Caroline zrobiła się dziwnie milcząca. Myślałam, że może powiedziałam coś, co ją uraziło, ale przeprosiła mnie i wyszła, żeby przynieść coś z pracowni.

– Co?

Pippa kolejny raz sięgnęła do plecaka i wyjęła cienką plastikową koszulkę z włożonym w nią kartonikiem.

– Jedno ze swoich zdjęć. To fotografia twojej mamy.

– Caroline знаła moją mamę? – zdumiała się Elodie.

Jej przyjaciółka pokręciła głową.

– Zrobiła je przypadkiem. Twierdzi, że dopiero później dowiedziała się, kim byli.

– Oni?

Pippa otworzyła usta, jakby chciała wyjaśnić, ale najwyraźniej się rozmyśliła i bez słowa podała koszulkę Elodie.

Fotografia w środku była większa od zwykłych zdjęć, miała nierówne brzegi i znaczki cięcia wskazujące, że wydrukowano ją z negatywu. Było to czarno-białe zdjęcie dwojga ludzi, mężczyzny i kobiety, pogrążonych w rozmowie. Siedzieli razem gdzieś na zewnątrz, mając za plecami gęsty bluszcz i skraj kamiennego domu. Były tu koc piknikowy, kosz i resztki lunchu. Kobieta miała na sobie długą spódnicę i sandały z paskami, siedziała ze skrzyżowanymi nogami, pochylając się do przodu z łokciem opartym na kolanie i twarzą częściowo odwróconą ku siedzącemu obok niej mężczyźnie. Głowę miała uniesioną, a na jej ustach błąkał się nieśmiały uśmiech. Scenę rozświetlały przeświecające przez liście promienie słońca. Fotografia była piękna.

– Zrobiła je w lipcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku – powiedziała Pippa.

Elodie milczała. Obie wiedziały, jak ważna jest ta data. To w lipcu zginęła matka Elodie. Straciła życie w wypadku samochodowym, kiedy razem z amerykańskim skrzypkiem wracała z koncertu w Bath. Tymczasem tu, na

zdjęciu, siedziała z nim pośród zieleni zaledwie kilka tygodni – dni? – przed tragedią.

– Powiedziała, że to jedno z jej ulubionych zdjęć. Światło, wyrazy ich twarzy, sceneria.

– Jak... gdzie je zrobiła?

– Na wsi, gdzieś w pobliżu Oksfordu. Pewnego dnia poszła na spacer, skręciła za róg i zobaczyła ich. Powiedziała mi, że nawet się nie zastanawiała, po prostu wzięła aparat i uwieczniła ten moment.

Większość pytań dopiero później przyszła Elodie do głowy. Teraz była zbyt rozkojarzona widokiem matki, która nie wyglądała jak sławna wiolonczelistka, ale pochłonięta rozmową młoda kobieta. Elodie chłoneła każdy szczegół. Spoglądała na brzeg matczynej spódnicy, którą wiatr ocierał o jej gołą kostkę, na okalającą nadgarstek bransoletę zegarka, płynny ruch ręki wyciągniętej w stronę skrzypka.

Pomyślała o innym zdjęciu, rodzinnej fotografii, którą znalazła w domu, kiedy miała osiemnaście lat. Kończyła szóstą klasę i redaktor szkolnej gazetki planował zamieścić zdjęcia portretowe uczniów obok ich fotografii z dzieciństwa. Ojciec Elodie nie należał do ludzi, którzy przesadnie dbają o porządek, i sterty zdjęć w kopertach Kodaka zalegały w pudłach na dnie bielizniarki. Zawsze powtarzał, że pewnego deszczowego dnia wyciągnie je i powkłada do albumów.

W jednym z pudeł Elodie znalazła pożółkłe kwadratowe fotografie, na których grupa roześmianych młodych ludzi siedziała przy stole zastawionym wypalonymi do połowy świecami i butelkami wina o smukłych szyjkach. Nad ich głowami wisiał noworoczny transparent. Przejrzała je, patrząc z rozczuleniem na golf i dzwony ojca, na szczupłą talię mamy i jej zagadkowy uśmiech. I wtedy natrafiła na zdjęcie, na którym nie było ojca – może to on je zrobił? Sceneria była ta sama, ale matka siedziała obok ciemnookiego, postawnego skrzypka i oboje byli pochłonięci rozmową. Również na tym zdjęciu lewa ręka Lauren Adler była rozmazaną smugą. Matka zawsze gestykulowała. Kiedy Elodie była mała, myślała o jej dłoniach jak o małych, delikatnych ptaszkach, które poruszały się i trzepotały skrzydełkami w harmonii z jej myślami.

Elodie wiedziała, kiedy tylko zobaczyła tamto zdjęcie. Czuła to intuicyjnie. Chemia między jej matką a tym mężczyzną była widoczna jak na dłoni, zupełnie jakby rozpięto między nimi kabel z ogromnym ładunkiem emocjonalnym. Nie wspomniała o tym ojcu, który i tak zbyt wiele stracił, ale świadomość ta była niczym cień, który ciążył jej nad głową. Kilka miesięcy później, kiedy oglądali razem francuski film o zdradzie, rzuciła kąśliwą uwagę na temat niewiernej kobiety. Słowa zabrzmiały ostrzej, niż kiedy układała je w głowie, były niczym wyzwanie – współczuła ojcu, ale była też na niego zła, tak jak była zła na matkę. Nie połknął jednak haczyka. „Życie jest długie – stwierdził ze spokojem, nie odrywając wzroku od ekranu. – A niełatwo być człowiekiem”.

Patrząc teraz na zdjęcie przyniesione przez przyjaciółkę, Elodie nie mogła uwierzyć, że zważywszy na sławę jej matki i popularność Caroline, nigdy nie zostało opublikowane, zwłaszcza że – jak mówiła Pippa – Caroline uważała je za jedno ze swoich ulubionych. Powiedziała o swoich wątpliwościach przyjaciółce.

– Zapytałam o to Caroline – odparła Pippa. – Podobno wywołała zdjęcia kilka dni później i od razu spodobała jej się fotografia twojej mamy. Jeszcze gdy zdjęcie było w wywoływaczu, wiedziała, że to jedno z tych rzadkich magicznych ujęć, na których obiekty, sceneria, światło... wszystko idealnie ze sobą współgra. Później, tego samego wieczoru, włączyła telewizor i zobaczyła relację z pogrzebu twojej mamy. Skojarzyła, o kogo chodzi, dopiero gdy na ekranie pojawiło się zdjęcie Lauren Adler. Dreszcz przebiegł jej po plecach, kiedy uświadomiła sobie, że mężczyzna ze zdjęcia również był w samochodzie. Że widziała ich tuż, zanim... – Posłała przyjaciółce współczujący uśmiech.

– Nie opublikowała go z powodu wypadku?

– Uznała, że w tych okolicznościach byłoby to nie na miejscu. No i przez wzgląd na ciebie.

– Na mnie?

– Pokazywali cię w wiadomościach. Caroline mówiła, że widziała, jak wchodzisz do kościoła, trzymając za rękę ojca, i wiedziała, że nie może opublikować tego zdjęcia.



Elodie jeszcze raz spojrzała na dwoje młodych ludzi w spowitym bluszczem zagajniku. Sposób, w jaki kolano jej matki ocierało się o kolano jej towarzysza. Intymność chwili, swoboda emanująca z ich ciał. Zastanawiała się, czy Caroline również dostrzegła prawdziwą naturę ich relacji. I czy dlatego postanowiła nie upubliczniać zdjęcia.

– Często o tobie myślała i zastanawiała się, co się z tobą dzieje – ciągnęła Pippa. – Przez to, co się wydarzyło, czuła z tobą więź... jak gdyby robiąc to zdjęcie i uwieczniając tę chwilę, stała się częścią ich historii. Kiedy zobaczyła cię na wystawie moich prac dyplomowych i dowiedziała się, że się przyjaźnimy, czuła, że musi cię poznać.

– Dlatego tamtego wieczoru poszła z nami na kolację?

– Wtedy nie miałam o niczym pojęcia.

Elodie była wówczas zaskoczona, gdy Pippa wspomniała, że Caroline do nich dołączy. Z początku krępowała ją obecność tej uznanej artystki, o której przyjaciółka mówiła często i zawsze z podziwem. Tymczasem Caroline szybko sprawiła, że Elodie poczuła się swobodnie, i urzekła ją swoim ciepłem. Wypytywała o Jamesa Strattona i pracę w archiwum, a każde kolejne pytanie utwierdzało Elodie w przekonaniu, że ta kobieta naprawdę jej słucha. No i śmiała się radosnym, dźwięcznym śmiechem, przez co Elodie czuła się bystrzejsza i bardziej dowcipna.

– Chciała mnie poznać ze względu na moją mamę?

– No... tak, ale nie tylko. Caroline lubi młodych ludzi, ciekawia ją i inspirują. Dlatego wykłada. Ale w twoim przypadku chodziło o coś więcej. Czuła, że przez to, co widziała i co wydarzyło się później, łączy was więź. Odkąd cię poznała, chciała powiedzieć ci o zdjęciu.

– Więc czemu tego nie zrobiła?

– Bała się, że to cię przytłoczy. Że się zdenerwujesz. Ale kiedy dziś rano wspomniałam o tobie, o ślubie, nagraniach z koncertów i twojej mamie, zapytała, co o tym myślę.

Elodie jeszcze raz spojrzała na zdjęcie. Pippa mówiła, że Caroline wywołała je kilka dni po tym, jak je zrobiła, i że w telewizji pokazywano wówczas relację z pogrzebu Lauren Adler. Tymczasem na zdjęciu jej matka jadła lunch w towarzystwie amerykańskiego skrzypka. Oboje występowali w Bath

piętnastego lipca, a następnego dnia zginęli w wypadku. Całkiem prawdopodobne, że zdjęcie zostało zrobione, kiedy wracali do Londynu i po drodze zatrzymali się na lunch. To by tłumaczyło, dlaczego zamiast autostradą jechali wiejską drogą.

– Powiedziałam Caroline, że pewnie chciałabyś je mieć i że się ucieszysz.

Elodie cieszyła się. Jej matce często robiono zdjęcia, ale to było jej ostatnim przed śmiercią. Podobało jej się, że nie jest upozowane. Lauren Adler wyglądała bardzo młodo – młodziej niż teraz Elodie. Obiektyw Caroline uchwycił ją w chwili, kiedy nie była słynną wiolonczelistką.

– Cieszę się – odezwała się Elodie. – Podziękuj jej ode mnie.

– Jasne.

– Tobie również dziękuję.

Pippa się uśmiechnęła.

– Za książkę... nie mówiąc o tym, że zadałaś sobie tyle trudu, żeby mi je przywieźć – powiedziała Elodie. – Wiem, że od ciebie to kawał drogi.

– Wygląda na to, że będzie mi brakowało tego miejsca. Chociaż rzeczywiście strasznie tu daleko. Co właścicielka mieszkania na to, że się wyprowadzasz?

Elodie podniosła butelkę wina.

– Dolać ci? – zapytała.

– No pięknie! Nie powiedziałaś jej?

– Nie mogłam. Nie chciałam denerwować jej przed ślubem. Bardzo przejmuję się tym, że będzie czytać wiersz podczas ceremonii.

– Wiesz, że zorientuje się, kiedy miesiąc miodowy dobiegnie końca, a ty nie wrócisz?

– Wiem. I czuję się podle.

– Kiedy kończy ci się umowa najmu?

– Za dwa miesiące.

– I zamierzasz czekać z tym do ostatniej chwili?

– Na razie staram się o tym nie myśleć i mam nadzieję, że do tego czasu coś wykombinuję.

– Świetny plan.

– W najgorszym wypadku przedłużę umowę i będę wpadać tu dwa razy w tygodniu, żeby odebrać pocztę. Od czasu do czasu wejść na górę i trochę tu posiedzę. Mogłabym nawet zostawić tu meble, mój stary fotel, filiżanki do herbaty.

Pippa uśmiechnęła się ze współczuciem.

– Może Alastair zmieni zdanie?

– Może. – Elodie napełniła kieliszek przyjaciółki. Nie miała ochoty rozmawiać o Alastairze. Rozmowy o nim zawsze zmieniały się w przesłuchanie, a ona czuła się jak głupia gęś. Pippa nie rozumiała kompromisów. – Wiesz co? Zgłodniałam. Zostaniesz na kolację?

– Jasne – odparła Pippa, najwyraźniej pogodzona z tym, że musi odpuścić. – Teraz, kiedy o tym powiedziałaś, nasza mnie ochota na rybę z frytkami.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Elodie planowała spędzić niedzielę na przeglądaniu kolejnych nagrań, tak by w tygodniu oddać Penelope obiecaną listę, ale wieczorem między pierwszą a drugą butelką czerwonego wina podjęła decyzję. Nie pójdzie do ołtarza przy dźwiękach Lauren Adler grającej na wiolonczeli. Bez względu na to, jak bardzo Penelope i Alastair zapalili się do tego pomysłu, na myśl o tym, że miałyby iść w sukni ślubnej w stronę widocznej na ekranie nieżyjącej matki, Elodie czuła się niezręcznie. Uważała, że to trochę dziwne i upiorne.

– Tak! – pisnęła Pippa, gdy siedząc nad rzeką, kończyły rybę z frytkami i patrzyły, jak słońce stacza się za horyzont. – Wiedziałam, że nie lubisz muzyki klasycznej.

Miała rację. Elodie wołała jazz.

Gdy więc w niedzielę rano rozdzwoniły się pierwsze kościelne dzwony, spakowała kasety z powrotem do walizki i usiadła w obitym aksamitem fotelu. Nowe zdjęcie Lauren Adler stało oparte na półce między akwarelowym pejzażem Montepulciano pędzla pani Berry i szkatułką, którą dostała od Tipa. Patrząc na nie, układała w myślach listę rzeczy, o które chciała zapytać ciotecznego dziadka – o matkę, o dom ze szkicu i o amerykańskiego skrzypka. Tymczasem zamierzała zagłębić się w książce Caroline i dowiedzieć się jak najwięcej o kobiecie ze zdjęcia. Otworzywszy książkę, poczuła się szczęśliwa, jakby wróciła do domu albo robiła właściwą rzecz we właściwym miejscu i czasie.

*Edward Radcliffe: jego życie i miłości.* Tytuł brzmiał ckliwie, ale książka pochodziła z 1931 roku i Elodie nie zamierzała oceniać ówczesnych standardów. Na skrzydełku obwoluty zamieszczono zdjęcie autora, doktora Leonarda Gilberta, czarno-białą fotografię poważnego młodego mężczyzny w jasnym garniturze. Trudno było ocenić jego wiek.

Książkę podzielono na osiem rozdziałów: pierwsze dwa poświęcono dzieciństwu Radcliffe'a, jego rodzinie, fascynacji baśniami ludowymi i pierwszym próbom twórczym. Autor podkreślał jego szczególne zamiłowanie do architektury domów i wysnuwał teorię, że owa fascynacja zamkniętymi przestrzeniami widoczna w jego sztuce mogła wynikać z tego, iż jako dziecko był skryty i zamknięty w sobie. Kolejne dwa rozdziały opisywały powstanie Bractwa Magenta, przedstawiały sylwetki pozostałych członków i wczesne osiągnięcia Radcliffe'a w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych. Rozdział piąty skupiał się na jego życiu osobistym, związku i zaręczynach z Frances Brown. Szósty opisywał okres z życia malarza, w którym powstały jego najbardziej niezwykle prace. I tu po raz pierwszy pojawia się modelka, niejaka Lily Millington.

Zwykle Elodie tak nie robiła, teraz jednak nie mogła się powstrzymać i rozpoczęła lekturę od rozdziału szóstego, w którym Leonard Gilbert opisywał przypadkowe spotkanie Edwarda Radcliffe'a z kobietą, której twarz i postawa zainspirowały go do stworzenia najbardziej niezwykle dzieł estetyzmu, kobietą, w której – jak twierdził Gilbert – artysta zakochał się do szaleństwa. Porównywał Lily Millington do Czarnej Damy z sonetów Szekspira, co czyniło jej prawdziwe pochodzenie jeszcze bardziej zagadkowym.

Jak uprzedziła ją Pippa, wiele informacji, zwłaszcza tych dotyczących biografii, pochodziło z „anonimowego źródła”, od miejscowej kobiety, która „pozostawała w zażyłych stosunkach z rodziną Radcliffe'ów”. Zdaniem Gilberta kobieta ta była szczególnie blisko z najmłodszą siostrą Radcliffe'a, Lucy, i to ona dostarczyła ważnych informacji na temat dzieciństwa malarza i tego, co wydarzyło się latem 1862 roku, kiedy to zastrzelono jego narzeczoną, a Lily Millington zniknęła bez śladu. Gilbert spotkał się z tą kobietą podczas wizyty w posiadłości Birchwood, dokąd przyjechał, by dokończyć swoją pracę doktorską. Później, w latach 1928–1930, przeprowadził z nią serię wywiadów.

Choć Gilbert w swojej historii o Radcliffe i jego modelce opierał się głównie na domysłach – i zdaniem Elodie na spekulacjach – opowiedział ją w sposób bogaty i subtelny. Pisał wnikliwie i z dbałością o szczegóły, tkał historię, która połączyła tych dwoje i znalazła swój finał latem w posiadłości

Birchwood. Ton tej opowieści był niezwykle poruszający i Elodie zastanawiała się, dlaczego tak jest. Odpowiedź wydawała się prosta: Leonard Gilbert, autor książki, zakochał się w Lily Millington. Jego opisy były tak urzekające, że Elodie również uległa urokowi tej pięknej, błyskotliwej kobiety. Pod piórem Gilberta była ona czarująca. Każde słowo brzmiało niczym hymn pochwalny na jej cześć, poczynając od opisu młodej kobiety, która była niczym „płonący jasno płomień”, aż po przejmujący rozwój wydarzeń na końcu rozdziału.

W rozdziale siódmym opisywał upadek Radcliffe’a i wysnuwał nową teorię: że o zgonie artysty nie zdecydowała śmierć jego narzeczonej, lecz utrata jego wielkiej miłości i muzy, Lily Millington. Opierając się na informacjach z „niepublikowanych dotąd” raportów policyjnych, założył, że modelka była współniczką w napadzie, podczas którego zastrzelono Frances Brown, a po wszystkim zbiegła do Ameryki z napastnikiem, zabierając ze sobą naszyjnik z wisiorkiem, rodzinną pamiątkę Radcliffe’ów.

Gilbert twierdził, że oficjalna wersja była kształtowana latami przez Radcliffe’ów, którzy dzięki swym wpływom manipulowali miejscowymi konstablami, a także przez rodzinę panny Brown. W interesie zarówno jednych, jak i drugich leżało wymazanie wszelkich wzmianek, a nawet wspomnień o „kobiecie, która skradła serce Edwarda Radcliffe’a”. Znacznie bardziej akceptowalna dla obu rodzin – które z myślą o przyszłych pokoleniach wolały tragedię od skandalu – była oficjalna wersja o złodzieju, który włamał się do posiadłości, by ukraść naszyjnik, zabił Frances Brown i pozostawił jej narzeczonego pogrążonego w rozpacz. Zarządzono poszukiwania naszyjnika, lecz oprócz kilku fałszywych tropów nie natrafiono na żaden ślad.

W porównaniu z resztą książki teoria dotycząca perfidii Lily Millington została opisana sucho, niemal beznamiętnie, a tekst opierał się w głównej mierze na cytatach z raportów policyjnych. Jako badaczka Elodie była w stanie zrozumieć, że Gilbertowi trudno było uwierzyć w zdradę kobiety, którą powołał do życia w poprzednim rozdziale. Wyglądało to tak, jakby w rozdziale siódmym autor toczył ze sobą wewnętrzną walkę: z jednej strony ambitny nauczyciel akademicki, który ukuł nową teorię, a z drugiej pisarz zadurzony w bohaterce, której charakter zgłębiał przez tak długi czas. No i ta

twarz. Elodie była zdumiona, że kobieta z oprawionej w ramki fotografii tak mocno zapadła jej w pamięć. I choć miała świadomość, jak niebezpiecznym i potężnym orężem bywa uroda, ona również nie mogła uwierzyć, że kobieta w bieli mogła być aż tak dwulicowa.

Mimo całej niechęci do teorii, według której Lily Millington brała udział w zniknięciu naszyjnika, Gilbert opisał go szczegółowo, okazało się bowiem, że ozdobiący go brylant nie był zwykłym klejnotem. Dwudziestotrzykaratowy kamień był niebieskim brylantem, tak rzadkim i cennym, że zasłużył na własne miano: Błękit Radcliffe'ów. Jego rodowód sięgał czasów Marii Antoniny, dla której ów wyjątkowy kamień został wprawiony w wisiorek; a jeszcze dalej – do Johna Hawkwooda, który wszedł w jego posiadanie podczas najazdu na Florencję w czternastym wieku i nie mogąc znieść myśli, że będzie musiał się z nim rozstać, miał go przy sobie na łożu śmierci, gdzie, jak głosiły pogłoski, „spoczął wśród zaszczytów i bogactw”; aż do Indii z dziesiątego wieku, gdzie, jak mówiono – choć Gilbert szczerze w to wątpił – kamień został wydłubany przez podróżnego kupca z murów hinduskiej świątyni. Jakkolwiek było naprawdę, w roku 1816, gdy kamień trafił do rodziny Radcliffe'ów, doczekał się nowej kunsztownie zdobionej oprawy i został nanizany na delikatny łańcuszek, by prezentować się idealnie w zagłębieniu szyi. Przez pół wieku, kiedy ów wyjątkowy brylant znajdował się w posiadaniu Radcliffe'ów, niemal przez cały czas pozostawał zamknięty w skrytce londyńskiego Lloyd's Bank.

Elodie niespecjalnie interesowała historia Błękitu Radcliffe'ów, jednak kolejna linijka sprawiła, że usiadła prosto. Gilbert twierdził, że Edward Radcliffe „wypożyczył” naszyjnik ze skrytki w czerwcu 1862 roku po to, by ozdobił szyję jego modelki w imponującym projekcie, nad którym zamierzał pracować do końca lata. Zapewne chodziło o niedokończony obraz, o którym miłośnicy sztuki i akademicy mówili z niemal z nabożnością.

Drugą połowę rozdziału siódmego Gilbert poświęcił dywagacjom nad tym, czy owo dzieło – dokończone czy też nie – naprawdę istnieje. Opierając się na pracach Radcliffe'a, wysunął kilka prawdopodobnych teorii, przyznawał jednak, że bez namacalnych dowodów wszystkie są wyłącznie spekulacjami. Bo choć w listach, które pisali do siebie inni członkowie Bractwa Magenta,

pojawiły się wzmianki o niedokończonym dziele, sam Radcliffe nie wspominał o nim ani słowem.

Elodie zerknęła na szkicownik. Czy był to dowód, którego tak rozpaczliwie poszukiwał Leonard Gilbert? Czy potwierdzenie, na które czekał cały świat sztuki, przez cały czas spoczywało zamknięte w skórzanej torbie w domu wielkiego wiktoriańskiego reformatora, Jamesa Strattona? Pomyślała o Strattonie, wiedziała już bowiem, że Lily Millington była brakującym ogniwem łączącym obu mężczyzn. Stratton znał ją na tyle dobrze, by zachować jej fotografię, a Radcliffe był w niej zakochany. Nic nie wskazywało na to, że ci dwaj byli sobie bliscy, a jednak to do Strattona zwrócił się Radcliffe tamtej nocy, gdy zrozpaczony nie radził sobie z własnym bólem. Wszystko wskazywało również na to, że to Strattonowi opowiedział o swoich planach stworzenia wielkiego dzieła. Ale dlaczego? Żeby poznać odpowiedzi, należało odkryć prawdziwą tożsamość Lily Millington. Nazwisko nic Elodie nie mówiło, ale postanowiła poszukać go w bazie danych korespondencji Strattona.

W ostatnim rozdziale Gilbert ponownie skupił się na fascynacji Edwarda Radcliffe'a architekturą domów, a zwłaszcza pewnej wiejskiej rezydencji, którą Radcliffe określał w listach jako „uroczy dom... w zakolu rzeki”. Opowieść autora przeplatała się z narracją jego bohatera. Okazało się bowiem, że Gilbert, kończąc swą pracę doktorską, również spędził lato w owym „uroczym domu”.

Leonard Gilbert, żołnierz, który wrócił z francuskiego frontu, gdzie podczas Wielkiej Wojny sam doświadczył bolesnej straty, pisał elegijnie o wyobcowaniu, jednak kończył książkę w duchu nadziei: refleksją na temat tęsknoty za „domem” i tego, jak wiele znaczy znalezienie swojego miejsca dla człowieka, który zbyt długo przebywał w dziczy. Odwoływał się do jednego ze współczesnych Radcliffe'owi – największego pisarza epoki wiktoriańskiej, Charlesa Dickensa – który tak pisał o domu: „Dom to nazwa, to słowo, jest silne; silniejsze od tych, które padają z ust magików, i tych, na które odpowiadają duchy...”. Według Gilberta dla Edwarda Radcliffe'a miejscem tym była posiadłość Birchwood.



Elodie jeszcze raz przeczytała to zdanie. Dom miał nazwę. Wpisała ją w wyszukiwarce w telefonie, wstrzymała oddech i... oto był. Zdjęcie, opis i adres. Dom znajdował się na granicy Oxfordshire i Berkshire w dystrykcie Vale of White Horse. Kliknęła na link i dowiedziała się, że w 1928 roku został przekazany Stowarzyszeniu Historyków Sztuki przez Lucy Radcliffe i mieściła się w nim szkoła z internatem. Kiedy koszty utrzymania stały się za wysokie, powstał pomysł, żeby przekształcić go w muzeum z pracami Edwarda Radcliffe'a i dziełami, które powstały pod patronatem Bractwa Magenta, lecz zabrakło na to środków. Latami gromadzono fundusze, aż w końcu w 1980 roku hojny datek anonimowego darczyńcy pozwolił Stowarzyszeniu Historyków Sztuki urzeczywistnić owe plany. Muzeum nadal istniało i w soboty było otwarte dla zwiedzających.

Drżącą ręką zjechała na sam dół strony, gdzie znajdowały się wskazówki z dojazdem do posiadłości Birchwood. Było tam kolejne zdjęcie domu zrobione z innej perspektywy. Kliknęła na nie i włączyła tryb pełnoekranowy. Przez chwilę wodziła wzrokiem po ogrodzie, ceglany frontie, oknach mansardowych w stromym dachu i nagle wstrzymała oddech...

W tej samej chwili obraz zniknął, zastąpiony informacją o połączeniu przychodzącym. Była to rozmowa międzynarodowa – Alastair – ale zanim zorientowała się, co właściwie robi, Elodie odrzuciła połączenie i wróciła do oglądania zdjęcia. Powiększyła je i tak jak się tego spodziewała, zobaczyła astrologiczny wiatrowskaz.

Radcliffe naszkicował swój własny dom, w dobrze mu znanym zakolu rzeki. Był to dom z historii, którą opowiadała jej mama, ten sam, w którym zamieszkał Tip podczas drugiej wojny światowej. Rodzina Elodie była w jakiś sposób powiązana z Radcliffe'em i tajemnicą, na którą natrafiła w pracy. Wydawało się to nieprawdopodobne, a jednak coś musiało być na rzeczy, bo Tip – choć nie chciał się do tego przyznać – rozpoznał zdjęcie Lily Millington, kobiety w bieli.

Elodie sięgnęła po fotografię w ramce. Kim była ta kobieta? Jak brzmiało jej prawdziwe imię i co się z nią stało? Nie wiedzieć czemu, czuła głęboką, desperacką potrzebę poznania prawdy.

Muskając palcem brzeg ramki i delikatne zadrapania, zauważyła, że jej tył w miejscu, z którego wystaje podpórka, nie jest idealnie płaski. Podniosła zdjęcie do oczu, obróciła je poziomo i rzeczywiście pod spodem rysowała się niewielka wypukłość. Nacisnęła ją lekko palcami. Czy jej się zdawało, czy tył ramki był czymś wyściełany?

Serce waliło jej jak poszukiwaczowi skarbów, któremu instynkt podpowiada, że oto natrafił na wyjątkowe znalezisko. I choć wiedziała, że w żadnym wypadku nie powinna majstrować przy ramce, szukała sposobu, by podważyć jej tył i jednocześnie go nie uszkodzić. Pociągnęła za przyklejoną z tyłu starą taśmę, której klej dawno zdążył już wyschnąć. Tam, wciśnięty między zdjęcie a tył ramki, tkwił złożony na cztery kawałek papieru. Elodie rozłożyła go i od razu rzuciło jej się w oczy, że jest stary. Bardzo stary.

Był to list napisany energicznym, pochyłym pismem, który zaczynał się od słów: *Mój najdroższy, jedyny J, muszę zdradzić Ci swój najgłębszy sekret...*

Elodie poczuła, że oddech więźnie jej w gardle, albowiem głos należał do kobiety w bieli. Przeniosła wzrok na dół kartki, gdzie list kończyły ozdobne inicjały:

*Twoja wdzięczna i kochająca BB.*

CZEŚĆ DRUGA  
**Wyjątkowi goście**

## V

Zanim pojawił się mój nowy gość i zanim Stowarzyszenie Historyków Sztuki otworzyło muzeum, przez długi czas nikt tu nie mieszkał. Musiałam zadowalać się obecnością przypadkowych dzieci, które przychodziły tu w tygodniu popołudniami i wchodziły do środka przez okna na parterze, żeby zaimponować przyjaciółom. Czasami, kiedy byłam w nastroju, trzaskałam drzwiami albo trzęsłam okiennicami, aż uciekały z piskiem, potykając się o własne nogi.

Ale brakowało mi odpowiedniego towarzystwa. W ciągu ostatnich stu lat miałam kilku gości – bardzo nielicznych – których naprawdę pokochałam. Teraz, kiedy ich nie ma, raz na tydzień muszę znosić natłok ciekawskich i urzędników, którzy z uśmiechem na ustach analizują moją przeszłość. Turyści rozmawiają często o Edwardzie, choć mówią o nim „Radcliffe” albo „Edward Julius Radcliffe”, zupełnie jakby był nadętym starcem. Ludzie zapominają, jaki był młody, kiedy mieszkał w tym domu. Skończył zaledwie dwadzieścia dwa lata, kiedy postanowiliśmy wyjechać z Londynu. Z powagą i szacunkiem rozmawiają o sztuce, wyglądają przez okna i wskazując na rzekę, mówią rzeczy w stylu: „Oto widok, który stał się inspiracją do namalowania serii obrazów *W górnym biegu Tamizy*.”

Fanny również ich interesuje. Stała się bohaterką tragiczną... nie do pomyślenia dla kogoś, kto znał ją za życia. Ludzie snują domysły, gdzie „to” się wydarzyło. Artykuły w gazetach nigdy nie były w tej kwestii zgodne i przeczyły sobie nawzajem, i choć tamtego dnia w domu znajdowało się więcej osób, ich zeznania były niejasne, a historia pogrzebała szczegóły. Ja sama nie widziałam, jak do tego doszło – nie było mnie wtedy w pokoju – ale dziwnym zrzędzeniem losu udało mi się przeczytać raporty policyjne. Jeden

z moich poprzednich gości, Leonard, wszedł w posiadanie cudownie przejrzystych kopii, nad którymi spędziliśmy wiele spokojnych wieczorów. Oczywiście były to wyssane z palca brednie, ale tak to się wówczas robiło. I może nadal tak jest.

Portret Fanny namalowany przez Edwarda, ten, na którym ma na sobie zieloną aksamitną suknię, a na szyi szmaragd w kształcie serca, został zakupiony przez stowarzyszenie, kiedy zaczęli wpuszczać tu turystów. Wisi na ścianie sypialni na pierwszym piętrze, naprzeciw okna z widokiem na sad i dróżkę prowadzącą na wiejski cmentarz. Zastanawiam się czasem, co powiedziała by na to Fanny. Łatwo wpadała w złość i nie podobała jej się sypialnia, z której okna widać było nagrobki. Pamiętam, jak Edward, chcąc ją uspokoić, mówił: „To tylko inny rodzaj snu. Nic więcej. Tylko długi sen, w jaki zapadają umarli”.

Czasami ludzie zatrzymują się przed jej portretem i porównują go z mniejszym zdjęciem wydrukowanym w broszurze; komentują jej śliczną twarz, uprzywilejowane życie i snują domysły na temat tego, co wydarzyło się tamtego dnia. Przede wszystkim jednak kręcą głowami i wzdychają ze smutkiem, jak gdyby wspomnianie czyjejś tragedii było jedną z najlepszych rozrywek. Rozmyślają o ojcu Fanny i jego pieniądzach, o jej narzeczonym, który pogrzyżył się w rozpacz, i liście otrzymanym przez nią od Thurstona Holmesa na tydzień przed śmiercią. Wiem jedno: ofiary morderstw budzą niezmiennie zainteresowanie. (Chyba że jesteś dziesięcioletnią sierotą mieszkającą przy Little White Lion Street; wówczas bycie zamordowaną oznacza tyle, że nie żyjesz).

Turyści mówią też – a jakże – o Błękanie Radcliffe’ów. Otwierają szeroko oczy i podekscytowani zastanawiają się, co się stało z naszymi. „Rzeczy tak po prostu nie znikają” – mówią.

Czasami rozmawiają nawet o mnie. I znowu muszę podziękować mojemu młodemu żołnierzowi, Leonardowi, bo on pierwszy napisał książkę, w której przedstawił mnie jako kochankę Edwarda. Do tego czasu byłam jedną z jego modelek. Książkę można kupić w sklepie z pamiątkami i od czasu do czasu miga mi zdjęcie Leonarda zamieszczone z tyłu okładki. Przypominam sobie wtedy jego pobyt w tym domu i jak w środku nocy krzyczał: „Tommy!”.

Turyści, którzy w soboty przechadzają się po domu z wystudiowanymi minami i rękami założonymi za plecami, nazywają mnie Lily Millington, co jest zrozumiałe, zważywszy na to, jak wszystko się potoczyło. Niektórzy zastanawiają się nawet, skąd się wzięłam, co się ze mną stało i kim naprawdę byłam. Tych lubię, chociaż nie mają racji. Zawsze miło, gdy ktoś o nas myśli.

Bez względu na to, ile razy słyszę „Lily Millington” wypowiedane na głos przez obce osoby, dźwięk tego imienia i nazwiska zawsze mnie zaskakuje. Próbowалам szeptać im do ucha swoje prawdziwe imię, ale tylko nieliczni mnie usłyszeli, jak mój mały przyjaciel z wpadającą do oczu grzywą kasztanowych włosów. Nic dziwnego: dzieci są pod każdym względem bardziej spostrzegawcze od dorosłych.

Pani Mack mawiała, że ci, którzy nadstawiają ucha na plotki, usłyszą przykre rzeczy na swój temat. Pani Mack mówiła wiele rzeczy, ale w tym przypadku miała rację. Zapamiętano mnie jako złodziejkę. Dziewczynę, która próbowała się wybić ponad swój stan.

I swego czasu byłam jedną i drugą. I wieloma innymi. Ale jest coś, o co niesłusznie się mnie oskarża. Nigdy nie byłam morderczynią. Nie wystrzeliłam ze strzelby, z której tamtego dnia zabito biedną Fanny Brown.

\*

Mój gość jest tutaj od półtora tygodnia. Minęła sobota, kiedy to wymknął się z domu najwcześniej, jak mógł – ach, gdybym mogła zrobić to samo! – a po niej kilka dni, kiedy robił dokładnie to samo co w ubiegłym tygodniu. Zaczęłam wątpić, że dowiem się, co właściwie go tu sprowadza, bo nie jest tak rozmowny jak pozostali: nigdy nie zostawia na wierzchu żadnych papierów, z których mogłabym się czegoś dowiedzieć, ani nie prowadzi długich pouczających rozmów.

Ale dziś wieczorem, w końcu, był telefon. Rezultat jest taki, że wiem, po co tu przyjechał. I wiem, jak się nazywa. Jack... Jack Rolands.

Cały dzień spędził poza domem, tak jak ma w zwyczaju. Wszedł rano, zabierając ze sobą łopatę i torbę z aparatem. Ale kiedy wrócił, od razu widziałam, że zaszła w nim jakaś zmiana. Przede wszystkim podstawił łopatę

pod kran na zewnątrz przybudówki i umył ją do czysta. Najwyraźniej nie zamierzał więcej kopać.

Zmieniło się też jego zachowanie, zrobił się bardziej swobodny, jakby w końcu podjął jakąś decyzję. Wszedł do domu i upiekł na kolację kawałek ryby. Już samo to było do niego niepodobne, bo do tej pory dał się poznać jako człowiek, który żywi się głównie zupami z puszek.

Ten nietypowy posiłek jeszcze bardziej mnie zaintrygował. Pomyślałam, że skończył to, po co tutaj przyjechał. I wtedy, jak gdyby na potwierdzenie moich przypuszczeń, zadzwonił telefon.

Jack najwyraźniej się go spodziewał. Jedząc kolację, kilkakrotnie zerkał na telefon, jakby sprawdzał, która jest godzina, a gdy w końcu odebrał, wiedział, kto dzwoni.

Z początku martwiłam się, że telefonuje Sarah, by odwołać ich jutrzejszy lunch, ale to nie była ona. Dzwoniła niejaka Rosalind Wheeler z Sydney, a rozmowa nie miała nic wspólnego z dwiema dziewczynkami na zdjęciu Jacka.

Przysłuchiwałam się jej, siedząc na kuchennej ławie, i usłyszałam, jak Jack wymawia imię, które tak dobrze znam.

Do tego momentu rozmowa opierała się głównie na wymianie zdawkowych uprzejmości, a później Jack, który nie wygląda na kogoś, kto lubi owijać w bawełnę, powiedział:

– Niestety, muszę panią rozczarować. Od dziesięciu dni sprawdzam miejsca z pani listy. Nie ma tu kamienia.

Jest tylko jeden kamień, o którym ludzie wspominają z szacunkiem dla Edwarda i jego rodziny, dlatego od razu wiedziałam, czego szuka. Przyznam, że poczułam się lekko rozczarowana. Wszystko jest takie przewidywalne. Ale przecież tacy są ludzie... zazwyczaj. Nic na to nie mogą poradzić. Zresztą nie mnie oceniać poszukiwacza skarbów.

Zaintrygowało mnie jednak to, że Jack szukał Błękitu Radcliffe'ów tutaj, w Birchwood. Z podsłuchanych w muzeum rozmów wiedziałam, że brylant nie popadł w zapomnienie – wręcz przeciwnie, ludzie nadal zachodzą w głowę, co się z nim stało – ale Jack jako pierwszy postanowił szukać go tutaj. Odkąd w gazetach ukazały się pierwsze artykuły, zakładano, że w roku 1862

naszyjnik trafił do Ameryki, gdzie zapadł się pod ziemię. Leonard posunął się w tych spekulacjach o krok dalej, twierdząc, że to ja wyniosłam klejnot z domu. Mylił się i w głębi duszy jestem pewna, że dobrze o tym wiedział. Przekonały go raporty policyjne – kuriozalne śledztwo prowadzone niewłaściwie po śmierci Fanny. Mimo to myślę, że się rozumieliśmy, on i ja.

Fakt, że Jack przyjechał do Birchwood – przysłany przez tę kobietę, panią Wheeler – by szukać tutaj Błękitu Radcliffe'ów, intrygował mnie i zastanawiałam się nad tym, kiedy usłyszałam, jak mówi:

– Mówi pani tak, jakby pani chciała, żebym włamał się do domu.

Natychmiast nadstawiłam ucha.

– Wiem, ile to dla pani znaczy – ciągnął – ale nie włamię się tam. Ludzie, którzy prowadzą to miejsce, dali mi jasno do zrozumienia, że zakwaterowanie jest warunkowe.

Zaferowana, podeszłam bliżej, nie zdając sobie z tego sprawy. Jack zadrżał gwałtownie i zostawił telefon na stole, a sam poszedł zamknąć okno. Musiał coś wcisnąć, bo nagle usłyszałam jego rozmówczynię. Głos niemłodej kobiety mówiącej z amerykańskim akcentem:

– Panie Rolands, zapłaciłam panu za tę robotę.

– A ja sprawdziłem wszystkie miejsca z pani listy: las, zakole rzeki, wzgórze na polanie, wszystkie miejsca, o których Ada Lovegrove wspominała w listach do rodziców.

Ada Lovegrove.

Tak dawno nie słyszałam tego imienia i nazwiska, że ogarnęło mnie głębokie wzruszenie. Kim była kobieta po drugiej stronie słuchawki? Ta Amerykanka dzwoniąca z Sydney. I jak weszła w posiadanie listów Ady Lovegrove?

Tymczasem Jack ciągnął:

– Nie ma tu klejnotu. Przykro mi.

– Mówiłam panu, panie Rolands, że jeśli nie znajdzie pan niczego we wskazanych miejscach, wcielimy w życie plan B.

– Ale nie było mowy o włamywaniu się do muzeum.

– To dla mnie bardzo ważne. Jak pan wie, sama bym się tym zajęła, gdyby nie to, że nie mogę latać.



- Proszę posłuchać, przykro mi, ale...
- Chyba nie muszę panu przypominać, że resztę pieniędzy otrzyma pan dopiero wtedy, kiedy dostanę to, na co się umawialiśmy.
- Mimo to...
- Prześlę panu w mailu dalsze instrukcje.
- Pójdę tam w sobotę, kiedy muzeum jest otwarte, i rozejrzę się. W sobotę, nie wcześniej.

Kobieta była wyraźnie niezadowolona, ale Jack pozostał niewzruszony. Sprawia wrażenie człowieka, którego nic nie jest w stanie wyprowadzić z równowagi. To dobra cecha, choć nie wiedzieć czemu, powoduje, że mam ochotę wystawić jego cierpliwość na próbę. Chociaż troszkę. Obawiam się, że zrobiłam się nieco przekorna; niewątpliwie to wina nudy i jej bliźniaczej siostry – frustracji. To również wina tego, że znałam Edwarda, dla którego żywiołowość była pięknem i który tak namiętnie bronił swoich ideałów, że trudno było się nie wzruszyć.

Po telefonie poczułam wzburzenie. Kiedy Jack wyciągnął swój aparat i zaczął przenosić obrazy do komputera, wycofałam się do ciepłego kącika na zakręcie schodów, by zastanowić się, co to wszystko znaczy.

Poniekąd powód mojego niepokoju był oczywisty. Zdumiała mnie wzmianka o Adzie Lovegrove. Wraz z nią wróciły wspomnienia i pytania. Kojarzenie Ady z Błękitem Radcliffe'ów nie było pozbawione sensu, ale zdumiewało mnie, że ktoś zainteresował się tym właśnie teraz, przeszło sto lat po jej krótkim pobycie w tym domu.

Mój niepokój miał jednak jeszcze inne źródło. Mniej oczywiste. Niezwiązane z Adą. Uświadomiłam sobie jakie: Jack nie zgodził się zrobić tego, czego żądała od niego Rosalind Wheeler. Ale nie o panią Wheeler mi chodziło, niepokoiło mnie to, że Jack zakończył swoją misję tutaj. Że nie miała ona nic wspólnego z dziewczynkami na zdjęciu i że on wyjedzie.

A ja tego nie chciałam.

Wręcz przeciwnie, bardzo chciałam, żeby został i wszedł do mojego domu. Nie w sobotę razem z innymi, ale sam.

W końcu to mój dom, nie ich. Wprawdzie niechętnie, ale pozwoliłam im go używać, bo tym, co robią, składają hołd Edwardowi, który zasługiwał na

znacznie więcej niż to, co go spotkało. Ale to mój dom i jeśli zechcę, będę podejmowała w nim gości.

Dawno już nie miałam swoich gości.

I tak wróciłam na dół do dawnego domku dozorczy, gdzie razem z Jackiem siedzimy teraz – on ze spokojem wpatruje się w zdjęcia, a ja z niepokojem wpatruję się w niego.

Przegląda obraz po obrazie, a ja obserwuję drobne zmiany, które zachodzą w jego twarzy. Wszystko jest ciche i nieruchome. Słyszę mój zegar tykający w głębi domu, zegar, który Edward podarował mi tamtego lata, tuż przed tym, jak tu przyjechaliśmy. „Będę cię kochał po kres czasu” – obiecał tamtego wieczoru, kiedy postanowiliśmy go zawiesić.

W ścianie za plecami Jacka są drzwi do kuchni. A w kuchni jest wąskie wejście na kręte schody, które prowadzą na pierwsze piętro. W połowie drogi na górę znajduje się parapet okienny, dość szeroki, by mogła na nim usiąść kobieta. Pamiętam pewien dzień w lipcu, przesycone zapachem powietrze, które pieściło moją gołą szyję; rękawy Edwarda podwinięte do łokci; wierzch jego dłoni muskający mój policzek...

Jack przestał pisać. Siedzi bez ruchu, jakby próbował usłyszeć odległą melodię. Po chwili znowu skupia się na ekranie.

Pamiętam, jak Edward szukał mnie wzrokiem, jak serce tłukło mi się w piersi; pamiętam słowa, które szeptał mi do ucha, jego ciepły oddech na mojej skórze...

Jack zerka na drzwi za plecami.

Nagle rozumiem. Podchodzę bliżej.

*Wejdz do środka, szepczę.*

Nieznacznie ściąga brwi. Łokieć ma oparty na stole, brodę wspartą na pięści. Patrzy na drzwi.

*Wejdz do mojego domu.*

Wstaje, podchodzi do drzwi i przykłada do nich dłoń. Wydaje się zakłopotany, jak ktoś, kto próbuje rozgryźć zadanie matematyczne, którego wynik okazał się inny, niż się tego spodziewał.

Stoję tuż obok.

*Otwórz drzwi...*

On jednak tego nie robi. Odchodzi. Opuszcza pokój.

Idę za nim, siłą woli próbując zmusić go do powrotu, ale on podchodzi do starej walizki, w której trzyma ubrania, przez chwilę przetrząsa jej zawartość, aż w końcu wyjmuje czarny mały komplet narzędzi. Stoi, patrzy na niego i podrzuca go w dłoni, jak gdyby próbował określić jego wagę. Dopiero po chwili dociera do mnie, że nad czymś się zastanawia. W końcu, zdeterminowany, odwraca się.

Idzie!

Po jednej stronie drzwi znajduje się alarm zamontowany przez członków stowarzyszenia po tym, jak kolejny dozorca zrezygnował z posady. Działa jak mechanizm zegarowy i uruchamia się w każdą sobotę po południu, kiedy muzeum na kolejny tydzień zamyka swoje podwoje. Patrzę z przejęciem, jak Jack wyłącza go przy użyciu przedmiotu, który wyjął z pudełeczka. Następnie wytrychem otwiera zamek. Robi to z taką łatwością, że od razu myślę o Kapitanie, który z pewnością byłby pod wielkim wrażeniem jego umiejętności. Drzwi się otwierają i zanim się spostrzegam, Jack przechodzi przez próg.

W moim domu jest ciemno, a on nie wziął ze sobą latarki. Jedynym źródłem światła jest księżyc, którego srebrzysty blask wlewa się do środka przez okna. Jack wychodzi przez kuchnię na korytarz i tam się zatrzymuje. Rozgląda się powoli i rusza po schodach na górę, na poddasze. Tam znowu się zatrzymuje.

Chwilę później tą samą drogą wraca do starej słodowni.

Chciałabym, żeby został, żeby zobaczył więcej. Ale uspokajam się, widząc pełen zadumy wyraz jego twarzy, kiedy wychodzi. Mam przecucie, że wróci. Ludzie na ogół wracają, kiedy się nimi zainteresuję.

Pozwalam mu więc odejść i zostaję sama w ciemnym domu, podczas gdy on rygluje drzwi z drugiej strony.

\*

Zawsze podziwiałam mężczyzn, którzy potrafią otworzyć wytrychem zamek. Kobiety również. To вина mojego wychowania: pani Mack, która

wiedziała wiele o życiu, a jeszcze więcej o interesach, mawiała, że człowiek, który natyka się na zamek, zawsze powinien zakładać, że po drugiej stronie znajduje się coś, co warto byłoby zobaczyć. Sama nigdy nie radziłam sobie z wytrychami, przynajmniej oficjalnie. Pani Mack zajmowała się wieloma rzeczami i wierzyła, że różnorodność jest kluczem do sukcesu... lub, jak to ujmowała – i były to słowa, które mogłyby zostać wyryte na jej nagrobku – „Istnieje wiele sposobów na oskórowanie kota”.

Byłam dobrą złodziejką. Jak przewidziała pani Mack, miałam zręczne ręce. Ludzie upatrywali złodziei w brudnych ulicznych urwisach i widok takiego dziecka wzmagał ich czujność. Ale czyste małe dziewczynki w ładnych sukienkach, z sięgającymi ramion miedzianymi puklami, były poza wszelkim podejrzeniem. Moje pojawienie się w domu pani Mack pozwoliło jej rozszerzyć interes poza granice Leicester Square, aż do Mayfair na zachodzie i Lincoln's Inn Fields i Bloomsbury na północy.

Na samą myśl o tym Kapitan z radością zacierał ręce.

– To tam mieszkają bogacze – mówił. – A ich kieszenie pełne są łupów, które tylko czekają, by ktoś ich od nich uwolnił.

Sposób na Małą Zagubioną Dziewczynkę był prosty. Miałam stać na widoku z żalną miną. Łzy były przydatne, lecz nie niezbędne, a ponieważ wymagały dodatkowych pokładów energii i niełatwo było je powstrzymać, gdy uznałam, że złowiłam niewłaściwą rybkę, rzadko robiłam z nich użytek. Szybko odkryłam w sobie szósty zmysł, który podpowiadał mi, dla kogo warto się starać.

Kiedy obok mnie pojawiał się właściwy dżentelmen, a wcześniej czy później zawsze jakiś się zjawiał i pytał, gdzie mieszkam i dlaczego jestem sama, opowiadałam mu swoją smutną historię i podawałam stosowny adres – nigdy nie na tyle znany, by można go było rozpoznać – i pozwalałam wsadzić się do dorożki, która miała zawieźć mnie do domu. Okradanie pomocnych dżentelmenów przychodziło mi z łatwością. Ludzie, którzy wyświadczają nam przysługi, są przeświadczeni o słuszności swojego postępowania, która przyćmiewa zdrowy rozsądek i zakłada im klapki na oczy.

Ale sposób na Małą Zagubioną Dziewczynkę wymagał stania w jednym miejscu, co było nudne, a zimą mokło się, marzło i było nieprzyjemnie. Szybko

odkryłam, że istnieje inny sposób na podobne zyski, lecz w nieco przyjemniejszych warunkach. I taki, że nie musiałam się martwić, co zrobić z dżentelmenem, który upierał się, by towarzyszyć mi w drodze do „domu”. Pani Mack ceniła pomysłowość: była urodzoną oszustką, otwartą na nowe pomysły, a poza tym doskonale sprawdzała się w roli krawcowej. Tak więc kiedy przedstawiłam jej swój pomysł, szybko wystarała się dla mnie o parę rękawiczek z koźlęcej skórki, które dopasowała do moich potrzeb.

Tak narodziła się Mała Pasażerka, cicha dziewczynka, której praca różniła się od pracy Małej Zagubionej Dziewczynki. Podczas gdy ta druga próbowała zwrócić na siebie uwagę, Mała Pasażerka robiła wszystko, by nie rzucić się w oczy. Często podróżowała omnibusami, siedząc przy oknie z rękawiczkami z koźlęcej skórki złożonymi skromnie na kolanach. Ta mała niewinna istotka wzbudzała sympatię samotnie podróżujących dam, które chętnie się do niej przysiadły. Lecz kiedy owe damy odprężyły się, zajęte rozmową, podziwianiem widoków za oknem, książką albo bukietem, rączki Małej Pasażerki – dotychczas skrzętnie ukryte – sięgały między suto marszczone spódnice, aż natrafiały na kieszeń albo torebkę. Wciąż pamiętam to uczucie: chłód i gładkość jedwabiu, zwinne ruchy moich placów, podczas gdy giemzowe rękawiczki przez cały czas leżały na moich kolanach, nie wzbudzając podejrzeń.

U niektórych woźniców za niewielką opłatą można było wykupić siedzenie na cały dzień. A w dni, kiedy woźnica był nieprzekupny, na bogate ulice wracała Mała Zagubiona Dziewczynka, samotna i przerażona.

W tamtych dniach wiele dowiedziałam się na temat ludzi. Na przykład:

1. Przywileje sprawiają, że ludzie, zwłaszcza kobiety, robią się ufni. Życie nie przygotowuje ich na to, że ktoś może chcieć ich skrzywdzić.

2. Nic nie jest tak pewne jak to, że dżentelmen lubi, gdy inni widzą go, jak pomaga.

- 3 Sztuka iluzji polega głównie na tym, by wiedzieć, co ludzie chcą zobaczyć, i zadbać o to, by to zobaczyli.

To ostatnie zrozumiałam dzięki francuskiemu magikowi w Covent Garden, bo poszłam za radą Lily Millington i obserwowałam go uważnie, aż odkryłam, w jaki sposób „wyczarowywał” monety.

Dowiedziałam się też, że jeśli wydarzy się najgorsze i ktoś zacznie krzyczeć za mną „Łapcie ją! To złodziejka!”, moim największym sprzymierzeńcem będzie Londyn. Dla znającego okolicę drobnego dziecka uliczny zgiełk i tłok stanowiły najlepsze schronienie; łatwo zniknąć w gąszczu nóg, zwłaszcza gdy ktoś ma przyjaciół. Za to również musiałam podziękować Lily Millington. To dzięki niej poznałam mężczyznę noszącego podwójną tablicę reklamową, który przypadkiem zawsze wpadał na goniącego mnie konstabla; kataryniarza, którego katarynka przedziwnym zbiegiem okoliczności wjeżdżała pod nogi moich prześladowców; i oczywiście francuskiego magika, który oprócz monet potrafił we właściwym czasie wyczarować właściwy portfel, tak że gdy ścigający mnie ludzie zatrzymywali się oburzeni, ja znikałam w tłumie.

Byłam złodziejką. W dodatku dobrą. I zarabiałam na sobie.

Dopóki wracałam do domu z łupami, pani Mack i Kapitan byli zadowoleni. Ona powtarzała mi często, że moja matka była prawdziwą damą, że kobiety, które okradam, w niczym nie są ode mnie lepsze i że dobrze robię, pozbawiając je kosztowności. Pewnie chciała w ten sposób zagłuszyć we mnie wyrzuty sumienia.

Niepotrzebnie się martwiła. Wszyscy robimy w życiu rzeczy, których potem żałujemy; okradanie bogaczy z błyskotek nie jest wysoko na mojej liście.

\*

Byłam niespokojna po tym, jak Jack ubiegłej nocy wyszedł z mojego domu. On zresztą też nie spał najlepiej i wstał bladym fioletoworóżowym świtem. To dzień jego spotkania z Sarah, na które przygotowuje się od kilku godzin. Zadbał o to, by wyglądać elegancko, choć ubrania nie leżą na nim najlepiej.

W jego przygotowaniach wyczuwało się pewną ostrożność. Zauważyłam, jak zatrzymał się, by zetrzeć z rękawa nieistniejącą plamkę, i stał przed

lustrem dłużej niż zwykle; ogolił się i nawet przeczesał grzebieniem wilgotne włosy. Nigdy dotąd tego nie robił.

Kiedy skończył, stał przez chwilę bez ruchu, jakby oceniał własne odbicie. W pewnej chwili spojrzął w bok i przez ułamek sekundy myślałam, że patrzy na mnie. Serce podeszło mi do gardła, zanim uświadomiłam sobie, że spogląda na fotografię dwóch dziewczynek. Wyciągnął rękę i musnął kciukiem twarz jednej z nich.

Z początku myślałam, że jego zdenerwowanie ma związek z dzisiejszym spotkaniem, i pewnie po części tak właśnie jest. Ale zastanawiam się, czy nie chodzi o coś więcej.

Robiąc sobie herbatę, rozlał połowę, jak to ma w zwyczaju, i z tostem w dłoni podszedł do komputera stojącego na małym okrągłym stole na środku pokoju. W nocy dostał kilka wiadomości, w tym jedną zapowiedzianą od Rosalind Wheeler, która zawierała przydługą listę i jakiś szkic. Przeczytawszy ją, Jack podpiął do laptopa jakiś mały czarny przedmiot, wcisnął kilka klawiszy, po czym usunął przedmiot i schował go do kieszeni.

Nie jestem pewna, czy to, co przeczytał w mailu od Rosalind Wheeler, miało związek z tym, że dziś rano wrócił do mojego domu. Kiedy wstał od stołu, podeszłam bliżej i przeczytałam temat wiadomości: *Dalsze instrukcje: notatki Ady Lovegrove*, ale nie dowiedziałam się nic więcej, bo treść maila zasłaniała reklama prenumeraty „New Yorkera”.

Tak czy inaczej, wkrótce po przeczytaniu wiadomości zabrał swój miniaturowy zestaw narzędzi i kolejny raz otworzył drzwi do mojego domu.

Teraz jest tutaj razem ze mną.

Odkąd wszedł, niewiele zrobił; ruchy ma oszczędne, niespieszne. Jest w Pokoju Morwowym, stoi oparty o duże mahoniowe biurko pod oknem. Widać stąd kasztanowiec pośrodku ogrodu za domem, a nieco dalej stodołę. Ale Jack patrzy jeszcze dalej, na odległą rzekę, a na jego twarzy znowu maluje się troska. Mruga, kiedy podchodzę bliżej, i przenosi wzrok na łąkę i stodołę.

Pamiętam, jak tamtego lata leżałam z Edwardem na stryszku na siano, patrzyłam, jak słońce prześwieca przez szczeliny między dachówkami, i słuchałam, jak ściszym głosem opowiada mi o wszystkich miejscach na świecie, do których chciałby pojechać.

To tutaj, w tym pokoju, na szezlongu przy kominku, zdradził mi szczegóły planu namalowania królowej elfów. To tutaj uśmiechnął się, sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął czarne aksamitne pudełeczko z ukrytym w nim skarbem. Nadal czuję delikatne muśnięcie jego palców, kiedy zawieszał mi na szyi ten zimny niebieski kamień.

Może Jack próbuje znaleźć coś, co go rozproszy – sposób, by przetrwać minuty, które pozostały do wyjścia. Z pewnością myśli o spotkaniu z Sarah, bo co chwila zerka na mój zegar. Kiedy ten w końcu wskazuje właściwą godzinę, Jack w pośpiechu opuszcza dom, zamyka za sobą drzwi do kuchni i włącza alarm.

Idę za nim do furtki i patrzę, jak wsiada do samochodu i odjeżdża.

Mam nadzieję, że szybko wróci.

Tymczasem wracam do dawnej słodowni. Może w skrzynce jest więcej wiadomości od Rosalind Wheeler. Umieram z ciekawości, w jaki sposób weszła w posiadanie listów Ady Lovegrove.

Biedna mała Ada. Dzieciństwo to najokrutniejszy czas w życiu człowieka. Pełen kontrastów – jednego dnia dryfujesz beztrosko pośród srebrzystych gwiazd, a drugiego błędzisz po czarnych lasach rozpaczy.

\*

Po śmierci Fanny, kiedy śledztwo policyjne dobiegło końca, pozostali wyjechali z posiadłości Birchwood i na długo wszystko pograżyło się w ciszy i spokoju. Dom odpoczywał. Dwadzieścia lat później wróciła Lucy. To wtedy dowiedziałam się, że Edward nie żyje i że zostawił ten dom, podobnie jak większość swoich rzeczy, najmłodszej siostrze.

Było to do niego podobne, uwielbiał bowiem siostry, a one uwielbiały jego. Wiem jednak, dlaczego wybrał Lucy. Zakładał, że Clare będzie potrafiła o siebie zadbać, wyjdzie dobrze za mąż albo przekona kogoś, żeby się nią zaopiekował, ale Lucy była inna. Nigdy nie zapomnę, jak zobaczyłam ją po raz pierwszy, tę bladą, czujną twarz w oknie na piętrze domu z ciemnej cegły w Hampstead, kiedy Edward przywiózł mnie do pracowni w ogrodzie matki.



Lucy na zawsze pozostanie dla mnie tamtym dzieckiem: dziewczynką, która nie znosiła ograniczeń Londynu i rozkwitała z chwilą, gdy przyjeżdżała na wieś, gdzie mogła do woli odkrywać, kopać i zbierać. Pamiętam ją jak dziś, kiedy tamtego lata przyjechaliśmy do domu. Spacer ze stacji kolejowej i Lucy, która wlokła się z tyłu, bo jej kufer pełen był cennych książek, a ona nie zgodziła się załadować go na powóz razem z resztą.

Ależ byłam zaskoczona, gdy przyjechała obejrzeć dom. Mała Lucy zmieniona w poważną, surową kobietę. Miała trzydzieści trzy lata i według ówczesnych standardów nie była już młoda. Ale to wciąż była Lucy, w praktycznej długiej spódnicy w nietwarzowym odcieniu oliwkowej zieleni i koszmarnym kapeluszu, którego widok nieodmiennie mnie rozczulał. Ukryte pod nim włosy zaczynały się rozsypywać – nigdy nie potrafiła ich upiąć – a jej buty oblepiała gruba warstwa błota.

Nie oglądała wszystkich pokoi, bo nie musiała. Znała ten dom i jego sekrety równie dobrze jak ja. Weszła tylko do kuchni, po czym uścisnęła dłoń prawnikowi i powiedziała mu, że może sobie iść.

– Ale panno Radcliffe... – zaczął skonsternowany. – Może chciałaby pani, żebym ją oprowadził po posiadłości?

– To nie będzie konieczne, panie Matthews.

Czekała, patrząc, jak prawnik znika na końcu podjazdu, a potem odwróciła się od okna i przez długą chwilę stała bez ruchu. Podeszłam blisko, przyglądając się zmarszczkom, które czas wyrzył na jej twarzy. Pod nimi wciąż widziałam małą Lucy, albowiem ludzie się nie zmieniają. Starzeją się, ale wciąż pozostają tacy jak wtedy, kiedy byli młodzi, tylko bardziej wąтли i smutniejsi. W tamtej chwili niczego nie pragnęłam bardziej, niż ją objąć. Lucy, która zawsze była moją sojuszniczką.

Nagle podniosła wzrok, zupełnie jakby patrzyła prosto na mnie. Albo przeze mnie. Coś wyrwało ją z zamyślenia, zignorowała mnie więc, wyszła na korytarz i ruszyła schodami na górę.

Zastanawiałam się, czy zamierza zamieszkać tu, w Birchwood. Mimo wszystko miałam nadzieję, że zostanie. I wtedy zaczęto zwozić rzeczy: najpierw drewniane pudło, a po nim biurka, krzesła i małe żelazne łóżka.

Tablice i pudełka z kredą, aż w końcu pojawiła się surowa kobieta, niejaka Thornfield, której tabliczka na biurko głosiła *Zastępca dyrektora*.

Szkoła. Ucieszyło mnie to. Mała Lucy zawsze była głodna wiedzy. Edward byłby szczęśliwy, bo gdy szliśmy ulicą, co rusz ciągnął mnie do tej lub tamtej księgarni, by wybrać dla Lucy nową książkę. Jej ciekawość świata była nienasycona.

Czasami nadal słyszę uczennice. Odległe ciche głosy, gdy śpiewały, kłóciły się, śmiały, płakały do poduszki, błagały rodziców, by zmienili zdanie i zabrali je do domu. Ich głosy zostały uwięzione w murach domu.

W ciągu lat, które spędziłam z panią Mack, Martinem i Kapitanem, czekałam, aż tata wróci po mnie z dalekiej Ameryki, ale nie płakałam. W liście, który zostawił u pani Mack, mówił jasno i wyraźnie: miałam być dzielna i grzeczna, przykładać się do pracy i pomagać, a przede wszystkim słuchać pani Mack, której zaufałam i która miała się mną opiekować.

– Kiedy wróci? – pytałam.

– Sprowadzi cię, kiedy zadomowi się w nowym miejscu.

W sercu porzuconego dziecka jest rana, która nigdy się nie zagoi. Taką ranę dostrzegłam u Edwarda i czasami się zastanawiam, czy to właśnie ona zbliżyła nas do siebie. Bo przecież Edward również został porzucony, kiedy był małym chłopcem. On i jego siostry zamieszkali z wiecznie niezadowolonymi dziadkami, podczas gdy ich rodzice podróżowali po świecie.

To samo dostrzegłam u Ady Lovegrove.

Przez te lata często o niej myślałam. O nieżyczliwości dzieci. O tym, jak usychała z tęsknoty. O tamtym dniu nad rzeką.

Tak dawno temu, a zdaje się, jakby to było wczoraj. Nie muszę się wysilać, żeby zobaczyć ją, jak siedzi po turecku na łóżku na poddaszu, jak gorące łzy wściekłości płyną jej po twarzy, jak skrobie piórem po papierze, prosząc, błagając rodziców, by po nią wrócili.

# ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

## *Lato 1899*

Ada Lovegrove miała wysokiego, bogatego ojca i elegancką, bystrą matkę i obojga nienawidziła równie mocno. Nienawiść ta była świeża – do dwudziestego piątego kwietnia Ada uwielbiała rodziców – lecz głęboka. Wakacje, mówili, krótka wycieczka z powrotem do Anglii. Och, Ada, skarbie, pokochasz Londyn, teatry, Pałac Westminsterski! Zaczekaj, aż zobaczysz, jak łagodna i zielona jest latem angielska wieś! Jak delikatna i kwiecista, pełna kapryfolium i pierwiosnków, wąskich ścieżek i żywopłotów...

Rozważała te obce słowa – wymawiane z romantyczną tęsknotą, której nie rozumiała i której nie ufała – z obojętnością archeologa tworzącego obraz odległej cywilizacji. Urodziła się w Bombaju i Indie były częścią niej, tak jak nos na jej twarzy i pokrywające go piegi. Nie rozumiała takich słów jak „łagodna”, „delikatna” i „wąskie”. Jej świat był rozległy, gwałtowny i upalny. Był miejscem nieopisanego piękna – cudnych kwiatów na tarasie i przyprawiających o zawrót głowy słodkich zapachów, które nocą unosiły się w powietrzu – i niespodziewanego okrucieństwa. Był jej domem.

Matka poinformowała ją o wyjeździe na „wakacje” w pewne marcowe popołudnie, kiedy Ada spożywała wieczorny posiłek. Jadła w bibliotece, ponieważ Mamma i Papa wydawali kolację i służba nakrywała właśnie do sprowadzonego z Londynu wielkiego mahoniowego stołu w jadalni. Biblioteka pełna była książek (również sprowadzonych z Londynu); na ich grzbietach widniały nazwiska takie jak Dickens, Brontë i Keats. Na skraju biurka leżał zbiór sztuk, z którego Mamma uczyła ją *Burzy*. Upał sprawiał, że

włosy lepiły jej się do czoła, a leniwa mucha, bzycząc monotennie, latała w kółko po pokoju.

Ada myślała o Kalibanie i Prosperze – zastanawiając się, dlaczego Mamma ściągnęła z dezaprobatą brwi, gdy ona powiedziała, że żal jej Kalibana – lecz wzmianka o „krótkiej wycieczce do Anglii” wyrwała ją z zamyślenia.

Kiedy koronkowe zasłony poruszyły się na gorącym, wilgotnym wietrze, zapytała:

– Ile będzie trwała podróż?

– Dużo krócej niż przed otwarciem kanału. Kiedyś podróżowaliśmy koleją.

Dla Ady, która nie umiała pływać, podróż koleją brzmiała bardziej zachęcająco.

– Co będziemy tam robić?

– Różne rzeczy. Odwiedzimy rodzinę i przyjaciół, będziemy zwiedzać. Nie mogę się doczekać, kiedy pokażę ci miejsca, które pamiętam z dzieciństwa, galerie, parki, pałac i ogrody.

– Tu też mamy ogrody.

– Tak.

– I pałac.

– Ale nie taki, w którym mieszkają król i królowa.

– Jak długo tam będziemy?

– Wystarczająco długo, żeby zrobić to, co trzeba, i ani chwili dłużej.

Ta odpowiedź, która tak naprawdę wcale nie była odpowiedzią, była niepodobna do Mammy, która zwykle cierpliwie odpowiadała na liczne pytania córki. Tym razem jednak Ada nie miała czasu, by wypytać ją o więcej.

– A teraz zmykaj. – Mamma odprawiła ją machnięciem smukłych palców. – Ojciec lada chwila wróci z klubu, a ja muszę ułożyć kwiaty. Mówiłam ci, że odwiedzi nas lord Curzon, więc wszystko musi być idealne.

Po wyjściu Ada kilka razy zrobiła gwiazdę na tarasie, patrząc, jak świat, niby w kalejdoskopie, z fioletowego staje się pomarańczowy, gdy lagerstremie i hibiskusy zamieniały się miejscami. Ogrodnik grabił trawnik, a jego pomocnik czyścił gięte trzcinowe meble na werandzie.

Zwykle uwielbiała robić gwiazdy, ale tego popołudnia nie miała do tego serca. Zamiast cieszyć się wirującym wokół niej światem, poczuła zawroty

głowy, a nawet mdłości. W końcu przycupnęła na skraju werandy nieopodal pajęczych lili.

Ojciec Ady był ważnym człowiekiem, a ich dom stał na szczycie wzgórza w centrum Bombaju, skąd rozciągał się widok na Wiszące Ogrody i widoczne za nimi Morze Arabskie. Była zajęta obrywaniem z wielkiej lilii długich białych macek i wdychaniem jej słodkiego zapachu, kiedy pojawiła się Shashi, jej *aaya*.

– Tu jesteś, *pilla* – powiedziała Shashi prostą angielszczyzną. – Chodź... twoja matka chce, żebyśmy wybrały owoce na deser.

Ada wstała i wzięła ją za wyciągniętą rękę.

Zazwyczaj lubiła chodzić na targ – był tam sprzedawca przekąsek, który częstował ją *chakkali*, kiedy szła za Shashi i jej ogromnym koszem, zatrzymując się przy kolejnych straganach z owocami i warzywami – ale dziś, po tym, czego dowiedziała się od matki, schodziła ze wzgórza, powłócząc nogami.

Na wschodzie gromadziły się burzowe chmury i Ada miała nadzieję, że będzie padać. Że strugi deszczu luną z nieba, gdy powozy gości zajadą przed ich dom. Westchnęła ciężko, obracając w myślach każde zdanie, które padło z matczynych ust, i szukając w nich ukrytego znaczenia. Anglia. Daleka kraina z dzieciństwa jej rodziców, królestwo tajemniczej, legendarnej Babki, ojczyzna ludzi, których ojciec Shashi nazywał „małpimi zadkami”...

– Jesteś dziś bardzo cicha, *pilla* – zauważyła Shashi w języku pendzabskim.  
– Nie myśl sobie, że mi się to nie podoba, moje uszy radują się z ciszy, ale zastanawiam się, czy coś się stało?

Ada, której słowa matki wciąż nie dawały spokoju, opowiedziała służącej przebieg rozmowy.

– A ja nie chcę jechać! – dodała na koniec.

– Jesteś uparta jak osiołek! Tyle krzyku o wycieczkę do domu?

– To ich dom, nie mój. Nie chcę jechać do Anglii i powiem o tym mamie, kiedy wrócimy do domu.

– Ale, *pilla* – zachodzące słońce zawisło nad horyzontem i napełniało morze złotem, które fale niosły z powrotem do brzegu – odwiedzisz wyspę.

Shashi była mądra, bo choć Ady nie interesowała Anglia, ciekawiły ją wyspy, a w swoim rozdrażnieniu zapomniała, że przecież Anglia jest częścią jednej z wysp na Morzu Północnym: różowej klepsydry na samej górze mapy. W gabinecie ojca stał globus, duża kremowa kula na ciemnym mahoniowym stojaku. Ada kręciła nim czasami, kiedy pozwalano jej wejść do przesiąkniętego zapachem cygar pomieszczenia, bo obracając się, wydawał urocze terkotliwe dźwięki, jak rój cykad. Odnalazłszy na nim wyspę o nazwie Wielka Brytania, oświadczyła ojcu, że jej zdaniem wcale nie wygląda na „wielką”. Kiedy to powiedziała, roześmiał się i stwierdził, że pozory mogą mylić.

– Na tej małej wyspie – rzekł z dumą, która nie wiedzieć czemu, irytowała Adę – znajduje się silnik, który napędza świat.

– No tak, wyspa może być – przyznała teraz. – Ale Wielka Brytania to wyspa małych zadków!

– *Pilla!* – Shashi stłumiła śmiech. – Nie możesz mówić takich rzeczy. A już na pewno nie przy rodzicach.

– Moi rodzice to małe zadki! – wypaliła Ada.

Rozkoszne ryzyko mówienia o dostojnych rodzicach bez należytego szacunku było niczym iskra, która rozpałała płomień, i Ada poczuła, że jej gniew zaczyna topnieć. Miała ochotę się roześmiać. Wzięła Shashi za wolną rękę i mocno ją uścisnęła.

– Ale ty musisz jechać ze mną, Shashi.

– Będę tu, kiedy wrócisz.

– Nie. Za bardzo będę za tobą tęskniła. Musisz jechać z nami. Mamma i Papa się zgodzą.

Aaya delikatnie pokręciła głową.

– Nie mogę płynąć z tobą do Anglii, *pilla*. Zwiędłabym jak zerwany kwiat. Moje miejsce jest tutaj.

– Moje też. – Dotarły do wzgórza i rosnących wzdłuż wybrzeża palm. Statki dau podskakiwały lekko na niskich falach, żagle miały opuszczone, a odziani na biało parsowie gromadzili się na brzegach na wieczorne modlitwy. Ada zatrzymała się i odwróciła w stronę oceanu. Ostatnie promienie zachodzącego

słońca wciąż grzały jej twarz. Przepęłniało ją dziwne uczucie, którego nie potrafiła nazwać, cudowne, a zarazem bolesne. – Moje też, Shashi.

Shashi posłała jej życzliwy uśmiech, ale nie dodała nic więcej. Już samo to było dziwne i Adę niepokoilo milczenie *aayi*. Wystarczyło jedno popołudnie, by świat się przechylił, a to, co do niedawna znajdowało się w środku, ześlizgnęło się z niego. Wszyscy dorośli w jej życiu zepsuli się, jak niezawodne niegdyś zegary, które nagle zaczęły wskazywać błędny czas.

Ostatnio często odnosiła takie wrażenie. Zastanawiała się, czy ma to jakiś związek z tym, że niedawno skończyła osiem lat. Może tak wyglądała dorosłość?

Wiatr niósł ze sobą zapach soli i przejrzałych owoców. Ślepy żebrak wyciągnął ku nim kubek, kiedy go mijaly. Shashi wrzuciła do niego monetę, a Ada najwyraźniej postanowiła zmienić taktykę, bo oświadczyła po chwili:

– Nie mogą mnie zmusić do wyjazdu.

– Mogą.

– To byłoby nie w porządku.

– Tak?

– Bardzo nie w porządku.

– Pamiętasz opowieść o szczurzym weselu?

– Oczywiście.

– Czy w porządku było, że szczur, który nie zrobił nic złego, skończył z przypalonym zadkiem?

– Nie!

– A co z niedźwiedziem, który nie umiał się targować? Czy to w porządku, że biedak zrobił wszystko, o co go proszono, a na koniec nie dostał ani *khichri*, ani gruszek?

– Nie!

– Sama widzisz.

Ada ściągnęła brwi. Aż do dziś nie miała pojęcia, że morał historii, które opowiadała jej Shashi, był taki, że życie pełne jest niesprawiedliwości.

– Niedźwiedź był *bevkuph*! Głupi. Na jego miejscu ukarałabym żonę drwala.

– Bardzo głupi – przyznała Shashi. – I wiem, że byś ją ukarała.

– Była kłamczuchą.

– Tak.

– I obżartuchem.

– Mmm. A skoro o obżartuchach mowa... – Dotarły na skraj zatłoczonego targowiska i Shashi powiodła Adę do jej ulubionego straganu z przekąskami. – Myślę, że musimy nakarmić ten twój mały pyszczek. Nie chcę słyszeć żadnych narzekań, kiedy będę wybierała owoce.

Trudno było się gniewać, trzymając w dłoni ciepłe, świeże, słone *chakkali* i słuchając pieśni parsów, wśród świec i kwiatów hibiskusa unoszących się na wodzie i zdobiących stragany, w świetle malowanym przez nadchodzący zmierzch na pomarańczowo i fioletoworóżowo. W tamtej chwili Ada czuła się tak szczęśliwa, że prawie zapomniała, o co się zezłościła. Rodzice chcieli zabrać ją w podróż na wyspę. Ot co.

Mamma kazała im szybko wracać, więc Shashi nie marudziła przy straganach, wybierając najlepsze papaje i kantalupy, a w drodze powrotnej do domu Ada nadal lizała ostatnie *chakkali*.

– Opowiesz mi o Księżniczce Oberżynie? – spytała.

– Znowu?

– To moja ulubiona bajka. – Tak naprawdę Ada lubiła wszystkie historie, które opowiadała jej Shashi. Nawet gdyby *aaya* czytała jej dyplomatyczne dokumenty ojca, słuchałaby jej z zapartym tchem; uwielbiała leżeć z Shashi – to imię znaczyło „księżyc” – gdy gasnące światło dnia rozpływało się pośród gwiazd, słuchać jej czarującego głosu i miękkich, lekko chropawych pendżabskich słów, z których *aaya* tknęła swe opowieści. – Proszę, Shashi.

– Może.

– Proszę!

– Dobrze. Jeśli pomożesz mi zanieść owoce na samą górę, wieczorem opowiem ci o Księżniczce Oberżynie i o tym, jak przechytrzyła złą królową.

– A może teraz, kiedy będziemy szły?

– *Bāndara!* – rzuciła Shashi, udając, że trzepie ją w ucho. – Małpko! Za kogo mnie masz, żeby prosić mnie o coś takiego?

Dziewczynka rozciągnęła usta w uśmiechu. Warto było spróbować, nawet jeśli wiedziała, że *aaya* powie „Nie”. Ada znała zasady. Najlepsi gawędziarze



snuli opowieści wyłącznie po zmroku. Wiele razy w upalne noce, kiedy leżały obok siebie w nadbudówce domu, z oknem otwartym na oścież, Shashi opowiadała o swoim dzieciństwie w Pendżabie. „Kiedy byłam w twoim wieku – mawiała – między wschodem a zachodem słońca nie było żadnych opowieści, bo trzeba było pracować. Moje życie nie było tak bajkowe jak twoje! Całymi dniami lepiałam placki z krowiego łajna, żeby w nocy było czym palić, moja matka siedziała przy kołowrotku, a ojciec i bracia orali pola wołami. W wiosce zawsze było coś do roboty”.

Ada wielokrotnie wysłuchiwała tego wykładu i choć wiedziała, że miał jej uświadomić, jak próżniacze i przyjemne jest jej życie, nie przeszkadzało jej to: w opowiadaniach Shashi o domu była magia, dzięki której brzmiały one równie cudownie jak baśnie, które rozpoczynała od słów: „Dawno, dawno temu”.

– Dobrze – powiedziała, biorąc mniejszy kosz i zawieszając go w zgięciu łokcia. – Dziś wieczorem. Ale jeśli prześcignę cię w drodze do domu, opowiesz mi bajkę o Księżniczce Oberżynie dwa razy!

– Małpko!

Ada puściła się pędem, a zaskoczona Shashi pisnęła radośnie. Chwilę później biegły już razem, zaśmiewając się do rozpuku, a kiedy dziewczynka kątem oka zerknęła na twarz *aayi*, na jej dobrotliwe oczy i szeroki uśmiech, wiedziała, że nigdy nie kochała nikogo tak mocno. Gdyby ktoś ją zapytał: „Kto jest najważniejszą osobą w twoim życiu?”, tak jak zła królowa zapytała Księżniczkę Oberżynę, by odkryć jej największą słabość, musiałaby wyznać, że jest nią Shashi.

Tak oto w gorące popołudnie w Bombaju zły nastrój Ady Lovegrove zniknął wraz z ostatnimi promieniami słońca. A gdy obie z Shashi dotarły do domu z pozamiatany tarasem, świeczkami płonącymi w szklanych słojach na werandzie, zapachem świeżo skoszonej trawy i dźwiękami fortepianu wylewającymi się zza otwartych okien, Ada doświadczyła uczucia spełnienia tak ekstatycznego i przytłaczającego, że upuściła kosz z owocami i wbiegła do środka, by powiedzieć mamie, że tak, dobrze, popłynie z nimi w podróż do dalekiej Anglii.

\*

Lecz rodzice Ady nie byli z nią szczerzy.

Po krętej podróży przez Kanał Sueski, którą Ada przestała pochylona nad burtą albo przeleżała w łóżku z wilgotną szmatką na czole, spędzili tydzień w Londynie. Przez kolejny tydzień podróżowali po Gloucestershire – Mamma zachwycała się wiosną i „porami roku”, których tak bardzo brakowało jej w Indiach – po czym pewnego dnia zajechali przed stojący w zakolu górnego biegu Tamizy dom z dwoma bliźniaczymi szczytami.

Niebo zasnuło się chmurami, kiedy zmierzali na południe przez wioskę Burford, a gdy przed Lechlade skręcili w jedną z bocznych dróg, w dach powozu uderzyły pierwsze krople deszczu. Ada siedziała z nosem przyklejonym do okna, patrząc na mokre pola i zastanawiając się, co sprawiało, że kolory w tym kraju wyglądają, jak gdyby uprano je w mleku. Tymczasem jej rodzice byli dziwnie milczący, odkąd pożegnali się z goszczącą ich lady Turner, choć wcześniej Ada nie zwracała na to uwagi.

Przejechali obok trójkątnego zieleńca w centrum malutkiej wioski i pubu o nazwie Łabędź, a gdy minęli kamienny kościół i cmentarz, znaleźli się na urokliwie krętej wyboistej drodze.

W końcu dotarli na sam jej koniec, wjechali między skrzydła żelaznej bramy osadzonej w wysokim kamiennym murze i zobaczyli podobny do stodoły budynek górujący nad pasem soczyście zielonej trawy ciągnącym się aż do widocznych w oddali wierzb.

Konie zatrzymały się, a woźnica zszedł z kozła, by otworzyć mamie drzwi. Trzymając nad głową duży, czarny parasol, pomógł jej wysiąść z powozu.

– Posiadłość Birchwood, proszę pani – oznajmił posepnie.

Rodzice Ady często i dużo opowiadali jej o ludziach i miejscach, które zobaczą w Anglii, ale nie pamiętała, by wspominali o przyjaciółach, którzy mieszkali w posiadłości o nazwie Birchwood.

Ruszyli obsadzoną różami brukowaną ścieżką, a gdy dotarli do drzwi, w wejściu czekała na nich kobieta pochylona do przodu, jak gdyby całe życie spieszyła się, by zdążyć z obowiązkami. Przedstawiła się jako panna Thornfield.

Ada zauważyła, że panna Thornfield różni się od innych dam, które odwiedzali w tym tygodniu – twarz miała ściągniętą i nieumalowaną, włosy upięte w ciasny kok – i potrzebowała chwili, by uświadomić sobie, że ta kobieta, choć nie nosi fartuszka, musi być gospodynią.

Widząc, że rodzice są nad wyraz uprzejmi – Mamma zawsze jej przypominała, że prawdziwa dama traktuje służbę z szacunkiem – Ada postanowiła pójść za ich przykładem. Uśmiechnęła się wdzięcznie i stłumiła ziewnięcie. Przy odrobinie szczęścia niebawem poznają panią domu, zostaną podjęci herbatą i kawałkiem ciasta (trzeba przyznać, że Anglicy znali się na podejmowaniu gości jak nikt) i za godzinę wyjadą.

Panna Thornfield poprowadziła ich wąskim korytarzem, przeszli przez dwa ciemne hole, minęli klatkę schodową i dotarli do pokoju, który nazwała „biblioteką”. Środek pomieszczenia zajmowały kanapa i dwa wysłużone fotele, a wzdłuż ścian ciągnęły się półki z książkami i różnymi bibelotami. Przez okno na końcu biblioteki widać było ogród z rosnącym w nim kasztanowcem, a nieco dalej łąkę z kamienną stodołą. Deszcz ustał i przez chmury przeświecały nieśmiałe promienie słońca; w Anglii nawet deszcz nie był tak naprawdę deszczem.

Od tego momentu zaczęło się dziać coś dziwnego: Ada miała zaczekać w bibliotece, podczas gdy rodzice udali się na herbatę do jednego z licznych pokoi.

Nachmurzona odprowadziła matkę wzrokiem – zawsze warto było okazać niezadowolenie – lecz tak naprawdę wcale się nie przejmowała. Podczas pobytu w Anglii odkryła, że dorośli to marni towarzysze, a wystarczyło rzucić okiem na bibliotekę, by wiedzieć, że pełno w niej ciekawostek, które lepiej odkrywać samemu niż w towarzystwie opiekunki, wiecznie upominającej, by nie dotykała tego czy owego.

Kiedy tylko drzwi zamknęły się za dorosłymi, Ada zaczęła zdejmować z półek kolejne książki, otwierać osobliwie wyglądające naczynia i delikatne pudzderka, podziwiać zawieszzone na ścianach obrazki, w tym kolekcję oprawionych w ramki suszonych piór, kwiatów i paproci, opisanych starannym, pochyłym pismem. Na końcu podeszła do szklanej gabloty, w której zamknięto różnej wielkości kawałki skał. Gablota była zamykana na

zamek, ale Ada z radością odkryła, że jest otwarta. Bez trudu uniosła szybkę i sięgnęła do środka po kolejne eksponaty z odcisniętymi w nich dziwnymi wzorami. Dopiero po chwili dotarło do niej, że nie są to zwykłe skały, lecz skamieliny. Czytała o skamielinach w *Ilustrowanej historii naturalnej* Wooda, którą ojciec sprowadził dla niej z Londynu na siódme urodziny. Były to kamienie noszące ślady prastarych form życia, niektórych dawno wymarłych. Podczas lekcji w Bombaju Mamma czytała jej książkę napisaną przez niejakiego Karola Darwina, więc Ada słyszała o teorii ewolucji.

Na szklanej półce pod skamielinami leżał jeszcze jeden kamień, mniejszy od pozostałych i kształtem przypominający trójkąt. Był ciemnoszary i gładki, bez odcisniętych w nim spiralnych wzorów. W jednym rogu miał przechodzący na wylot otwór, a z boku ledwie widoczne nacięcia. Ada wyjęła go i ostrożnie obróciła w palcach. Był zimny i trzymanie go budziło w niej dziwne uczucie.

– Wiesz, co to jest?

Wydała stłumiony okrzyk, uważając, by nie upuścić kamienia.

Odwróciła się, szukając wzrokiem osoby, do której należał głos.

Na kanapie i fotelach nie było nikogo, a drzwi do pokoju pozostały zamknięte. Kątem oka dostrzegła ruch i gwałtownie odwróciła głowę. Z wnęki na lewo od kominka wyłoniła się kobieta, której Ada nie zauważyła, wchodząc do biblioteki.

– Nie chciałam tego dotykać – wyjaśniła pospiesznie, zaciskając palce na gładkim kamieniu.

– Dlaczego? Moim zdaniem takie skarby mają urok, któremu nie sposób się oprzeć. Poza tym nie odpowiedziałas na moje pytanie: Wiesz, co to jest?

Ada pokręciła głową, chociaż Mamma powtarzała jej, że to niegrzeczne.

Kobieta zbliżyła się i wyjęła kamień z jej dłoni. Z bliska wyglądała młodziej; była mniej więcej w wieku mamy, choć poza tym w ogóle nie była do niej podobna. Przede wszystkim brzeg jej spódnicy był tak brudny jak sukienki Ady, kiedy bawiła się w zagrodzie dla kur za ogrodem warzywnym ich domu w Bombaju. Włosy miała upięte niedbale, tak że tu i ówdzie spod spinek wysypywały się luźne kosmyki, a na upstrzonym piegami nosie nie było śladu pudru.

– To amulet – powiedziała nieznajoma, zamykając kamień w dłoni. – Tysiące lat temu ktoś nosiłby go na szyi dla ochrony. Po to jest ta dziurka – dźgnęła otwór małym palcem – żeby przepleść przez nią coś, pewnie rzemień, który zgnił już dawno temu.

– Dla ochrony przed czym? – spytała Ada.

– Przed złem. We wszystkich jego postaciach.

Ada wiedziała, kiedy dorośli mówią prawdę. To była jedna z jej wyjątkowych umiejętności. Ta kobieta, kimkolwiek była, wierzyła w to, co mówi.

– Gdzie można znaleźć takie rzeczy?

– Ja znalazłam go lata temu w lesie za domem. – Kobieta odłożyła kamień z powrotem na półkę, wyciągnęła z kieszeni klucz i zamknęła gablotkę. – Chociaż niektórzy mówią, że to amulet znajduje swojego właściciela. Że ziemia wie, kiedy i z kim podzielić się swoimi sekretami. – Spojrzała na Adę. – To ty jesteś tą dziewczynką z Indii, tak?

Ada przytaknęła i dodała, że przyjechała do Anglii z Bombaju.

– Bombaj... – Nieznajoma wymówiła słowo, jakby delectowała się jego smakiem. – Powiedz, jak pachnie morze w Bombaju? Czy piasek na plażach Morza Arabskiego jest miłki, czy bardziej ziarnisty? I światło... Naprawdę jest dużo jaśniejsze niż u nas?

Ruchem ręki pokazała, żeby usiadły, a gdy to zrobiły, Ada odpowiedziała na te – i kolejne – pytania z ostrożną uległością dziecka nieprzyzwyczajonego do tego, że dorośli wykazują szczerze zainteresowanie. Kobieta, która siedziała obok niej na kanapie, słuchała z uwagą, od czasu do czasu wydając odgłosy zdumienia, zadowolenia albo jednego i drugiego.

– Tak – odezwała się w końcu. – Świetnie. Dziękuję. Zapamiętam wszystko, co mi powiedziałaś, panienko...?

– Lovegrove. Ada Lovegrove.

Nieznajoma wyciągnęła rękę, a Ada uścisnęła ją, jakby były dwiema dorosłymi kobietami, które spotkały się na ulicy.

– Miło mi panią poznać, panienko Lovegrove. Ja nazywam się Lucy Radcliffe, a to mój...

Drzwi otworzyły się i do biblioteki wkroczyła matka Ady, jak zwykle roztaczając wokół siebie aurę radosnego podniecenia. Zaraz za nią weszli ojciec i panna Thornfield. Na ich widok Ada poderwała się z kanapy, gotowa opuścić to miejsce, Mamma jednak ją powstrzymała.

– Nie, skarbie – powiedziała z uśmiechem. – Spędzisz tutaj popołudnie.

– Sama? – Ada ściągnęła brwi.

Jej matka się roześmiała.

– Ależ skarbie, z pewnością nie będziesz tu sama. Będą z tobą panna Thornfield i panna Radcliffe. I spójrz tylko na te wszystkie urocze dziewczynki.

Ada obejrzała się przez ramię, gdzie w ogrodzie za oknem jak na zawołanie pojawiły się dziewczęta. Angielki z długimi jasnymi włosami związanymi z tyłu wstążkami. Małymi grupkami szły w stronę domu, śmiejąc się i rozmawiając. Niektóre niosły sztalugi i farby.

Wszystko to było tak nieoczekiwane i trudne do wyjaśnienia, że nawet teraz nie bardzo rozumiała, co to właściwie za miejsce. Później, kiedy przestała wytykać sobie głupotę, cichutki głosik w głowie przypomniawszy jej, że ma dopiero osiem lat i do tej pory nie miała do czynienia ze szkołami, i że nic, absolutnie nic, nie mogło przygotować jej na to, co zaplanowali dla niej rodzice.

Tak więc pozwoliła, by matka przytuliła ją na do widzenia – kolejna nieoczekiwana rzecz w całym tym dziwnym dniu – a ojciec poklepał po ramieniu, napominając ją, by zachowywała się jak należy, po czym patrzyła, jak obróciwszy się na pięcie, trzymając się pod rękę, wyszli z pokoju i wrócili ciemnymi korytarzami do czekającego przed domem powozu.

\*

W końcu panna Thornfield wyjawiała jej prawdę. Ada rzuciła się do drzwi gotowa dogonić rodziców i zapytać, co ich zdaniem powinna robić przez całe popołudnie, ale panna Thornfield chwyciła ją za nadgarstek.

– Witamy, panno Lovegrove, w Szkole dla Młodych Panien Panny Radcliffe – powiedziała z przyklejonym do twarzy uśmiechem.

Szkoła. Młode panny. Witamy. Ada lubiła słowa – zbierała je – ale te cztery uderzyły w nią niczym kamienie.

Ogarnięta paniką, zapomniała o dobrych manierach, których zawsze uczyła ją Mamma. Nazwała pannę Thornfield kłamczuchą i pawianem, powiedziała jej, że jest podłą staruchą; może nawet wykrzyczała jej w twarz, że jest *bevkuph*.

Na koniec wyrwała się i niczym gepard wybiegła z pokoju, minęła dziewczęta tłoczące się w korytarzach i wpadła na jedną z nich, złotowłosą i wysoką. W odpowiedzi na jej krzyk Ada syknęła przez zaciśnięte zęby, odepchnęła ją i wypadła przez drzwi frontowe na podjazd, gdzie niespełna godzinę temu wysiadła z rodzicami z powozu.

Widząc, że powóz odjechał, wydała z siebie okrzyk wściekłości.

Co to wszystko miało znaczyć? Matka twierdziła, że spędzi tu tylko popołudnie, tymczasem ze słów panny Thornfield wynikało, że zostanie tu, w tej szkole na... No właśnie, na jak długo?

Dłużej niż jedno popołudnie.

Przez następne kilka godzin spacerowała wzdłuż rzeki, zrywała trzciny i deptała porastające brzeg wysokie trawy. Z odległości patrzyła na paskudny dom, nienawidząc go ze wszystkich sił. Kiedy pomyślała o Shashi, gorące łzy spłynęły jej po policzkach.

Dopiero gdy słońce zaczęło zachodzić i dotarło do niej, że jest zupełnie sama w zagajniku wśród gęstniejących cieni, przecięła łąkę, okrążyła otaczający posiadłość kamienny mur i stanęła przed bramą. Usiadła po turecku na ziemi, skąd mogła obserwować drogę, która wiodła do wsi. Dzięki temu zobaczy powóz, kiedy tylko ten wjedzie na dróżkę prowadzącą do posiadłości. Patrząc, jak światło coraz bardziej wytraca swój złoty blask, poczuła ukłucie w sercu, bo wyobraziła sobie poszarpane blizny palm na fioletowo-pomarańczowym horyzoncie w domu, ostre zapachy, gwar i śpiew modlących się parsów.

Zapadał zmierzch, gdy wyczuła za sobą czyjąś obecność.

– Chodźmy, panno Lovegrove. – Z cieni wychynęła panna Thornfield. – Kolacja czeka. To twoja pierwsza noc w Birchwood, nie powinnaś kłaść się głodna.

– Zjem kolację z rodzicami, kiedy po mnie przyjadą – odparła Ada. – Wrócą po mnie.

– Nie. Nie wrócą. Nie dziś. Już wcześniej próbowałam ci powiedzieć, że zostawili cię w naszej szkole.

– Nie chcę tu być.

– Tak czy owak...

– Nie zostanę tu.

– Panno Lovegrove...

– Chcę do domu!

– Jesteś w domu i im szybciej się z tym pogodzisz, tym lepiej. – Panna Thornfield zeszywniała. Nagle stała się wyższa, wyciągnęła się niczym drabina, aż do przygarbionych ramion; przypominała teraz aligatora gotującego się do ataku. – Spróbujmy jeszcze raz. Kolacja czeka. – Wymawiała starannie każde słowo. – I bez względu na to, do czego przywykłaś w Indiach, zapewniam cię, panno Lovegrove, że tutaj nie podajemy jej dwa razy.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

I oto sześćdziesiąt trzy dni później siedziała skulona w ciemności, w cuchnącej wilgocią kryjówce w pustej przestrzeni między ścianami korytarza na pierwszym piętrze Szkoły dla Młodych Panien Panny Radcliffe. Z tego, co zrozumiała, rodzice wrócili do Bombaju, choć nikt nie powiedział jej tego otwarcie. Jak wyjaśniła panna Thornfield, zwlekali z pisaniem listów, bo chcieli dać Adzie czas na „zadomowienie się”. „To bardzo ładnie z ich strony – uznała panna Thornfield. – Nie chcieli dawać ci powodów do zdenerwowania”.

Ada przyłożyła ucho do drewnianej boazerii i zamknęła oczy. Było ciemno, ale zamknięcie oczu pomagało wyostrzyć inne zmysły. Czasami zdawało jej się, że słyszy mieszkające w drewnie skrzaty. Słowo „skrzaty” brzmiało prawie jak „światy” i miło było tak o nich myśleć. Niemal wierzyła, że zaklęte w drewnie światy przemawiają do niej uroczym głosem. Dzięki temu głosowi czuła się lepiej.

Tymczasem w korytarzu rozległy się dwa prawdziwe przytłumione głosy i Ada otworzyła oczy.

– Ale widziałam, jak tędy szła.

– Bzdura.

– Naprawdę.

– No i? Gdzie się podziała? Rozpłynęła się w powietrzu?

Po chwili ciszy znów rozległ się czyjś nadąsany głos:

– Widziałam, jak tędy szła. Jestem tego pewna. Na pewno gdzieś tu jest, musimy tylko poczekać.

Wciśnięta w swoją kryjówkę Ada odetchnęła cichutko. Noga jej zdrętwiała. Przez ostatnie dwadzieścia pięć minut siedziała w tej samej pozycji, ale jeśli była w czymś dobra – bo na pewno nie w szyciu, grze na fortepianie,

malowaniu i niemal wszystkich rzeczach, których próbowano ją nauczyć w tej głupiej szkole – to tym czymś był upór. Shashi zawsze mówiła o niej „mój mały *khacara*” – osiołek. Te dziewczyny mogły sobie czekać na korytarzu, ile chciały – i tak się nie doczekają.

Charlotte Rogers i May Hawkins – tak nazywały się jej dręczycielki. Były od niej starsze, miały po dwanaście lat, a jedna z nich, Charlotte, była wyjątkowo wysoka jak na swój wiek. Ojcem Charlotte był parlamentarzysta, a May – prominentny przemysłowiec. Zanim Ada tu trafiła, rzadko miała okazję na kontakty z innymi dziećmi, ale była pojętna i wyjątkowo spostrzegawcza, szybko więc zauważyła, że w Szkole dla Młodych Panien Panny Radcliffe jest niewielka grupa starszych dziewcząt, które wszystkim rządziły i wymagały bezwzględного posłuszeństwa od młodszych koleżanek.

Ada tymczasem nie była przyzwyczajona do tego, by dzieci mówiły jej, co ma robić, a wpojone przez rodziców poczucie sprawiedliwości nie pozwalało jej się podporządkować. Kiedy więc Charlotte zażądała od niej nowych wstążek, które Mamma kupiła dla niej w Londynie, Ada odmówiła. Lubiła te wstążki i wolała zachować je dla siebie. A kiedy Charlotte i jej przyjaciółka osaczyły ją na schodach i przykazały, żeby trzymała język za zębami, podczas gdy May Hawkins wyginała Adzie palce, ta nadepnęła jej na stopę i wrzasnęła, żeby ją puściła. Gdy nakłamały przełożonej, że to ona zakradła się do spiżarni i otworzyła słoiki z dżemem, Ada wszystkiemu zaprzeczyła i dodała, że to Charlotte Rogers i że na własne oczy widziała, jak po zmroku przemykała korytarzem.

Nie zjednała tym sobie sympatii dwóch starszych koleżanek, ale ich wrogość sięgała jeszcze głębiej, do samego początku. Bo gdy Ada wybiegła z biblioteki z nadzieją, że uda jej się dogonić rodziców, dziewczyną, na którą wpadła na korytarzu, była właśnie Charlotte Rogers. Zaskoczona wrzasnęła jak *banshee*<sup>8</sup>, na co pozostałe dziewczęta, nawet te najmłodsze, parsknęły śmiechem i zaczęły wytykać ją palcami. Jakby tego było mało, Ada syknęła jej wściekle prosto w twarz.

– Proszę, proszę, nasz mały hinduski kociak – mruknęła Charlotte, gdy następnym razem zobaczyła Adę.

Wpadły na siebie w ogrodzie przed domem. Ada siedziała sama pod młodym klonem japońskim przy murze, a Charlotte szła otoczona wianuszkami chichoczących dziewcząt.

Na jej ładnej buzi pojawił się promienny, drapieżny uśmiech, a uwaga jej towarzyszek skupiła się na Adzie.

– To o niej wam mówiłam. Rodzice przywieźli ją aż z Indii z nadzieją, że zrobią tu z niej damę. – Jedna z dziewcząt zachichotała, na co ośmielona Charlotte wbiła w Adę spojrzenie zimnych niebieskich oczu. – Chcę, żebyś wiedziała, że wszystkie jesteśmy tu po to, żeby ci pomóc, Ado, więc jeśli czegoś potrzebujesz, czegokolwiek, wystarczy, że poprosisz. A, jeszcze jedno, w budynku jest toaleta, ale jeśli wolisz, możesz wygrzebać sobie dziurę w ziemi.

Dziewczęta parsknęły śmiechem, a Ada poczuła pod powiekami piekące łzy wściekłości. Przed oczami stanęła jej uśmiechnięta twarz Shashi, taka jak wtedy, gdy leżały obok siebie na tarasie dachu; jej szeroki, promienny uśmiech, gdy opowiadała o swoim dzieciństwie w Pendżabie i delikatnie wytykała Adzie jej uprzywilejowane życie w pięknym domu. Nie wiedzieć czemu, pogardliwe słowa Charlotte o Indiach Ada odebrała jak naśmiewanie się z Shashi i czuła się współwinna.

Postanowiła jednak, że nie da swoim dręczycielkom satysfakcji i nie zareaguje na ich zaczepki. Wyrzuciła z głowy myśli o *aayi* i tęsknotę za domem i siedziała, wpatrując się przed siebie, jakby w ogóle nie widziała tych dziewcząt. Kpiny nie ustawały, więc zaczęła opowiadać sobie historię w języku pendżabskim. To nie spodobało się Charlotte. Złośliwy uśmieszek zniknął z jej twarzy i odchodząc, posłała Adzie pogardliwe spojrzenie, jak gdyby ta stanowiła problem, który należy rozwiązać. Trudny orzech do zgryzienia.

Charlotte w jednym miała rację: rodzice Ady zostawili ją w Szkole dla Młodych Panien Panny Radcliffe, błędnie licząc, że uczyni z ich córki porządną angielską uczennicę. Tymczasem choć Ada wiedziała, czym jest toaleta, daleko jej było do „młodej damy” i nie miała zamiaru stać się jedną z nich. Nigdy nie opanowała sztuki szycia, zadawała zbyt wiele pytań, na które nie było gotowych odpowiedzi, a jej umiejętności gry na fortepianie

właściwie były zerowe. W Indiach jej matka wygrywała piękne melodie, które ciepły wiatr unosił w powietrze, tymczasem Ada waliła w klawisze tak, że nawet ojciec – gotowy jej wiele wybaczyć – wciskał szyję w ramiona, by zasłonić uszy.

Dlatego większość lekcji w szkole panny Radcliffe była dla Ady prawdziwą udręką. Jedynymi przedmiotami, które sprawiały jej niejaką radość, były nauki ścisłe i geografia nauczane przez pannę Radcliffe. Ada dołączyła nawet do założonego przez właścicielkę szkoły kółka miłośników historii naturalnej. Oprócz niej należała do niego głupiutka dziewczyna o imieniu Meg, która nuciła pod nosem romantyczne melodie i zbierała koniczynę, z której plotła wianki.

Spotkania kółka miłośników historii naturalnej były dla Ady jedynym jasnym punktem życia w posiadłości Birchwood. W sobotnie poranki i czwartkowe popołudnia panna Radcliffe żwawym krokiem zabierała je na długie spacery przez błotniste pola, rwące potoki, wzgórza i lasy. Czasami jechały rowerami jeszcze dalej, do Uffington, by zobaczyć białego konia, do Barbury, by wspiąć się na stojący na szczycie fort z epoki żelaza, a czasem nawet do kamiennych kręgów w Avebury. Nabrały biegłości w odnajdywaniu okrągłych wgłębień, które panna Radcliffe nazywała „sztucznymi jeziorami kondensacyjnymi”. Mówiła, że zrobili je ludzie pierwotni, żeby zawsze mieć pod dostatkiem wody. Twierdziła, że wszędzie dookoła są znaki dawnych cywilizacji, wystarczyło tylko wiedzieć, gdzie szukać.

Nawet lasy za szkołą pełne były sekretów z przeszłości. Panna Radcliffe zaprowadziła je na niewielkie wzgórze za polanką nazywane Smoczym Kopcem.

– Bardzo możliwe, że to anglosaskie cmentarzysko – powiedziała i wyjaśniła, że nazwano je tak, bo Anglosasi wierzyli, że ich skarbów strzegą smoki. – Rzecz jasna Celtowie by się z tym nie zgodzili. Nazwaliby to miejsce Kopcem Wrózek i powiedzieliby, że prowadzi ono do podziemnej krainy.

Słyszając to, Ada przypomniała sobie amulet z biblioteki i zaczęła się zastanawiać, czy panna Radcliffe właśnie tutaj go nie znalazła.

– Niedaleko stąd – odparła panna Radcliffe, gdy Ada ją o to zapytała. – Właściwie całkiem blisko.

Dla Ady bycie członkinią kółka miłośników historii naturalnej było jak zabawa w detektywa, który szuka wskazówek i rozwiązuje zagadki. Każde znalezisko miało swoją historię, sekretne życie z czasów, zanim trafiło w ich ręce. Uczyniły z tego swoistą grę, która polegała na tym, by wymyślić dla każdego przedmiotu historię, która miała być nie tylko ekscytująca, lecz także wiarygodna (były przecież uczonymi, nie pisarkami).

Panna Radcliffe zawsze pozwalała im zatrzymywać wszystko, co znalazły. Była w tej kwestii stanowcza. „Ziemia wyjawia swoje sekrety we właściwym czasie – mawiała – i zawsze temu, komu chce je wyjawić”.

– A rzeka? – spytała Ada w pewien sobotni ranek, gdy poszukiwania zawiodły je nad wodę. Myślała o historii usłyszonej od Shashi: o powodzi, która dotknęła ich wioskę, kiedy była dzieckiem, i zabrała jej wszystko, co miała najcenniejszego. Zbyt późno ugryzła się w język, słyszała bowiem, że brat panny Radcliffe utonął.

– Rzeki są inne – odparła w końcu dyrektorka. Głos miała spokojny, lecz upstrzona piegami twarz zdawała się bledsza niż zwykle. – Pozostają w ciągłym ruchu. Zabierają sekrety i tajemnice ze sobą do morza.

Panna Radcliffe sama była pewnego rodzaju tajemnicą. Jak na kobietę, która założyła szkołę mającą zmieniać młode dziewczęta w cywilizowane damy, nie była szczególnie dystygowana. Owszem, miała te dobre maniery, o których lubiła mówić Mamma – nie mówiła z pełnymi ustami i nie bekała przy stole – ale pod innymi względami przypominała Adzie Papę: jej zdecydowany krok, kiedy były na świeżym powietrzu, gotowość rozmawiania na tematy takie jak polityka i religia, przekonanie, że obowiązkiem każdego człowieka jest dążenie do poszerzania swoich horyzontów. Większość czasu spędzała poza domem i nie dbała o modę; zawsze ubierała się tak samo – w zapinane na guziki ciemne skórzane trzewiki i zielony kostium z długą spódnicą, której brzeg był uwalany zaschniętym błotem. Podobnie jak Shashi miała duży wiklinowy kosz, który zawsze nosiła, ale podczas gdy kosz Shashi pełen był owoców i warzyw, ten należący do panny Radcliffe służył do noszenia patyków, kamieni, ptasich jaj i piór i wszystkiego tego, co wzbudzało jej zainteresowanie.

Nie tylko Ada dostrzegła jej dziwactwa. Była właścicielką szkoły, ale – poza sporadycznymi żarliwymi przemówieniami o obowiązku uczenia się, który „spoczywa na was, dziewczęta”, i przypominaniem, że „czas to wasz największy atut, a trwoniąc go, postępujecie niemądrze” – kwestie administracji i dyscypliny pozostawiała swojej zastępczyni, pannie Thornfield. Wśród dziewcząt krążyły plotki, że panna Radcliffe jest wiedźmą. Świadczyły o tym gromadzone przez nią próbki roślin i rozmaite osobliwości, nie mówiąc o pokoju, w którym je przechowywała. Było to przylegające do jej sypialni małe pomieszczenie, do którego uczennice nie mogły wchodzić pod groźbą śmierci.

– To tam odprawia swoje czary – twierdziła Angelica Barry. – Słyszałam ją za ścianą, jak śpiewa monotonię i recytuje zaklęcia.

Meredith Sykes zaklinała się, że pewnego dnia uchyliła drzwi i wśród kamieni i skamielin zobaczyła leżącą na komodzie ludzką czaszkę.

Jedno było pewne: panna Radcliffe kochała swój dom. Podnosiła głos tylko wtedy, gdy przyłapała którąś z dziewcząt, jak zjeżdża po poręczu albo kopie listwy przypodłogowe. Podczas jednego ze spacerów przez Wiltshire rozmowa zesłała na samotność i miejsca o szczególnym znaczeniu i panna Radcliffe wyjaśniła Adzie, że posiadłość Birchwood należała niegdyś do jej brata, który umarł wiele lat temu, i chociaż bardzo jej go brakuje, to w tym domu czuje jego obecność.

– Był artystą – oznajmiła kiedyś ni stąd, ni zowąd Meg, podnosząc wzrok znad naszyjnika z koniczyny. – Brat panny Radcliffe. Był słynnym artystą, ale po tym, jak zastrzelono jego narzeczoną, oszalał ze smutku.

Teraz, gdy obecność prześladowczyń wyrwała Adę z zadumy, przez chwilę wierciła się w swojej kryjówce, uważając, by nie wydać przy tym żadnego dźwięku. Nie знаła się na kochankach ani narzeczonych, ale wiedziała, jak bolesna może być rozłąka, i z całego serca współczuła pannie Radcliffe. Uznała, że to z powodu utraty brata na twarzy dyrektorki, kiedy myślała, że nikt na nią nie patrzy, malowała się zgryzota.

W tej samej chwili za drewnianą boazerią rozległ się znajomy głos:

– Dziewczęta, co wy tu robicie? Wiecie, co panna Thornfield myśli o zakradaniu się.

– Tak, panno Radcliffe – odparły zgodnie.

– Nie rozumiem, na co czekacie.

– Na nic, panno Radcliffe.

– Mam nadzieję, że nie szurałyście kijami do hokeja po ścianach?

– Nie, panno Radcliffe.

– W takim razie zmykajcie, a ja zastanowię się, czy powiedzieć o wszystkim pannie Thornfield, która niewątpliwie każe wam zostać w kozie.

Słyszając oddalające się w pośpiechu kroki, Ada odetchnęła z ulgą.

– Możesz już wyjść, drogie dziecko. – Panna Radcliffe zastukała delikatnie w ścianę. – Bo spóźnisz się na lekcję.

Ada podważyła palcami ukrytą zasuwkę i drewniany panel otworzył się ze skrzypnięciem. Panna Radcliffe zdążyła już odejść, więc Ada pospiesznie opuściła kryjówkę, kolejny raz nie mogąc się nadziwić, jak idealnie drewniane drzwiczki wpasowują się w boazerię. Ktoś, kto nie wiedział o ich istnieniu, nigdy by ich nie zobaczył.

To panna Radcliffe pokazała jej to miejsce. Pewnego popołudnia nakryła Adę, jak zamiast uczestniczyć w lekcji szycia, chowała się w bibliotece za ciężką żakardową zasłoną, i wezwała ją do gabinetu na rozmowę. Ada przygotowała się na połajankę, tymczasem panna Radcliffe poprosiła ją, by usiadła, i zaczęła swoją opowieść:

– Kiedy przyjechałam do tego domu, byłam niewiele starsza od ciebie. Mój brat i jego przyjaciele byli już wówczas dorośli i zbyt zajęci innymi rzeczami, by się mną interesować. Mogłam chodzić samopas, a ponieważ miałam dość...

– zawahała się – ciekawskie usposobienie, zaglądałam do każdego kąta i badałam wszystkie zakamarki.

Dodała, że dom był bardzo stary, kilkusetletni, i został wybudowany w czasach, gdy ludzie mieli powody, by się ukrywać. Na koniec powiedziała Adzie, żeby poszła za nią, i podczas gdy inne dziewczęta śpiewały na dole *Ode do radości* Beethovena, pokazała jej swoją sekretną kryjówkę.

– Nie wiem jak ty, panno Lovegrove – zwróciła się do niej – ale ja miewałam w swoim życiu chwile, gdy bardzo chciałam zniknąć.

Teraz Ada biegła korytarzem w kierunku schodów. Ale zamiast zbiec na dół, gdzie odbywała się lekcja wychowania muzycznego, pognała na poddasze

do sypialni nazywanej Wschodnim Stryzkiem, którą dzieliła z inną uczennicą, Margaret Worthington.

Nie miała wiele czasu. Lekcja wychowania muzycznego niedługo dobiegnie końca i pozostałe dziewczęta wrócą do swoich pokoi. Ada uklękła na podłodze i podniosła lniany lambrekin udrapowany wokół łóżka. Jej walizka wciąż tam była, dokładnie tam, gdzie ją zostawiła, i Ada wysunęła ją ostrożnie.

Kiedy ją otworzyła, mała puchata kulka spojrzała na nią, mrugając, i otworzyła pyszczek w bezgłośnym *miau!*

Ada wzięła kocię do ręki i przytuliła do piersi.

– Już dobrze, malutki – szepnęła, tuląc twarz do mięciutkiego futerka między drobnymi uszkami. – Nie martw się, jestem tutaj.

Głodny kociak niecierpliwie ugniatał jej sukienkę aksamitnymi, różowymi poduszczkami. Ada uśmiechnęła się, sięgnęła do głębokiej kieszeni fartuszka, który Mamma kupiła w Harrodsie, i wyciągnęła słoiczek sardynek, który ukradła z kuchni.

Podczas gdy kocię niezgrabnie przemierzało pokój, jak gdyby był rozległą sawanną, Ada odkręciła słoik i wyjęła z niego śliską rybkę.

– Masz, Bilī! – zawołała cichutko, wyciągając ją w jego stronę. – Masz, kotku.

Kociak przydreptał do niej i spałaszował sardynkę, a po niej kolejne, aż w końcu w słoiczku nie została ani jedna. Słyszając jego żalosne pomiauukiwanie, Ada przechyliła słoiczek i pozwoliła mu go wylizać.

– Mały żarłoczku – powiedziała z podziwem. – Masz cały pyszczek mokry.

Tydzień wcześniej Ada ocaliła Bilīemu życie. Ukrywając się przed Charlotte i May, dotarła na koniec łąki za domem, gdzie rzeka skręcała obok zagajnika i znikwała z zasięgu wzroku.

Gdzieś zza drzew dobiegały odgłosy, które przywodziły na myśl święto w Bombaju. Ruszyła ku nim, idąc na zachód wzdłuż rzeki, a gdy minęła zakole, zobaczyła Cyganów, którzy rozbili obóz na polanie. Były tam wozy i ogniska, konie, psy i dzieci, które puszczały latawiec z długim ogonem z kolorowych wstążek.



Zauważyła też małego obdartusa, który sam szedł w stronę rzeki. Na ramię miał zarzucony worek i gwizdał melodię, która wydała jej się znajoma. Zaintrygowana Ada poszła za nim. Przykucnęła za drzewem i z ukrycia patrzyła, jak chłopak wyjmuje z plecaka kolejne rzeczy i jedną po drugiej zanurza je w wodzie. Z początku myślała, że pierze ubrania, tak jak robili to ludzie w Dhobi Ghat. Dopiero gdy usłyszała ciche miauknięcie, uświadomiła sobie, że w worku wcale nie było ubrań i że chłopak niczego nie pierze.

– Hej! Ty! Co ty wyprawiasz?! – krzyknęła, biegnąc ku niemu ile sił w nogach.

Mały obdartus podniósł na nią wzrok. Przerazenie w jego oczach było równie widoczne jak brud na jego twarzy.

– Pytałam, co ty wyprawiasz? – powtórzyła Ada drżącym głosem.

– Skracam ich cierpienia. Tak jak mi kazano.

– Ty paskudny, okrutny chłopaku! Ty tchórze! Ty wstrętny bandziorko!

Chłopak uniósł brwi. Był wyraźnie rozbawiony, co jeszcze bardziej ją rozjuszyło. Bez słowa sięgnął do worka i wyjął z niego ostatnie kocie, brudnymi palcami trzymając je za kark.

– Morderca! – syknęła Ada.

– Ojciec zamorduje mnie, jeśli nie zrobię, co mi każe.

– Natychmiast oddaj mi tego kotka.

Chłopak wzruszył ramionami, upuścił kocie na złączone dłonie Ady, zarzucił worek z powrotem na plecy i wrócił do obozu.

Od tamtego dnia często rozmyślała o braciach i siostrach Biliego. Czasami budziła się w środku nocy, widząc ich małe pyszczki i wiotkie martwe ciała, które prąd rzeczny niósł w stronę morza.

Teraz Bilī miauknął żałośnie, gdy Ada zbyt mocno przycisnęła go do piersi.

Na schodach zrobiło się gwarno, słychać było kroki, więc pospiesznie włożyła kotka z powrotem do walizki. Ostrożnie opuściła wieczko, zostawiając niewielką szczelinę, przez którą wpadało powietrze. Nie było to idealne rozwiązanie, ale na razie musiało wystarczyć. Panna Thornfield, jak można się było spodziewać, nie tolerowała zwierząt.

Drzwi otworzyły się w chwili, gdy Ada zerwała się na równe nogi. Zauważyła, że lambrekin nadal jest podwinięty, ale nie miała czasu go

poprawić.

W progu stała Charlotte Rogers.

Uśmiechnęła się, ale Ada wiedziała, że lepiej nie odpowiadać tym samym. Pozostała więc czujna.

– Tu jesteś – zagruchała słodko Charlotte. – Ależ z ciebie mała śliska rybka. Cały dzień cię szukam! – Przez moment Ada myślała, że jakimś cudem odkryła jej tajemnicę, Charlotte Rogers ciągnęła jednak: – Przynoszę wieści i obawiam się, że nie są one najlepsze. Panna Thornfield wie, że nie było cię na lekcji muzyki, i powiedziała mi, że mam cię przyprowadzić, żeby mogła cię ukarać. – Uśmiechnęła się z udawanym współczuciem. – Byłoby ci tu dużo lepiej, gdybyś nauczyła się przestrzegać zasad. A pierwsza zasada jest taka, że to ja zawsze wygrywam. – Odwróciła się do wyjścia, ale zawahała się i spojrzała przez ramię. – I lepiej popraw łóżko. Nie chcesz chyba, żebym powiedziała panie Thornfield, że jesteś flejtuchem.

\*

Idąc do gabinetu panny Thornfield, Ada tak mocno zaciskała pięści, że minęło kilka godzin, zanim ślady paznokci zniknęły z wnętrza jej dłoni. Było jasne, że nie wygra wojny z Charlotte Rogers i May Hawkins, najzwyczajniej w świecie je ignorując. A ponieważ nie zamierzała się poddawać, będzie musiała odpowiedzieć atakiem, i to tak, by raz na zawsze dały jej spokój.

Prawie nie słyszała, jak panna Thornfield gani ją za opieszałość, a gdy poinformowała ją o karze – dwa tygodnie dodatkowych zajęć krawieckich i asystowanie w pracowni kostiumów do koncertu na zakończenie letniego semestru, zamiast udziału w wyprawach kółka miłośników historii naturalnej – Ada była zbyt rozkojarzona, by zaprotestować.

Przez całe popołudnie dopasowywała do siebie kawałki układanki, obracała je w myślach, dopatrując się w nich jakiegoś sensu, ale dopiero późnym wieczorem, kiedy jej współlokatorka Margaret pochrapywała cicho w drugim końcu pokoju, a Bilī mruczał w jej ramionach, doznała olśnienia.

Kiedy pomysł pojawił się w jej głowie, poczuła się tak, jakby ktoś zakradł się do pokoju, podszedł na palcach do jej łóżka, pochylił się nad nią i szepnął

jej do ucha.

Ada rozciągnęła usta w uśmiechu: plan był prosty i idealny. Co więcej, to dzięki Charlotte Rogers mogła wprowadzić go w życie.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Koncert na zakończenie letniego semestru był tradycją w szkole panny Radcliffe i próby rozpoczynały się już w pierwszym tygodniu nowych zajęć. Panna Byatt, znerwicowana chuda nauczycielka retoryki prowadząca również zajęcia teatralne, organizowała serię przesłuchań, których celem było wyłonienie piętnastu najlepszych występów obejmujących koncerty muzyczne, recytację wierszy i monologi dramatyczne.

Ada dostała rolę Drugiej Myszy w pantomimie *Kopciuszka*, tymczasem Charlotte Rogers, daleka krewna Ellen Terry<sup>9</sup>, uważana była (przynajmniej przez samą siebie) za wspaniałą aktorkę szekspirowską, dlatego też aż trzykrotnie pojawiała się w przedstawieniu: recytując jeden z sonetów, wygłaszając monolog Lady Makbet *Precz stąd, przekłeta plamo!* i śpiewając salonową piosenkę przy akompaniamencie fortepianu, na którym grała jej serdeczna przyjaciółka May Hawkins.

Ze względu na niewielkie rozmiary dwóch sal w budynku głównym szkoły koncert odbywał się w stodole stojącej na końcu podjazdu dla powozów. W dniach poprzedzających przedstawienie każda z dziewcząt była odpowiedzialna za wnoszenie krzeseł z domu i ustawianie ich w rzędach, a te nieszczęsnice, którym nie przypadła w udziale żadna rola, zajmowały się przygotowaniem sceny – jej zbudowaniem i zawieszaniem kurtyn na krokwiach.

W związku z karą nałożoną przez pannę Thornfield Ada była wyjątkowo zajęta i dołączyła do kółka krawieckiego, którego członkinie dokonywały ostatecznych poprawek w kostiumach dziewcząt. Była to dla niej prawdziwa mordęga; kiepsko szyła, a już na pewno nie radziła sobie ze ścięciem za igłą, koniecznym, by połączyć dwa kawałki materiału. Udowodniła jednak, że jest

mistrzynią w przycinaniu luźnych nitek, dlatego wręczono jej małe srebrne nożyczki i polecono „wyrównywać brzegi”.

– Pierwsza przychodzi na spotkania i jest tak oddana pracy, że praktycznie w ogóle się nie odzywa – zakomunikowała nauczycielka szycia pannie Thornfield, na co ta uśmiechnęła się blado i odparła:

– Miło mi to słyszeć.

Rano w dzień koncertu w szkole wrzało. Odwołano popołudniowe lekcje, by przeprowadzić próbę generalną, a przedstawienie miało się rozpocząć punktualnie o czwartej. Dwie minuty przed czasem Valerie Miller, która na przesłuchaniu zagrała na dzwonkach (bardzo marnie) *My Wild Irish Rose*, na znak panny Thornfield użyła jednego ze swoich dzwonek, by powiadomić publiczność o rozpoczęciu przedstawienia. Wśród gości była większość dziewcząt, kilkoro rodziców i rodzeństwa, a także pewni Ważni Członkowie lokalnej społeczności. Na dźwięk dzwonka rozmowy ucichły, płomień lamp zostały przykręcone, uniosła się kurtyna, a widownia pogrążyła się w mroku, rozjaśnianym jedynie przez umieszczone wzdłuż sceny światła.

Dziewczęta jedna za drugą zajmowały miejsce na środku sceny; żarliwie śpiewały i recytowały, za co publiczność nagradzała je gromkimi brawami. Program nie był jednak krótki i po godzinie widzowie powoli tracili zapał. Kiedy więc Charlotte Rogers po raz trzeci wyszła na scenę, młodsze dzieci zaczynały wiercić się i ziewać, w brzuchach im burczało.

Charlotte jednak, profesjonalna w każdym calu, była niezrażona. Stała przed publicznością i zatrzepotała rękami. Złote loki opadały jej na ramiona, a siedząca przy fortepianie May Hawkins czekała na sygnał, żeby zacząć grać, i patrzyła na przyjaciółkę z nieskrywanym podziwem.

Tymczasem uwaga Ady skupiona była na kostiumie Charlotte – nieco przydużej bluzce i długiej spódnicy – wzorowanym na jednym z ostatnich strojów scenicznych Ellen Terry, w którym dziewczyna wyglądała poważnie jak na swój wiek.

Ada obserwowała swoją prześladowczynię jak ktoś, kto siłą umysłu potrafi poruszać przedmioty. Denerwowała się – znacznie bardziej niż w chwili, kiedy odgrywała rolę Drugiej Myszy. Wilgotne od potu dłonie zaciśnięte w pięści złożyła na kolanach.

Do katastrofy doszło, gdy Charlotte zaśpiewała najwyższą nutę – ćwiczyła ten fragment przez większą część miesiąca. Być może wszystkiemu zawinił gwałtowny wdech poprzedzający wyśpiewanie wysokich tonów albo żarliwość, z jaką wyciągnęła ramiona ku publiczności. Tak czy inaczej, w tym właśnie momencie spódnica Charlotte opadła.

Nie zsunęła się powoli. Spadła nagle i gwałtownie, jednym płynnym ruchem, i niczym kałuża koronek i płótna rozlała się wokół jej filigranowych kostek.

Widok był tysiąc razy lepszy, niż Ada mogła to sobie wyobrazić.

Przecinając kilka szwów w pasie spódnicy, miała nadzieję, że ześlizgnie się ona na tyle, by wywołać poruszenie, ale nigdy, przenigdy nie przewidziałaaby czegoś takiego. I to jak opadła! W idealnym momencie, zupełnie jakby jakaś niewidzialna siła zakradła się do stodoły i na umówiony znak szarpnęła spódnicę w dół...

Była to najzabawniejsza rzecz, jaką Ada widziała od miesiący. I sądząc po salwach śmiechu, które niczym fale przetaczały się po stodole i niosły echem aż pod dach, inne dziewczęta były tego samego zdania.

Podczas gdy Charlotte, purpurowa na twarzy, przy wtórze entuzjastycznego aplauzu publiczności wyśpiewywała ostatnie tony, Ada uświadomiła sobie, że po raz pierwszy, odkąd przyjechała do posiadłości Birchwood, czuje się prawie szczęśliwa.

\*

Zgodnie z tradycją kolacja organizowana po koncercie odbywała się w wyjątkowo swobodnej atmosferze i nawet panna Thornfield, która zwykle uważała za wielce niestosowne, by jakiegokolwiek wydarzenie z życia szkoły było powodem do radości, zgodziła się poprowadzić coroczną galę wręczania nagród Dobrej Zabawy. Były to przyznawane przez uczennice wyróżnienia, które miały na celu pogłębić radosny i świąteczny nastrój wyczuwany w szkole wraz z końcem roku.

Dla wielu dziewcząt miała to być ostatnia szkolna kolacja w tym semestrze. Tylko garstka uczennic – te, które nie mogły wrócić do domu pociągiem lub

powozem albo których rodzice spędzali lato poza Wielką Brytanią – miała pozostać tu przez całe wakacje. Ada była jedną z nich.

Świadomość tego – mimo wielkiego sukcesu w trakcie koncertu – psuła jej dobry humor. Siedziała w milczeniu, kończąc drugą porcję deseru i obracając w palcach dyplom dla Małej Szwaczki przyznany jej za „zasługi krawieckie” (wydrukowany z pewnością przed kostiumową katastrofą), podczas gdy inne dziewczynki paplały radośnie o nadchodzących wakacjach. To właśnie wtedy przyniesiono pocztę.

Ada była tak przyzwyczajona do tego, że nigdy nie otrzymywała listów, że kiedy wyczytano jej nazwisko, siedząca obok dziewczynka musiała ją dwukrotnie szturchnąć, żeby wyrwać ją z zamyślenia. Dopiero wówczas Ada zauważyła dyżurną, która stała obok stołu nauczycielskiego, trzymając imponujących rozmiarów pudło.

Ada poderwała się z krzesła i w pośpiechu omal nie potknęła się o własne nogi.

Zaraz po powrocie do stołu zaczęła rozwiązywać sznurek, w końcu przecięła go małymi srebrnymi nożyczkami, które wyjęła z kieszeni.

W środku znalazła piękne pudełko zdobione techniką decoupage’u – idealny nowy dom dla Biliego, pomyślała – a w nim grubą kopertę, zapewne list od mamy, oraz kapelusz przeciwsłoneczny, dwie sukienki i mniejszą paczkę, na której widok serce Ady zabiło mocniej. Od razu rozpoznała pismo Shashi na dołączonej do niej ozdobnej kartce. *Pilla* – pisała *aaya po pendzabsku* – *przesyłam Ci coś, co wśród małych zadków przypomni Ci o domu.*

Ada rozerwała paczuszkę i znalazła w środku małą oprawioną w skórę książkę. Na jej kartach nie było słów, lecz suszone pomarańczowe kwiaty hibiskusa, jasnofioletowe lagerstremie wspaniałe, białe lilie pajęczne i czerwone calliandry zwyczajne. Znała je wszystkie – pochodziły z jej ogrodu – i nagle miała wrażenie, że jest w domu. Niemal czuła na twarzy parne powietrze, odurzającą woń lata, słyszała modlitwy wyśpiewywane o zachodzie słońca.

Popadła w taką zadumę, że nie zauważyła podchodzącej do stołu Charlotte Rogers, dopóki jej cień nie zasłonił talerza Ady.

Podniosła wzrok i spojrzała na pełną powagi twarz Charlotte, której – jak zwykle – towarzyszyła May Hawkins. Na sali zapadła pełna wyczekiwania cisza. Ada odruchowo zamknęła książkę i wsunęła ją pod papier pakunkowy.

– Pewnie widziałaś, co wydarzyło się podczas przedstawienia – zaczęła Charlotte.

– To straszne – przyznała Ada. – Wyjątkowy pech.

Charlotte uśmiechnęła się posepnie.

– Zawsze wierzyłam, że sami decydujemy o własnym losie.

Ada nie wiedziała, co odpowiedzieć. Przyznanie racji starszej koleżance wydawało się nieroztropne.

– Mam nadzieję, że w przyszłości będę miała więcej szczęścia – powiedziała Charlotte i wyciągnęła rękę. – Rozejm?

Ada przez chwilę spoglądała na jej dłoń, zanim w końcu ją uścisnęła.

– Rozejm.

Uroczyście podały sobie ręce, a gdy Charlotte uśmiechnęła się nieśmiało, Ada po chwili zastanowienia zrobiła to samo.

\*

Ada nigdy by się nie spodziewała, że będzie z niecierpliwością czekała na piknik z okazji końca roku szkolnego, a jednak po tym, jak pogodziła się z Charlotte, była podekscytowana tym zbliżającym się wydarzeniem. Miały być gry – wolant, quoits<sup>10</sup> i skakanka – a niektóre ze starszych dziewcząt przekonały pannę Radcliffe, by pozwoliła im popływać małą łódką, która niszczała w stodole za domem. W ubiegłym tygodniu dozorca rzucił na nią okiem i dokonawszy kilku drobnych napraw, uznał, że nadaje się do pływania.

Dzień wstał ciepły i bezchmurny. Poranne mgły szybko się podniosły, niebo było błękitne, a ogród skrzył się od rosy. Na trawiastym brzegu rzeki, między dwoma wierzbami, rozłożono koce. Siedzące na nich nauczycielki cieszyły się piękną letnią aurą. Niektóre wzięły ze sobą duże, białe parasolki, podczas gdy inne włożyły kapelusze. W cieniu pod drzewami stały kosze piknikowe z lunchem. Na polecenie panny Radcliffe dozorca wyniósł z domu



drewniany stół, który nakryto koronkowym obrusem, ozdobiono wazonem z różowymi i żółtymi różami i postawiono dzbanki z zimną lemoniadą, porcelanowy imbryk i szklanki, filiżanki i spodeczki.

Shashi zawsze droczyła się z Adą, nazywając ją małym łakomczuchem, i było w tym ziarno prawdy – Ada uwielbiała jeść. Na szczęście piknik jej nie rozczarował. Siedziała na kocu obok panny Radcliffe, która zajadała się kanapkami z serem i wskazując zagajnik, opowiadała o tym, jak pierwszy raz przyjechała do Birchwood – kiedy jej brat Edward kazał im iść pieszo całą drogę aż ze stacji kolejowej – i jak przedzierali się przez las, zanim w końcu ujrzeli dom, który ukazał się ich oczom niczym senna wizja.

Ada słuchała z uwagą. Uwielbiała opowieści, a panna Radcliffe nie była zwykle tak wylewna. Wcześniej zdarzyło jej się to tylko raz. Wracały właśnie z jednej z wypraw i nagle w dali przed nimi pojawiła się posiadłość niczym wielki statek na tle ciemniejącego nieba. Jedno z okien na piętrze płonęło oranżem, odbijając ostatnie promienie zachodzącego słońca. To wówczas panna Radcliffe ni stąd, ni zowąd opowiedziała im historię o magicznych dzieciach i królowej elfów. Zachwycona Ada poprosiła ją o kolejną, ale panna Radcliffe odparła, że nie zna innych opowieści.

Na rozgrzanej słońcem trawie rozpoczynała się właśnie zabawa w ciuciubabkę. Indigo Harding miała oczy zasłonięte białym szalem, a kilka dziewczynek okręcało ją dookoła, licząc skrupulatnie. Doliczywszy do dziesięciu, cofnęły się i otoczyły „ciuciubabkę” szerokim kołem, a Indigo zataczając się i śmiejąc, ruszyła ku nim z wyciągniętymi rękami. Ada nie miała wprawdzie zamiaru do nich dołączyć, ale przechodziła w pobliżu i zanim się obejrzała, sama zaczęła uciekać przed Indigo.

Każda z dziewcząt była „ciuciubabką” i w końcu przyszła kolej na Adę. Nagle cała jej radość ulotniła się, ustępując miejsca zdenerwowaniu. Gra polegała na zaufaniu, a ona prawie nie знаła tych dziewcząt; poza tym nieopodal była rzeka, a Ada bała się wody. Te i inne myśli kłębiły jej się w głowie, gdy nagle pochwyciła spojrzenie May Hawkins. Ta dyskretnie skinęła głową, jakby rozumiała jej obawy. Poprzedniego wieczoru zawarły rozejm i Ada uświadomiła sobie, że oto nadeszła chwila, by poddać go próbie.

Stała bez ruchu, gdy dziewczęta zawiązywały jej oczy, po czym pozwoliła, by licząc powoli od jednego do dziesięciu, okręcały ją w kółko. Poczowała zawroty głowy i śmiała się w duchu, gdy próbując utrzymać równowagę, chwiejnym krokiem ruszyła ku nawołującym ją koleżankom. Machała rękami, nasłuchując ich głosów. Czowała między palcami gęste, ciepłe powietrze, słyszała świerszcze cykające w wyschniętej trawie i miły dla ucha plusk, gdy gdzieś za jej plecami ryba wyskoczyła ponad powierzchnię i wpadła do wody. W końcu musnęła palcami czyjąś twarz, co wywołało salwę śmiechu. Ada zdjęła opaskę z oczu. Nad jej górną wargą perlił się pot. Szyję miała sztywną. Zamrugowała oślepiona i poczuła ulgę podszytą uczuciem triumfu.

– Chodź – szepnęła May, która nagle znalazła się obok niej. – Wymyśliłam fajną zabawę.

\*

Gdy May i Ada dotarły nad rzekę, Charlotte siedziała już w łódce. Widząc je, uśmiechnęła się promiennie i ruchem ręki przywołała je do siebie.

– Czekam i czekam.

– Przepraszam, bawiłyśmy się w ciuciubabkę! – odkrzyknęła May.

– Nieważne. Chodźcie!

Ada zatrzymała się i pokręciła głową.

– Nie umiem pływać.

– Ja też. – May mrużyła oczy w słońcu. – A kto tu mówi o pływaniu?

– Zresztą tu jest płytko – powiedziała Charlotte. – Popłyniemy trochę w górę rzeki i zawrócimy. Jest taki piękny dzień.

Ada widziała, że Charlotte mówi prawdę: sterczące znad wody, kołysane wiatrem trzciny świadczyły o tym, że rzeka nie może być głęboka.

Charlotte pomachała małą papierową torbą.

– Mam landrynki!

May rozciągnęła usta w uśmiechu, w podskokach podbiegła do prostego drewnianego pomostu i usiadła w przywiązanej do niego łódce, na środkowej ławeczce.

Ada spojrzała tęsknym wzrokiem na torebkę z landrynkami, na dwie uśmiechnięte dziewczynki i plamy słońca tańczące na powierzchni wody. Nagle przypomniała sobie słowa Shashi, która powtarzała jej, żeby się nie bała, strach bowiem sprawia, że ludzie nie żyją pełnią życia ...

– No chodź! – zawołała May. – Bo stracimy kolejkę.

I tak Ada postanowiła z nimi popłynąć. Pospiesznie doszła do końca pomostu i z pomocą May usiadła na ławeczce na tyle łódki.

– Co mam robić? – spytała.

– Nic. Tylko siedź – odparła Charlotte, odwiązując cumę. – My zajmiemy się resztą.

Ada odetchnęła z ulgą. Była zbyt zajęta trzymaniem się burty, by zrobić cokolwiek innego. Czuła delikatne kołysanie, gdy Charlotte wzięła do rąk wiosła i odepchnęła łódkę od pomostu. Ada zaciskała palce tak mocno, że zbieleły jej kłyckie.

I po chwili już płynęły. To było cudowne uczucie. Wcale nie czuła mdłości.

– Oczywiście, że nie – odparła ze śmiechem Charlotte, gdy Ada powiedziała jej o tym. – Przecież to nie morze.

Powoli sunęły w górę rzeki. Z naprzeciwka płynęła ku nim kaczka, a za nią dziewięć kaczątek. W rosnących nad rzeką wierzbach śpiewały ptaki; gdzieś na polu zarżał koń. Dziewczęta, które zostały przy dwóch wierzbach, przypominały teraz małe punkciki. A za zakolem nie było widać już nikogo.

Nieco dalej znajdował się obóz cygański. Ada zastanawiała się, czy popłyną tak daleko w górę rzeki. Może nawet dopłyną do śluzy Świętego Jana. Ale kiedy zbliżały się do zagajnika, Charlotte przestała wiosłować.

– Mam dość. Bolą mnie ręce. – Wyciągnęła papierową torbę. – Landrynkę?

May wzięła cukierka, podała torbę Adzie, a ta wyciągnęła czarno-białą miętówkę.

Nurt nie był silny, nie znosił ich z powrotem w dół rzeki; łódka tylko beztrąsko podskakiwała na wodzie. Dziewczęta straciły z oczu pozostałe uczestniczki pikniku, ale spoglądając ponad polami, Ada widziała bliźniacze szczyty budynku szkoły. Przypomniała sobie słowa panny Radcliffe, która nazwała posiadłość Birchwood „senną wizją”, i uświadomiła sobie, że również w niej miejsce to zaczyna budzić ciepłe uczucia.

– Szkoda, że nasza przyjaźń tak kiepsko się zaczęła – przerwała milczenie Charlotte. – Chciałam ci tylko pomóc, Ado. Wiem, jak trudno być w szkole „tą nową”.

Ada, ssąc miętówkę, pokiwała głową.

– Ale ty nie słuchałaś i w ogóle nie chciałaś się uczyć.

Choć Charlotte nadal się uśmiechała, z niewiadomego powodu Adę ogarnęło złe przeczucie. Siedząca w drugim końcu łódki starsza dziewczynka pochyliła się nagle i wyciągnęła coś spod ławeczki.

Ada zobaczyła pudło zdobione techniką decoupage.

Siedziała jak sparaliżowana, podczas gdy Charlotte zdjęła wieczko i wyjęła ze środka puszysty kłębuszek.

– Muszę przyznać, że jest słodki, ale w szkole panny Radcliffe nie wolno trzymać zwierząt.

Ada zerwała się tak gwałtownie, że łódka zakołysała się na boki.

– Oddaj mi go! – zawołała.

– Narobisz sobie kłopotów, jeśli nie pozwolisz, żebym ci pomogła.

– Oddaj mi go! – powtórzyła Ada.

– Jak myślisz, co powie panna Thornfield, kiedy opowiem jej o wszystkim?

– Oddaj mi go!

– Chyba nie rozumie – pisnęła May Hawkins.

– Rzeczywiście – przyznała Charlotte. – Jaka szkoda. Będę musiała dać jej nauczkę. – Wychyliła się za burtę i wystawiła rękę, tak że Bilil niemal dotykał powierzchni wody. Wydawał się taki drobniutki, kiedy rozpaczliwie przebierając łapkami, próbował się czegoś pochwycić. – Mówiłam ci. Zasada numer jeden: ja zawsze wygrywam.

Ada zrobiła kolejny krok i łódź zakołysała się jeszcze mocniej. Musiała uratować Biliego.

May chwyciła jej nogi, próbując ją zatrzymać.

– Czas się pożegnać – rzuciła Charlotte.

– Nie! – Ada wyrwała się z uścisku May i rzuciła się na ratunek Biliemu, lecz runęła jak długa na drewniane dno, bo łódka zakołysała się gwałtownie.

Charlotte trzymała kotka tuż nad wodą. Ada zerwała się na nogi, znów rzuciła się w jej stronę i kolejny raz upadła. Tym razem jednak nie uderzyła

o deski.

Woda była znacznie zimniejsza, niż mogłoby się wydawać. Młóćąc rękami, z trudem łąpała powietrze; usta miała otwarte, niewiele widziała.

Nie mogła utrzymać się na powierzchni. Nie mogła wołać o pomoc. Wpadła w panikę.

Zanurzała się coraz bardziej, młóciła rękami i nogami, krztusiła się wodą, płuca paliły ją żywym ogniem.

Tu, na dole, wszystko było inne. Świat brzmiał inaczej. Robiło się coraz ciemniej. Słońce przypominało maleńki, srebrnawy dysk zawieszony nad powierzchnią, ale Ada opadała w stronę dna, niczym dziewczynka w kosmosie otoczona gwiazdami, które przeciekały jej przez palce, kiedy po nie sięgała.

Nagle przez zamuloną wodę wśród trzciny zobaczyła Shashi na tarasie, jej szeroki uśmiech i perłowobiałe zęby; widziała mamę przy biurku w bibliotece i tatę w gabinecie z globusem. *Klik, klik, klik* – stukał globus, kiedy się obracał – *klik, klik, klik...*

Kiedy pójdą na targowisko, zje *chakkali*.

Ale gdzie była Shashi? Zniknęła. Migotliwe płomienie świec...

Ada czuła się zagubiona.

Nie była jednak sama. Ktoś był w wodzie razem z nią, czuła to. Nie widziała kto, ale wiedziała, że ktoś tu jest. Cień... czyjaś obecność...

W końcu opadła na dno. Jej ręce i nogi uderzyły o kamienie i oślizgłe wodorosty, płuca rozpychały tułów, pchały się do gardła i wypełniały głowę.

I wtedy wydarzyło się coś przedziwnego: podczas gdy mózg zdawał się płonąć, zobaczyła coś przed sobą – jasne niebieskie światło, klejnot, księżyc – i wiedziała, że jeśli tylko wyciągnie rękę i pochwyci to, jasnoniebieskie światło wskaże jej drogę.

## VI

Wydarzyło się coś niezwykle interesującego. Tego popołudnia mieliśmy kolejnego gościa.

Jack spędził rano w dawnej słodowni; ślęczał nad stosem papierów, które przyniósł ze sobą, kiedy wczoraj wieczorem wrócił do domu. Rzuciłam na niego okiem, gdy poszedł wstawić zapiekanek do piekarnika, i zobaczyłam, że to wydruki załączników, które Rosalind Wheeler przesłała wczoraj mailem. Większość z nich to tekst, ale jeden wygląda jak mapa. Albo raczej plan piętra narysowany odręcznie i w znacznej mierze odpowiadający układowi domu, prawdopodobnie wykonany przez tajemniczą panią Wheeler. Podejrzewam, że wszystko to ma doprowadzić Jacka do Błękitu Radcliffe'ów.

Wrócił do domu tuż przed południem i przez godzinę próbował rozgryźć plan – gapił się w niego, odmierzał krokami długość każdego pokoju i od czasu do czasu zatrzymywał się, żeby coś zapisać.

Dochodziła pierwsza, gdy ktoś zapukał do drzwi. Jack sprawiał wrażenie zaskoczonego, w przeciwieństwie do mnie, bo już wcześniej zauważyłam elegancką drobną kobietę stojącą na skraju uliczki biegnącej wzdłuż ogrodu. Patrzyła na dom z rękami skrzyżowanymi na piersi i coś w jej postawie sprawiło, że zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem już jej kiedyś nie spotkałam. A jednak nie. Wiedziałam, gdy tylko podeszła bliżej; nigdy nie zapomnę twarzy. (Niczego nie zapomnę. Już nie).

Ludzie często zatrzymują się w uliczce i spoglądają na dom, celując w niego palcami – ludzie w ubłoconych butach, z psami i przewodnikami – dlatego już mnie to nie dziwi. Rzadko jednak ktoś zapuszcza się do ogrodu i puka do drzwi.

Jack, mimo początkowego zaskoczenia, nie bardzo przejął się tym najściem. Wyjrzał przez kuchenne okno, a zaraz potem ruszył tym swoim ciężkim krokiem korytarzem w stronę drzwi i otworzył je szarpnięciem. Jest w kiepskim nastroju, odkąd wczoraj wrócił ze spotkania z Sarah. Nie jest zły, raczej smutny i poirytowany. Naturalnie ciekawi mnie, co się między nimi wydarzyło, ale na razie z niczym się nie zdradził. Wieczorem zadzwonił tylko do swojego ojca; chyba rozmawiali o jakiejś rocznicy, bo słyszałam, jak Jack mówi: „Dziś mija dwadzieścia pięć lat. Aż trudno uwierzyć, prawda?”.

– Och – odezwała się kobieta, wyraźnie zaskoczona tym, że ktoś otworzył drzwi. – Dzień dobry... Właściwie... myślałam, że w tygodniu muzeum jest zamknięte.

– A mimo to zapukała pani.

– No... tak.

– Siła przyzwyczajenia?

– Chyba tak. – Wzięła się w garść, drobną ręką sięgnęła do torebki, wyjęła wizytówkę koloru kości słoniowej i pokazała ją Jackowi. – Nazywam się Elodie Winslow. Pracuję jako archiwistka w Stratton, Cadwell & Co. w Londynie. Zajmuję się archiwami Jamesa Williama Strattona.

Tym razem to ja byłam zaskoczona, a musicie wiedzieć, że nieczęsto się to zdarza. Podczas gdy wzmianka Jacka o Adzie Lovegrove pozwoliła mi wrócić do przeszłości, tym razem kompletnie oniemiałam. Od lat nie słyszałam tego imienia i nazwiska i nie sądziłam, że jeszcze kiedyś je usłyszę.

– Nigdy o nim nie słyszałam – odparł Jack, obracając w palcach wizytówkę.  
– A powinienem?

– Niezupełnie. Był reformatorem w epoce wiktoriańskiej. Między innymi starał się poprawić sytuację biedoty. Mogę porozmawiać z panem o muzeum?

– spytała niepewnie. I nic dziwnego, Jack nie wygląda bowiem jak przewodnicy, którzy zwykle stoją w drzwiach i bez końca raczą kolejnych zwiedzających tą samą paplaniną.

– W pewnym sensie. Jestem tu jedyną osobą.

Nie wyglądała na przekonaną.

– Wiem, że w piątki muzeum jest zwykle zamknięte, mimo to przyjechałam z Londynu. Nie spodziewałam się, że kogoś tu zastanę. Miałam zamiar zajrzeć

za mur, ale...

- Chce pani rozejrzeć się po domu?
- Jeśli to nie problem.

*Zaproś ją.*

Po chwili wahania odsunął się na bok i tym swoim zamaszystym ruchem ręki zaprosił ją do środka, a zaraz potem zamknął drzwi.

Kobieta weszła do ciemnego holu i jak większość ludzi rozejrzała się. Chwilę później nachyliła się, żeby przyjrzeć się oprawionym w ramki fotografiom, które członkowie Stowarzyszenia Historyków Sztuki powiesili na ścianach.

Czasami, kiedy chcę się rozerwać, błąkam się po korytarzu i podsłuchuję pełne czci komentarze pewnego typu zwiedzających, którzy spekulują na temat wydarzeń na zdjęciach. „W tamtym czasie – mówi elegancki jegomość w podeszłym wieku – Bractwo Magenta prowadziło ożywioną dyskusję na temat artystycznych walorów fotografii, zastanawiając się, czy bliżej jej do nauki, czy do sztuki”. Na co jego mająca anielską cierpliwość towarzyszka odpowiada: „Och, rozumiem”.

- Proszę się rozgościć – rzucił Jack. – Tylko ostrożnie.

Kobieta się uśmiechnęła.

- Bez obaw. Jestem archiwistką. Całe życie dbam o cenne rzeczy.

– Proszę mi na chwilę wybaczyć, mam w piekarniku zapiekankę i czuję, że zaczyna się przypalać. – Mówiąc to, cofał się w stronę kuchni, ja tymczasem podążałam za naszym gościem.

Kobieta przechodziła z pokoju do pokoju; minę miała zagadkową. Tylko raz zatrzymała się, wzdrygnęła i obróciła przez ramię, jak gdyby wyczuwała, że nie jest sama.

Na pierwszym piętrze przystanęła przy oknie z widokiem na las i rzekę, po czym weszła po schodach na poddasze. Położyła torebkę na stole Mildred Manning, przez co od razu ją polubiłam, i wyjęła z niej coś, co wprawiło mnie w szczerze zdumienie. Jeden ze szkicowników Edwarda. Wszędzie bym go rozpoznała. Szok, jakiego doznałam, był niemal fizyczny. Miałam ochotę chwycić ją za nadgarstki i błagać, by powiedziała mi wszystko: kim jest i jak weszła w posiadanie notesu, który niegdyś należał do Edwarda. Wspomniała



coś o Jamesie Williamie Strattonie, o firmie Stratton, Cadwell & Co. i o archiwach. Czy to tam przez cały ten czas leżał szkicownik? Ale jak to, na Boga, możliwe? Przecież ci dwaj się nie znali; z tego, co wiem, nigdy się nie spotkali.

Przerzucając kartki szkicownika – w pośpiechu, jakby robiła to już wielokrotnie i wiedziała dokładnie, czego szuka – otworzyła go na jednym z rysunków i przyjrzała mu się z uwagą. Następnie podeszła do okna z widokiem na łąkę za domem i wyciągając szyję, stanęła na palcach.

Otwarty szkicownik leżał na stole, podeszłam więc do niego.

To jego używał Edward w roku 1862. Siedziałam przy nim, kiedy skrobał piórem po papierze bawełnianym: robił szkice do obrazu, który planował namalować i o którym myślał od lat. Wiedziałam, że na kolejnych stronach są szkice leśnej polany, Kopca Elfów i kamiennej zagrody nad rzeką, a w dolnym rogu na jednej z nich narysowane przeze mnie serduszko i statek na bezkresnym morzu, który naszkicowałam, gdy rozmawialiśmy o naszych planach.

Pragnęłam ze wszystkich sił przewrócić te kartki, zobaczyć pozostałe szkice i dotknąć wspomnień tamtych dni. Wiedziałam jednak z doświadczenia, że moje umiejętności w tej materii są raczej ograniczone. Mogę trzasnąć drzwiami, potrząsnąć okiennicą albo szarpnięciem zedrzeć spódnicę wrednej uczennicy, ale gdy w grę wchodzi bardziej złożone czynności – pociągnięcie nitki albo przewrócenie kartki – brak mi niezbędnej kontroli.

Muszę się dowiedzieć, co sprowadziło tutaj tę kobietę. Czy jest zwykłą miłośniczką sztuki, czy chodzi o coś więcej? To niesamowite, że po tylu latach mam jednego gościa, który interesuje się Adą Lovegrove, a teraz pojawił się drugi, który wspomina coś o Jamesie Strattonie i – co więcej – ma szkicownik Edwarda z roku 1862. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że to jakiś podstęp.

Mój młodzieniec, Jack, chyba też był zaintrygowany, bo kiedy kobieta wróciła na dół, zajrzała do kuchni i krzyknęła „Dziękuję”, podniósł wzrok znad przypalonego naczynia, które szorował w zlewie, i zapytał:

– Znalazła pani to, czego szukała?

A ona, zupełnie jakby go nie słyszała, odparła:

– Był pan bardzo miły. Dziękuję, że wpuścił mnie pan tu w piątek.

Ani słowa o tym, czego szukała.

– Zatrzymała się pani w okolicy?! – zawołał za nią, kiedy ruszyła korytarzem w stronę drzwi. – Czy wraca pani do Londynu?

– Wynajęłam pokój w pobliskim pubie o nazwie Łabędź. Tylko na weekend.

Podeszłam bliżej i skupiłam się z całych sił, by przekazać mu wiadomość. *Zaprosź ją, żeby została. Żeby tu wróciła.*

– Może pani zajrzeć w każdej chwili – odparł, wyraźnie zmieszany. – Jestem tu codziennie.

– Może tak zrobię.

Jak mówią ludzie, którym odmówiono tego, czego naprawdę pożąдали: lepszy rydz niż nic.

Jej wizyta była krótka, ale przez resztę popołudnia w domu wyczuwało się niepokój. Czułam się skołowana i podekscytowana, więc kiedy Jack kontynuował inspekcję domu – teraz chodzi po korytarzu na pierwszym piętrze i wodzi dłonią po ścianie – wróciłam na swoje miejsce na zakręcie schodów i oddałam się rozmyśleniom o dawnych dniach.

\*

Przede wszystkim myślałam o Bładym Joe i ranku, kiedy się spotkaliśmy.

Bo chociaż byłam dobrą złodziejką, zdarzało mi się popełniać błędy. Zwykle były błahe i łatwo dało się je naprawić: wybierałam na ofiarę niewłaściwą osobę, musiałam uciekać przed konstabłem, kradłam portfel równie pusty jak obietnice głupca. Jednakże pewnego dnia, kiedy miałam dwanaście lat, popełniłam błąd znacznie bardziej brzemienny w konsekwencje.

Był to jeden z tych londyńskich poranków, kiedy nie tyle wschodzi słońce, ile mgła zmienia kolor – z czarnego na grafitowy, a w końcu na zabarwiony żółcią stalowoszary. Powietrze było gęste od fabrycznego smogu, a znad rzeki unosiła się oleista woń. Sytuacja nie zmieniała się od kilku dni, przez co moje

zarobki były znacznie skromniejsze. Mniej wytwornych dam decydowało się na samotną podróż, gdy Londyn tonął w ponurej mgle.

Tamtego ranka byłam Małą Pasażerką w omnibusie kursującym między Regent's Park i Holborn. Miałam nadzieję, że natknę się na żonę lub córkę prawnika wracającą z porannego spaceru po parku. Plan był rozsądny, w przeciwieństwie do mojej techniki, byłam bowiem rozkojarzona po wieczornej rozmowie z panią Mack.

Mimo jej pogodnego usposobienia musiała zachowywać pozory, dlatego najszcześliwsza była wówczas, gdy miała powód do narzekań. Jednym z takich powodów – związanych z pieniędzmi, które wydawała na moje sukienki – było to, że rosłam jak na drożdżach. „Ledwie popuszczę szwy i odwinę zakładki, muszę zaczynać od nowa!” – skarżyła się. Tym razem jednak nie poprzestała na komentarzach. „Kapitan i ja uznaliśmy, że najwyższy czas wprowadzić kilka zmian do twojej pracy. Jesteś za duża, żeby udawać małą zagubioną dziewczynkę. Niebawem ci mili dżentelmeni będą chcieli ci pomóc w inny sposób. Albo raczej będą chcieli, żebyś to ty pomogła im”.

Nie chciałam niczego zmieniać i nie podobały mi się insynuacje pani Mack na temat pomocy, jakiej mogłabym udzielać dżentelmenom. Owszem, zaczęłam zauważać zmiany w sposobie, w jaki patrzyli na mnie bywalcy Kotwicy i Gwizdka, kiedy posyłano mnie tam, bym przyprowadziła Kapitana na kolację, i byłam dość mądra, by wiedzieć, że może to mieć coś wspólnego ze „ślicznymi małymi pączuszkami”, o których wspomniała pani Mack, kiedy brała ze mnie miarę do ostatnich poprawek.

Także Martin zaczął mi się przyglądać z większą uwagą. Wystawał na korytarzu przed drzwiami pokoju, w którym spałam, i rano, kiedy się ubierałam, dziurka od klucza, przez którą powinno wpadać światło, pozostawała ciemna. Coraz trudniej było mi uciec przed ciekawskim wzrokiem syna pani Mack. Jego rola w domu polegała na nadzorowaniu – by mieć pewność, że wieczorami żadne z nas nie sprowadzi do domu kłopotów – ale w tym przypadku było inaczej.

Tamtego ranka, jadąc omnibusem, wsunęłam dłoń w kieszeń siedzącej obok mnie damy, a gdy moje palce natrafiły na portmonetkę, nie byłam dość

skupiona. Wciąż rozmyślałam o niepokojącym oświadczeniu pani Mack, o tym, co z tego dla mnie wyniknie, i po raz setny zastanawiałam się, dlaczego ojciec nie ściąga mnie do Ameryki. Co miesiąc Jeremiah zjawiał się, by odebrać od pani Mack pieniądze, które następnie wysyłał do Ameryki, a ona czytała mi kolejny list od ojca. Ale gdy pytałam, czy kazał kupić dla mnie bilet na statek, odpowiadała, że nie i że nie nadszedł jeszcze czas.

Byłam więc rozkojarzona i wydawało mi się, że siedząca obok mnie kobieta zamierza wysiąść, ona tymczasem wstała, szarpnęła mnie za rękę i wykrzyknęła:

– Ty mała złodziejko!

Od lat przygotowywałam się na taką ewentualność. Wielokrotnie wyobrażałam sobie podobne sytuacje. Powinnam udać niewiniątko, spojrzeć na nią z miną zbitego psa, wyjaśnić, że to pomyłka, i może nawet uronić kilka łez. Ale zostałam zaskoczona i zbyt długo się wahałam. Słyszałam jedynie głos pani Mack, która przypominała mi, że gdy bogaci sądzą biednych, nie potrzebują dowodów. Przy tej damie w eleganckim kapeluszu i z dobrymi manierami byłam nikim.

Woźnica ruszył między siedzeniami w moją stronę, a dżentelmen siedzący dwa siedzenia dalej zerwał się na równe nogi. Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam, że nikt ani nic nie stoi mi na drodze do tylnych drzwi, więc rzuciłam się do ucieczki.

Byłam szybka, ale pech chciał, że nowo mianowany konstabl, który akurat kręcił się w okolicy, usłyszał zamieszanie i widząc, że salwuję się ucieczką, ruszył za mną w pościg.

– Zatrzymać złodziejkę! – krzyczał, wywijając nad głową pałką policyjną.

Nie pierwszy raz musiałam uciekać przed konstablem, ale tego ranka mgła zagnała mnie zbyt daleko na północ, bym mogła liczyć na pomoc któregoś ze swoich przyjaciół. Jak ostrzegła mnie Lily Millington, dając się złapać w tak młodym wieku, praktycznie skazywałam się na przytułek, nie miałam zatem wyboru: musiałam gnać ile sił w nogach w kierunku Covent Garden.

Serce waliło mi jak oszałałe, kiedy pędziłam przez Red Lion Square. Konstabl był wprawdzie gruby, ale jako dorosły mężczyzna okazał się szybszy ode mnie. Na High Holborn panował tłok i odetchnęłam z ulgą, wiedząc, że

lawirując w tłumie, łatwo go zgubię. Kiedy jednak przebiegłam na drugą stronę i obejrzałam się przez ramię, policjant nadal deptał mi po piętach.

Rzuciłam się w wąską alejkę i niemal natychmiast uświadomiłam sobie swój błąd: jej drugi koniec otwierał się na zieloną równinę Lincoln's Inn Fields. Nie wiedziałam, co począć, tymczasem konstabl był coraz bliżej. Nagle dostrzegłam uliczkę biegnącą za rzędem uroczych tynkowanych domów i drabinę przymocowaną do ceglanej ściany na tyłach jednego z nich.

Ogarnęło mnie radosne uniesienie i pomyślałam, że na górze poradzę sobie znacznie lepiej niż mój prześladowca.

Zaczęłam się wspinać, krok po kroku, szczebel po szczeblu, najszybciej jak mogłam. Drabina zadrżała gwałtownie, gdy ciężkie buciory konstabla zadudniły na metalowych szczeblach. Pięłam się coraz wyżej; minęłam okna na parterze, na pierwszym i drugim piętrze, a gdy dotarłam na szczyt drabiny, wgramoliłam się na kryty łupkiem dach.

Szłam ostrożnie wzdłuż orynowania, rozkładając ręce, by zachować równowagę. Wkrótce dotarłam na koniec dachu, przeskoczyłam na kolejny i na drżących nogach minęłam kominy. Słusznie przypuszczałam, że w górze zdobędę przewagę, bo choć konstabl nadal nie rezygnował z pościgu, był na tyle daleko, że mogłam chwilę odetchnąć.

Moja radość nie trwała jednak długo, albowiem dotarwszy na koniec dachu, uświadomiłam sobie, że nie mam dokąd uciec.

I wtedy je zobaczyłam! Na wpół otwarte okno mansardowe. Niewiele myśląc, otworzyłam je jeszcze szerzej i wślizgnęłam się do środka.

Upadłam na podłogę, ale nie miałam czasu przejmować się bólem. Przykucnęłam i przywarłam do ściany, kryjąc się pod szerokim parapetem. Serce waliło mi tak mocno, że byłam pewna, iż policjant je usłyszy. Jeśli chciałam wiedzieć, czy mój prześladowca nie zrezygnował z pościgu, musiałam je uspokoić, bo tylko mając pewność, że dał za wygraną, mogłam wyjść z powrotem na dach i wrócić do domu.

Widok otwartego okna tak mnie ucieszył, że nawet przez chwilę nie zastanawiałam się, dokąd mnie zaprowadzi. Dopiero teraz, uspokoiwszy nieco oddech, zaczęłam rozglądać się po pokoju i zobaczyłam, że znalazłam się

w dziecięcej sypialni. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie to, że chłopiec, do którego należała, siedział na łóżku i gapił się na mnie.

Był najbledszym stworzeniem, jakie w życiu widziałam. Miał mniej więcej tyle lat co ja, wymizierowaną twarz i włosy koloru spalonej słońcem trawy. Siedział oparty o białe puchowe poduchy, a jego woskowe ramiona spoczywały na wygładzonej płóciennej pościeli. Próbowałam uśmiechnąć się do niego pocieszająco i otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale dotarło do mnie, że bez względu na to, co powiem albo zrobię, sytuacja nie będzie normalna. Co więcej, konstabl mógł tu dotrzeć lada chwila, więc najlepiej by było, gdyby żadne z nas nie odezwało się ani słowem.

Podniosłam palec do ust, pokazując chłopcu, żeby był cicho. Wiedziałam, że mój los spoczywa w jego rękach. Po chwili jednak usłyszałam, jak mówi:

– Jeśli zrobisz choćby krok – głos miał tak przenikliwy, że każde słowo zdawało się kroić stęchłe, gęste powietrze – zawołam ojca i zanim zdążysz się odezwać, trafisz na statek do Australii.

Zesłanie było jeszcze gorsze od przytułku, rozpaczliwie szukałam więc słów, by wyjaśnić mu, jak to się stało, że znalazłam się na dachu i przez okno trafiłam do jego pokoju, lecz w tej samej chwili usłyszałam drugi głos. Był szorstki i nieco zakłopotany i dobiegał z okna nad moją głową.

– Proszę wybaczyć, paniczu, ale ścigałem pewną dziewczynkę...

– Dziewczynkę? Tu, na dachu? Oszalał pan?

– Ależ skąd, paniczu. Widzi panicz... wspięła się tu po drabinie niczym małpka...

– Mam uwierzyć, że mała dziewczynka okazała się szybsza od pana?

– No cóż... tak właśnie było.

– Przecież jest pan dorosły.

Chwila ciszy, a zaraz potem:

– Tak.

– Proszę natychmiast odejść od okna mojej sypialni, albo zacznę krzyczeć.

Wie pan, kim jest mój ojciec?

– Tak, paniczu, ale... Widzi panicz, ta dziewczynka...

– Natychmiast!

– Dobrze, paniczu, dobrze. Już idę.

Na dachu rozległo się szuranie nogami, a zaraz potem ześlizgnęło się coś ciężkiego i usłyszeliśmy krzyk.

Chłopiec wpatrywał się teraz we mnie.

Doświadczenie nauczyło mnie, że jeśli człowiek nie wie, co powiedzieć, lepiej nic nie mówić, więc w milczeniu czekałam na to, co się wydarzy.

Przez chwilę patrzył na mnie pytającym wzrokiem, po czym rzucił:

– Dzień dobry.

– Dzień dobry.

Teraz, kiedy konstabla nie było już w pobliżu, nie było sensu kulić się pod oknem. Wstałam, by rozejrzeć się po pokoju, i muszę przyznać, że nie mogłam wyjść z zachwyty.

Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Był to pokój dziecienny ze skośnym dachem i półkami, które ciągnęły się od podłogi aż po sufit, pełnymi najrozmaitszych zabawek: drewnianych żołnierzyków i kręgli, piłek, raketek i szklanych kulek. Do tego cudowny mechaniczny pociąg z wagonikami, w których siedziały miniaturowe lalki, arka ze zwierzętami, bąki różnych wielkości, czerwono-biały bębenek, pudełko z wyskakującym pajacykiem i stojący w kącie koń na biegunach, który obserwował wszystko nieruchomym, szklanym wzrokiem. Teatrzyk kukielkowy na stoliku. I obręcz z kijkiem, który wyglądał, jakby nikt nigdy go nie używał.

Mój wzrok spoczął na tacy w nogach łóżka. Były na niej rozmaite przysmaki, które widywałam w witrynach sklepów w Mayfair i których nie miałam nadziei nigdy skosztować. Coś ścisnęło mnie w żołądku. Chłopiec musiał chyba zobaczyć, że patrzę na tacę wygłodniałym wzrokiem, bo chwilę później usłyszałam jego głos:

– Wyświadczysz mi wielką przysługę, jeśli się poczęstujesz. Wciąż próbują mnie karmić, chociaż powtarzam im, że nie jestem głodny.

Nie trzeba mi było powtarzać dwa razy.

Jedzenie na tacy wciąż było ciepłe i spałaszowałam je przycupnięta na skraju łóżka. Byłam zbyt zajęta jedzeniem, by rozmawiać, a ponieważ on nie chciał ani jeść, ani mówić, patrzyliśmy na siebie ponad tacą.

Kiedy skończyłam, otarłam usta serwetką, tak jak robiła to pani Mack, i uśmiechnęłam się ostrożnie.

– Czemu leżysz w łóżku? – spytałam.

– Nie czuję się dobrze.

– Co ci jest?

– W tej kwestii nie ma pełnej jasności.

– Umrzesz?

Zastanawiał się przez chwilę.

– To całkiem możliwe. Chociaż do tej pory nie umarłem, co poczytuję za dobry znak.

Skinęłam głową, by pokazać, że się z nim zgadzam, a także po to, by dodać mu otuchy. Nie znałam tego dziwnego bladego chłopca, ale cieszyła mnie myśl, że nie jest jedną nogą w grobie.

– Jaki jestem nieuprzejmy! – rzucił nagle. – Wybacz. Nieczęsto miewam gości. – Wyciągnął szczupłą dłoń. – Imię nadano mi po ojcu, ale ty możesz mówić do mnie po prostu Joe. A ty jesteś...?

Uścisnęłam jego rękę i pomyślałam o Lily Millington. Wymyślenie imienia byłoby najrozsądniejszym rozwiązaniem, tym bardziej nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego powiedziałam mu prawdę. Poczułam niepohamowaną chęć, która rosła we mnie i pęczniała, aż nie byłam w stanie się jej oprzeć.

– Nazwano mnie po ojcu mojej mamy – odparłam. – Ale przyjaciele mówią do mnie Birdie.

– Więc ja również będę cię tak nazywał, bo wylądowałaś na moim parapecie zupełnie jak ptaszek.

– Dziękuję, że użyczyłeś mi tego parapetu.

– Proszę bardzo. Leżąc tu i nie mając na co patrzeć, często zastanawiałem się, po co budowniczy zmarnowali tyle materiału, żeby był taki szeroki. Teraz widzę, że byli mądrzejsi, niż przypuszczałem.

Uśmiechnął się do mnie, a ja odpowiedziałam tym samym.

Na stole przy łóżku leżał przedmiot, który pierwszy raz widziałam na oczy. Ośmielona życzliwością Bladego Joe, wzięłam go do rąk. Był to umieszczony na sznurku krążek z namalowanym na jednej stronie kanarkiem i klatką na drugiej.

– Co to?

Skinął ręką, żebym mu go podała.



– To taumatrop. – Chwycił jeden koniec sznurka, obwinął go wokół palca wskazującego prawej ręki, po czym zrobił to samo z drugim końcem i palcem wskazującym lewej ręki i zaczął szybko obracać krążek. Zachwycona, klasnęłam w dłonie, bo nagle ptak wleciał do klatki. – To magia – rzekł.

– Iluzja – sprostowałam.

– Tak. Masz rację. To sztuczka. Ale całkiem dobra.

Ostatni raz zerknęłam na taumatrop, podziękowałam Blademu Joe za lunch i powiedziałam, że muszę już iść.

– Nie – odparł pospiesznie i pokręcił głową. – Zabraniam ci.

Jego reakcja tak mnie zaskoczyła, że nie wiedziałam, co powiedzieć. Jedyne, co mogłam zrobić, to postarać się nie parsknąć śmiechem na myśl, że ten przykuty do łóżka blady chłopiec myśli, że jest w stanie czegoś mi zabronić. Było mi też smutno, ponieważ te dwa słowa w pełni obnażyły jego pragnienia i ułomności.

Być może on również dostrzegł niedorzeczność swoich słów, bo gdy znów się odezwał, jego głos stracił brawurę i zabrzmiał niemal błagalnie.

– Proszę. Musisz zostać dłużej.

– Będę miała kłopoty, jeśli wrócę do domu po zmroku.

– Do zachodu słońca zostało jeszcze mnóstwo czasu... przynajmniej dwie godziny.

– Ale nie wykonałam pracy. Nie zdobyłam żadnych pieniędzy.

Blady Joe, wyglądający na zmieszanego, zapytał, o jakiej pracy mówię. O nauce? Bo jeśli tak, to gdzie miałam książki i tabliczkę i gdzie jest moja guwernantka? Odparłam, że nie chodzi o naukę, że nigdy nie byłam w szkole, i opowiedziałam mu o podróżach omnibusem, o rękawiczkach i sukienkach z głębokimi kieszeniami.

Słuchał mnie z szeroko otwartymi oczami, a na koniec poprosił, żebym pokazała mu rękawiczki. Usiadłam bliżej niego na skraju łóżka, wyjęłam je z kieszeni i złożyłam na kolanach, tak jak wtedy, gdy jadąc omnibusem, udawałam małą damę.

– Widzisz, że ręce trzymam tu – wyjaśniłam, wskazując na rękawiczki, na co on przytaknął. – A tymczasem... Co to?

Wydał stłumiony okrzyk, bo nie poruszyłam się, a jednak jakimś sposobem wsunęłam rękę pod kołdrę i połaskotałam go po kolanie.

– Tak to właśnie działa. – Zeskoczyłam z łóżka i przyglądałam sukienkę.

– Ale... to cudowne... – Z uśmiechem, który na krótką chwilę rozjaśnił mu twarz, wydawał się bardziej ożywiony. – I robisz to codziennie?

Stałam przy oknie, rozmyślając o tym, jak wrócę na dół.

– Prawie. Czasami udaję, że się zgubiłam, i okradam dżentelmenów, którzy mi pomagają.

– A te rzeczy, które im zabierasz... portmonetki, biżuteria... Zanosisz to do domu i oddajesz mamie?

– Moja mama nie żyje.

– Sierota – odezwał się z niemal nabożną czcią. – Czytałem o nich w książkach.

– Nie. Nie jestem sierotą. Mój tata wyjechał na jakiś czas, ale ściągnie mnie, jak tylko zadomowi się w nowym miejscu. – Podciągnęłam się na parapet.

– Nie idź – poprosił. – Jeszcze nie.

– Muszę.

– Więc wróć... proszę. Obiecujesz?

Zawahałam się. Wiedziałam, że postąpię nierozsądnie, jeśli się zgodzę. W tej okolicy dziewczynka bez przyzwoitki szybko zacznie zwracać na siebie uwagę, a konstabl na końcu ulicy na pewno mnie zapamiętał. Może nie miał okazji zobaczyć mojej twarzy, lecz rzucił się za mną w pościg i następnym razem mogłabym nie mieć tyle szczęścia. Ale to jedzenie... nigdy dotąd nie jadłam takich pyszności. I te półki pełne zabawek i cudownych rzeczy...

– Weź to – powiedział Błady Joe, wyciągając w moją stronę taumatrop. – Jest twój. A kiedy znowu przyjdiesz, obiecuję, że pokażę ci coś dużo, dużo lepszego.

Tak oto poznałam Błatego Joe, który stał się moją tajemnicą, tak jak ja stałam się jego sekretem.

Atmosfera w domu się zmieniła. Wydarzyło się coś ważnego, podczas gdy ja rozmyślałam o swoim starym przyjacielu Bladym Joe. Jack jest w korytarzu i wygląda na bardzo zadowolonego z siebie. Nie muszę się zastanawiać, żeby wiedzieć, co jest powodem tego zadowolenia. Stoi przed kryjówką, której drzwiczki są otwarte na oścież.

W pośpiechu wrócił do swojego pokoju, pewnie po latarkę. Chociaż powiedział Rosalind Wheeler, że nie wejdzie do domu przed sobotą, rozumiem jego ciekawość i nie wątpię, że zamierza zajrzeć w każdy kącik kryjówki i zbadać wszystkie, nawet te najdrobniejsze, wyłobienia w boazerii, z nadzieją że znajdzie ukryty w nim brylant. Ale nie znajdzie go, bo go tam nie ma. Cóż, nie można odkrywać wszystkich tajemnic naraz. Nie zaszkodzi mu, jak trochę sobie poszuka. Lubię, kiedy jest sfrustrowany, bo robi się wtedy nieokrzesany.

Zostawię go i zaczekam na niego w starej słodowni. Mam do przemyślenia wiele rzeczy, jak choćby wizytę Elodie Winslow. W jej zachowaniu było coś znajomego. Z początku nie potrafiłam tego określić, ale w końcu sobie przypomniałam. Kiedy weszła do domu i chodziła po pokojach, z jej ust dobyło się westchnienie, które tylko ja byłam w stanie usłyszeć, a zadowolenie, jakie ujrzałam na jej twarzy, graniczyło ze spełnieniem. Przypomniało mi o Edwardzie. Tak właśnie patrzył, gdy pierwszy raz przyjechaliśmy do tego domu.

Lecz Edward miał powód, by czuć tak głębokie przywiązanie. Jako chłopiec związał się z tym domem, tamtej upiornej nocy, gdy na pobliskich polach wydarzyły się straszne rzeczy. Ale co sprowadziło tutaj Elodie Winslow? Co ją łączyło z posiadłością Birchwood?

Mam nadzieję, że jeszcze tu wróci. Czekam na to z entuzjazmem, jakiego nie czułam od lat. W końcu zacznym rozumieć, co czuł Błady Joe tamtego dnia, gdy obiecał, że pokaże mi coś cudownego, jeśli tylko obiecuję, że wrócę. Kiedy człowiek sam nie może udać się w odwiedzinę, rozpaczliwie wyczekuje gości.

Błady Joe jest drugą osobą po Edwardzie, której najbardziej brakuje mi w moim obecnym stanie zawieszenia. Często o nim myślałam i zastanawiałam się, co się z nim stało, był bowiem wyjątkowym człowiekiem. Kiedy go

poznałam, chorował, a pustelnicze życie w pokoju pełnym nietkniętych skarbów sprawiło, że bardziej niż innych interesowało go wszystko to, co działo się za oknem. Cała jego wiedza pochodziła z książek i dlatego często nie rozumiał, jak działa świat. Nie mógł pojąć, kiedy opowiadałam mu o ciasnych, wilgotnych pokojach, w których mieszkałam z ojcem w cieniu kościoła Świętej Anny, o wspólnej wygodce i bezzębnej kobiecie sprzątającej ją w zamian za bryłki węgla, i o smutnej historii Lily Millington. Chciał wiedzieć, dlaczego ludzie decydują się żyć w takich warunkach, i nieustannie prosił, bym opowiadała mu historie o Londynie, o uliczkach w Covent Garden, ciemnych zaułkach pod mostami na Tamizie, w których kobiety kupczą swoim ciałem, o niemowlętach porzuconych przez rodziców. Przede wszystkim jednak lubił słuchać o dzieciach, które mieszkały w domu pani Mack, a gdy opowiadałam mu o tych małych nieszczęśnikach, zbyt słabych, by odnaleźć się w tym świecie, łzy napływały mu do oczu.

Ciekawe, co pomyślał, gdy na dobre zniknęłam z jego życia. Czy mnie szukał? Nie od razu, ale później, kiedy minęło więcej czasu, niż nakazywał zdrowy rozsądek. Czy wątpił i zadawał pytania, czy uwierzył, że wydarzyło się najgorsze? Błady Joe miał tyle lat co ja i przyszedł na świat w 1844 roku; jeśli dożył sędziwego wieku, miał osiemdziesiąt siedem lat, gdy ukazała się książka Leonarda. Jako zapalony czytelnik – często razem czytaliśmy w jego sypialni na poddaszu, siedząc ramię w ramię wśród pachnącej świeżości białej pościeli – zawsze wiedział, co i kiedy się ukazuje. Był również miłośnikiem sztuki. Zamiłowanie to odziedziczył po ojcu, którego dom w Lincoln's Inn Fields pełen był obrazów Turnera. Tak, jestem pewna, że Błady Joe przeczytał książkę Leonarda. Ciekawe, co sądził o jego teoriach? Czy uwierzył, że byłam wiarogomną złodziejką klejnotów, która w poszukiwaniu lepszego życia uciekła do Ameryki?

Wiedział, że jestem zdolna do kradzieży. Pod pewnymi względami znał mnie lepiej niż Edward. W końcu poznaliśmy się, kiedy uciekałam przed konstabłem. Od początku zasypywał mnie pytaniami o panią Mack i jej działalność, zachwycał się moimi opowieściami o Małej Zgubionej Dziewczynie i Małej Pasażerce, a z czasem także o Bywalczyńni Teatrów;

zachęcając mnie, bym raczyła go coraz nowymi historiami, jak gdyby opowiadały o wielkich, bohaterskich czynach.

Blady Joe wiedział też, co postanowiłam: że jeśli ojciec mnie nie ściągnie, sama wybiorę się w podróż do Ameryki i go odnajdę. Bo choć Jeremiaś regularnie przynosił wieści i stał dostojnie w salonie pani Mack, gdy ta na głos czytała listy, w których mój ojciec opisywał, jak próbuje stanąć na nogi, i przykazywał mi, bym słuchała pani Mack i wykonywała jej polecenia, miałam nieodparte wrażenie, że jest coś, czego oboje mi nie mówią. Skoro bowiem życie ojca układało się tak, jak opisywał to w listach, to dlaczego nie chciał, bym do niego dołączyła?

Blady Joe wiedział, że kocham Edwarda. Właściwie on pierwszy to zauważył. Nadal pamiętam ten wieczór w 1861 roku, kiedy odbyła się wystawa w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych i Edward zaprosił mnie, bym zobaczyła odsłonięcie obrazu *La Belle*. Po wszystkim poszłam do Błedego Joe. Od tamtej pory miałam mnóstwo czasu, by zastanowić się nad tym, co powiedział mi wówczas Blady Joe. „Zakochałaś się. Taka właśnie jest miłość. Sprawia, że zdejmujemy maskę i pokazujemy drugiej osobie nasze prawdziwe oblicze. To wymuszona akceptacja, paskudna świadomość, że to drugie być może nigdy nie poczuje tego samego”.

Jak na chłopca, który rzadko wychodził z pokoju, wiedział wiele na temat miłości. Matka nieustannie zachęcała go, by wybrał się na tańce i poznał debiutantki londyńskiej socjety; ja również, żegnając się z nim, często powtarzałam mu, by włożył swój czarno-biały strój wieczorowy i poszedł na kolację albo bal. Myślałam o nim, gdy w pośpiechu przemykałam uliczkami w stronę Covent Garden – o moim bladym, eleganckim, utykającym przyjacielu, który miał dobre serce i który przez pięć lat, odkąd się poznaliśmy, wyrósł i wyprzystojniał. Wyobrażałam sobie nas dwoje, jakbym patrzyła z góry na nasze równoległe życia, które wiedliśmy w tym samym wielkim mieście.

Domyślałam się, że na jednym z takich balów Blady Joe poznał kobietę, piękną damę, w której zakochał się bez pamięci, tak jak ja w Edwardzie, i która być może nie odwzajemniała jego uczuć; na to mogły wskazywać słowa, które wypowiedział tamtej nocy.

Nigdy nie miał okazji powiedzieć mi, kim była. Kiedy widziałam go po raz ostatni, mieliśmy po osiemnaście lat. Przyszłam do jego okna, by powiedzieć mu, że zgodziłam się pojechać z Edwardem na wakacje do posiadłości Birchwood. Nie zdradziłam mu innych swoich planów i nie pożegnałam się jak należy. Wówczas nie sądziłam, że będzie to konieczne. Myślałam, że na wszystko mam jeszcze czas. Ludzie chyba zawsze tak myślą.

\*

Jack wrócił do dawnej słodowni i mój dom na powrót pogrążył się w ciszy, jak gdyby łąpał oddech po tym jakże wyjątkowym dniu. Od bardzo dawna nikt nie zapuszczał się do kryjówki.

Mój gość jest zniechęcony, ale nie dlatego, że nie znalazł kamienia. Jego brak wiąże się z telefonem do Rosalind Wheeler i kolejną niemiłą rozmową, bo zleceniodawczyni z pewnością nie będzie zadowolona. Ale dla Jacka poszukiwanie Błękitu Radcliffe'ów to tylko praca; nic go z nim nie łączy poza zwykłą ludzką ciekawością. Jestem pewna, że jego kiepski humor ma związek z wczorajszym spotkaniem z Sarah, podczas którego z pewnością rozmawiali o dwóch małych dziewczynkach.

Chciałabym wiedzieć, co się między nimi wydarzyło. Dzięki temu mogę się skupić na czymś innym niż moje własne wspomnienia i niekończący się bezcelowy upływ czasu.

Odłożył na bok notatki pani Wheeler i plan piętra i sięgnął po aparat. Zauważyłam u niego pewien schemat. Kiedy coś go denerwuje, bierze aparat i patrzy przez obiektyw na rozmaite rzeczy – bawi się przesłoną i reguluje ostrość, robi zbliżenia, po czym oddala obraz. Czasami – bardzo rzadko – robi zdjęcie. W końcu odzyskuje równowagę i odkłada aparat.

Dziś jednak nie może się uspokoić. Chowa aparat z powrotem do torby i zakłada ją na ramię. Zamierza wyjść na zewnątrz i zrobić więcej zdjęć.

Zaczekam na niego w moim ulubionym kąciku na zakręcie schodów. Lubię patrzeć na Tamizę widoczną pomiędzy drzewami za łąką. W tym miejscu jest wyjątkowo spokojna; tylko barki pływają w dół i górę rzeki, zostawiając po sobie smugi dymu. Słysząc plusk zarzucanej wędki, tupot kaczki wychodzącej

na brzeg, a czasami latem, kiedy jest dość ciepło, by można się było kąpać – śmiech.

To, co mówiłam wcześniej – że nigdy nie zapaściłam się nad rzekę – nie do końca jest prawdą. Byłam tam jeden jedyny raz. Nie wspominałam o tym, bo wciąż nie potrafię tego wytłumaczyć. W tamto popołudnie, gdy Ada Lovegrove wypadła z łódki, byłam tam, nad Tamizą, i patrzyłam, jak opada na dno.

Edward mawiał, że rzeka zachowuje pierwotne wspomnienia o wszystkim, co kiedykolwiek się wydarzyło. Mam wrażenie, że z tym domem jest podobnie. Że pamięta tak samo jak ja. Pamięta wszystko.

\*

W takich chwilach myślę o Leonardzie.

Był żołnierzem, ale przyjechał do Birchwood jako student piszący pracę poświęconą Edwardowi. Jego papiery zajmowały cały stół w Pokoju Morwowym na dole. To głównie od niego dowiedziałam się o tym, co wydarzyło się po śmierci biednej Fanny. Wśród jego notatek były listy, artykuły prasowe i raporty policyjne. Jakże dziwnie było widzieć „Lily Millington” pośród innych nazwisk. Obok Thurstona Holmesa, Felixa i Adele Bernardów, Frances Brown, Edwarda, Clare i Lucy Radcliffe’ów.

Widziałam policjantów prowadzących śledztwo w sprawie śmierci Fanny. Patrzyłam, jak przeszukiwali pokoje, przetrząsali ubrania Adele i zdzierali tapety ze ścian w ciemni Felixa. Byłam tam, kiedy niższy z dwóch mężczyzn schował do wewnętrznej kieszeni płaszcza fotografię Clare w koronkowej halce. Byłam tam, gdy opróżniali pracownię Edwarda, wynosząc z niej wszystko, co mogło rzucić na mnie jakiegokolwiek światło...

Leonard miał psa, który spał na fotelu, podczas gdy on pracował. To było wielkie kudłate zwierzę o zabłoconych łapach i smutnych oczach. Lubię zwierzęta: w przeciwieństwie do ludzi, często wyczuwają moją obecność i sprawiają, że czuję się doceniana. Zdumiewające, jak ważna jest najmniejsza nawet odrobina uznania, gdy człowiek przyzwyczai się do tego, że nikt nie zwraca na niego uwagi.

Leonard przywiózł ze sobą gramofon i późną nocą słuchał muzyki. Na stoliku nocnym trzymał szklaną fajkę, taką samą jak ta, którą widziałam u ojca, kiedy spędzał noce w chińskiej spelunie w Limehouse. Gdy czasami Leonarda odwiedzała kobieta o imieniu Kitty, chował tę fajkę.

Zdarzało się, że przyglądała mu się, jak śpi, tak jak teraz przyglądam się Jackowi. Miał żołnierskie zwyczaje, jak stary major, znajomy pani Mack i Kapitana, który potrafił uderzyć dziewczynę, ale nie położył się spać, dopóki nie wypastował butów i nie ustawił ich równo przy łóżku.

Leonard nie był agresywny, ale nawiedzały go koszmary. Za dnia był schludny, cichy i uprzejmy, ale przez sen rzucał się, krzywił i krzyczał głosem ochrypłym z przerażenia. „Tom! – wołał. – Tommy!”

Ciekawiło mnie, kim był Tommy. Leonard wołał go tak, jak rodzice zagubione dziecko.

Nocami, gdy wypaliwszy fajkę, zapadał w leniwy sen, w którym Tommy nie mógł go odnaleźć, siedziałam w ciszy ciemnego domu i myślałam o ojcu i o tym, jak długo czekałam, żeby po mnie wrócił.

Kiedy Leonard nie palił, zostawałam z nim. Wiem, co to jest rozpacz, więc w tamte noce klęczałam i szeptałam mu do ucha: „Już dobrze. Uspokój się. Tommy mówi, że nic mu nie jest”.

*Tom... Tommy...* Wciąż słyszę to imię, kiedy nocami wiatr wieje tak mocno, że deski podłogowe drgają i skrzypią.



# ROZDZIAŁ TRZYNASTY

## *Lato 1928*

To był do tej pory najgorętszy dzień i obudziwszy się, Leonard postanowił, że pójdzie popływać. Polubił spacerować ścieżką flisacką. Wybierał się na nie wczesnym rankiem, a czasami też popołudniami, w dogasającym świetle dnia.

Na tym odcinku Tamiza w niczym nie przypominała błotnistej szerokiej rzeki, która toczy swe wody przez Londyn. Była pełna wdzięku, zwinna, a jednocześnie łagodna. Przeskakiwała nad kamieniami, muskała brzegi, a jej wody były tak czyste, że widać w nich było kołyszące się na dnie trzciny. Leonard uznał, że rzeka jest kobietą, albowiem mimo swej skąpanej w słońcu przejrzystości miejscami bywała zdradliwa i niezgłębiona.

Ciepły, słoneczny czerwiec okazał się idealny do badania okolic i Leonard odkrył szczególnie urokliwe zakole, kilka mil w górę rzeki, przed mostem Lechlade Halfpenny. Nieco dalej na polu grupa niesfornych dzieciaków rozbiła obóz na lato, ale brzozowy zagajnik czynił to miejsce zacisznym.

Leonard siedział oparty o pień wierzby, żałując, że nie naprawił starej drewnianej łodzi, którą znalazł w stodole za domem. Dzień był bezwietrzny, więc uznał, że cudownie byłoby położyć się w łódce i pozwolić, by nurt poniósł ją w dół rzeki.

W oddali mniej więcej jedenastoletni chłopiec z długimi, patykowatymi nogami i guzowatymi kolanami wybiegł z cienia drzewa i podbiegł do pnia drugiego. Przeciął zalaną słońcem polanę, młóćąc powietrze ramionami i uśmiechając się od ucha do ucha.

Na ułamek sekundy Leonard przypomniał sobie radość z bycia młodym, szybkim i wolnym. „Biegnij ze mną, Lenny!” Czasami wciąż słyszał te słowa,

gdy wiatr wiał w określonym kierunku albo gdzieś nad głową szybował ptak. „Biegnij ze mną, Lenny!”

Chłopiec go nie widział. Razem z kolegami zbierał długie jak miecze patyki, które następnie zanosili do chłopca w nakrapianym namiocie. Ten oglądał je, jedne przyjmował, a drugie odrzucał, kręcąc głową. Zdaniem Leonarda nie wyglądał na przywódcę. Może był nieco wyższy od pozostałych i pewnie trochę starszy, ale dzieci instynktownie wyczuwają władzę.

Leonard dogadywał się z dziećmi. Nie było w nich fałszu, do którego uciekali się dorośli, by ułatwić sobie życie. Mówiły, co myślą, opisywały to, co widzą, a gdy się ze sobą nie zgadzały, kłóciły się i godziły. Tak jak on i Tom.

Piłka tenisowa poszybowała w powietrze, spadła na ziemię z miękkim plaśnięciem i potoczyła się po trawie w stronę wody. Pies potruchtał w jej stronę i chwilę później złożył ją u stóp swego pana. Leonard przyjął wilgotny dar, zważył piłkę w dłoni, po czym rzucił w kierunku, z którego nadleciała.

Czuł na skórze ciepły dotyk słońca. Zdjął koszulę i spodnie i w samych gatkach podszedł na skraj wody. Zanurzył palec w rzece, obserwując przepływające obok stado kaczek.

Chwilę później, nie czekając, aż zmieni zdanie, dał nura do wody.

Jej chłód sprawił, że skórę miał napiętą. Z otwartymi oczami schodził coraz głębiej i głębiej, aż dotknął ręką mulistego dna. Przez chwilę trwał bez ruchu, licząc. Z kępy oślizgłych trzcin uśmiechała się do niego twarz Toma.

Nie pamiętał czasów sprzed pojawienia się Toma. Dzielilo ich zaledwie trzynaście miesięcy. Ich matka straciła dziecko, dziewczynkę, June, która przyszła na świat przed Leonardem i w drugim roku życia zmarła na szkarlatynę, nie chciała więc ryzykować, że znów zostanie bez dzieci. Słyszał, jak pewnego popołudnia przy herbacie wyznała jego ciotce, że gdyby nie „kobiece problemy”, miałyby dziesięcioro dzieci.

– Masz dziedzica i drugiego syna, gdyby temu coś się stało – odparła jak zwykle pragmatyczna ciotka. – To lepsze, niż gdybyś w ogóle nie miała dzieci.

Ta rozmowa latami nie dawała mu spokoju. Zastanawiał się, czy to on jest „dziewicem” i czy to dobrze, czy źle.

Tom był młodszy, ale silniejszy. W wieku czterech lat przerósł też pięcioletniego brata. Miał szersze ramiona – „Jak pływak”, mawiał z dumą

ojciec – i pogodne usposobienie, którym zjednywał sobie ludzi. Leonard był bardziej zamknięty w sobie. Matka lubiła powtarzać, że wiedziała, jacy będą, z chwilą gdy wzięła ich w ramiona. „Kuliłeś do siebie rączki i nóżki i przyciskałeś brodę do piersi, jakbyś próbował uciec przed światem. Za to Tom zaciskał piąstki, zadzierał główkę i wysuwał dolną wargę, jakby chciał powiedzieć: »Spróbujcie mnie dopaść«”.

Płuca go paliły, wciąż jednak się nie wynurzał. Spoglądał na roześmianą twarz brata, gdy pomiędzy nimi przepłynęła ławica strzebli potokowych. Dalej liczył.

Tom podobał się kobietom. Był przystojny – nawet Leonard musiał to przyznać – ale chodziło o coś innego. Był zabawny i szczodry, a jego śmiech przywodził na myśl promień słońca przeświecający zza chmur. Leonard, który miał mnóstwo czasu, by się nad tym zastanawiać, uznał, że ludzi najbardziej urzekała w Tomie szczerość. Nawet kiedy był zły, w jego emocjach była prawdziwość, która sprawiała, że ludzie do niego lgnęli.

Leonardowi dudniło w uszach. Wkrótce dudnienie wypełniło mu całą czaszkę, aż nie był w stanie dłużej go znieść. Odepchnął się od dna i niczym strzała wystrzelił w górę ku lśniącej powierzchni, wynurzył się i zaczerpnął głęboko powietrza. Zmrużył oczy, gdy świat zniknął w nagłym rozbłysku bieli, i położył się na plecach, by uspokoić oddech.

Rozłożył ręce i nogi i czując na brzuchu ciepłe promienie słońca, unosił się na wodzie. Dziewięćdziesiąt trzy sekundy. Nadal daleko mu było do rekordu, który Tom ustanowił w 1913 roku, ale jutro znowu spróbuje. Gdzieś niedaleko zaśpiewał skowronek i Leonard zamknął oczy. Woda pluskała delikatnie. Cieszący się latem chłopcy krzyczeli radośnie.

Powoli popłynął w stronę brzegu. Był kolejny dzień, taki sam jak poprzedni.

*Hora pars vitae.* Tę sentencję nauczyciel łaciny kazał im wielokrotnie przepisywać. „Każda godzina jest częścią życia”.

*Serius est quam cogitas,* wyryto na zegarze słonecznym we Francji. Była to skromna konstrukcja w ogrodzie małego kościółka, gdzie podczas odwrotu oddział Leonarda zatrzymał się na odpoczynek. „Jest później, niż ci się wydaje”.

\*

– Chodź, Psie. – Zwierzę poderwało się z ziemi i Leonarda kolejny raz uderzyło jego radosne usposobienie. Pies pojawił się pierwszej nocy, którą Leonard spędził w Birchwood, prawie miesiąc temu, i już tam został. Trudno było określić jego rasę; był duży, brązowy i silny, z kosmatym ogonem, który zdawał się żyć własnym życiem.

Razem wrócili do domu. Koszula Leonarda była wilgotna w miejscach, w których dotykała skóry. Wysoko w górze nad polem pszenicy szybowaly dwa czerwone latawce i Leonard wrócił wspomnieniami na front. Przypomniat sobie zrujnowana ogromna posiadlosc we Francji, w ktorej zatrzymali sie na noc. Czesc budowli zawalila sie, ale druga pozostala nietknieta. W wylozonym czarno-bialymi plytkami holu stal zegar szafkowy, ktory w nocy tykal jeszcze glonsniej, odmierzajac kolejne minuty, choc nie wiadomo do czego, poniewaz odmierzaniu nigdy nie bylo konca.

Jeden z ludzi znalazl na gorze skrzypce, w pokoju pelnym ksiazek i bibelotow, ktore ciesza oko ludzi w czasie pokoju. Przyniosl je na dol do ogrodu i zaczal grac teskna melodie, ktora Leonard pamietal jak przez mgle. Wojna sama w sobie byla surrealistyczna: widzial rzeczy, ktore nie mogly dzialac sie naprawde, a jednak sie dzialy. Dzień po dniu poglebial sie rozdzwiek między tym co kiedyś a tym co teraz, podczas gdy ludzie, którzy do niedawna byli drukarzami, szewcami i urzednikami, ładowali broń i umykali przed szturami w nasiaknietych wodą okopach.

Zdaniem Leonarda w ciągu tych długich czterech lat nie było bardziej paradoksalnej sytuacji niż słuchanie skrzypiec w letnim ogrodzie, podczas gdy niespełna milę dalej ludzie umierali wśród huku bomb. Wysoko w górze kołowały sokoły wędrowne, niewzruszone tym, co działo się w dole na polach. Błotem, krwią, rzezią i bezsensowną śmiercią. Jak wszystkie ptaki, miały dobrą pamięć; już widziały podobne rzeczy.

Ludzie też mogli spojrzeć w przeszłość. Potrzebowali do tego wojny. Kolejna ironia: fotografia lotnicza wymyślona po to, by bombowce dokonywały jak największych zniszczeń, była teraz wykorzystywana przez kartografów do odkrywania cudów ziemi widzianej z lotu ptaka.

Najwyraźniej pod tym względem wojny są niezwykle przydatne. Tak twierdził dawny szkolny przyjaciel Leonarda, Anthony Baxter, kiedy kilka miesięcy temu siedzieli razem przy piwie. Mówił, że potrzeba jest matką wynalazku i że nic nie motywuje człowieka bardziej niż chęć przetrwania. Anthony pracował w branży przemysłowej nad materiałem, który miałyby zastąpić szkło. Alkohol i chciwość zabarwiły jego policzki na różowo, gdy z przejęciem opowiadał, że człowiek może zarobić wielkie pieniądze, jeśli tylko ruszy głową.

Leonard gardził pieniędzmi. Albo raczej chęcią ich posiadania. Jego zdaniem jedynym pozytywem wynikającym z wojny była świadomość, jak niewiele potrzebuje człowiek, żeby przetrwać. Jak nieistotna jest cała reszta. Wszystkie te porzucone zegary szafkowe, ludzie, którzy tak po prostu zamknęli drzwi do swoich posiadłości i uciekli z bliskimi w poszukiwaniu schronienia. Teraz wiedział, że prawdziwy jest grunt pod stopami człowieka. Przyroda, która oferuje mu wszystko, czego może potrzebować, i ziemia, na której każdy żyjący mężczyzna, kobieta i dziecko odcisnęli swoje piętno.

Przed przyjazdem do Birchwood kupił w sklepie Stanfords na Long Acre kilka szczegółowych map Oxfordshire, Wiltshire i Berkshire. Widać na nich było uczęszczane od tysiącleci rzymskie trakty, kręgi zbożowe w miejscach, gdzie kiedyś stały otoczone rowami zagrody, i równoległe radliny wyorane średniowiecznymi pługami. Jeśli się zaglądało dalej w przeszłość, można było zobaczyć miejsca pochówku z epoki neolitu, które ciągnęły się pod ziemią niczym sieć naczyń włosowatych, ślady ostatniej epoki lodowcowej.

Ziemia przypominała ogromnych rozmiarów muzeum, w którym zapisywano i przedstawiano narrację czasu, a ten obszar, zwany Ridgeway – z wykutym w kredzie ptakiem kiwi na równinie Salisbury, Gigantem z Cerne Abbas i Białym Koniem z Uffington – był wyjątkowo łatwy do odczytania. W przeciwieństwie do gliny, kreda była znacznie bardziej odporna na zapadanie się i miała lepszą pamięć. Leonard znalazł się na kredzie. Jedno z jego zadań we Francji polegało na kopaniu tuneli pod polem bitwy. Trenował w Larkhill w Wiltshire; nauczył się budować stanowiska nasłuchowe i siedział godzinami ze stetoskopem przyciśniętym do zimnej ziemi. A potem razem z Nowozelandczykami wykopał prawdziwy tunel pod miastem Arras.

Tygodniami siedział w ciemnościach przy blasku świec i wiadrze, które w największe chłody służyło im za koksownik.

Leonard znalazł się na kredzie.

Brytania była prastarą wyspą, miejscem pełnym duchów, gdzie każdy akr ziemi był świadkiem historycznych wydarzeń; lecz dzieje tej okolicy były szczególnie bogate. Bywało, że na jednej parceli układały się, niczym warstwy na torcie, ślady ludzkiej bytności z różnych okresów: prehistorycznego, epoki żelaza, średniowiecza, a teraz także tunele z okresu Wielkiej Wojny. Tamiza niczym wąż wiła się pośrodku mapy; wypływała wąską strużką ze wzgórz Cotswolds i stopniowo się rozszerzała. W rozwidleniu wąskiego dopływu znajdowała się wioska Birchwood. Nieco dalej, na wzniesieniu, biegł szlak prostszy niż te tworzone zwykle przez Matkę Naturę, linia geomantyczna. Leonard czytał Alfreda Watkina, a z tego, co William Henry Black opowiadał członkom Brytyjskiego Stowarzyszenia Archeologicznego w Hereford, wynikało, że takie „wielkie geometryczne linie” łączą neolityczne zabytki na terenie całej Wielkiej Brytanii i Europy Zachodniej. Były to dawne ścieżki, wykute tysiące lat temu, magiczne, potężne i święte.

To właśnie owa tajemnicza i mistyczna przeszłość przyciągnęła tutaj Edwarda Radcliffe'a i pozostałych latem 1862 roku. I to ona – przynajmniej częściowo – zadecydowała o tym, że postanowił kupić dom. Leonard wielokrotnie czytał manifest, podobnie jak listy, które Radcliffe pisał do przyjaciela – również artysty – Thurstona Holmesa. W przeciwieństwie do Radcliffe'a, który po śmierci narzeczonej praktycznie popadł w zapomnienie, Holmes malował dalej i udzielał się w życiu publicznym jeszcze dobrze po siedemdziesiątce. Zmarł niedawno, pozostawiając po sobie bogatą korespondencję i dzienniki. Leonard wielokrotnie udawał się na Uniwersytet Yorku i tygodniami szukał czegoś, co mogłoby rzucić nowe światło na związek Radcliffe'a z domem w Birchwood.

W liście wysłanym w styczniu 1861 roku Radcliffe pisał:

*Kupiłem dom. Uroczą posiadłość, która choć niewielka, ma eleganckie proporcje. Przypomina skromnego, lecz dostojnego ptaka, przycupniętego w gnieździe w zakolu rzeki, na skraju lasu i malej, acz idealnej wioski.*

*Jest coś jeszcze, Thurstonie. Nie przeleję tego na papier, zaczekam z tym do naszego następnego spotkania. Powiem tylko, że jest w tym domu coś, co mnie do niego przyciąga, coś starego i niezupełnie z tego świata. Przyzywało mnie już od jakiegoś czasu, albowiem ja i mój nowy dom nie jesteśmy sobie obcy.*

Nie napisał nic więcej i choć Leonard wiedział, że Radcliffe w dzieciństwie mieszkał przez jakiś czas w tej okolicy, tajemnicą pozostawało, co i kiedy przyciągnęło go do domu. Przy nielicznych okazjach Edward Radcliffe w zawołany sposób wspominał o doświadczeniu z dzieciństwa, które choć „upiorne”, „odmieniło jego życie”, Leonard nie zdołał jednak ustalić, o co chodziło. Tak czy inaczej, coś się wydarzyło i choć Radcliffe nie chciał o tym mówić, zdarzenie to dało początek jego obsesji na punkcie posiadłości Birchwood, którą w końcu zakupił. W grudniu 1860 roku sprzedał wszystkie swoje obrazy i obiecał ich nabywcy, że namaluje kolejnych sześć w zamian za brakujące dwieście funtów. Dysponując niezbędną sumą, podpisał umowę, która czyniła go właścicielem posiadłości Birchwood i przyległych do niej terenów.

\*

Słyszając zniecierpliwione poszczekiwanie, Leonard podążył za wzrokiem Psa. Spodziewał się zobaczyć stadko kaczek albo gęsi, tymczasem ujrzał kobietę i mężczyznę nadchodzących z naprzeciwka. Wystarczyło rzucić okiem, by wiedzieć, że są w sobie zakochani.

Mężczyzna roześmiał się z czegoś, co powiedziała jego towarzyszka; był to serdeczny śmiech, który na chwilę zagłuszył inne odgłosy poranka. W odpowiedzi kobieta szturchnęła go łokciem w żebra; ona również się uśmiechała.

Na widok tych dwojga Leonard się uśmiechnął. Byli tacy radośni i idealni, a ich sylwetki takie wyraźne. Szli, jakby mieli wszelkie prawo przebywać na tym świecie; jak gdyby nawet przez sekundę nie wątpili, że są w odpowiednim miejscu i czasie.

W porównaniu z nimi Leonard czuł się słaby i przezroczysty, a przez to nieśmiały. Bał się, że nie będzie w stanie odpowiedzieć na radosne: „Dzień dobry”. Nie był pewien, czy zdoła wydusić z siebie te proste słowa ani czy wystarczy uprzejme skinienie głową. Nawet przed wojną brakowało mu swobody w sytuacjach towarzyskich.

Dostrzegł leżący na ziemi patyk, ładny kawałek jasnego drewna. Podniósł go i zważył w dłoni.

– Hej, Psie, aport!

Cisnął patyk na łąkę, a uradowany Pies rzucił się za nim, zapominając o mężczyźnie i kobiecie.

Leonard odwrócił się plecami do rzeki i ruszył jego śladem. Znad wierzb rosnących nad potokiem Hafodsted widać było bliźniacze szczyty posiadłości Birchwood. Zauważył, że w jednym z okien na poddaszu odbija się słońce, przez co wyglądało, jakby w środku paliło się światło.

\*

Kiedy Leonard w wieku osiemnastu lat wyjechał do Oksfordu, do głowy mu nie przyszło, że skończy, zbierając materiały na temat Edwarda Radcliffe’a i liczącego czterysta lat domu w sennym wiejskim zakątku. Ale przecież większość tego, co wydarzyło się w ciągu minionych piętnastu lat, wykraczało poza ramy jego młodszej wyobraźni. Tak naprawdę w 1913 roku w ogóle nie myślał o pracy akademickiej. Wyjechał do Oksfordu, ponieważ był inteligentnym chłopcem – nic więcej. Zamierzał studiować historię w college’u Christ Church, bo podobał mu się trawnik i majestatyczny kamienny budynek z widokiem na łąkę. To na pierwszym roku podczas kursu wprowadzającego poznał profesora Harrisa i odkrył sztukę nowoczesną.

To, co było przypadkowym wyborem, nagle stało się pasją. Leonarda zachwyciły odwaga i zjawiskowość *Aktu schodzącego po schodach nr 2* Marcela Duchampa i rozszczepienie *Panien z Awinionu* Picassa. Czytał po nocach Marinettiego i pojechał do Londynu, by zobaczyć wystawę Umberta Boccioniego w Doré Gallery. Ironia Duchampowskich ready-made<sup>11</sup> – jak koło rowerowe na stołku – była prawdziwym objawieniem, które napełniło



Leonarda optymizmem. Pragnął innowacji, uwielbiał postęp i wynalazki, zachłystywał się nowymi ideami związanymi z przestrzenią i czasem i ich interpretacją. Miał wrażenie, że unosił się na ogromnej fali, która niesie go w przyszłość.

Nadszedł jednak rok 1914 i pewnego wieczoru brat odwiedził Leonarda w college'u. Planowali wybrać się na kolację do miasta, ale Tom zaproponował, żeby najpierw poszli na spacer. Był ciepły letni wieczór i gdy Tom zaczął z rozrzuwaniem mówić o przeszłości i dzieciństwie, Leonard od razu wiedział, że coś wisi w powietrzu. Dopiero gdy usiedli przy stoliku w restauracji, brat oświadczył:

– Zaciągnąłem się.

Te dwa słowa sprawiły, że wojna, która do tej pory była tylko nagłówkiem w gazetach, nagle stała się rzeczywistością.

Leonard nie chciał walczyć. W przeciwieństwie do Toma nie szukał przygód, w każdym razie nie takich. Co go obchodziło, że jakiś strzelający bez namysłu szaleniec w Sarajewie poczuł niechęć do austriackiego arcyksięcia w kapeluszu z piórkiem? Powstrzymał się jednak od wyrażania podobnych komentarzy, zwłaszcza w obecności matki i ojca, którzy z dumą i łzami w oczach patrzyli na Toma w jego nowym mundurze. To, że wojna wybuchła właśnie teraz, kiedy odkrył swoją pasję, uznał za wielką niedogodność.

Ale.

Pomyślał.

Jak długo mogła trwać?

Będzie niczym krótka przerwa, nowe doświadczenie, które podsyci jego zapał do patrzenia na świat z różnych perspektyw. Dzięki niej będzie mógł z bliska przyjrzeć się mechanizacji i postępowi...

Nie było sensu zastanawiać się nad tym „jak” i „dlaczego”. Tom wyjeżdżał do Francji, a Leonard razem z nim.

Pięć lat później wrócił do kraju i świata, którego nie rozpoznawał.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Powojenny Londyn przedstawiał sobą wstrząsający widok. Historia triumfowała i Leonard stanął twarzą w twarz ze zmianami i postępem na skalę, której się nie spodziewał. I nie chodziło tylko o świat, ale o żyjących w nim ludzi. Z chaosu wojny wyłonili się ludzie o pospolitych twarzach, których nie rozpoznawał, i wszyscy oni pragnęli tańczyć i świętować, rzeć głupkowato i odcinać się od tego, co łączyło ich z przeszłością i wojenną niedolą.

Leonard wynajął kawalerkę na najwyższym piętrze budynku przy Holloway Road. W małym ogródku na tyłach trzymano świnię, a pod domem, głęboko w trzewiach ziemi, był tunel kolejowy. Świnię zauważył od razu, ale o pociągach dowiedział się dopiero po tym, jak zapłaciwszy za miesiąc z góry, siedział ze szklanką piwa i papierosem przy małym drewnianym stoliku obok łóżka. Zapadał zmrok – dla Leonarda był to czas niepokoju, kiedy nie ufał nawet światłu – i pomyślał, że ktoś ostrzeliwuje dom, że zaszła potworna pomyłka i wojna wcale się nie skończyła. A to był tylko pociąg. W panice rzucił ze stolika szklankę z piwem, na co mieszkająca pod nim kobieta załomotała w sufit kijem od miotły.

Próbował podążać z duchem czasu, ale zamiast być wolny jak ptak, czuł, że nigdzie nie ma dla niego miejsca. Wszyscy pili za dużo, ale podczas gdy inni po alkoholu robili się weseli, Leonard stawał się ckliwy. Kiedy wieczorem zapraszano go do klubu, wkładał nowy garnitur i jechał tam pełen najlepszych intencji, obiecując sobie, że będzie radosny, że będzie słuchał i przytakiwał, a nawet czasem się uśmiechnie. Tymczasem dawał się wciągnąć w rozmowę i w pewnym momencie niezmiennie przyłapywał się na tym, że mówi o przyjaciółach, których stracił, o tym, jak przychodzą do niego pod

osłoną nocy, jak widzi ich w lustrze, gdy się goli, a czasem nawet w półmroku ulicy, gdzie słyszy za sobą echo ich kroków.

Kiedy o tym opowiadał, ludzie patrzyli na niego krzywo i urażeni odwracali się, jakby nie rozumieli, dlaczego postanowił zepsuć im zabawę. Nawet gdy nie mówił o utraconych przyjaciółach, nie potrafił prowadzić swobodnej rozmowy. Był zbyt szczery. Zbyt poważny. Świat był niczym bańka mydlana, krucha i lśniąca, w której każdy odnajdywał swoje miejsce. Ale Leonard był zbyt ciężki, by móc w niej zamieszkać. Człowiek, który nigdzie nie pasował: zbyt stary, by utożsamiać się z pełnymi werwy młodzikami, i zbyt młody, by odnaleźć się wśród pozbawionych złudzeń pijaków tłoczących się nad rzeką. Nie czuł więzi z nikim ani z niczym.

Pewnego popołudnia, stojąc na moście Charing Cross i obserwując ludzi i łódki, spotkał swojego dawnego profesora, idącego właśnie do National Gallery. Profesor Harris zaproponował mu, żeby do niego dołączył, i w drodze rozprawiał uprzejmie o sztuce, życiu i ludziach, których obaj kiedyś znali. Leonard słuchał go w skupieniu i kiwał głową, lecz wszystkie te anegdoty były dla niego mało śmiesznymi relikdami przeszłości. Gdy skręciwszy za róg, weszli do sali z dziełami okresu renesansu i profesor zasugerował, że Leonard powinien pomyśleć o powrocie na uczelnię, jego słowa zabrzmiały obco, jak gdyby mówił w innym języku. Nawet gdyby Leonard wrócił do tych niepokojąco pięknych oksfordzkich budynków, modernizm umarł: Boccioni zmarł stratowany przez konia w 1916 roku, a francuscy krytycy domagali się „powrotu porządku”. Młodość i witalność nurtu przeminęła, tak jak przeminęła młodość i witalność Leonarda, pogrzebana wśród kości i błota.

Musiał jednak coś zrobić. Londyn był za szybki i za głośny; Leonard odczuwał nagłą potrzebę ucieczki. Była niczym ciśnienie, które wzrasta przed burzą: rozsadzała mu bębenki, sprawiała, że niecierpliwie przebierał nogami. Nocami budził się zlany potem, kiedy przejeżdżający pociąg trząsał całą kawalerką, a umalowana chuda kobieta z pokoju niżej zatrzaskiwała drzwi po wyjściu hałaśliwego klienta. Czarne skrzydła paniki ścisnęły go za gardło; modlił się, by dokończyły dzieła. Przyłapywał się na tym, że w myślach przemierza ścieżki, którymi chodził w dzieciństwie... którymi chodził z Tomem. Przeskakiwał przez ceglany mur na końcu ogrodu, przedzierał się

przez zarośla, szedł zwężającą się dróżką przecinającą łąkę i biegnącą w stronę lasu. „Biegnij ze mną, Lenny” – coraz częściej słyszał te słowa, ale kiedy się odwracał, widział tylko starców w pubach, młodych chłopców wystających na rogach ulic i wychudzone koty, które patrzyły na niego szklistymi oczami.

Zanim skończył się okres najmu, wrzucił do słoika na biurku równowartość czynszu za dwa miesiące z góry, wyprowadził się z kawalerki i wyjechał z Londynu pociągiem, który turkocząc, mijał małe okienka domów innych ludzi. Jego rodzinny dom był mniejszy, niż zapamiętał, i nędzniejszy, ale pachniał tak samo i to wystarczyło. Matka otworzyła drzwi do jego chłopięcego pokoju. Nie pozbyła się pustego łóżka na wprost drzwi. W kątach niczym pajęczyny wisiły niezliczone rozmowy. Ciche za dnia, nocami rozbrzmiewały tak głośno i wyraźnie, że czasami Leonard siadał na łóżku i zapalał lampkę przekonany, że w jej ciepłym świetle zobaczy uśmiechniętą twarz brata. W ciemnościach słyszał skrzypienie sprężyn materaca, zupełnie jak wtedy, gdy Tom wiercił się we śnie.

Ich dawne zabawki i książki nadal stały na półce – oddział drewnianych żołnierzyków, bąk, zniszczone pudełko z grą Węże i Drabiny i *Wehikuł czasu* H.G. Wellsa, wielokrotnie czytany przez Leonarda. Uwielbiał tę historię, kiedy miał trzynaście lat. Tom też. Wtedy marzyli wyłącznie o tym, co przyniesie przyszłość, fantazjowali o podróżach w czasie i odkrywaniu cudów, które na nich czekały. Teraz Leonard spoglądał jedynie w przeszłość. Czasami siedział z książką w dłoni, podziwiając jej trwałość i kształt. Jakimi dostojnymi przedmiotami są książki; już samo to, do czego służą, przydawało im szlachetności.

Niekiedy nocami sięgał po pudełko z grą. Zawsze grali tymi samymi pionkami: Leonard szarym otoczakiem, którego znalazł, gdy rodzice zabrali go nad morze do Salcombe, a Tom srebrną dwupensówką podarowaną mu przez pewnego staruszka, któremu pomógł wstać, gdy ten przewrócił się na ulicy. Obaj wierzyli w swoje szczęśliwe pionki i każdy upierał się, że jego jest lepszy, ale Leonard pamiętał, że zazdrościł Tomowi jego monety, bo młodszy brat wygrywał dziewięć na dziesięć gier. To zawsze Tom miał więcej szczęścia. Z wyjątkiem tego jednego, jedyne raz.

Pewnego dnia na początku 1924 roku Leonard wyjątkowo nie mógł usiedzieć w miejscu. Wrzucił do płóciennego worka butelkę wody i wyszedł na spacer. Często tak robił, tym razem jednak, kiedy zaczęło zmierzchać, nie zawrócił, lecz uparcie parł przed siebie. Nie wiedział, dokąd idzie, i wcale o to nie dbał. Zasnął w szczerym polu w świetle półksiężyca wiszącego wysoko na bezchmurnym niebie. A gdy o świcie zbudził go śpiew skowronka, zebrał swoje rzeczy i ruszył w dalszą drogę. Przeszedł z jednego końca Dorsetshire w drugi, a w Devonshire odnajdywał ścieżki na wrzosowiskach Dartmoor i obcował z tamtejszymi duchami. Zaczął dostrzegać różne odcienie zieleni, warstwy liści nad głową i to, jak żdźbła trawy bieleją, im bliżej są ziemi.

Zapucił brodę, jego skóra ogorzała od słońca. Miał pęcherze na piętach, a podeszwy stóp stwardniały tak, że zdawały się należeć do innego człowieka, człowieka, który był mu bliższy niż on sam. Z mistrzowską wprawą wybierał kostury. Nauczył się układać rozpałkę i doczekał się zgrubień na dłoniach. Chwytał się różnych zajęć, dziwnych prac, które nie wymagały zaangażowania i nie tworzyły więzi, a gdy kończył, odbierał swoją marną zapłatę i ruszał dalej. Czasami na ścieżce spotykał ludzi, nieznanomych, z którymi witał się skinieniem głowy albo ręki. Bywało, że w miejscowym pubie zamienił kilka słów z innym podróżnikiem, a wówczas zdumiewało go brzmienie własnego głosu.

To w jednym z pubów Leonard zobaczył zdjęcie Anglii z lotu ptaka. Była sobota, pora lunchu. W zatłoczonym pubie jego uwagę zwrócił mężczyzna, który siedział przy drewnianym stole na zewnątrz. Obok niego stał oparty o stół zakurzony czarny rower. Mężczyzna wciąż miał na głowie skórzaną czapkę pilotkę. Pochylony nad powiększoną fotografią i zajęty robieniem notatek, nie od razu zauważył Leonarda, który bacznie mu się przyglądał. Kiedy w końcu go zobaczył, skrzywił się i odruchowo zasłonił zdjęcie ramieniem. Wyglądał, jakby miał ochotę coś warknąć, ale nagle coś w jego twarzy się zmieniło i Leonard wiedział, że został rozpoznany. Nie żeby się znali, nigdy dotąd się nie spotkali. Ale tacy jak oni zostali napiętnowani tym, co przeszli, co widzieli i czego się dopuścili.

Człowiek ów nazywał się Crawford i służył w Królewskim Korpusie Lotniczym. Po wojnie dostał pracę w brytyjskim urzędzie kartograficznym

i od tej pory podróżował po Wiltshire i Dorsetshire, nanosząc na mapy miejsca stanowisk archeologicznych; odkrył też kilka dotąd nieznanych. Leonard, który zawsze wolał słuchać, niż mówić, czerpał pocieszenie z tego, co usłyszał od Crawforda. Słowa nowego znajomego potwierdziły przypuszczenia Leonarda co do czasu i jego plastyczności. Zdjęcia Crawforda łączyły w sobie czas i przestrzeń, ukazywały przeszłość, która współistniała z teraźniejszością. Patrząc na nie, Leonard uświadomił sobie, że bliżej mu jest do dawnych ludzi przemierzających ścieżki, po których sam teraz chodził, niż do londyńskich młodzików spędzających noc na hulankach. Wiedział o tym, gdy rezygnował z dobytku; czuł, że należy do ziemi i z każdym krokiem ta więź się zacieśniała. *Przynależność*. To słowo utkwilo mu w głowie i gdy po południu podjął wędrówkę, maszerował do rytmu jego sylab.

Wieczorem tego dnia, kiedy postanowił rozbić obóz, przyszła mu do głowy pewna myśl, odległe wspomnienie z pierwszego roku na kursie historii w Oksfordzie. Przypomniał sobie pewną pracę na temat wiktoriańskiego ruchu, do którego należał niejaki Edward Radcliffe. Choć Bractwo Magenta zrzeszało kilku artystów, to właśnie Radcliffe zapadł mu w pamięć z powodu związanej z nim tragicznej historii: zamordowania jego młodej narzeczonej i powolnego upadku malarza. W tamtym czasie Leonard nie interesował się tą grupą: dość miał artystów wiktoriańskich. Nie zgadzał się z rzeczami, które przyjmowali za pewnik, szydził z ich zatechłych czarnych koronek i zagraconych korytarzy. Jak wszyscy moderniści – i jak wszystkie dzieci – próbował określić siebie na przekór ustalonemu porządkowi.

Ale wstęp do historii sztuki profesora Harrisa był gruntowny i studenci, chcąc nie chcąc, musieli przeczytać tę pracę. Jej autor odwoływał się do spisanego w 1861 roku „manifestu” Edwarda Radcliffe’a – *Sztuka przynależności*. Radcliffe zachwycał się związkiem, który dostrzegł pomiędzy ludźmi i miejscami, a także pomiędzy miejscami i sztuką. Leonard wciąż pamiętał, jak przeczytał, że: *Ziemia nie zapomina. Miejsce to drzwi, przez które podróżujemy w czasie*. Autor pracy wspominał również o domu, na punkcie którego malarz miał obsesję, bo jak wierzył, było to miejsce, do którego przynależał. Dla osiemnastoletniego wówczas Leonarda wynurzenia Radcliffe’a na temat miejsca, przeszłości i przynależności brzmiały obco

i nudno, lecz teraz, dziesięć lat później, nie mógł przestać myśleć o tych słowach.

\*

Kiedy w końcu wrócił do rodzinnego domu, był chudszy i bardziej zarośnięty, skórę miał ogorzałą, a ubrania znoszone. Spodziewał się, że zobaczywszy go, matka przerazi się albo zacznie krzyczeć i powie mu, żeby poszedł na górę się umyć. Ona jednak nie zrobiła żadnej z tych rzeczy. Otworzyła drzwi, po chwili wahania upuściła na podłogę ścierkę do naczyń i uściśnęła go tak mocno, że bał się, iż połamie mu żebra.

Bez słowa wpuściła go do środka, posadziła na krześle ojca i przyniosła wiadro ciepłej wody z mydłem. Zdjęła mu buty i skarpety, które niemal przykleiły się do skóry, i zaczęła obmywać mu stopy – nie pamiętał, by robiła coś podobnego, odkąd przestał być dzieckiem – a po jej policzkach toczyły się łzy. Kiedy pochyliła głowę, po raz pierwszy dostrzegł pasma siwizny w jej włosach, które – nie wiadomo kiedy – straciły swój blask. Spoglądając ponad jej ramieniem, zobaczył na przykrytym koronkowym obrusem stole kolekcję rodzinnych zdjęć: Tom i on w wojskowych mundurach, jako chłopcy w szortach i czapczkach i jako dzieci w szydełkowych beretach. Różne mundury na różne czasy. Woda była tak ciepła, matczyzna dobroć tak czysta i nieoczekiwana, a on tak odwykł od wszystkich tych rzeczy, że jemu również łzy napłynęły do oczu.

Później wypili razem herbatę, a gdy matka zapytała, co robił przez te wszystkie miesiące, odparł:

– Chodziłem.

– Chodziłeś – powtórzyła. – Dobrze się bawiłeś?

Odparł, że tak.

– Miałam gościa – powiedziała nieco zdenerwowana. – To ktoś, kogo znałeś.

Okazało się, że profesor Leonarda odnalazł go dzięki rejestrowi studentów w college'u. Profesor Harris zgłosił jedną z jego prac do konkursu uniwersyteckiego, dzięki czemu Leonard otrzymał skromne stypendium,

które wystarczyło na zakup nowych butów i kilku map w sklepie Stanfords. Za resztę kupił bilet na pociąg. W czasie swej wędrówki Leonard poczuł więź z Radcliffe'em, pojechał więc do Yorku, by przeczytać prace Thurstona Holmesa. Coś się musiało wydarzyć, że młody człowiek – wówczas ledwie dwudziestoletni – pisał z takim entuzjazmem o miejscu i poczuciu przynależności i że całym sercem pokochał ten dom. Tylko ktoś, kto sam czuł, że nigdzie nie przynależy, mógł myśleć podobnie.

Leonard nie miał jednak szczęścia. Archiwa Holmesa zawierały wprawdzie wiele listów Radcliffe'a, ale żadnych z okresu, który go interesował. Było to frustrujące, a zarazem dziwne. W latach 1859–1861 Radcliffe i Holmes pisywali do siebie regularnie, a ich utrzymane w tonie swobodnej konwersacji długie listy świadczyły o tym, że panowie często się spotykali i wzajemnie się inspirowali. Ale Radcliffe niechętnie pisał o domu i po kolejnym – tym razem krótkim i dość szorstkim – liście ze stycznia 1862 roku, w którym prosił Holmesa, by ten oddał mu pożyczone farby, ich listy stały się rzadsze i pisane jakby na siłę.

Rzecz jasna mogło nie być żadnej tajemnicy: może ci dwaj po prostu oddalili się od siebie albo nadal do siebie pisali, lecz ich listy spłonęły zimą w kominku, nie zostały skatalogowane albo trafiły do śmieci podczas wiosennych porządków. Leonard nie wiedział i niespecjalnie się nad tym zastanawiał. Cokolwiek się wydarzyło, w połowie 1862 byli sobie na tyle bliscy, by spędzić razem lato w towarzystwie innych członków Bractwa Magenta – Felixa i Adele Bernardów – i siostry Edwarda, Clare, która pozowała Holmesowi, w domu Edwarda Radcliffe'a w Birchwood.

I choć Leonard nie znalazł tego, czego szukał, nie wyszedł z archiwum z pustymi rękami. Odkrył drzwi, a za nimi grupę młodych ludzi sprzed ponad pięćdziesięciu lat, którzy wyciągnęli do niego rękę i zabrali go ze sobą.

W listach najbardziej rzucała się w oczy charyzma Edwarda Radcliffe'a. Jego energia i otwartość, chęć czerpania garściami z życia, integracyjność jego sztuki, gotowość, by dorastać, zmieniać się i utrwalac swe doświadczenia. Każda linijka listów była pełna młodzieńczego zapału, możliwości i zmysłowości do tego stopnia, że Leonard był w stanie wyobrazić sobie sielankowe życie Radcliffe'a. Rozumiał zażyłość tych ludzi, ich bez troskę



i koleżeństwo, które inni uważali za kokieteryjne i urzekające; stanowili prawdziwe bractwo. Leonard czuł to samo wobec Toma, zupełnie jakby należeli do siebie, jak gdyby zostali ulepieni z tej samej gliny i byli jednym człowiekiem. Dzięki temu mogli się kłócić i szarpać, a później zbywać to wszystko śmiechem, kiedy dysząc, leżeli na trawie, a jeden zabijał komara na kolanie drugiego. Leonard zauważył również, że napędzała ich rywalizacja; każdy pracował gorączkowo, by stworzyć dzieło, które na trwale zapisze się w kręgach artystycznego świata. Każdy z nich szukał poklasku Johna Ruskina, Charlesa Dickensa i patronatu któregoś z zamożnych dżentelmenów.

Lektura tych listów, z ich młodzieńczą kreatywnością i próbami przelania na papier myśli i idei, trąciła w sercu Leonarda jakąś uśpioną, dawno zapomnianą strunę. Po wyjściu z biblioteki czytał, szedł i rozmyślał, zastanawiał się nad znaczeniem sztuki i miejsca, nad płynnością czasu. Coraz częściej rozmyślał też o Edwardzie Radcliffe. Aż pewnego dnia wrócił na uniwersytet i zapukał do drzwi gabinetu profesora Harrisa.

\*

Kiedy w zasięgu wzroku pojawiła się długa stodoła, Pies wyrwał się do przodu, prosto przez lodowate wody potoku Hafodsted, najwyraźniej licząc, że gdy dotrze na miejsce, będzie na niego czekało śniadanie. Jak na przybłądę pokładał zadziwiającą wiarę w dobroć nieznajomych. Z drugiej strony, nie byli już sobie obcy.

Koszula Leonarda już prawie wyschła, kiedy opuścił zalane słońcem pole i przeszedł nad powalonym pniem. Przeciął łąkę i dotarł do piaszczystej dróżki biegnącej wzdłuż muru okalającego dom. Aż trudno było uwierzyć, że niegdyś była to ruchliwa ulica pełna powozów i koni, które tańczyły niecierpliwie w miejscu, spragnione i zmęczone po długiej podróży z Londynu. Dziś oprócz Leonarda, Psa i brzęczących w powietrzu pszczoł nie było tu nikogo.

Żelazna furтка była otwarta, tak jak ją zostawił; jej zielona farba spłowieła do koloru liści lawendy. Splątane wąsy jaśminu pięły się po kamiennym

murze i łukowatym przejściu, a zapach drobnych różowobiałych kwiatów przyprawiał o zawroty głowy.

Leonard uszczypnął się jak zawsze, gdy zbliżał się do domu. Posiadłość Birchwood, duma i radość Edwarda Radcliffe'a. Leonard naprawdę miał niebywale szczęście: choć raz w życiu znalazł się we właściwym czasie i miejscu. Niemal zaraz po tym, jak przyjęto go na studia doktoranckie, pewna kobieta, niejaka Lucy Radcliffe, skontaktowała się ze Stowarzyszeniem Historyków Sztuki i oświadczyła, że pragnie przekazać im znaczący dar. Po śmierci brata panna Radcliffe weszła w posiadanie domu i mieszkała w nim od tamtej pory. Gdy zbliżała się do osiemdziesiątki, postanowiła poszukać dla siebie miejsca z mniejszą liczbą schodów i zakamarków, i pragnęła przekazać dom jako część spuścizny po swoim bracie. Wyobrażała go sobie jako miejsce, do którego mogliby przyjeżdżać studenci sztuki, przystań dla artystów zgłębiających idee prawdy i piękna, światła, miejsca i domu. Idąc jednak za radą prawnika, chciała najpierw poddać ten plan próbie.

Leonard przeczytał o stypendium z zakwaterowaniem w oksfordzkim tygodniku studenckim „Cherwell” i natychmiast złożył podanie. Kilka miesięcy później otrzymał pisemną odpowiedź i zaproszenie do posiadłości Birchwood na trzy letnie miesiące 1928 roku. Wzdrygnął się, gdy przeczytał, że w domu nie ma elektryczności, lecz szybko oddalił od siebie myśli o ponurych kredowych tunelach we Francji, pocieszając się myślą, że zamieszka tam latem, kiedy dni będą długie, a noce krótkie. Będzie żył w zgodzie z naturą. *Ad occasum tendimus omnes* – przeczytał kiedyś na szarym zniszczonym nagrobku w Dorset. „Każdy z nas zmierza w stronę swojego zachodu słońca”.

Przyjechał do Birchwood z nastawieniem, że pokocha to miejsce, ale rzeczywistość okazała się dużo lepsza, niż się tego spodziewał. Tamtego dnia szedł od strony wsi krętą dróżką, która stopniowo zwężała się i oddalała od ostatnich zabudowań, tak że w końcu został sam pośród łąk, na których pasły się znudzone krowy i ciekawskie cielęta.

Najpierw zobaczył wysoki na osiem stóp mur i widoczne ponad nim szare bliźniacze szczyty łupkowego dachu. Płytki łupkowe – zauważył z satysfakcją – naśladowały naturę: małe, równe prostokąty na szczycie dachu w miarę jak

opadały ku orynowaniu, stawały się coraz większe, zupełnie jak pióra na ptasim skrzydle. Po chwili jego oczom ukazał się cały dom: duma Radcliffe'a, przycupnięta niczym ptak w gnieździe w zakolu rzeki.

Leonard znalazł klucz we wnęce za obluzowanym kamieniem w murze, dokładnie tak, jak informowano go w liście. W domu nie było nikogo i zastanawiał się przez chwilę, kto ukrył srebrny klucz w tej niezwyklej skrytce.

Kiedy nacisnął klamkę furtki, stanął jak sparaliżowany, albowiem to, co zobaczył, było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Między brukowaną ścieżką a domem rozciągał się bajkowy ogród. Dzwonki naparstnicy kołysały się na wietrze, a stokrotki i fiołki tuliły się do krawędzi brukowców. Jaśmin, który piął się po murze, porastał również front domu i dach ganku, otaczał okna z kratownicami i splatał się z czerwonymi kwiatami wiciokrzewu. Śpiew ptaków i bzyczenie owadów sprawiały, że dom wydawał się dziwnie cichy i nieruchomy, jak baśniowa Śpiąca Królewna. Wszedłszy na ścieżkę, Leonard poczuł się tak, jakby cofnął się w czasie. Oczami wyobraźni widział Radcliffe'a i jego przyjaciół z farbami i sztalugami rozstawionymi na trawniku za krzewami jeżyn...

\*

Tego ranka Leonard nie miał jednak czasu na myślenie o duchach, bo gdy dotarł do furtki, zobaczył, że przed drzwiami domu czeka na niego prawdziwa żywa osoba, oparta niedbale o jeden ze słupków podtrzymujących daszek ganku. Miała na sobie wyłącznie jego koszulę i pałac papierosa, spoglądała na klon japoński w drugim końcu ogrodu.

Musiała go usłyszeć, bo odwróciła się i wyraz zamyślenia zniknął z jej twarzy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Rozciągnęła usta w uśmiechu i uniosła rękę na powitanie.

Leonard odpowiedział tym samym.

– Myślałem, że w południe masz być w Londynie.

– Próbujesz się mnie pozbyć? – Przymknęła jedno oko i zaciągnęła się papierosem. – No tak. Spodziewasz się towarzystwa. Swojej dawnej

przyjaciółki. Chcesz, żebym się wyniosła, zanim przyjedzie? Wcale bym się nie dziwiła, gdyby tak brzmiała jedna z zasad: nikt nie może tu nocować.

– Nie przyjedzie tutaj. Spotykamy się u niej.

– Powinnam być zazdrosna? – Roześmiała się, ale ten dźwięk zasmucił Leonarda.

Kitty nie była zazdrosna. Żartowała, często żartowała. Nie kochała Leonarda i nigdy nie dała mu powodu, by wierzył, że jest inaczej, nawet w te noce, kiedy tuliła się do niego tak mocno, że aż bolało.

Otwierając drzwi, pocałował ją w policzek, a ona odwzajemniła pocałunek i uśmiechnęła się. Znali się od dawna, odkąd byli nastolatkami – ona miała wtedy szesnaście, a on siedemnaście lat. To były wielkanocne targi w 1913 roku. Pamiętał, że miała na sobie jasnoniebieską sukienkę i niosła małą satynową torebkę. Zgubiła wstążkę. Nie wiedziała o tym, a nikt inny nie zwrócił na to uwagi. Po chwili wahania Leonard pochylił się i podniósł ją z ziemi. Wszyscy wtedy byli tacy młodzi.

– Zostaniesz na śniadanie? – spytał. – Pies ma straszną ochotę na jajka.

Poszła za nim do kuchni, która po oślepiającym blasku poranka wydawała się dziwnie mroczna.

– Za bardzo się denerwuję, żeby cokolwiek zjeść. Ale napiję się herbaty, żeby nie jechać z pustym żołądkiem.

Leonard sięgnął po zapalki leżące w puszcze na półce za kuchenką.

– Nie wiem, jak możesz mieszkać tutaj sam.

– Mam tu ciszę i spokój. – Zapalił palnik i czekając, aż woda się zagotuje, wbił jajka na patelnię.

– Opowiedz mi jeszcze raz, gdzie to się stało, Lenny?

Westchnął. Żałował, że powiedział jej o Frances Brown. Nie wiedział, co go napadło. Zwykle nikt nie pytał go o pracę, a odkąd zamieszkał w Birchwood, wszystko stało się jeszcze bardziej realne. Kitty rozpromieniła się, kiedy wspomniał o złodziejce klejnotu, która pewnego dnia zakradła się do domu i zastrzeliła narzeczoną Radcliffe'a.

„Morderstwo – jęknęła. – To straszne!”

– Rozejrzałam się po salonie – oznajmiła teraz. – Ale nie zobaczyłam żadnych śladów.

Leonard nie miał ochoty rozmawiać o morderstwie. Nie teraz i nie z Kitty.

– Podasz mi masło? – poprosił.

Podawała mu je.

– Policja prowadziła śledztwo? – dopytywała się Kitty. – Złodziejka zniknęła bez śladu? Gdyby tak rzadki brylant gdzieś się pojawił, ktoś na pewno by go rozpoznał.

– Wiesz tyle co ja, Kit.

Tak naprawdę Leonarda ciekawił Błękit Radcliffe'ów. Kitty miała rację: każdy, kto zajmował się handlem klejnotami, od razu rozpoznałby naszyjnik z tak cennym i rzadkim kamieniem. Ktoś musiałby się niezłe natrudzić, żeby zachować w tajemnicy fakt, że go odnalazł i sprzedał. Klejnoty tak po prostu nie znikają, więc nawet jeśli został pocięty na mniejsze kamienie, one również musiały gdzieś być. Co więcej, mówiono, że to kradzież Błękitu była przyczyną zamordowania narzeczonej Radcliffe'a i że jej śmierć doprowadziła go na skraj załamania i spowodowała jego powolny upadek. Wszystko to niezwykle interesowało Leonarda, zwłaszcza że zaczynał wątpić w tę teorię.

Podczas gdy gotował, Kitty od niechcienia bawiła się przedmiotami leżącymi na drewnianym stole na środku kuchni. W końcu wyszła, a gdy wróciła z torbą w ręce, Leonard ustawiał wszystko na tacy, gotowy wyjść na dwór.

Usiedli razem przy metalowym stole pod dziką jabłonią.

Kitty miała teraz na sobie swoje ubrania. Elegancki kostium, który dodawał jej lat. Czekala ją rozmowa o pracę na stanowisku maszynistki w firmie ubezpieczeniowej w Holborn. Wybierała się pieszo do Lechlade, dokąd jeden z przyjaciół jej ojca miał przyjechać po nią samochodem.

Jeśli zostanie zatrudniona, będzie musiała przeprowadzić się do Londynu. Leonard miał nadzieję, że tak się stanie. Była to jej czwarta rozmowa o pracę w ciągu czterech tygodni.

– ...może nie twoja dawna przyjaciółka, ale jest ktoś inny.

Podniósł wzrok. Kiedy się denerwowała, robiła się gadatliwa, a on w pewnym momencie przestał jej słuchać.

– Wiem, że kogoś poznałeś. Jesteś rozkojarzony... bardziej niż zwykle. A więc... kim ona jest, Lenny?

– Że co?

– Ta kobieta. Słyszałam, jak w nocy mówiłeś przez sen.

Leonard poczuł na twarzy uderzenie gorąca.

– Rumienisz się.

– Wcale nie.

– I unikasz odpowiedzi.

– Jestem zajęty, to wszystko.

– Skoro tak mówisz. – Kitty wyciągnęła z papierośnicy papierosa i zapaliła.

Wypuściła dym i w zamyśleniu machnęła prawą ręką. Złoty pierścionek na jej palcu zaśnił w promieniach słońca. – Chciałbyś mieć dar patrzenia w przyszłość?

– Nie.

– Ani trochę?

Pies szturchnął go nosem w kolano i upuścił u jego stóp piłkę. Kiedy Leonard spoglądał na Psa ostatni raz, zwierzę nie miało piłki. Cóż, któryś z dzieciaków nad rzeką będzie srodze rozczarowany.

Podniósł piłkę, rzucił ją i patrzył, jak Pies biegnie przez kwiaty i paprocie w stronę potoku Hafodsted.

Nie było nikogo – nie w takim sensie, jak myślała Kitty – a jednak Leonard nie mógł zaprzeczyć, że dzieje się z nim coś dziwnego. Odkąd miesiąc temu przyjechał do Birchwood, miał niezwykle wyraźne sny. Były to barwne wizje dotyczące malarstwa i barwników, przyrody i piękna. Budząc się, miał pewność, że jeszcze chwilę temu znał odpowiedzi na najważniejsze pytania. W pewnym momencie sny zaczęły się zmieniać i pojawiła się w nich kobieta. Nie przypadkowa kobieta, ale jedna z modelek z obrazów Radcliffe’a. Przemawiała do niego w snach, mówiła mu rzeczy, jak gdyby poprzez niego zwracała się do Radcliffe’a. Po przebudzeniu nie zawsze pamiętał jej słowa.

Nic dziwnego, że właśnie tutaj, w miejscu, w które Radcliffe włożył tak wiele pasji i kreatywności i które unieśmiertelnił w swoich pracach, owładnięty obsesją Leonard zaczął spoglądać na świat oczami artysty i żyć jego życiem, zwłaszcza gdy co noc kładł się do snu.

Nigdy jednak nie powiedziałaby o tym Kitty; wyobrażał sobie, jak wyglądałaby taka rozmowa. „Cóż, Kitty, wygląda na to, że zakochałem się

w pewnej kobiecie, Lily Millington. Nigdy jej nie poznałem ani z nią nie rozmawiałem. Co więcej, ona prawdopodobnie nie żyje, a jeśli żyje, jest bardzo, bardzo stara. Niewykluczone również, że to właśnie ona ukradła klejnot. Ale nie mogę przestać o niej myśleć, a nocami przychodzi do mnie w snach”. Dobrze wiedział, co powiedziałyby na to Kitty. Odparłyby, że to nie sny, tylko halucynacje, i najwyższy czas, żeby przestał.

Nie kryła się z tym, co myśli na temat fajki. Nieważne, ile razy Leonard tłumaczył jej, że tylko opium pomaga mu przytępić koszmary nocne, zapomnieć o chłodzie, wilgoci okopów, zapachu i hałasie, o wybuchach, od których trzęsła się ziemia i na które człowiek patrzył bezsilnie, podczas gdy jego przyjaciele, jego brat biegli przez dym i błoto ku własnej śmierci i zgubie. Jeśli więc kobieta z obrazu sprawiała, że nie myślał o Tomie... cóż w tym złego?

Kitty stała z torebką na ramieniu i nagle Leonardowi zrobiło się głupio, bo przyjechała tu, chociaż nie oczekiwał tego ani wcale jej o to nie prosił. A jednak istniała między nimi więź i czuł się za Kitty odpowiedzialny.

- Odprowadzić cię do Lechlade?
- Nie kłopotz się. Dam ci znać, jak mi poszło.
- Jesteś pewna?
- Zawsze.
- W takim razie powo...
- Nie mów tego.
- No to połamania nóg.

Rozciągnęła usta w uśmiechu, ale jej oczy pozostały pełne niewypowiedzianych rzeczy.

Odprowadzał ją wzrokiem, kiedy szła ścieżką dla powozów w kierunku stodoły.

Za minutę, góra dwie, dotrze do dróżki biegnącej przez wieś aż do Lechlade Road i zniknie mu z oczu aż do następnego spotkania.

Powtarzał sobie, że powinien zrobić to teraz, dla dobra ich obojga. Zakończyć to wszystko raz na zawsze. Zwrócić jej wolność, bo to, co robił, było złe. Że nie może trzymać jej przy sobie.

- Kitty?

Odwróciła się i uniosła brew.

Z trudem przełknął ślinę.

– Będziesz świetna – rzucił. – Połamania nóg.



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Popołudniowe spotkanie ze starszą panią, jego „przyjaciółką”, zostało zaplanowane na godzinę szesnastą albo, jak to określiła, „porę podwieczorku”. Jej maniery miały posmak uprzywilejowanego dzieciństwa, w którym „pora podwieczorku” oznaczała kanapki z ogórkiem i ciasto Battenberg i wyznaczała naturalny porządek dnia tak jak wschód i zachód słońca.

Po tym, jak spędził kilka godzin nad notatkami i upewnił się, że spisał wszystkie pytania, Leonard wyruszył przed czasem, częściowo dlatego, że był podekscytowany, a częściowo dlatego, że zamierzał wybrać dłuższą drogę obok przykościelnego cmentarza na końcu ulicy.

Natrafił na nagrobek przypadkiem, kilka tygodni temu. Wracał z długiego spaceru i kiedy zbliżali się do wiejskiej drogi, Pies wysforował się, po czym przecisnął przez dziurę pod płotem i zaczął węszyć w bluszczu, który niczym zielony dywan porastał przestrzenie między nagrobkami. Leonard wszedł za nim na cmentarz i urzekło go skromne piękno kamiennej budowli pośród morza zieleni.

W południowym końcu cmentarza natknął się na mniejszą, porośniętą bluszczem budowlę ze stojącą przed nią marmurową ławeczką. Leonard przysiadł na niej, podziwiając miłą dla oka bryłę dwunastowiecznego kościoła i czekając, aż Pies skończy węszyć. Tak się złożyło, że nagrobek stał naprzeciw niego, a wyryte na nim elegancką prostą czcionką znajome imiona i nazwisko – Edward Julius Radcliffe – od razu rzuciły mu się w oczy.

Od tamtej pory Leonard zaglądał tu niemal codziennie. Polubił ten cmentarz. Było tu cicho, pięknie i blisko do domu, który tak bardzo pokochał Radcliffe. Zapewne znalazłby w tym pociechę.

Zbliżając się do cmentarza, Leonard zerknął na zegarek. Była dopiero trzecia trzydzieści, mógł więc posiedzieć tu kilka minut, zanim zawróci i uda się do chatki po drugiej stronie wioski. Słowo „wioska” było nieco przesadzone: na Birchwood składało się niewiele więcej niż trzy spokojne uliczki odchodzące od trójkątnego zieleńca.

Ruszył znajomą ścieżką do grobu Radcliffe’a i usiadł na marmurowej ławce. Pies, który mu towarzyszył, obwąchał kilka miejsc, gdzie ziemia była lekko wzruszona. Nie znalazł niczego ciekawego, zastrzygł więc uszami, odwrócił się w stronę zarośli i pobiegł w ich stronę.

Na nagrobku Radcliffe’a pod imionami i nazwiskiem mniejszymi literami wyryto napis: *Tu spoczywa ten, który szukał prawdy i światła i który w każdej rzeczy dostrzegał piękno, 1840–1881.* Leonard kolejny raz przyłapał się na tym, że patrzy na myślak między datami. W tej zielonej od mchu kresce zawierało się całe życie człowieka: jego dzieciństwo, miłości, straty i lęki, wszystko sprowadzone do prostej kreski wykutej w kamieniu na przykościelnym cmentarzu na końcu wiejskiej dróżki. Nie był pewien, czy myśl ta pociesza go, czy przygnębia: jego odczucia zmieniały się w zależności od dnia.

Tom został pochowany na cmentarzu we Francji, nieopodal wioski, w której nigdy nie powstała jego noga. Leonard widział list wysłany do rodziców i zdumiało go, jak dowódca Toma potrafił sprawić, że wszystko zdawało się takie honorowe i dzielne i nawet śmierć jawiła się jako straszna, ale szlachetna ofiara. Podejrzewał, że to kwestia praktyki. Bóg jeden wiedział, że dowódcy pisali mnóstwo podobnych listów. Byli mistrzami zapewnień, którzy słowem nie wspominali o chaosie i koszmarze wojny, a już na pewno nie o jej bezcelowości. Zdumiewające, jak mało mówiło się o bezcelowości wojny i błędach, które popełniono.

Kiedy matka pokazała mu list, Leonard przeczytał go dwukrotnie. Ona czerpała z niego wielkie pocieszenie, lecz on pod gładkimi słowami słyszał chór głosów krzyczących z bólu i przerażenia, wzywających matki, pragnących wrócić do domu i czasów dzieciństwa. Człowiek nigdzie nie czuje się dalej od domu niż na polu walki i nikt nie tęskni za domem bardziej niż żołnierz idący na śmierć.

To właśnie tu siedział Leonard, rozmyślając o Tomie, Kitty i Edwardzie Radcliffe, kiedy pierwszy raz spotkał swoją „starą znajomą”. Było późne popołudnie i zauważył ją od razu, bo oprócz niego była jedyną osobą na cmentarzu. Przyniosła mały bukiet kwiatów i złożyła go na grobie Radcliffe’a. Leonard przyglądał się jej z zainteresowaniem, zastanawiając się, czy znała malarza osobiście, czy może była miłośniczką jego sztuki.

Twarz miała pobrużdżoną zmarszczkami, a siwe gęste włosy upięła w kok na karku. Była ubrana jak ktoś, kto wybiera się na safari do Afryki. Stała przygarbiona bez ruchu, wspierając się na delikatnej lasce ze srebrną rączką. W jej postawie wyczuwało się rewerencję, która zdaniem Leonarda świadczyła o tym, że kobieta jest kimś więcej niż tylko miłośniczką sztuki Radcliffe’a. Kiedy pochyliła się, żeby wyrwać chwasty wyrastające tu i ówdzie pomiędzy kamieniami, był już pewien, że musiała być jego krewną lub przyjaciółką.

Okazja, by porozmawiać z kimś, kto znał osobiście Edwarda Radcliffe’a, była kusząca. Dla badacza każda nowa informacja była niczym Święty Graal, zwłaszcza w dziedzinie historii, gdzie szanse na to, by natknąć się na coś nowego, były praktycznie równe zeru.

Podszedł powoli, nie chcąc jej przestraszyć.

– Dzień dobry – powiedział, gdy był na tyle blisko, by mogła go usłyszeć.

Podniosła wzrok; jej ruchy i zachowanie przywodziły na myśl spłoszonego ptaka.

– Nie chciałem pani przeszkadzać – dodał pospiesznie. – Jestem nowy w okolicy. Mieszkam w domu w zakolu rzeki.

Wyprostowała się i spojrzała na niego znad okularów w drucianych oprawkach.

– Proszę powiedzieć, panie Gilbert, co pan sądzi o posiadłości Birchwood.

Tym razem to on wyglądał na zaskoczonego: kobieta znała jego nazwisko. Ale przecież wioska była mała, a on wiedział z dobrego źródła, że w małych społecznościach wieści rozchodzą się lotem błyskawicy. Odparł, że bardzo mu się podoba, że przed przyjazdem tu wiele o niej czytał, ale rzeczywistość przerosła jego oczekiwania.

Kobieta słuchała go z uwagą. Od czasu do czasu mrugała, lecz poza tym w żaden sposób nie dała mu odczuć, co sądzi o jego słowach. Kiedy zamilkł, powiedziała tylko:

– Kiedyś była tu szkoła. Dla dziewcząt.

– Słyszałem.

– To straszne, co się tam wydarzyło. Szkoła miała oferować zupełnie nowy sposób edukacji. Edward mawiał, że edukacja to klucz do zbawienia.

– Edward Radcliffe?

– A któż by inny?

– Znała go pani.

– Tak – odparła, nieznacznie mrużąc oczy.

Leonard musiał się pilnować, by trzymać emocje na wodzy.

– Jestem badaczem z Oksfordu. Piszę pracę naukową o Edwardzie Radcliffe, o tej wiosce, jego domu i sztuce. Zastanawiam się, czy zechciałaby pani ze mną porozmawiać.

– Sądziłam, że już rozmawiamy, panie Gilbert.

– Ależ tak, oczywiście...

– Chodzi panu o to, że chciałby porozmawiać o Edwardzie, przeprowadzić ze mną wywiad.

– Do tej pory polegałem w głównej mierze na listach znalezionych w archiwum i relacjach spisanych przez jego przyjaciół, ludzi takich jak Thurston Holmes...

– Fe! – Wzdrygnęła się.

Zdumiała go gwałtowność jej reakcji.

– Pyszałkowata łasica! Nie zaufałamby żadnemu słowu, które wyszło spod jego pióra.

Kolejny chwast przykuł jej uwagę i spróbowała podważyć go końcem laski.

– Nie lubię mówić – wyznała między kolejnymi dźgnięciami. – Nawet bardzo. – Wyciągnęła zielsko, potrząsnęła nim, by oczyścić korzenie z ziemi, i cisnęła w zarośla. – Widzę jednak, panie Gilbert, że będę musiała z panem porozmawiać, żeby nie opublikował pan kolejnych bzdur. Bo tych przez te wszystkie lata było aż nazbyt wiele.

Leonard zaczął jej dziękować, ale zbyła go niecierpliwym machnięciem ręki.

– Tak, tak, podziękowania proszę zachować na później. Robię to wbrew rozsądkowi, ale spotkam się z panem w czwartek w porze podwieczorku. – Podała mu swój adres i Leonard miał się już pożegnać, gdy uświadomił sobie, że nawet nie spytał, jak się nazywa. – Panie Gilbert! – Zmarszczyła brwi. – Żartuje pan sobie? To chyba oczywiste, że nazywam się Lucy. Lucy Radcliffe.

\*

Powinien był się domyślić. Lucy Radcliffe – młodsza siostra, która odziedziczyła ukochany dom brata i która za bardzo kochała posiadłość, by sprzedać ją komuś, kto nie będzie dbał o nią tak jak Edward. Kobieta, od której on, Leonard, wynajmował Birchwood. Po spotkaniu wrócił prosto do domu, o tej porze powoli pogrążającym się w mroku, wszedł do pokoju z tapetą ze wzorem w owoce i liście morwy i zbliżył się do mahoniowego biurka, na którym rozłożył swoje dokumenty. Musiał przejrzeć setki stron z odręcznymi notatkami i cytatami przez lata spisywanymi w bibliotekach i domach prywatnych z listów i pamiętników, pomysłami, które zapisywał, zakreślał w kółka, układał w diagramy i łączył strzałkami.

Znalazł to, czego szukał, późną nocą, kiedy lampa naftowa paliła się już tak długo, że wszystko w pokoju przeszło zapachem nafty. Wśród notatek, które sporządził na podstawie dokumentów z prywatnej kolekcji pewnej rodziny w Shropshire, były listy, które Radcliffe i jego najmłodsza siostra pisali do siebie, kiedy był w szkole z internatem. Listy trafiły tam razem z korespondencją innej rodziny w wyniku małżeńskich perypetii drugiego dziecka Radcliffe'ów, ich córki, Clare.

W tamtym czasie nie interesowały one Leonarda, nie dotyczyły bowiem domu ani sztuki Radcliffe'a; były to osobiste listy rodzeństwa, które dzieliła dziewięcioletnia różnica wieku. Skopiował je tylko dlatego, że rodzina, która była w ich posiadaniu, dała mu do zrozumienia, że jego wizyta przysparza im kłopotu i że druga taka okazja się nie powtórzy. Kiedy jednak przeczytał je ponownie – zabawne anegdoty, urzekające i przerażające opowiadki,

dziecinne plotki o członkach rodziny – i spojrzął na nie w kontekście niedawno poznanej staruszki, która choć niepewnie trzymała się na nogach, przeszła całą wieś, by złożyć kwiaty na grobie brata zmarłego pięćdziesiąt lat temu, ujrzał inne oblicze Edwarda Radcliffe’a.

Przez cały ten czas Leonard skupiał się na Edwardzie Radcliffe artyście, pełnym werwy myślicielu i twórcy manifestu. Ale ujmujące długie listy nieszczęśliwego chłopca, którego posłano do szkoły z internatem, do jego młodszej siostrzyczki, błagającej go – zdaniem Leonarda nad wyraz dojrzałe jak na pięciolatkę – o książki o tym, „jak rodzą się gwiazdy”, i pytającej „czy podróżowanie w czasie jest możliwe”, ukazywały nowe oblicze Edwarda Radcliffe’a. Co więcej, napomykały o tajemnicy, której do tej pory Leonard nie był w stanie rozwikłać. Zarówno Lucy, jak i Edward kilkakrotnie wspominali o *Tamtej Nocy* – o której zawsze pisali wielkimi literami – i o *domu ze światłem*. Najwyraźniej chodziło im przy tym o coś, co przydarzyło się Edwardowi.

W archiwum w Yorku Leonard głowił się nad listem, który Edward Radcliffe napisał do Thurstona Holmesa w 1861 roku. Informował w nim o kupnie posiadłości Birchwood i przyznawał, że ów dom nie jest mu obcy. Teraz Leonard zaczynał podejrzewać, że obie te korespondencje były ze sobą powiązane. W obu pojawiały się aluzje do tajemniczego wydarzenia z przeszłości i Leonard miał wrażenie, że cokolwiek zdarzyło się Tamtej Nocy, stało się przyczyną obsesyjnej fascynacji Radcliffe’a posiadłością Birchwood. Było to jedno z pierwszych pytań, które zamierzał zadać Lucy podczas ich spotkania.

Wstał i zapalił papierosa. Ziemia wciąż była wzruszona w miejscach, z których wyrwała chwasty, więc wygładził ją podeszwą buta. Kiedy chował zapalniczkę do kieszeni, jego palce musnęły krawędź szczęśliwej dwupensówki Toma. Nigdy nie stanął przy grobie brata. Nie widział sensu, wiedział bowiem, że Toma tam nie ma. Zastanawiał się, gdzie jest. Gdzie podzieli się wszyscy ci, którzy polegli na wojnie? Wydawało się niemożliwe, że wszystko mogło tak po prostu się zakończyć. Że tak wiele młodzięcych nadziei, marzeń i ciał zostało pogrzebanych w ziemi, a ziemia pozostała niezmieniona. Tak potężny przepływ energii i materii musiał zachwiać

elementarną równowagą świata: wszyscy ci ludzie, którzy niegdyś byli, nagle przestali istnieć.

Para ptaków poderwała się z gałęzi potężnego dębu i przycupnęła na wieży kościoła. Leonard zagwizdał na Psa. Razem wyszli z cmentarza i zawrócili w stronę chropowatego kamiennego cokołu nazywanego przez miejscowych „rozdrożem”.

Nieco dalej znajdował się trójkątny zieleniec z rosnącym na środku rozłożystym dębem. Na rogu zieleńca, po drugiej stronie ulicy mieścił się dwupiętrowy pub Łabędź. Jakaś kobieta zamiatała chodnik wokół ławki przed wejściem. Zobaczywszy Leonarda, pomachała mu na powitanie, a on odpowiedział tym samym. Wybrał najwęższą z trzech dróg, minął budynek, w którym mieściła się świetlica, i dotarł do rzędu domków szeregowych. Lucy Radcliffe powiedziała, że mieszka pod numerem szóstym, czyli na samym końcu.

Domki zbudowano z jasnego kamienia barwy miodu. Miały dwuspadowe dachy z kominami po obu stronach i uroczymi deskami szczytowymi, okna otwierane pionowo i prowadzący do drzwi niewielki ganek, również z dwuspadowym dachem. Drzwi wejściowe pomalowano na liliowo. W przeciwieństwie do ogródków przed innymi domami, w których kwitły obficie typowo angielskie letnie kwiaty, przed numerem sześć rosły znacznie bardziej egzotyczne gatunki – strelcje królewskie i inne, które Leonard pierwszy raz widział na oczy.

Siedzący w kałuży słońca na żwirowej dróżce kot miauknął, poderwał się z ziemi, wygiął grzbiet w pałąk i przemknął przez uchyloną furtkę. A więc czekała na niego.

Nagle, nie wiedzieć czemu, Leonard zaczął się denerwować. Nie od razu przeszedł na drugą stronę ulicy. Wypalił kolejnego papierosa, jeszcze raz przeglądając spisaną na kartce listę pytań. Upomniał się, żeby nie robić sobie zbyt wielkich nadziei. Powtarzał w duchu, że staruszka nie musi znać wszystkich odpowiedzi, a nawet jeśli je zna, nie jest powiedziane, że będzie się chciała nimi dzielić. W tej kwestii wyraziła się bardzo jasno, gdy wychodząc z cmentarza, powiedziała: „Mam dwa warunki, panie Gilbert. Po pierwsze, porozmawiam z panem, jeśli zapewni mi pan całkowitą anonimowość; nie

chę, by gdziekolwiek publikowano moje nazwisko. A po drugie, poświęcę panu godzinę i ani chwili dłużej”.

Leonard wziął głęboki oddech, otworzył zardzewiałą metalową furtkę i zamknął ją za sobą.

Nie chcąc wchodzić bez zapowiedzi, zapukał delikatnie do drzwi, zajrzał do przedpokoju i zawołał:

– Halo?! Panno Radcliffe?!

– Tak?! – dobiegł z głębi domu roztargniony głos.

– To ja, Leonard Gilbert! Z posiadłości Birchwood!

– Na litość boską, Leonardzie Gilbert z posiadłości Birchwood! Niech pan wejdzie!



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

We wnętrzu domu panował przyjemny półmrok i Leonard potrzebował chwili, by zobaczyć Lucy Radcliffe pośród jej skarbów. Spodziewała się go, ale miała do roboty ważniejsze rzeczy, niż siedzieć i czekać w gotowości. Pochłonięta lekturą, siedziała bez ruchu w musztardowym fotelu – drobna postać zwrócona do niego profilem, z czasopismem w rękach, przygarbiona, gdy patrzyła przez lupę na zgiętą stronę. Stojąca na półokrągłym stoliku lampa rzucała rozproszone żółte światło.

– Panno Radcliffe – zaczął.

– I co pan na to, panie Gilbert? – spytała, nie podnosząc głowy. – Wygląda na to, że wszechświat się powiększa.

– Tak? – Leonard zdjął kapelusz. Nigdzie nie widział haczyka, na którym mógłby go powiesić, więc trzymał go przed sobą.

– Tak jest tutaj napisane. Jakiś Belg, a do tego ksiądz, twierdzi, że wszechświat nieustannie się powiększa. Jeśli nie zapomniałam francuskiego, a wydaje mi się, że nie, obliczył nawet tempo, w jakim się powiększa. Naturalnie wie pan, co to oznacza.

– Nie jestem pewien.

Wzięła laskę, która stała oparta o stolik, i przeszła po przetartym perskim dywanie.

– Jeśli przyjąć, że wszechświat powiększa się w stałym tempie, należy założyć, że dzieje się tak od samego początku. Od samiuteńkiego początku, panie Gilbert. – Stała bez ruchu z siwymi włosami upiętymi w kok na czubku głowy. – Od początku. I nie mam tu na myśli Adama i Ewy, lecz moment, jakieś działanie albo wydarzenie, od którego wszystko się zaczęło. Przestrzeń i czas, materia i energia... Pojedynczy atom, który w jakiś sposób... – rozczapierzyła palce jednej dłoni – eksplodował. Dobry Boże... – Utkwiła

w nim spojrzenie jasnych oczu. – Może jesteśmy bliscy zrozumienia, jak narodziły się gwiazdy, panie Gilbert. Gwiazdy.

Naturalne światło, jedyne, które wlewało się do pokoju przez małe frontowe okienko, kładło się na jej pełnej skupienia twarzy. Była to piękna twarz, zamyślona, i Leonard wyobrażał sobie, jak wyglądała w młodości.

Nagle jednak coś w tej twarzy się zmieniło. Pozbawiona światła skóra zdawała się wiotczeć. Lucy Radcliffe nie używała pudru i miała ogorzałą cerę kobiety, która dużo przebywa na powietrzu; siateczka zmarszczek na jej twarzy opowiadała setki historii.

– To najgorsza rzecz w starzeniu się, panie Gilbert. Czas. Nie zostaje go za wiele. Jest tyle rzeczy do poznania, a tak niewiele godzin, by tego dokonać. Bywa, że nocami nie mogę przez to spać, zamykam oczy i słyszę, jak mój puls odlicza kolejne sekundy. Siadam więc w łóżku i czytam. Czytam, robię notatki, zapamiętuję i sięgam po coś innego. A wszystko to na próżno, bo przyjdzie dzień, kiedy nie będę miała już czasu. Jakież to cuda mnie ominą?

Leonard nie wiedział, jak ją pocieszyć. Nie chodziło o to, że jej nie rozumiał, po prostu widział, jak odchodzą ludzie, którzy nie przeżyli nawet jednej czwartej czasu, który jej dano.

– Wiem, co pan myśli, panie Gilbert. Nie musi pan mówić tego na głos. Gadam jak samolubna, przewrażliwiona staruszka i Bóg mi świadkiem, że taka jestem. Ale teraz za późno już, żeby się zmieniać. Zresztą nie przyszedł pan po to, żeby wysłuchiwać moich żalów. Proszę, niech pan siada. Zaparzyłam herbatę i gdzieś tam mam chyba babeczki.

Kolejny raz zaczął od podziękowań, że wybrała właśnie jego, by zamieszkał w Birchwood; wyraził swój zachwyt domem i wdzięczność za to, że mógł poznać miejsce, o którym tak dużo czytał i myślał.

– To bardzo pomaga mi w pracy – rzekł. – W Birchwood czuję niezwykłą więź z pani bratem.

– Rozumiem pana, panie Gilbert. Niewielu by zrozumiało, ale ja tak. I zgadzam się z panem. Mój brat jest częścią domu w stopniu, z jakiego większość ludzi nie zdaje sobie sprawy. Ten dom również był jego częścią. Edward zakochał się w Birchwood na długo przed tym, nim go kupił.

– Domyśliłem się tego. Napisał list do Thurstona Holmesa, w którym informował go o kupnie domu, i przyznawał, że posiadłość ta nie jest mu obca. Nie wdawał się jednak w szczegóły.

– Hm... nic dziwnego. Thurston Holmes był utalentowanym rzemieślnikiem, ale niestety, wszyscy wiedzieli, że jest również zadufanym w sobie zarozumialcem. Herbaty?

– Chętnie.

Rozlewając herbatę do filiżanek, ciągnęła:

– Thurstonowi brakowało wrażliwości prawdziwego artysty. Edward nigdy z własnej woli nie opowiedziałby mu o nocy, kiedy odkrył posiadłość Birchwood.

– Ale pani opowiedział?

Przechyliła głowę i spojrzała na niego jak nauczyciel, o którym Leonard nie myślał od lat, albo raczej jak papuga aleksandretta, którą ów nauczyciel trzymał w złotej klatce w klasie.

– Ma pan brata, panie Gilbert. Pamiętam, że czytałam o nim w pańskim podaniu.

– Miałem brata. Toma. Zginął na wojnie.

– Przykro mi. Sądzę, że byliście sobie bliscy.

– Tak.

– Edward był starszy ode mnie o dziewięć lat, ale okoliczności sprawiły, że żyliśmy się w młodym wieku. Moje najwcześniejsze i najmiłsze wspomnienia są związane z bratem, który opowiadał mi historie. Jeśli chce pan go zrozumieć, panie Gilbert, musi pan przestać patrzeć na niego jak na artystę i zobaczyć go w roli gawędziarza. To był jego największy dar. Potrafił przekazywać emocje, sprawić, że ludzie czuli, widzieli i wierzyli. Sposób, w jaki wyrażał siebie, był bez znaczenia. Niełatwo jest wymyślić cały świat, ale Edward to potrafił. Scenerię, narrację, bohaterów, którzy żyli i oddychali... Potrafił sprawić, że jego historie ożywały w umysłach ludzi. Zastanawiał się pan kiedyś nad tym, jak coś takiego działa, panie Gilbert? Nad przeniesieniem pomysłu? Oczywiście historia to nie pojedynczy pomysł, to tysiące pomysłów, które ze sobą współgrają.

Miała rację. Jako artysta Edward Radcliffe mógł porywać ludzi, tak że nie byli już tylko odbiorcami jego sztuki, ale też uczestniczyli w niej i razem z nim tworzyli świat, który kreował.

– Mam doskonałą pamięć, panie Gilbert. Czasem nawet myślę, że za dobrą. Pamiętam, jak byłam malutka; mój ojciec jeszcze wtedy żył i mieszkaliśmy wszyscy w domu w Hampstead. Moją siostrę Clare, starszą ode mnie o pięć lat, szybko nudziły zabawy ze mną, ale Edward potrafił oczarować nas swoimi opowieściami. Były to często przerażające historie, ale nie sposób było ich nie słuchać. Jedne z najszcześniejszych chwil mojego życia to te, kiedy słuchałam go, jak tkał swoje opowieści. Ale pewnego dnia wszystko się zmieniło i spowił nas straszliwy mrok.

Leonard słyszał o śmierci ojca Edwarda, który pewnej nocy wpadł pod powóz w Mayfair.

– Ile miała pani lat, kiedy zginął pani ojciec?

– Mój ojciec? – Ściągnęła brwi, a chwilę później parsknęła śmiechem. – Ależ nie, nie, panie Gilbert. Ledwie go pamiętam. Miałam na myśli dzień, kiedy wysłano Edwarda do szkoły z internatem. Wszyscy bardzo to przeżyliśmy, ale dla niego to był prawdziwy koszmar. Miał dwanaście lat i nienawidził tego miejsca z całego serca. Dla chłopca z jego wyobraźnią, charakterem i pasją, który nie lubił krykieta, rugby ani wioślarstwa, za to najchętniej zakopałby się wśród księzek z dziedziny alchemii i astronomii, szkoła taka jak Lechmere była kiepskim wyborem.

Doskonale to rozumiał. Będąc chłopcem, chodził do podobnej szkoły i nadal próbował wymazać ją z pamięci.

– Czy to właśnie tam Edward natknął się na posiadłość Birchwood?

– Doprawdy, panie Gilbert! Lechmere znajdowało się wiele mil stąd, nieopodal Lake District, i szczerze wątpię, by będąc w szkole, Edward miał okazję zobaczyć Birchwood. Nie, to wydarzyło się, kiedy miał czternaście lat i wrócił do domu na wakacje. Nasi rodzice często podróżowali, więc tamtego lata mieszkaliśmy w domu dziadków, w Beechworth, niedaleko stąd. Nasz dziadek uważał, że wnuk jest zbyt podobny do naszej matki... Edward tak jak ona był niepokorny i miał za nic konwenanse. Dziadek postanowił więc nauczyć go moresu i zrobić z niego „prawdziwego” Radcliffe’a. Tymczasem

Edward stawał na głowie, żeby zrazić do siebie dziadka. Podkradał mu whisky, wymykał się przez okno, kiedy posyłano nas do łóżek, nocami błąkał się po polach i wracał z ezoterycznymi symbolami wyrysowanymi na ciele węglem drzewnym, z błotem na twarzy i ubraniach, z kamieniami, patykami i wodorostami w kieszeniach. Dziadkowie nie mogli nad nim zapanować. – Kiedy to mówiła, na jej twarzy malował się podziw; nagle jednak spochmurniała. – Ale pewnej nocy nie wrócił do domu. Obudziłam się i zobaczyłam, że nie ma go w łóżku. A gdy w końcu się pojawił, był blady i bardzo milczący. Dopiero kilka dni później powiedział mi, co się wydarzyło.

Leonard wprost nie mógł się doczekać, by usłyszeć dalszą część historii. Po wielu domysłach dotyczących wydarzenia, które sprawiło, że Edward Radcliffe miał obsesję na punkcie Birchwood, wydawało się, że odpowiedzi są na wyciągnięcie ręki.

Lucy przyglądała mu się z uwagą i podejrzewała, że trudno cokolwiek ukryć przed jej wzrokiem. Upiła łyk herbaty.

– Wierzy pan w duchy, panie Gilbert?

Wzdrygnął się, słysząc to pytanie.

– Wierzę, że coś może prześladować człowieka.

Przez dłuższą chwilę wierciła go wzrokiem, a w końcu się uśmiechnęła. Leonard miał niepokojące wrażenie, że ta kobieta potrafi zajrzeć w głąb jego duszy.

– Tak – odparła. – Właśnie. Coś może człowieka nękać. To właśnie przydarzyło się mojemu bratu. Tamtej nocy coś śledziło go w drodze do domu i nie potrafił uwolnić się od tego uczucia.

Tamta Noc. A zatem o tym Lucy i Edward pisali w listach.

– A co dokładnie? – zapytał.

– Wszedł z domu z zamiarem wywołania ducha. W szkolnej bibliotece znalazł książkę pełną starych wierzeń i zaklęć i jak to on, nie mógł się doczekać, żeby je wypróbować, tyle że koniec końców nie miał ku temu okazji. Coś wydarzyło się w lesie. Po wszystkim przeczytał, co tylko mógł, i doszedł do wniosku, że podążał za nim Czarny Pies.

– Duch? – Do Leonarda powróciły mgliste wspomnienia z dzieciństwa: mówiono, że w prastarych miejscach, gdzie spotykają się światy, widziano

złowieszcze stworzenia rodem z folkloru. – Taki jak w *Psie Baskerville'ów*?

– Nieważne, czym była ta istota, panie Gilbert. Chodzi o to, że Edward obawiał się o swoje życie i kiedy uciekał przez pole, zobaczył na horyzoncie dom, a w oknie na poddaszu paliło się światło. Pobiegnął w tamtą stronę i odkrył, że drzwi są otwarte, a w kominku buzuje ogień.

– Birchwood – szepnął Leonard.

– Edward mówił, że gdy tylko przestąpił próg domu, wiedział, że jest bezpieczny.

– Ludzie, którzy w nim mieszkali, zaopiekowali się nim?

– Panie Gilbert, chyba pan nie rozumie.

– Ale myślałem...

– Pańskie badania dotyczą również posiadłości, prawda?

Przyznał, że nie; do głowy mu nie przyszło, że przeszłość domu, zanim ten trafił w ręce Edwarda, może mieć jakieś znaczenie.

Lucy uniosła brwi i spojrzała na niego z takim samym rozczarowaniem i zaskoczeniem, jakie zapewne zobaczyłby na jej twarzy, gdyby wręczył jej notatnik i poprosił, żeby napisała za niego pracę.

– Dom w takim stanie, w jakim widzi go pan dziś, zbudowano w szesnastym wieku. Został zaprojektowany przez niejakiego Nicholasa Owena i pierwotnie miał zapewniać bezpieczeństwo katolickim księżom. Nie bez powodu zbudowano go w tym właśnie miejscu, panie Gilbert, albowiem ziemia, na której stoi Birchwood, jest naturalnie znacznie starsza niż sam dom. Ma swoją własną historię. Czy nikt nie mówił panu o magicznych dzieciach?

Wzdrygnął się, dostrzegając kątem oka jakiś ruch. Zerknął w najciemniejszy kąt pokoju i zobaczył, że kot, który wcześniej wślizgnął się do domu, przeciąga się i patrzy na niego błyszczącymi oczami.

– To stare podanie ludowe, panie Gilbert, o trójce dzieci z baśniowej krainy, które wiele lat temu przekroczyły granicę między światami. Pewnego dnia wyszły z lasu na pola, gdzie miejscowi rolnicy wypalali rżysko, i zostały przygarnięte przez małżeństwo w podeszłym wieku. Od początku było w nich coś dziwnego. Mówiły dziwnym językiem, nie zostawiały śladów i chodziły słucho, że czasami ich skóra lśni. Z początku je tolerowano, ale kiedy w wiosce

zaczęły się dziać dziwne rzeczy... zbiory zmarniały, kobieta urodziła martwe dziecko, a syn rzeźnika utopił się w rzece... ludzie zaczęli patrzeć na nie krzywym okiem. W końcu, kiedy wyschła studnia, wieśniacy zażądali od staruszków, by ci wydali im dzieci. A gdy odmówili, wygnano ich ze wsi. Zamieszkali więc w małej kamiennej chatce nad rzeką i przez jakiś czas żyli w spokoju. Kiedy jednak w wiosce wybuchła zaraza, mieszkańcy skrzyknęli się i z pochodniami ruszyli nad rzekę. Osaczeni staruszkowie i dzieci zbili się w gromadkę i wydawało się, że ich los jest przesądzony. Lecz gdy krąg rozjuszonych wieśniaków zaczął się zacieśniać, na wietrze rozległ się upiorny dźwięk rogu i nagle, nie wiadomo skąd, pojawiła się kobieta. Była piękna i budziła grozę, miała lśniące włosy i świetlistą skórę. To królowa elfów przyszła po swoje dzieci. A gdy to zrobiła, rzuciła czar ochronny na dom i ziemię staruszków, by podziękować im za to, że uratowali królewicza i królową baśniowej krainy. Od tamtego czasu zakole rzeki, w którym zbudowano posiadłość, jest uważane przez miejscowych za bezpieczne miejsce. Mówi się nawet, że są tacy, którzy wciąż potrafią dostrzec działanie czaru: nielicznym szczęśliwcom ukazuje się jako światło w oknie na poddaszu.

Leonard chciał zapytać, czy Lucy, odczytana i wykształcona, naprawdę w to wierzy; czy naprawdę myśli, że tamtej nocy Edward zobaczył w oknie światło i że dom go ochronił. Ale bez względu na to, jak układał w głowie słowa, pytanie wydawało się niegrzeczne i z całą pewnością nietaktowne. Na szczęście Lucy najwyraźniej się go spodziewała.

– Wierzę w naukę, panie Gilbert. Ale jedną z moich pierwszych miłości była historia naturalna. Ziemia jest pradawna i rozległa i jest na niej wiele rzeczy, których wciąż jeszcze nie pojmujemy. Nie wierzę, że nauka i magia wzajemnie się wykluczają. Obie stanowią próbę zrozumienia tego, jak działa świat. Wiele widziałam w swoim życiu, panie Gilbert, wykopywałam z ziemi przedmioty, trzymałam je w ręce i czułam rzeczy, których nie da się wyjaśnić z pomocą nauki. Opowieść o magicznych dzieciach to podanie ludowe. Nie mam powodów, by w nie wierzyć, tak jak nie mam powodów, by wierzyć w to, że Artur był królem, który wyciągnął ze skały miecz, albo że kiedyś na niebie latały smoki. Ale mój brat powiedział, że tamtej nocy widział światło

w oknie na poddaszu i że dom Birchwood go ochronił, a ja wiem, że mówił prawdę.

Leonard nie wątpił, że wierzyła bratu, lecz wiedział też, jak nieprzemijający bywa autorytet starszego rodzeństwa. Kiedy on i Tom byli młodszy, Leonard zdawał sobie sprawę, że niezależnie od tego, ile razy nabierze brata albo go okłamie, przy następnej okazji Tom znowu mu zaufa. Lucy była dużo młodsza od Edwarda. Uwielbiała go, a on zniknął z jej życia. I choć teraz miała siedemdziesiąt dziewięć lat i nie była już naiwna, w kwestiach związanych z bratem w głębi duszy nadal pozostała małą dziewczynką.

Mimo wszystko zanotował informację o magicznych dzieciach. Dla pracy Leonarda nie miało znaczenia, czy ta opowieść jest prawdziwa, czy też nie. Wystarczyło, że wierzył w nią Radcliffe, że był przekonany o pewnych właściwościach domu, które miały związek z miejscową legendą. Świadomy upływającego czasu, oddzielił notatkę kreską i przeszedł do kolejnego zagadnienia.

– Zastanawiam się, panno Radcliffe, czy moglibyśmy porozmawiać o lecie tysiąc osiemset sześćdziesiątego drugiego roku.

Staruszka sięgnęła po leżącą na stole papierośnicę z drewna orzechowego i wyciągnęła ją w stronę gościa. Leonard poczęstował się papierosem i patrzył, jak Lucy wprawnym ruchem wydobyła płomień ze srebrnej zapalniczki. Odpaliła papierosa i machnięciem ręki rozgoniła dym.

– Pewnie chciałby pan usłyszeć, że wydaje mi się, jakby to było wczoraj. Cóż, nie jest tak. Mam wrażenie, że wszystko to wydarzyło się w innym kraju. Dziwne, prawda? Kiedy myślę o Edwardzie, który w dzieciństwie opowiadał mi historie, czuję wilgotne, pachnące błotem powietrze na poddaszu naszego domu w Hampstead. Ale wspomnienia tamtego lata są jak spoglądanie przez teleskop na odległą gwiazdę. Widzę siebie, jakbym stała z boku.

– Ale przecież była pani wtedy w Birchwood?

– Miałam trzynaście lat. Moja matka wyjeżdżała na kontynent do znajomych i chciała, żebym została u dziadków w Beechworth, ale Edward zaproponował, żebym pojechała do Birchwood razem z nim i jego przyjaciółmi. Byłam taka podekscytowana.



– Jak było?

– Było upalne lato i pierwsze dwa tygodnie upłynęły tak, jak można się tego domyślić: na pływaniu łódką, piknikach, malowaniu i spacerach. Edward i jego przyjaciele siedzieli do późna w nocy, opowiadali sobie historie i dyskutowali o nauce, sztuce i filozofii.

– A później?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Jak pan wie, panie Gilbert, wszystko się skończyło.

– Narzeczona Edwarda została zamordowana.

– Fanny Brown, tak.

– A włamywacz ukradł Błękit Radcliffe'ów.

– Widzę, że odrobił pan pracę domową.

– Pisano o tym w gazetach.

– No tak. Wszyscy rozpisywali się o śmierci Fanny Brown.

– Odnoszę jednak wrażenie, że jeszcze więcej spekulacji dotyczyło tego, co się stało z brylantem.

– Biedna Fanny... Była miłą dziewczyną, ale zawsze pozostawała w cieniu, w życiu i jak pan słusznie zauważył, nawet po śmierci. Mam nadzieję, panie Gilbert, że nie oczekuje pan ode mnie wyjaśnień na temat obsesji społeczeństwa zaczytującego się w brukowcach?

– Nie, nie, ależ skąd. Znacznie bardziej interesują mnie reakcje ludzi, którzy znali Frances Brown. Zauważyłem, że podczas gdy reszta świata fascynowała się tymi wydarzeniami, przyjaciele i znajomi Edwarda, Thurston Holmes, Felix i Adele Bernardowie, w swoich listach praktycznie o nich nie wspominali. Zupełnie jakby w ogóle nic się nie stało.

Czy mu się zdawało, czy dostrzegł w jej oczach błysk zrozumienia?

– To był straszny dzień, panie Gilbert. I nie powinno mnie dziwić, że ci nieszczęśnicy, którzy byli świadkami tych wydarzeń, woleli o nich zapomnieć.

Spojrzała na niego znad papierosa. To, co mówiła, brzmiało rozsądnie, ale Leonard nie mógł pozbyć się uczucia, że kryje się za tym coś więcej. W ich powściągliwości było coś dziwnego. I nie chodziło o to, że unikali rozmów o wydarzeniach tamtego dnia, lecz o to, że czytając listy, które napisali niedługo potem, można było odnieść wrażenie, że Edward Radcliffe i Frances

Brown nigdy nie istnieli. Dopiero po śmierci Edwarda jego postać niczym duch powróciła do korespondencji Thurstona Holmesa.

W ich przyjaźni zaczęło czegoś brakować, i to jeszcze przed śmiercią Frances Brown. Leonard wrócił wspomnieniami do wizyty w archiwach Holmesa w Yorku: już wówczas zauważył zmianę wydźwięku listów wymienianych przez tych dwóch młodych mężczyzn. Długie, nieograniczone rozmowy o sztuce, filozofii i życiu, które prowadzili, korespondując, odkąd poznali się w 1858 roku, skończyły się z początkiem roku 1862, kiedy to listy stały się zwięzłe, zdawkowe i formalne. Coś zaszło między nimi, Leonard był tego pewien.

Gdy o to zapytał, Lucy ściągnęła brwi i po chwili odparła:

– Pamiętam, że pewnego ranka Edward wrócił do domu wściekły. To musiało być mniej więcej wtedy, przed jego drugą wystawą. Kłykcie miał pozdzierane, a koszulę podartą.

– Bił się?

– Nie chciał zdradzić mi szczegółów, ale kilka dni później zobaczyłam Thurstona Holmesa z podbitym okiem.

– O co się pobili?

– Nie wiem i w tamtym czasie niewiele o tym myślałam. Często się nie zgadzali, chociaż się przyjaźnili. Thurston był ambitny i próżny, uparty jak osioł i puszył się jak paw. Potrafił być czarujący i hojny, a ponieważ był starszy od Edwarda, to on przedstawił go wielu wpływowym ludziom. Myślę, że szczycił się znajomością z Edwardem. Chełpił się tym, że ma takiego utalentowanego młodego przyjaciela. Razem wzbudzali wielkie zainteresowanie: nosili luźne koszule i fulary, mieli niesforne, potargane włosy i byli wolnymi ptakami. Thurston lubił jednak, kiedy to jemu poświęcano uwagę, i kiepsko znosił to, że Edward zyskuje coraz większe uznanie. Zauważył pan, panie Gilbert, że właśnie tacy przyjaciele najczęściej stają się największymi wrogami?

Leonard zanotował tę uwagę. Stanowczość, z jaką Lucy Radcliffe wypowiedziała te słowa, wyjaśniała, dlaczego w ogóle chciała się z nim spotkać. Na cmentarzu powiedziała, że nie można ufać temu, co Holmes pisał o Edwardzie, i że będzie musiała porozmawiać z Leonardem, żeby nie

opublikował kolejnych bzdur. No i proszę: chciała, by wiedział, że Holmes był zazdrosnym przyjacielem, który chciał zdobyć rozgłos.

Lecz Leonard nie do końca wierzył, że to rzeczywiście zazdrość doprowadziła do kłótni między tymi dwoma. Radcliffe święcił triumfy w latach 1861–1862, ale wystawę, dzięki której zdobył rozgłos, urządzono w kwietniu 1862 roku, a w listach, które do siebie pisali, już wcześniej wiało chłodem. Leonard podejrzewał, że chodziło o coś innego, i domyślał się nawet o co.

– W połowie tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego roku Edwardowi zaczęła pozować nowa modelka, prawda? – Powiedział to z udawaną swobodą, ale na wspomnienie swoich ostatnich snów poczuł, że się rumieni. Nie mógł spojrzeć Lucy w oczy, udał więc, że skupia się na notatkach. – Lily Millington? Chyba tak się nazywała?

Najwyraźniej coś w jego głosie albo zachowaniu go zdradziło, bo staruszka spytała podejrzliwie:

– Dlaczego pan pyta?

– Z tego, co przeczytałem, wynika, że członkowie Bractwa Magenta byli ze sobą bardzo zżyci. Dzielili się pomysłami, wpływami, tajemnicami, domami, a nawet modelkami. Zarówno Edward, jak i Thurston Holmes malowali Dianę Barker i wszyscy trzej malowali Adele Winterson. Tymczasem Lily Millington pojawia się wyłącznie na obrazach Edwarda. Wydało mi się to dość niezwykle i byłem ciekaw, dlaczego tak się stało. Tylko dwa powody przysły mi do głowy: albo pozostali nie chcieli jej malować, albo Edward nie chciał się nią dzielić.

Lucy Radcliffe sięgnęła po laskę, wstała i powoli podeszła do okna z widokiem na ulicę. Promienie słońca padały teraz pod innym kątem i jej profil był skryty w cieniu.

– To miejsce, gdzie spotykają się uliczki, nazywane jest skrzyżowaniem. Kiedyś na samym jego środku stał średniowieczny krzyż. Zaginął w czasach reformacji, kiedy ludzie królowej Elżbiety przejeżdżali tędy, niszcząc wszelkie oznaki katolicyzmu, kościoły i sztukę sakralną... i księży, jeśli zdołali ich dopaść. Została tylko podstawa, na której stał krzyż. No i oczywiście nazwa. Czyż to nie zdumiewające, panie Gilbert, że po tak dramatycznych

wydarzeniach pozostaje jedynie nazwa, proste słowo? Że wszystko to wydarzyło się prawdziwym ludziom, w tym miejscu, ale w innym czasie. Za każdym razem, gdy tędy idę, rozmyślam o przeszłości. O kościele, o księżach, którzy się ukryli, i żołnierzach, którzy nadjechali, żeby ich znaleźć i zabić. Myślę o poczuciu winy i wybaczeniu. Czy takie sprawy w ogóle pana zajmują?

Unikała odpowiedzi na pytanie o Lily Millington. Patrząc na nią, Leonard nie pierwszy raz miał wrażenie, że potrafi zajrzeć do jego wnętrza.

– Czasami – odparł. Słowo utkwilo mu w gardle i musiał odkaslnąć.

– Tak, domyślam się, w końcu był pan na wojnie. Zwykle nie bawię się w udzielanie ludziom rad, ale trochę żyję już na tym świecie i wiem, panie Gilbert, że należy odciąć się od przeszłości, inaczej podróż w przyszłość stanie się nie do zniesienia.

Leonard poczuł podszyte wstydem zaskoczenie. Ta kobieta nie знаła jego przeszłości. Wiedziała jednak, że większość mężczyzn, którzy walczyli na wojnie, widziała i robiła rzeczy, o których chciałaby jak najszybciej zapomnieć. Starał się nie okazywać emocji, kiedy się jednak odezwał, głos drżał mu bardziej, niżby tego chciał.

– Mam fragment listu, który Edward wysłał do waszego kuzyna, Hamisha, w sierpniu tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego roku – powiedział. – Czy mógłbym go pani przeczytać, panno Radcliffe?

Nie odwróciła się w jego stronę, ale też nie próbowała go powstrzymać. Leonard zaczął więc czytać:

*– Znalazłem ją. Kobietę tak niezwyklej urody, że gdy przykładam ołówek do papieru, boli mnie ręka. Pragnę uchwycić wszystko, co widzę i czuję, kiedy na nią patrzę, ale nie mogę się zmusić, żeby zacząć. Jak bowiem miałbym oddać jej sprawiedliwość? W jej postawie jest szlachetność, która nie pochodzi jednak z urodzenia, lecz z natury. Nie stroi się i nie wdzięczy, co więcej, to jej otwartość sprawia, że ludzie chcą na nią patrzeć, zamiast odwracać wzrok. W kształcie jej ust jest zdecydowanie, może nawet duma, i ten widok zapiera dech w piersi. Ona cała zapiera dech w piersi. Teraz, kiedy ją zobaczyłem, każdy będzie oszustem. Ona jest prawdą, prawda jest pięknem, a piękno jest boskie.*

– Tak – szepnęła Lucy. – Oto cały Edward. Wszędzie poznałabym jego głos.

– Odwróciła się, powoli podeszła do krzesła i usiadła. Leonard zdumiał się,

widząc, że policzki ma wilgotne od łez. – Pamiętam noc, kiedy zobaczył ją pierwszy raz. Był w teatrze i wrócił do domu kompletnie oszołomiony. Od razu wiedzieliśmy, że coś jest na rzeczy. Opowiedział nam wszystko w pośpiechu, a zaraz potem poszedł prosto do pracowni i zaczął szkicować. Pracował jak natchniony przez kilka dni. Nie jadł, nie spał i z nikim nie rozmawiał. Zapełniał kartki szkicownika jej portretami.

– Zakochał się w niej.

– Miałam panu powiedzieć, panie Gilbert, że mój brat łatwo popadał w obsesję. Że zawsze zachowywał się tak, kiedy poznawał nową modelkę, odkrywał nową technikę albo wpadał na nowy pomysł. Byłaby to prawda. – Oparła dłoń o poręcz krzesła. – I kłamstwo. Bo z Lily Millington było inaczej. Widzieliśmy to od samego początku. Widziałam to ja, widział Thurston i widziała biedna Fanny Brown. Edward pokochał Lily Millington z szaleństwem, które nie wróżyło niczego dobrego, i tamtego lata, tutaj w Birchwood, sytuacja osiągnęła punkt krytyczny.

– A więc Lily Millington tu była. Tak przypuszczałem, choć nie ma o tym żadnej wzmianki. Ani w listach, ani w pamiętnikach, ani w artykułach prasowych.

– Czytał pan raporty policyjne, panie Gilbert? Domyślam się, że przetrzymują takie rzeczy.

– Sugeruje pani, że mówią one coś innego?

– Mój drogi panie Gilbert, był pan żołnierzem na Wielkiej Wojnie. Wie pan lepiej od innych, że to, co piszą w gazetach, rzadko pokrywa się z prawdą. Ojciec Fanny był wpływowym człowiekiem. Zależało mu na tym, by w prasie nie pojawiła się nawet wzmianka o tym, że miejsce jej córki w życiu Edwarda zajęła inna kobieta.

Leonard zaczynał dostrzegać pewne związki. Edward kochał Lily Millington. To nie śmierć Frances Brown złamała mu serce i doprowadziła go do upadku, lecz utrata Lily. Ale co się z nią stało?

– Skoro ona i Edward się kochali, dlaczego został sam? Dlaczego ją stracił?

Lucy zasugerowała, że raporty policyjne mówiły jasno i wyraźnie, że Lily Millington była obecna w domu Birchwood w noc, kiedy doszło do kradzieży i morderstwa... I nagle zrozumiał.

– Lily Millington była zamieszana w kradzież. Zdradziła go... To jej zdrada przywiodła Edwarda do szaleństwa.

Widząc gniewne spojrzenie Lucy, natychmiast pożałował swoich słów, które zabrzmiały niemal radośnie.

– Bardzo przepraszam, panno Radcliffe – rzekł pospiesznie. – Zachowałem się bardzo niestosownie.

– Ależ skąd! Po prostu jestem zmęczona, panie Gilbert.

Zerknął na zegar i z przerażeniem stwierdził, że się zasiedział.

– Oczywiście. Nie będę zajmował już pani czasu. Pójdę za pani radą i poszukam raportów policyjnych. Jestem pewien, że rzuca nowe światło na całą sprawę.

– Na świecie niewiele jest rzeczy pewnych, panie Gilbert, ale powiem panu coś, co wiem: prawda zależy od tego, kto opowiada historię.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Wracając przez wieś pustą drogą z jej nierównym poboczem, Leonard rozmyślał o Lucy Radcliffe. Był pewien, że nigdy nie poznał nikogo takiego jak ona. Było oczywiste, że jest niezwykle błyskotliwa. Mimo sędziwego wieku nie traciła fascynacji światem, miała wszechstronne zainteresowania, a jej umiejętność przyswajania i przetwarzania złożonych informacji zasługiwała na podziw. Miała również poczucie humoru i nie brakowało jej samokrytycyzmu. Polubił ją.

I współczuł jej. Kiedy wychodząc, zapytał o jej szkołę, na twarzy staruszki odmalował się głęboki żal.

– Miałam wielkie nadzieje, panie Gilbert, ale było za wcześnie. Wiedziałam, że potrzebny będzie kompromis, że chcąc zachęcić wystarczającą liczbę uczennic, będę zmuszona sprostać niektórym wymaganiom rodziców. Myślałam, że będę w stanie dotrzymać obietnicy i uczynić z dziewcząt młode damy, a przy tym zaszczepić w nich zamiłowanie do nauki. – Uśmiechnęła się. – Chyba nie będę nieskromna, jeśli powiem, że kilku z nich wskazałam drogę, której inaczej mogłyby nie odnaleźć. Ale w tym wszystkim było więcej śpiewania i szycia, niż przewidywałam.

Gdy mówiła o szkole i uczennicach, Leonard pomyślał, że w budynku nie zostało nic, co mogło świadczyć o tym, że kiedyś mieściła się w nim szkoła. Zniknęły wszelkie ślady bytności dziewcząt i trudno było sobie wyobrazić, że posiadłość pełniła kiedyś inną funkcję niż dom dziewiętnastowiecznego artysty. A ponieważ wszystkie meble Radcliffe'a wciąż były w domu, wchodząc do niego, Leonard miał wrażenie, że cofa się w czasie.

Kiedy powiedział o tym Lucy, zastanowiła się, zanim odpowiedziała.

– Naturalnie podróże w czasie są niemożliwe, no bo jak ktoś mógłby być w dwóch miejscach „w tym samym czasie”? Już samo to wyrażenie jest

paradoksem. W tym wszechświecie w każdym razie...

Nie chcąc dać się wciągnąć w kolejną naukową dyskusję, zapytał, od jak dawna szkoła jest zamknięta.

– Och, od dziesiątków lat. Umarła razem z królową w tysiąc dziewięćset pierwszym roku. Kilka lat wcześniej na terenie szkoły wydarzył się bardzo niefortunny wypadek. Jedna z dziewcząt utonęła w rzece podczas szkolnego pikniku i od tamtej pory rodzice jedni po drugich zabierali swoje pociechy z Birchwood. A ponieważ nie było nowych zapisów... cóż, musiałam pogodzić się z rzeczywistością. Śmierć uczennicy nie sprzyja interesom.

Szczerłość Lucy przemawiała do Leonarda. Była otwartą i interesującą osobą, a jednak kiedy później wspominał ich rozmowę, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że dzieliła się z nim jedynie tym, co uznała za stosowne. Tylko raz wyczuł, że maska opadła z jej twarzy. Coś nie dawało mu spokoju w sposobie, w jaki opisywała wydarzenia z lata 1862 roku. Uderzyło go to, jak mówiła o śmierci Frances Brown i stopniowym upadku brata – jakby czuła się winna. No i to, jak nagle zmieniła temat i zaczęła opowiadać o rozstajach, poczuciu winy i potrzebie wybaczenia samemu sobie. Słuchając jej, miał wrażenie, że próbuje mu uświadomić, że powinien zrobić to samo.

Ale latem 1862 roku Lucy Radcliffe była dzieckiem i z tego, co mówiła, bardziej obserwatorem niż uczestnikiem wygłupów pięknych i błyskotliwych przyjaciół brata. Doszło do włamania, skradziono bezcenny klejnot, a Frances Brown straciła życie. Lily Millington, modelka, w której Edward zakochał się do szaleństwa, zniknęła. A według raportów policyjnych wszystko wskazywało na to, że była współniczką złodzieja. Ukochany brat Lucy nigdy nie doszedł do siebie. Leonard rozumiał, że ma prawo być smutna i rozżalona, ale skąd u niej to poczucie winy? Przecież nie ona pociągnęła za spust broni, z której zastrzelono pannę Brown, tak jak Leonard nie wystrzelił pocisku, którego odłamek zabił Toma.

*Wierzy pan w duchy, panie Gilbert?*

Zastanowił się, zanim odpowiedział. *Wierzę, że coś może prześladować człowieka.* Teraz, kiedy rozmyślał o dręczącym ją poczuciu winy, uświadomił sobie nagle, że choć mówiła o podaniach ludowych i tajemniczych światłach w oknach na poddaszu, tak naprawdę wcale nie miała na myśli upiórów



czających się w mroku. Pytała, czy wspomnienia o Tomie dręczą Leonarda tak, jak ją dręczyły wspomnienia o Edwardzie. Zobaczyła w nim bratnią duszę, towarzysza niedoli, który – podobnie jak ona – cierpiał z powodu utraty brata.

\*

Kiedy mijał pub Łabędź, nagle znikąd pojawił się Pies i dysząc, dreptał przy jego nodze. Leonard wyjął z kieszeni mały prostokątny kartonik i przez chwilę wodził kciukiem po zniszczonym brzegu. Dostał wizytówkę od kobiety, którą poznał na przyjęciu kilka lat temu, kiedy jeszcze mieszkał w Londynie, w kawalerce nad linią kolejową. Siedziała w kącie pokoju na tyłach domu przy nakrytym fioletowym aksamitem okrągłym stole, na którym ktoś rozłożył grę planszową. Na głowie miała zawiązaną niczym turban chustę ozdobioną barwnymi paciorkami. Razem z nią przy stoliku siedziało pięcioro gości. Wszyscy trzymali się za ręce i z zamkniętymi oczami słuchali jej mamrotania. Leonard zatrzymał się i oparty o futrynę, przyglądał się im zza kłębow dymu.

Nagle kobieta otworzyła oczy i utkwiała w nim wzrok.

– Ty. – Wymierzyła w niego długi czerwony pazur, na co wszyscy siedzący przy stole jak na zawołanie odwrócili się w stronę Leonarda. – Jest tu ktoś do ciebie.

Zignorował ją wówczas, lecz jej słowa i wzrok nie dawały mu spokoju i gdy nieco później w tym samym czasie wychodzili z przyjęcia, zaproponował, że zniesie jej torbę podróżną z dziwnej tkaniny dywanowej. Na ulicy, kiedy życzył jej dobrej nocy, kobieta wyjęła kartonik z kieszeni i wręczyła mu.

– Pogubił się pan – rzekła cichym, chłodnym głosem.

– Słucham?

– Zgubił pan drogę.

– Dziękuję, ale nic mi nie jest. – Leonard schował wizytówkę głęboko do kieszeni i zaczął się od niej oddalać, starając się odegnać od siebie dziwne, nieprzyjemne uczucie, które obudziła w nim nieznajoma.

– On próbował pana odnaleźć. – Jej głos, teraz nieco głośniejszy, niósł się za nim ulicą.

Dopiero gdy w świetle kolejnej lampy ulicznej Leonard spojrzął na kartonik, słowa kobiety nabrały sensu.

MADAME MINA WATERS

SPIRYTYSTKA

MIESZKANIE 2B

NEAL'S YARD 16

COVENT GARDEN

LONDYN

Wkrótce potem opowiedział o tym spotkaniu Kitty. Roześmiała się i stwierdziła, że w Londynie pełno jest wariatów, którzy wyłudniają od ludzi pieniądze. Zarzucił jej, że jest zbyt cyniczna.

– Wiedziała o Tomie – upierał się. – Wiedziała, że kogoś straciłem.

– Boże, rozejrzyj się! Każdy kogoś stracił.

– Nie widziałaś, jak na mnie patrzyła.

– Tak? – Kitty zrobiła zęza i skrzywiła się. Po chwili uśmiechnęła się, chwyciła pomięte pończochy, zwinęła je w kłębek i cisnęła w Leonarda.

On jednak odrzucił je na bok. Nie był w nastroju do żartów.

– Powiedziała, że on próbuje mnie znaleźć. I że się pogubiłem.

– Och, Lenny. – Dobry humor opuścił Kitty i nagle sprawiała wrażenie zmęczonej. – Jak my wszyscy.

\*

Leonard zastanawiał się, jak Kitty poradziła sobie na rozmowie o pracę w Londynie. Kiedy rano wychodziła z domu, wyglądała świetnie. Zrobiła coś z włosami. Żałował, że tego nie skomentował. Bywała cyniczna, ale znał ją przed wojną i wiedział, że to tylko maska.

Minąwszy kościół, w drodze do posiadłości nabrał w dłoń garść żwiru z pobocza pustej uliczki. Zważył kamyczki w ręce i patrzył, jak przesypują się między rozczapierzonymi palcami. Jeden z nich przykuł jego uwagę – okrągły, idealnie gładki kawałek kwarcu.

\*

Pierwszy raz poszedł do łóżka z Kitty w ciepłą, październikową noc w 1916 roku. Przyjechał do domu na przepustkę i spędził popołudnie w salonie matki, popijając herbatę z porcelanowej filiżanki, podczas gdy przyjaciółki matki na zmianę cmokały z dezaprobatą, wyrażając niezadowolenie z wojny i nadchodzącego kiermaszu bożonarodzeniowego.

Rozległo się pukanie do drzwi i pokojówka matki, Rose, ogłosiła przybycie panny Barker. Kitty Barker przyniosła pudełko szalików, które miejscowe kobiety zrobiły w ramach akcji ludności cywilnej na rzecz wojny, a gdy matka Leonarda zaprosiła ją na herbatę, odmówiła, tłumacząc się, że w sali parafialnej odbywają się tańce, a ona odpowiada za przekąski.

To matka zasugerowała, że Leonard powinien pójść na potańcówkę, i choć była to ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę, wszystko wydawało się lepsze od siedzenia w salonie, gdzie rozprawiano o zaletach podawania grzanego wina i sherry, więc zerwał się na równe nogi i rzucił tylko „Wezmę płaszcz”.

Kiedy szli tonącą w mroku ulicą, Kitty dopytywała się o Toma.

Wszyscy o niego pytali i Leonard miał gotową odpowiedź.

– Znasz Toma – odparł. – To pewny siebie wieczny optymista.

Uśmiechnęła się i przez chwilę zastanawiał się, jak to się stało, że nigdy dotąd nie zauważył tego uroczego dołeczka w jej lewym policzku.

Tamtego wieczoru nie schodził z parkietu. We wsi brakowało mężczyzn, więc speszony (i zadowolony) był wręcz rozchwytywany. Dziewczęta, które dotąd nie zwracały na niego uwagi, ustawiały się w kolejce, żeby z nim zatańczyć.

Robiło się późno, kiedy podniósł wzrok i zobaczył Kitty przy nakrytym obrusem stole na skraju parkietu. Cały wieczór serwowała kanapki z ogórkiem i kawałki biszkoptu królowej Wiktorii; jej niepokorne pasma włosów wysunęły się spod spinek. Kiedy piosenka dobiegała końca, pochwyciła wzrok Leonarda i pomachała do niego. Widząc to, przeprosił dziewczynę, z którą tańczył.

– Cóż, panno Barker, możemy chyba mówić o wielkim sukcesie – zwrócił do Kitty.

– Na to wygląda. Zebraliśmy więcej, niż oczekiwałam, a wszystko to na rzecz walczących na froncie. Żałuję tylko, że ani razu nie wyszłam na parkiet.

– Rzeczywiście szkoda. Może jednak mogłabyś mówić o dobrej zabawie, gdybyś przynajmniej raz zatańczyła fokstrota?

Dołeczek na jej policzku znowu się pojawił.

Kiedy tańczyli, obejmował ją w pasie, świadomy gładkości jej sukienki, złotego łańcuszka na jej szyi i jej błyszczących włosów.

Zaproponował, że odprowadzi ją do domu, i całą drogę rozmawiali. Kitty odetchnęła z ulgą, że potańcówka się udała, bo wcześniej bardzo się denerwowała.

Ochłodziło się i Leonard okrył ją swoją marynarką.

Gdy spytała o front, uzmysłowił sobie, że łatwiej o tym rozmawiać pod osłoną mroku. On mówił, a ona słuchała. Na koniec dodał, że tu, w domu, kiedy tak spaceruje w jej towarzystwie, wojna jest niczym zły sen, na co ona odparła, że w takim razie nie będzie zadawała więcej pytań. Zaczęli wspominać kiermasz wielkanocny w 1913 roku, na którym się poznali. Kitty przypomniała mu, jak wszyscy troje – ona, Leonard i Tom – weszli na szczyt wzgórza za wioską i siedzieli pod rozłożystym starym dębem, w miejscu, z którego roztaczał się widok na całą południową Anglię.

– Pamiętasz, mówiłam wtedy, że można stamtąd zobaczyć Francję? – rzekła Kitty. – A ty poprawiłeś mnie i powiedziałeś: „To nie Francja, to Guernsey”.

– Ale byłem zarozumiały.

– Wcale nie.

– Właśnie że tak.

– No, może trochę.

– Ej!

Roześmiała się i wzięła go za rękę.

– Wejdzmy teraz na wzgórze – zaproponowała.

– Po ciemku?

– Czemu nie?

Kiedy razem wbiegali na zbocze, Leonard uświadomił sobie, że po raz pierwszy od roku biegnie, nie obawiając się o życie, i ta myśl, ta świadomość,

ta wolność były wprost cudowne.

W mroku pod drzewem na szczycie wzgórza, widząc twarz Kitty skąpaną w srebrzystym blasku księżyca, przeciągnął palcem od nasady jej nosa aż do ust. Nie potrafił się powstrzymać. Była idealna, cudowna.

Siedzieli w milczeniu. Kitty z narzuconą na ramiona marynarką Leonarda uklękła przed nim i zaczęła rozpinąć guziki jego koszuli. Wsunęła rękę pod materiał i dotknęła jego piersi, jak gdyby chciała poczuć bicie serca. Gdy w odpowiedzi ujął w dłonie jej twarz i kciukiem pogładził policzek, nachyliła się ku niemu. Przyciągnął ją do siebie i w chwili, gdy się pocałowali, kości zostały rzucone.

Po wszystkim ubrali się w ciszy i siedzieli oparci o pień dębu. Leonard poczęstował ją papierosem, a kiedy zaciągnęła się dymem, stwierdziła rzeczowo:

– Tom nie może się dowiedzieć.

Pokiwał głową, w pełni się z nią zgadzając. Tom nie mógł się dowiedzieć.

– To był błąd – dodała.

– Tak.

– Wszystko przez tę przeklętą wojnę.

– To moja wina – rzucił.

– Nie, wcale nie. Ale ja go kocham, Leonardzie. Zawsze go kochałam.

– Wiem.

Wziął ją za rękę i uścisnął, bo wiedział, że mówi prawdę. On również kochał Toma.

Zanim wrócił na front, widzieli się jeszcze dwa razy. Były to przelotne spotkania, zawsze w obecności innych ludzi. W tamtych chwilach wiedział, że Tom nie może o niczym się dowiedzieć i że będą żyć, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Dopiero kiedy tydzień później wrócił na front i waga tego miejsca zaciążyła mu niczym brzemie, zaczął rozmyślać. Zawsze wracał do tego samego pytania – pytania, które budziło w nim nienawiść do samego siebie i wzbudzało poczucie winy: Dlaczego jego brat musi zawsze dopiąć swego?

Tom był jednym z pierwszych ludzi, których zobaczył, kiedy wrócił do okopów. Na jego ubłoconej twarzy pojawił się uśmiech.

– Witaj z powrotem, Lenny – powiedział, unosząc z czoła cynowy hełm. – Tęskniłeś za mną?

Dopiero pół godziny później, kiedy siedzieli, popijając herbatę z jednego kubka, zapytał o Kitty.

– Widziałem ją raz czy dwa – odparł Leonard.

– Wspominała o tym w liście. To dobrze. Mam nadzieję, że nie prowadziliście zbyt intymnych rozmów?

– O czym ty mówisz?

– Żadnym poufnych rozmów?

– Nie bądź głupi. Prawie ze sobą nie rozmawialiśmy.

– Widzę, że przepustka nie poprawiła ci humoru. Chodzi o to, że... – uśmiech nie schodził z twarzy Toma – Kitty i ja zamierzamy się pobrać. Byłem pewien, że nie wytrzyma i powie ci. Obiecaliśmy sobie, że nie powiemy nikomu przed końcem wojny. No wiesz... chodzi o jej ojca.

Tom cieszył się jak dziecko i widząc to, Leonard objął go i poklepał po plecach.

– Gratulacje, braciszku, nawet nie wiesz, jak się cieszę.

Trzy dni później Tom nie żył. Zabił go odłamek pocisku. Godzinami wykrwawiał się, leżąc na ziemi niczyjej, podczas gdy skulony w okopach Leonard nasłuchiwał. (*Pomóż mi, Lenny, pomóż mi*). Jedyne, co ocalało po Tomie, który wspinał się na mur ogrodu, Tomie mistrzu wstrzymywania oddechu, miłym, uprzejmym Tomie, był pachnący perfumami list od Kitty i pokryta błotem stara dwupensówka.

\*

Lucy Radcliffe w dobrej wierze mówiła o poczuciu winy i potrzebie wybaczenia samemu sobie, ale myliła się, jeśli myślała, że ona i Leonard są w podobnej sytuacji. Życie jest skomplikowane, a ludzie z pewnością popełniają błędy. Ale oni byli inni. Ich poczucie winy w stosunku do nieżyjących braci różniło się.

Kitty zaczęła pisać do niego do Francji po śmierci Toma, on zaś odpisywał na jej listy, a gdy po wojnie wrócił do Anglii, pewnego wieczoru odwiedziła go

w jego londyńskiej kawalerce. Przyniosła butelkę ginu i wypili ją razem, rozmawiając o Tomie i płacząc. Kiedy wyszła, sądził, że to koniec ich znajomości. A jednak śmierć Toma zbliżyła ich do siebie. Byli niczym dwa księżycy krążące na orbicie wokół pamięci o nim.

Początkowo tłumaczył sobie, że opiekuje się nią w imieniu brata i gdyby nie to, co wydarzyło się w nocy 1916 roku, może nawet by w to uwierzył. Ale prawda była znacznie bardziej skomplikowana i mniej szlachetna i nie był w stanie dłużej się przed nią bronić. Oboje z Kitty wiedzieli, że ich nielojalność spowodowała na Toma śmierć, i choć Leonard miał świadomość, że to irracjonalne, wcale nie czuł się przez to lepiej. Lucy Radcliffe miała rację: człowiek nie może bez końca żyć przytłoczony poczuciem winy. On i Kitty musieli usprawiedliwić niszczycielski wpływ ich czynu, postanowili więc uwierzyć, że to, co wydarzyło się między nimi tamtej nocy na wzgórzu, było aktem miłości.

Zostali razem. Połączeni smutkiem i poczuciem winy. Nienawidzili powodu, który zbliżył ich do siebie, a jednak nie potrafili się rozstać.

Nigdy więcej nie rozmawiali o Tomie, przynajmniej nie otwarcie, lecz bezustannie czuli jego obecność. Był w delikatnym złotym pierścionku z brylantem, który Kitty nosiła na palcu prawej ręki, w zaskoczeniu, z jakim czasami patrzyła na Leonarda, jakby spodziewała się zobaczyć kogoś innego, w każdym ciemnym kącie każdego pokoju i w każdej cząsteczce ogrzanego słońcem powietrza.

Tak, Leonard wierzył w duchy.

\*

Dotarł do furtki posiadłości i wszedł do ogrodu. Słońce chyliło się ku zachodowi i cienie na trawniku zaczynały się wydłużać. Zerknąwszy w stronę muru, stanął jak wryty. W kałuży słońca pod klonem japońskim spała oparta o pień kobieta. Przez krótką chwilę Leonard myślał, że to Kitty, że rozmyśliła się i jednak nie pojechała do Londynu.

Przyszło mu do głowy, że może mu się zdaje, ale nagle uświadomił sobie, że to wcale nie Kitty. To była kobieta, którą rankiem widział nad rzeką. Wtedy

towarzyszył jej mężczyzna i Leonard, chcąc uniknąć spotkania, zszedł im z drogi.

Teraz nie mógł oderwać od niej wzroku. Obok kobiety stały półbuty z ozdobnie dziurkowanymi noskami, a jej spoczywające na trawie bose stopy nagle wydały mu się niezwykle zmysłowe. Zapalił papierosa. Fakt, że kobieta nie była świadoma jego obecności, jeszcze bardziej przyciągał go do niej. I to, że właśnie dziś pojawiła się w tym miejscu.

Kiedy tak patrzył, nieznajoma obudziła się i przeciągnęła, a na jej twarzy odmalowała się nieopisana błogość. Sposób, w jaki patrzyła na dom, wydał się Leonardowi znajomy. W tym spojrzeniu były czystość, prostota i miłość. Miał ochotę rozplakać się tak jak wtedy, kiedy był małym chłopcem. Chciał płakać nad tym, co stracił, nad całym tym potwornym bałaganem i świadomością, że bez względu na to, jak bardzo tego chce, nie cofnie czasu i nie odwróci biegu wydarzeń, a wojna, śmierć brata i stracone lata już zawsze będą częścią jego historii.

– Przepraszam! – zawołała, kiedy go w końcu zobaczyła. – Nie chciałam przeszkadzać. Zgubiłam się.

Jej głos brzmiał niczym dzwon – czysto i bez skazy. Leonard miał ochotę podbiec do niej, chwycić ją za ramiona i ostrzec, powiedzieć, że życie bywa okrutne, nieustępliwe, zimne i męczące.

Chciał, by wiedziała, że wszystko to jest bez znaczenia, że dobrzy ludzie umierają zbyt młodo bez żadnego powodu, że świat pełen jest ludzi, którzy będą chcieli ją skrzywdzić, i że nie sposób przewidzieć, co czai się za zakrętem ani nawet czy w ogóle jest jakiś zakręt.

A jednak...

Kiedy tak patrzył na nią skąpaną w blasku światła przeświecającego przez liście klonu, poczuł, że coś chwyta go za serce, i uświadomił sobie, że chciałby jej też powiedzieć, że dziwnym zrzędzeniem losu to właśnie bezsensowność życia czyni je tak pięknym, wyjątkowym i cudownym. Że barbarzyństwo i okrucieństwa wojny dodają życiu blasku. I że tylko w ciemności można dostrzec gwiazdy i docenić ich piękno.

Chciał jej to powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle i tylko pomachał do niej – ot, głupi gest, którego nie zauważyła, bo zdążyła już odwrócić wzrok.



Wszedł do domu i z kuchennego okna patrzył, jak kobieta sięga po torebkę. Chwilę później ostatni raz spojrzała na dom, uśmiechnęła się promiennie i zniknęła w rozświetlonej słońcem mgiełce. Nie znał jej. I wiedział, że nigdy więcej jej nie zobaczy. Ale żałował, że nie powiedział jej, że on także się zgubił. Zgubił się, lecz nadzieja w jego życiu pojawiała się i zniknęła niczym ptak, który śpiewał o tym, że jeśli będzie szedł krok za krokiem, może kiedyś dotrze do domu.

## VII

Ojciec powiedział mi kiedyś, że gdy ujrzał moją matkę w oknie jej rodzinnego domu, poczuł się tak, jakby do tego czasu żył w półmroku. Twierdził, że od tamtej pory każdy kolor, zapach, każde wrażenie, jakie oferował świat, były jaśniejsze, ostrzejsze i prawdziwsze.

Byłam wówczas dzieckiem i uznałam jego opowieść za baśń, lecz słowa ojca wróciły do mnie tamtego wieczoru, kiedy poznałam Edwarda.

Nie była to miłość od pierwszego wejrzenia. Takie twierdzenia wystawiają miłość na pośmiewisko.

To było przeczucie. Niewytłumaczalna świadomość, że wydarzyło się coś ważnego. Czasami zdarzają się takie chwile: lśnią niczym samородki w sicie poszukiwacza złota.

Jak już mówiłam, narodziłam się dwukrotnie. Pierwszy raz jako dziecko swoich rodziców i drugi raz, kiedy obudziłam się w domu pani Mack nad sklepem z ptakami i klatkami przy Little White Lion Street.

To prawda. Ale nie cała. Jest bowiem jeszcze trzecia część mojej historii.

Kolejny raz narodziłam się przed Theatre Royal przy Drury Lane w ciepły wieczór 1861 roku, miesiąc przed swoimi siedemnastymi urodzinami. Tyle lat miała moja mama, kiedy przyszłam na świat po raz pierwszy w gwiazdzistą noc w wąskim domu w Fulham nad brzegiem Tamizy.

\*

Pani Mack oczywiście miała rację, kiedy mówiła, że dni Małej Zagubionej Dziewczynki i Małej Pasażerki są policzone. I tak oto narodził się nowy plan, powstał nowy kostium, a ja przywdziałam nową maskę. Tym razem zadanie było dość proste: w foyer teatru było gwarno jak w ulu. Suknie dam były

barwne i suto marszczone, a whisky i oczekiwanie usypiały czujność mężczyzn, więc młoda kobieta o zwinnych palcach miała mnóstwo okazji, by uwolnić dżentelmenów od kosztowności.

Jedynym problemem był Martin. Nie byłem już dzieckiem, lecz on ani myślał zrezygnować z przydzielonej mu roli opiekuna. Wiercił matce dziurę w brzuchu i nabijał jej głowę opowieściami o tym, co złego może mnie spotkać, a nawet o tym – słyszałam, jak szepcze, kiedy myślał, że go nie słyszę – że mogę „zwrócić się przeciwko nim”, po czym podsuwał jej pomysły na to, jak mógłby towarzyszyć mi podczas pracy. Kłóciłam się i upierałam, że za bardzo wszystko komplikuje, że wolę pracować sama, lecz syn pani Mack zawsze stawiał na swoim i patrzył na mnie zaborczym wzrokiem, jakbym była jego własnością.

Tego wieczoru jednak zdołałam mu się wymknąć. Gdy przedstawienie dobiegło końca, przecięłam foyer i wyszłam bocznym wyjściem na jedną z wąskich uliczek. To był udany wieczór: głęboka, sekretna kieszeń mojej sukni była ciężka od łupów, a ja czułam zadowolenie. W swoim ostatnim liście ojciec pisał, że po wielu niepowodzeniach zakład zegarmistrzowski, który otworzył w Nowym Jorku, był już niemal wypłacalny. Miałam nadzieję, że po owocnym lecie pozwoli mi w końcu popłynąć do Ameryki. Minęło ponad dziewięć lat, odkąd zostawił mnie u pani Mack.

Na zewnątrz oprócz mnie nie było nikogo i zastanawiałam się, czy pójść do domu na skróty labiryntem wąskich uliczek, czy wyjść na zatłoczony Strand i dodać do swoich łupów kolejnych kilka portfeli. I właśnie w tym momencie niezdecydowania w tych samych drzwiach, przez które wyszłam chwilę temu, pojawił się Edward i przyłapał mnie bez maski.

Było tak jak po podniesieniu się mgły, kiedy nagle wszystko odzyskuje ostrość. Nagle stałam się czujna i niespokojna, a zarazem nie byłam zaskoczona, bo jakże ta noc mogła zakończyć się bez naszego spotkania?

Podszedł do mnie, a gdy musnął palcami mój policzek, zrobił to tak delikatnie, jak gdybym była jednym ze skarbów z kolekcji ojca Bładego Joe. Patrzyliśmy sobie w oczy.

Nie potrafię powiedzieć, jak długo tak staliśmy – sekundy, a może minuty – czas przestał mieć znaczenie.

Dopiero gdy pojawił się Martin i krzyknął „Zatrzymać go! Złodziej!”, czar prysł. Zamrugalam i cofnęłam się o krok.

Martin odgrywał swoją rolę, ale ja, nie wiedząc czemu, nagle poczułam się zawstydzona jej nikczemnością. „Nie – oświadczyłam stanowczo. – Ten człowiek nie jest złodziejem”.

Edward potwierdził moje słowa. Wyznał również, że jest malarzem i pragnie namalować mój portret.

Martin zaczął coś bełkotać, jakieś bzdury o młodych damach, swojej „siostrze” i przyzwoitości, ale Edward wcale na to nie zważał. Mówił o swojej rodzinie, zapewniał, że jego matka przyjdzie do moich rodziców i z nimi porozmawia, przekona ich, że jej syn jest dżentelmenem i nie ma niecznych zamiarów, a związek z nim nie zszarga mojej reputacji.

Propozycja była nieoczekiwana, a pomysł, by jego matka złożyła wizytę w „moim domu”, uroczy i staroświecki, i muszę przyznać, że zachwyciła mnie wizja udawania młodej damy, której cnota wymagała takiej ochrony.

\*

Pani Mack, która zawsze potrafiła zwęszyć zysk, od razu wzięła się do roboty i w pierwszej kolejności zmieniła swój salonik w serce domowego ogniska. Jedną z nowych dziewczynek, Effie Granger, która miała jedenaście lat, ale była wyrosnięta jak na swój wiek, przywdziała czarno-biały strój pokojówki, ściągnięty przez Martina ze sznura na białiznę w Chelsea, i została szybko i dość brutalnie poinstruowana o tym, co ma robić. Martin i Kapitan mieli się wcielić w role szlachetnego brata i ojca, a pani Mack na moich oczach zmieniła się w kochającą matkę, która znalazła się w trudnej sytuacji, i zrobiła to z takim zaangażowaniem, że mogłaby zawstydzić niejedną aktorkę przy Drury Lane.

Kiedy nadszedł ten oczekiwany dzień, młodsze dzieci zostały zagonione na górę, gdzie – jeśli nie chciały narobić sobie kłopotów – miały siedzieć cicho jak myszy pod miotłą, my tymczasem siedzieliśmy na dole, czekając na dźwięk dzwonka.

Edward i jego matka – kobieta, którą pani Mack określiła później jako „kontynentalną z wyglądu i manier” – zostali zaproszeni do środka. Zdejmując kapelusz, pani Radcliffe wodziła dookoła ciekawskim wzrokiem. Cokolwiek myślała o „panu i pani Millington” i ich domu, syn był jej dumą i radością i to w niego zainwestowała wszystkie swoje artystyczne aspiracje. Jeśli więc wierzył, że potrzebuje właśnie panny Millington, by jego wizja była kompletna, panna Millington będzie jego. Nawet jeśli oznaczało to picie zaparzonej w imbryku herbaty w domu dziwnej pary w Covent Garden.

Podczas spotkania siedziałam na jednym końcu kanapy, na co rzadko miałam przyzwolenie, a Edward na drugim, podczas gdy pani Mack perorowała – jak się jej zapewne zdawało, kwiecistym językiem – na temat mojej dobroci i cnoty.

– To bardzo przyzwoita chrześcijańska dziewczyna, ta moja Lily. Prawdziwe niewiniątko.

– Miło mi to słyszeć – odparła pani Radcliffe z czarującym uśmiechem. – I taka pozostanie. Ojciec mojego zmarłego męża jest hrabią Beechworth, a mój syn to niezwykle szlachetny dżentelmen. Zapewniam panią, że otoczy pani córkę wyjątkową troską i zwróci ją pani nietkniętą.

– Ehm... – chrząknął Kapitan przyuczony do roli patrzącego krzywym okiem ojca rodziny. („W razie wątpliwości – poinstruowała go pani Mack – chrząknij. I cokolwiek się wydarzy, nie odczepiaj nogi”).

Ostatecznie wyrażono zgodę i porozumiano się co do wysokości kwoty, której wypłata, jak zapewniła pani Mack, da jej gwarancję, że cnota córki pozostanie nietknięta.

A gdy ustalono datę pierwszej sesji, w końcu odważyłam się spojrzeć na Edwarda.

\*

Jego pracownia mieściła się na tyłach ogrodu, za domem Radcliffe’ów w Hampstead. Pierwszego dnia Edward ujął mnie za rękę, by pomóc mi przejść śliską ścieżką.

– Kwiaty wiśni – powiedział. – Piękne, ale zabójczo niebezpieczne.

Nie miałam doświadczenia z malarzami, a wszystko, co wiedziałam o sztuce, wyczytałam w książkach Bladego Joe i zobaczyłam w obrazach wiszących na ścianach domu jego ojca. Kiedy więc Edward otworzył drzwi, nie wiedziałam, czego się spodziewać.

Pokój był mały, z perskim dywanem na podłodze i sztalugą stojącą przed prostym, choć eleganckim krzesłem, ze szklanym sufitem i pomalowanymi na biało drewnianymi ścianami. Wzdłuż dwóch ciągnęła się ława, pod którą były głębokie szuflady. Na ławie stały maleńkie słoiczki z pigmentami, buteleczki pełne najróżniejszych płynów i dzbanki z pędzlami w rozmaitych rozmiarach.

Edward podszedł do kominka w kącie. Powiedział, że nie chce, żebym zmarzła, i prosił, bym powiedziała mu, jeśli będzie mi niewygodnie. Pomógł mi zdjąć pelerynę, a gdy musnął palcami moją szyję, poczułam, że się rumienię. Kazał mi usiąść na krześle – tego dnia miał zacząć szkicować. Zauważyłam, że ścianę w drugim końcu pracowni pokrywają rozmaite szkice piórkiem.

Tu i teraz w tym dziwnym życiu–nie–życiu widzę, ale sama nie mogę być zobaczona. Wcześniej nie rozumiałam, jak ważne jest, by wymieniać z kimś spojrzenia, patrzeć w oczy drugiemu człowiekowi. Nie rozumiałam też, jak rzadko mamy okazję poświęcić komuś całą swoją uwagę bez lęku, że zostaniemy przyłapani.

Kiedy więc Edward przyglądał się mnie, ja przyglądałam się jemu.

Uzależniłam się od jego skupienia. Poznałam też potęgę obserwacji. Jeśli choćby odrobinę podniosłam głowę, widziałam zmianę malującą się na jego twarzy. Lekkie zmrużenie oczu, gdy słońce zaczynało padać pod innym kątem.

Powiem wam coś jeszcze: trudno nie zakochać się w przystojnym mężczyźnie, który poświęca ci całą swoją uwagę.

W pracowni nie było zegara. Nie istniał tam czas. Kiedy tak pracowaliśmy razem, dzień za dniem, świat za ścianami znikał. Był tam Edward i byłam ja, ale nawet te granice zaczynały się zacierać.

Czasami, chcąc rozproszyć zalegającą w pracowni gęstą ciszę, ni stąd, ni zowąd zadawał mi pytania, a ja odpowiadałam najlepiej, jak mogłam, podczas gdy on słuchał i malował w skupieniu, które rysowało między jego brwiami

cienką linię. Na początku udawało mi się unikać prawdy, ale z upływem tygodni zaczęłam się obawiać, że przejrzy moje kłamstwa i upiększenia. A co gorsza, czułam zupełnie nową i niepokojącą potrzebę, by się przed nim otworzyć.

Dlatego kierowałam rozmowy na bezpieczniejsze tematy, takie jak sztuka, nauka, życie i czas, i wszystko to, o czym dyskutowałam z Bładym Joe. Musiało go to zdumiewać, bo uśmiechał się zagadkowo, unosił brwi i spoglądał na mnie znad płótna. W końcu wyznał, że wszystko to bardzo go interesuje, i opowiedział mi o eseju, który napisał ostatnio na temat związków między miejscami i ludźmi, o tym, jak niektóre krajobrazy oddziałują na nas bardziej niż inne, a pewne miejsca zachowują echa tego, co wydarzyło się przeszłości.

Nigdy dotąd nie spotkałam kogoś takiego jak Edward. Kiedy mówił, nie sposób było go nie słuchać. Był w pełni oddany temu, co robił, czuł i wyrażał w danej chwili. Przyłapałam się na tym, że myślę o nim, kiedy nie jesteśmy razem, zastanawiam się nad tym, co powiedział, przypominam sobie, jak odchyliwszy głowę, roześmiał się z czegoś, co mu opowiedziałam, i że znów pragnę usłyszeć ten śmiech. Nie pamiętałam już, o czym myślałam, zanim go poznałam. Był niczym muzyka, która gdy raz wejdzie człowiekowi do głowy, zmienia rytm tętna; jak niewytłumaczalne pragnienie, które każe człowiekowi postępować wbrew zdrowemu rozsądkowi.

Nikt nigdy nam nie przeszkadzał z wyjątkiem krótkich chwil, gdy przynoszono dzbanek gorącej herbaty. Czasami robiła to matka Edwarda, która zerknęła przez ramię na postępy czynione przez syna. Czasami pokojówka. A pewnego ranka – po kilku tygodniach codziennych spotkań – Edward, słysząc pukanie, zawołał „Proszę!” i w drzwiach stanęła może dwunastoletnia dziewczynka. Trzymała tacę w niemal nabożnym skupieniu.

Miała w sobie nerwowość, która natychmiast mnie ujęła. Nie była ładna, ale zdecydowanie malujące się na jej twarzy podpowiadało mi, że nie należy jej lekceważyć. Wydawała się też ciekawska: strzelała oczami, patrząc to na mnie, to na Edwarda, to na szkice na ścianie. Ciekawość była cechą, którą rozpoznawałam i która moim zdaniem nadaje życiu sens. Bo po cóż wlec się przed siebie, jeśli nie po to, by zaspokoić ciekawość i poznać odpowiedzi na nurtujące nas pytania? Od razu wiedziałam, kim jest.

– To moja młodsza siostra Lucy – przedstawił ją Edward z uśmiechem. – Lucy, to jest Lily Millington. La Belle.

\*

Znałam Edwarda od pół roku, kiedy w listopadzie 1861 roku obraz *La Belle* zadebiutował na wystawie w Królewskiej Akademii. Polecono mi, bym zjawiła się o dziewiętnastej i pani Mack dwoiła się i troiła, chcąc zadbać o to, bym miała suknię stosowną do okazji. Jak na pewną siebie kobietę, rozbijając imponowała jej sława, zwłaszcza jeśli łączyła się ona z perspektywą zarobku.

– Gotowe – orzekła, zapinając perłowe guziczki, które równym rzędkiem biegły od krzyża do karku. – Rozegraj to jak należy, moja panno, a może będzie to początek czegoś cudownego. – Wskazała głową stojącą na kominku kolekcję *cartes de visite* – małych fotografii członków rodziny królewskiej i innych znanych i wytwornych osobistości. – Może nawet będziesz jedną z nich.

Martin, jak można się było spodziewać, nie podzielał jej entuzjazmu. Nie podobało mu się, że spędzam czas poza domem, pozując Edwardowi, i odbierał moją nieobecność jako osobistą zniewagę. Czasami wieczorami słyszałam, jak skarżył się w salonie matce na to, że coraz później wracam do domu, a gdy te argumenty jej nie przekonywały – pieniądze za pozowanie były nieporównywalnie większe od tych, jakie zarabiałam, kradnąc – upierał się, że nie powinnam podchodzić „zbyt blisko zwierzyny”. Ale to pani Mack rządziła w mieszkaniu nad sklepem z ptakami. Zostałam zaproszona na wystawę w Królewskiej Akademii, jedno z najważniejszych wydarzeń w życiu londyńskiej socjety, i śledzona przez Martina, dotarłam na miejsce.

Zostałam tam tłum ludzi – mężczyzn w lśniących czarnych cylindrach i frakach i kobiety w wytwornych jedwabnych sukniach. Czułam na sobie ich spojrzenia, gdy coraz bardziej zanurzałam się w tym gęstym, ciepłym morzu ciał. Nieruchome powietrze rozbrzmiewało gwarem rozmów, od czasu do czasu przerywanych wybuchami śmiechu.

Zaczynałam tracić nadzieję, że odnajdę wśród nich Edwarda, gdy nagle pojawił się tuż przede mną.



– Tu jesteś – powiedział. – Czekałem przy drugim wejściu, ale cię nie widziałem.

Kiedy wziął mnie za rękę, zadrżałam. Jeszcze nigdy nie widziałam go w towarzystwie, bo przez ostatnie pół roku siedzieliśmy zamknięci w jego pracowni. Rozmawialiśmy o wielu rzeczach i zdążyłam go poznać, ale tu, w otoczeniu tych wszystkich śmiejących się ludzi, wydał mi się wyrwany z kontekstu. W tej nowej, obcej dla mnie scenerii postrzegałam go jako kogoś zupełnie innego.

Poprowadził mnie przez tłum do miejsca, gdzie wisiał obraz. Widziałam go przelotnie w pracowni, ale nic nie było w stanie przygotować mnie na to, jak wyglądał na ścianie sali wystawowej, gdzie ranga wydarzenia przydawała mu wielkości i dostojności.

– I co myślisz? – spytał, wpatrując się we mnie.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Obraz prezentował się nadzwyczajnie. Kolory były żywe, a moja skóra zdawała się emanować ciepłym wewnętrznym blaskiem. Edward namalował mnie na środku płótna, z miękkimi falami włosów okalającymi twarz, ze wzrokiem wbitym przed siebie i wyrazem twarzy kobiety, która chwilę temu wyjawiała sekret i nigdy więcej tego nie zrobi. A jednak obraz krył w sobie coś jeszcze. Edward uchwycił w tej pięknej twarzy – dużo piękniejszej od mojej – niebywałą wręcz wrażliwość.

Lecz nie dlatego odebrało mi mowę. *La Belle* jest jak kapsuła czasu. Pod pociągnięciami pędzla i pigmentami spoczywa każde słowo, każde spojrzenie, które wymieniliśmy z Edwardem; jest w niej zapisany każdy jego śmiech, każde muśnięcie jego palców na mojej twarzy, gdy dotykał jej, by zwrócić ją ku słońcu. To świadectwo każdej jego myśli, każdej chwili, gdy nasze umysły spotykały się w zamkniętej pracowni na tyłach ogrodu. Twarz z *La Belle* skrywa tysiące sekretów, które razem tworzą historię znaną tylko mnie i Edwardowi. Widok obrazu wiszącego na ścianie w gwarnej sali pełnej obcych ludzi był przytłaczający.

Widząc, że Edward wciąż czeka na moją odpowiedź, wydusiłam tylko:

– Jest...

Uścisnął moją rękę.

– Prawda?

Przeprosił mnie na chwilę, zobaczył bowiem w tłumie pana Ruskina, obiecał jednak, że zaraz wróci.

Ja tymczasem wpatrywałam się w obraz. W pewnej chwili obok mnie stanął wysoki, przystojny dżentelmen.

– I co sądzisz? – spytał. W pierwszej chwili pomyślałam, że zwraca się do mnie. Szukałam w głowie właściwych słów, kiedy usłyszałam, jak inna kobieta odpowiada na jego pytanie. Stała po jego drugiej stronie – ładna i drobna, z włosami koloru ciemnego miodu i małymi ustami.

– Obraz jest piękny jak zawsze – odparła. – Zastanawiam się jednak, dlaczego upiera się, by pozowały mu kobiety z rynsztoka.

Mężczyzna się roześmiał.

– Znasz Edwarda. Zawsze był przewrotny.

– Ona go deprecjonuje. Spójrz, jak patrzy wprost na nas, bez wstydu, bez klasy... I te usta! To samo powiedziałam panu Ruskinowi.

– I co on na to?

– Był skłonny przyznać mi rację, choć jego zdaniem Edward zrobił to celowo. Chodzi o kontrast, o skromność scenerii i zuchwałość modelki.

Czułam, że każda cząstka mojego ciała kuli się w sobie. Miałam ochotę zniknąć, zapaść się pod ziemię. Popełniłam błąd, przychodząc tutaj; teraz to widziałam. Martin miał rację. Wpadłam w pułapkę energii, która otaczała Edwarda. Straciłam czujność. Myślałam, że jesteśmy współnikami w wielkim przedsięwzięciu. Byłam nieprawdopodobnie głupia.

Policzki płonęły mi ze wstydu i miałam ochotę stamtąd uciec. Zerknęłam przez ramię, próbując ocenić, jak daleko mam do drzwi. Pomieszczenie było pełne gości, a powietrze gęste od dymu z cygar i słodkich zapachów perfum i wody kolońskiej.

– Lily. – Edward wrócił z twarzą zaróżowioną z podniecenia. – O co chodzi? – Spojrzał na mnie. – Co się stało?

– Tu jesteś, Edwardzie! – odezwał się wysoki, przystojny dżentelmen. – Zastanawiałem się, gdzie się podziewasz... Właśnie podziwialiśmy *La Belle*.

Edward rzucił mi pełne otuchy spojrzenie i uśmiechnął się do przyjaciela, który poklepał go po ramieniu. Położył mi rękę na plecach i delikatnie pchnął

mnie do przodu.

– Lily Millington – powiedział. – A to Thurston Holmes, członek Bractwa Magenta i mój serdeczny przyjaciel.

Thurston ujął moją dłoń i musnął ją ustami.

– A więc to jest słynna panna Millington, o której tyle słyszeliśmy. – Spojrzał mi w oczy z nieskrywanym zainteresowaniem. Ktoś, kto dorastał w ciemnych zaułkach Covent Garden i wilgotnych uliczkach nad Tamizą, dobrze znał to spojrzenie. – Miło mi w końcu panią poznać. Edward już dawno powinien podzielić się panią z nami.

Kobieta o miodowych włosach podała mi zimną drobną dłoń.

– Widzę, że sama muszę się przedstawić. Panna Frances Brown. Wkrótce żona Edwarda.

\*

Kiedy tylko zauważyłam, że Edward rozmawia z jednym z gości, przeprosiłam – sama nie wiem kogo – i lawirując w tłumie, skierowałam się do wyjścia.

Wyszędłszy z budynku, odetchnęłam z ulgą, kiedy jednak stałam spowita chłodem nocy, miałam wrażenie, że przeszłam przez więcej niż jedne drzwi. Zostawiłam za sobą urzekający świat sztuki i światła i wróciłam do ciemnych, ponurych zaułków z przeszłości.

Właśnie stałam w jednym z nich, kiedy poczułam, że ktoś chwyta mnie za nadgarstek. Odwróciłam się gotowa zobaczyć Martina, który przez cały wieczór czał się na środku Trafalgar Square, ale to był Thurston Holmes, przyjaciel Edwarda, którego poznałam na wystawie.

– Panno Millington, wyszła pani tak nagle. Martwiłem się, że źle się pani poczuła.

– Nic mi nie jest, dziękuję. W środku było tak duszno... potrzebowałam zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Ktoś nienawykły do uwagi rzeczywiście może poczuć się nieco przytłoczony. Obawiam się jednak, że to niebezpieczna okolica dla samotnej młodej damy. W mroku czają się rozmaite niebezpieczeństwa.

– Dziękuję za pańską troskę.

– Może da się pani zaprosić na poczęstunek. Mieszkam tu nieopodal, a kobieta, od której wynajmuję pokoje, jest niezwykle wyrozumiała.

Wiedziałam, o jaki poczęstunek mu chodzi.

– Nie, dziękuję. Nie chcę pana dłużej zatrzymywać.

Podszedł bliżej, jedną ręką objął mnie w pasie i przyciągnął do siebie. Drugą wyjął z kieszeni dwie złote monety i podstawił mi pod nos.

– Obiecuję, że będzie warto.

Nie odwróciłam wzroku.

– Jak już mówiłam, panie Holmes, wolałabym zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Jak pani chce. – Zdjął cylinder i ukłonił się pospiesznie. – Dobranoc, panno Millington. Do zobaczenia.

Nie była to przyjemna rozmowa, miałam jednak na głowie ważniejsze rzeczy. Nie chciałam wracać do pani Mack, dlatego unikając Martina, udałam się do jedyne miejsce, które przyszło mi do głowy.

\*

Jeśli Błady Joe był zaskoczony moją wizytą, nie dał nic po sobie poznać. Po prostu wetknął zakładkę między kartki i zamknął książkę. Wiele rozmawialiśmy o wystawie i teraz czekał na moją entuzjastyczną relację. Tymczasem ja się rozpłakałam. Ja, która nie płakałam od dnia, gdy obudziłam się w domu pani Mack, bez ojca.

– O co chodzi? – spytał zaniepokojony. – Co się stało? Ktoś cię skrzywdził?

Odparłam, że nie i że to nic takiego. Że sama właściwie nie wiem, czemu płaczę.

– A więc musisz opowiedzieć mi wszystko od początku i może ja ci powiem, skąd te łzy.

I tak zrobiłam. Najpierw opowiedziałam mu o obrazie, o tym, jak stałam przed nim i wstydziłam się siebie, bo kobieta, którą Edward namalował w pracowni z przeszklonym dachem, była o wiele piękniejsza ode mnie. O tym, że obraz zdawał się emanować wewnętrznym blaskiem, pozwalał

zapomnieć o drobnych troskach dnia codziennego i że Edwardowi udało się uchwycić moją wrażliwość i nadzieję.

– Więc płaczesz, bo przytłoczyło cię piękno portretu.

Pokręciłam głową, wiedziałam bowiem, że nie ma racji. Opowiedziałam mu o przystojnym mężczyźnie, który stanął obok mnie, i ładnej kobiecie o włosach koloru miodu i drobnych ustach, o tym, co mówili i jak się ze mnie śmiali.

Blady Joe westchnął i pokiwał głową.

– Płaczesz, bo tamta kobieta mówiła o tobie przykre rzeczy.

Znowu pokręciłam głową, ponieważ nigdy nie dbałam o to, co myślą o mnie ludzie, których nie znam.

Wyznałam, że słuchając ich, uświadomiłam sobie, jak bardzo jarmarczna była suknia, którą uszyła dla mnie pani Mack. Że z początku uważałam, że jest piękna – gnieciony welur i delikatna koronka, którą obszyto dekolt – lecz wkrótce dotarło do mnie, że jest krzykliwa i tandetna.

Blady Joe ściągnął brwi.

– Wiem, że nie płaczesz z powodu sukienki.

Zgodziłam się z nim, że suknia nie ma znaczenia; chodziło o to, że będąc tam, w tej sali, wśród tych wszystkich ludzi, uświadomiłam sobie, że to ja jestem jarmarczna i krzykliwa, i nagle ogarnęła mnie złość na Edwarda. Zaufałam mu, a on mnie zdradził, czyż nie? Sprawił, że w jego towarzystwie, w jego świetle, czułam się jak w domu, schlebiał mi poświęcaną mi uwagą – te ciemne, czujne oczy, mięsień drgający na jego twarzy, kiedy się skupiał, bo przecież nie tego się spodziewałam – tylko po to, by zawstydzić mnie w pomieszczeniu pełnym ludzi, którzy wcale nie byli tacy jak ja i którzy od razu wiedzieli, że nie jestem jedną z nich. Kiedy poprosił, żebym mu towarzyszyła... cóż, źle go zrozumiałam. No i była jeszcze narzeczona, ta elegancka śliczna kobieta o szlachetnych rysach. Powinien był mi powiedzieć, żebym mogła się przygotować i poszła tam z odpowiednim nastawieniem. Oszukał mnie i nie chciałam go więcej widzieć.

Blady Joe patrzył na mnie z czułością i smutkiem; wiedziałam, co zaraz powie. Że moje oskarżenia są niesprawiedliwe. Że to ja byłam głupia, to ja

popęłniłam błąd, bo Edward niczego mi nie zawdzięcza. Zapłacono mi za to, bym pozowała mu do obrazu, który chciał wystawić w Akademii Królewskiej.

Lecz Błady Joe nie powiedział żadnej z tych rzeczy. Objął mnie i rzekł:

– Moja biedna Birdie. Płaczesz, bo się zakochałaś.

\*

Po wyjściu od Błatego Joe przemykałam ciemnymi ulicami Covent Garden, na których rumiani mężczyźni wylewali się z pubów, gdzie z suterren ulatywały w noc sprośne pijackie piosenki, a w powietrzu unosił się zapach cygar, zwierzęcych odchodów i gnijących owoców.

Zamiatając spódnicami bruk, szłam przed siebie. Skręciwszy w Little White Lion Street, zadarłam głowę, spojrzałam w niebo i zobaczyłam między budynkami zamglony księżyc; nie widziałam gwiazd, nad Londynem wisiała bowiem gęsta szara mgła. Weszłam do sklepu z ptakami i klatkami, uważając, by nie obudzić jego skrzydlatych mieszkańców, i na palcach wspierałam się po schodach. Kiedy mijałam drzwi do kuchni, z ciemności dobiegł głos:

– No, no, kogo my tu mamy!

Martin siedział przy stole, przed nim stała otwarta butelka ginu. Wpadający przez okno wąski snop księżycowego światła oświetlał połowę jego twarzy, podczas gdy druga ginęła w mroku.

– Myślisz, że jesteś bystra, bo udało ci się mnie zwieść? Straciłem pół nocy, czekając na ciebie. Nie mogłem wejść do teatru, więc stałem pod tą przeklętą kolumną Nelsona, patrząc, jak bogacze wchodzą i wychodzą. Co powiem mamie i Kapitanowi, kiedy zapytają, czemu nie przyniosłem do domu pieniędzy, które im się należą?

– Nigdy nie prosiłam, żebyś na mnie czekał, i byłabym wdzięczna, gdybyś obiecał, że więcej tego nie zrobisz.

– Byłabyś wdzięczna, tak? – Roześmiał się chrapliwie. – Nie wątpię. Przecież jesteś teraz małą damą. – Zerwał się od stołu, przewracając przy tym krzesło, i podszedł do mnie. Chwycił mnie za brodę i poczułam na szyi jego gorący oddech. – Wiesz, co powiedziała mi mama, kiedy u nas zamieszkałaś? – zapytał. – Wysłała mnie na górę do pokoju, w którym spałaś, i powiedziała:

„Idź i przyjrzyj się swojej nowej siostrzyczce, Martinie. Będzie trzeba mieć ją na oku. Wspomnisz moje słowa: trzeba będzie mieć ją na oku”. I miała rację. Widzę, jak mężczyźni na ciebie patrzą. Wiem, co sobie myślą.

Byłam zbyt zmęczona, żeby kolejny raz kłócić się o to samo. Chciałam iść na górę do sypialni i zastanowić się nad tym, co powiedział mi Błady Joe. Czułam na sobie pożądliwy wzrok Martina, który napawał mnie obrzydzeniem, a zarazem współczułam mu, bo był mężczyzną, którego paleta nie miała kolorów. Granice jego życia, wyznaczone, gdy był małym chłopcem, nigdy nie zostały poszerzone. Widząc, że nie zamierza puścić mojej ręki, powiedziałam łagodnie:

– Nie musisz się martwić, Martinie. Obraz jest ukończony. A ja jestem w domu. Wszystko wróciło do normy.

Być może oczekiwał, że będę się kłócić, bo zachował dla siebie to, co zamierzał powiedzieć. Zamrugał i powoli pokiwał głową.

– Nie zapominaj – rzucił. – Nie zapominaj, że twoje miejsce jest tutaj, między nami. Nie jesteś jedną z nich, bez względu na to, co wbija ci do głowy moja matka, kiedy zwęszy złoto artystów. To wszystko jest na pokaz. Jeśli o tym zapomnisz, będziesz cierpieć i sama będziesz sobie winna.

W końcu mnie puścił, a ja zmusiłam się do uśmiechu. Kiedy się jednak odwróciłam, znów chwycił mnie za rękę i szarpnięciem przyciągnął do siebie.

– Ładnie wyglądasz w tej sukni. Jesteś już piękną dojrzałą kobietą.

W jego głosie pobrzmiwała groźba i wyobraziłam sobie, że młoda kobieta zaczepiona w ten sposób na ulicy byłaby przerażona, czując na sobie jego badawcze spojrzenie, widząc pogardliwie skrzywione usta i kiepsko skrywane intencje. I byłaby to właściwa reakcja. Ale ja znałam Martina od dawna. Dopóki żyła jego matka, nigdy by mnie nie skrzywdził. Byłam dla niej zbyt cenna.

– Jestem zmęczona, Martinie – odparłam. – A jest już bardzo późno. Mam jutro dużo roboty i muszę się wyspać. Twoja mama nie chciałaby, żebyśmy byli zbyt zmęczeni, żeby pracować.

Na wzmiankę o pani Mack zwolnił uścisk na moim nadgarstku, a ja wykorzystałam okazję, wyrwałam się i pobiegłam na górę. Nie zapaliłam

świecy łożowej, rozebrałam się w ciemności, uprzednio powiesiwszy suknię na haczyku na drzwiach, tak by materiał zasłaniał dziurkę od klucza.

Tej nocy nie mogłam zasnąć. Rozmyślałam o tym, co powiedział mi Błady Joe, i wspominałam każdą chwilę, którą spędziłam z Edwardem w jego pracowni.

– Czy on też cię kocha? – spytał Błady Joe.

– Chyba nie – odparłam. – Ma przecież narzeczoną, z którą weźmie ślub.

Słyszając to, Błady Joe uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Znasz go od kilku miesięcy. Rozmawiałaś z nim wiele razy. Opowiadał ci o swoim życiu, namiętnościach i pasjach. I dopiero dziś dowiedziałaś się, że ma narzeczoną.

– Tak.

– Birdie, gdybym był zaręczony z kobietą, którą kocham, rozmawiałbym o niej z człowiekiem, który zimą posypuje ulice popiołem. Opowiadałbym o niej każdemu, kto chciałby mnie słuchać. Nie wiem, co Edward czuje do ciebie, ale wiem, że nie kocha kobiety, którą poznałaś dziś wieczorem.

\*

Tuż po świcie usłyszałam pukanie do drzwi. Ulice Covent Garden tętniły już życiem, pełne wózków, straganiarzy i kobiet, które niosąc na głowach kosze z owocami, szły w stronę targu, zakładałam więc, że to miejscowy stróż. On i pani Mack mieli pewien układ – podczas porannego patrolu na ulicach, kiedy co pół godziny wykrzykiwał czas, by ludzie wiedzieli, która jest godzina, zatrzymywał się i budził nas, waląc kołatką do drzwi.

Ten dźwięk był jednak cichszy niż zwykle i gdy rozbrzmiał po raz drugi, wstałam i rozsunęłam zasłony, by wyjrzeć na zewnątrz.

Przed drzwiami nie stał stróż w miękkim kapeluszu i ciężkim okryciu, lecz Edward w płaszczu i szalu, które miał na sobie poprzedniego wieczoru. Serce podeszło mi do gardła i po chwili wahania otworzyłam okno i zawołałam cicho:

– Co ty wyprawiasz?!



Cofnął się, zadarł głowę, żeby zobaczyć, skąd dobiega mój głos, i omal nie wpadł pod wózek z kwiatami.

– Lily! – Rozpromienił się na mój widok. – Zejdź tu, Lily!

– Co ty tu robisz?

– Zejdź, muszę z tobą porozmawiać.

– Ale nawet nie wzeszło jeszcze słońce.

– Wiem, ale nie mogę sprawić, żeby wschodziło szybciej. Stoję tu całą noc. Wypiłem prawie całą kawę ze straganu na rogu i nie mogę dłużej czekać. – Położył rękę na sercu. – Zejdź tu, Lily, inaczej będę zmuszony wspiąć się do ciebie.

Pokiwałam głową i w pośpiechu zaczęłam się ubierać. Z przejęcia nie mogłam zapiąć guzików i paznokciem zrobiłam dziurę w pończosze. Nie miałam czasu, żeby poprawić czy upiąć włosy, zbiegłam więc na dół, by dotrzeć do niego, nim zrobi to ktoś inny.

Podniosłam zasuwkę i otworzyłam drzwi, i z chwilą, gdy stanęliśmy naprzeciw siebie, wiedziałam, że Błady Joe miał rację. Było tyle rzeczy, o których chciałam opowiedzieć Edwardowi: o swoim ojcu, o pani Mack, o Małej Zagubionej Dziewczynce i Bładym Joe. Chciałam powiedzieć mu, że go kocham i że wszystko, co wydarzyło się, zanim go spotkałam, przypominało szkic ołówkiem – wstępny i wyblakły – rysowany w oczekiwaniu na nasze spotkanie. Chciałam zdradzić mu swoje prawdziwe imię.

Ale brakowało mi słów i nie wiedziałam, od czego zacząć. Zanim się obejrzałam, u mego boku stanęła pani Mack w podomce zawiązanej ciasno pod obfitym biustem i ze śladami poduszki odciśniętymi na policzku.

– O co chodzi? Na Boga, co pan tu robi o tej godzinie?

– Dzień dobry, pani Millington – odparł Edward. – Przepraszam za tak wczesne najście.

– Nawet się jeszcze nie rozjaśniło.

– Tak, wiem, proszę pani, ale to pilne. Przyszedłem powiedzieć, jak bardzo jestem zachwycony pani córką. Wczoraj wieczorem sprzedałem obraz *La Belle* i chciałbym móc znów ją namalować.

– To, niestety, niemożliwe – prychnęła. – Jest mi potrzebna tutaj, w domu, panie Radcliffe. Bez niej będę musiała zapłacić więcej pokojówce i choć jestem

szanowaną damą, nie jestem bogata.

– Jestem pewien, że jakoś to pani zrekompensuję, pani Millington. Namalowanie kolejnego obrazu potrwa nieco dłużej. Dlatego proponuję dwukrotność poprzedniej sumy.

– Dwukrotność?

– Jeśli to panią zadowoli.

Pani Mack nie należała do osób, które zrezygnowałyby z pieniędzy, ale jak nikt miała nosa do interesów.

– Cóż, nie sądzę, żeby to wystarczyło. Nie... na pewno nie wystarczy. Może gdyby zaproponował pan trzy razy tyle...?

Dopiero teraz zauważyłam Martina, który przysłuchiwał się rozmowie z ciemnego korytarza prowadzącego do sklepu.

– Pani Millington – Edward wbił we mnie wzrok – pani córka jest moją żoną, moim przeznaczeniem. Zapłacę każdą cenę, którą uzna pani za słuszną.

– W takim razie myślę, że czterokrotność poprzedniej sumy będzie wystarczającym wynagrodzeniem.

– Zgoda. – Uśmiechnął się do mnie. – Potrzebujesz zabrać coś z domu?

– Nic.

Po tym, jak pożegnałam się z panią Mack, wziął mnie za rękę i poprowadził na północ ulicami Seven Dials. Z początku nie rozmawialiśmy, ale coś się między nami zmieniło. Albo raczej potwierdziło się coś, co było między nami już od dłuższego czasu.

Kiedy wychodziliśmy z Covent Garden i Edward obejrzał się na mnie przez ramię, wiedziałam, że nie ma już odwrotu.

\*

Wrócił Jack. Na szczęście. Kości przeszłości są nęcące i boję się, że rozgrzebywałabym je przez całą noc.

Och, pamiętam miłość.

Minęło sporo czasu, odkąd przygnębiony Jack wyszedł z aparatem. Zapadł zmierzch i otaczają nas purpurowe odgłosy nocy.

W dawnej słodowni podłącza aparat do komputera i ze zdumiewającą szybkością ściąga kolejne zdjęcia. Widzę je wszystkie. Nie próżnował: znowu cmentarz, las, łąka, skrzyżowanie. Na innych z zamazanych plam i kolorów dopiero po chwili wyłaniają się obrazy. Zauważam jednak, że na żadnym z nich nie ma rzeki.

Bierze prysznic; ubrania cisnął na podłogę. Łazienka wypełnia się parą. Pewnie zaczyna myśleć o kolacji.

Ale Jack nie idzie prosto do kuchni. Po prysznicu z ręcznikiem na biodrach sięga po telefon i kołysząc się w przód i w tył, coś rozważa. Przycupnięta na skraju łóżka, obserwuję go i zastanawiam się, czy kolejny raz rozczaruje Rosalind Wheeler swoim raportem o kryjówce i wciąż nieodnalezionym brylancie.

Oddycha głęboko, przygarbia się, wybiera numer i przykłada telefon do ucha. Nerwowo postukuje palcem w wargi.

– Sarah, to ja.

Świetnie! To dużo lepsze niż raport w sprawie postępów.

– Posłuchaj, wczoraj nie miałaś racji. Nie zmienię zdania. Nie zrezygnuję i nie wrócę do domu. Chcę je poznać... muszę je poznać.

Je. Dziewczynki. Bliźniaczki. Jego i Sarah. (Jedno jest pewne: społeczeństwo się zmieniło. Za moich czasów, gdyby kobieta odważyła się odejść od ojca swoich dzieci, to ona musiałaby zniknąć z ich życia).

Teraz mówi Sarah i niewątpliwie przypomina mu, że w wychowywaniu dzieci nie chodzi o jego potrzeby, bo słyszę, jak Jack odpowiada:

– Wiem, nie to miałem na myśli. Chciałem powiedzieć, że one też mnie potrzebują. Potrzebują ojca, Sar... a przynajmniej kiedyś będą potrzebowały.

Znowu cisza. Ale sądząc po podniesionym głosie po drugiej stronie słuchawki, który słyszę nawet tam, gdzie siedzę, Sarah jest innego zdania.

– Tak – mówi Jack. – Tak, wiem. Byłem okropnym mężem... Masz rację, to wszystko moja wina. Ale siedem lat to szmat czasu, Sar. Jestem innym człowiekiem... Nie, nie próbuję być zabawny. Mówię poważnie. Zmieniłem się. Mam nawet hobby. Pamiętasz ten stary aparat...

Słucha jej, kiwając głową, i od czasu do czasu mruczy potakująco. Wzrok ma wbity w kąt pokoju, gdzie ściany łączą się z sufitem, i czekając, aż Sarah

skończy, wpatruje się w belkę stropową.

W końcu mówi:

– Posłuchaj, Sar, proszę tylko, żebyś dała mi szansę. Chcę widywać się z nimi od czasu do czasu... zabierać je do Legolandu, do studia Warner Bros, gdzie kręcono *Harry'ego Pottera*, tam dokąd będą chciały jechać. Możesz dyktować warunki. Po prostu daj mi szansę.

Rozmowa nie przynosi rezultatu. Jack rzuca telefon na łóżko, masuje kark, powoli idzie do łazienki i sięga po zdjęcie dziewczynek.

Tego wieczoru jesteśmy jednomyślni, on i ja. Oboje zostaliśmy oddzieleni od ludzi, których kochamy, i oboje brodzimy we wspomnieniach, szukając rozwiązania.

Wszyscy ludzie pragną bliskości, nawet ci nieśmiali: za bardzo przeraża ich myśl o tym, że mogliby zostać sami. Świat, wszechświat – egzystencja – jest po prostu zbyt wielki. Dzięki Bogu, że nie mogą zobaczyć, jak bardzo przerasta ich wyobrażenia. Czasami myślę o Lucy. Co ona by na to powiedziała?

W małej kuchni Jack je breję z fasolą prosto z puszki. Nawet jej nie podgrzał. Na dźwięk telefonu wraca biegiem do pokoju, ale gdy patrzy na ekran, na jego twarzy maluje się rozczarowanie. Nie odbiera.

Ci, których do siebie przyciągam, wszyscy mają do opowiedzenia jakąś historię.

Każdy jest inny niż jego poprzednicy, ale jest coś, co ich łączy – strata. Odkryłam, że strata pozostawia w człowieku dziurę i że dziury te trzeba czymś zapełnić. Taka jest naturalna kolej rzeczy.

Dlatego zawsze są to ludzie mający szansę usłyszeć mnie, kiedy mówię... i od czasu do czasu, jeśli naprawdę dopisze mi szczęście, któryś z nich odpowiada.

# ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

## *Lato 1940*

Znaleźli zapałki w zielonej starej cynowej puszcze na półce za płytą kuchenną. Dostrzegł je Freddy i radośnie przeskakując z nogi na nogę, ogłosił się zwycięzcą. Jego triumfalny taniec doprowadził Tipa do łez, a Juliet zakłęła pod nosem, próbując zapalić palnik, żeby wstawić wodę.

– No już – mruknęła, gdy w końcu udało się jej zapalić zapałkę – nie ma co płakać, Tippy. To nic takiego. – Odwróciła się do Freddy’ego, który nadal nie posiadał się z radości. – Naprawdę, Red. Jesteś starszy od niego o cztery lata.

Niewzruszony jej słowami Freddy nie przestawał tańczyć, podczas gdy Juliet ocierała Tipowi łzy.

– Chcę do domu – rzucił żałośnie Tip.

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale uprzedziła ją Beatrice.

– Nie możesz! – zawołała z drugiego pokoju. – Bo już nie mamy domu. Nic z niego nie zostało.

Juliet czuła, że traci resztki cierpliwości. Była radosna całą drogę z Londynu, ale wszystko wskazywało na to, że nadal będzie musiała udawać. Rozmowa z córką na temat jej zgryźliwości – która dała o sobie znać co najmniej o rok za wcześniej – będzie musiała poczekać. Zaalarmowana urywanym oddechem Tipa i głową, którą wciskał w ramiona, nachyliła się jeszcze niżej nad jego pokrytą czerwonymi plamami twarzą.

– Chodź, pomożesz mi przy kolacji – powiedziała. – Może nawet znajdę dla ciebie kostkę czekolady, jeśli dobrze poszukam.

Powitalny koszyk był miłym gestem. Przygotowała go pani Hammett, żona właściciela pubu: bochenek świeżego chleba, klin sera i osełka masła,

owinięte w kawałek muszliny truskawki i agrest, pół litra mleka, a pod tym wszystkim – co za radość! – mała tabliczka czekolady.

Kiedy Tip wziął kostkę i zniknął, by niczym dziki kot lizać rany, Juliet przygotowała dla całej trójki talerz kanapek z serem. Nie lubiła gotować – kiedy poznała Alana, potrafiła tylko ugotować jajko i w kolejnych latach repertuar ten niewiele się zmienił – ale teraz potraktowała to jako formę terapii: pokroić chleb, posmarować masłem, położyć plasterki sera, powtórzyć.

Szykując kanapki, zerknęła na dołączoną do kosza wypisaną odręcznie kartkę. Pani Hammett pewną ręką witała ich w domu i na piątek zapraszała na kolację do Łabędzia. Kiedy Bea wyjęła kartkę z koperty, była tak przejęta perspektywą zobaczenia miejsca, w którym jej rodzice spędzili miesiąc miodowy, że niemądrze byłoby odmówić. Mimo wszystko dziwnie było wracać, zwłaszcza bez Alana. Minęło dwanaście lat, odkąd zatrzymali się w małym pokoiku z wyblakłą tapetą w żółte pasy i witrażowym oknem, z którego roztaczał się widok na pola i rzekę. Pamiętała dwa kwiaty szczeci w stojącym na kominku pękniętym wazonie i kolcolist, od którego w całym pokoju pachniało kokosem.

Kiedy czajnik zaczął gwizdać, krzyknęła na Beę, żeby zostawiła flet i zrobiła herbatę.

Bea wmaszerowała do kuchni, mrużąc coś pod nosem, ale w końcu dzbanek z herbatą pojawił się na stole i usiedli, by zjeść kanapki.

Juliet była zmęczona. Wszyscy byli zmęczeni. Przez cały dzień tłukli się zatłoczonym pociągami, który w ślimaczym tempie włókł się na wschód od Londynu. Zanim dotarli do Reading, zjedli wszystko, co mieli, a reszta drogi ciągnęła się w nieskończoność.

Biedny mały Tip siedzący obok niej przy stole miał ciemne cienie pod oczami i prawie nie ruszył kanapki. Położył na stole głowę opartą na dłoni.

Pochyliła się nad nim, tak że poczuła woń przetłuszczonych włosów.

– Jak się trzymasz, Tippy?

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko ziewnął.

– Czas na bajkę o przyjęciu w ogrodzie pani Marvel? – spytała.

Powoli pokiwał głową i jego proste włosy zakołysały się niczym zasłona.

– No to chodź – powiedziała. – Położymy cię spać.

\*

Zasnął, zanim jeszcze zaczęła opisywać ogród. Stali na ścieżce przed furtką, kiedy zwiotczał jej w ramionach, i Juliet wiedziała, że śpi.

Ona również zamknęła oczy i dopasowała swój oddech do oddechu Tipa, rozkoszując się bliskością jego drobnego, ciepłego ciała; jego obecnością i oddechem, który łaskotał ją w policzek.

Lekki wiaterek wpadł przez otwarte okno i sama zasnęłaby bez trudu, gdyby nie dobiegające z dołu wybuchy śmiechu, a od czasu do czasu głuchy łomot. Juliet ignorowała je do momentu, gdy zabawa przerodziła się w sprzeczkę; wówczas najciszej, jak mogła, wyszła z pokoju i wróciła do kuchni. Odesłała dwójkę starszych dzieci do łóżek, a sama rozejrzała się po domu.

Przedstawiciel Stowarzyszenia Historyków Sztuki, który dał jej klucz, był wyraźnie zakłopotany. Dom stał opuszczony od co najmniej roku, odkąd wybuchła wojna. Ktoś zadał sobie trud i próbował tu posprzątać, ale pozostały wiele mówiące szczegóły. Na przykład kominek, w którym rozplenilo się zielsko. Popiskiwanie, które usłyszała, szarpiąc zielone macki, świadczyły o tym, że coś w nim zamieszkało. Było jednak lato i kominek nie stanowił na razie problemu. Poza tym, jak stwierdził gość ze stowarzyszenia, kiedy w spiżarni wleciała w nich jaskółka: „Trwa wojna i grzechem byłoby wybrzydzać”.

Łazienka na górze była skromna, ale zacieki w wannie da się wyszorować, podobnie jak pokryte pleśnią płytki. Pani Hammett wspominała przez telefon, że choć staruszka, do której należał dom, bardzo go kochała, pod koniec nie miała środków na jego utrzymanie. Poza tym była „bardzo wybredna w kwestii lokatorów”, więc zdarzało się, że dom miesiącami stał pusty. Tak, nie dało się ukryć, że czeka ich trochę pracy, ale dobrze im zrobi, jeśli się czymś zajmą. Dzięki temu dzieci poczują się tu jak w domu, będą miały poczucie posiadania i przynależności.

Teraz spały, mimo że za oknami wciąż było jeszcze widno. Juliet stanęła w drzwiach do większej sypialni na tyłach domu. Mars, który kilka miesięcy temu pojawił się na czole córki, zniknął. Jej ramiona, długie i szczupłe, leżały wyciągnięte wzdłuż ciała na kołdrze. Kiedy się urodziła, pielęgniarka obejrzała jej rączki i nóżki i orzekła, że będzie biegaczką, ale Juliet wystarczył jeden rzut oka na te śliczne, blade paluszki – urzekająco idealne – by wiedziała, że jej córka zostanie muzykiem.

Przypomniała sobie, jak trzymając się za ręce, przechodziły na drugą stronę Russell Square. Czteroletnia wówczas Bea mówiła coś z przejęciem, a na jej twarzy malowała się powaga, gdy niczym jelonek podskakiwała, by nadażyć za matką. Była uroczym dzieckiem – absorbującym i ujmującym, spokojnym, ale nie nieśmiałym. Juliet nie rozpoznawała podrzutka, który zajął jej miejsce.

Tymczasem Freddy był wciąż pokrzepiająco znajomy. Pierś miał nagą i szeroką, a wywrócona na lewą stronę koszulka leżała ciśnięta na podłodze przy łóżku. Nogi miał podkulone, jak gdyby siłował się z pościelą. Nie było sensu jej poprawiać i Juliet nawet nie próbowała. W przeciwieństwie do siostry, Freddy przyszedł na świat pulchny i różowiutki. „Dobry Boże, urodziłaś małego czerwonego człowieczka – skwitował Alan, spoglądając z ciekawością na tłumoczek w ramionach żony. – Bardzo rozgniewanego małego czerwonego człowieczka”. I tak oto Freddy stał się Redem<sup>12</sup>. Od tamtej pory się nie zmienił. Był gwałtowny, czarujący, zabawny i pracowity. Przypominał promień słońca zaklęty w ciele człowieka, ale bywał też wybuchowy.

W końcu stanęła nad najmłodszym Tipem, skulonym niczym ptaszek w gnieździe uwitym z poduszek na podłodze przy łóżku. Spocona głowa chłopca zostawiła plamę wilgoci na białej poszewce, a kosmyki jasnych włosów kleiły się do czoła i skroni. (Wszystkie jej dzieci szybko się pociły. Odziedziczyły to po Alanie).

Juliet podniosła kołdrę i otuliła nią Tipa, wygładziła materiał i na chwilę zamarała z dłonią na wąskiej piersi syna.

Czy martwiła się o niego najbardziej dlatego, że był najmłodszy? A może chodziło o coś więcej – o wrodzoną wåtłość, którą w nim wyczuwała, o lęk, że



nie będzie w stanie go ochronić, naprawić go, jeśli się połamię.

„Nie panikuj – usłyszała a głowie radosny głos Alana. – Łatwo popaść w paranoję, ale trudniej się od niej uwolnić”.

Miał rację. Zaczynała się rozklejać. Tipowi nic nie było. Zupełnie nic.

Po raz ostatni spojrzała na śpiącą trójkę i zamknęła za sobą drzwi.

\*

Pokój, który wybrała dla siebie, był mniejszy od pozostałych. Zawsze lubiła małe przestrzenie – pewnie podświadomie kojarzyły się jej z bezpieczeństwem matczynego łona. Nie było tu biurka, tylko pod oknem stała orzechowa toaletka, na której ustawiła swoją maszynę do pisania. Może nie było to najlepsze rozwiązanie, ale się sprawdzało. Zresztą czegoż więcej potrzebowała?

Usiadła na łóżku z żelazną ramą i wyblakłą patchworkową narzutą. Na przeciwległej ścianie wisiał obraz przedstawiający zagajnik z widocznym na pierwszym planie różanecznikiem. Ramka wisiała na gwoździu podtrzymywana przez kawałek zardzewiałego drutu. Coś poruszyło się w szczelinie na suficie i obraz delikatnie się zakołysał.

Gdy chwilę później wróciły cisza i spokój, Juliet wypuściła wstrzymywany nieświadomie oddech. Czekala, aż dzieci zasną i w końcu będzie miała chwilę dla siebie, tymczasem przyłapała się na tym, że brakuje jej zgiełku, który świadczył o ich bliskości. Dom pogrążył się w ciszy. Obcej i dziwnej. Zupełnie jakby była sama.

Otworzyła stojącą obok walizkę. Skóra na rogach była zniszczona, ale walizka z czasów, gdy pracowała w teatrze, była niczym wierny przyjaciel i dobrze było mieć ją przy sobie. Przez chwilę w zamyśleniu wodziła palcami po dwóch stertach starannie poskładanych sukienek i bluzek, zastanawiając się, czy nie powinna się rozpakować.

Zamiast tego wyjęła spomiędzy ubrań smukłą butelkę i zeszła z nią do kuchni.

Wzięła szklanekę i wyszła na zewnątrz.

Powietrze w otoczonym murem ogrodzie tchnęło ciepłem. Był jeden z tych długich letnich wieczorów, gdy niebieskawe światło nie może się zdecydować, czy należy jeszcze do dnia, czy już do nocy.

Furtka w kamiennym murze wychodziła na piaszczystą ścieżkę, którą mężczyzna ze stowarzyszenia nazywał szumnie „drogą dla powozów”. Idąc nią, Juliet natrafiła na stół ogrodowy stojący między dwoma wierzbami na trawiastym pagórku. Nieco dalej w obniżeniu terenu radośnie płynęła woda. Nie była to Tamiza, raczej jeden z jej dopływów. Juliet postawiła szklanekę na żelaznym blacie i ostrożnie nalała whisky. Napełniła szklanekę do połowy i upiła solidny łyk.

– Na zdrowie – rzuciła w zapadający zmierzch.

Whisky rozlała się po jej gardle niczym ciepły balsam. Juliet zamknęła oczy i po raz pierwszy od kilku godzin pomyślała o Alanie.

Zastanawiała się, co by powiedział, wiedząc, że ona i dzieci są tutaj. Lubił to miejsce, ale nie tak bardzo jak ona. Jej sympatia do nadrzecznej wioski, albo raczej domu z dwoma bliźniaczymi szczytami, zawsze go bawiła. Mówił, że jest romantyczką przez duże „R”.

I może rzeczywiście nią była. Nawet gdy Alan był we Francji, nie ulegała pokusie, by zasypywać go listami miłosnymi. Nie było takiej potrzeby – przecież wiedział, co czuła – a wykorzystanie wojny i jego nieobecności do tego, by popaść w sentymentalność, którą wstydziła się okazywać, kiedy rozmawiali twarzą w twarz, byłoby jak przyznanie się do braku wiary. Czy kochała go bardziej dlatego, że Wielka Brytania znajdowała się w stanie wojny z Niemcami? Czy kochała go mniej, gdy ubrany w fartuch, pogwizdując, krzątał się w kuchni i smażył rybę na kolację?

Nie. Zdecydowanie, stanowczo i z całą pewnością nie.

I tak zamiast przelanych na papier obietnic i zapewnień trzymali się prawdy.

Ostatni list spoczywał w jej kieszeni, ale Juliet nie wyjęła go teraz. Wzięła butelkę i zaczęła schodzić trawiastym zboczem w stronę rzeki.

List od Alana stał się czymś w rodzaju totemu, był integralną częścią podróży, w którą wyruszyła. Miała go przy sobie tamtej nocy w schronie – tkwił ukryty między kartkami *David Copperfielda*. Podczas gdy stara

dziwaczka spod numeru trzydzieści cztery, szcękając drutami, śpiewała pod nosem *We'll Meet Again*, a czterej synowie Whitfieldów pałętali się pod nogami, krzycząc jak dzikie gęsi, Juliet kolejny raz czytała raport Alana z Dunkierki, niezdarny, lecz wciąż przejmujący. Pisał o ludziach na plaży i drodze, która zawiodła ich w tamte strony, o mijanych wieśniakach, małych dzieciach i starszych kobietach z pałakowatymi nogami, i o wozach, na których piętrzyły się walizki, klatki dla ptaków i koce. Wszyscy uciekali przed nieszczęściem i zniszczeniem, tyle że na całym świecie nie było już bezpiecznego miejsca.

*Spotkałem chłopca z zakrwawioną nogą – pisał. Siedział na przewróconym płocie, a na jego twarzy malowała się potworna akceptacja, świadomość tego, że odtąd tak właśnie będzie wyglądał jego los. Spytałem go, jak ma na imię, czy potrzebuje pomocy i gdzie jest jego rodzina. Dopiero po chwili odpowiedział mi po francusku, że nie wie. Biedak nie mógł chodzić, a policzki miał mokre od łez. Nie mogłem zostawić go tam samego. Przypominał mi Tipa. Był od niego starszy, ale miał w sobie taką samą powagę. Na koniec wziąłem go na barana – nie narzekał ani o nic mnie nie pytał – i zaniósłem na plażę.*

Juliet dotarła do drewnianego pomostu. Nawet w zapadającym mroku było widać, że niszczał, odkąd dwanaście lat temu siedzieli tu razem z Alanem i pili herbatę z termosu pani Hammett. Przymknęła powieki, wsłuchując się w odgłosy rzeki. Jej niezmiennność dodawała Juliet otuchy: bez względu na to, co działo się na świecie, niezależnie od ludzkiej głupoty i cierpienia jednostek, rzeka nadal toczyła swoje wody.

Otworzyła oczy i objęła wzrokiem widoczny nieco dalej gęsty zagajnik. Nie zapuści się tak daleko. Dzieci byłyby przerażone, gdyby obudziły się w nocy i odkryły, że jej nie ma.

Odwróciwszy się w kierunku, z którego przyszła, zobaczyła nad ciemnym zarysem ogrodu posiadłości ostrzejsze linie bliźniaczych szczytów i smukłe kolumny ośmiu kominów.

Usiadła oparta o pień pobliskiej wierzby i postawiła butelkę whisky w kępcę trawy u swoich stóp.

Poczuła nagłą radość, która przygasła niemal natychmiast, gdy przypomniała sobie, dlaczego tu jest.

Pomysł, by przyjechać do Birchwood dwanaście lat po tym, jak odkryła to miejsce, pojawił się w jej głowie w pełni ukształtowany. Kiedy na dźwięk odwołania alarmu wygramolili się ze schronu, myśli Juliet były zajęte przez inne rzeczy.

Najpierw poczuli zapach – dymu i zgliszczy, pyłu i nieszczęścia – a potem spowiła ich mgła i przedziwna jasność. Potrzebowali chwili, by uświadomić sobie, że ich dom zniknął i że światło poranka przesącza się przez wyrwę powstałą w rzędzie szeregowców.

Juliet nie była świadoma, że upuściła torebkę, dopóki u swoich stóp nie zobaczyła własnych rzeczy porzucanych w gruzowisku. Wiatr targał kartkami otwartego *David Copperfielda*, obok książki leżała stara pocztówka, której używała jako zakładki. Później będzie musiała zadbać o tysiąc szczegółów, ale w tamtej chwili, kiedy podniosła pocztówkę ze zdjęciem Łabędzia, gdy przerażone głosy jej dzieci przybliżyły się i oddalały, a ogrom tego, co się wydarzyło, unosił się wokół niej niczym gorąca chmura, miała w głowie tylko jedną myśl.

Z miejsca, w którym przechowywane są wspomnienia, wypłynęło na powierzchnię niezwykle silne uczucie, a wraz z nim narodził się pomysł, który wcale nie wydawał się szalony, lecz klarowny i pewny. Wiedziała tylko, że musi zadbać o bezpieczeństwo dzieci. Działała instynktownie niczym zwierzę; tylko na tym mogła się skupić, a sepiowy widoczek na pocztówce – prezent od Alana i pamiątka z miesiąca miodowego – sprawił, że poczuła się tak, jakby mąż stał tuż obok i trzymał ją za rękę. Ulga po tym, jak za nim tęskniła, jak zamartwiała się, podczas gdy on był daleko, nieosiągalny, i nijak nie mógł jej pomóc, była przytłaczająca. Kiedy przedzierała się przez gruzowisko, by wziąć Tipa za rękę, poczuła euforię, bo wiedziała dokładnie, co musi zrobić.

Dopiero później przyszło jej do głowy, że ten przebłysk pewności mógł być oznaką szaleństwa wywołanego szokiem, ale w kolejnych dniach, kiedy spali na podłogach w mieszkaniach przyjaciół i z przypadkowych rzeczy gromadzili na nowo swój skromny dobytek, nabrała przekonania, że tego właśnie chce. Szkoła była zamknięta i dzieci grupami wyjeżdżały z Londynu. Ale Juliet nie wyobrażała sobie, by mogła dokądkolwiek wysłać swoją trójkę.

Dwoje starszych być może skorzystałoby z okazji do przygody – zwłaszcza Bea, która na każdym kroku lubiła podkreślać swoją niezależność i najchętniej zamieszkałaby z kimkolwiek, byle nie z własną matką – ale nie Tip, jej najmłodsze pisklę.

Dopiero kilka dni po bombardowaniu spuścił ją z oczu, ale ze strachem obserwował każdy ruch matki, tak że pod koniec dnia bolały ją mięśnie twarzy od udawania, że wszystko jest dobrze. W końcu jednak, dzięki miłości i nowym kamieniom w jego kolekcji, mogła uspokoić go na tyle, by wygospodarować godzinę dla siebie.

Zostawiła całą trójkę z najlepszym przyjacielem Alana, Jeremym, dramaturgiem z Bloomsbury, w którego mieszkaniu spali na podłodze, i z budki telefonicznej zadzwoniła do Łabędzia. Na drugim końcu pełnej trzasków linii odezwał się głos pani Hammett. Starsza pani dobrze pamiętała młode małżeństwo, które wynajęło u nich pokój na miesiąc miodowy, a gdy Juliet napomknęła, że chciałyby przyjechać na wieś z dziećmi, obiecała, że zasięgnie języka. Nazajutrz, kiedy Juliet znowu zadzwoniła, właścicielka pubu powiedziała, że w okolicy jest tylko jeden dom do wynajęcia. „Trochę podniszczony, choć mogło być gorzej. Nie ma w nim elektryczności, ale z powodu awarii prawie nigdzie jej nie ma. Czynnosc jest przyzwoity i po tym, jak uciekinierzy z Londynu zajęli każdy wolny pokój, nie znajdziecie lepszego miejsca”.

Juliet zapytała, gdzie dokładnie stoi dom, a gdy pani Hammett opisała miejsce, przeszedł ją dreszcz. Dobrze go pamiętała i nie musiała się zastanawiać. Odparła, że chętnie go wynajmie, i dowiedziała się, jak przesłać telegraficznie pieniądze za pierwszy miesiąc do stowarzyszenia zajmującego się najmem. Odłożywszy słuchawkę, jeszcze przez chwilę stała w budce. Poranne chmury pociemniały i zasnuły niebo. Ludzie przemykali po ulicach, otulając się ramionami i opuszczając głowy.

Aż do teraz Juliet nie mówiła nikomu o swoich planach. Czuła, że łatwo byłoby ją od nich odwieść, a nie chciała tego. Ale teraz, kiedy wszystko było już ustalone, zostało kilka rzeczy, którymi należało się zająć. Na przykład musiała poinformować pana Talliskera. Był jej szefem, redaktorem w lokalnej gazecie, i z całą pewnością zauważy jej zniknięcie.

Poszła prosto do redakcji przy Fleet Street. Chwilę przed tym, nim weszła do budynku, zaczęło padać, więc w łazience na pierwszym piętrze próbowała doprowadzić się do porządku. Poprawiła włosy i kilka razy strzepnęła bluzkę, próbując ją wysuszyć. Zauważyła, że twarz ma ściągniętą i bladą. Uszczypnęła wargi, żeby nabrały koloru, i uśmiechnęła się do swojego odbicia w lustrze. Efekt był jednak nieprzekonujący.

– Dobry Boże – jęknął pan Tallisker, kiedy po wyjściu sekretarki zostali sami w gabinecie. – To straszne.

Kiedy powiedziała mu, co zamierza, ściągnął brwi i odchylił się na oparcie skórzanego fotela.

– Birchwood – mruknął w końcu z drugiej strony usłanego papierami biurka. – To w Berkshire, prawda?

– Tak.

– Nie mają tam zbyt wielu teatrów.

– Nie, ale zamierzam co dwa tygodnie przyjeżdżać do Londynu, a jeśli trzeba będzie, nawet co tydzień, i dostarczać recenzje.

Dźwięk, który dobył się z gardła pana Talliskera, nie wróżył niczego dobrego i oczami wyobraźni zobaczyła, jak przyszłość przecieka jej przez palce. Kiedy się odezwał, jego głos nie zdradzał żadnych emocji.

– Przykro mi, że tak się stało.

– Dziękuję.

– Przeklęte bombowce.

– Tak.

– Przeklęta wojna. – Sięgnął po pióro i niczym bombę upuścił z powrotem na drewniany blat. Za przekrzywioną żaluzją podciągniętą do połowy okna na zakurzonej szybie, brzęcząc smętnie, dogorywała mucha.

Zegar tykał.

Ktoś w korytarzu się roześmiał.

W końcu z gwałtownością i zręcznością zdumiewającą dla człowieka jego postury, pan Tallisker odsunął pióro i sięgnął po papierosa.

– Birchwood – mruknął, wydmuchując przy tym chmurę dymu. – To mogłoby się udać.

– Zadbam o to. Wrócę do Londynu...

– Nie. – Zbył jej słowa machnięciem ręki. – Nie mówię o Londynie. Ani o teatrze.

– A o czym?

Papieros zamienił się we wskaźnik.

– Londyńczycy są dzielni, Jules, ale zmęczeni. Potrzebują wytchnienia, ucieczki, a większość z nich nie ma na co liczyć. Teatry są w porządku, ale życie na słonecznej wsi? To dopiero jest materiał. Oto historia, którą ludzie chcą słyszeć.

– Panie Tallisker, ja...

– Cotygodniowa kolumna. – Rozłożył ręce, jakby trzymał w nich transparent. – *Listy z Laneway*. Jak listy pisane do domu, do matki. Opowieści o twoim życiu, dzieciach, ludziach, których spotykasz. Historyjki o słońcu, kurach znoszących jaja i wiejskich psotach.

– Psotach?

– O rolnikach, gospodyniach domowych i pastorach, o sąsiadach i plotkarkach.

– Plotkarkach?

– Im zabawniej, tym lepiej.

Ściągnęła brwi i umościła się wygodniej pod drzewem. Nie była zabawna – nie kiedy pisała i kiedy miała dostarczać rozrywki obcym ludziom. Bywała opryskliwa – podobno nawet zgryźliwa – ale nie zabawna. Tymczasem pan Tallisker pozostał niewzruszony i ostatecznie podpisał cyrograf. Okazja, by uciec, by przyjechać do tego miejsca, w zamian za... co? *Jak to za co? Za twoją etykę* – usłyszała w głowie głos Alana i niemal zobaczyła, jak się uśmiecha. *Za nic więcej*.

Spuściła wzrok. Miała na sobie cudzą bluzkę, która wisiała na niej smętnie. Oczywiście było jej miło, że obcy ludzie ofiarowali im ubrania i najpotrzebniejsze rzeczy. Pamiętała wycieczkę do Włoch kilka lat temu, kiedy razem z Alanem wyszli z Bazyliki Świętego Piotra i okazało się, że pada. Zauważyła, że Cyganie, którzy ledwie godzinę temu sprzedawali kapelusze i okulary przeciwsłoneczne, teraz handlują parasolkami.

Zadrżała na to wspomnienie, choć może przyczyna była prostsza. Ostatnie światło dnia rozplywało się w mroku, a wraz z nadejściem nocy nadciągał

chłód. Tutaj ciepło zniknęło razem ze światłem. Juliet i Alan byli zaskoczeni chłodem, który wieczorami zakradał się do ich małego, kwadratowego pokoju nad pubem, z żółtą pasiastą tapetą i szerokim parapetem w oknie, na którym gnieździł się oboje. Byli wtedy innymi ludźmi, innymi wersjami samych siebie: lżejszymi, szczuplejszymi, z mniejszym bagażem doświadczeń.

Zerknęła na zegarek, ale było zbyt ciemno, by mogła odczytać godzinę. Zresztą nie musiała – wiedziała, że najwyższy czas wracać do domu.

Opierając się o pień drzewa, dźwignęła się z ziemi.

Zakręciło jej się w głowie; butelka była teraz znacznie lżejsza i Juliet potrzebowała chwili, żeby odzyskać równowagę.

Nagle coś w oddali przykuło jej uwagę. W domu, w jednym z okien na szczycie – prawdopodobnie na poddaszu – paliło się słabe światło.

Zamrugnęła i pokręciła głową. Musiało jej się wydawać. W domu nie było elektryczności, a nie wchodziła na górę, żeby zostawić tam lampę.

I rzeczywiście, kiedy znowu spojrzała, światło zgasło.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Nazajutrz rano wstali razem ze słońcem. Juliet leżała w łóżku, nasłuchując, jak podekscytowane dzieci biegają po pokojach, zachwycone światłem, ptasimi trelami i ogrodem, i przepychają się w drzwiach, by jak najprędzej wyjść na dwór. Bolała ją głowa i tak długo, jak mogła, udawała, że śpi. Dopiero gdy wyczuła w pokoju czyjąś obecność, otworzyła oczy. Tuż nad nią pochylał się Freddy; bliskość sprawiała, że jego twarz wydała się Juliet niezwykle duża.

Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając braki w uzębieniu. Piegi na jego twarzy poruszyły się, w ciemnych oczach pojawił się błysk. Nie wiedzieć skąd, miał wokół ust okruchy chleba.

– Obudziła się! – krzyknął, na co Juliet się skrzywiła. – Chodź, mamusiu, musimy pójść nad rzekę.

Rzeka... No tak. Juliet obróciła się nieco i w szczelinie między zasłonami zobaczyła skrawek błękitnego nieba. Freddy ciągnął ją za rękę, a ona pokiwała głową i zdobyła się na słaby uśmiech. To wystarczyło, by w podskokach wybiegł z pokoju.

Nie potrafiła wytłumaczyć Redowi, który żył w przekonaniu, że świat jest miejscem pełnym niekończących się zapasów dobrej zabawy, że ona nie jest tu na wakacjach. O jedenastej umówiła się z miejscowymi przedstawicielkami Kobięcych Służb Ochotniczych; miała nadzieję, że zdobędzie materiał do pierwszego *Listu z Laneway*. Jedynym plusem pobudki o tak nieludzkiej porze – musiała bowiem szukać dobrych stron – było to, że od obowiązków dzieliły ją jeszcze długie godziny.

Włożyła bawełnianą bluzkę w kropki – tylko dlatego, że leżała pod ręką – spodnie i przeczesła włosy palcami. W łazience spryskała twarz wodą i była gotowa. Mniej więcej. Na dole wzięła koszyk pani Hammett z chlebem i serem,

wyszła z dziećmi z domu i podążyli tą samą brukowaną ścieżką, którą szła wczoraj.

Tip w przykrótkich wyblakłych ogrodniczkach wysforował się jak nakręcana laleczka i przebierając krótkimi nóżkami, próbował dogonić brata i siostrę, którzy szli po trawie w stronę rzeki. Beatrice zatrzymała się przy starej kamiennej stodole przy końcu drogi dla powozów i rozłożyła ręce. Rozpędzony Tip wpadł jej w ramiona, a ona posadziła go sobie na barana. Oto jak wygląda życie, gdy człowiek jest najmłodszy z trójki rodzeństwa, należy do hałaśliwej rodziny i wszyscy go uwielbiają.

Stado gęsi czmychnęło przestraszone, gdy dzieci, krzyżąc, przebiegły obok nich. Red śmiał się z czystej radości, że oto biega po dworze ze słońcem na skórze i wiatrem we włosach. Wyglądały jak nie jej dzieci i Juliet kolejny raz uderzyła różnica między tym miejscem a Londynem – jedynym domem, jaki znały. Był to świat, z którego pochodziły, do którego tak zdecydowanie należał ich ojciec. Pamiętała dzień, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy – wysokiego, szczupłego londyńczyka z fajką. Uważała go wówczas za aroganta – utalentowanego, ale wyjątkowo pewnego siebie, napuszonego, z manierą w głosie i własnym zdaniem na każdy temat. Potrzeba było czasu i niefortunnego wydarzenia z obrotowymi drzwiami w Claridge's, żeby zobaczyła, jaki jest naprawdę pod maską ironii.

Dogoniła dzieci, po czym jedno po drugim przeszli przez porośnięte bluszczem drewniane ogrodzenie i skierowali się na zachód, w stronę rzeki. Na wodzie kołysała się przycumowana do brzegu czerwona barka i Juliet przypomniała sobie, że niedaleko stąd jest śluza albo tama. Zanotowała w pamięci, by pewnego dnia wybrać się tam z dziećmi. Właśnie to zaproponowały Alan, gdyby tu był; na pewno byłby zachwycony, że na własne oczy mogą zobaczyć, jak działa śluza.

Stojący na pokładzie barki brodaty mężczyzna w czapce z daszkiem powitał ich skinieniem głowy, na co Juliet odpowiedziała tym samym. Tak, pomyślała, postąpiłam słusznie, przyjeżdżając do Birchwood. Tutaj będzie dzieciom lepiej; zmiana otoczenia dobrze im zrobi po tym, przez co przeszli.

Podczas gdy chłopcy biegli przodem, Bea zrównała się z nią.

– Kiedy razem z tatą przyjechaliście tutaj na miesiąc miodowy, spacerowaliście tą ścieżką wzdłuż rzeki?

– Tak.

– To droga do pomostu?

– Tak.

– Mojego pomostu?

Juliet się uśmiechnęła.

– Tak.

– Dlaczego tu przyjechaliście?

Zerknęła na córkę z ukosa.

– Do tej wioski – wyjaśniła Beatrice. – Na miesiąc miodowy. Ludzie zwykle jeżdżą nad morze, prawda?

– Aha, rozumiem. Nie wiem. Trudno to sobie teraz przypomnieć.

– Może ktoś wam o niej opowiedział?

– Może. – Juliet ściągnęła brwi w zamyśleniu.

Dziwne, że pamiętała tak wiele szczegółów, podczas gdy inne kompletnie wyleciały jej z głowy. Bea miała rację: prawdopodobnie ktoś – przyjaciel przyjaciela – wspomniał coś o tym, może nawet podał nazwę pubu. Tak to już było w teatrze. Pewnie rozmawiali w garderobie, za kulisami albo po przedstawieniu przy piwie w Berardo's.

Tak czy siak, przez telefon zarezerwowali pokój w Łabędzie i przyjechali z Londynu wieczorem po przyjęciu weselnym. Gdzieś między Reading i Swindon Juliet zgubiła swoje ulubione pióro. Właśnie to miała na myśli, kiedy mówiła, że niektóre wspomnienia zapadają w pamięć niczym filmy – doskonale pamiętała podróż pociągiem. Ostatnim zapiskiem w dzienniku była naprędce zrobiona notatka na temat teriera west highland siedzącego w przejściu między siedzeniami. Alan, który uwielbiał psy, rozmawiał z jego właścicielem, mężczyzną w zielonym fularze; nieznajomy rozwodził się nad cukrzycą Pana Parsifala i zastrzykami insuliny, które musiał przyjmować. Juliet – jak zwykle – robiła notatki, bo mężczyzna wydał się jej interesujący i pasował do sztuki, którą zamierzała napisać. Nagle jednak dostała nudności i musiała czym prędzej biec do toalety; później uspokajała zaniepokojonego

męża, więc gdy pociąg dotarł do Swindon, w całym tym zamieszaniu zapomniała o piórze.

Kopnęła mały okrągły kamyk i patrzyła, jak toczy się po trawie i znika w wodzie. Dotarli prawie do pomostu. W świetle dnia zobaczyła, w jak kiepskim jest stanie. Dwanaście lat temu razem z Alanem siedzieli na jego końcu, mocząc stopy w wodzie, teraz nie była pewna, czy utrzyma jej ciężar.

– To ten pomost?

– Tak.

– Powiedz jeszcze raz, co powiedział.

– Był uszczęśliwiony. Powiedział, że w końcu doczeka się upragnionej córeczki.

– Wcale nie.

– Właśnie że tak.

– Zmyślasz.

– Nie.

– Jaka była pogoda?

– Świeciło słońce.

– Co jedliście?

– Babeczki.

– Skąd wiedział, że będę dziewczynką?

– Ach... – Juliet się uśmiechnęła. – Wycwaniłaś się, odkąd ostatnio opowiadałam ci tę historię.

Beatrice spuściła głowę, by ukryć zadowolenie, a Juliet opanowała nagłą chęć, by przytulić tę drażliwą małą kobietkę, póki jeszcze mogła. Wiedziała, że córka nie doceni tego gestu.

Szły dalej. Bea zerwała dmuchawiec i delikatnym dmuchnięciem posłała puchate zarodniki w powietrze. Widok był tak uroczy i oniryczny, że Juliet miała ochotę zrobić to samo. Dostrzegła puchatą kulkę i zerwała ją.

– Jak zareagował tatuś, kiedy powiedziałaś mu, że przeprowadzamy się tu? – spytała Beatrice.

Juliet przez chwilę zastanawiała się nad pytaniem; obiecywała sobie, że zawsze będzie szczerą ze swoimi dziećmi.

– Jeszcze mu nie powiedziałam – odparła w końcu.

– A jak myślisz, co by powiedział?

Że oszalała? Że to miejskie dzieciaki, zupełnie jak ich ojciec? Że zawsze była romantyczką...? Wysoko w górze rozbrzmiał znajomy, choć już na wpół zapomniany ptasi trel. Juliet zatrzymała się i chwyciła córkę za rękę.

– Posłuchaj!

– Co to?

– Ćśśś... skowronek.

Stały w milczeniu przez kilka sekund. Beatrice ze zmrużonymi oczami wpatrywała się w niebo, szukając wśród błękitu zawieszzonego w górze ptaka, a Juliet obserwowała jej twarz. Kiedy Bea była skupiona, przypominała Alana – ściągała brwi, a nad jej orlim nosem tworzyła się delikatna pionowa zmarszczka.

– Tam! – Beatrice wskazała palcem. Oczy miała szeroko otwarte. Skowronek opadał ku ziemi niczym niemiecka bomba zapalająca. – Hej, Red, Tippy, patrzcie!

Chłopcy odwrócili się i podążyli wzrokiem za palcem siostry.

Trudno było uwierzyć, że ta tyczkowata jedenastoipółlatka tyle lat temu wywołała tu takie poruszenie.

Po incydencie w pociągu Juliet udało się uspokoić Alana. Tłumaczyła się, że za bardzo się najadła, że pociągiem kołysało, a ona zamiast patrzeć w okno, skupiła się na robieniu notatek, wiedziała jednak, że niedługo będzie musiała powiedzieć mu prawdę.

Pani Hammett w Łabędziu omal nie zniweczyła jej planów, gdy pierwszego dnia rano, stawiając na stoliku dzbanek z mlekiem, pełna najlepszych intencji zapytała:

– Kiedy rozwiązanie?

Mina Juliet musiała mówić wszystko, bo żona właściciela pubu zasłoniła dłonią usta, mrugnęła porozumiewawczo i obiecała, że nie piśnie ani słowa.

Tego samego dnia, kiedy pani Hammett wysłała ich na spacer z koszem piknikowym – „To część pakietu dla nowożeńców” – dotarli na pomost. To tam przy herbacie z termosu i całkiem niezłych babeczkach Juliet powiedziała Alanowi.

– Dziecko? – Jego zaskoczony wzrok wędrował od oczu Julii do brzucha. – Tam, w środku? Teraz?

– Prawdopodobnie.

– Boże drogi!

– Właśnie.

Trzeba przyznać, że dobrze to przyjął. Nawet Juliet poczuła, że się odprężyła. Jego reakcja sprawdziła spokój na kruchy obraz przyszłości, który malowała w myślach, odkąd pielęgniarka potwierdziła jej obawy. I nagle usłyszała:

– Znajdę pracę.

– Słucham?

– Są rzeczy, które potrafię robić.

– Wiem. Jesteś najlepszym Makbetem po tej stronie Edynburga.

– Prawdziwą pracę, Jules. Będę pracował w dzień jak normalny człowiek. Znajdę pracę, która przynosi pieniądze.

– Pieniądze?

– Żebyś mogła zostać w domu, wychowywać dziecko i być matką. Mogę... sprzedawać buty.

Nie pamiętała, co odpowiedziała. Wiedziała tylko, że termos się przewrócił i gorąca herbata poparzyła jej udo. Chwilę później zerwała się na równe nogi i gestykując wściekle, zaczęła tłumaczyć, że nie ma zamiaru siedzieć w domu, że nie zmusi jej do tego, a jeśli nie da się inaczej, będzie zabierała dziecko do pracy i jakoś dadzą sobie radę. Oczywiście nie powiedziała tego Beatrice.

Słyszała siebie, jak gdyby stała gdzieś obok – wyrażała się jasno i stanowczo – i nagle Alan chwycił ją za rękę i zawołał:

– Na litość boską, Juliet, usiądź!

Zamilkła i zrobiła krok do przodu, ale on dodał:

– W tym stanie musisz na siebie uważać.

Miała wrażenie, że jego słowa zaciskają się na jej szyi; oddychała płytko i nierówno i wiedziała, że za wszelką cenę musi stąd uciec, od tego miejsca i od Alana, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

Rzuciła się pędem wzdłuż rzeki, w przeciwnym kierunku niż ten, z którego przyszli. Ignorując jego nawoływania, pobiegła ku widocznemu na horyzoncie

zagajnikowi.

Nie płakała od szóstego roku życia, kiedy umarł jej tata i mama powiedziała, że wyjeżdżają z Londynu, żeby zamieszkać u babci w Sheffield. Jednak złość i frustracja, że Alan tak błędnie wszystko rozumiał – uważał, że powinna zrezygnować z pracy i siedzieć w domu, podczas gdy on będzie pracował jako... kto?... sprzedawca butów? – sprawiły, że zakręciło się jej w głowie i poczuła się ulotna i nieważka jak smużki dymu na wietrze.

Zanim się obejrzała, dotarła na skraj zagajnika i czując nagłą potrzebę ukrycia się przed światem, wpadła między drzewa. Ujrzała wiodącą od strony rzeki wąską ścieżkę udeptanej trawy. Przypuszczała, że idąc nią, dotrze na drugą stronę wsi, nieopodal Łabędzia, ale miała kiepską orientację w terenie. Zapuszczała się coraz głębiej w las, w głowie miała gonitwę myśli, a gdy w końcu wyszła na skąpaną słońcem otwartą przestrzeń, wcale nie była na skraju wsi. Właściwie nie wiedziała, gdzie jest. Jakby tego było mało, poczuła mdłości tak silne, że zgięta wpół, oparła się o najbliższe drzewo...

– Ziuuuuuu!

Juliet wzdrygnęła się, widząc Reda, który biegł ku niej z rozłożonymi rękami.

– Mamusiu, jestem spitfire'em, a ty junkersem.

Odruchowo uskoczyła w bok, żeby uniknąć kolizji.

– To mało patriotyczne, mamusiu – upomniał ją z powagą.

– Wybacz, Red – zaczęła, ale on zdążył się już oddalić.

Zauważyła, że Bea, która szła daleko z przodu, dotarła już niemal do zagajnika.

Juliet była rozczarowana: przez ponad dziesięć lat pomost był częścią rodzinnej historii i czekała, aż pewnego dnia pokaże go córce. Nie była pewna, czego właściwie oczekiwała – nie zachwyty, nie, ale czegoś...

– Jesteś smutna, mamusiu?

Idący obok niej Tip zadzierał główkę, żeby zajrzeć jej w oczy.

Uśmiechnęła się.

– Z tobą pod ręką? Nigdy.

– Nie masz mnie pod ręką.

– No tak. Masz rację. Ale ze mnie głuptas.

Wsunął jej w dłoń swoją małą rączkę i razem ruszyli w stronę Freddy'ego i Bei. Juliet nadal zdumiewało to, jak idealnie rączki dzieci pasują do jej dłoni i jak bardzo cieszy ją ten drobny, prosty gest.

Po drugiej stronie rzeki żółciło się pole jęczmienia. Kiedy patrzyło się na Tamizę i pszczoły, które latały nad trawą w poszukiwaniu koniczyny, aż trudno było uwierzyć, że gdzieś tam toczy się wojna. Owszem, we wsi widać było pewne oznaki: zniknęły wszystkie nazwy ulic, okna zaklejono taśmami, a na budce telefonicznej widziała plakat, który przypominał przechodniom, że w czasach kryzysu wszyscy powinni hodować własne warzywa i owoce. Zakryto nawet Białego Konia w Uffington, by niemieccy piloci mieli trudności z odnalezieniem drogi do domu. Ale tutaj, teraz, w łagodnym zakolu rzeki, wydawało się to niemal niemożliwe.

Słyszając westchnienie Tipa, Juliet pomyślała, że chłopiec jest cichszy niż zwykle. Oczy nadal miał podkrążone.

– Dobrze spałeś, skarbie?

Skinął głową.

– W nowym miejscu zawsze trudno zasnąć.

– Tak?

– Tak, ale tylko na początku.

Przez chwilę rozważał jej słowa.

– Tobie też, mamusiu?

– Tak. Dlatego że jestem dorosła, a dorośli nie lubią zmian.

– Ale tylko na początku?

– Tak.

Miała wrażenie, że Tip odetchnął z ulgą, co było słodkie, ale i niepokojące. Nie miała pojęcia, że tak bardzo przejmował się jej dobrym samopoczuciem. Spojrzała na pozostałą dwójkę daleko z przodu. Była pewna, że żadne z nich nigdy nie zadało sobie pytania, czy dobrze sypia.

– Miś-patyś! – zawołał Tip, puścił jej rękę i podniósł z ziemi srebrzysty patyk, niemal niewidoczny w trawie.

– A to dopiero! Piękny, prawda?

– Jaki gładki.

– To chyba wierzba – powiedziała Juliet. – Albo brzoza.



– Zobaczę, czy pływa.  
– Tylko nie podchodź za blisko brzegu – upomniała go, mierzwiąc mu włosy.

– Tak, wiem. Tu jest głęboko.

– Na pewno.

– To tutaj utonęła ta dziewczynka.

Juliet była zdumiona.

– Nie, skarbie.

– Tak, mamusiu.

– Jestem pewna, że to nieprawda.

– A właśnie, że prawda. Wypadła z łódki.

– Kto? Skąd o tym wiesz?

– Birdie mi powiedziała. – Po tych słowach uśmiechnął się tym poważnym, smutnym uśmiechem małego chłopca, a zaraz potem, wymachując nad głową „misiem-patysiem” jak zwycięzca, pobiegł w stronę brata i siostry kłócących się o patyki.

Juliet odprowadzała go wzrokiem.

Przyłapała się na tym, że w zamyśleniu obgryza paznokiec.

Nie wiedziała, co bardziej ją niepokoi: jego opowieści o martwych dziewczynkach czy to, że dowiadywał się o nich od skrzydlatej przyjaciółki.

*Po prostu ma bujną wyobraźnię* – usłyszała w głowie głos Alana.

– Rozmawia z ptakami – mruknęła pod nosem.

Potarła oczy, rozmasowała czoło i skronie. Nadal bolała ją głowa i najchętniej wróciłaby do łóżka i przespała kolejne kilka godzin. Albo nawet dni.

Westchnęła głęboko i postanowiła się nie zamartwiać. Później będzie czas na rozmyślanie. Tip dołączył już do rodzeństwa i śmiejąc się, uciekał przed Redem, który gonił go po polu. Zupełnie jak zwykły chłopiec, pomyślała. (*Bo jest zwykłym chłopcem* – dodał Alan).

Juliet zerknęła na zegarek i zobaczyła, że dochodzi ósma. Otrząsnęła się i ruszyła w stronę dzieci, które czekały na nią na skraju zagajnika.

Kiedy dotarła na miejsce, ruchem ręki pokazała im, by weszły za nią między drzewa. Patrząc, jak bawią się w rycerzy i wywijając patykami,

prowadzą udawany pojedynek, wróciła wspomnieniami do tamtego dnia sprzed dwunastu lat, kiedy uciekła od Alana i pierwszy raz szła tą ścieżką...

\*

Nie była w centrum wioski, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Stała na skraju pola z porozrzucanymi na nim wielkimi belami siana. Nieco dalej, na końcu następnego pola, stała kamienna stodoła, a jeszcze dalej widać było dach domu z dwoma bliźniaczymi szczytami i mnóstwem kominów.

Westchnąwszy – bo słońce stało w zenicie, dzień był upalny, a jej wściekłość przygasła i teraz niczym żarzące się węgle ciążyła jej w brzuchu – Juliet ruszyła przez wysoką trawę w stronę domu.

I pomyśleć, że Alan tak bardzo źle ją zrozumiał, że choć przez sekundę pomyślał, że będzie chciała zrezygnować z pracy. Nie pisała po to, by zarobić na życie, pisała, bo tego potrzebowała. Jak mógł tego nie wiedzieć? Człowiek, z którym przysięgała spędzić życie i któremu szeptała do ucha swoje najskrytsze tajemnice.

Popełniła błąd. Teraz to widziała. Małżeństwo było błędem, a przecież spodziewała się dziecka, które będzie małe, bezbronne i prawdopodobnie głośne. Którego nie będzie mogła zabierać do teatru, przez co skończy tak jak jej matka, kobieta uwięziona w klatce swych wielkich niespełnionych marzeń.

Może nie było jeszcze za późno, żeby wszystko odwołać? Minął dopiero dzień. Ledwie dwadzieścia cztery godziny. Może jeszcze zdążą, jeśli po południu wrócą prosto do Londynu, złapią urzędnika, który udzielił im ślubu, i ubłagają go, żeby oddał im akt małżeństwa, zanim zanieśie go do urzędu stanu cywilnego. Będzie tak, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Kielkujące w niej maleńkie życie jak gdyby wyczuwało, co się święci, bo znowu ogarnęły ją mdłości. *Jestem tu!* – zdawało się krzyczeć.

I miało rację. Było tam. On albo ona, mała istotka, która rosła i pewnego dnia w niedalekiej przyszłości przyjdzie na świat. Unieważnienie ślubu z Alanem niczego tu nie zmieni.

W połowie drugiego pola zrównała się ze stodołą. Wielkie dwuskrzydłowe drzwi były otwarte i mijając je, zerknęła do środka. Zobaczyła dużą maszynę

rolniczą – przyszło jej do głowy słowo „młockarnia” – i zawieszoną na krokwiach drewnianą łódź, która wyglądała na zaniedbaną.

W miarę jak Juliet zbliżała się do skraju pola, złoto jęczmienia ustępowało miejsca soczystej zieleni wiejskiego angielskiego ogrodu znajdującego się na tyłach domu z dwoma szczytami i choć większą część płotu zakrywał żywopłot z tarniny, dostrzegła furtkę, a za nią wysypane żwirem podwórze z rosnącym na środku kasztanowcem. Wokół drzewa utworzono klomby z kwiatami.

Szła wzdłuż żywopłotu, aż do drogi gruntowej na rogu pola. Mogła zawrócić w kierunku, z którego przyszła, lecz zdecydowała się skrócić w lewo. Tarninowy żywopłot ciągnął się wzdłuż granic ogrodu i łączył z kamiennym murem stanowiącym bok domu. Tuż za budynkiem zobaczyła kolejną furtkę, tym razem z kutego żelaza i zwieńczoną łukiem.

Po drugiej stronie brukowana ścieżka prowadziła do drzwi eleganckiego domu. Juliet zatrzymała się, by nacieszyć wzrok szczegółami. Ceniła piękno, zwłaszcza w architekturze. Czasami w weekendy razem z Alanem jechali pociągami na wieś albo pożyczali samochód od przyjaciela i jeździli po okolicznych wioskach krętymi wąskimi uliczkami. Miała notatnik, w którym spisywała uwagi na temat dachów, które jej się podobały, albo nietypowych wzorów ułożonych z kostki brukowej. To osobliwe hobby rozczulało Alana, zaczął ją nazywać Panną Mozaiką.

Dom zbudowano z szarawego kamienia i miał dwa piętra. Dach – również z kamienia, choć nieco ciemniejszego – był uroczy. Płytki – małe na szczycie – w miarę jak opadały ku okapowi, robiły się coraz większe. W świetle dnia wydawały się pokryte cętkami i mieniły się jak rybie łuski. Każdy z bliźniaczych szczytów zwieńczony był oknem i Juliet przywarła do furtki, by lepiej im się przyjrzeć. Przez chwilę zdawało się jej, że w jednym z nich widzi jakiś ruch, ale to był tylko cień przelatującego ptaka.

Pod jej naporem furtka otworzyła się zapraszająco.

Juliet zawahała się, kiedy jednak weszła na brukowaną ścieżkę, ogarnęło ją poczucie głębokiego zadowolenia. Ogród był piękny: jego proporcje, rośliny i kamienny mur, który dawał poczucie, że człowiek jest odcięty od świata.

Woń jaśminu mieszała się z zapachem lawendy i kapryfolium. Wśród liści śmigały ptaki, a nad rabatkami unosiły się pszczoły i motyle.

Furtka, przez którą weszła do ogrodu, stanowiła boczne wejście. Druga – szersza – ścieżka prowadziła od drzwi wejściowych do solidnej drewnianej bramy osadzonej w okalającym dom kamiennym murze. Ścieżkę obsadzono z obu stron krzewami róż o miękkich różowych płatkach, a na jej końcu rósł klon japoński.

Niewiele myśląc, Juliet zdjęła buty i weszła na soczyście zielony trawnik. Trawa pod jej stopami była miękka i chłodna. Cudowna – tylko to słowo przychodziło jej do głowy.

Nakrapiany cień pod klonem wydał się jej wyjątkowo zapraszający, postanowiła więc usiąść pod drzewem. Miała świadomość, że oto wtargnęła na czyjąś posesję, ale ktoś, kto posiadał taki dom i ogród, musiał być czarujący.

Czując na skórze lekki oddech wiatru, ziewnęła szeroko. Nagle ogarnęło ją znużenie tak silne, że musiała się mu poddać. Ostatnio – odkąd dowiedziała się o dziecku – często tak miała, zwykle w najmniej odpowiednich momentach.

Z kardiganem pod głową położyła się na plecach z twarzą zwróconą w stronę domu. Obiecała sobie, że odpocznie tylko kilka minut, ale powieki miała ciężkie jak ołów, a słońce tak cudownie grzało jej stopy, że nim się obejrzała, zasnęła.

\*

Kiedy się obudziła, potrzebowała chwili, żeby przypomnieć sobie, gdzie jest. Pierwszy raz od tygodni spała spokojnie i bez snów.

Usiadła, przeciągnęła się i dopiero teraz zobaczyła, że nie jest sama.

Na rogu domu, nieopodal bramy, stał mężczyzna. Był od niej starszy. Niewiele, ale sprawiał wrażenie człowieka, który wiele w życiu przeszedł. Walczył na froncie, Juliet nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Ci biedni, okaleczeni przez los mężczyźni nadal nosili mundury. Już zawsze będą straconym pokoleniem.

Mężczyzna patrzył na nią poważnym, ale nie surowym wzrokiem.

– Przepraszam! – zawołała Juliet. – Nie chciałam przeszkadzać. Zgubiłam się.

Mężczyzna milczał przez chwilę i w końcu machnął ręką. Sądząc po jego reakcji, nie miał nic przeciwko jej obecności. Nie przeszkadzała mu, wiedział, jak urokliwy jest dom i otaczający go ogród, i rozumiał, że w tak upalny dzień żaden wędrowiec nie przepuści okazji, by choć na chwilę odpocząć w cieniu klonu.

Chwilę później bez słowa wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi. Juliet odprowadziła go wzrokiem i zerknęła na swoje buty. Odkąd usiadła pod drzewem, cień znacznie się przesunął. Spojrzała na zegarek i przerażona uświadomiła sobie, że minęły przeszło cztery godziny, odkąd zostawiła Alana na pomoście.

Włożyła i zasznurowała buty i podniosła się z ziemi.

Wiedziała, że musi iść, wciąż jednak nie była pewna, gdzie właściwie się znajduje. Poczula w piersi bolesny ucisk, jakby coś próbowało ją tu zatrzymać. Stała na środku zadbanego trawnika w dziwnym świetle, które sprawiało, że wszystko wydawało się jasne i oczywiste.

Miłość – oto co czuła. Osobliwą, silną miłość, która zdawała się wypływać ze wszystkiego, co widziała i słyszała: skąpanych słońcem liści, plam cienia pod drzewami, kamieni, z których zbudowano dom, i przelatujących nad jej głową ptaków. Nagle pojęła, co religijni ludzie czują w kościele: zupełnie jakby przepełniło ją uczucie pewności, które daje świadomość, że człowiek przynależy gdzieś i do kogoś. Proste uczucie. Jasne, piękne i prawdziwe.

\*

Alan czekał na nią w Łabędziu. Wbiegła schodami na górę, pokonując po dwa stopnie naraz, i wpadła do pokoju z twarzą ciepłą od słońca i objawienia, którego doświadczyła.

Alan stał w oknie z widokiem na rzekę, ciało miał napięte niczym struna, ale wyczuwało się w nim jakieś zakłopotanie, jak gdyby przyjął tę pełną wyczekiwania pozę, kiedy usłyszał jej kroki na schodach. Patrzył na nią

nieufnie i minęła chwila, zanim przypomniała sobie, dlaczego tak się dzieje: kłótnia na pomoście, jej nagła ucieczka.

– Zanim coś powiesz – zaczął – chcę, byś wiedziała, że nigdy nie zamierzałem proponować...

Juliet pokręciła głową.

– To bez znaczenia, nie rozumiesz? To już wszystko bez znaczenia.

– O co chodzi? Co się stało?

Miała to wszystko w sobie – jasność, pewność – ale nie potrafiła znaleźć słów, żeby to wyjaśnić, jedynie złocistą energię, której nie mogła już dłużej powstrzymać. Podeszła do Alana, spragniona jego bliskości i zniecierpliwiona, ujęła w dłonie jego twarz i pocałowała go tak, że wszelka niechęć i ostrożność zniknęły. Kiedy otworzył usta, żeby coś powiedzieć, pokręciła głową i dotknęła palcem jego warg. Słowa były niepotrzebne. Słowa wszystko psuły.

Liczył się tylko ten moment.

Teraz.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Ogród wyglądał mniej więcej tak, jak Juliet go zapamiętała. Może bardziej zarośnięty, ale pani Hammett wspominała, że w ostatnich latach właścicielka musiała przekazać pieczę nad posiadłością komuś innemu. „Umarła rok temu latem w wieku dziewięćdziesięciu lat”. Ogrodnik nadal przychodził raz w miesiącu, ale nie przykładał się do pracy i jak dodała, pogardliwie wydymając wargi, „nie był miejscowy”. Pani Hammett twierdziła, że biedna Lucy przewróciłaby się w grobie, gdyby wiedziała, jak bardzo przyciął róże na zimę.

Juliet, wyobrażając sobie, jak piękny musiał być ogród w 1928 roku, zapytała, czy Lucy w tym czasie mieszkała w domu, na co pani Hammett odparła, że nie; mniej więcej wtedy zaczęła „negocjować” ze Stowarzyszeniem Historyków Sztuki i przeprowadziła się do domku za rogiem.

– Jednym z tych, w których niegdyś mieściły się stajnie – dodała. – Może go widziałaś? Lucy mawiała, że mniej tam schodów, ale ja myślę, że chodziło jej o wspomnienia.

– Miała złe wspomnienia z Birchwood?

– Ależ skąd! Nie to miałam na myśli. Kochała to miejsce. Jesteś za młoda, żeby to zrozumieć, ale z wiekiem wszystkie wspomnienia zaczynają nam ciążyć, nawet te szczęśliwe.

Juliet dobrze wiedziała, jak ciężki może być czas, ale nie chciała rozmawiać o tym z panią Hammett.

Z tego, co zrozumiała, zgodnie z umową ze Stowarzyszeniem Historyków Sztuki dom miał być dostępny dla studentów, którym przyznano stypendium. Mężczyzna, który dał jej klucze tamtej nocy, kiedy przyjechała z Londynu, poprawił okulary i wytłumaczył:

– Dom nie jest nowoczesny. Zwykle mieszkają tam pojedyncze osoby, nie rodziny, i raczej nie zostają na długo. Niestety, nie ma tam elektryczności, ale... cóż, wojna... Jestem pewien, że wszystko inne będzie w jak najlepszym porządku... – To właśnie wtedy wystraszył się ptaka, który spadł na nich spod sufitu spiżarni, więc Juliet podziękowała mu, odprowadziła go do wyjścia i oboje odetchnęli z ulgą: on, spiesząc do furtki, a ona, zamykając za nim drzwi. A gdy się odwróciła, zobaczyła twarzyczki trojga małych ludzi czekających na kolację.

Od tego czasu popadli w przyjemną rutynę. Minęły cztery ciepłe słoneczne dni i przyzwyczaili się do poranków w ogrodzie. Bea lubiła wspinać się na okalający dom kamienny mur, gdzie siadała po turecku w najbardziej nasłonecznionym miejscu i grała na flecie. Red – nieco mniej zwinny od siostry – siadał z arsenałem starannie wybranych patyków na najwęższej części muru, gdzie ćwiczył walkę na kopie. Juliet bezustannie przypominała im, że równie dobrze mogą bawić się na trawie, ale jej nie słuchali. Tipa, dzięki Bogu, nie interesowało wspinanie się na mur. Zasztywał się w zaroślach i bawił żołnierzami, które jedna z pań z Kobiecej Służby Ochotniczej dała Juliet, kiedy ta wracała do domu.

Do domu... Dziwne, jak szybko zaczęła w ten sposób myśleć o Birchwood. Było to jedno z tych słów, które mają wiele znaczeń: przede wszystkim określa budynek, gdzie mieszkamy; ale to również pełne ciepła słowo, którym opisujemy miejsce zapewniające nam wygodę i bezpieczeństwo. Domem był głos Alana po długim, ciężkim dniu, ramiona, którymi ją otaczał, świadomość tego, jak bardzo ją kocha i jak ona kocha jego.

Boże, jak ona za nim tęskniła.

Potrzebowała zapomnienia i znajdowała je w dzieciach i pracy. W poniedziałek o jedenastej spotkała się z miejscowymi przedstawicielkami Kobiecej Służby Ochotniczej. Spotkania odbywały się w wiejskiej świetlicy naprzeciw Łabędzia i przypominały potańcówkę z muzyką i śmiechami, rozmowami i śpiewem. Juliet zatrzymała się na schodach i przez moment myślała, że pomyliła adres, ale kiedy wsadziła głowę przez drzwi, pani Hammett pomachała do niej i zaprosiła ją, by dołączyła do grupy kobiet siedzących na krzesłach ustawionych w kole na środku pomieszczenia. Ściany



świątelnicy były obwieszane brytyjskimi flagami i plakatami z podobizną Churchilla.

Juliet miała spisana listę pytań, wkrótce jednak przewróciła kartkę i przysłuchiwała się rozmowom, robiąc notatki. Wcześniej siedziała do późna w nocy, planując kolejne artykuły, nie przypuszczała jednak, że przyjdzie jej się spotkać z kobietami, których dziwactwa, urok i mądrość sprawią, że będzie się z nimi śmiała i cierpiała. Marjorie Stubbs okazała się prawdziwą skarbnicą wiedzy na temat hodowli świń; Milly Macklemore знаła mnóstwo sposobów na wykorzystanie podartych pończoch, a Imogen Stephens doprowadziła je do łez opowieścią o niedawnym powrocie narzeczonego jej córki, pilota, który zaginął kilka miesięcy temu i został uznany za zmarłego.

Choć wszystkie się znały – były wśród nich matki i córki, ciotki i siostrzenice, dziewczęta, które przyjaźniły się od dziecka – z wielką radością przyjęły Juliet do swojego grona. Wydawały się równie ciekawe życia w Londynie w tych dziwnych czasach, jak Juliet była ciekawa życia na wsi. Wychodząc – obiecawszy, że pojawi się na kolejnym spotkaniu – miała dość materiałów, by zabawić czytelników gazety do 2000 roku. W drodze do posiadłości doszła do wniosku, że jeśli alianci wygrają wojnę, będzie to po części zwycięstwo takich właśnie niezłomnych, pomysłowych kobiet, które z dumą unosiły głowy i nie zamierzały się poddawać.

Kolejne trzy dni spędziła, pisząc na maszynie przy oknie swojej sypialni. Może nie było to najwygodniejsze miejsce do pracy – toaletka, na której stała maszyna, była urocza, ale Juliet brakowało miejsca na nogi – lecz bardzo je lubiła. Wąsy kapryfolium i klematisu zaglądały do środka i czepiały się klamer do zasłon; widok na sad i widoczną w oddali wioskę – zwłaszcza na przykościelny cmentarz na końcu drogi – bardzo ją pokrzepiał. Kamienny kościół był bardzo stary, a otaczający go cmentarz z opatulonymi bluszczem omszałymi nagrobkami stanowił uroczy widok. Juliet jeszcze go nie odwiedziła, ale zamierzała wkrótce się tam wybrać.

Czasami, kiedy dzień był zbyt piękny, by spędzać go w domu, szła z notatnikiem do ogrodu. Kładła się w cieniu na brzuchu, z brodą wspartą na dłoniach, i pisała albo ogryzała w zamyśleniu końcówkę ołówka, kątem oka zerkając na dzieci. Wszystko wskazywało na to, że odnalazły się w nowym

miejscu: śmiały się i bawiły, miały apetyt, kłóciły się, biły i jak zwykle doprowadzały ją do szaleństwa.

Postanowiła, że będzie dla nich silna. Siedziała teraz za sterami ich małego rodzinnego samolotu i bez względu na własne niezdecydowanie, pytania, które dławily ją, kiedy nocami leżała w łóżku, nie mogąc zasnąć, i obawy, że podejmie niewłaściwą decyzję, musiała zadbać o to, by nazajutrz czuły się bezpieczni. Kiedy nie było przy niej Alana, przygniatał ją ciężar tej odpowiedzialności. Niełatwo być jedynym dorosłym w rodzinie.

Zwykle udawało jej się zachować pogodę ducha, ale w środę wieczorem wydarzył się pewien nieprzyjemny incydent. Przekonana, że dzieci są na łące za ogrodem, siedziała przy oknie, próbując przed kolacją skończyć artykuł dla pana Talliskera. Poniedziałkowe spotkanie przekonało ją, że redaktor miał rację: cudowne panie z oddziałów Kobiecej Służby Ochotniczej w Birchwood i Lechlade okazały się nieocenionym źródłem inspiracji i Juliet zamierzała oddać im sprawiedliwość.

Pisała o córce Imogen Stephens, o tym, jak młoda kobieta wyjrzała przez kuchenne okno i zobaczyła ukochanego – o którym myślała, że nie żyje – idącego do niej ogrodową ścieżką. Palce Juliet tańczyły wściekle na klawiszach maszyny. Była tam, razem ze swoją bohaterką, kiedy ta zrzuciła kuchenny fartuch, podbiegła do drzwi i nie mogąc uwierzyć własnym oczom, zawahała się, a chwilę później usłyszała w zamku szcęk klucza. Pisząc o tym, jak córka Imogen wpadła w ramiona kochanka, Juliet poczuła ukłucie w sercu. Pomyślała o miesiącach niepokoju i czekania, o znużeniu i zmianach, które zaszły w jej życiu, i pozwoliła sobie na chwilę słabości.

– Mamo? – Głos dobiegał z za jej pleców. – Mamusiu? Płaczesz? – Teraz brzmiał nieco bliżej.

Juliet zamarła z twarzą ukrytą w dłoniach, próbując stłumić szloch. Najciszej, jak mogła, zaczerpnęła powietrza i odparła:

– Nie bądź głuptaskiem.

– To co robisz?

– Myślę. Dlaczego pytasz? – Odwróciła się i w żartach rzuciła ołówkiem w córkę. – Zabawne, kochanie. Widziałaś kiedyś, żebym płakała?

\*

Był jeszcze Tip. Martwiła się o niego, ale przecież zawsze tak było. Wciąż nie mogła zdecydować, czy ma nowe powody do niepokoju. Po prostu tak bardzo go kochała – nie bardziej niż pozostałe dzieci, tylko inaczej. Zbyt często stronił od ludzi. (*I dobrze – słyszała w głowie głos Alana. – Jest samodzielny. I kreatywny. Zobaczysz, kiedy dorośnie, będzie artystą*). Ale oprócz zabaw żołnierzykami, ustawiania ich w oddziały i przewracania, zabierania na tajne misje do ogrodu i zakamarków, których w domu było pod dostatkiem, chłopiec mówił sam do siebie – była pewna, że to słyszała. Myślała, że może rozmawia z ptakami na drzewach, ale wyglądało na to, że w domu robił to samo. Szczególnie lubił przesiadywać w kałuży słońca na schodach i Juliet raz czy dwa przyglądała mu się z ukrycia.

Pewnego dnia, kiedy klęczał pod jabłonią w ogrodzie za domem, podeszła do niego i usiadła obok.

– Z kim rozmawiasz? – spytała z udawaną swobodą.

– Z Birdie.

Zadarła głowę i spojrzała na drzewo.

– Czy Birdie jest gdzieś tam, skarbie?

Tip popatrzył na nią, jak gdyby postradała zmysły.

– A może odleciała? Może mamusia ją wystraszyła?

– Birdie nie umie latać.

– Nie?

Pokręcił głową.

– Chodzi, jak ty i ja.

– Rozumiem. – Czyli Birdie była ptakiem, który nie umiał latać. Juliet wiedziała, że takie istnieją. – Czy Birdie śpiewa?

– Czasami.

– A gdzie ją poznałeś? Siedziała na drzewie?

Tip uniósł brwi i spojrzał na żołnierzyki, jakby próbował zrozumieć, o co jej chodzi. W końcu wskazał głową na dom.

– W domu?

Przytaknął, nawet na nią nie patrząc.

- A co tam robiła?
- Mieszka tam. A czasami w ogrodzie.
- Rozumiem.

Nagle podniósł wzrok.

- Naprawdę? Ty też ją widzisz, mamusiu?

Juliet nie wiedziała, co odpowiedzieć. Miała ochotę przytaknąć i przyznać, że tak, że ona również widzi jego wyimaginowaną przyjaciółkę, ale chociaż była gotowa to zrobić, by przynieść mu pociechę w tych trudnych czasach, czuła, że utwierdzając go w tym przekonaniu, przekroczy pewną granicę.

- Nie, skarbie – odparła. – Birdie jest twoją przyjaciółką, nie mamusi.
- Ale cię lubi. Tak mi mówiła.

Poczuła ukłucie w sercu.

- To cudownie, kochanie. Cieszę się.
- Chce ci pomóc. Powiedziała, że powinienem ci pomóc.

Juliet nie mogła się powstrzymać. Objęła go i przytuliła. Trzymając syna w ramionach, miała świadomość, jaki jest drobny i ciepły, jak wiele przeszedł i jak bardzo jest od niej zależny. Od niej, na Boga. Biedactwo.

- Płaczesz, mamusiu?

Do diabła! Znowu!

- Nie, skarbie.

– Ale się trzęsiesz.

– Tak. Ale nie płaczę dlatego, że jestem smutna. Cieszę się, że mam takiego synka jak ty.

\*

Wieczorem, kiedy dzieci spały, a spokój na ich twarzach sprawiał, że wyglądały na młodsze i bardziej nadąsane wersje samych siebie, Juliet wybrała się na spacer nad rzekę. Usiadła na pomoście i jeszcze raz spojrzała na dom.

Nalała sobie szklaneczkę whisky i opróżniła ją jednym haustem.

Wciąż pamiętała wściekłość, jaką poczuła tamtego dnia w 1928 roku, kiedy powiedziała Alanowi, że jest w ciąży.

Tyle że to, co w tamtej chwili wzięła za złość na Alana i jego brak zrozumienia, tak naprawdę wcale nie było złością, lecz strachem. Nagłym obezwładniającym poczuciem osamotnienia, przerażająco podobnym do tego, co musi czuć porzucone dziecko. To by tłumaczyło jej dziecinne zachowanie.

Ach, gdyby tak mogła wrócić do tamtych czasów i przeżyć to jeszcze raz. Tamten dzień. I kolejny. I jeszcze następny. Narodziny Bei, Reda i Tipa. Cała trójka dorastała i coraz bardziej się od niej oddalała.

Znowu naląła sobie whisky. Nie było odwrotu. Czas płynął tylko w jedną stronę. I nie zatrzymywał się. Nawet po to, by dać człowiekowi czas do namysłu. Tylko we wspomnieniach można było powrócić do przeszłości.

Kiedy tamtego dnia przyszła do pokoju w pubie, po tym jak pocałowali się i pogodzili, leżeli razem na wąskim żelaznym łóżku; Alan ujął w dłonie jej twarz, spojrzał jej w oczy i obiecał, że już nigdy, przenigdy nie zaproponuje, żeby mniej pracowała.

W odpowiedzi pocałowała go w czubek nosa i obiecała, że już nigdy, przenigdy nie powstrzyma go, jeśli będzie chciał rzucić aktorstwo i zacząć sprzedawać buty.

\*

W piątek z samego rana Juliet przeczytała ostateczną wersję *Listów z Laneway* i wysłała artykuł do pana Talliskera. Wstępnie zatytułowała go *KobiECE Centrum Dowodzenia albo popołudnie w Ministerstwie Obrony* i trzymała kciuki, żeby nie wprowadzono w nim zmian.

Zadowolona z efektu, postanowiła odpocząć od pisania i na prośbę starszych dzieci – podczas gdy Tip bawił się ogrodzie żołnierzykami – poszła z nimi do stodoły na polu za domem. Bea i Red nie mogli się doczekać, żeby coś jej pokazać.

– Patrz! To łódka!

– No, no – rzuciła ze śmiechem Juliet.

Wyjaśniła im, że dwanaście lat temu widziała tu małą łódkę zawieszoną na krokwiach.

– Myślisz, że to ta sama?

– Pewnie tak.

Red, który wchodził na stryszek na siano, jedną ręką uczeplił się drabiny i spytał podekscytowany:

– Możemy ją zdjąć, mamusiu? Proszę, powiedz, że możemy!

– Uważaj, Red.

– Umiemy wiosłować – dodała Bea. – A poza tym rzeka nie jest tutaj głęboka.

Juliet przypomniała sobie opowieść Tipa o dziewczynce, która utonęła.

– Proszę, mamusiu, proszę!

– Red – upomniała go ostro. – Spadniesz, połamiesz się i tyle będziesz miał z wakacji.

Ale on, nie zważając na jej ostrzeżenia, zaczął podskakiwać na szczeblu.

– Złaż – warknęła Bea. – Jak mama ma wejść na drabinę, skoro blokujesz drogę?

Kiedy chłopiec zeskokczył na ziemię, Juliet z dołu przyjrzała się łódce. Czowała za plecami obecność Alana, który szeptał jej do ucha, przypominając, że nie powinna być nadopiekuńcza. *Będą się wszystkiego bały i co wtedy zrobimy? Utkniemy z nimi na dobre! Będziemy się wiecznie wahać, zamartwiać i życie przejdzie nam koło nosa.*

– No dobrze – rzuciła po chwili. – Chyba możemy ją zdjąć i zobaczyć, czy nadaje się do pływania. Możecie zanieść ją nad rzekę.

Uradowany Red rzucił się siostrze na szyję, podczas gdy Juliet zajęła jego miejsce na drabinie. Łódkę podtrzymywał w górze system lin i bloczków, które choć nieco zardzewiały, nadal spełniały swoje zadanie. Odwiązała linę od haka wbitego w krokiew, rzuciła jej koniec na ziemię, po czym sama zeszła i powoli zaczęła opuszczać łódkę.

Była pewna, że po tym, jak przez dwanaście lat wisiała w stodole, nie będzie się nadawała do użytku, ale oprócz siatki pajęczyn i grubej warstwy kurzu nie dopatrzyła się żadnych dziur ani nieszczelności. Drewno było suche i nieprzegnite, zupełnie jakby ktoś naprawił ją i zakonserwował.

Juliet musnęła palcami klepki, gdy nagle coś zaślniło w słońcu i przykuło jej uwagę.

– I co, mamusiu? – Red szarpał ją za bluzkę. – Możemy zanieść ją nad rzekę? Proszę?

Przedmiot tkwił wciśnięty głęboko w szczelinę między deskami, ale Juliet zdołała go wyciągnąć.

– Co to? – spytała Bea. Stojąc na palcach, zerkała jej przez ramię.

– Moneta. Stara moneta. Chyba dwupensówka.

– Jest cenna?

– Raczej nie. – Juliet kciukiem potarła monetę. – Ale ładna, prawda?

– Kogo to obchodzi? – Red przestępował z nogi na nogę. – Możemy spuścić łódkę na wodę, mamusiu? Możemy?

Odsunęła od siebie matczyne niepokoje i starając się nie myśleć o wszystkich „a jeśli”, postanowiła obdarzyć łódkę kredytem zaufania. Pomogła ją przenieść na skraj pola i patrzyła, jak Bea i Red, niosąc nieporadnie ładunek, znikają w oddali.

Kiedy wróciła do domu, Tip nadal był w ogrodzie. Słońce przeświecało przez liście klonu, odnajdując w prostych włosach chłopca plamki srebra i złota. Tip wyciągnął z pudełka drewniane żołnierzyki i ułożył w kole imponującą kolekcję patyków, kamyków i piór.

Zauważyła, że coś mówi, a gdy podeszła bliżej, roześmiał się. Przy dźwięku kołysanego wiatrem dzwonka dzień, słońce – nawet przyszłość – wydawały się jaśniejsze... aż do momentu, gdy Tip przechylił głowę i Juliet uświadomiła sobie, że słucha czegoś, czego ona nie słyszy. Zupełnie jakby w jednej chwili niebo zaciągnęło się chmurami.

– Coś cię rozbawiło, Tippy? – spytała, siadając obok niego.

Pokiwał głową, podniósł z ziemi pióro i przez chwilę obracał je w palcach.

Strzepnęła z jego kolana wyschnięty liść.

– Powiedz mi... uwielbiam dowcipy.

– To nie był dowcip.

– Nie?

– To Birdie.

Spodziewała się takiej odpowiedzi, mimo to coś ścisnęło ją w dołku.

– Rozśmiesz mnie – dodał chłopiec.

– To dobrze, Tippy. Jeśli chcesz otaczać się ludźmi, to takimi, którzy będą umieli cię rozśmieszyć.

– Tatuś cię rozśmiesza?

– Bardziej niż ktokolwiek. No, może poza waszą trójką.

– Birdie mówi... – zaczął i nagle urwał.

– Tak, Tippy? Co mówi Birdie?

Pokręcił głową i skupił uwagę na leżącym na kolanie kamyku.

– Czy Birdie jest teraz z nami? – Nie dawała za wygraną.

Przytaknął.

– Tutaj? Siedzi na ziemi?

Kolejne skinienie głowy.

– Jak wygląda?

– Ma długie włosy.

– Tak?

Tip podniósł wzrok i spojrzał przed siebie.

– Rude. Jej sukienka też jest długa.

Juliet podążyła za jego wzrokiem, usiadła prosto i przywołała na twarz szeroki uśmiech.

– Witaj, Birdie – rzekła. – Miło cię w końcu poznać. Jestem Juliet, mama Tipa. Chciałam ci podziękować. Podobno powiedziałaś Tipowi, że powinien mi pomagać, dlatego chciałam ci powiedzieć, jakim jest grzecznym chłopcem. Wieczorem pomaga mi zmyć naczynia i składa ze mną ubrania, podczas gdy pozostała dwójka zachowuje się, jakby nie miała żadnych obowiązków. Jestem z niego bardzo dumna.

Tip wsunął jej w dłoń swoją małą rączkę, a ona ją uściśnięła.

*Bycie rodzicem to pestka* – usłyszała na wietrze radosny głos Alana. – *To jak z opaską na oczach sterować samolotem, który ma dziury w skrzydłach.*



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

W piątkowy wieczór o szóstej wszyscy czworo poszli do wioski. Dzieci w używanych ubraniach prezentowały się całkiem dobrze i o wpół do siódmej, po tym, jak zatrzymali się po drodze, by podziwiać krowy z długimi rżęsami i pozwolić Tipowi zbierać kamyki, które przykuły jego uwagę, przecięli trójkątny zieleniec i dotarli do Łabędzia.

Pani Hammett prosiła, żeby weszli głównym wejściem i zamiast w lewo do pubu, skręcili w prawo do jadalni.

Właścicielka Łabędzia czekała na nich, popijając koktajl w towarzystwie wysokiej, na oko pięćdziesięcioletniej kobiety w okularach w stylowych szylkretowych oprawkach. Kiedy wpadli przez drzwi, obie odwróciły się w ich stronę.

– Witajcie! – odezwała się pani Hammett. – Wchodźcie, wchodźcie, tak się cieszę, że przyszliście.

– Przepraszamy za spóźnienie. – Juliet spojrzała czule na Tipa. – Ale po drodze musieliśmy zebrać bardzo ważne kamyki.

– Pokrewna dusza – odezwała się kobieta w okularach. W jej głosie pobrzmiwał amerykański akcent.

Juliet kolejno przedstawiła każde z dzieci, po czym wyprowadziła je do holu, by w skórzanych fotelach zaczekały na kolację.

– Pani Wright – zaczęła właścicielka pubu, kiedy Juliet wróciła do pokoju – to doktor Lovegrove. Zatrzymała się u nas... kolejny gość, który po latach wrócił do wioski.

Doktor Lovegrove wyciągnęła rękę.

– Miło mi panią poznać – rzekła. – Proszę mówić mi Ada.

– Dziękuję, Ado. Jestem Juliet.

– Pani Hammett właśnie mówiła mi, że razem z dziećmi wprowadziłaś się do Birchwood?

– Przyjechaliśmy w niedzielę wieczorem.

– Przed wieloma laty byłam uczennicą w tamtejszej szkole.

– Słyszałam, że dawno temu była tam szkoła.

– Tak, dawno, dawno temu. Została zamknięta wkrótce po tym, jak wyjechałam. Była jednym z ostatnich bastionów dawnych poglądów na dziewczęta i ich edukację. Mnóstwo szycia, śpiewania i... pamiętam to jak dziś... chodzenia z książką na głowie.

– Dobrze, dobrze – przerwała jej pani Hammett. – Lucy robiła, co mogła. I wygląda na to, że nie stała się pani żadna krzywda.

Ada się roześmiała.

– To prawda. I ma pani rację co do Lucy. Miałam nadzieję, że jeszcze ją zobaczę.

– Straszna szkoda.

– Mogę winić tylko siebie. Zbyt długo zwlekałam z powrotem. Starość dopada nas wszystkich, nawet biedną Lucy. Zabawne, ale to dzięki szkole w Birchwood moje życie potoczyło się tak, a nie inaczej. Jestem archeologiem – wyjaśniła Juliet. – Wykładałam na uniwersytecie nowojorskim. Ale przede wszystkim byłam członkinią kółka miłośników historii naturalnej w szkole panny Radcliffe. Lucy, to znaczy panna Radcliffe, była prawdziwą entuzjastką. Znam profesorów mniej oddanych swojej pracy. Zgromadziła niezwykłą kolekcję skamielin i znalezisk. Jej gabinet przypominał skarbiec. Był mały, mieścił się u szczytu schodów na pierwszym piętrze.

– To teraz mój pokój. – Juliet się uśmiechnęła.

– A zatem możesz sobie wyobrazić, jak niewiele było tam miejsca, zważywszy na te wszystkie półki, gablotki i przedmioty zajmujące niemal każdy skrawek wolnej przestrzeni.

– Tak – przyznała Juliet i sięgnęła po notatnik, z którym nigdy się nie rozstawała. – To cudowne, że jeden dom może mieć tyle różnych wcieleń. I właśnie w związku z tym przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Notując w pośpiechu, opowiedziała Adzie o *Listach z Laneway*, na co pani Hammett dodała z dumą:

– Moje koleżanki i ja już się w nich pojawiłyśmy. I to w pierwszym artykule! Mam nadzieję, pani Wright, że zadba pani o to, byśmy dostały kopie.

– Napisałam już w tej sprawie do mojego redaktora. W poniedziałek rano będą na poczcie.

– Cudownie! To takie ekscytujące. A jeśli zamierza pani pisać o Lucy, koniecznie proszę wspomnieć, że była siostrą Edwarda Radcliffe’a.

Juliet ściągnęła brwi, bo nazwisko wydało jej się znajome.

– Tego artysty. Należał do Bractwa Magenta, o którym tyle się mówi. Zmarł młodo, więc nie jest tak sławny jak pozostali, ale to on kupił dom w zakolu rzeki. Doszło tam do skandalu. Dawno temu Radcliffe wraz z przyjaciółmi spędzał lato w posiadłości. Moja matka była wtedy małą dziewczynką, ale pamiętała wszystko aż do śmierci. Zginęła młoda dziedziczka. Ona i Radcliffe mieli się pobrać, lecz jej śmierć złamała mu serce i więcej tu nie wrócił. Zgodnie z jego wolą dom trafił w ręce Lucy.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł pan Hammett, a zaraz za nim młoda pomoc kuchenna z niepokojem wymalowanym na twarzy i tacą pełną parujących talerzy.

– Ach! – Pani Hammett się rozpromieniła. – Kolacja. Zaczekajcie tylko, aż posmakujecie, jakie paszteciki mięsne gotowane na parze potrafi wyczarować nasz kucharz!

\*

To, co potrafił wyczarować kucharz, wprost rozpływało się w ustach. Juliet nie przepadała za gotowanymi na parze pasztecikami, ale podawane z sosem pieczeniowym smakowały wybornie. Co więcej, przy stole dzieci zachowywały się nienagannie: na każde pytanie udzielały ujmującej, choć może nieco zbyt szczerzej odpowiedzi i od czasu do czasu same ośmielały się o coś zapytać. Tip zanurzał opuszki palców w kałużach roztopionego wosku wokół świec i układał na stole małe woskowe skamieliny, ale cała trójka pamiętała, by podziękować, nikt nie wycierał nosa w obrus, a gdy po kolacji Bea spytała, czy mogą wrócić do holu i dokończyć grę w karty, Juliet chętnie się zgodziła.

– Czy dzieciom podoba się w posiadłości? – spytała Ada, kiedy pomoc kuchenna nalewała do filiżanek kawę i herbatę. – To duża odmiana po Londynie.

– Na szczęście chyba im służy.

– Nic dziwnego, wieś ma dzieciom do zaoferowania tyle różnych rzeczy – wtrąciła pani Hammett. – Trzeba być dziwnym dzieckiem, żeby nie zachwycić się tą częścią świata.

Ada się roześmiała.

– Ja zawsze byłam dziwnym dzieckiem – powiedziała.

– Nie podobało ci się tu? – zdziwiła się Juliet.

– Później tak. Ale nie na początku. Urodziłam się w Indiach i byłam tam szczęśliwa, dopóki nie wysłano mnie do szkoły. Nie lubiłam tego miejsca. Uważałam, że jest mdłe i niegościnne. Jednym słowem, obce.

– Jak długo byłeś w tej szkole?

– Nieco ponad dwa lata. Została zamknięta, kiedy miałam dziesięć lat, a mnie wysłano do większej szkoły w pobliżu Oksfordu.

– Zdarzył się straszny wypadek – dodała pani Hammett. – Dziewczynka utonęła w rzece podczas letniego pikniku. Kilka lat później szkołę zamknięto. – Ściągnęła brwi i spojrzała na Adę. – Doktor Lovegrove, musiała tam pani być, kiedy to się wydarzyło.

– Tak – przyznała Ada i zdjęła okulary, żeby przetrzeć szkła.

– Znała pani tę dziewczynkę?

– Niezbyt dobrze. Była ode mnie starsza.

Rozmowa toczyła się w najlepsze, tymczasem Juliet rozmyślała o Tipie. To on powiedział jej, że w rzece utonęła dziewczynka, i teraz zastanawiała się, czy to możliwe, że usłyszał to od kogoś z okolicznych mieszkańców. Ale przecież wspomniał o tym pierwszego ranka, tuż po przyjeździe do Birchwood. Może napomknął o tym młody człowiek ze Stowarzyszenia Historyków Sztuki. Od początku nie wzbudzał jej zaufania, była w nim jakaś przebiegłość.

A może Tip wyrażał na głos swoje najgłębsze lęki. Czy nie powtarzała mu w kółko – zwłaszcza jemu – żeby na siebie uważał? Alan powiedziałby: *A nie mówiłem!* Przez jej obawy dzieci będą się wszystkiego bały. Chyba że Tip

zgadywał. Ludzie często toną w rzekach, można więc było zakładać, że i na tym odcinku Tamizy zdarzył się podobny wypadek. Zawsze się czymś zamartwiała, lecz tak naprawdę martwiła się o Tipa.

– Pani Wright?

Zamrugła.

– Przepraszam, pani Hammett. Zamyśliłam się.

– Mam nadzieję, że nic się nie stało. Może jeszcze kawy?

Juliet z uśmiechem podsunęła jej filiżankę i jak to często bywa, gdy ktoś zbyt długo sam zmagają się z troskami, opowiedziała kobietom o Tipie i jego nieistniejącej przyjaciółce.

– Biedactwo – rzekła pani Hammett. – Nic dziwnego po tym wszystkim, co się wydarzyło. Nic mu nie będzie. Pewnego dnia zorientuje się pani, że od tygodnia nie wspominał o swojej „przyjaciółce”.

– Może ma pani rację – odparła Juliet. – Sama nigdy nie miałam zmyślonej przyjaciółki i ciężko mi uwierzyć, że można tak po prostu wymyślić sobie człowieka.

– Czy ta jego przyjaciółka każe mu psocić?

– Dzięki Bogu, nie. Wręcz przeciwnie, wydaje się, że ma na niego bardzo dobry wpływ.

– Chociaż tyle! – Pani Hammett klasnęła w dłonie. – Ciekawe, czy jest tu dziś z nami. Nigdy nie miałam wyimaginowanego gościa.

– Na szczęście nie ma jej tutaj. Została w domu.

– To już coś. Może to dobry znak: że pani syn potrzebuje jej tylko czasami.

– Może. Chociaż mówił, że pytał ją, czy pójdzie z nami. Ona jednak najwyraźniej nie może odchodzić tak daleko od domu.

– Jest niepełnosprawna? To ciekawe. Mówił coś więcej o tej dziewczynce?

– Zaczniemy od tego, że ona nie jest dziewczynką. To kobieta. Nie wiem, jak to świadczy o mnie, skoro mój syn wymyślił sobie dorosłą przyjaciółkę, z którą lubi spędzać czas.

– Może to kolejne wyobrażenie o pani – zauważyła pani Hammett.

– Nie sądzę. Z tego, co mi wiadomo, ta przyjaciółka jest moim całkowitym przeciwieństwem. Ma długie rude włosy i długą białą sukienkę. Opisał mi ją dość dokładnie.

Ada, która aż do teraz słuchała w milczeniu, nagle się odezwała:

– Brałaś pod uwagę, że być może chłopiec mówi prawdę?

Nastąpiła cisza, którą po chwili przerwała pani Hammett:

– Doktor Lovegrove – rzuciła z nerwowym śmiechem – pani sobie żartuje, podczas gdy pani Wright naprawdę się martwi.

– Och, ja bym się nie martwiła – powiedziała Ada. – To tylko dowód na to, że Tip jest kreatywnym małym chłopcem, który znalazł sposób na radzenie sobie ze zmianami w życiu.

– Mówisz zupełnie jak mój mąż – zauważyła z uśmiechem Juliet. – I pewnie oboje macie rację.

Kiedy pani Hammett napomknęła, że zajrzy do kuchni, a Ada oświadczyła, że „musi zaczerpnąć świeżego powietrza”, Juliet wykorzystwała okazję, by sprawdzić, co robią dzieci. Dwójka starszych siedziała w przytulnym kąci pod schodami, rozgrywając kolejną partyjkę remika.

– Gdzie wasz brat? – Rozglądała się, szukając wzrokiem Tipa.

Nawet na nią nie spojrzeli.

– Nie wiem – odparło jedno.

– Gdzieś – rzuciło drugie.

Stała przez chwilę z dłonią na słupku poręczy. Kiedy podniosła wzrok na pokryte wykładziną stopnie, wydało jej się, że na szczycie schodów widzi Alana z tą przeklętą fajką w kąci ust.

To były te same schody, po których biegła tamtego dnia, podczas gdy on czekał na nią w pokoju, gotowy kontynuować ich kłótnię.

Nie mogła się powstrzymać, musiała na nie wejść.

Poręcz pod jej palcami wydawała się znajoma; kilka ostatnich stopni Juliet pokonywała z zamkniętymi oczami, wyobrażając sobie, że cofnęła się w czasie i wróciła do tamtego dnia. Powietrze wokół niej rozbrzmiewało echem wspomnień. Alan był tak blisko, niemal czuła jego zapach. Ale kiedy otworzyła oczy, zniknął, a razem z nim jego krzywy uśmiech.

Pierwsze piętro wyglądało dokładnie tak, jak je zapamiętała. Czyste i schludne, z drobnymi szczegółami, które nawet jeśli nie świadczyły o dobrym guście gospodarzy, to były dowodem ich troski. Świeże kwiaty w porcelanowym wazonie na stoliku, wiszące na ścianach małe oprawione

w ramki obrazki miejscowych zabytków, ślady szczotki do dywanów na wzorzystym chodniku. Zapach też był taki sam: mydła do prania i pasty do drewna, a gdzieś pod tym wyczuwało się piwną nutę.

Nigdzie jednak nie było śladu małego chłopca.

Wróciwszy na dół, Juliet usłyszała dobiegający z zewnątrz znajomy głos. Kiedy szli do pubu, zauważyła stojącą pod oknem drewnianą ławkę, więc teraz podeszła do okna i wyjrzała przez szparę w zaciągniętych zasłonach. Zobaczyła Tipa i Adę pogrążonych w rozmowie.

Uśmiechnęła się do siebie i najciszej, jak mogła, odsunęła się od okna. Nie słyszała, o czym rozmawiają, ale widziała skupienie malujące się na twarzy syna.

– Tu pani jest, pani Wright.

Do pokoju weszła pani Hammett, a za nią pomoc kuchenna z zastawioną suto tacą.

– Gotowi na deser? Mamy pyszny biszkopt bez jajek z galaretką truskawkową!

\*

W niedzielę rano, pierwszy raz, odkąd przyjechali, Juliet obudziła się przed dziećmi. Ciało miała tak niespokojne jak umysł, włożyła więc to, co miała pod ręką, i wybrała się na spacer. Nie poszła nad rzekę, lecz ruszyła dróżką w stronę wioski. Zbliżając się do kościoła, zauważyła ludzi, którzy przyszli na poranne nabożeństwo. Była wśród nich pani Hammett. Właścicielka pubu pomachała jej na powitanie, a Juliet odpowiedziała uśmiechem.

Dzieci zostały w domu, nie weszła więc do środka i siedząc na ławce w przedsionku kościoła, słuchała, jak pastor rozprawia o stracie, miłości i niezłomności człowieka, który ma w sercu Boga. Było to piękne kazanie, a pastor okazał się doskonałym mówcą, ale Juliet obawiała się, że przed końcem wojny usłyszy jeszcze wiele takich nauk.

Przeniosła wzrok na uroczy cmentarz. Było to ciche, tchnące spokojem miejsce, gdzie dusze drzemały pod dywanem z bluszczu. Omszałe nagrobki mówiły o sędziwym wieku, młodości i ślepej sprawiedliwości śmierci.

Samotny piękny anioł pochylał głowę nad otwartą księgą; jego kamienne włosy, które z czasem ściemniały, opadały na zimną kartkę. Cisza w miejscach takich jak to budziła szacunek.

Juliet przechadzała się obrzeżami cmentarzyka, patrząc na upstrzone plamami nagrobki, czytając nazwiska i daty, pełne miłości zapewnienia o czekającej wieczności i spokoju. Niesamowite, że ludzie cenią życie jednostek na tyle, by upamiętniać krótki czas, jaki spędzały na pradawnej ziemi, a mimo wszystko są zdolni do tak potwornej bezsensownej rzezi.

Na końcu cmentarza zatrzymała się przy nagrobku z wyrytym na nim znajomym nazwiskiem. *Lucy Eliza Radcliffe, 1849–1939*. Tuż obok stał nieco starszy nagrobek brata Lucy, Edwarda, artysty, o którym pani Hammett wspomniała przy kolacji. Pod imieniem Lucy wyryto słowa: *Cała przeszłość jest terażniejszością*. Zdumiały one Juliet, bo różniły się od tych, które zwykle znajdują się na nagrobkach.

Przeszłość, terażniejszość, przyszłość – czy któreś z tych pojęć w ogóle ma jakieś znaczenie? Człowiek może tylko starać się przetrwać w okolicznościach, w jakich przyszło mu żyć. To wszystko.

Wyszła z cmentarza i ruszyła ciągnącą się między wysokimi trawami ścieżką z powrotem do domu. Słońce przegoniło resztki nocnego chłodu, niebo miało barwę zjawiskowego błękitu. Dzieci będą chciały popływać łódką, tego była pewna. Może wszyscy wybiorą się nad rzekę na lunch.

Dziwne, ale już z daleka było widać, że w domu toczy się życie. I rzeczywiście, jeszcze zanim dotarła do dróżki dla powozów, Juliet usłyszała dźwięki fletu Bei.

Po wczorajszej kolacji pani Hammett odprawiła ich do domu z czterema świeżymi jajkami i Juliet nie mogła się doczekać, aż ugotuje je na miękko; planowała nawet użyć prawdziwego masła. Najpierw jednak weszła na górę, żeby zanieść kapelusz do pokoju. Po drodze zajrzała do dzieci. Bea niczym zaklinacz węży siedziała po turecku na łóżku i grała na flecie. Freddy leżał w poprzek na materacu, dotykając głową podłogi. Wyglądało na to, że wstrzymuje oddech. Nigdzie jednak nie było Tipa.

– Gdzie wasz brat? – spytała.

Beatrice wzruszyła ramionami.



– Na górze? – bąknął Red na wydechu.

W pokoju wyczuwało się napięcie i Juliet wiedziała, że w takich sytuacjach nie należy reagować. Sprzeczki między rodzeństwem były jak dym na wietrze: w jednej chwili zasłaniały widoczność, a w drugiej nie było po nich śladu.

– Za dziesięć minut śniadanie – rzuciła, wychodząc.

W swojej sypialni cisnęła kapelusz na łóżko i zajrzała do dawnego salonu na końcu korytarza. Pokój był nieużywany. Oprócz przykrytych białymi płachtami mebli i kurzu nie było w nim niczego, ale takie pomieszczenia to nie lada gratka dla dzieci.

Nie było tam jednak Tipa. Red wspominał coś o górze. Juliet pobiegła na poddasze.

– Tip, skarbie, śniadanie! – zawołała po drodze. – Chodź, ugotujemy razem jajka!

Cisza.

– Tip? – Sprawdziła wszystkie zakamarki, a w końcu stanęła przy oknie z widokiem na pole i rzekę.

Rzeka.

Tip nie był typem wędrowniczka. Był z natury płochliwy, sam nie zapuściłby się tak daleko.

Ale świadomość ta wcale jej nie uspokoiła. Był jeszcze dzieckiem. Zdarzało się, że chodził z głową w chmurach. Dzieci topią się w rzekach.

– Tip! – W głosie Juliet pobrzmiwała panika. W pośpiechu zbiegła po schodach. Krew dudniła jej w uszach i mało brakowało, a biegnąc korytarzem, nie usłyszałaby stłumionego:

– Mamusiu!

Zatrzymała się i wyteżyła słuch, lecz strach przytłumił jej zmysły.

– Tip?

– Tutaj.

Głos dobiegał zza ściany, zupełnie jakby pożarła chłopca i uwięziła go pod swoją skórą.

Chwilę później w ścianie pojawiła się jednak szczelina i na oczach Juliet w boazerii otworzyły się sekretne drzwiczki, za którymi zobaczyła

uśmiechniętą twarz syna.

Objęła go i przytuliła mocno do piersi; wiedziała, że sprawia mu ból, ale nie mogła się powstrzymać.

– Tippy. Mój Boże, Tippy, skarbie.

– Ukrywałem się.

– Właśnie widzę.

– Ada powiedziała mi, jak znaleźć kryjówkę.

– Tak?

Pokiwał głową.

– To tajemnica.

– Piekielnie dobra. Dziękuję, że podzieliłeś się nią ze mną. – Zdumiewające, jak spokojnie brzmiał jej głos, podczas gdy serce chciało wyskoczyć z piersi. Zrobiło jej się słabo. – Posiedź ze mną chwilę, Tippy, dobrze?

Wypuściła go z objęć i sekretne drzwi zasunęły się za nimi bezszelestnie.

– Adzie podobają się moje kamyki. Powiedziała, że kiedyś też takie zbierała. I skamieliny. Jest arke...

– ...ologiem. Archeologiem.

– Tak – potwierdził zadowolony.

Juliet zaprowadziła go na szczyt schodów i posadziła sobie na kolanach. Otoczyła go ramionami i przytuliła policzek do czubka jego ciepłej głowy. Ze wszystkich jej dzieci Tip najchętniej przyjmował sporadyczne przejawy matczynej miłości. Dopiero gdy poczuła, że nawet on ma już dosyć, mruknęła:

– No tak, śniadanie. I czas dowiedzieć się, o co znowu pokłócili się twój brat i siostra.

– Bea powiedziała, że tatuś nie znajdzie nas, kiedy wróci do domu.

– Tak?

– A Red powiedział, że tatuś jest magikiem i znajdzie nas w każdym miejscu na ziemi.

– Rozumiem.

– A ja poszedłem na górę, bo nie chciałem im mówić.

– O czym?

– Że tatuś nie wróci.

– Jak to? – Juliet poczuła, że kręci jej się w głowie.

Nie odpowiedział. Przyłożył tylko do jej policzka swoją małą dłoń. Na jego drobnej twarzy w kształcie serca malowała się powaga i Juliet zrozumiała, że Tip wie.

\*

Nawet na chwilę nie zapomniała o liście w swojej kieszeni, ostatnim, który dostała od Alana. Odkąd przyszedł, nosiła go ze sobą wszędzie. Tylko dlatego jeszcze nie oszalała. Otoczony czarną obwódką telegram z Ministerstwa Wojny, który otrzymała tego samego dnia, zniknął. Juliet planowała go spalić, ale okazało się, że nie będzie musiała. Jeden z ludzi Hitlera zajął się tym w jej imieniu, kiedy przelatując dokładnie nad Queen's Head Street w Islington, rzucił bombę, zniszczył dom i wszystko, co w nim było.

Oczywiście zamierzała powiedzieć dzieciom. Problem polegał na tym – i Juliet nie myślała o niczym innym – że nie wiedziała, jak poinformować je, że ich cudowny, zabawny, zapominalski, roztargniony tata nie żyje.

– Mamusiu? – Tip wsunął jej w dłoń swoją małą rączkę. – Co teraz będzie?

Chciałaby móc powiedzieć tak wiele rzeczy. Była to jedna z tych nielicznych chwil, w których rodzic ma świadomość, że to, co powie, zostanie na zawsze zapamiętane przez dziecko. Chciała więc sprostać zadaniu. Żyła z pisania, a jednak nie potrafiła znaleźć słów. Każde wyjaśnienie, które brała pod rozwagę i odrzucała, tworzyło barierę ciszy między idealnym momentem na odpowiedź a chwilą, w której się właśnie znalazła. Alan miał rację, mówiąc, że życie to wielki słoik z klejem. Słoik pełen mąki i wody, w którym wszyscy próbują dreptać w miejscu z jak największą godnością.

– Nie wiem, Tippy – odparła. Nie było to ani pocieszające, ani mądre, ale przynajmniej szczere. – Wiem tylko, że damy sobie radę.

Domyślała się, jakie będzie jego następne pytanie: zapyta ją, skąd wie. I co miała mu powiedzieć? Że po prostu wie? Że muszą sobie poradzić? Że to ona siedzi za sterami tego samolotu i nawet z opaską na oczach zadba o to, by bezpiecznie dotarli do domu?

Okazało się jednak, że nie musi odpowiadać, bo pomyliła się – Tip wcale jej o to nie zapytał. Z wiarą, która sprawiła, że miała ochotę skulić się w kłębek

i rozpłakać, uwierzył jej na słowo i zmienił temat.

– Birdie mówi, że nawet w najciemniejszym pudełku są punkciki światła.

– Naprawdę? – Juliet nagle poczuła się wykończona.

Z powagą pokiwał głową.

– To prawda, mamusiu. Widziałem je w kryjówce. Widać je tylko od wewnątrz. Kiedy tam wszedłem, na początku się bałem, ale niepotrzebnie, bo w ciemności były setki maleńkich migoczących światełek.

## VIII

Nadeszła sobota, a wraz z nią do domu ściągnęli turyści. Jestem w małym pokoiku, gdzie na ścianie wisi portret Fanny, choć wolę myśleć o tym pomieszczeniu jako o „pokoju Juliet”. W końcu Fanny spała tu tylko jedną noc. Siadałam przy Juliet, kiedy pisała na maszynie, wśród kartek papieru porzrzucanych na toaletce pod oknem. Byłam też przy niej późnym wieczorem, kiedy dzieci już spały i wyciągała list od Alana. Nie po to, by go czytać – czytała go rzadko. Po prostu trzymała go w dłoni, siedząc i patrząc niewidzącym wzrokiem przez otwarte okno w ciągnącą się ciemną noc.

Do tego pokoju przyniesiono Adę po tym, jak na wpół żywą wyciągnięto ją z rzeki. Wówczas był to pokój obok sypialni Lucy, pełen skamielin i rozmaitych skarbów, a od podłogi aż po sufit ciągnęły się półki. Lucy uparła się, że sama zaopiekuje się dziewczynką, i tak długo pouczała pielęgniarkę, aż ta w końcu dała za wygraną. Po tym, jak wstawiono tu łóżko, w pokoiku zrobiło się ciasno, ale Lucy zdołała upchnąć w kącie drewniane krzesło, na którym siedziała godzinami, czuwając nad śpiącą dziewczynką.

Jej troska była wzruszająca... mała Lucy, która po śmierci Edwarda miała wokół siebie tak niewiele bliskich osób. Pilnowała, by co wieczór łóżko rozgrzewano mosiężnym garnkiem pełnym rozżarzonych węgli, i pozwoliła Adzie zatrzymać kotka, choć panna Thornfield stanowczo się temu sprzeciwiała.

Jedna z dzisiejszych turystek stanęła przy oknie i wyciąga szyję, żeby spojrzeć ponad murem na sad. Twarz ma skąpaną w porannym słońcu. Przypomina mi to pewien dzień po pikniku, gdy Ada czuła się już na tyle dobrze, by wsparta na poduszkach, mogła usiąść w łóżku, a światło wpadające do pokoju rysowało na kołdrze cztery równe prostokąty.

Lucy przyniosła tacę ze śniadaniem, a kiedy stawiała ją na toaletce, dziewczynka, blada jak duch na tle białej pościeli, powiedziała:

– Wpadłam do wody.

– Tak.

– Nie umiem pływać.

– Na to wygląda.

Przez chwilę obie milczały. Widziałam jednak, że Ada chce dodać coś jeszcze.

– Panno Radcliffe? – odezwała się w końcu.

– Tak, dziecko?

– Ktoś jeszcze był ze mną tam, w wodzie.

– Tak. – Lucy usiadła na skraju łóżka i wzięła ją za rękę. – Przykro mi, ale May Hawkins również wpadła do rzeki. Miała jednak mniej szczęścia... podobnie jak ty, nie umiała pływać... i utonęła.

Ada wysłuchiwała jej i głosem cichym jak szept wyznała:

– Ale to nie May Hawkins widziałam.

Czekałam, zastanawiając się, co jeszcze wyjawi; czy zaufa Lucy na tyle, by powiedzieć jej prawdę o tym, co wydarzyło się na dnie rzeki.

Ona jednak nie wspomniała więcej o tym tajemniczym „kimś”.

– Zobaczyłam niebieskie światło. Wyciągnęłam rękę, żeby je pochwycić, ale to wcale nie było światło. To był kamień, świecący kamień.

Otworzyła dłoń, odsłaniając Błękit Radcliffe’ów, który zabrała z dna rzeki, gdzie spoczywał pośród otoczków.

– Zobaczyłam, jak świecił, i chwyciłam się go, bo wiedziałam, że ocali mi życie. I ocalił. Mój własny amulet znalazł mnie w chwili, gdy najbardziej go potrzebowałam, i uratował mnie. Tak jak pani mówiła.

\*

Dzień jest ciepły i słoneczny, więc dom wypełnili zwiedzający, którzy zarezerwowali lunch w jednym z pobliskich pubów. Przechodzą z pokoju do pokoju i dość mam słuchania, jak przewodnik mówi kolejnej grupie, by zamknęły oczy w „pokoju Fanny” i „poculi widmową woń jej ulubionych

różanych perfum”. Dlatego wyszłam i idę do dawnej słodowni, gdzie Jack stara się nie zwracać na siebie uwagi. Wcześniej wśród dokumentów, które przysłała w ostatnim mailu pani Wheeler, a które on wydrukował, zobaczyłam kopię listu Lucy do Ady napisanego w marcu 1939 roku. Niestety, środek listu był zakryty i nie mogłam zobaczyć jego treści. Mam nadzieję, że do tego czasu Jack przełożył już pozostałe papiery i będę w stanie go odczytać.

W korytarzu na dole grupka turystów zebrała się przed pejzażem wiszącym na południowej ścianie. To pierwsza praca Edwarda zaakceptowana przez Królewską Akademię, jeden z serii obrazów *W górnym biegu Tamizy* – widok namalowany z najwyższego okna domu Edwarda. Widać stamtąd rzekę, pola, gęste lasy, a w oddali góry; na płótnie ta sielska sceneria została jednak zmieniona z pomocą rozmaitych odcieni fuksji i szarości w niepokojąco piękny krajobraz. Mówiono, że obraz zwiastuje odejście od figuratywizmu w stronę „sztuki atmosferycznej”.

To urzekające dzieło i turyści dziś mówią to samo co zawsze: „Wspaniałe kolory” albo „Nastrojowy, prawda?” czy „Spójrzcie na tę technikę!”. Ale tylko nieliczni kupią reprodukcje w sklepie z pamiątkami.

Jednym z darów Edwarda była umiejętność przenoszenia na płótno emocji z pomocą pigmentów i pociągnięć pędzlem, oddawania ich z bezkompromisową płynnością; miał potrzebę komunikowania się i bycia zrozumianym. Ludzie nie kupują reprodukcji *Widoku z okna na poddaszu*, by powiesić je w domu nad kanapą, bo to obraz napędzany lękiem i choć jest piękny – nawet jeśli człowiek nie zna okoliczności jego powstania – wyczuwają w nim groźbę.

Widok przedstawiony na obrazie zachwyił Edwarda, gdy ten miał czternaście lat. Czternaście lat to trudny wiek, czas, kiedy człowiek zaczyna inaczej postrzegać świat i doświadcza emocjonalnego przejścia, a Edward był wyjątkowo wrażliwym chłopcem. Zawsze był porywczy. Cokolwiek robił, wkładał w to całego siebie, a w dzieciństwie miał wiele zainteresowań, z których każde było „tym jedynym” do czasu, aż pojawiło się nowe. Pochłaniały go opowieści o baśniowej krainie, teorie okultystyczne; przez jakiś czas był nawet zdecydowany wywołać ducha. Pomysł narodził się

w szkole, gdy w nocy godzinami czytał przy świecach zakazane księgi i starożytne traktaty znalezione w bibliotece w podziemiach.

W tym samym czasie rodzice Edwarda szukali dzieł sztuki na Dalekim Wschodzie i nie było ich w Anglii przez rok. Gdy więc nadeszło lato, nie wrócił do domu w Londynie, gdzie dorastał, lecz został wysłany do posiadłości dziadka. Wiltshire to stare i czarowne hrabstwo; Edward mawiał, że gdy srebrny księżyc w pełni stoi wysoko na niebie, czuć tam prastarą magię. Choć miał za złe rodzicom, że go porzucili, i nie dogadywał się z despotycznym dziadkiem, przeprowadzka do krainy kredowych pagórków jeszcze bardziej podsycała jego fascynację duchami i baśniową krainą.

Wiele myślał o tym, gdzie wywołać ducha, i brał pod rozwagę kilka miejscowych cmentarzy, zanim po rozmowie z ogrodnikiem dziadka doszedł do wniosku, że powinien udać się wzdłuż rzeki Cole, aż do miejsca, gdzie wpada ona do Tamizy. Staruszek wyjawiał mu, że nieopodal, w zakolu rzeki, znajduje się pewne miejsce, polana w lesie, gdzie wróżki i duchy chodzą wśród śmiertelników. Babka ogrodnika urodziła się na północy w magicznej godzinie<sup>13</sup> i znała się na takich rzeczach; to od niej dowiedział się o sekretnym miejscu w lesie.

Edward opowiedział mi o tym, co stało się tamtej nocy, w pewien dżdżysty wieczór, w Londynie, kiedy siedzieliśmy w jego pracowni przy świetle świec. Od tamtej pory tak często wspominam to wydarzenie, że niemal słyszę jego głos, zupełnie jakby stał obok mnie. Potrafię mówić o tym, do czego doszło tamtej nocy na leśnej polanie, jak gdybym była wtedy razem z nim.

Po kilkugodzinnej wędrówce dotarł do zakola rzeki, wszedł do lasu i zaczął znaczyć swoją drogę kawałkami kredy. Dotarł na polanę w chwili, gdy księżyc stał w najwyższym punkcie na niebie.

Noc była pogodna i ciepła, a on miał na sobie lekkie ubrania, ale kiedy przykucnął za powalonym pniem, poczuł na skórze dotyk czegoś bardzo zimnego. Zignorował to, umysł zaprzętały mu bowiem inne – ciekawsze – rzeczy.

Promień księżycowego światła oświetlał polanę i Edward czuł, że wydarzy się coś niezwykłego. Zerwał się dziwny wiatr, a szelest liści drzew rosnących



wokół polany brzmiał jak podzwanianie srebrnych monet. Edward miał wrażenie, że ktoś jeszcze obserwuje to miejsce. Czekał i czekał...

Aż nagle zrobiło się ciemno.

Spojrzał w niebo, zastanawiając się, czy to możliwe, by jakaś zbłąkana chmura zakryła księżyc. I wówczas ogarnął go obezwładniający strach.

Uczucie to zmroziło mu krew w żyłach i nie wiedząc czemu, rzucił się do ucieczki; biegł od jednego kawałka białej kredy do drugiego, aż dotarł na skraj pola.

Był przekonany, że kieruje się do domu dziadków. Coś go ścigało – słyszał to pomiędzy własnym urywanym oddechem – lecz kiedy obejrzał się przez ramię, niczego nie zobaczył.

Nerwy miał napięte jak postronki, a skórę zimną i napiętą, jakby lada chwila miała pęknąć.

Biegł i biegł wśród mrocznych obcych krajobrazów, przesadzał płoty, przedzierał się przez zarośla i przecinał rozległe pola.

Przez cały czas ta istota podążała jego śladem. I gdy poczuł, że nie da rady biec dalej, ujrzał na horyzoncie dom, w którego oknie na poddaszu niczym latarnia morska świeciło się światło.

Z dudniącym sercem rzucił się ku niemu, wdrapał się na kamienny mur i zeskoczył po drugiej stronie wprost do osrebrzonego księżycowym blaskiem ogrodu. Brukowana ścieżka prowadziła do drzwi wejściowych; otworzył je pchnięciem, natychmiast zatrzasnął za sobą i zaryglował.

Wiedziony instynktem, zaczął wspinać się po schodach, byle dalej od tego, co ścigało go przez całą drogę z lasu. Zatrzymał się dopiero na poddaszu.

Podszedł prosto do okna i wyteżając wzrok, spojrzał w noc.

Stał przy nim czujny i skupiony, chłonąc każdy szczegół, aż do świtu, gdy wszystko wróciło do normy.

Edward wyznał mi, że mimo wszystkich upiornych historii, które słyszał i opowiadał siostrze, Tamtej Nocy na polanie, kiedy biegł co tchu, szukając schronienia w tajemniczym domu, po raz pierwszy poczuł prawdziwy strach. Mówił, że to doświadczenie go zmieniło i że groza, jaka go przejęła, otworzyła w nim coś, czego nie sposób było zamknąć.

Teraz dobrze wiem, co miał na myśli. Prawdziwy lęk jest niczym piętno – nie da się go usunąć, nawet jeśli zapomniało się, co go wywołało. To nowe spojrzenie na świat: otwarcie drzwi, które już zawsze pozostaną uchylone.

Kiedy więc patrzę na *Widok z okna na poddaszu*, nie widzę pól okalających posiadłość Birchwood, choć podobieństwo jest niezwykle. Zamiast tego myślę o małych, ciemnych miejscach, stęchłym powietrzu i ściśniętym gardle, które rozpaczliwie pragnie zaczerpnąć tchu.

\*

Zwiedzający nie kupują ani jednej reprodukcji *Widoku z okna na poddaszu*, ale kupują *La Belle*.

Pewnie powinno mi to schlebiać – myśl o tym, że moja twarz wisi nad tak wieloma kanapami. Można pomyśleć, że jestem małosłowna, skoro przejmuję się takimi rzeczami, ale *La Belle* sprzedaje się lepiej od pozostałych plakatów dostępnych w sklepiku z pamiątkami, w tym także prac namalowanych przez Thurstona Holmesa. Zrozumiałam, że ludzie czują dreszczyk emocji, wiedząc, że oto powiesili na swojej ślicznej ścianie portret złodziejki klejnotów, a może nawet morderczyni.

Niektórzy z nich, przeczytawszy książkę Leonarda, porównują *La Belle z Portretem panny Frances Brown w dniu jej osiemnastych urodzin* i mówią rzeczy typu: „Wystarczy rzucić okiem, by wiedzieć, że był zakochany w swojej modelce”.

To dziwne uczucie – wisieć w tak wielu różnych domach zupełnie obcych ludzi przeszło sto pięćdziesiąt lat po tym, jak poznałam Edwarda Radcliffe’a i siedziałam w maleńkiej pracowni w ogrodzie domu należącego do jego matki.

Pozowanie do portretu jest jednym z najbardziej intymnych doświadczeń. To niezwykle doznanie – czuć na sobie ciężar uwagi, którą poświęca nam druga osoba, i stanąć z nią twarzą w twarz.

Byłam wystarczająco przytłoczona, gdy Edward ukończył obraz, który zawisł potem na ścianie w budynku akademii. A było to na długo przed tym, nim zaczęto drukować i sprzedawać reprodukcje i zanim w dwudziestym

pierwszym wieku moja twarz – taka, jaką widział ją Edward w 1861 roku – zaczęła pojawiać się na torbach na zakupy, ściereczkach do naczyń, breloczkach, kubkach i okładkach kalendarzy.

Zastanawiam się, co powiedziałyby na to wszystko Felix z podobizną Abrahama Lincolna wpiętą w klapę marynarki i swoimi szalonymi przepowiedniami przyszłości. Jest dokładnie tak, jak mówił: aparaty są wszechobecne. Ma je każdy. Nawet w tym momencie zwiedzający włączają się po pokojach, fotografując krzesło albo płytki. Doświadczają świata przez okienka swoich telefonów, zachowując zdjęcia na później, tak by teraz nie musieli niczego oglądać ani czuć.

\*

Wszystko zmieniło się po tym, jak Edward przyszedł po mnie do domu pani Mack przy Little White Lion Street i choć o tym nie rozmawialiśmy, w naszej relacji pojawiła się trwałość, której wcześniej nie było. Rozpoczął pracę nad kolejnym obrazem zatytułowanym *Śpiąca królewna*, ale staliśmy się dla siebie kimś więcej niż tylko malarzem i modelką. Praca i życie przenikały się. Byliśmy nierozłączni.

Pierwsze tygodnie 1862 roku były przejmująco zimne, lecz piec w pracowni zapewniał nam ciepło. Pamiętam, jak leżąc na przyniesionych przez Edwarda aksamitnych poduszkach, patrzyłam na zaparowany szklany dach i zaciągnięte szarymi chmurami niebo. Rozłożył moje włosy niczym wachlarz, pozostawiając pojedyncze długie pasma na ramionach i dekolcie.

Spędzaliśmy ze sobą całe dni i większą część nocy. A gdy w końcu odkładał pędzle, zabierał mnie z powrotem na Seven Dials, tylko po to, by wrócić po mnie o świcie. Rozmawialiśmy o wszystkim i rozmowy te niczym igła w rękach wprawnej szwaczki spletały rozmaite nici naszego życia, tak że łączyły nas historie, które nawzajem sobie opowiadaliśmy. Powiedziałam mu prawdę o swoich rodzicach, o warsztacie ojca i jego cudach, o wycieczkach do Greenwich i puszce, do której próbowałam pochwycić światło. O Bładym Joe i naszej niezwyklej przyjaźni, o pani Mack i Kapitanie, Małej Zagubionej

Dziewczynce i parze białych dziecięcych rękawiczek. Zdradziłam mu swoje prawdziwe imię.

Przyjaciele Edwarda zauważyli jego nieobecność. Znany był z tego, że obsesyjnie poświęcał się pracy i opuszczał Londyn na długie tygodnie, wyjeżdżał w poszukiwaniu inspiracji w podróże, które rodzina nazywała czule „wojażami”; ale jego całkowite zniknięcie na początku 1862 roku było inne. Nie przerywał pracy nawet po to, by napisać i wysłać list, nie uczestniczył też w cotygodniowych spotkaniach Bractwa Magenta w barze przy Queen’s Larder.

W marcu, kiedy *Śpiąca królowna* była prawie ukończona, przedstawił mnie pozostałym. Spotkaliśmy się u Felixa i Adele Bernardów przy Tottenham Court Road, w domu z prostą ceglana fasadą, za którą skrywały się wnętrza godne bohemy. Na ścianach pomalowanych na bordowo i granatowo wisiały oprawione w ramy ogromne obrazy olejne i odbitki fotograficzne. W misternie zdobionych kandelabrach płonęły setki świec, które rzucały na ściany roztańczone cienie, a powietrze było gęste od dymu i żarliwych rozmów.

– A więc to ty – rzekł Thurston Holmes, gdy Edward przedstawił nas sobie po raz drugi. Podniósł moją dłoń do ust, jak wtedy w Królewskiej Akademii. I tym razem poczułam w żołądku nieprzyjemny ucisk, jak gdyby własne ciało kazało mi się wystrzeżać tego człowieka.

Wówczas niewiele rzeczy było w stanie mnie wystraszyć. Dorastanie w Seven Dials może wyleczyć człowieka z lęków, ale Thurston Holmes mnie przerażał. Był człowiekiem, który zawsze stawiał na swoim i nie pragnął rzeczy materialnych, lecz miał obsesję na punkcie tego, czego nie mógł mieć. Bywał okrutny – czasami nieświadomie, a czasem celowo. Raz byłam świadkiem, jak uraził Adele Bernard zjadliwym komentarzem na temat jej wczesnych prób fotografowania, po czym ze złośliwym uśmiechem rozparł się w fotelu.

Thurston interesował się mną tak długo, jak długo stanowiłam dla niego wyzwanie; byłam niczym skarb, który pragnął odebrać Edwardowi. Wiedziałam o tym, ale nie miałam pojęcia, do czego jest zdolny, tak jak nie wiedziałam, że dla własnej rozrywki jest gotów unieszczęśliwiać innych.

Czasami myślę, że mogłam nie dopuścić do tego, co wydarzyło się latem 1862 roku, gdybym tamtego listopadowego wieczoru po wystawie w Akademii Królewskiej poszła z Thurstonem albo – przynajmniej – uraczyła go jakimś komplementem. Wszyscy jednak dokonujemy wyborów, lepszych lub gorszych, a ja dokonałam właśnie takiego. Odrzucałam jego prośby, żebym pozwoliła mu się namalować, pilnowałam, byśmy nigdy nie zostawali sami, i unikałam go jak ognia. Przez większość czasu był dyskretny i naprzykrzał mi się tylko wtedy, gdy inni nie słyszeli. Tylko raz wyprowadził Edwarda z równowagi; nie wiem, co mu powiedział, ale przez tydzień chodził z podbitym okiem.

Tymczasem pani Mack była szczęśliwa, regularnie otrzymywała bowiem wpłaty za moje usługi, a Martin musiał się pogodzić z takim stanem rzeczy. Mimo to przy każdej okazji wyrażał dezaprobatę i czasami, gdy nocą opuszczaliśmy pracownię Edwarda, kątem oka widziałam ruch świadczący o tym, że Martin czai się gdzieś po drugiej stronie ulicy. Jego względy nie przeszkadzały mi jednak, dopóki trzymał się ode mnie z daleka.

Matka Edwarda nie miała nic przeciwko naszej znajomości. Kiedy wystawiona w kwietniu 1862 roku *Śpiąca królowna* została entuzjastycznie przyjęta przez krytykę i nagle wokół Edwarda zaroilo się od potencjalnych mecenasów, zaczęła snuć marzenia o wielkim finansowym sukcesie syna, ale martwiła się, bo nie zabrał się od razu do pracy, jak to miał w zwyczaju. Po wystawie na przemian pogrążał się w rozmyślaniach z nieobecny wyrazem twarzy albo wściekle rysował coś w swoim notatniku. Zmotywowana jakością jego ostatnich prac i świadoma tego, że jej własna przyszłość zależy od sukcesu syna, dniami i nocami nękała go, by wrócił do pracowni, i raczyła mnie ciasteczkami i herbatą, jak gdyby bała się, że bez tego wrócę do miejsca, z którego przyszłam.

Co do Fanny, to oprócz zdawkowego skinienia głową na wystawie *Śpiącej królowny*, widziałam ją tylko raz, kiedy przyszła z matką na podwieczorek do pani Radcliffe i wyszły do ogrodu, by podziwiać artystę przy pracy. Stały za plecami Edwarda. Fanny puszyła się w nowej satynowej sukni. „Boże – zachwycała się – czyż te kolory nie są piękne?” Słyszając to, Edward spojrzał mi w oczy z takim ciepłem i tęsknotą, że na chwilę straciłam oddech.

Czy uwierzycie mi, jeśli powiem, że w ciągu tych wszystkich miesięcy Edward i ja ani razu nie rozmawialiśmy o Fanny? I nie chodzi o to, że unikaliśmy tego tematu. Wiem, że brzmi to naiwnie, ale w ogóle nie zaprzataliśmy sobie nią głowy. Mieliśmy tyle innych tematów do rozmów, że ona wydawała się nieistotna. Oto jak samolubni są kochankowie.

To jedna z rzeczy, których żałuję i do których bezustannie wracam myślami, zastanawiając się, jak mogłam być taka niemądra. Powinnam była przewidzieć, że Fanny nie dopuści do tego, by Edward tak po prostu ją zostawił. Byłam zaślepiona, podobnie jak on, świadomością tego, że nie mamy wyboru i musimy być razem. Żadne z nas nie brało pod uwagę, że inni mogą nie chcieć się z tym pogodzić.

\*

Wróciła!

Elodie Winslow, archiwistka z Londynu, strażniczka pamięci o Jamesie Strattonie i właścicielka szkicownika Edwarda.

Widzę ją przy budce, jak próbuje kupić bilet wejściowy do domu i ogrodu. Są jakieś problemy: widzę to w wyrazie jej twarzy i tym, jak wskazuje na zegarek. Ja również patrzę na zegar w dawnej słodowni i już wiem, o co chodzi.

I nie myślę się; kiedy staję obok niej, słyszę, jak mówi:

– Byłabym wcześniej, niestety, miałam spotkanie. Przyjechałam tu prosto z niego, ale taksówka wlokła się za jakąś maszyną rolniczą, bo tutejsze drogi są tak wąskie, że nie mogła jej wyprzedzić.

– Bardzo mi przykro – mówi wolontariusz, który jeśli wierzyć plakietce, nazywa się Roger Westbury. – Wpuszczamy tylko określoną liczbę osób. A dzisiaj mamy już komplet. Zapraszamy w przyszły weekend.

– Tylko że wtedy już mnie tu nie będzie. Muszę wracać do Londynu.

– Przykro mi to słyszeć, ale proszę mnie zrozumieć. Musimy chronić dom. Nie możemy pozwolić, żeby zbyt wiele osób zwiedzało go w tym samym czasie.

Młoda kobieta patrzy na mur otaczający posiadłość i widoczne ponad nim bliźniacze szczyty domu. Na jej twarzy maluje się bezbrzeżna tęsknota i widząc ją, przysięgam sobie, że zafunduję Rogerowi Westbury'emu wyjątkowo paskudną zimę. Chwilę później odwraca się w jego stronę i mówi:

– Ale chyba mogę kupić kubek herbaty?

– Oczywiście. Restauracja jest zaraz z tyłu, w tej długiej stodole nieopodal potoku Hafodsted. Tuż obok jest sklep z pamiątkami. Może kupi pani też torbę albo plakat.

Elodie kieruje się ku stodole, jednak w połowie drogi zamiast w lewo skręca w prawo i wślizguje się przez furtkę z kutego żelaza wprost do ogrodu.

Idzie ścieżką, a ja podążam jej śladem. Wyczuwam w zachowaniu tej młodej kobiety pewną zmianę. Nie wyciąga szkicownika Edwarda, a marzycielski wyraz zniknął z jej twarzy. Lekko marszczy brwi i mam niejasne wrażenie, że wypatruje czegoś konkretnego. Nie przyszła tu, żeby podziwiać róże.

Właściwie unika najładniejszych części ogrodu i idzie wzdłuż muru porośniętego bluszczem. Zatrzymuje się i przez chwilę szpera w torebce, a ja wstrzymuję oddech i czekam, czy wyciągnie szkicownik.

Ona jednak wyjmuje fotografię. Kolorowe zdjęcie mężczyzny i kobiety siedzących razem w zagajniku pośród zieleni.

Podnosi zdjęcie i patrzy na mur. Wygląda na to, że nie jest zadowolona z porównania, bo chwilę później opuszcza dłoń i idzie dalej ścieżką za róg domu i obok rosnącego za nim kasztanowca. Zbliżyła się do kwatery Jacka, a ja nie mogę pozwolić, by dowiedziała się czegoś więcej bez mojej wiedzy. Zerka w stronę kuchni, gdzie wczoraj widziała, jak Jack zeskrobuje do zlewu resztki przypalonej zapiekanki. Dostrzegam, że się waha. Potrzebuje zachęty, a ja z chęcią dodam jej odwagi.

*No, dalej – ponaglam ją. – Co masz do stracenia? Może nawet znowu wpuści cię do domu?*

Elodie podchodzi do drzwi dawnej słodowni i puka.

Tymczasem Jack, który przesiaduje do późna w nocy i kiepsko sypia, drzemie w najlepsze.

Nie chcę, żeby odeszła z niczym, więc klękam przy nim i z całej siły dmucham mu do ucha. Jack zrywa się i drży – akurat w chwili, gdy Elodie puka po raz drugi.

Chwiejnym krokiem podchodzi do drzwi i uchyla je.

– Dzień dobry – mówi Elodie. Najwyraźniej się domyśla, że chwilę temu wstał, bo dodaje pospiesznie: – Przepraszam, że przeszkadzam. Pan tu mieszka?

– Tymczasowo.

Jack nie mówi nic więcej, a ona jest zbyt uprzejma, by zadawać dalsze pytania.

– Przepraszam, że znów pana niepokoję, ale wczoraj był pan tak uprzejmy. Zastanawiałam się, czy pozwoli mi pan jeszcze raz rozejrzeć się po domu.

– Jest otwarty. – Jack wskazuje głową wychodzącą tylnymi drzwiami grupę turystów.

– Tak, ale pański kolega w budce z biletami twierdzi, że o tej porze nie może mnie już wpuścić.

– Tak? Co za służbista!

Elodie uśmiecha się zaskoczona.

– Też tak pomyślałam. Ale pan sprawia wrażenie mniej... drobiazgowego.

– Proszę posłuchać, wpuściłbym panią o każdej porze, ale nie mogę. Mój... kolega... poinformował mnie wcześniej, że zamierza zostać dziś dłużej i nadzorować jakieś naprawy. Co gorsza, jutro rano tu będzie, żeby upewnić się, że wszystkie meble wróciły na swoje miejsce.

– Och...

– Jeśli wróci pani jutro w południe, nie powinno być problemu.

– W południe. – Elodie kiwa głową w zamyśleniu. – O jedenastej mam spotkanie, ale zaraz potem mogę przyjechać prosto do Birchwood.

– Świetnie.

– Świetnie. – Znowu się uśmiecha, ale widać, że jest zdenerwowana. – Cóż, dziękuję. W takim razie jeszcze trochę pochodzę po ogrodzie. Dopóki mnie nie wyproszą.

– Może się pani nie spieszyć – mówi Jack. – Nie pozwolę im tego zrobić.



\*

Dochodzi osiemnasta i wolontariusze odprowadzają ostatnich zwiedzających do bramy. Jack widzi ją, jak siedzi na ławce ogrodowej przy murku oddzielającym trawnik od sadu. Nalał piwo do dwóch szklanek i podaje jej jedną.

– Powiedziałem koledze, że kuzynka wpadła do mnie z wizytą.

– Dziękuję.

– Wyglądała pani, jakby chciała tu jeszcze posiedzieć. – Siada na trawie. – Na zdrowie.

– Na zdrowie. – Ona uśmiecha się i upija łyk piwa. Milczą przez chwilę, po czym Elodie dodaje: – To piękne miejsce. Wiedziała, że takie będzie.

Jack nie odpowiada.

– Nie zawsze jestem taka... – Elodie wzrusza ramionami. – To był dziwny dzień. Wcześniej miałam spotkanie i dużo o nim myślałam. Jutro po południu wracam do Londynu, a czuję, że nie zrobiłam tego, po co tu przyjechałam.

Chcę, żeby Jack podjął rozmowę, żeby zapytał ją, po co tu przyjechała, on jednak nie ulega moim podszeptom i tym razem ma rację, bo Elodie mówi niepytana.

– Dostałam to niedawno. – Wręcza mu fotografię.

– Ładne – mówi Jack. – To ktoś, kogo pani zna?

– Moja matka. Lauren Adler.

Jack niepewnie kręci głową.

– Była wiolonczelistką, dość znaną.

– A to pani ojciec?

– Nie. To amerykański skrzypek. Grali razem na koncercie w Bath i w drodze powrotnej do Londynu zatrzymali się na lunch. Miałam nadzieję, że znajdę miejsce, w którym siedzą na zdjęciu.

Oddaje jej fotografię.

– Tutaj zatrzymali się na lunch?

– Tak myślę. Próbuję to ustalić. Moja babcia mieszkała w tym domu przez kilka lat. Ona i jej rodzina musieli opuścić Londyn po tym, jak ich dom został zbombardowany w czasie nalotów. Miała wtedy jedenaście lat. Babcia Bea nie

żyje, ale jej brat, mój cioteczny dziadek, opowiedział mi, że tydzień przed tym, jak zrobiono to zdjęcie, moja mama przyszła się z nim zobaczyć i pytała o adres posiadłości.

– Po co?

– Właśnie tego próbuję się dowiedzieć. Mamy w rodzinie pewną opowieść... a w zasadzie bajkę, przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Dopiero niedawno dowiedziałam się, że jest osadzona w prawdziwym domu. Mój cioteczny dziadek twierdzi, że miał tu przyjaciółkę, która opowiedziała mu tę historię, gdy był chłopcem. On opowiedział ją mojej mamie, a ona mnie. Jest dla nas wyjątkowa, tak jak ten dom. Nawet teraz, kiedy tu siedzę, czuję się trochę tak, jakby był mój. Rozumiem, dlaczego matka chciała odwiedzić to miejsce, ale nie rozumiem, dlaczego właśnie wtedy. Po co spotkała się ze swoim wujkiem i przyjechała tutaj krótko po rozmowie z nim?

A zatem jest wnuczką siostry Tipa, a Tip wciąż żyje i nadal pamięta historię, którą mu opowiedziałam. Gdybym miała serce, poczułabym w nim ciepło. Inne wspomnienia rozchodzą się wokół mnie jak zmarszczki na wodzie, kiedy Elodie opowiada o swojej matce wiolonczelistce i zdjęciu dwojga młodych ludzi na tle bluszczu. Pamiętam ich. Pamiętam wszystko. Wspomnienia są jak klejnoty w kalejdoskopie, który Błady Joe trzymał na półce z zabawkami: szkiełka, które, gdy się je poruszy, za każdym razem układają się w inne, lecz powiązane ze sobą wzory.

Elodie kolejny raz patrzy na zdjęcie.

– Moja matka zginęła tuż po tym, jak je zrobiono.

– Przykro mi.

– To było dawno temu.

– I tak jest mi przykro. Przekonałem się, że smutek nie ma limitu czasu.

– Racja. W każdym razie mam szczęście, że to zdjęcie trafiło w moje ręce. Fotografka, która je zrobiła, jest teraz sławna, ale wtedy niewielu o niej słyszało. Natknęła się na nich przypadkiem. Nie wiedziała, kim są, kiedy robiła to zdjęcie. Po prostu spodobało jej się to, jak wyglądali.

– Piękna fotografia.

– Byłam pewna, że jeśli przeszukam cały ogród, zobaczę je, to miejsce, i może wtedy będę wiedziała, co tamtego dnia myślała moja matka. Dlaczego

tak zależało jej na zdobyciu tego adresu. I po co tu przyjechała.

Niewypowiedziane słowa „z nim” uleciały w powietrze i zniknęły.

W tej samej chwili dzwoni jej telefon. Dźwięk brzmi irytująco głośno i nienaturalnie. Elodie zerka na ekran, ale nie odbiera.

– Przepraszam – mówi i pospiesznie kręci głową. – Zwykle nie jestem taka... wylewna.

– W końcu od czego są krewni? – rzuca Jack.

Elodie śmieje się i dopija piwo. Oddaje mu szklankę i mówi, że zobaczą się jutro.

– A przy okazji, mam na imię Jack.

– Elodie.

Po tych słowach chowa zdjęcie do torebki i odchodzi.

\*

Odkąd sobie poszła, Jack jest zamyślony. Stolarz przez cały wieczór kręcił się po domu, beztrosko stukając młotkiem, aż w końcu po kilku godzinach Jack poszedł zapytać, czy może mu w czymś pomóc. Okazało się, że jest zręczny. Stolarz chętnie przystał na jego propozycję i pracowali razem przez kolejne dwie godziny. Podoba mi się to, że zrobił coś dla domu, coś, co pozostanie tu długo po tym, jak stąd wyjedzie.

Zjadł na kolację tosta z masłem, a następnie zadzwonił do ojca do Australii. Tym razem nie było żadnej rocznicy, o której mogliby porozmawiać, więc przez pierwsze pięć minut rozmowa niezbyt się kleiła.

– Pamiętasz, jak świetnie się wspinał, tato? Pamiętasz, jak Tygrys utknął na mangowcu i musiał wejść na drzewo, żeby go ściągnąć?

Kim jest „on” i dlaczego Jack jest smutny, kiedy o nim mówi? Czemu głos więźnie mu w gardle, a on wygląda jak zagubione dziecko?

Te pytania nie dają mi spokoju.

Teraz śpi. W domu panuje cisza. Tylko ja snuję się po pokojach i właśnie weszłam do sypialni Juliet, gdzie na ścianie wisi portret Fanny.

W swojej nowej zielonej sukience patrzy wprost na malarza. Wygląda dokładnie tak jak wiosną, kiedy poznała Edwarda. Stoi w eleganckim pokoju

umeblowanym w stylu, jaki lubił jej ojciec. Okno, przy którym stoi, jest otwarte – to typowa dla Edwarda dbałość o szczegóły, jego umiejętność – dzięki czemu można poczuć świeżość powietrza na prawym przedramieniu Fanny. Adamaszkowe zasłony w różnych odcieniach bordo i kremu tworzą ramy dla zastygłego w czasie sielskiego krajobrazu.

Ale to światło, światło, zawsze światło sprawiało, że dzieła Edwarda ożywały.

Krytycy twierdzili, że obraz Fanny to coś więcej niż portret – że to komentarz na temat zestawienia młodości i ponadczasowości, społeczeństwa i świata natury.

Edwardowi podobały się te aluzje i niewykluczone, że to właśnie miał na myśli, kiedy stał przy sztaludze. Wiadomo na pewno, że obraz ten spełniał dwie funkcje. Roztaczający się z okna widok na spalone słońcem pole jest niesamowity, przynajmniej do czasu, gdy człowiek zauważy widoczną w oddali – i niemal ukrytą za kępą drzew – lokomotywę z czterema wagonami.

To nie przypadek. Obraz Fanny w zielonej aksamitnej sukni został wykonany na zlecenie jej ojca z okazji jej osiemnastych urodzin i lokomotywa była niewątpliwie ukłonem w jego stronę. Inicjatorką tego pomysłu była z całą pewnością matka Edwarda; jej ambicje wobec syna wydawały się jasne jak słońce, a Richard Brown był jednym z „królów kolei”, człowiekiem, który zbił majątek na produkcji stali i rozwinął swoją działalność, gdy linie kolejowe powstawały w Anglii jak grzyby po deszczu.

Pan Brown ubóstwiał córkę. Czytałam rozmowę z nim w raportach policyjnych, w których posiadanie wszedł Leonard, kiedy pisał swoją pracę. Śmierć Fanny wstrząsnęła jej ojcem do głębi i postanowił zadbać o to, by pamięci o córce nie zszargały jakiejkolwiek plotki o zerwanych zaręczynach, a tym bardziej o innej kobiecie, która pojawiła się w życiu Edwarda. Ojciec Fanny był wpływowym człowiekiem. Wymazał mnie z kart opowieści do czasu, aż Leonard zaczął węszyć. Oto do czego jest zdolny kochający ojciec.

Rodzice i dzieci. Najprostsza relacja na świecie, a jednak najbardziej złożona. Jedno pokolenie przekazuje drugiemu walizkę pełną pomieszanych

elementów z różnych układanek, które zgromadzili z czasem, i mówi: „Zobacz, co zdołasz z nich ułożyć”.

Właśnie dlatego myślałam o Elodie. Jest w niej coś, co przypomina mi Błatego Joe. Pierwszy raz zauważyłam to wczoraj: sposób, w jaki przedstawiła się Jackowi, i to, jak odpowiadała na jego pytania. Była rozważna w swoich wypowiedziach i słuchała go z uwagą – po części dlatego, by docenić to, co mówił i o co pytał, a po części z obawy, że nie sprostą jego oczekiwaniom. Błady Joe był taki sam. W jego przypadku była to wina ojca. Myślę, że często tak się dzieje w rodzinach, w których pierwородni noszą imiona ojców i mają być tacy jak oni, zając ich miejsce i kontynuować dynastię.

Błady Joe był dumny z ojca, ważnego człowieka w kręgach rządowych i politycznych, a także zagorzałego kolekcjonera dzieł sztuki. Wiele razy, kiedy odwiedzałam Błatego Joe w pokoju na poddaszu, a jego rodziców nie było akurat w domu, oprowadzał mnie po wielkim domu z widokiem na Lincoln's Inn Fields. Jakież to było cudowne miejsce! Jego ojciec podróżował po świecie i przywoził do domu rozmaite cuda: tygrys stał obok egipskiego sarkofagu, na którym leżała uśmiechnięta szyderczo ocalała z Pompejów brązowa maska, a koło niej stały japońskie rzeźby rozmaitych kształtów i rozmiarów. Były tu fryzy ze starożytnej Grecji i włoskie obrazy z epoki renesansu, dzieła pędzla Turnera i Hogartha, a nawet kolekcja średniowiecznych manuskryptów, w tym kopia *Opowieści kanterberyjskich* wydanych ponoć wcześniej niż te z biblioteki hrabiego Ellesmere. Czasami, gdy ojciec gościł wielkiego naukowca czy artystę, Błady Joe i ja zakradaliśmy się na dół, by posłuchać, o czym rozprawiają.

Dom został przeprojektowany, by pomieścić długie korytarze, nazywane przez Błatego Joe „galeriami”, podtrzymywane przez szpalery kolumn i łukowate sklepienia, między którymi wisiały oprawne w ramy malowidła i stały półki pełne rozmaitych skarbów. Czasami, kiedy w nieskończoność odwlekaliśmy moje wyjście, Błady Joe mówił, żebym pochodziła po domu i znalazła jakąś błyskotkę, którą mogłam pokazać jako trofeum pani Mack. Ktoś mógłby pomyśleć, że kradzież tak rzadkich i cennych przedmiotów wywoływała we mnie poczucie winy, ale Błady Joe wielokrotnie przypominał

mi, że wiele z nich już dawno temu zostało skradzionych ich pierwotnym właścicielom.

Chciałabym wiedzieć, co się stało z Bładym Joe. Czy poślubił kobietę, do której nawiązał tamtej nocy na poddaszu, kiedy mówił o nieodwzajemnionej miłości? Czy w końcu znalazł sposób, by zdobyć jej serce i uświadomić jej, że nie znajdzie lepszego mężczyzny? Oddałabym wszystko, żeby poznać prawdę. Chciałabym też wiedzieć, kim został, w którą stronę skierował swoją energię i pasję. Błady Joe był bowiem dumny z ojca, ale obawiał się tego, że nie sprostą jego oczekiwaniom. Musicie wiedzieć, że pozwalał mi kraść drobiazgi z kolekcji ojca z tego samego powodu, dla którego jako dziecko nie chciał używać odziedziczonego po nim imienia: takie drobne nieposłuszeństwa pod nosem posągowej figury ojca sprawiały mu frajdę.

Błady Joe, Ada, Juliet, Tip... Pani Mack знаła wiele powiedzeń o ptakach, jak choćby to, że lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu. Pamiętam człowieka, który regularnie kupował gołębie w sklepie na dole przy Little White Lion Street. Prowadził firmę kurierską: jego ptaki wysyłano daleko, by przynosiły pilne wiadomości, albowiem gołębie zawsze wracają do domu. Kiedy pani Mack mówiła o tym, że lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu, miała na myśli to, że lepiej cieszyć się tym, co mamy, niż ubolewać nad tym, co nigdy nie będzie nasze.

I tak oto moje gołębie powoli wracają do domu, a ja czuję, że zbliżam się do końca swojej opowieści. Od tej pory wszystko bowiem potoczyło się błyskawicznie.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

## *Lato 2017*

Pokój, który Elodie wynajęła w Łabędzie, mieścił się na pierwszym piętrze, na końcu korytarza. Było tam witrażowe okno, z którego roztaczał się widok na Tamizę, i szeroki parapet. To właśnie na nim siedziała wśród książek i papierów, jedząc kanapkę, którą kupiła na lunch, a którą – jak uznała – równie dobrze mogła zjeść na kolację. Uwadze Elodie nie umknęło to, że dokładnie tydzień temu siedziała w oknie swojego londyńskiego mieszkania i z matczynym welonem na głowie spoglądała na tę samą rzekę, która w milczeniu toczyła swe wody w stronę morza.

Od tego czasu wiele się wydarzyło. Po pierwsze, zamieszkała w wynajętym pokoiku w małej wiosce Birchwood i odkąd przyjechała tu wczoraj po południu, była w posiadłości nie jeden, ale dwa razy. Dzisiejszy dzień nieco ją rozczarował: chodząc po domu weselnym należącym do przyjaciółki Penelope i uprzejmie podziwiając tkaniny dekoracyjne we wszystkich odcieniach zieleni, marzyła tylko o tym, żeby wrócić do Birchwood. Wyszła stamtąd najszybciej, jak mogła, obiecując, że wróci jutro o jedenastej, zadzwoniła po miejscową taksówkę i starała się nie krzyczeć z wściekłości, gdy ta wlokła się dziesięć mil na godzinę za ogromnych rozmiarów maszyną rolniczą.

Nie dotarła do Birchwood przed zamknięciem posiadłości, ale przynajmniej udało jej się wejść do ogrodu. Dzięki Bogu za Jacka, który wprawdzie nie był pracownikiem muzeum, ale najwyraźniej pełnił tam jakąś funkcję. Poznała go wczoraj, kiedy przyjechawszy pociągiem z Londynu, udała się do posiadłości. Wpuścił ją do środka i gdy tylko przekroczyła próg, poczuła, że po raz pierwszy od dawna jest dokładnie tam, gdzie powinna być.

Miała dziwne wrażenie, że coś ciągnie ją w głąb domu, jak gdyby sam budynek zapraszał ją do środka. Była to nedorzeczna myśl, która niewątpliwie miała usprawiedliwić fakt, że wchodząc tam, Elodie dopuszczała się wykroczenia.

Zdążyła zjeść kanapkę, kiedy zadzwonił telefon i na ekranie pojawiło się imię Alastaira. Nie odebrała – słuchała dzwonka i czekała, aż umilknie. Na pewno dzwonił po to, żeby kolejny raz powiedzieć jej, jak bardzo zdenerwowana jest Penelope, i poprosić, by jeszcze raz rozważyła kwestię muzyki. Kiedy powiadomiła go o swojej decyzji, po drugiej stronie zapadła cisza. W pierwszej chwili Elodie pomyślała, że połączenie zostało przerwane, lecz chwilę później usłyszała, jak narzeczony mówi:

– Żartujesz?

– Nie, ja...

– Posłuchaj. – Zaśmiał się nerwowo, przekonany, że doszło do nieporozumienia i niebawem wszystko się wyjaśni. – Myślę, że chyba nie możesz się już wycofać. To nie fair.

– Nie fair?

– Wobec mamy. Bardzo się przejęła doborem nagrań. Powiedziała już wszystkim swoim przyjaciółkom. To ją dobije.

– Ja po prostu... nie czuję się z tym dobrze.

– Na pewno nie znajdziemy lepszej artystki. – W słuchawce rozległ się hałas i Elodie usłyszała, jak Alastair zapewnia kogoś, że zaraz przyjdzie. – Posłuchaj – rzucił po chwili – muszę lecieć. Zostawmy to na razie, porozmawiamy, jak wrócę do Londynu, w porządku?

I zanim zdążyła odpowiedzieć, że nie, wcale nie jest w porządku – podjęła decyzję i dalsze rozmowy nie miały sensu – rozłączył się.

Teraz, gdy była sama w cichym hotelowym pokoju, miała wrażenie, że coś ciąży jej na sercu. Może po prostu była zmęczona i przytłoczona tym wszystkim. Chciała porozmawiać z kimś, kto utwierdziłby ją w przekonaniu, że tak właśnie jest, i zapewnił, że wszystko będzie dobrze. W pierwszej kolejności pomyślała o Pippie, ale obawiała się, że przyjaciółka nie powie jej tego, co chciałaby usłyszeć. I co wtedy? Miałaby w głowie potworny chaos,



a Elodie nie lubiła chaosu. Całe jej życie kręciło się wokół tego, by go wyeliminować i przywrócić rzeczom należyty porządek.

Dlatego postanowiła nie myśleć o Alastairze i zaczęła przeglądać artykuły. Przyniósł je Tip, który ni stąd, ni zowąd pojawił się w czwartek przed jej mieszkaniem. Przyjechał na swoim starym niebieskim rowerze, kiedy wróciła z pracy, zdjął z ramienia płócienny worek i wręczył go jej.

– Artykuły mojej matki – oznajmił. – Napisała je, kiedy mieszkaliśmy w Birchwood.

W worku znalazła wysłużoną papierową teczkę z zapisanymi na maszynie kartkami i okazałą kolekcję wycinków z gazet. Obok artykułów widniało nazwisko Juliet Wright, prababki Elodie.

– *Listy z Laneway* – przeczytała.

– Mama pisała je podczas wojny. Po jej śmierci dostała je twoja babcia Bea, a potem ja. To chyba właściwy czas, żeby ci je przekazać.

Elodie była poruszona tym gestem. Pamiętała prababkę, Juliet, jak przez mgłę: kiedy miała mniej więcej pięć lat, razem z rodzicami odwiedziła staruszkę w domu spokojnej starości. Zapamiętała jej białe jak śnieg włosy. Teraz zapytała Tipa, jaka była.

– Cudowna. Mądra i zabawna. Bywała też opryskliwa, ale nigdy nie wobec nas. Wyglądała jak Lauren Bacall, gdyby Lauren Bacall była dziennikarką w Londynie w latach czterdziestych dwudziestego wieku, a nie hollywoodzką gwiazdą. Zawsze nosiła spodnie. Kochała mojego ojca. Kochała Beę, Reda i mnie.

– Nie wyszła ponownie za mąż?

– Nie. Ale miała mnóstwo przyjaciół. Ludzi, którzy znali mojego ojca, aktorów. Poza tym uwielbiała pisać i otrzymywać listy. Właśnie taką ją widzę, kiedy o niej myślę: jak siedzi przy biurku i pisze.

Elodie zaprosiła go na górę na filiżankę herbaty. Miała wiele pytań, które nie dawały jej spokoju, odkąd w weekend odwiedziła go w pracowni, zwłaszcza po tym, jak Pippa dała jej zdjęcie zrobione przez Caroline. Pokazała je Tipowi, wyjaśniła, gdzie i kiedy zostało zrobione, i przyglądała mu się z uwagą, próbując wyczytać coś z jego twarzy.

– Poznajesz to miejsce?

Pokręcił głową.

– Nie ma tu zbyt wiele szczegółów. Mogło być zrobione wszędzie.

Była przekonana, że nie mówi jej wszystkiego.

– Myślę, że w drodze powrotnej do Londynu zatrzymali się w posiadłości Birchwood. Ten dom był dla niej wyjątkowym miejscem i wygląda na to, że towarzyszący jej mężczyzna również był kimś wyjątkowym.

Tip oddał fotografię, nie patrząc jej w oczy.

– Powinnaś zapytać o to ojca.

– I złamać mu serce? Wiesz, że płacze za każdym razem, gdy o niej wspomina.

– Kochał ją. A ona kochała jego. Byli najlepszymi przyjaciółmi.

– Ale go zdradziła.

– Tego nie wiesz.

– Nie jestem dzieckiem, Tip.

– A zatem widziałaś dość, by wiedzieć, że życie bywa skomplikowane. Rzeczy nie zawsze są takie, jakie się wydają.

Jego słowa zabrzmiały jak echo słów, które lata temu wypowiedział jej tata: o tym, że życie jest długie i niełatwo być człowiekiem.

Zmienili temat, ale wychodząc, Tip powtórzył jeszcze raz, że powinna porozmawiać z ojcem. Powiedział to stanowczo, przez co jego słowa zabrzmiały jak rozkaz.

– Może cię zaskoczyć – dodał.

Elodie nie była tego pewna, ale po powrocie do Londynu zamierzała jeszcze raz odwiedzić Tipa. W czwartek powstrzymała się od wypytywania go o kobietę w bieli, czuła bowiem, że naciskała go wystarczająco mocno, ale tego ranka przy śniadaniu, kiedy czytała artykuły Juliet, coś ją zaniepokoiło.

Zacząła przeglądać zawartość teczki w poszukiwaniu jednego z artykułów. Większość *Listów z Laneway* opisywała historie z życia miejscowej społeczności, ale Elodie znalazła też takie, w których Juliet pisała o własnej rodzinie. Niektóre były wzruszające, inne niezmiernie smutne, a jeszcze inne – choć tych było najmniej – zabawne. Juliet była jednym z tych autorów, którzy tak naprawdę nigdy nie znikają – na każdym etapie tekst należał do niej i tylko do niej.

W pewnym momencie, w artykule o decyzji, by przygarnąć bezpańskiego psa, napisała: *Teraz jest nas w domu pięcioro. Ja, trójka moich dzieci i rudowłosa kobieta w białej sukni wymyślona przez mojego syna i tak dla niego realna, że konsultuje z nią każdą rodzinną decyzję. Ma na imię Birdie i dzięki Bogu, podobnie jak mój syn uwielbia czworonogi, choć nie omieszkała oświadczyć, że wolałaby starszego, lepiej ułożonego psa. To opinia, z którą w pełni się zgadzam, i tak zarówno ona, jak i Pan Rufus, nasz artretyczny dziewięcioletni kundelek, mogą z nami pozostać tak długo, jak będą chcieli.*

Elodie jeszcze raz przeczytała ten fragment. Juliet pisała o wyimaginowanej przyjaciółce syna, ale opis był zadziwiająco podobny do kobiety ze zdjęcia. Wspominała również, że jej syn nazywał ową przyjaciółkę Birdie. List, który Elodie znalazła za oprawionym w ramkę zdjęciem modelki Radcliffe'a, był zaadresowany do Jamesa Strattona i podpisany *BB*.

Elodie nawet przez chwilę nie przyszło do głowy, że wymyślona przez Tipa przyjaciółka okaże się przydatna w rozwikłaniu tajemnicy, ale po tym, jak dwukrotnie przeczytała książkę Leonarda Gilberta, którą dała jej Pippa, zaczęła się zastanawiać, czy nie da się jakoś racjonalnie wytłumaczyć istnienia tajemniczej przyjaciółki Tipa. Może zobaczył w dzieciństwie fotografię kobiety albo nawet zaginiony obraz? Notatnik Edwarda zawierał wstępne szkice, które sugerowały, że zamierzał rozpocząć pracę nad nowym portretem przedstawiającym jego modelkę, „Lily Millington”. A jeśli zaginione dzieło przez cały czas znajdowało się w posiadłości Birchwood, gdzie odkrył je mały Tip?

Nie było sensu wydzwaniać do niego – nie lubił rozmawiać przez telefon, a ostatni numer, jaki miała do niego, był tak stary, że miał o jedną cyfrę mniej od obecnych – postanowiła jednak, że odwiedzi go w pracowni tak szybko, jak jej się uda.

Ziewnęła, zeszła z parapetu i z książką Leonarda położyła się do łóżka. Zafascynowanie Leonarda Birchwood było niemal namacalne, nawet gdy pisał o uwielbieniu, jakim darzył to miejsce Edward Radcliffe.

W książce było zdjęcie domu zrobione latem 1928 roku, kiedy Leonard Gilbert mieszkał w posiadłości. Dom wyglądał wówczas lepiej; drzewa były niższe, a fotografię zrobiono tak, że nawet niebo zdawało się mniejsze.

Zamieszczono też wcześniejsze zdjęcia: z lata 1862 roku, kiedy do Birchwood przyjechał Edward Radcliffe wraz z grupą przyjaciół. Nie były to jednak typowe wiktoriańskie portrety. Przedstawieni na nich ludzie spoglądali na Elodie poprzez czas; miała dziwne wrażenie, że ją obserwują. Podobnie czuła się w domu, gdzie kilkakrotnie obejrzała się za siebie, spodziewając się, że zobaczy Jacka.

Przez chwilę czytała rozdział poświęcony Lily Millington i jej domniemanej roli w kradzieży Błękitu Radcliffe'ów. Znalazła też późniejszy, opublikowany w 1938 roku, artykuł Leonarda Gilberta, który po rozmowie z „anonimowym informatorem” wycofywał się ze swojej pierwotnej teorii. Tekst ten był jednak rzadko cytowany, jako że nie wnosił do historii niczego więcej poza dalszymi wątpliwościami.

Elodie nie знаła się na kamieniach szlachetnych, miałyby trudności z odróżnieniem bezcennego brylantu od jego szklanego odpowiednika. Spojrzała na własną rękę opartą na książce Leonarda. Kiedy Alastair włożył jej na palec pierścionek z brylantem, powiedział, że już nigdy nie może go zdejmować. W pierwszej chwili pomyślała, że to takie romantyczne, a wtedy on dodał: „Brylant tej wielkości? Jest zbyt drogi, żeby go ubezpieczyć!”.

Od tamtej pory wartość pierścionka zaręczynowego nie dawała jej spokoju. Czasami, wbrew temu, co mówił Alastair, zdejmowała go przed wyjściem do pracy i zostawiała w domu. Łapki podtrzymujące kamień zaczepiały o bawełniane rękawiczki i obawiała się, że kiedyś pierścionek wpadnie do jednego z pudeł i więcej go nie znajdzie. Zastanawiała się, gdzie go ukryć, aż w końcu wybrała szkatułkę z czasów dzieciństwa, w której mogła schować go pośród dziewczęcych błyskotek. Była w tym pewna ironia i Elodie uważała, że ukrywanie brylantu na widoku to świetny pomysł.

Zgasła lampkę przy łóżku i obserwując minuty na tarczy zegarka elektronicznego, które zmieniały się w ślimaczym tempie, rozmyślała o jutrzejszej wizycie w domu weselnym w Southrop. Obawiała się, że nie wytrzyma kolejnej paplaniny o „najszcześniejszym dniu” jej życia. Musiała zdążyć na pociąg o szesnastej. A jeśli każą jej oglądać zdjęcia z wystrojami sali i nie zdąży zajrzeć do posiadłości? Wykluczone. Zdecydowała, że narazi się na gniew Penelope i z samego rana odwoła spotkanie.

W końcu zasnęła przy wtórze chlupotu pobliskiej rzeki. Śniła o Leonardzie i Juliet, Edwardzie i Lily Millington, a także o tajemniczym Jacku, który wyczuł jej potrzebę wejścia do domu i był na tyle miły, by nie rozpytywać jej o matkę. I do którego – choć po przebudzeniu nigdy się do tego nie przyzna – coś ją ciągnęło.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Wiatr zmienił się w ciągu ostatnich trzydziestu minut. Jeszcze nie było południa, ale niebo pociemniało i Jack miał przeczucie, że wkrótce zacznie padać. Stał na skraju łąki i patrzył przez wizjer aparatu na drugi brzeg rzeki. Zrobił zbliżenie i skupił się na pałkach trzciny rosnących przy brzegu. Poprawił ostrość. Był tak skupiony, że nie zwracał uwagi na szum wody.

Nie zrobił zdjęcia. Wystarczyła mu chwilowa cisza.

Wiedział, że w pobliżu jest rzeka; w wytycznych, które otrzymał, była mapa posiadłości. Nie sądził jednak, że będzie ją słyszał w nocy, gdy tylko zamknie oczy.

Na tym odcinku była spokojna. Rozmawiał z gościem w barce, od którego dowiedział się, że po burzy prąd jest tutaj silny. Jack wysłuchał jego opowieści, ale w nią nie uwierzył: na Tamizie było zbyt wiele tam i śluz. Kiedyś może była niebezpieczna, ale dawno temu została poskromiona.

Wiedział co nieco o wodzie. Nieopodal domu, w którym dorastał, drogę przecinał strumień. Przez większość czasu pozostawał suchy, ale kiedy przychodziły deszcze, wypełniał się wodą w ciągu zaledwie kilku godzin. Wściekłe spienione wody przelewały się z rykiem dzień i noc.

Razem z bratem, Benem, przepływali przez bystrza na pontonie, wiedząc, że za kilka dni rwące potoki na powrót zmienią się w leniwą wąską stróżkę.

Ojciec zawsze ostrzegał ich przed pływaniem na pontonie i opowiadał im o dzieciakach, które podczas powodzi wpadały do rur spustowych. Ale Ben i Jack przewracali tylko oczami i kolejny raz nadmuchiwali ponton po tym, jak wykradli go z garażu. Nie przejmowali się strumieniem. Potrafili poradzić sobie w wodzie. Do czasu. Do tamtej powodzi w lecie, kiedy Ben miał jedenaście, a Jack dziewięć lat.

Daleko na horyzoncie niebo przecięła złocista błyskawica i po rzece przetoczył się niski pomruk burzy. Jack zerknął na zegarek i zobaczył, że zbliża się południe. Dziwną atmosferę potęgował nieziemski półmrok, który zawsze poprzedzał nadciągającą burzę.

Jack odwrócił się i ruszył w stronę domu. Przecinając łąkę, zauważył, że stolarz zostawił włączone światło w pokoju na poddaszu, i zanotował w pamięci, że musi je zgasić, kiedy otworzy dom dla Elodie.

Czekała na niego, kiedy dotarł do drogi dla powozów i zobaczył furtkę z kutego żelaza. Podniosła rękę, żeby pomachać na powitanie, a gdy się uśmiechnęła, Jack poczuł ten sam dreszcz podniecenia co poprzedniego wieczoru.

Uważał, że to wina domu. Źle sypiał i podejrzewał, że nie tylko z powodu kiepskiego materaca. Odkąd tu przyjechał, miewał dziwne sny i choć nie był to temat do rozmów w miejscowym pubie, miał wrażenie, że ktoś go obserwuje.

Chyba tylko myszy, pomyślał rozbawiony.

Wiedział jednak, że to nieprawda. Uczucie to przypominało mu pierwsze tygodnie bycia zakochanym, kiedy każde spojrzenie zdawało się skrywać tajemnicę, a najmniejszy nawet uśmiech powodował w brzuchu przyjemne łaskotanie.

Skarcił się w duchu za to, że niepotrzebnie komplikuje sobie życie. Przyjechał tu, żeby przekonać Sarah, że powinna mu dać jeszcze jedną szansę. I żeby znaleźć zagubiony brylant. Jeśli ten w ogóle istniał. Co było raczej wątpliwe.

Kiedy podszedł bliżej, zauważył, że Elodie ma ze sobą walizkę.

– Wprowadzasz się?! – zawołał.

Oblała się rumieńcem. Jack uznał, że to urocze.

– Wracam do Londynu – odparła.

– Gdzie zaparkowałaś?

– Jadę pociągiem. Za cztery godziny muszę być na stacji.

– Więc pewnie będziesz chciała rozejrzeć się po domu. – Wskazał głową furtkę. – Chodź. Otworzę ci.

\*

Jack miał zacząć się pakować, ale po tym, jak wpuścił Elodie do domu, postanowił ostatni raz przejrzeć papiery, które przysłała mu Rosalind Wheeler. Na wypadek gdyby coś przeoczył. Rosalind Wheeler nie była szczególnie miła, a poszukiwania wydawały się z góry skazane na niepowodzenie, ale wynajęła go, a Jack nie lubił zawodzić klientów.

Była to jedna z rzeczy, które pod koniec często powtarzała mu Sarah: „Musisz przestać próbować być bohaterem dla wszystkich naokoło, Jack. To nie zwróci Benowi życia”. Nienawidził, kiedy tak mówiła, ale teraz wiedział, że miała rację. Przez całą swoją karierę, przez całe dorosłe życie uganiał się za czymś, co pozwoli mu zapomnieć o zdjęciach, które po powodzi ukazywały się we wszystkich gazetach. O wielkim zdjęciu, na którym był on z wytrzeszczonymi z przerażenia oczami, opatulony elektrycznym kocem, kiedy wnoszono go do karetki. I mniejszym szkolnym zdjęciu Bena, które tata kazał mu zrobić kilka miesięcy wcześniej – z włosami zaczesanymi starannie na jedną stronę. Artykuły prasowe obsadziły ich w konkretnych rolach, które przygniotły ich obu jak betonowe płyty: Jack, chłopiec, którego uratowano. I Ben, mały bohater, który powiedział do ratownika: „Niech pan zajmie się najpierw moim młodszym bratem”, zanim zabrała go woda.

Jack zerknął w stronę drzwi. Minęło pół godziny, odkąd wpuścił Elodie do domu, a on wciąż nie mógł się skupić. Kiedy wyłączał alarm, stała z boku, a gdy otworzył drzwi, podziękowała mu. Zanim przeszła przez próg, zawahała się jeszcze i powiedziała:

- Nie pracujesz dla muzeum, prawda?
- Nie.
- Jesteś studentem?
- Detektywem.
- Z policji?
- Kiedyś pracowałem w policji. Ale teraz już nie.

Nie powiedział nic więcej – nie uważał za konieczne mówić jej, że zmienił pracę z powodu kryzysu małżeńskiego – a ona nie pytała. Po chwili ciszy pokiwała głową i zniknęła w głębi domu.



Od tamtej pory Jack walczył z przemożną chęcią, żeby pójść tam za nią. Niezależnie od tego, ile razy czytał notatki na pierwszej stronie, jego myśli uparcie krążyły wokół Elodie. Zastanawiał się, co robi, gdzie teraz się znajduje i który pokój zwiedza. W pewnym momencie wstał i podszedł do drzwi domu, zanim dotarło do niego, co właściwie robi.

W końcu postanowił zaparzyć herbaty, tylko po to, żeby zająć czymś głowę i przetrwać oczekiwanie. Wrzucał torebkę do kubka, kiedy wyczuł za plecami jej obecność.

Domyślał się, że przyszła się pożegnać, i zanim zdążyła się odezwać, rzucił:

– Herbaty? Właśnie zagotowałem wodę.

– Czemu nie. – Wydawała się zaskoczona, nie wiedział tylko, czy zaproszeniem, czy tym, że je przyjęła. – Z odrobiną mleka poproszę. I bez cukru.

Wyjął drugi kubek, ostrożnie wybierając taki, który nie miał przebarwień. Kiedy herbata była gotowa, podszedł do miejsca, w którym stała, na biegnącej wokół domu brukowanej ścieżce.

Podziękowała mu i zauważyła:

– Nic nie pachnie tak cudnie jak nadciągająca burza.

Przyznał jej rację i oboje usiedli na skraju ścieżki.

– A więc – zaczęła, upiwszy pierwszy łyk – po co detektyw otwiera wytrychem zamki w muzeum?

– Ktoś wynajął mnie, żebym coś znalazł.

– Jesteś jak poszukiwacz skarbów? Masz mapę i inne wskazówki? A skarb znajduje się w miejscu oznaczonym krzyżykiem?

– Coś w tym stylu. Ale bez krzyżyka. Dlatego to takie nużące.

– A czego konkretnie szukasz?

Jack się zawahał, myśląc o umowie poufności, do której podpisania zmusiła go Rosalind Wheeler. Nie miał nic przeciwko łamaniu zasad, ale nie lubił łamać danego słowa. Lubiał jednak Elodie i miał wrażenie, że powinien jej powiedzieć.

– Wiesz, że kobieta, która mnie wynajęła, mogłaby mnie zabić za to, że ci to powiedziałam.

– Tym bardziej jestem zaintrygowana.

– Czyli nie obchodzi cię moje życie.

– A jeśli obiecuję, że nikomu nie powiem? Zawsze dotrzymuję obietnicy.

Do diabła z Rosalind Wheeler! Wprost nie mógł się doczekać, żeby wyjawic prawdę tej dziewczynie.

– Szukam kamienia. Niebieskiego brylantu.

Spojrzała na niego zdumiona.

– Chyba nie Błękitu Radcliffe'ów?

– Czego?

Elodie otworzyła plecak i wyjęła z niego starą książkę z pożółkłymi stronami.

– *Edward Radcliffe: jego życie i miłości* – przeczytał Jack. – Widziałem to nazwisko na cmentarzu.

– To był jego dom, a Błękit Radcliffe'ów, jak sama nazwa wskazuje, należał do jego rodziny.

– Nie słyszałem, żeby ktoś go tak nazywał. Moja klientka twierdzi, że brylant należał do jej babki, niejakiej Ady Lovegrove.

Pokręciła głową na znak, że to nazwisko nic jej nie mówi.

– W tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim roku – zaczęła – Edward Radcliffe zabrał Błękit z rodzinnego sejfu, żeby jego muza, Lily Millington, mogła pozować z nim do obrazu. Historia głosi, że Lily ukradła klejnot i zbiegła do Ameryki, łamiąc przy tym Radcliffe'owi serce. – Ostrożnie przerzucała kartki, aż znalazła umieszczoną w środku kolorową ilustrację. Wskazała palcem na obraz zatytułowany *La Belle*. – To ona. Lily Millington. Modelka Edwarda Radcliffe'a i jego wielka miłość.

Obraz wydał się Jackowi znajomy i dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że przecież widział go wielokrotnie, był bowiem nadrukowany na co najmniej połowie toreb, z którymi zwiedzający wychodzili w soboty ze sklepiku z pamiątkami.

Elodie podała mu fotografię, którą z niemal nabożną czcią wyjęła z torebki – zdjęcie kobiety z obrazu, ale tym razem wyglądała nie jak bogini, lecz jak zwykła śmiertelniczka. Była piękna, ale miała w sobie coś pociągającego, w sposobie, w jaki wpatrywała się w fotografa. Jack poczuł dziwny niepokój, zupełnie jakby patrzył na zdjęcie kogoś, kogo zna. I na kim mu zależy.

– Skąd je masz?

Zniecierpliwienie w jego głosie zaskoczyło Elodie; uniosła lekko brwi.

– Znalazłam w pracy. Było oprawione w ramkę i należało do Jamesa Strattona, człowieka, którego archiwa prowadzę.

Jack nigdy dotąd nie słyszał o Jamesie Strattonie, ale kolejne słowa niemal same cisnęły mu się na usta.

– Opowiedz mi o nim – poprosił. – Czym się zajmował? Co takiego zrobił, że warto archiwizować jego rzeczy?

Zastanowiła się przez chwilę.

– Nikt nigdy nie pyta mnie o Jamesa Strattona – odparła.

– Mnie zaciekał. – Jack nie potrafił tego wytłumaczyć, ale czuł autentyczną ciekawość.

Elodie spojrzała na niego wciąż lekko zdumiona, ale wyraźnie zadowolona.

– Pochodził z niezwykle zamożnej i wpływowej rodziny, był nie tylko odnoszącym sukcesy biznesmenem, ale również reformatorem społecznym.

– To znaczy?

– Przewodniczył wielu wiktoriańskim komitetom, których celem była poprawa życia najbiedniejszych, i naprawdę był skuteczny. Miał liczne koneksje, był niezwykle elokwentny, cierpliwy i zdeterminowany. Dobry i szczodry. Przyczynił się do uchwalenia ustaw, które zapewniały porzuconym dzieciom dach nad głową i ochronę. Pracował na każdym szczeblu: wywierał naciski na członków parlamentu, mobilizował zamożnych przedsiębiorców do wpłacania datków, a nawet rozdawał na ulicach jedzenie tym, których nie było na nie stać. Poświęcił swoje życie na pomaganie innym.

– Mówisz o nim, jakby był bohaterem.

– Bo był.

Jack czuł, że na usta ciśnie mu się kolejne pytanie.

– Co sprawiło, że ktoś, kto prowadził uprzywilejowane życie, tak bardzo zaangażował się w sprawy biednych?

– W dzieciństwie zaprzyjaźnił się z dziewczynką z nizin społecznych.

– Jak to możliwe?

– Przez długi czas nikt o tym nie wiedział. W swoich dziennikach nie wspomina o niej ani słowem. Wiemy o tym tylko dlatego, że czasami w swoich

przemówieniach nawiązywał do tej przyjaźni.

– I?

Elodie najwyraźniej była podekscytowana tym, co zamierzała mu powiedzieć, bo kiedy się uśmiechnęła, zauważył w jej oku błysk.

– Ostatnio czegoś się dowiedziałam. Jesteś pierwszą osobą, której o tym mówię. Z początku nie wiedziałam, o co chodzi, ale w końcu zrozumiałam. – Kolejny raz sięgnęła do plecaka i wyciągnęła z papierowej teczki plastikową koszulkę. W środku znajdował się list napisany dawno temu na eleganckim papierze. Zagięcia świadczyły o tym, że przez większość czasu był złożony.

Jack zaczął czytać:

*Mój najdroższy i jedyny J!*

*To, co muszę Ci wyznać, jest moją największą tajemnicą. Wyjeżdżam na jakiś czas do Ameryki i nie wiem, jak długo mnie nie będzie.*

*Z powodów, które zapewne zrozumiesz, nikomu o tym nie powiedziałam. Ale wyczekuję tej podróży z wielką radością i nadzieją.*

*Nie mogę powiedzieć teraz więcej, ale nie martw się, napiszę znowu, kiedy uznam, że to bezpieczne.*

*Ach, jakże będzie mi Ciebie brakowało, Najdroższy Przyjacielu! Nie wiesz nawet, jak bardzo się cieszę, że tamtego dnia, uciekając przed konstabłem, weszłam przez okno do Twojego pokoju, a Ty podarowałeś mi taumatrop.*

*Któż z nas mógłby przypuszczać, że tak się to skończy?*

*Najdroższy Joe, do listu dołączam fotografię – coś, dzięki czemu będziesz o mnie pamiętał. Będę tęskniła za Tobą bardziej, niż mogę sobie wyobrazić, a – jak sam wiesz – nie mówię takich rzeczy ot tak sobie.*

*Do zobaczenia*

*Twoja zawsze Ci wdzięczna i kochająca BB*

Jack podniósł wzrok.

– Nazywa go Joe. Nie James.

– Nie tylko ona. James Stratton używał prawdziwego imienia wyłącznie w sprawach urzędowych.

– A ten skrót BB? Co on oznacza?

Elodie pokręciła głową.

– Właśnie tego nie wiem. Ale cokolwiek oznacza, myślę, że kobieta, która napisała ten list, przyjaciółka Jamesa Strattona z dzieciństwa, wyrosła na modelkę ze zdjęcia i mężę Edwarda Radcliffe’a.

– Skąd ta pewność?

– Po pierwsze, znalazłam ten list ukryty w ramce ze zdjęciem. Po drugie, Leonard Gilbert odkrył, że modelka nie nazywała się naprawdę Lily Millington. A po trzecie...

– Podoba mi się ta teoria. Jest spójna.

– Miałam pewien problem. Ostatnio dowiedziałam się, że w tysiąc osiemset sześćdziesiątym siódmym roku Edward Radcliffe odwiedził Jamesa Strattona. Co więcej, oddał mu na przechowanie swoją cenną torbę na ramię i szkicownik. Jeszcze do niedawna nie miałam pojęcia, że się znali, i nie wiedziałam, co mogło ich łączyć.

– Teraz myślisz, że ona.

– Ja wiem, że to ona. Niczego w życiu nie byłam taka pewna. Czuję to, rozumiesz?

Jack pokiwał głową. Tak, rozumiał ją.

– Kimkolwiek ona jest, stanowi klucz.

Patrzył na zdjęcie.

– Nie sądzę, żeby to zrobiła. Mam na myśli kradzież klejnotu. Właściwie jestem tego pewien.

– Jesteś pewien, bo zobaczyłeś zdjęcie?

Zastanawiał się, jak wytłumaczyć tę nagłą pewność, która ogarnęła go, kiedy patrzył na kobietę z fotografii. Na szczęście nie musiał odpowiadać, bo Elodie się odezwała:

– Ja też nie sądzę, że to ona. Najwyraźniej Leonard Gilbert też w to nie wierzył. Kiedy czytałam jego książkę, miałam wrażenie, że nie do końca jest o tym przekonany, ale później znalazłam artykuł, który napisał w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku. Mówi w nim jasno i wyraźnie, że w rozmowie ze swoim źródłem zapytał wprost, czy jego zdaniem Lily

Millington miała coś wspólnego z włamaniem i kradzieżą, na co jego rozmówca odparł, że wie na pewno, że nie.

– A więc całkiem możliwe, że klejnot nadal tu jest, tak jak twierdziła babka mojej klientki.

– Wygląda na to, że wszystko jest możliwe, choć działo się to dawno temu. Co dokładnie ci powiedziała?

– Że jej babka zgubiła coś cennego i ma powody przypuszczać, że doszło do tego w angielskiej posiadłości.

– Tak powiedziała jej babka?

– W pewnym sensie. Miała udar, a kiedy zaczęła wracać do zdrowia i mogła znowu mówić, zaczęła opowiadać o swoim życiu, dzieciństwie i przeszłości. Wspomniała o brylancie, który był dla niej bardzo cenny, i o tym, że zostawiła go w budynku szkoły z internatem, w której ją umieszczono. Domyślałam się, że te opowieści były dość chaotyczne, ale po śmierci babki moja klientka znalazła w jej rzeczach osobistych pewne przedmioty, które jej zdaniem stanowiły trop.

– Dlaczego jej babka sama nie wróciła po kamień? Trochę to dziwne.

Jack musiał się z nią zgodzić.

– Do tej pory niczego nie znalazłem. Wiem za to, że babka mojej klientki na pewno była w jakiś sposób związana z tym miejscem. Przekazała znaczny spadek ludziom, którzy prowadzą to muzeum, i dzięki temu mogli je otworzyć. Właśnie dlatego na prośbę mojej klientki mogłem się tu zatrzymać.

– Co im powiedziała?

– Że jestem fotoreporterem i że przyjechałem na dwa tygodnie, żeby zebrać materiały.

– Czyli nie ma problemu z naginaniem faktów.

Na myśl o Rosalind Wheeler Jack się uśmiechnął.

– Jestem pewien, że wierzy we wszystko, co mi powiedziała. Poza tym jest coś, co świadczy o tym, że jej teoria jest prawdziwa. – Sięgnął do kieszeni i wyjął kopię listu, który przesłała mu Rosalind Wheeler. – Napisała go Lucy Radcliffe, która musiała być...

– ...siostrą Edwarda.

– Tak. To list, który napisała do babki mojej klientki w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku.

Elodie przebiegła tekst wzrokiem, po czym zaczęła czytać na głos:

*– Bardzo zaniepokoił mnie Twój list. Nie obchodzi mnie, co widziałas w gazecie ani jak się przez to poczułaś. Proszę, żebyś tego nie robiła. Oczywiście, że możesz przyjechać do mnie w odwiedziny, ale nie zabieraj go z sobą. Nie chcę go. Nigdy więcej nie chcę widzieć go na oczy. Ja i moja rodzina mieliśmy przez niego same problemy. Jest Twój. Pamiętaj, że wbrew wszelkim przewidywaniom trafił w Twoje ręce i chcę, żebyś go zatrzymała. Myśl o nim jak o podarunku.* – Podniosła wzrok. – Ale nie możemy mieć pewności, że chodzi o kamień – powiedziała.

– Nie.

– Mogły rozmawiać o czymkolwiek.

Jack przyznał jej rację.

– Wiesz, co babka twojej klientki zobaczyła w gazecie? – spytała.

– Może coś, co miało związek z brylantem?

– Może. I pewnie moglibyśmy się tego dowiedzieć, ale na razie pozostają nam tylko domysły. To o tym mówiłeś, kiedy wspominałeś o mapie?

Jack zwrócił uwagę, że użyła słowa „my”, i podobało mu się to. Wstał, obiecał, że zaraz wróci, i poszedł po mapę, którą zostawił na łóżku w dawnej słodowni. Chwilę później był już na ścieżce i podał mapę Elodie.

– Moja klientka stworzyła ją na podstawie rzeczy osobistych Ady Lovegrove i tego, co mówiła po udarze.

Elodie rozłożyła mapę i w skupieniu zmarszczyła czoło. Nagle roześmiała się cicho.

– Boże, Jack, szkoda, że to właśnie ja muszę ci o tym powiedzieć, ale to nie jest mapa skarbu. To mapa z dziecięcej opowieści.

– Jakiej znowu opowieści?

– Pamiętasz, co mówiłam ci wczoraj? O historii, którą mój cioteczny dziadek usłyszał, kiedy jako chłopiec mieszkał w Birchwood? Tej, którą przekazał mojej mamie i którą ona przekazała mnie?

– Tak.

– Miejsca na tej mapie, polana w lesie, Kopiec Elfów, zakole rzeki, wszystkie pojawiają się w opowieści. – Uśmiechnęła się łagodnie i oddała mu mapę. – Babka twojej klientki miała udar, może po nim przypomniała sobie opowieść z dzieciństwa? – Przepraszająco wzruszyła ramionami. – Obawiam się, że nie mogę ci pomóc. Choć to fascynujące wiedzieć, że pani Lovegrove знаła naszą rodzinną opowieść.

– Coś mi mówi, że moja klientka bardziej ucieszyłaby się, gdybym przywiózł jej brylant.

– Przykro mi.

– To nie twoja wina. Jestem pewien, że nie chciałaś pozbawić starszej pani złudzeń.

Uśmiechnęła się.

– A skoro o tym mowa... – Zaczęła pakować rzeczy z powrotem do plecaka.

– Do odjazdu pociągu jeszcze trochę zostało.

– Tak, ale powinnam już iść. Zabrałam ci dość czasu. Jesteś zajęty.

– Masz rację. Pomyślałem, że jak rozgryzę tę mapę, zajrzę do starej szafy na górze i poszukam w niej drzwi do Narnii.

Elodie się roześmiała, co Jack poczytał sobie za osobiste zwycięstwo.

– Wiesz – postanowił zaryzykować – myślałem o tobie wczoraj wieczorem.

– Tak? – Zaczerwieniła się.

– Nadal masz przy sobie to zdjęcie? To, które pokazałaś mi wczoraj?

Nagle spoważniała.

– Domyślasz się, gdzie je zrobiono?

– Warto się rozejrzeć. Szukając wejścia do krainy wrózek, zajrzałem w każdy zakątek ogrodu.

Podawała mu fotografię i nieznacznie zacisnęła usta, jak gdyby miała nadzieję, że mimo wszystko będzie w stanie jej pomóc.

A Jack chciał jej pomóc. (*Musisz przestać próbować być bohaterem dla wszystkich naokoło, Jack*).

Prosząc ją o zdjęcie, chciał zyskać na czasie – miał nadzieję, że uda mu się ją zatrzymać – ale kiedy spojrzał na bluszcz, na fragment budynku i na to, jak padało światło, odpowiedź pojawiła się w jego głowie, jakby ktoś nagle podszeptnął mu ją do ucha.



– Jack? – spytała Elodie. – O co chodzi?

Uśmiechnął się i zwrócił jej zdjęcie.

– Masz ochotę na krótki spacer?

\*

Szli obok siebie przez cmentarz i zatrzymali się w jego odległym zakątku. Jack zerknął na Elodie i uśmiechnął się zachęcająco, a zaraz potem odszedł powoli, udając, że interesują go inne nagrobki.

Wstrzymała oddech. Jack miał rację, to było miejsce z fotografii. Od razu je rozpoznała, bo choć minęło dwadzieścia pięć lat, niewiele się zmieniło.

Spodziewała się, że ogarnie ją smutek. Może nawet złość.

Ale nic takiego się nie stało. To było piękne, pełne spokoju miejsce i ucieszyła ją myśl, że kobieta, której życie tak nagle się zakończyło, właśnie tutaj spędziła swoje ostatnie chwile.

Stojąc w spowitej bluszczem cmentarnej ciszy, pojęła, że matka i ona były dwoma różnymi kobietami. Że nie musi być jak ona i wiecznie się z nią porównywać. Lauren była utalentowana i piękna, ale Elodie wiedziała już, że nie to różniło je od siebie. Różniło je podejście do życia: podczas gdy matka żyła, jakby niczego się nie lękała, Elodie panicznie bała się porażki.

Nagle pomyślała, że może powinna nieraz odpuścić. Że może powinna spróbować i od czasu do czasu zakosztować goryczy porażki. Pogodzić się z faktem, że życie bywa chaotyczne i zdarza się, że ludzie popełniają błędy i – co więcej – nie zawsze są to prawdziwe błędy, bo życie składa się z niezliczonej ilości małych i dużych decyzji, które podejmujemy każdego dnia.

Nie znaczyło to, że lojalność nie jest ważna, bo Elodie uparcie wierzyła, że jest, lecz – może, ale tylko może – nie wszystko jest tak czarno-białe, jak jej się wydawało. Ojciec i Tip wielokrotnie próbowali jej powiedzieć, że życie jest długie, a niełatwo być człowiekiem.

Zresztą kim była, żeby to oceniać? Większość wczorajszego dnia spędziła w domu przyjęć, przytakując pełnej dobrych intencji kobiecie, która opowiadała o możliwościach ozdobienia sali, podczas gdy ona myślała tylko

o tym, żeby wrócić do posiadłości Birchwood i Australijczyka, który udawał pracownika muzeum.

Po tym, jak pierwszy raz pokazała mu zdjęcie zrobione przez Caroline, zastanawiała się, dlaczego tak bardzo się przed nim otworzyła. Tłumaczyła sobie, że to przez zmęczenie i pełen emocji dzień. Teoria wydawała się rozsądna i Elodie prawie w nią wierzyła, aż do dziś, kiedy zobaczyła go, jak idzie w jej stronę.

– Wszystko w porządku? – spytał, stając nagle u jej boku.

– Bardziej, niż mogłoby się wydawać.

Uśmiechnął się.

– W takim razie myślę, że powinniśmy się zbierać. – Spojrzał wymownie na niebo.

Pierwsze krople deszczu – wielkie i ciężkie – spadły, kiedy wychodzili z cmentarza.

– Nie przypuszczałem, że tak tu deszczowo – wyznał Jack.

– Żartujesz? Anglicy jak nikt znają się na deszczu.

Gdy się roześmiał, poczuła, że robi jej się lekko na sercu. Ramiona miał mokre i nagle poczuła przemożną chęć, żeby dotknąć jego nagiej skóry.

Bez słowa nagle wzięła go za rękę i oboje pobiegli w stronę domu.

## IX

Pada, a oni schronili się w środku. Nie jest to krótki ulewny deszcz, ale początek burzy. Przez całe popołudnie patrzyłam na nadciągające chmury, które kłębiły się w górnym biegu rzeki aż po widoczne w oddali góry. Za moich czasów w Birchwood często były burze, przyzwyczaiałam się więc do pełnej napięcia atmosfery, kiedy front zdaje się zasysać całe powietrze.

Ale tym razem jest inaczej.

Mam wrażenie, że coś się wydarzy.

Jestem niespokojna, zupełnie jakbym na coś czekała. Moje myśli skaczą to tu, to tam, płyną w potoku ostatniej rozmowy, przetaczając się po wygładzonych wodą kamieniach.

Myślałam o Lucy, która cierpiała potwornie po śmierci Edwarda. Cieszę się, że w końcu powiedziała Leonardowi, że nie byłam wiarołomną kochanką; nie dbam o to, co myślą o mnie inni, ale Leonard był dla mnie kimś ważnym i czuję ulgę, wiedząc, że poznał prawdę.

Myślałam też o Bładym Joe. Tak długo pragnęłam dowiedzieć się, co się z nim stało. Ach, jakaż jestem szczęśliwa i dumna, wiedząc, ile osiągnął! Mając świadomość, że zrobił należyty użytek ze swojej dobroci, wpływów i poczucia sprawiedliwości. To okrutne, że musiałam zniknąć z jego życia!

I jak zawsze, myślałam o Edwardzie i tamtej burzowej nocy, którą spędziliśmy tutaj, w tym domu, tak wiele lat temu.

Najbardziej tęsknię za nim w burzowe noce.

To on wpadł na pomysł, żebyśmy przed wyjazdem do Ameryki przyjechali na lato do tego domu, do jego ukochanej posiadłości w zakolu rzeki. Opowiedział mi o tym wieczorem w dniu swoich dwudziestych drugich urodzin, pośród cieni tańczących na ścianach pracowni.

– Mam coś dla ciebie – powiedział, a ja się roześmiałam, bo to on miał urodziny, nie ja. – Twoje są w przyszłym miesiącu – odparł, gdy zaczęłam protestować. – To już niedługo. Poza tym nie potrzebujemy powodów, żeby robić sobie niespodzianki.

Uparłam się jednak, że to ja pierwsza wręczę mu prezent, i z zapartym tchem patrzyłam, jak rozwija brązowy papier.

Przez dziesięć lat postępowałam dokładnie tak, jak radziła mi Lily Millington: co tydzień odkładałam część swoich zarobków w skrytce. Z początku nie wiedziałam, na co oszczędzam – robiłam to, bo tak kazała Lily – i prawdę mówiąc, nie miało to znaczenia, ponieważ sam fakt posiadania oszczędności daje człowiekowi poczucie bezpieczeństwa. Z czasem jednak, kiedy ojciec prosił w listach, bym była cierpliwa, złożyłam sobie obietnicę: jeśli nie ściągnie mnie do moich osiemnastych urodzin, kupię bilet do Ameryki i popłynę tam, żeby go odnaleźć.

Moje osiemnaste urodziny wypadły w styczniu 1862 roku i do tego czasu odłożyłam dość pieniędzy, by kupić jeden bilet, ale odkąd poznałam Edwarda, zaczęłam inaczej myśleć o przyszłości. Kiedy w kwietniu spotkałam się z Bładym Joe, zapytałam go, gdzie mogłabym kupić najwyższej jakości skórzany prezent, a on odesłał mnie do dostawcy swojego ojca, pana Simmsa przy Bond Street. To tam, w sklepie pachnącym przyprawami i tajemnicą, złożyłam zamówienie.

Mina Edwarda, kiedy zobaczył torbę, była warta każdego nieuczciwie zarobionego i odkładanego w tajemnicy pensa. Przez chwilę wodził palcami po skórze, z uwagą oglądał szwy i wytłoczone inicjały, a w końcu otworzył torbę i schował w niej szkicownik. Pasował jak ulał, tak jak myślałam. Założył torbę na ramię i od tamtego dnia nigdzie się bez niej nie ruszał.

Podszedł do mnie – jego bliskość sprawiła, że oddech uwiązał mi w gardle – i wyciągnął z kieszeni płaszcza kopertę.

– A to – odezwał się ściszym głosem – pierwsza połowa mojego prezentu dla ciebie.

Ach, jak dobrze mnie znał, jak bardzo mnie kochał, w kopercie znalazłam bowiem dwa bilety na statek, który w sierpniu wypływał do Ameryki.

– Ale, Edwardzie... pieniądze...

Pokręcił głową.

– *Śpiąca królewna* zachwyciła wszystkich. Wystawa odniosła wielki sukces i to wszystko dzięki tobie.

– Ale ja nic nie zrobiłam!

– Wręcz przeciwnie. – Nagle spoważniał. – Gdybym cię stracił, gdybyś zniknęła teraz z mojego życia, nie mógłbym malować.

Bilety wystawiono na pana i panią Radcliffe'ów.

– Nie musisz się tego obawiać – zapewniłam go.

– A gdy dotrzemy do Ameryki, znajdziemy twojego ojca.

Miałam gonitwę myśli, planowałam z wyprzedzeniem, przedzierając się przez gąszcz nowych możliwości, zastanawiałam się, jak najlepiej uwolnić się od pani Mack i Kapitana i co zrobić, żeby Martin dowiedział się o wszystkim w ostatniej chwili. Nagle zamarłam.

– Ale co z Fanny? – wykrztusiłam.

Między jego brwiami pojawiła się cienka zmarszczka.

– Będę musiał jej powiedzieć. Jakoś to zniesie. Jest młoda, śliczna i bogata, zalotnicy będą błagali o jej rękę. Z czasem zrozumie. Dla nas to kolejny powód, żeby wyjechać do Ameryki. Poczekamy, aż sprawy ucichną, a ona będzie miała czas wymyślić jakąś wiarygodną historię.

Edward nigdy nie mówił rzeczy, w które nie wierzyłby całym sercem. I tak też było w tym przypadku. Pocałował mnie w rękę, a kiedy się uśmiechnął, wydał mi się tak przekonujący, że mu uwierzyłam.

– A teraz – uśmiechnął się jeszcze szerzej, sięgając po leżącą na ławce dużą paczkę – druga połowa twojego prezentu.

Wolną ręką poprowadził mnie do rozrzuconych na podłodze poduszek i położył mi na kolanach zadziwiająco ciężki prezent. Uważnie, niemal ze strachem, patrzył, jak go otwieram.

Gdy zdjęłam ostatnią warstwę papieru, znalazłam pośród bibuły najpiękniejszy zegar ścienny, jaki w życiu widziałam. Obudowę i tarczę wykonano z drewna, cyfry rzymskie były inkrustowane złotem, a delikatne wskazówki zwężyły się na końcach.

Musnęłam dłonią gładką powierzchnię; blask stojącej obok świecy wydobywał z drewna słoje. Byłam poruszona. Odkąd zamieszkałam

u pani Mack, nie otrzymałam niczego, co należałoby wyłącznie do mnie, nie mówiąc już o czymś tak pięknym. Ale zegar był cenny nie tylko ze względu na jego materialną wartość. Ofiarowując mi go, Edward dowodził, że mnie zna i rozumie, kim naprawdę jestem.

– Podoba ci się? – spytał.

– Jest przepiękny.

– Kocham cię. – Pocałował mnie, ale po jego twarzy przemknął cień. – O co chodzi? Wyglądasz, jakbyś miała mieć przez niego kłopoty.

I właśnie tak się czułam. Chwilę po tym, jak otrzymałam zegar, odezwała się we mnie silna potrzeba, żeby go chronić; nie mogłam go zabrać na Seven Dials, wiedziałam bowiem, że pani Mack zaraz go wyceni.

– Myślę, że powinnam go powiesić tutaj – wyznałam.

– Mam inny pomysł. Właściwie jest coś, o czym muszę z tobą porozmawiać.

Edward już wcześniej wspominał o domu nad rzeką. Zauważyłam, że gdy to robił, na jego twarzy malowała się tęsknota, przez co czułam się zazdrosna, zupełnie jakby mówił o innej kobiecie. Ale tamtego wieczoru, kiedy powiedział, że chciałby pokazać mi ten dom, w jego twarzy było coś innego: wrażliwość, na widok której miałam ochotę wziąć go w ramiona i odegnąć wszystkie troski.

– Mam pomysł na kolejny obraz – wyznał w końcu.

– Opowiedz mi o nim.

To wówczas zdradził mi, co mu się przydarzyło, gdy miał czternaście lat; mówił o nocy w lesie, świetle w oknie na poddaszu i przekonaniu, że dom go ocalił. Kiedy go zapytałam, jak to możliwe, by dom ocalił chłopca, powtórzył mi prastare podanie o dzieciach z baśniowej krainy, które usłyszał od ogrodnika dziadka, o królowej elfów, która rzuciła czar ochronny na ziemię w zakolu rzeki i stojący na niej dom.

– Twój dom – szepnęłam.

– A teraz także twój. Tam powiesimy zegar, żeby odliczał dni, tygodnie, miesiące do naszego powrotu. Właściwie – uśmiechnął się – pomyślałem, że moglibyśmy zaprosić wszystkich do Birchwood i razem z nimi spędzić lato przed naszym wyjazdem do Ameryki. To będzie coś jak pożegnanie, chociaż oni nie będą o tym wiedzieć. Co ty na to?

Jak mogłam się nie zgodzić?

Chwilę później rozległo się pukanie do drzwi i Edward zawołał:

– Tak?!

To była jego młodsza siostra, Lucy. Omiotła wzrokiem pokój, zatrzymując spojrzenie na Edwardzie, na mnie, nowej torbie na jego ramieniu, papierze pakunkowym na podłodze i zegarze. Ale nie na biletach, bo choć tego nie zauważyłam, Edward zdążył je ukryć.

Już wcześniej zwróciłam uwagę na to, jak patrzy. Zawsze spostrzegawcza, jak gdyby notowała w pamięci każdy szczegół. Niektórym działało to na nerwy – druga siostra Edwarda, Clare, nie poświęcała jej zbyt wiele czasu – ale w Lucy było coś, co przypominało mi Lily Millington, prawdziwą Lily: inteligencja, która mnie rozczulała. Edward uwielbiał młodszą z sióstr i bezustannie karmił książkami jej głodny umysł.

– I co ty na to, Lucy? – zapytał z uśmiechem. – Jak ci się podoba pomysł, żeby spędzić lato na wsi? W domu nad rzeką... Może nawet będziemy mogli popływać łódką.

– W tym domu? – Rozpromieniła się i zerknęła w moją stronę. Wypowiedziała słowo „domu” z subtelnym naciskiem, jakby stanowił tajemnicę.

– Dokładnie tym samym – odparł ze śmiechem Edward.

– A jeśli mama...

– Nie martw się nią. Wszystkim się zajmę.

Na twarzy Lucy odmalował się zachwyt, który zupełnie zmienił jej rysy.

\*

Pamiętam wszystko.

Czas nie stanowi już dla mnie przeszkody, tak jak nie jest dla mnie przeszkodą doświadczanie czasu. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość są jednym. Potrafię zwolnić bieg wspomnień. Mogę znów to wszystko przeżywać.

Ale miesiące 1862 roku są inne. Bez względu na to, co robię, by je zatrzymać, nabierają prędkości. Są niczym moneta tocząca się ze szczytu

wzgórza – turlają się coraz szybciej i szybciej.

Kiedy Edward powiedział mi o Tamtej Nocy, drzewa w Hampstead dopiero puszczały pąki. Gałęzie były nagie, niebo niskie i szare, a gdy opowieść dobiegła końca, rozpoczynaliśmy lato w wiejskiej posiadłości Birchwood.



CZEŚĆ TRZECIA  
**Lato w Birchwood**

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

## *Lato 1862*

Lucy nigdy dotąd nie jechała pociągiem i przez pierwsze pół godziny po opuszczeniu stacji siedziała bez ruchu, próbując zdecydować, czy czuje wpływ, jaki prędkość wywiera na jej wnętrzości. Edward roześmiał się, kiedy spytała go, czy się boi, udała więc, że żartowała.

– Nasze wnętrzości są bezpieczne – zapewnił ją i delikatnie uścisnął za rękę. – Bardziej powinniśmy się martwić o czystość powietrza.

– Lepiej, żeby Fanny tego nie słyszała – wtrąciła Clare, która miała w zwyczaju podsłuchiwać.

Edward nachmurzył się, ale zbył jej uwagę milczeniem. Fakt, że ojciec Fanny zachęcał do budowy sieci kolejowej na terenie całej Anglii, nie podobał się Edwardowi, który wierzył, że naturę winno się cenić za to, jaka jest, a nie za bogactwa oferowane tym, którzy chcieli ją wykorzystywać. Był to dziwny pogląd – o czym Thurston często mu przypominał – zwłaszcza w ustach dżentelmena zamierzającego poślubić córkę człowieka, który dorobił się fortuny na budowie kolei. Przyjaciel matki, pan John Ruskin, posunął się o krok dalej niż Edward, ostrzegając, że doprowadzanie linii kolejowych do każdego zakątka świata zakrawa na szaleństwo. „Tylko głupcy chcą skracać przestrzeń i czas – oświadczył pewnego dnia, wychodząc z domu w Hampstead. – Człowiek mądry pragnie je wydłużyć”.

Po jakimś czasie Lucy przestała myśleć o swoich narządach wewnętrznych i rujnowaniu angielskiej wsi i urzeczona wyglądała przez okno. W pewnej chwili na torach obok pojawił się drugi pociąg, jadący w tym samym kierunku, i gdy zajrzała do jednego z jego przedziałów, odniosła wrażenie, że

pociąg, którym jadą, stoi nieruchomo. Przy oknie tamtego przedziału siedział mężczyzna i gdy ich oczy się spotkały, Lucy pomyślała o czasie, ruchu i prędkości i przyszło jej do głowy, że może wcale się nie poruszają, tylko ziemia pod ich stopami przemieszcza się gwałtownie. Nagle przestała ufać prawom fizyki, a w jej głowie pojawiły się dziesiątki nowych możliwości.

Poczuła chęć podzielenia się swoimi pomysłami, ale kiedy spojrzała na siedzących naprzeciw niej Felixa Bernarda z żoną Adele, jej euforia przygasła. Lucy ledwie знаła Adele, która zanim poślubiła Felixa, bywała w ich domu i pozowała Edwardowi. Można było ją podziwiać na czterech jego obrazach i przez jakiś czas była jedną z jego ulubienic. Później miała ambicje, żeby zostać fotografem. Adele i Felix pokłócili się o coś na stacji Paddington i teraz milczeli. Ona udawała, że czyta „English Woman’s Journal”, a on był równie pochłonięty swoim nowym aparatem.

Po drugiej stronie przejścia Clare robiła maślane oczy do Thurstona, co było częstym widokiem, odkąd poprosił ją, by pozowała mu do nowego obrazu. Wszyscy mówili, że Thurston jest przystojny, ale ze swoim dostojnym krokiem i masywnymi udami przypominał Lucy jednego z koni wyścigowych należących do jej dziadka. Thurston nie zwracał uwagi na Clare. Zamiast tego obserwował Edwarda i jego najnowszą mużę, Lily Millington. Lucy podążyła za wzrokiem Thurstona. Rozumiała jego zainteresowanie. W zachowaniu jej brata i Lily było coś osobliwego, jak gdyby poza nimi nie było w przedziale nikogo. Lucy też miała ochotę ich obserwować.

Nie znalazłszy nikogo, z kim mogłaby się podzielić swoimi przemyśleniami, zachowała je dla siebie. Uznała, że tak będzie najlepiej. Chciała zrobić dobre wrażenie na przyjaciółach Edwarda, a Clare twierdziła, że kiedy wygłasza swoje teorie na temat energii i materii, przestrzeni i czasu, brzmi jak osoba z przytułku dla obłąkanych. (Edward, naturalnie, był innego zdania. Mówił, że Lucy po to ma mózg, żeby go używać. Jego zdaniem ludzkość wykazywała się pychą, ignorując umysły i słowa przedstawicielek płci pięknej).

Lucy błagała matkę, by mogła mieć guwernantkę albo, jeszcze lepiej, pójść do szkoły, lecz matka tylko patrzyła na nią z niepokojem, dotykała dłonią jej czoła, sprawdzając, czy nie jest rozpalone, i tłumaczyła jej, że dobrze robi,

jeśli zapomni o tych nedorzecznych pomysłach. Raz zawołała nawet Lucy, by wysłuchała pana Ruskina, który goszcząc na herbacie, opowiadał, że kobieta ma intelekt nie po to, by „odkrywać czy tworzyć”, lecz by „nakazywać, ustalać i podejmować decyzje”.

Dzięki Bogu za Edwarda, który zaopatrywał ją w książki. Lucy właśnie czytała *Chemiczną historię świecy*, zawierającą sześć bożonarodzeniowych wykładów dla młodych ludzi, które Michael Faraday poprowadził w Royal Institution. Autor w fascynujący sposób mówił o płomieniach i spalaniu, cząsteczkach węgla i strefie świetlnej. Był to prezent od Edwarda, dlatego Lucy chłonęła każde słowo, choć, prawdę mówiąc, była to dość podstawowa wiedza. Książka leżała na jej kolanach, odkąd wyjechali ze stacji Paddington, ale Lucy nie mogła się zmusić, żeby ją otworzyć, i wołała rozmyślać o nadchodzącym lecie na wsi.

Cztery tygodnie w posiadłości Birchwood z Edwardem jako jej opiekunem! Odkąd matka zgodziła się na jej wyjazd, Lucy odliczała dni i skreślała je w kalendarzu. Wiedziała z dobrego źródła, że inne matki nie przystałyby na to, żeby ich trzynastoletnie córki spędziły lato w towarzystwie artystów i ich modelek, ale Bettina Radcliffe w niczym nie przypominała innych matek. Zdaniem dziadków Lucy jej matka była „ekscentryczką”, która po śmierci męża doprowadziła do perfekcji podróżowanie z innymi. Zamierzała spędzić lipiec w Amalfi i odwiedzić Neapol, gdzie jej przyjaciele, Potterowie, zbudowali dom. Była niezmiernie wdzięczna Edwardowi, gdy zaproponował, by Lucy spędziła lato z nim i jego przyjaciółmi w posiadłości Birchwood, znaczyło to bowiem, że nie będzie musiała korzystać z niechętej pomocy dziadków. „Kolejny kłopot mniej!” – zawołała radośnie i wróciła do pakowania.

\*

Był jeszcze jeden powód, dla którego Edward chciał wziąć ze sobą Lucy. Jej pierwszej powiedział o kupnie domu. Było to w styczniu 1861 roku, kiedy wyjechał na jeden ze swoich „wojaży” i nie wracał przez trzy tygodnie, cztery dni i dwie godziny. Lucy kolejny raz czytała *O powstawaniu gatunków* i leżała

na łóżku w pokoju, z okna którego roztaczał się widok na ulicę. Nagle na bruku rozbrzmiały znajome kroki. Rozpoznawała chód okolicznych mieszkańców: powłóczącego nogami postawnego mleczarza, zwawy krok drobnego kaszlącego kominiarza, drobne pospieszne kroczyki Clare i stukot matczynych obcasów. Najbardziej jednak lubiła stanowczy, pełen obietnic krok Edwarda.

Nie musiała wyglądać przez okno. Odrzuciła na bok książkę, zbiegła cztery piętra na dół i pomknęła korytarzem wprost w ramiona brata, który właśnie przestąpił przez próg. W wieku dwunastu lat Lucy była za duża na takie zachowania, ale przy swoim niewielkim wzroście i drobnej posturze mogła sobie na nie pozwolić, wiedziała bowiem, że Edward ją złapie. Uwielbiała go od najmłodszych lat. Nienawidziła, gdy wyjeżdżał i zostawiał ją w towarzystwie mamy i Clare. I choć zwykle nie było go tylko przez miesiąc, czas bez niego włókł się w nieskończoność, a lista rzeczy, które miała mu do powiedzenia, z każdym dniem robiła się coraz dłuższa.

Jeszcze gdy trzymał ją w ramionach, zaczęła zdawać mu raport. Słowa wylewały się z jej ust wartkim potokiem, jakby obawiała się, że nie zdąży opowiedzieć mu wszystkiego, co wydarzyło się od jego wyjazdu. Zwykle słuchał jej z uwagą, a kiedy kończyła, wręczał jej kolejny skarb, który nabył z myślą o niej – książkę z dziedziny fizyki, historii albo matematyki, które tak uwielbiała. Tym razem jednak przyłożył palec do jej ust, żeby ją uciszyć, i powiedział, że musi poczekać ze swoim sprawozdaniem, bo to on ma jej coś do powiedzenia. Twierdził, że zrobił coś niesamowitego i natychmiast musi się z nią tym podzielić.

Była zaintrygowana i szczęśliwa. Clare i matka były w domu, a jednak to ją, Lucy, Edward wybrał na swoją powierniczkę. Pławiła się w ciepłe jego słów jak w blasku słońca. Zeszła z nim do kuchni, jedyne miejsce, o którym wiedzieli, że nikt nie będzie im przeszkadzał, i to tam, przy zniszczonym nawoskowanym kuchennym stole, Edward opowiedział jej o domu, który kupił. Z bliźniaczymi szczytami, ogrodem, pobliską rzeką i zagajnikiem. Opis brzmiał znajomo, jeszcze zanim dodał: „To dom, który Tamtej Nocy uratował mi życie”.

Wstrzymała oddech, a na wzmiankę o Tamtej Nocy dostała gęziej skórki. Dobrze wiedziała, o jaki dom chodzi. Tamta Noc była ich tajemnicą. Kiedy to się zdarzyło, Lucy miała zaledwie pięć lat, ale wydarzenia Tamtej Nocy na dobre wryły się jej w pamięć. Nigdy nie zapomniała, jak dziwacznie zachowywał się brat, kiedy nazajutrz rano wrócił do domu; włosy miał w nieładzie, wzrok rozbiegany. Minął dzień, zanim w końcu był gotów o tym porozmawiać, ale opowiedział jej o wszystkim, kiedy ukryci przed światem siedzieli zamknięci w starej szafie na poddaszu domu Beechworth. Lucy była jedyną osobą, której się zwierzył. Zdradził jej swój największy sekret, co jeszcze bardziej ich do siebie zbliżyło.

– Zamieszkasz tam? – spytała w obawie, że może go utracić.

Roześmiał się i zmierzwił jej ciemne włosy.

– Na razie nie planuję niczego takiego. Powiedzą, że oszalałem, Lucy, i będą mieli rację. Ale ja wiem, że ty rozumiesz. Musiałem go kupić. Ten dom przyzywał mnie od Tamtej Nocy, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy. I teraz, w końcu, odpowiedziałem na jego wezwanie.

\*

Lily Millington zaśmiała się z czegoś, co powiedział Edward, i Lucy przyjrzała się uważniej modelce brata. Była piękna, ale Lucy podejrzewała, że gdyby nie Edward, nie wiedziałyby, jak bardzo jest piękna. To był jego dar – wszyscy to powtarzali. Widział to, czego inni nie dostrzegali, i malował obrazy tak, by widzieli to, co on. W swoich ostatnich *Zapiskach akademickich* pan Ruskin nazywał to „sensorycznym szwindlem Radcliffe’a”.

Lucy patrzyła, jak Edward odgarnął z twarzy Lily lśniący kosmyk rudych włosów, a gdy zatknął go jej za ucho, dziewczyna się uśmiechnęła. Ten uśmiech najwyraźniej miał związek z tym, o czym rozmawiali, i Lucy poczuła dziwny niepokój.

Kiedy pierwszy raz zobaczyła Lily Millington, modelka była niczym więcej jak smugą ognistej czerwieni w przeszklonej pracowni na końcu ogrodu. Było to w maju 1861 roku i Lucy, nieco krótkowzroczna, myślała, że patrzy na liście klonu japońskiego. Edward miał słabość do egzotycznych roślin i bezustannie

odwiedzał pana Romano na rogu Willow Road, by szkicować córki Włocha w zamian za sadzonki roślin sprowadzone z obu Ameryk, a nawet z antypodów. Była to jedna z ich wspólnych pasji, Lucy bowiem także uwielbiała tych zielonych gości z odległych stron, dzięki którym mogła zajrzeć do zupełnie innego świata.

Dopiero gdy matka kazała jej zanieść do pracowni tacę z dwiema filiżankami herbaty – nie z jedną! – Lucy uświadomiła sobie, że Edwardowi towarzyszy modelka, co natychmiast rozbudziło jej ciekawość, wiedziała bowiem, kim jest ta kobieta. Ktoś, kto mieszkał pod jednym dachem z Edwardem, nie mógł nie uczestniczyć we wzlotach i upadkach związanych z jego namiętnościami.

Kilka miesięcy wcześniej popadł w twórczą niemoc, z którą nie mógł sobie poradzić. Malował Adele, ale dotarł do punktu, w którym jej drobna, ładna twarz przestała go inspirować. „Nie chodzi o to, że mi się nie podoba – tłumaczył Lucy, krążąc po pracowni, podczas gdy ona siedziała w palisandrowym krześle przy kominku. – Po prostu ta jej śliczna buźka jest taka... bez wyrazu”.

Miał pewną teorię na temat piękna. Twierdził, że kształt nosa, kości policzkowych i ust, kolor oczu i drobne loczki na karku niewątpliwie wpływają na urodę, ale o tym, czy dana osoba promienieje – czy to na obrazie, czy na odbitce albuminowej – decyduje inteligencja. „Nie chodzi o to, by potrafiła wytłumaczyć działanie silnika albo poprowadzić wykład na temat działania telegrafu; chodzi o to, że niektórzy ludzie mają w sobie światło, coś, co fascynuje i przyciąga, i czego żaden artysta, nawet najbardziej utalentowany, nie zdoła podrobić”.

Pewnego ranka Edward wrócił do domu o świcie i w jego ruchach wyczuwało się wzburzenie. Mieszkańcy domu jeszcze spali, ale sam budynek – jak zwykle – odnotował jego pojawienie się. Pogrążony w bezruchu hol, zawsze wrażliwy na jego obecność, ożył, gdy Edward zawiesił płaszcz na wieszaku, a kiedy Lucy, Clare i matka pojawiły się w koszulach nocnych na szczycie schodów, rozłożył ramiona i ogłosił z szerokim uśmiechem, że znalazł ją, tę, której szukał.

Wydawało się, że cały dom odetchnął z ulgą, gdy zasiedli do śniadania przy kuchennym stole, żeby wysłuchać jego opowieści.

Prządki przeznaczenia, zaczął, w swej nieskończonej mądrości, postawiły ją na jego drodze na Drury Lane. Spędził wieczór w teatrze z Thurstonem Holmesem i to tam, w zatłoczonym i zadymionym foyer, zobaczył ją po raz pierwszy. (Później, przysłuchując się zakrapianej winem rozmowie między Edwardem i Thurstonem, Lucy wywnioskowała, że to Thurston pierwszy zwrócił uwagę na rudowłosą piękność. To on zauważył świetlne refleksy, które tańczyły we włosach młodej kobiety i sprawiały, że jej skóra zdawała się biała jak alabaster, i to on uświadomił sobie, że dziewczyna wygląda dokładnie jak z obrazu, który planował namalować jego przyjaciół. To Thurston pociągnął Edwarda za rękaw koszuli i odwrócił twarzą do siebie – przerywając rozmowę z człowiekiem, któremu Edward był winien pieniądze – po to, by na własne oczy zobaczyć piękność w granatowej sukni).

Edward był oczarowany. Nagle – jak twierdził – ujrzął swój obraz skończony i gotowy. Lecz z chwilą, gdy doznawał objawienia, kobieta odwróciła się do wyjścia. Widząc to, wiedziony nieznanym uczuciem, bez zastanowienia zaczął przeciskać się przez tłum. Wiedział tylko, że musi ją dogonić. Lawirując wśród gości, podążał za tajemniczą nieznajomą i wkrótce wybiegł za nią na ulicę. Dzięki Bogu, dodał, rozglądając się po twarzach siedzących przy stole kobiet, bo w wąskiej uliczce groziło jej niebezpieczeństwo. Kiedy bowiem przeciskał się w stronę wyjścia, jakiś niktzemnik w czerni wypatrzył na pustej ulicy samotną kobietę, podbiegł do niej i zerwał jej z nadgarstka bransoletkę.

Clare i matka wydały stłumione okrzyki strachu.

– Widziałeś go? – spytała Lucy.

– Spóźniłem się. Jej brat rzucił się za nim w pogoń, ale go nie złapał. Widząc mnie, pomyślał, że to ja okradłem jego siostrę i wróciłem dokończyć dzieła, zaczął więc krzyczeć: „Łapać go! Złodziej!”. Kiedy jednak wytłumaczyłem, że nie jestem złodziejem, uspokoił się.

W tej samej chwili kobieta odwróciła się, a gdy światło księżyca padło na jej twarz, Edward wiedział, że się nie pomylił i że w istocie była tą, której szukał.



– I co powiedziałaś? – dopytywała się Lucy, kiedy pokojówka przyniosła dzbanek z herbatą.

– Niestety, nie mam talentu do czułych wyznań – odparł. – Powiedziałem jej po prostu, że muszę ją namalować.

Clare uniosła brwi.

– A co ona na to?

– A przede wszystkim co na to jej brat? – wtrąciła matka.

– Był kompletnie zaskoczony. Zapytał, co mam na myśli, a ja wytłumaczyłem mu najlepiej, jak umiałem. Chyba nie brzmiałem zbyt przekonująco, bo wciąż byłem lekko oszołomiony.

– Powiedziałeś mu, że twoje obrazy wystawiano w Królewskiej Akademii? – spytała matka. – Że chwali cię sam pan Ruskin? Że twój dziadek ma tytuł szlachecki?

Edward odparł, że powiedział to wszystko i jeszcze więcej. Wyznał, że może nawet trochę przesadził, wymieniając wszystkie ziemie i tytuły, o których do tej pory wolał milczeć. zaproponował nawet, że jego matka, „lady” Radcliffe, złoży wizytę rodzicom dziewczyny i zapewni ich, że córka będzie w dobrych rękach.

– Czuję, że to ważne, mamo, zwłaszcza że jej brat powiedział jasno i wyraźnie, że najpierw muszą porozmawiać z rodzicami, bo przyzwoita dziewczyna może stracić reputację, pozując do obrazu.

Ustalono zatem datę spotkania i każdy poszedł w swoją stronę.

Po wszystkim Edward spacerował brzegiem rzeki, szkicując w myślach twarz dziewczyny. Był nią tak oczarowany, że zapodział gdzieś portfel i musiał wracać do Hampstead na piechotę.

Dobry humor Edwarda udzielał się wszystkim dookoła, kiedy więc mówił, siostry i matka słuchały go z uwagą. A gdy opowieść dobiegła końca, pani Radcliffe zapewniła go, że tak, oczywiście, złoży wizytę państwu Millingtonom i poręczy za syna. Natychmiast poleciła pokojówce zacerować najlepszą suknię i wynająć powóz.

Przy wtórze metalicznego świstu i w oparach dymu pociąg zaczął zwalniać. Lucy przycisnęła nos do szyby i zobaczyła, że zbliżają się do stacji. *Swindon* – głosił napis na szyldzie. A więc to tutaj wysiadali. Peronu strzegł wyglądający pedantycznie mężczyzna w mundurze i z lśniącem gwizdkiem, z którego często i chętnie korzystał. Bagażowi czekali na podróżnych.

Wysiadłszy, Edward i inni mężczyźni udali się prosto do przedziałów bagażowych, by odebrać walizki i przybory do malowania. Wszystko (oprócz bagażu Lucy, która nie chciała rozstawać się ze swoimi książkami) załadowano na zaprzężony w konie powóz i wysłano do wioski *Birchwood*. Lucy zakładała, że oni również pojedą powozem, lecz Edward oświadczył, że szkoda marnować taki piękny dzień, a poza tym lepiej podejść do domu od strony rzeki niż drogą.

Miał rację. To był cudowny dzień. Bezchmurne niebo przybrało barwę błękitu, jaką rzadko widuje się w Londynie, a powietrze pachniało trawą i rozgrzanym słońcem nawozem.

Edward szedł pierwszy. Nie trzymał się drogi, lecz prowadził ich kwiecistymi łąkami, żółtymi od jaskrów, różowymi od naparstnic, niebieskimi od niezapominajek i białymi od rosnących na każdym kroku trybuli leśnych. Od czasu do czasu natrafiali na strumień i musieli szukać bezpiecznych kamieni, by przejść po nich na drugą stronę.

Spacer był długi, ale nigdzie się nie spieszyli. Cztery godziny minęły szybko, zwłaszcza że po drodze zatrzymali się na lunch, popluskali się na płycznach nieopodal *Lechlade* i zrobili kilka przerw na szkicowanie. Śmiali się i żartowali. Felix wyciągnął z torby zawinięte w płótno truskawki i częstował wszystkich dookoła; Adele uplotła dla wszystkich dziewcząt – nawet dla Lucy – wianki, a *Thurston* zniknął na jakiś czas. Kiedy go znaleźli, spał na trawie pod wierzbą płaczącą, z kapeluszem naciągniętym na oczy. Gdy zrobiło się gorąco, Lily *Millington*, której długie włosy opadały na plecy, związała je w lśniący węzeł na czubku głowy i oplotła jedwabnym fularem Edwarda. Skórę na karku miała tak gładką i białą, że Lucy musiała odwrócić wzrok.

Nieopodal mostu *Halfpenny* zeszli schodami na brzeg i podążali wzdłuż rzeki na wschód, przy łące, na której wypasano bydło, a potem obok śluzy

Świętego Jana. Kiedy dotarli na skraj lasu, słońce powoli zaczęło opadać w stronę horyzontu. Edward uwielbiał mówić o świetle i Lucy wiedziała, co by powiedziała: że „utraciło swoją złocistość”. Lucy zawsze lubiła tę chwilę. Pozbawiony złocistego połysku świat wydawał się niebieski.

Edward mówił, że dom leży po drugiej stronie lasu. Upierał się, że za pierwszym razem najlepiej podejść do niego od strony rzeki, bo tylko tak można uchwycić jego prawdziwe proporcje. Było to sensowne wytłumaczenie, z którym inni nie zamierzali dyskutować, ale Lucy wiedziała, że bratu chodziło o coś więcej. W lesie znajdowała się polana, którą odwiedził Tamtej Nocy. Edward prowadził ich tą samą ścieżką, którą przebył, gdy uciekał wśród drzew i pól, pod rozgwieżdżonym niebem, aż w końcu zobaczył światło w oknie poddasza.

Przedzierali się przez las, idąc w milczeniu gęsiego. Lucy słuchała trzasku gałązek, szelestu liści pod stopami i dziwnych dźwięków, które od czasu do czasu rozlegały się w gęstwinie drzew. Gałęzie nie były tu proste. Rosły pod dziwnymi kątami i przywodziły na myśl splątane wstążki, a wyrastające spomiędzy paproci pnie drzew porastał mech. Wśród wiekowych dębów Lucy dostrzegła leszczyny i brzozy. Poprzecinane smugami światła powietrze zdawało się żywe i pełne wyczekiwania.

Gdy w końcu dotarli na polanę, miała wrażenie, że słyszy, jak liście wokół niej oddychają.

Nietrudno było sobie wyobrazić, jak upiornie musiało tu być po zachodzie słońca.

Mimo upływu czasu Lucy wciąż pamiętała, jak wyglądał Edward, kiedy po Tamtej Nocy w końcu wrócił do domu dziadków. Kiedy spojrzała w jego stronę, ciekawa, jak wpłynął na niego powrót do tego miejsca, zobaczyła, że trzyma Lily Millington za rękę.

Niebawem przecięli polanę i weszli do lasu po jej drugiej stronie, gdzie powietrze wydawało się nieco lżejsze.

Wdrapawszy się na zarośnięty brzeg lasu, wyszli na otwartą przestrzeń.

Przed nimi rozpościerała się usiana polnymi kwiatami łąka, a w oddali widać było dom z bliźniaczymi szczytami i imponującą liczbą kominów.

Edward odwrócił się. Na jego twarzy malował się radosny triumf i Lucy przyłapała się na tym, że ona również się uśmiecha.

Towarzysząca im w lesie atmosfera grozy opadła; nagle wszyscy zaczęli rozmawiać podekscytowanymi głosami, jakby na widok domu przypomnieli sobie o czekającym ich sielankowym lecie.

„Czy to prawda, że jest tu łódka?” – pytali. Edward odparł, że tak i że znajdują ją w stodole. Specjalnie kazał wybudować krótki pomost. „A jak daleko sięgają jego włości?” Aż po horyzont.

„Czy w domu są okna z widokiem na rzekę?” Wiele – na pierwszym piętrze mieści się mnóstwo pokoi, a na poddaszu znajdują kolejne.

Thurston krzyknął radośnie na całe gardło i goniony przez Felixa, rzucił się pędem w stronę domu. Clare i Adele wzięły się pod ręce i ruszyły za nimi. Edward pochwycił wzrok Lucy i puścił do niej oko.

– Pospiesz się, siostrzyczko – rzucił. – Wybierz dla siebie najlepszy pokój!

Lucy rozciągnęła usta w uśmiechu, pokiwała głową i dołączyła do pozostałych. Czuła się bardziej wolna i ożywiona niż zwykle, świadoma wiejskiego powietrza, które owiewało jej twarz, i ciepła popołudniowego słońca na skórze. Rozpierała ją radość, że może dzielić z bratem tę jakże ważną chwilę. Kiedy więc dotarła na skraj łąki, odwróciła się w jego stronę, by mu pomachać.

Ale on na nią nie patrzył. Razem z Lily Millington szedł wolno w stronę domu. Pogrążeni w rozmowie, nachylali się ku sobie, niemal stykając się głowami. Lucy czekała z nadzieją, że w końcu Edward ją dostrzeże; pomachała nawet, by zwrócić na siebie jego uwagę. Na próżno.

W końcu, rozczarowana, powlokła się do domu.

I pierwszy raz odkąd wczesnym rankiem wyruszyli ze stacji Paddington, zaczęła się zastanawiać, gdzie podziewa się narzeczona Edwarda, Fanny Brown.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Posiadłość Birchwood była jednym z tych miejsc, w których nici czasu naciągają się i pękają. Lucy zauważyła, jak szybko inni popadli w rutynę – jak gdyby mieszkali tu od zawsze – i zastanawiała się, czy to za sprawą pięknej słonecznej pogody, osobliwej grupy ludzi, których zgromadził wokół siebie Edward, czy może domu. Wiedziała, co powiedziałby na to brat. Odkąd ogrodnik dziadków opowiedział mu historię o magicznych dzieciach, był przekonany, że ziemia w zakolu rzeki jest zaklęta. Lucy szczyliła się swoim racjonalnym podejściem do życia, ale nawet ona musiała przyznać, że jest w tym domu coś niezwykłego.

Przed przyjazdem Edward zatrudnił młodą kobietę, niejaką Emmę Stearnes, która przychodziła wczesnym rankiem, a wieczorem po kolacji wracała do wsi. Pierwszego dnia, kiedy po ukwieconej łące szli w stronę domu, Emma czekała na nich. Postąpiła zgodnie ze wskazówkami, które Edward przekazał jej w liście, i w ogrodzie czekał na nich suto zastawiony żelazny stół nakryty białym lnianym obrusem. Na najniższych gałęziach kasztanowca wisiały szklane lampiony ze świecami, które zapalono o zmierzchu. Ich blask potęgował zapadający zmrok i po tym, jak opróżnili kilka butelek wina, Felix sięgnął po swoją gitarę. Adele zaczęła tańczyć, podczas gdy chór rudzików odprowadzał śpiewem dogasające światło dnia. W końcu Edward wszedł na stół i począł recytować *Jasna gwiazdo* Keatsa.

Tej nocy wszyscy spali jak zabici, a nazajutrz rano obudzili się w doskonałych humorach. Poprzedniego wieczoru byli zbyt zmęczeni, by zwiedzać posiadłość, więc teraz przechodzili z pokoju do pokoju, zachwycając się widokiem albo tym czy tamtym szczegółem. Uradowany ich reakcjami Edward ogłosił z dumą, że dom był dziełem wytrawnego budowniczego, a zatem nic nie było tu przypadkowe. Zdaniem Edwarda taka dbałość o detale

czyniła dom „prawdziwym”. Kochał w nim wszystko: meble, zasłony, drewniane podłogi, których klepki pochodziły z okolicznych drzew. Najbardziej jednak lubił inskrypcję nad drzwiami pokoju z tapetą ze wzorem w owoce i liście morwy. Pokój mieścił się na parterze, a rząd wysokich okien sprawiał, że wyglądał niemal jak część widocznego zza nich ogrodu. Inskrypcja nad drzwiami głosiła: *Prawda, Piękno, Światło*. Edward wpatrywał się w nią zdumionym wzrokiem i powtarzał: „Widzicie, ten dom był mi pisany”.

W ciągu kolejnych dni bezustannie szkicował budynek. Nie rozstawał się ze swoją nową skórzaną torbą i często widywano go, jak siedział na łące wśród wysokich traw. Na głowie miał kapelusz i patrzył na dom zachwyconym wzrokiem, a chwilę później wracał do pracy. Lucy zauważyła, że zawsze towarzyszyła mu Lily Millington.

Lucy pytała go, gdzie podziewa się Fanny. Pierwszego dnia rano Edward wziął ją za rękę i poprowadził korytarzem do biblioteki.

– Kiedy zobaczyłem te półki, od razu pomyślałem o tobie – powiedział. – Spójrz tylko na tę kolekcję, Lucy. Są tu książki z dosłownie każdej dziedziny. Teraz możesz do woli zaczytywać się w dziełach największych uczonych tego świata. Wiem, że kiedyś przyjdzie czas, gdy kobiety będą miały takie same możliwości jak mężczyźni. Jak mogłoby być inaczej, skoro są od nas mądrzejsze i jest ich więcej? Do tego czasu sama musisz kierować swoim przeznaczeniem. Czytaj, zapamiętuj, myśl.

Nie mówił tego ot tak sobie i Lucy obiecała, że tak właśnie zrobi.

– Możesz mi zaufać – odparła z powagą. – Przed końcem lata przeczytam każdą z tych książek.

Roześmiał się.

– Cóż, chyba nie musisz się aż tak spieszyć. Będą jeszcze inne lata. Przede wszystkim ciesz się ogrodem i rzeką.

– Oczywiście – zapewniła go, a ponieważ na chwilę zapadła między nimi cisza, zapytała: – Czy Fanny tu przyjedzie?

– Nie, Fanny nie przyjedzie – odparł po prostu i pokazał jej kącik obok kominka, który jego zdaniem idealnie nadawał się do czytania. – Nikt nawet

nie zauważy, że tu jesteś, a wiem z dobrego źródła, że czytanie w ukryciu niezmiernie potęguje doświadczenie.

Lucy postanowiła porzucić temat jego narzeczonej.

Później żałowała, że tak łatwo dała się zbyć i nie ciągnęła go za język, ale prawdę mówiąc, nie przepadała za Fanny i ucieszyła się na wieść, że do nich nie dołączy. Zdawkowa, niemal lekceważąca odpowiedź Edwarda wiele mówiła. Fanny była nudziarą. Absorbowała całą uwagę Edwarda i próbowała zrobić z niego kogoś, kim nie był. Jako narzeczona stanowiła dla Lucy większe zagrożenie niż modelka. Modelki pojawiały się i znikwały, ale małżeństwo było na zawsze. Małżeństwo oznaczało, że Edward zamieszka gdzie indziej. Lucy nie wyobrażała sobie, że mogłaby mieszkać bez brata, tak jak nie wyobrażała sobie, co on by czuł, gdyby musiał zamieszkać z Fanny.

Lucy nie miała zamiaru wychodzić za mąż – w każdym razie jeśli nie spotka idealnego kandydata na męża. Uznała, że musiałyby być taki jak ona. Albo Edward. Tylko wtedy byłiby szczęśliwi. Bez dzieci. We dwoje.

\*

Edward miał rację co do biblioteki: zupełnie jakby ją zaprojektowano i zaopatrzone na potrzeby Lucy. Rzędy półek ciągnęły się wzdłuż ścian, lecz w przeciwieństwie do zbiorów bibliotecznych u dziadków, na które w głównej mierze składały się obszerne traktaty religijne i broszury chroniące przed popełnianiem błędów językowych, tu były „prawdziwe” książki. Poprzedni właściciele posiadłości zgromadzili imponującą kolekcję tomów na różne fascynujące tematy, a gdy czegoś brakowało, Edward sprowadzał tytuły z Londynu. Lucy spędzała każdą wolną chwilę, stojąc na drabince, przeglądając grzbiety i planując lekturę na nadchodzące tygodnie – a czasu miała pod dostatkiem, odkąd bowiem przyjechali do Birchwood, pozostawiono ją samej sobie.

Już podczas odkrywania domu każdy z przyjaciół Edwarda skupiał się na tym, by znaleźć dla siebie idealne miejsce do pracy. Presja była o tyle większa, że zanim wyjechali z Londynu, pan Ruskin zadeklarował, iż jesienią wesprze wystawę ich wspólnych prac. Każdy członek Bractwa Magenta miał w głowie

nowy zamysł, w powietrzu czuło się więc mieszankę kreatywności, rywalizacji i możliwości. Wybrawszy pokoje, artyści zaczęli rozpakowywać przybory, które przywieziono powozem ze stacji kolejowej.

Thurston wybrał duży pokój dzienny od frontu, bo jak twierdził, okno od strony południa zapewniało mu idealne światło. Lucy starała się schodzić mu z drogi. Po części dlatego, że strasznie ją irytował, a po części po to, by nie musieć oglądać maślanych oczu siostry. Miała okazję obejrzeć portret Clare, kiedy drzwi do pracowni były otwarte, i po wszystkim czuła, że musi pobiegać po łące, by pozbyć się dręczącego ją niepokoju. Obraz oczywiście był świetny – nawet w najwcześniejszej fazie – ponieważ Thurston był utalentowany, ale coś nie dawało jej spokoju. Znudzona kobieta na obrazie, choć z całą pewnością leżała na szezlongu w pozycji, w jakiej Thurston ułożył Clare, miała usta, które niewątpliwie należały do Lily Millington.

Felix zajął niewielki pokoik obok wyłożonego boazerią salonu na parterze, a gdy Edward zauważył, że nawet w dzień jest tam raczej ciemno, Felix przyznał mu rację i stwierdził, że właśnie o to mu chodzi. Do tej pory słynął z malowania nastrojowych scen z mitów i legend, lecz wyznał, że tym razem, zamiast farb, chce wykorzystać fotografię. „Zamierzam sfotografować inspirowaną wierszem Tennysona *Panią z Shalott*, która będzie konkurencją dla fotografii Robinsona<sup>14</sup>. Twoja rzeka jest wprost idealna. Nawet rosną nad nią wierzby i osiki. Zobaczysz, to będzie prawdziwy Camelot”.

Od jakiegoś czasu w grupie toczyła się zażarta dyskusja o tym, czy korzystając z nowego środka przekazu, można uzyskać taki sam efekt artystyczny. Pewnego wieczoru przy kolacji Thurston stwierdził, że fotografie to oszustwo. „Tania sztuczka, dobra, by przypominać nam o tych, którzy odeszli, ale nie nadaje się do przekazywania głębszych treści”.

Słyszając to, Felix wyjął z kieszeni małą cynową przypinkę i obrócił ją w palcach.

– Powiedz to Abrahamowi Lincolnowi – rzekł. – Rozdano dziesiątki tysięcy takich przypinek. W całej Ameryce ludzie noszą twarz tego człowieka przypiętą do ubrań. Kiedyś nie mielibyśmy pojęcia, jak wygląda Lincoln, nie mówiąc o tym, co myśli. Teraz ma czterdziestoprocentowe poparcie.

– Czemu jego przeciwnicy nie zrobią tego samego? – spytała Adele.



– Próbowali, lecz było za późno. Zwycięża ten, kto działa jako pierwszy. Ale jedno mogę wam obiecać: od tej pory w każdych wyborach kandydaci będą wykorzystywali swój wizerunek.

Thurston wziął do rąk cynową przypinkę i podrzucił jak monetę.

– Nie przeczę, że to użyteczne narzędzie polityczne – odparł, nakrywając ją jedną ręką. – Ale nie mów mi, że to sztuka. – Podniósł dłoń, odsłaniając twarz Lincolna.

– Nie mówię konkretnie o tym przedmiocie. Myślałem raczej o pracach Rogera Fentona.

– Zdjęcia z wojny krymskiej są fenomenalne – zgodził się Edward. – I zdecydowanie przekazują głębsze treści.

– Ale to nie sztuka. – Thurston wlał sobie do kieliszka resztkę czerwonego wina. – Przyznaję, że zdjęcia to użyteczne narzędzie do przekazywania wiadomości i relacjonowania wydarzeń. Są jak... jak...

– ...oko historii – dokończyła Lily Millington.

– Tak, dziękuję, Lily, jak oko historii. Ale nie są sztuką.

Lucy, która siedziała cichutko przy końcu stołu i zajadała dokładkę deseru, spodobało się porównanie fotografii do oka historii. Irytowało ją, że czytając o przeszłości – albo kopiąc w lesie za domem, gdzie natrafiła na rozmaite pozostałości z zamierzchłych czasów – musiała uciekać się do domysłów i wyobrażeń. Jakim darem dla przyszłych pokoleń będzie fotografia, dzięki której można uwiecznić teraźniejszość! Czytała w „London Review” artykuł, którego autor rozwodził się nad „wiarygodnością fotografii” i twierdził, że odtąd nic nie wydarzy się bez udziału fotografii wykorzystywanej do tworzenia...

– ...namacalnych, możliwych do przekazania wspomnień minionych wydarzeń.

Lucy podniosła głowę tak gwałtownie, że kapka bitej śmietany spadła jej z łyżeczki. To Lily Millington wyjęła jej słowa z ust. Albo raczej wyjęła jej z głowy słowa przeczytane w „London Review”.

– Właśnie tak, Lily – zgodził się z nią Felix. – Pewnego dnia fotografia stanie się wszechobecna: aparaty będą tak małe i poręczne, że ludzie będą je nosić zawieszane na szyi.

Thurston przewrócił oczami.

– A szyje tych amazońskich plemion przyszłości będą pewnie silniejsze? Felixie, właśnie o to mi chodzi. Samo posiadanie aparatu nie czyni z człowieka artysty. Artysta to mężczyzna dostrzegający piękno w siarkowej mgle, w której inni widzą tylko zanieczyszczenie.

– Albo kobieta – dodała Lily Millington.

– Czemu ktokolwiek miałby widzieć kobietę w zanieczyszczeniu...? – Thurston urwał, gdy dotarło do niego, co chciała powiedzieć. – Ach, rozumiem. Tak, dobrze, Lily. Bardzo dobrze. Albo kobieta widząca piękno.

Clare wtrąciła się do rozmowy, zauważając, że przecież fotografie nie są kolorowe, na co Felix odparł, że w takim razie będzie musiał lepiej operować światłem i cieniem i bardziej skupiać się na kadrowaniu i kompozycji, by wzbudzić te same emocje, ale Lucy słuchała go jednym uchem.

Wprost nie mogła oderwać oczu od Lily Millington. Nie przypominała sobie, by jakakolwiek modelka powiedziała kiedyś coś sensownego, a co dopiero ośmieszyła Thurstona Holmesa. Lucy wyobrażała sobie – jeśli w ogóle o tym myślała – że wcześniej czy później Edward znudzi się Lily Millington, tak jak nudził się jej poprzedniczkami. Dopiero teraz zauważyła, że Lily różni się od innych modelek. I że jest dla niego kimś więcej.

\*

Lily Millington i Edward spędzali razem każdy dzień zaszyci w Pokoju Morwowym, gdzie Edward ustawił swoją sztalugę. Pracował jak natchniony – Lucy rozpoznawała zamyślenie, które malowało się na jego twarzy, gdy tworzył – wciąż jednak niewiele mówił o samym obrazie. Z początku Lucy myślała, że to w związku ze scysją z panem Ruskinem, który nie udzielił mu wsparcia rok temu, gdy wystawiano *La Belle*. Między oceną Ruskina a wzmianką pana Charlesa Dickensa na temat obrazu Edward szalał z wściekłości. (Gdy recenzja ukazała się drukiem, pognał do pracowni w ogrodzie za domem i spalił wszystkie powieści pióra pana Dickensa, a z nimi cenną kopię *Współczesnych malarzy* pana Ruskina. Lucy, która między grudniem 1860 roku a sierpniem 1861 co tydzień odwiedzała

księgarnię W.H. Smith & Son, by zakupić kolejną część *Wielkich nadziei*, musiała ukryć przed bratem numery „All the Year Round”, bo gdyby tego nie robiła, one również padłyby ofiarą jego złości).

Miała jednak wrażenie, że tym razem chodzi o coś innego. Nie potrafiła powiedzieć, o co dokładnie, ale zdawało się jej, że gdy Edward i Lily Millington są razem, otacza ich aura tajemnicy. Pewnego dnia Lucy podeszła do brata, kiedy rysował coś w szkicowniku. Zauważywszy ją, pospiesznie go zamknął, lecz zdążyła zauważyć szczegółowy szkic twarzy Lily. Edward nie lubił, gdy ktoś obserwował go przy pracy, ale taka ukradkowość była do niego niepodobna. Zwłaszcza w tym wypadku wydawała się nieuzasadniona, bo i cóż tu było do ukrycia? Ot, zwykły szkic, jakich setki wisiały na ścianie w jego pracowni. Od reszty odróżniał go tylko naszyjnik na szyi modelki.

\*

Gdy Edward skupiał się na pracy, pozostali byli zajęci w ciągu dnia, a Emma wypełniała powierzone jej obowiązki, Lucy nie miała wyjścia, jak tylko zaszywać się w bibliotece. Obiecała bratu, że wyznaczy sobie tempo, ale wcale nie miała takiego zamiaru: codziennie wybierała kilka książek i wychodziła na dwór poczytać. Czasami czytała w stodole, innym razem siadała w ogrodzie wśród paproci, a w dni, kiedy silny wiatr uniemożliwiał Felixowi pracę nad *Panią z Shalott* – gdy bladym świtem chodził po łące i unosząc palec, sprawdzał kierunek wiatru, po czym niepokieszony wracał do domu z rękami wbitymi głęboko w kieszenie – siadała w małej łódce zacumowanej przy pomoście, który kazał wybudować Edward.

Byli w Birchwood od prawie dwóch tygodni, kiedy natrafiła na wyjątkowo starą i zakurzoną książkę, której okładka trzymała się na nitkach. Leżała ukryta za innymi tomami na najwyższej półce. Stojąc na drabinie, Lucy otworzyła książkę na pierwszej stronie, gdzie ozdobna czcionka głosiła, że nosi ona tytuł *Demonologia w formie dialogu, w trzech księgach* i została wydrukowana w *Edynbvrgrv* przez *Robertę Walde-Grave'a*, drukarza *Jego Królewskiej Mości w 1597 roku*. Książka o nekromancji i czarnej magii

napisana przez króla, który sponsorował przekład *Biblii* na język angielski, do tego stopnia zaintrygowała Lucy, że włożyła ją pod pachę i zeszła z drabiny.

Tego dnia, idąc nad rzekę, wzięła ze sobą kilka innych książek, a także owinięty w płócienną ściereczkę lunch. Ranek był ciepły i słoneczny, w powietrzu unosił się zapach zboża i tajemnicy, błota i ziemi. Weszła do łódki i popłynęła w górę rzeki. Delikatny wiaterek pokrzyżował fotograficzne plany Felixa i Lucy postanowiła, że pozwoli, by prąd rzeczny powoli zniósł łódkę z powrotem do przystani. Zbliżając się do śluzy Świętego Jana, przestała wiosłować i sięgnęła po *O wolności* Johna Stuarta Milla. Było już po pierwszej, kiedy odłożyła traktat i wzięła do rąk *Demonologię*. Już po kilku stronach, na których król Jakub wyjaśniał, dlaczego w chrześcijańskim społeczeństwie dochodziło do prześladowań czarownic, odkryła, że książka została wydrążona i utworzono w niej skrytkę. W środku znajdowały się dokumenty, złożone i związane szpagatem. Pierwszym z nich był list z 1586 roku. Niestaranne pismo było tak wyblakłe, że z początku nawet nie próbowała go odczytać. Pozostałe kartki zawierały rysunki. Lucy uświadomiła sobie, że to najpewniej plany domu, zwłaszcza że Edward mówił, iż wybudowano go za rządów królowej Elżbiety.

Była podekscytowana, nie dlatego, że interesowała ją architektura, ale dlatego, że wiedziała, jak zachwycony będzie Edward, a lubiła, gdy się cieszył. Kiedy jednak przeglądała szkice, odkryła w nich coś dziwnego. Przedstawiąły dom z bliźniaczymi szczytami, kominami i pokojami, które rozpoznawała. Lecz na cienkim, niemal przezroczystym papierze narysowano plan domu, który po nałożeniu na pierwszy rysunek zdradzał położenie dwóch dodatkowych pokoi. Oba były maleńkie, zbyt małe, by służyć za sypialnie, a nawet za przedpokoje. Zwiedzając dom, nie natknęła się na żaden z nich.

Ściągnęła brwi w zamyśleniu i przesunęła nieco papier, próbując zgadnąć, jaką rolę mogły odgrywać te sekretne pomieszczenia. Łódka zatrzymała się w wąskiej zatoczce i zaryła dziobem w trawiaste nabrzeże. Lucy złożyła plan i sięgnęła po list z nadzieją, że może znajdzie w nim jakieś wytłumaczenie. Napisał go niejaki Nicholas Owen; imię wydało się Lucy znajome – może gdzieś o nim czytała? Język listu był wyszukany i niezrozumiały, ale udało jej się wychwycić niektóre słowa – *chronić... księża... kryjówki...*

Aż wstrzymała oddech, gdy pojęła, co przedstawia plan. Czytała oczywiście o krokach podjętych przeciwko katolickim księżom po tym, jak królowa Elżbieta zasiadła na tronie. Wiedziała, że w wielu domach były sekretne pomieszczenia – w ścianach albo pod podłogą – w których chronili się duchowni. Lecz świadomość, że w Birchwood mieściła się taka skrytka, a może nawet dwie, była szczególnie ekscytująca. A jeszcze bardziej ekscytowała Lucy myśl, że być może Edward nie ma pojęcia o ich istnieniu, bo gdyby było inaczej, od razu by się nimi pochwalił. A to znaczyło, że będzie mogła powiedzieć mu coś o domu, który tak bardzo kochał. Dom Edwarda skrywał tajemnicę.

\*

Lucy nieprędko wróciła na przystań. Kiedy w końcu zacumowała łódkę, wzięła książki pod pachę i pobiegła w stronę domu. Choć rzadko ulegała euforii, a jeszcze rzadziej podśpiewywała pod nosem, przyłapała się na tym, że nuci jedną z ulubionych piosenek mamy. Wróciwszy do domu, od razu udała się do Pokoju Morwowego, bo choć wiedziała, że Edward nie lubi, gdy ktoś przeszkadza mu w pracy, była pewna, że w tych okolicznościach zrobi wyjątek. Pokój był jednak pusty. Obraz zasłonięto jedwabiem i Lucy wahała się przez chwilę, zdecydowała jednak, że nie ma czasu do stracenia. Pobiegła na górę do sypialni brata z widokiem na las, ale tu także go nie było. Biegała po korytarzach, zaglądając do wszystkich pokoi, nawet do pokoju dziennego, gdzie powitały ją kokieterijny uśmiech Clare i jej rozanielony wzrok.

W kuchni zastała Emmę, która przygotowywała kolację, ale gdy Lucy zapytała ją o brata, służąca tylko wzruszyła ramionami i zaczęła utyskiwać na Thurstona, bo co rano wspinał się na dach i strzelał do ptaków z pamiętającej wojny napoleońskiej strzelby, którą przywiózł ze sobą z Londynu.

– Robi straszny hałas – skarżyła się Emma. – Gdyby jeszcze upolował jakąś kaczkę, którą mogłabym upiec... ale kiepski z niego strzelec, a poza tym strzela do małych ptaków, które nie nadają się do jedzenia.

Edward wielokrotnie prosił go, by przestał to robić, ostrzegając, że pewnego dnia postrzeli przez przypadek kogoś z rolników i zostanie

oskarżony o zabójstwo.

– Powiem Edwardowi, jak tylko go znajdę – próbowała uspokoić wzburzoną pokojówkę Lucy. W ciągu dwóch tygodni między nią a Emmą wytworzyła się pewnego rodzaju więź. Lucy miała przeczucie, że dziewczyna widzi w niej jedyną „normalną” osobę w tym domu. Podczas gdy artyści i ich modelki wchodzili i wychodzili z kuchni w zwiewnych strojach i z pędzlami zatkniętymi za uszy, Emma czuła, że tylko w obecności Lucy może pokręcić głową i zacmokać z dezaprobatą, jak gdyby były bratnimi duszami w morzu szaleństwa. Dziś jednak Lucy mogła poświęcić jej tylko odrobinę uwagi. – Obiecuję, że mu powiem – zapewniła raz jeszcze, wybiegając z kuchni w drodze do ogrodu.

Lecz i tam nie znalazła Edwarda. Umierała ze zniecierpliwienia, kiedy w końcu dostrzegła Lily Millington idącą ścieżką w stronę głównej bramy. W promieniach słońca jej włosy zdawały się płonąć.

– Lily! – zawołała Lucy, a widząc, że modelka jej nie słyszy, powtórzyła nieco głośniejszym głosem: – Li-ly!

Lily Millington odwróciła się. Najwyraźniej była zamyślona, bo wyglądała, jakby zdumiała ją dźwięk własnego imienia.

– Witaj, Lucy – odparła z uśmiechem.

– Szukam Edwarda. Widziałas go?

– Poszedł do lasu. Powiedział, że ma się spotkać z kimś w sprawie psa.

– Wybierasz się do niego? – Lucy zauważyła, że Lily włożyła buty do dłuższych wędrowek, a na ramieniu niesie torbę.

– Nie, idę do wioski. Muszę kupić znaczek. – Lily pokazała jej zaadresowaną kopertę. – Przejdziesz się ze mną?

Skoro i tak nie miała okazji opowiedzieć Edwardowi o swoim odkryciu, Lucy uznała, że lepiej będzie, jeśli się czymś zajmie, zamiast czekać bez końca przez całe popołudnie.

Ruszyły ścieżką obok kościoła na rogu i skierowały się w stronę wioski. Mały urząd pocztowy mieścił się obok pubu o nazwie Łabędź.

– Zaczekam tu – rzuciła Lucy, która zauważyła na skrzyżowaniu dróg ciekawą kamienną konstrukcję i chciała się jej przyjrzeć.

Chwilę później Lily wyszła, trzymając opatrzoną znaczkiem kopertę. Cokolwiek wysyłała, było na tyle ciężkie, że musiała kupić dwupensowy niebieski znaczek. Lucy zauważyła na kopercie londyński adres.

Lily wrzuciła ją do skrzynki i wyruszyły w drogę powrotną do posiadłości.

W przeciwieństwie do Clare i matki, Lucy nie potrafiła prowadzić rozmów towarzyskich i teraz zastanawiała się, co powiedzieć, by przerwać krępującą ciszę. Wprawdzie nie uważała, że należy ją zawsze czymś wypełniać, ale nie wiedzieć czemu, w towarzystwie Lily Millington chciała uchodzić za doroślejszą i mądrzejszą. Z jakiegoś powodu czuła, że to ważne, by Lily nie widziała w niej jedynie młodszej siostry Edwarda.

– Piękna pogoda – odezwała się w końcu. Słowa zabrzmiały tak banalnie, że aż się skrzywiła.

– Cieszymy się nią, póki trwa – odparła Lily. – Dziś wieczorem będzie burza.

– Skąd wiesz?

– Mam rzadki dar przepowiadania przyszłości.

Lucy zerknęła na nią.

Lily Millington się uśmiechnęła.

– Ciekawią mnie wykresy synoptyczne i kiedy byłam na poczcie, rzuciłam okiem na wykres drukowany w „The Times”.

– Znasz się na prognozie pogody?

– Wiem tyle, co usłyszałam od Roberta FitzRoya.

– Poznałaś go? – zdziwiła się Lucy. Robert FitzRoy był przyjacielem Charlesa Darwina, dowódcą na statku królewskim *Beagle*, wynalazcą barometru i pierwszym meteorologiem w Izbie Handlowej.

– Słyszałam, jak przemawiał. Jest znajomym mojego przyjaciela. Pracuje nad niezwykle obiecującą książką o pogodzie.

– Słyszałaś, jak mówił o zatonięciu statku *Royal Charter* i wynalezieniu barometru chemicznego?

– Oczywiście. To zdumiewające...

Kiedy Lily Millington rozpoczęła swoją fascynującą opowieść o wykresach synoptycznych FitzRoya i barometrach chemicznych, Lucy poświęciła jej dziewięćdziesiąt siedem procent uwagi, pozostałe trzy zostawiając na

zastanawianie się, czy kiedy Edward straci zainteresowanie swoją modelką, Lucy będzie mogła zatrzymać Lily Millington dla siebie.

\*

Lily miała rację, mówiąc, że wieczorem będzie burza. Późnym popołudniem okres pięknej letniej pogody zakończył się, a słońce schowało się za chmurami tak nagle, jak gdyby ktoś zdmuchnął świeczkę w latarni świata. Lucy nie miała o niczym pojęcia, bo siedziała w ciemności, ukryta w sekretnym pomieszczeniu pod „skórą” domu Edwarda.

Miała za sobą ekscytujące popołudnie. Kiedy wróciły z poczty, Lily Millington postanowiła pójść do lasu i poszukać Edwarda. Emma, nadal zajęta w kuchni, z radością oznajmiła, że Thurston, Clare, Adele i Felix zabrali imbryk z herbatą i poszli nad rzekę, a ona przygotowała już kolację i – jeśli Lucy niczego nie potrzebuje – chętnie „wyskoczy do domu na godzinę albo dwie, żeby trochę odsapnąć”.

Mając dom tylko dla siebie, Lucy dokładnie wiedziała, jak spędzi wolny czas. Początkowa euforia, która towarzyszyła odkryciu, zdążyła już nieco okrzepnąć i Lucy uświadomiła sobie, że mówienie Edwardowi o kryjówkach dla księży byłoby głupotą. Plany piętra miały kilkaset lat, możliwe więc, że sekretne pomieszczenia dawno temu zostały zamknięte albo w ogóle nie powstały, choć takie były plany. To dopiero byłby wstyd, gdyby opowiedziała wszystkim o swoim odkryciu, a okazałoby się nieprawdą! Lucy nie lubiła popełniać błędów. Dlatego sama wolała sprawdzić, czy kryjówki rzeczywiście istnieją.

Gdy więc Emma wyszła, a Lily Millington stała się niczym więcej jak ognistym punkcikiem na drugim końcu łąki, Lucy wyciągnęła plany domu. Wynikało z nich, że pierwsza kryjówka tworzy część głównych schodów, co wydawało się tak nieprawdopodobne, że Lucy pomyślała, iż źle go odczytuje. Wspinała się na te schody co najmniej sto razy i często siadała na stojącym przy oknie giętym krześle, ale nie zauważyła niczego niezwykłego oprócz przyjemnego ciepła w miejscu, gdzie schody zakręcały.



Dopiero gdy wyjęła szkło powiększające z szuflady stojącego w bibliotece cedrowego biurka i próbowała odczytać list, natknęła się na pewną wskazówkę. Autor listu wspominał o ruchomej klepce w jednym ze stopni. Pierwszy schodek za podestem skonstruowano tak, że nadeptanie w odpowiedni sposób na jedną z klepek otwierało drzwi do ukrytej małej izby. *Mieście się jednak na baczności* – ostrzegał autor listu – *albowiem sekretne drzwiczki można otworzyć wyłącznie od zewnątrz*.

Brzmiało to niczym kolejny odcinek drukowanej w gazetach powieści dla chłopców i Lucy czym prędzej wbiegła na schody, odsunęła krzesło i uklękła na podłodze.

Nic nie wskazywało, że schody są czymś więcej, niż mogłoby się wydawać, więc po raz kolejny zagłębiła się w treść listu. Z uwagą przeczytała opis z dołączonym do niego rysunkiem zamka sprężynowego i po chwili uśmiechnęła się pod nosem. Z zapartym tchem zaczęła naciskać po kolei każdą klepkę na obrzeżach drewnianego stopnia, aż w końcu usłyszała delikatny szcęk i zobaczyła, że jeden z drewnianych paneli na ścianie odstaje teraz niezznacznie. Wsunęła palce w szczelinę i przesunęła panel w bok. Jej oczom ukazało się wąskie przejście, a za nim niewielka przestrzeń, na tyle duża, by mógł się w niej zmieścić dorosły człowiek.

Niewiele myśląc, Lucy wślizgnęła się do kryjówki.

W środku było ciasno – żeby usiąść, musiała pochylić głowę, tak że niemal dotykała brodą piersi, dlatego postanowiła się położyć. Nieruchome powietrze pachniało stęchlizną, ale podłoga była ciepła i Lucy domyślała się, że poniżej znajduje się przewód kuchennego komina. Leżała bez ruchu, nasłuchując. Dom pogrążony był w absolutnej ciszy. Przez chwilę wierciła się, po czym przytknęła ucho do ściany. Martwa drewniana cisza. Nieprzenikniona, jak gdyby po drugiej stronie znajdowały się warstwy cegieł.

Lucy, próbując wyobrazić sobie układ domu, zastanawiała się, jak to możliwe. Nagle uświadomiła sobie, że oto leży w sekretnym pomieszczeniu stworzonym po to, by ocalić człowieka przed jego wrogami, a drewniany panel może w każdej chwili wrócić na swoje miejsce, więżąc ją samą w morzu atramentowej czerni, w rozgrzanym nieruchomym powietrzu, i nikt nigdy się nie dowie, co odkryła i gdzie zniknęła. Panika ścisnęła ją za gardło, oddech

stał się płytki i głośny. Przerażona, poderwała się z podłogi i chcąc się wydostać, uderzyła głową w niski sufit.

\*

Druga kryjówka znajdowała się w korytarzu i to tam była teraz Lucy. Schowek różnił się od poprzedniego, choć podobnie jak on mieścił się za drewnianym panelem, który – Bogu niech będą dzięki – można było otworzyć zarówno od zewnątrz, jak i od środka. Tu również było ciasno, ale nieco przytulniej. Mrok nie wydawał się taki gęsty i Lucy zauważyła, że ścianka kryjówki jest na tyle cienka, że słyhać przez nią, co dzieje się po drugiej stronie.

Słyszała, jak pozostali wrócili z rzeki i ze śmiechem ganiali się po domu; jak Felix i Adele sprzeczali się ściszonymi głosami o wcale niezabawny (zdaniem Adele) dowcip, który zrobił jej Felix; usłyszała też pierwszy pomruk burzy, który przetoczył się nad domem. Kiedy miała już wyjść i siedziała z uchem przyciśniętym do drewnianego panelu, by mieć pewność, że na korytarzu nie ma nikogo, kto mógłby ją zauważyć, usłyszała kroki Edwarda.

Miała ochotę wyskoczyć jak diabeł z pudełka i odkryć przed nim istnienie kryjówek, ale jego głos zatrzymał ją w miejscu.

– Chodź, żono – powiedział.

Lucy zamarała z ręką na drewnianym panelu.

– O co chodzi, mężu? – To był głos Lily Millington.

– Bliżej.

– Tak?

Lucy przystawiła ucho do drewna i zaczęła nasłuchiwać. Żadne z nich się już nie odezwało, ale Edward się roześmiał. W jego śmiechu brzmiała nuta zaskoczenia, jak gdyby ktoś powiedział mu coś nieoczekiwanego, co sprawiło mu radość. Zaraz potem ktoś zrobił gwałtowny wdech i...

Nic.

Przycupnięta w kryjówce Lucy uświadomiła sobie nagle, że wstrzymuje oddech.

Wypuściła powietrze.

Dwie sekundy później wszystko spowiła ciemność, a nad domem przetoczył się grzmot, który zatrzęsł ziemią.

\*

Kiedy Lucy wyszła, pozostali siedzieli w jadalni. Na środku niezastawionego stołu stał kandelabr, a w nim dziewięć cienkich świec, których dym smużkami ulatywał w stronę sufitu. Na zewnątrz zerwał się wiatr i chociaż było lato, zrobiło się chłodno. Ktoś rozpałił w kominku i Edward i Lily Millington siedzieli przy niewielkim ogniu. Lucy podeszła do mahoniowego fotela w kącie pokoju.

– Nie boję się duchów – oświadczyła Adele, która siedziała obok Clare na stojącej pod ścianą kanapie przykrytej kolorową kapą. Był to temat, do którego Adele i Clare wracały często i chętnie. – To tylko biedne uwięzione dusze, które pragną, by ktoś je uwolnił. Myślę, że powinniśmy zorganizować seans i zobaczyć, czy uda się nam sprowadzić jedną z nich.

– Masz planszę do porozumiewania się z duchami? – spytała Clare.

– Nie. – Adele się skrzywiła.

Edward nachylał się w stronę Lily Millington i Lucy zauważyła, że coś do niej mówi. Lily od czasu do czasu kiwała głową, a w pewnej chwili musnęła palcami brzeg jego niebieskiego jedwabnego fularu.

– Umieram z głodu – oznajmił Thurston, krążąc nerwowo wokół stołu. – Gdzie, u diabła, podziewa się ta dziewczyna?

Lucy przypomniała sobie, że Emma zamierzała wrócić do domu i trochę odpocząć.

– Mówiła, że wróci przed kolacją.

– No to się spóźnia.

– Może zatrzymała ją burza. – Felix stał w oknie, próbując coś zobaczyć przez uderzające o nie strugi deszczu. – Leje jak z cebra. Woda przelewa się przez krawędź rynny.

Lucy kolejny raz spojrzała na Edwarda i Lily. Oczywiście wtedy, w przedpokoju, mogła się przesłyszeć. Choć bardziej prawdopodobne, że po prostu źle ich zrozumiała. Członkowie Bractwa Magenta zawsze wymyślali dla

siebie różne pieśczośliwe przezwiska. Przez jakiś czas Adele była „Kocicą”, bo Edward namalował ją w towarzystwie tygrysa, a Clare była kiedyś „Różyczką”, po tym, jak Thurston przesadził z pigmentem i za bardzo zaróżowił jej policzki.

– Każdy szanowany dom ma swojego ducha – powiedziała Adele.

Clare wzruszyła ramionami.

– Ja jeszcze żadnego nie widziałam – rzuciła.

– Nie widziałaś? Nie bądź staroświecka. Wszyscy wiedzą, że duchy są niewidzialne.

– Albo przezroczyste. – Felix odwrócił się w ich stronę. – Jak na fotografiach Mumlera<sup>15</sup>.

I w *Opowieści wigilijnej*. Lucy pamiętała opis ducha Marleya wlokącego łańcuchy i kłódki, to jak Scrooge patrzył przez niego i widział guziki jego płaszcza.

– Myślę, że sami możemy zrobić taką tablicę – odezwała się Clare. – Potrzebujemy tylko liter i szklanki.

– To prawda... resztą zajmie się duch.

– Nie. – Edward podniósł wzrok. – Żadnych seansów ani tabliczek do komunikowania się z duchami.

– Ale, Edwardzie! – Clare wyduła usta. – Nie psuj zabawy. Nie jesteś ciekaw? Może masz tu, w Birchwood, własnego ducha, który tylko czeka, żeby się przedstawić.

– Nie potrzebuję tabliczki, żeby wiedzieć, że coś tutaj jest.

– Jak to? – spytała Adele.

– Właśnie, Edwardzie. – Clare poderwała się z sofy. – Co masz na myśli?

Przez ułamek sekundy Lucy pomyślała, że opowie im o Tamtej Nocy, i poczuła pod powiekami palące łzy. To był ich sekret.

On jednak tego nie zrobił. Opowiedział im o magicznych dzieciach – podanie ludowe o trójce tajemniczych dzieci, które dawno temu pojawiły się na polu nieopodal lasu i zdumiały okolicznych rolników swoją lśniąca skórą i długimi świetlistymi włosami.

Lucy poczuła taką ulgę, że miała ochotę się roześmiać.

Pozostali słuchali jak zaczarowani, podczas gdy Edward opowiadał o mieszkańcach wioski, którzy obwinili dzieci, gdy plony zmarniały, a ich bliscy poczęli chorować. O parze staruszków, którzy wzięli magiczne dzieci pod swoje skrzydła i schronili się z nimi w kamiennej chatce w zakolu rzeki; o rozjuszonych tłuszczy, która pewnej nocy przyszła wymierzyć sprawiedliwość. O dźwięku rogu niosącym się na wietrze i przybyciu królowej elfów.

– To ją maluję na wystawę. Królową elfów, która chroni ten dom i ocaliła dzieci w miejscu, gdzie drzwi między światami mogą stanąć otworem. – Uśmiechnął się do Lily Millington. – Zawsze chciałem ją namalować, a teraz, kiedy ją znalazłem, w końcu mogę to zrobić.

Pozostali zareagowali entuzjastycznie.

– Właśnie podsunąłeś mi genialny pomysł – powiedział Felix. – W ciągu ostatnich dwóch tygodni stało się jasne, że nie mam co liczyć na bezwietrzny dzień. – Jakby na podkreślenie jego słów potężny podmuch wiatru szarpnął oknami, aż szyby zadzwoniły, a ogień w kominku zasyczał. – Myślę, że na jakiś czas dam sobie spokój z *Panią z Shalott*. Zamiast tego zrobimy wspólne zdjęcie inspirowane opowieścią Edwarda o królowej elfów i trójce jej dzieci.

– Ale potrzebne będą cztery postacie, a mamy tylko trzy modelki – zauważyła Clare. – Sugerujesz, że Edward powinien przebrać się za kobietę?

– Albo Thurston? – Adele się roześmiała.

– Miałem na myśli Lucy.

– Ale Lucy nie jest modelką.

– Jest jeszcze lepsza, bo nadal jest dzieckiem.

Na myśl, że miałyby pozować do fotografii Felixa, Lucy poczuła, że się rumieni. W ciągu ostatnich dwóch tygodni robił zdjęcia im wszystkim, ale nie po to, by pokazywać je na wystawie organizowanej przez pana Ruskina.

Clare powiedziała coś, lecz jej słowa utonęły w huku grzmotu tak potężnym, że zatrzęsł całym domem.

– A więc postanowione – oświadczył Felix i chwilę później rozmowa zesłała na kostiumy. Zastanawiano się, z czego upleść wianki i czy można wykorzystać gazę, tak by stworzyć efekt świetlistej skóry.

Thurston podszedł do Edwarda.

– Powiedziałeś – zaczął – że w Birchwood są duchy, a potem opowiedziałeś nam bajeczkę o królowej elfów ratującej swoje dzieci.

– Nie mówiłem nic o duchach. Twierdziłem, że coś tu jest, i nie dokończyłem jeszcze opowieści.

– W takim razie mów dalej.

– Kiedy królowa przybyła, żeby zabrać swoje dzieci z powrotem do baśniowej krainy, była tak wdzięczna parze staruszków, że rzuciła na ich dom i ziemię potężny czar. Po dziś dzień mówi się, że czasami w domach stojących na tej ziemi widać nocą światła w oknach na poddaszu, co oznacza, że są tam magiczne dzieci.

– Światło w oknie...

– Tak mówią.

– Widziałeś je kiedyś?

Edward nie odpowiedział od razu i Lucy wiedziała, że wrócił wspomnieniami do Tamtej Nocy.

Tymczasem Thurston nie dawał za wygraną.

– W liście, który wysłałeś mi po tym, jak kupiłeś Birchwood, pisałeś, że ten dom przyzywał cię od dawna. Nie wiedziałem, co masz na myśli, a ty obiecałeś, że opowiesz mi, kiedy się spotkamy. Tyle że wtedy miałeś na głowie inne rzeczy. – Mówiąc to, zerknął na Lily Millington, która spojrzała na niego, ale się nie uśmiechnęła.

– To prawda, Edwardzie? – spytała Clare z drugiego końca pokoju. – Widziałeś światło w oknie?

Edward zwlekał z odpowiedzią, a Lucy kopnęła Clare w piszczel za to, że postawiła go w tak niezręcznej sytuacji. Wciąż pamiętała, jaki był przerażony po Tamtej Nocy. Wciąż miała przed oczami jego kredowobiałą twarz i cienie pod oczami po tym, jak aż do świtu czuwał na poddaszu w obawie, że to, co go ścigało, znajdzie go w domu.

Próbowała pochwycić wzrok brata, by wiedział, że go rozumie, on jednak całą uwagę skupiał na Lily Millington. Wpatrywał się w nią, jak gdyby byli jedynymi osobami w pokoju.

– Powiedzieć im? – spytał ją.

Lily wzięła go za rękę.

– Tylko jeśli chcesz.

Skinął głową, rozciągnął usta w uśmiechu, który sprawił, że nagle wydał się młodszy, i zaczął opowiadać:

– Dawno temu, kiedy byłem chłopcem, zapuściłem się nocą sam do lasu i coś przerażającego...

Nagle rozległo się walenie do drzwi.

Clare pisnęła i przytuliła się do Adele.

– To pewnie Emma – rzucił Felix.

– Najwyższy czas – mruknął Thurston.

– Ale dlaczego puka? – spytała Lily Millington. – Nigdy tego nie robi.

Znowu rozległo się pukanie, tym razem głośniejsze, a chwilę później drzwi wejściowe skrzypnęły na zawiasach.

W migotliwym blasku świec spoglądali na siebie, nasłuchując kroków, które rozległy się w korytarzu.

Gdy srebrzysta błyskawica rozświetliła niebo za oknem, drzwi otworzyły się, a gwałtowny podmuch wiatru rzucił na ściany roztańczone cienie.

Na progu stała narzeczona Edwarda w zielonej aksamitnej sukni, w której miała pozować do obrazu.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała przy wtórze grzmotu. – Mam nadzieję, że nie ominęło mnie nic ważnego.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Fanny weszła do salonu i zaczęła zdejmować rękawiczki podróżne. Wraz z jej przybyciem w pokoju zaszła niewidoczna, lecz diametralna zmiana. Lucy nie bardzo wiedziała, jak to możliwe, ale po chwili dziwnego bezruchu wszyscy nagle zaczęli coś robić, zupełnie jakby odgrywali wcześniej przećwiczoną choreografię. Siedzące na kanapie Clare i Adele pogrążyły się w rozmowie (przy czym każda nadstawiała ucha na to, co się dzieje), Felix wrócił do obserwowania ryzny za oknem, Thurston utyskiwał na to, jak bardzo jest głodny i jak trudno znaleźć w dzisiejszych czasach dobrą pomoc domową, a Lily Millington przeprosiła wszystkich i wyszła z pokoju, mamrocząc coś o serze, chlebie i kolacji. Tymczasem Edward podszedł do Fanny i pomógł jej zdjąć ociekającą wodą pelerynę.

Lucy nie rozumiała, co się dzieje. Siedziała w fotelu, patrząc to w lewo, to w prawo i szukając kogoś, z kim mogłaby zamienić słowo. W końcu wstała i jak we śnie podeszła do drzwi. Mijając Fanny, usłyszała, jak ta mówi:

– Kieliszek wina, Edwardzie. Czerwonego. Podróż z Londynu była okropna.

Lucy weszła do kuchni. Lily Millington stała przy dużym drewnianym stole i odkrawała kliny z krążka cheddara. Widząc Lucy stojącą w drzwiach, podniosła głowę.

– Głodna?

Lucy uświadomiła sobie, że rzeczywiście chce jej się jeść. W całym tym zamieszaniu związanym ze znalezieniem planów domu, poszukiwaniami Edwarda i odkryciem kryjówek zapomniała o podwieczorku. Sięgnęła więc po ząbkowany nóż do chleba i zaczęła kroić bochenek na grube kromki.

Lily zapaliła lampę łożową, przy której lubiła pracować Emma, i pomieszczenie wypełnił zapach tłuszczu. Nie był przyjemny, ale jego swojskość dodawała otuchy w tę dziwną noc, gdy na zewnątrz deszcz lał się



strumieniami, a atmosfera w domu uległa naglej zmianie, przez co Lucy ogarnęła nostalgia.

Nagle poczuła się bardzo młoda i ponad wszystko zapragnęła być znowu małym dzieckiem, dla którego wszystko jest czarne albo białe, którego łóżko ścieli niania, ogrzewając pościel ciepłym mosiężnym garnkiem, by przegnać z niej wilgoć i chłód.

– Chcesz zobaczyć sztuczkę? – Lily Millington nie przestawała kroić sera, a Lucy była tak zamyślona, że wydawało jej się, że się przesłyszała.

Tymczasem Lily wierciła ją wzrokiem. Chwilę później z zagadkowym wyrazem twarzy sięgnęła ponad stołem i delikatnie wyjęła coś zza ucha Lucy. Kiedy rozchyliła palce, na jej otwartej dłoni leżała srebrna moneta.

– Szyling! No, no. Muszę cię częściej sprawdzać.

– Jak to zrobiłaś?

– To magia.

Lucy pospiesznie musnęła palcami skórę za uchem.

– Powiesz mi, jak to zrobić?

– Zastanowię się. – Lily zabrała jej kilka kromek chleba. – Kanapkę? – Zrobiła sobie jedną i usiadła na końcu stołu przy oknie. – Przywilej kucharki – wyjaśniła, dostrzegając, że Lucy ją obserwuje. – Nie widzę powodu, żebyśmy musiały tam wracać. Pozostali i tak są zajęci. Nie umrą z głodu.

– Thurston mówił, że jest głodny jak wilk.

– Tak? – Lily ugryzła solidny kęs.

Lucy usiadła na krześle obok niej.

Za oknem w szczelinie między chmurami widać było skrawek czystego nieba, a na nim kilka gwiazd.

– Myślisz, że dowiemy się kiedyś, jak powstały gwiazdy? – spytała Lucy.

– Tak.

– Naprawdę? Jak możesz być taka pewna?

– Bo pewien chemik, niejaki Bunsen, i fizyk o nazwisku Kirchhoff odkryli, jak wykorzystać spektrum, które powstaje, kiedy promienie słoneczne przechodzą przez pryzmat, do określenia składu chemicznego Słońca.

– A gwiazdy?

– Mówią, że je też zbadają. – Lily Millington patrzyła w nocne niebo, blask lampy lojowej oświetlał jej profil. – Mój ojciec mawiał, że urodziłam się pod szczęśliwą gwiazdą.

– Pod szczęśliwą gwiazdą?

– To stary żeglarski przesąd.

– Twój ojciec był żeglarzem?

– Dawno temu był świetnym zegarmistrzem. Naprawiał kolekcję emerytowanego kapitana w Greenwich i to tam nasłuchiwał się o różnych morskich przesądach. Właśnie w Greenwich pierwszy raz spojrzałam przez teleskop.

– I co zobaczyłaś?

– Miałam szczęście, bo właśnie odkryto Neptuna. Była to nowa, a zarazem stara planeta.

Lucy żałowała, że jej ojciec nie był zegarmistrzem, który zabierałby ją do Królewskiego Obserwatorium.

– Mój ojciec zmarł, kiedy byłam mała. Wpadł pod powóz – wyznała.

Lily Millington odwróciła się do niej z uśmiechem.

– Miejmy więc nadzieję, że będziemy miały więcej szczęścia niż oni. – Wskazała głową stół. – Najwyższy czas nakarmić pozostałych.

Kiedy Lucy kończyła jeść, Lily zrobiła kanapki z serem i ułożyła je na porcelanowym półmisku.

Tak, Lily Millington różniła się od innych modelek, których ładne twarze przypominały Lucy liście spadające jesienią z wysokich lip – latem soczyście zielone, szybko traciły swój urok, a za rok na ich miejscu pojawiały się nowe. Lily Millington znała się na nauce, widziała przez teleskop Neptuna i było w niej coś, co emanowało z obrazów Edwarda. Coś, co sprawiło, że opowiedział jej o Tamtej Nocy. Lucy czuła, że powinna nienawidzić Lily Millington, ale nie potrafiła.

– Gdzie nauczyłaś się magii? – spytała.

– Od francuskiego artysty ulicznego w Covent Garden.

– Nie.

– Tak.

– Byłaś wtedy dzieckiem?

– Tak.

– Co robiłaś w Covent Garden?

– Głównie okradałam ludzi.

Lucy wiedziała, że Lily się z nią droczy. Edward też to robił, kiedy chciał zakończyć rozmowę. Wsuwając do ust ostatni kęs kanapki, spojrzała w niebo i zobaczyła, że szczelina w chmurach zamknęła się, a gwiazdy zniknęły.

\*

Edward właśnie wychodził, kiedy wróciły do pokoju. W jednej ręce trzymał świecę, drugą obejmował przytuloną do niego Fanny.

– Panna Brown jest zmęczona po podróży – wyjaśnił z ostrożną uprzejmością. – Odprowadzę ją do jej pokoju.

– Oczywiście – odparła Lily. – Dopilnuję, żeby zostało dla ciebie coś do jedzenia.

– Wiem, że nie chciałeś, Edwardzie. – Fanny mówiła dziwnie bełkotliwym głosem, kiedy powoli szli w głąb korytarza. – Nikomu nie powiedziałam. Miałeś mętlik w głowie. To normalne przed ślubem.

– Ćśśś, nic już nie mów. – Edward pomógł jej wejść na schody. – Porozmawiamy o tym jutro.

Lucy nie wróciła do jadalni. Odprowadziła ich wzrokiem, a gdy zniknęli, sama weszła na górę. Zauważyła, że brat zaprowadził Fanny do pokoju, który sąsiedował z jej sypialnią. Pokoik był mały, ale uroczy, z łóżkiem z baldachimem i stojącą pod oknem toaletką z drewna orzechowego.

W panującej dookoła ciszy Lucy usłyszała, jak Fanny mówi, że okno wychodzi na wschód, na wiejski cmentarz.

– To tylko inny rodzaj snu – tłumaczył jej Edward. – Nic więcej. Tylko długi sen, w jaki zapadają umarli.

– Ale, Edwardzie – głos Fanny niósł się przez otwarte drzwi aż na korytarz – spanie ze stopami skierowanymi w stronę cmentarza przynosi pecha.

Cokolwiek odparł, powiedział to tak cicho, że Lucy nie była w stanie go usłyszeć.

– Czy twój pokój jest gdzieś w pobliżu? – dopytywała się Fanny. – Jeśli nie, będę się bała.

Lucy przebrała się w koszulę nocną i podeszła do okna. Klematis, który piął się po kamiennej ścianie domu, zaglądał do jej pokoju, a na mokrym od deszczu parapecie leżała obsypana kwiatami gałązka. Lucy zaczęła je zrywać jeden po drugim; obrywała z nich płatki i patrzyła, jak spadają za okno niczym śnieg.

Myślała o Fanny w pokoju za ścianą, gdy usłyszała dobiegający z dołu głos Edwarda.

– Rozumiem, że mam ci za to podziękować?

Ostrożnie, by nie rzucać się w oczy, wyciągnęła szyję i spojrzała na trawnik, by zobaczyć, z kim brat rozmawia. Thurston. Deszcz ustał i zrobiło się cieplej. Zza chmur wyrzwał obrzmiały księżyc, którego światło wydawało się jaśniejsze niż zwykle. Lucy widziała obu mężczyzn stojących na skraju sadu przy oplecionej wisterią altance.

– Mówi, że napisałeś do niej, gdzie mnie szukać.

Thurston trzymał papierosa między zębami i mierzył ze strzelby do wymagowanego wroga w koronie rosnącego za domem kasztanowca. Niczym czarny charakter w pantomimie położył palec na spuście i po chwili opuścił rękę.

– Nic podobnego. Napisałem do niej, żeby się z nią umówić, a gdy się spotkaliśmy, powiedziałem jej, gdzie cię znaleźć.

– Jesteś draniem, Thurstonie.

– Co miałem zrobić? Biedaczka zdała się na moją łaskę.

– Twoją łaskę! Ciebie to bawi.

– Ranisz mnie, Edwardzie. Zachowałem się jak przyjaciel. Błagała mnie, żebym pomógł ci przejrzeć na oczy. Powiedziała, że oszalałeś i zachowujesz się niestosownie.

– Rozmawiałem z nią... napisałem do niej i wszystko jej wyjaśniłem.

– Wszystko? Szczerze w to wątpię. „Nie wierzę – powtarzała. – Czy on wie, kim jest mój ojciec? Co mu robi? Co to wszystko oznacza dla mnie?” Albo: „Dlaczego to robi? Dlaczego łamie obietnicę?”. – Thurston się roześmiał. – Nie, nie sądzę, żebyś wytłumaczył jej wszystko, mój drogi Edwardzie.

– Powiedziałem jej to, co musiała wiedzieć, żeby nie ranić jej bardziej, niż było to konieczne. – W głosie Edwarda pobrzmiwała wściekłość.

– Cóż, cokolwiek napisałeś, twoje słowa są teraz kupką zimnego popiołu w kominku jej ojca. Ona się z tym nie pogodziła. Powiedziała mi, że musi to zobaczyć na własne oczy. Jak miałem jej odmówić? Powinieneś mi podziękować. Nie jest tajemnicą, że twoja rodzina potrzebuje tego, co ma do zaoferowania Fanny. – Wykrzywił usta w kpiarskim uśmiechu. – Twoje biedne siostrzyczki i tak nie mogą liczyć na zbyt wiele.

– Niech cię nie obchodzą moje siostry.

– Powiedz to Clare. Biedaczka, robi, co może, żeby zwrócić na siebie moją uwagę. A ja zamierzam dać jej to, czego potrzebuje. Inaczej zepsuje mój obraz. Chętnie też zaopiekuję się Lily, kiedy ty i Fanny dojdziecie do porozumienia.

Altanka zasłaniała jej widok, więc Lily nie zobaczyła, jak pada pierwszy cios. Widziała tylko, że Thurston zatacza się w tył, dotyka dłonią twarzy i uśmiecha się półgębkiem.

– Próbowałem tylko pomóc, Radcliffe. Fanny może jest nudna, ale da ci dom i pozwoli malować. Nie wiadomo, może przy odrobinie szczęścia z czasem nawet przymknie oko na pewne sprawy.

\*

Lucy leżała w łóżku i rozmyślała. Bójka między Edwardem i Thurstonem nie trwała długo, a po wszystkim każdy z nich poszedł w swoją stronę. Lucy odeszła od okna i wślizgnęła się pod zimną kołdrę. Zawsze lubiła być sama, ale teraz uświadomiła sobie, że jest samotna. Co gorsza, bardziej niż samotność czuła niepewność.

Mały brązowy zegar na stoliku nocnym wskazywał pięć minut po północy, a to znaczyło, że leżała w łóżku od przeszło godziny. Dom pogrążył się w ciszy i bezruchu. Wiatr ustał. Nocne ptaki wychynęły ze swych kryjówek i przycupnęły na gałęziach kasztanowca osrebrzonego księżycowym blaskiem. Lucy słyszała, jak poćwierkują. Zastanawiała się, dlaczego w ciemności minuty i godziny ciągną się w nieskończoność.

Usiadła na łóżku.

Była rozbudzona i zbyt poruszona, by zasnąć. Chciała zrozumieć, co się dzieje. Edward mówił, że Fanny Brown nie przyjedzie do Birchwood, a jednak zjawiała się tu. Najwyraźniej pozostali wiedzieli więcej niż Lucy, bo nagle zaczęli się dziwnie zachowywać, a Thurston i Edward pobili się pod oknem jej pokoju.

Kiedy była małą dziewczynką i galopujące myśli nie pozwalały jej zasnąć, szła do brata. To on opowiadał jej bajki i odpowiadał na wszystkie pytania; uspokajał ją i zwykle udawało mu się ją rozśmieszyć. Wychodząc z jego pokoju, zawsze czuła się lepiej, niż gdy do niego wchodziła.

Tym razem również postanowiła do niego pójść. Było późno, ale wiedziała, że Edward nie będzie miał nic przeciwko. Był nocnym markiem i często siedział w pracowni do późnej nocy, podczas gdy ze świec wetkniętych w szyjki butelek spływał воск na zielone szkło.

Najciszej, jak mogła, wyszła na korytarz, ale spod drzwi żadnego z pokoi nie sączyło się światło.

Stała bez ruchu, nasłuchując.

Z dołu dobiegały stłumione ciche dźwięki. Szuranie krzesła na drewnianej podłodze.

Lucy uśmiechnęła się do siebie. To oczywiste, że Edward był w Pokoju Morwowym z farbami i sztalugą. Mogła się tego domyślać. Zawsze powtarzał, że malowanie pozwala mu oczyścić i uspokoić umysł i gdyby nie ono, myśli doprowadziłyby go do szaleństwa.

Schodząc na palcach po schodach, minęła wejście do kryjówki. Tak jak przypuszczała, cienka smuga światła wylewała się spod drzwi na końcu korytarza.

Były uchylone i Lucy na chwilę się zawahała. Edward nie lubił, gdy ktoś przeszkadzał mu w pracy, ale dziś, po kłótni z Thurstonem, pewnie potrzebował towarzystwa tak samo jak ona. Ostrożnie pchnęła drzwi, na tyle, by zajrzeć do pokoju i zobaczyć, czy Edward rzeczywiście w nim jest.

Najpierw ujrzała obraz. Twarz Lily Millington, oszalamiająco piękna, królewska, niemal nie z tego świata, spoglądała na nią; rude włosy okalały ją niczym płomienie. Lily Millington, królowa elfów, jaśniała wewnętrznym blaskiem.

Dopiero po chwili Lucy zauważyła klejnot w zagłębieniu na szyi modelki. Był to ten sam kamień, który dojrzała, zaglądając do szkicownika Edwarda, choć teraz widziała go w kolorze. Opalizujący jasny błękit. Poznała go od razu. Wiele słyszała o Błękiecie Radcliffe'ów, chociaż nigdy go nie widziała. Teraz też patrzyła tylko na namalowaną kopię i to, jak wyobrażał go sobie Edward: jako talizman na szyi jego królowej elfów.

Słyszając hałas w głębi pokoju, wyciągnęła szyję, gotowa zawołać Edwarda i poinformować go o swojej obecności, ale kiedy zobaczyła go na kanapie, zamarła. Nie był sam. Pochylał się nad Lily Millington. Wilgotne włosy opadały mu na twarz, podczas gdy włosy Lily spływały lśnącymi kaskadami z aksamitnej poduszki. Oboje byli nadzy, a ich skóra w blasku świec wydawała się taka gładka. Patrzyli sobie w oczy, zamknięci w chwili, która należała tylko i wyłącznie do nich.

Lucy po cichu wycofała się z pokoju, biegiem wróciła po schodach na górę do swojej sypialni i rzuciła się na łóżko. Chciała zniknąć, eksplodować niczym gwiazda na maleńkie drobiny pyłu, które spalą się i przestaną istnieć.

Nie rozumiała tego, co czuje i dlaczego tak bardzo cierpi. Łzy płynęły jej po policzkach, gdy przyciskała do piersi poduszkę.

Uświadomiła sobie, że się wstydzi. Nie za nich, bo oboje wyglądali pięknie. Nie, było jej wstyd za siebie. Nagle dotarło do niej, że jest dzieckiem. Niezgrabną, pulchną dziewczyną, ani piękną, ani atrakcyjną, bystrą, ale przeciętną. Dziewczyną, która dla nikogo nie jest ani wyjątkowa, ani najważniejsza.

To jak Edward patrzył na Lily Millington, to jak oboje patrzyli na siebie... Na nią nigdy tak nie spojrzy. I dobrze, bo nie powinien, bo wcale tego nie chciała. A jednak kiedy przypomniała sobie jego twarz, poczuła, że coś ważnego, coś, co budowała z takim pietyzmem, kruszy się i rozpada, zrozumiała bowiem, że czas, kiedy byli dziećmi, bratem i siostrą, dobiegł końca i że teraz stoją na przeciwnych brzegach rzeki.

Obudził ją hałas i w pierwszej chwili pomyślała, że to burza wróciła, by nękać ich przez kolejny dzień. Kiedy jednak otworzyła oczy, zobaczyła, że jest piękny, słoneczny poranek. Zauważyła też, że leży skulona w zmiętej pościeli w nogach łóżka.

Kolejny huk uświadomił jej, że to Thurston strzela do ptaków. Nagle wróciły do niej wydarzenia poprzedniego dnia.

Bolała ją głowa. Czasami tak było, kiedy spała za krótko, zeszła więc do kuchni po szklankę wody. Miała nadzieję, że zastanie tam Emmę i usiądzie na wiklinowym krześle przy piecu i będzie słuchać opowieści służącej o tym, co wydarzyło się we wsi, i ploteczek o jej mieszkańcach. Ale Emmy nie było. Kuchnia była pusta i wszystko wskazywało na to, że od ubiegłego wieczoru, kiedy ona i Lily robiły kanapki z serem, nikt do niej nie zaglądał.

Ubiegły wieczór. Lucy pokręciła głową, próbując pozbyć się zakłopotania po tym, co zobaczyła w pracowni Edwarda. To tłumaczyło podsłuchaną rozmowę między Edwardem a Thurstonem. A także to, dlaczego jej brat nie chciał, żeby Fanny przyjeżdżała do Birchwood. Tylko co to wszystko znaczyło? I co teraz będzie?

Nalała wody do szklanki i widząc smugę światła rozlewającą się na płytkach pod tylnymi drzwiami, postanowiła wyjść na zewnątrz.

Pod bezchmurnym błękitnym niebem wszystko wydawało się lepsze i Lucy weszła boso na wilgotny od rosy trawnik. Dotarłszy do narożnika domu, zamknęła oczy i zwróciła twarz w stronę słońca. Była dopiero dziewiąta, ale w powietrzu już wyczuwało się upał.

– Dzień dobry, mała Lucy. – Otworzyła oczy i zobaczyła Thurstona. Siedział na ulubionym krześle Edwarda, którego oparcie przywodziło na myśl rozłożony pawi ogon, palił papierosa i uśmiechał się do niej. – Chodź i posiedź z wujkiem Thurstonem. Jak będziesz grzeczna, może pozwolę ci nawet potrzymać moją strzelbę.

Pokręciła głową i nie ruszyła się z miejsca.

Thurston roześmiał się. Wycelował we wróbla, który przysiadł na oplecionej wisterią altance, i udał, że pociąga za spust.

– Nie powinieneś strzelać do ptaków.



– Jest wiele rzeczy, których człowiek nie powinien robić w życiu, Lucy. I zwykle są to rzeczy, które sprawiają mu największą frajdę. – Opuścił broń. – Przed tobą wielki dzień.

Nie wiedziała, co miał na myśli, ale nie chciała się do tego przyznać, żeby nie dać mu satysfakcji. Spoglądała więc na niego chłodnym wzrokiem, czekając, aż doda coś jeszcze.

– Idę o zakład, że nie spodziewałaś się, że tego lata będziesz pozować.

Po tym wszystkim, co się wydarzyło, Lucy zapomniała o propozycji Felixa sprzed dwóch dni, kiedy to wpadł na pomysł, że zrobi zdjęcie oparte na opowieści o magicznych dzieciach.

– Śliczna mała Lucy. Ćwiczyłaś już pozy?

– Nie.

– I dobrze. Najlepsze jest zawsze to, co naturalne. Próbowałem wytłumaczyć to Clare. Najpiękniejszymi ludźmi są ci, którzy nie próbują być piękni na siłę.

– Czy Felix zamierza robić dziś zdjęcia?

– Wspomniał o uchwyceniu właściwego światła.

– Gdzie są pozostali?

Thurston wstał i wskazał lufą poddasze.

– Przetrzęsają kufer w poszukiwaniu kostiumów. – Wsunął strzelbę pod pachę, minął Lucy i ruszył w stronę kuchni.

– Emmy nie ma – oznajmiła.

– Słyszałem.

Lucy zastanawiała się, co jeszcze słyszał.

– Wiesz, gdzie się podziewa?! – zawołała za nim.

– Rano przyszedł ktoś ze wsi. Podobno leży chora. Nie będzie jej dziś, więc sami musimy sobie poradzić.

\*

Lucy zastała dziewczęta na poddaszu, gdzie – tak jak mówił Thurston – wyciągały kostiumy z wielkiego kufra, mierzyły powłóczyste suknie, przewiązywały je w talii wstążkami i rozmawiały z przejęciem o tym, z czego

najlepiej upleść wianki. To, że ona również miała pozować, onieśmiewało Lucy, która przycupnęła w kącie na szczycie schodów i czekała, aż ktoś ją zawoła.

– Powinny do siebie pasować – zwróciła się Clare do Adele.

– Niezupełnie. Każde z magicznych dzieci dysponowało innym rodzajem magii.

– Tak?

– Mogłybyśmy wyrazić to, wybierając inny rodzaj kwiatów. Ja będę różą, a ty kapryfolium.

– A Lucy?

– Niech sama zdecyduje. Nie wiem... może margerytką. To musi być coś odpowiedniego – powiedziała Adele i spojrzała na męża. – Nie sądzisz, skarbie?

– Tak, tak, cudownie! – odparł gorliwie Felix, choć prawie nie przysłuchiwał się tej rozmowie. Stał przy oknie; podnosił do światła kawałek gazy, mrużąc najpierw jedno, a potem drugie oko.

Lucy zauważyła, że nigdzie nie ma Lily Millington. Podobnie jak Fanny i Edwarda.

Adele wzięła Clare za rękę i minawszy Lucy, razem zaczęły zbiegać po schodach.

– Rusz się, ślamazaro! – zawołała na nią Clare w połowie drogi na dół. – Też musisz mieć wianek.

Po wczorajszej ulewie niektóre róże przedstawiały sobą żalosny widok – ich delikatne płatki zaścielały trawę, ale kwiatów było pod dostatkiem, więc dziewczęta miały z czego wybierać.

Wzdłuż kamiennego muru na granicy z sadem rosły kępki margerytek. Lucy zerwała kilka różowych, białych i żółtych i przysiadła na skrawku suchej trawy, by upleść z nich wianek. Wiedziała, że kwiaty szybko zwiędną, ale cieszył ją ich widok. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek plotła wianki, i w innych okolicznościach uznałaby to za stratę czasu. Tym razem jednak było inaczej. Lucy, która do tej pory była niepewna, czy powinna pozować do fotografii Felixa, nagle zaczęła czuć radosne podniecenie. Nigdy by się do tego nie przyznała – sama nie potrafiła tego wytłumaczyć – ale na myśl o tym, że będzie częścią fotografii, czuła się bardziej rzeczywista.

Lily Millington dołączyła do nich w ogrodzie i w milczeniu plotła własny wianek. Lucy, która siedząc po turecku, od czasu do czasu zerkała w jej stronę, zauważyła delikatny grymas na twarzy modelki. Thurston zebrał pióra i szkicownik i pomagał Felixowi znosić płyty fotograficzne i kolodium, które razem z aparatem i namiotem zamierzali przenieść do lasu. Brakowało tylko Edwarda i Fanny. Lucy zastanawiała się, czy prowadzą rozmowę, o której wspominał Edward, gdy wieczorem odprowadzał narzeczoną do łóżka.

Felix uznał, że najlepsze światło będzie w południe, kiedy słońce świeci najmocniej, a zatem wszystko dostosowano do jego planu.

Lucy na zawsze miała zapamiętać procesję idących po łące w stronę lasu dziewcząt ubranych w kostiumy i wianki. Rosnące w trawie polne kwiaty kołysały się na wietrze.

Minęli stodołę z młockarnią i dotarli niemal nad rzekę, kiedy gdzieś z tyłu rozległ się krzyk:

– Zaczekajcie na mnie! Ja też chcę być na fotografii!

Odwrócili się i zobaczyli Fanny, która szła ku nim dumnym krokiem. Za nią z posępną miną kroczył Edward.

– Ja też chcę być na fotografii – powtórzyła, podchodząc bliżej. – Chcę być królową elfów.

Felix, niosący na ramieniu drewniany trójnóg, pokręcił głową zmieszany.

– Lily będzie królową elfów, tak jak na obrazie Edwarda. Te prace mają się uzupełniać. Jak lepiej pokazać, że fotografia i malarstwo to pokrewne sztuki? Ale ty, Fanny, możesz być jedną z jej córek.

– Jesteśmy zaręczeni, Edwardzie, mamy się pobrać. To ja powinnam być królową elfów z twojej opowieści.

Lily zerknęła na Edwarda.

– To prawda – przyznała.

– Nie pytałam cię o zdanie – rzuciła Fanny, pogardliwie krzywiąc usta. – Płacą ci za to, żebyś stała i nie odzywała się. Rozmawiam ze swoim narzeczoną.

– Fanny – ostrzegł ją Edward. Słysząc było, że stara się panować nad głosem. – Mówiłem ci...

– Za chwilę światło nie będzie już takie dobre – rzucił rozpaczliwie Felix. – Lily będzie królową, a ty, Fanny, możesz być jednym z magicznych dzieci. Staniesz z przodu, a Clare i Adele po bokach.

– Ale, Felixie...

– Dość tego, Adele. Światło!

– Lucy – odezwała się Clare – oddaj Fanny swój wianek, żebyśmy mogli zacząć.

Lucy po kolei spoglądała na Clare, Edwarda, Lily Millington, Felixa i Fanny, którzy patrzyli na nią wyczekująco, po czym rzuciła się do ucieczki.

– Lucy, zaczekaj!

Ale ona nie czekała. Cisnęła wianek na ziemię i biegła niczym mała dziewczynka w stronę domu.

\*

Nie pobiegła do swojego pokoju, biblioteki ani do kuchni, gdzie czekała na nią połowa biskoptu królowej Wiktorii, który Emma upiekła w piątek. Weszła do Pokoju Morwowego, w którym Edward urządził swoją pracownię. Nie wiedziała, po co właściwie tu przyszła, miała tylko niejasne przeświadczenie, że właśnie tutaj powinna skierować swoje kroki. Wiedziała więcej o działaniu silnika niż o tym, co nią kieruje.

Kiedy więc przekroczyła próg pokoju, poczuła się zagubiona. Nie mogła złapać tchu i było jej wstyd, że tak po prostu uciekła. Czuła się odrzucona, a z drugiej strony złościła się na siebie, że pokazała innym, jak bardzo jest rozczarowana. I była zmęczona, bardzo zmęczona. Tak wiele się wydarzyło i nad wieloma rzeczami musiała się zastanowić.

Nie wiedząc, co robić, skuliła się na podłodze niczym kocię.

Mniej więcej dwie i pół minuty później jej wzrok spoczął na skórzanej torbie Edwarda opartej o nogę sztalugi.

Torba była nowa. Lily Millington podarowała mu ją na urodziny i Lucy czuła zazdrość, widząc, jak bardzo spodobał mu się ten prezent. Była też zaskoczona, ponieważ żadna modelka nie podarowała nigdy Edwardowi

prezentu, nie mówiąc o czymś tak drogim. Ale po tym, co zobaczyła ubiegłej nocy, wszystko zaczynało być jasne.

Lucy uznała, że dość użalania się nad sobą. Zawładnęła nią ciekawość. Dźwignęła się z podłogi i sięgnęła po torbę.

Otworzyła kłamrę i odchyliła skórzaną klapę. W środku znajdowały się szkicownik Edwarda, drewniane etui na pióro i coś jeszcze, coś, czego się nie spodziewała: czarne aksamitne pudełeczko, podobne do tych, w których matka przechowywała perły i broszki podarowane przez ojca.

Wyjęła je z torby i drżącymi dłońmi uchyliła wieczko. Najpierw zobaczyła dwa kartoniki, które złożono razem, ale po otwarciu nieco się wyprostowały. Były to bilety linii Cunard dla pana i pani Radcliffe na rejs do Nowego Jorku parowcem, który miał odpłynąć pierwszego sierpnia. Podczas gdy Lucy zastanawiała się, co to właściwie znaczy, bilety wypadły na podłogę.

Dopiero wtedy jej wzrok spoczął na tym, co od początku spodziewała się znaleźć w aksamitnym pudełeczku – Błękitnie Radcliffe'ów. Edward nie wyobrażał sobie kamienia na szyi Lily Millington: on go wyciągnął ze skrytki bankowej. Co więcej, była pewna, że zrobił to bez pozwolenia, bo dziadek nigdy by się na to nie zgodził.

Lucy wzięła brylant i położywszy go sobie na dłoni, muskała palcami delikatny łańcuszek, na którym był zawieszony. Zauważyła, że ręka jej drży.

Obejrzała się przez ramię na obraz Lily Millington.

Lucy nie należała do dziewcząt, które pragną falbanek, koronek i lśniących klejnotów, ale ostatnie dwa tygodnie boleśnie uświadomiły jej, jak daleko jej do bycia piękną.

Teraz podeszła z naszyjnikiem do lustra stojącego na kominku.

Przez chwilę wpatrywała się w swoją przeciętną drobną twarz, po czym zacisnęła usta i zawiesiła łańcuszek na szyi.

Kamień był cięższy i chłodniejszy, niż się tego spodziewała.

I przepiękny.

Powoli kręciła głową to w jedną, to w drugą stronę, obserwując światło, które tańczyło na fasetach i malowało na jej skórze niebieskawe cętki. Podziwiała najpierw prawy profil, a potem lewy, zachwycona świetlistymi refleksami. Oto co znaczy stroić się, pomyślała.

Uśmiechnęła się niepewnie do swojego odbicia, na co dziewczyna w lustrze również odpowiedziała tym samym.

Nagle jej uśmiech zgasł. W lustrze za nią stała Lily Millington.

Lily nawet nie mrugnęła. Nie upomniała jej ani nie wyśmiała. Powiedziała tylko:

– Przyszłam w imieniu Felixa. Upiera się, że musisz być na zdjęciu.

Lucy nie odwróciła się, przemówiła do jej odbicia.

– Teraz, kiedy jest Fanny, nie potrzebuje mnie. Ma już cztery modelki.

– Nie, bo jeśli ty odmówisz, ja też nie będę pozować.

– Próbujesz być miła.

– Ja nigdy nie próbuję być miła. – Lily Millington stanęła przed Lucy i spojrzała na nią, marszcząc brwi. – A to co?

Lucy wstrzymała oddech, czekając na to, co miało się wydarzyć. I rzeczywiście, Lily musnęła dłonią jej szyję.

– Patrzcie, patrzcie – odezwała się łagodnie i otworzyła dłoń, by ukazać leżącego na niej srebrnego szylinga. – Miałam przecucie, że okażesz się cenną przyjaciółką.

Lucy poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Jakaś jej część chciała przytulić Lily Millington. Podniosła rękę, żeby rozpiąć naszyjnik.

– Zastanowiłaś się nad tym, czy powiedzieć mi, jak to się robi? – spytała.

– Najważniejsza jest ta część dłoni – odparła Lily Millington, muskając skórę między kciukiem i palcem wskazującym. – Musisz mocno ścisnąć monetę, ale tak, żeby nie było jej widać.

– Ale jak ją tam włożyć, żeby nikt niczego nie zauważył?

– Cóż, to dopiero sztuka, prawda?

Uśmiechnęły się do siebie i nagle ogarnęła je fala wzajemnego zrozumienia.

– A teraz – powiedziała Lily – dla dobra Felixa, który z każdą minutą robi się coraz bardziej nerwowy, proponuję, żebyś natychmiast poszła do lasu.

– Mój wianek... Wyrzuciłam go...

– A ja go podniosłam. Wisi na kłamce drzwi wejściowych.

Lucy jeszcze raz zerknęła na Błękit Radcliffe'ów, który wciąż trzymała w ręce.

– Powinnam go odłożyć.

– Tak – zgodziła się z nią Lily, a chwilę później, gdy w korytarzu zadudniły czyjeś pospieszne kroki, dodała: – O Boże... obawiam się, że to Felix.

Ale mężczyzną, który stanął w drzwiach do Pokoju Morwowego, nie był Felix. Był nim nieznajomy, którego Lucy pierwszy raz widziała na oczy – człowiek o kasztanowych włosach i krzywym uśmiechu. Od razu poczuła do niego niechęć.

– Drzwi wejściowe były otwarte. Pomyślałem, że nie będziesz miała nic przeciwko.

– Co ty tu robisz? – spytała Lily udręczonym głosem.

– To jasne, sprawdzam, co u ciebie.

Lucy patrzyła to na nią, to na nieznajomego, czekając, aż ten się przedstawi.

Mężczyzna stał teraz naprzeciw obrazu Edwarda.

– Piękny. Naprawdę piękny. Trzeba mu przyznać, że zna się na rzeczy.

– Musisz iść, Martinie. Pozostali niedługo wrócą. Jeśli cię tu zastaną, zrobi się nieprzyjemnie.

– Zrobi się nieprzyjemnie – powtórzył ze śmiechem Martin. – Mówisz jak napuszona damulka. – Nagle spoważniał. – Mam iść? Nie sądzę. Bez ciebie nigdzie się nie wybieram. – Kiedy wyciągnął rękę, żeby dotknąć płótna, Lucy wstrzymała oddech. – To Błękit? Miałaś rację. Będzie zadowolona. Bardzo, bardzo zadowolona.

– Powiedziałaś miesiąc.

– Tak. Ale jesteś szybka, szybsza i lepsza od innych. Kto oparłby się twojemu urokowi? – Wskazał głową obraz. – Coś mi się widzi, droga siostrze, że i tym razem szybciej się uwinęłaś.

Siostrze? Lucy przypomniała sobie historię spotkania Edwarda i Lily. Edward wspominał o bracie, który był z nią w teatrze, i rodzicach, których trzeba było przekonać, że reputacja ich córki nie ucierpi, jeśli Lily będzie pozowała do obrazu. Czy ten straszny człowiek naprawdę był bratem Lily Millington? Jeśli tak, dlaczego o tym nie powiedziała? Dlaczego Lily nie przedstawiła go? I dlaczego Lucy czuła ogarniający ją strach?

Mężczyzna zauważył bilety leżące na podłodze i schylił się, żeby je podnieść.

– Ameryka, tak? Kraj, w którym wszystko można zacząć od początku. Brzmi nieźle. Bardzo sprytnie. Bardzo sprytnie. To już niedługo.

– Idź, Lucy – odezwała się Lily. – Dołącz do reszty. Szybko. Zanim przyjdą cię szukać.

– Nie chcę...

– Proszę, Lucy.

W głosie Lily Millington pobrzmiwało zniecierpliwienie i Lucy niechętnie wyszła z pokoju. Nie wróciła jednak do lasu. Przystanęła za drzwiami i zaczęła nasłuchiwać. Lily mówiła cichym, spokojnym głosem, ale Lucy była w stanie wychwycić pojedyncze słowa: „...więcej czasu... Ameryka... mój ojciec...”.

Mężczyzna parsknął śmiechem i powiedział coś, czego Lucy nie usłyszała.

Chwilę później Lily Millington krzyknęła, jakby ktoś ją uderzył, i Lucy już miała wpaść do pokoju, ale drzwi otworzyły się gwałtownie i mężczyzna – Martin – przeszedł obok niej, wlokąc za sobą Lily i mrużąc pod nosem:

– Błękit... Ameryka... nowe początki...

Widząc Lucy, Lily pokręciła głową, pokazując jej, żeby uciekała.

Ale ona nie zamierzała nigdzie iść. Podążała za nimi korytarzem, a gdy dotarli do salonu i mężczyzna zauważył ją, roześmiał się i powiedział:

– Proszę, proszę, jest i kawaleria. Mały rycerzyk w lśniącej zbroi.

– Lucy, proszę – jęknęła Lily. – Musisz iść.

– Lepiej rób, co ci każe. – Mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Małe dziewczynki, które nie słuchają starszych i mądrzejszych, zwykle źle kończą.

– Proszę, Lucy. – W oczach Lily czaił się strach.

Ale Lucy nagle opadły wątpliwości nagromadzone w ciągu ostatnich kilku dni. Miała poczucie, że jest zbyt młoda, by się na cokolwiek przydać, że nie pasuje do tego miejsca i że wszyscy decydują o wszystkim, nie licząc się z jej zdaniem. A teraz ten nieznajomy mężczyzna chciał zabrać stąd Lily Millington i nie wiedzieć czemu, Lucy nie chciała, by tak się stało. To była jej szansa, by zająć stanowisko w sprawie, która była dla niej ważna.



Kątem oka zobaczyła strzelbę Thurstona leżącą na krześle, tam gdzie zostawił ją rano po śniadaniu. Przypadła do niej jednym susem, chwyciła za lufę i najmocniej, jak mogła, rąbnęła nieznanego w głowę.

Kiedy zaskoczony przyłożył dłoń do twarzy, uderzyła go jeszcze raz i z całej siły kopnęła w pizczel.

Mężczyzna zatoczył się, potknął się o nogę stolika i runął na podłogę.

– Szybko – rzuciła Lucy, czując, jak krew dudni jej w uszach. – Zaraz się podniesie. Musimy się ukryć.

Chwyciła Lily Millington za rękę i razem wbiegły na schody. Na półpiętrze Lucy odsunęła krzesło z giętego drewna i wcisnęła klepkę, która otwierała drzwi do kryjówki. Ogarnięta paniką, zdążyła zauważyć zaskoczenie na twarzy Lily.

– Szybko – powtórzyła. – Tu cię nie znajdzie.

– Ale jak...?

– Pospiesz się.

– Ale ty też musisz tu wejść. To zły człowiek, Lucy. Bardzo zły. Zrobi ci krzywdę. Zwłaszcza po tym, co mu zrobiłaś.

– Nie zmieścimy się tu obie. Ale znam jeszcze jedną skrytkę. Tam się ukryję.

– Daleko stąd?

Lucy pokręciła głową.

– Więc ukryj się i nie wychodź. Rozumiesz? Bez względu na to, co się wydarzy, zostań tam. Nie wychodź, dopóki Edward cię nie znajdzie.

Lucy obiecała, że tak zrobi, i zamknęła wejście do kryjówki.

Nie tracąc czasu, świadoma, że nieznanomy pewnie podnosi się już z podłogi, wbiegła na szczyt schodów, otworzyła sekretne drzwiczki i schroniła się w mroku kryjówki.

Czas płynął tu inaczej. Lucy słyszała, jak mężczyzna woła Lily Millington, tak jak słyszała dobiegające z oddali inne głosy. Nie bała się jednak. Kiedy jej wzrok przyzwyczaił się do ciemności, zobaczyła, że nie jest sama i że w środku wcale nie jest tak ciemno; pomiędzy drewnianych paneli mrugały do niej tysiące drobinek światła.

Kiedy czekała z kolanami podciągniętymi pod brodę, czuła się dziwnie bezpieczna i zaczęła się zastanawiać, czy w baśniowej opowieści Edwarda nie było jednak ziarna prawdy.

# X

Czasami nadal słyszę jego głos, który szepcze mi do ucha. Nadal pamiętam otaczający go zapach sera i tytoniu. *Twój ojciec nie jest w Ameryce, Birdie. Nigdy tam nie dotarł. Został stratowany przez konia w dniu, kiedy mieliście wypłynąć. To Jeremiah przyniósł cię do nas. Podniósł cię z ziemi, zostawił twojego ojca, żeby pochowali go ludzie z przytułku dla ubogich, i przyniósł cię do mojej mamy. To był twój szczęśliwy dzień. Jeremiaha też, bo od tamtej pory dobrze mu się powodziło. Powiedział, że bardzo mu się przysłużyłaś. Chyba nie sądziłaś, że twój ojciec przysyłał te wszystkie listy zza oceanu, prawda?*

Jego słowa zaboląły mnie bardziej, niż gdyby uderzył mnie pięścią w brzuch. A jednak nie zamierzałam ich kwestionować. Nawet przez sekundę nie wątpiłam, że to, co mówił, jest prawdą. Jego słowa były jedyną rzeczą, która miała sens, i nagle zobaczyłam wszystko jasno i wyraźnie. Inaczej dlaczego ojciec nie kwapił się ze ściągnięciem mnie do Ameryki? Minęło jedenaście lat, odkąd obudziłam się w pokoju nad sklepem z ptakami i klatkami, w obecności pani Mack i innych. Mój ojciec nie żył. Od dawna był już martwy.

Martin chwycił mnie za nadgarstek i zaczął ciągnąć w stronę drzwi Pokoju Morwowego. Szeptał, że wszystko będzie dobrze, że wszystkim się zajmie, i mówił, żebym się nie smuciła, bo ma pewien pomysł. Ukradniemy klejnot i zamiast zawieźć go do Londynu, zabierzemy brylant i bilety i popłyniemy do Ameryki. W końcu to ziemia obiecana, kraina, w której można zacząć wszystko od nowa, tak jak było napisane w listach, które co miesiąc przynosił Jeremiah.

Miał na myśli listy, które pani Mack czytała na głos, wieści z Ameryki, wieści od mojego ojca. Wszystkie zmyślane. To było oszustwo zapierające

dech w piersi. Ale jak mogłam potępiać tych ludzi? Sama byłam przecież złodziejką, oszustką, kimś, kto bez mrugnięcia okiem ukradł cudze imię i nazwisko.

Ledwie dwa tygodnie temu oszukałam panią Mack, kiedy powiedziałam jej, że planuję wyjechać z Edwardem na wieś. Nigdy z własnej woli nie pozwoliłaby mi wyjechać ani do Birchwood, ani do Ameryki. Przez lata stałam się dla niej kurą znoszącą złote jaja, a w swoim krótkim życiu jedno wiedziałam na pewno: ludzie szybko przyzwyczajają się do bogactwa i choć sami nie kiwnęli palcem, żeby się wzbogacić, uważają, że wszystko, co mają, należy się im.

Pani Mack wierzyła, że ma prawo do wszystkiego, co posiadałam, dlatego, by móc wyjechać z Edwardem, powiedziałam jej, że ten wyjazd jest częścią planu. Zapewniłam ją, że za miesiąc wrócę z bogactwami, o jakich w życiu nie marzyła.

– Jakimi bogactwami? – spytała, jako że nigdy nie lubiła ogólników.

A ponieważ najlepsze kłamstwa to takie, w których jest trochę prawdy, wyznałam jej, że Edward zamierza namalować mnie z bezcennym Błękitem Radcliffe'ów na szyi.

\*

W kryjówce było ciemno i trudno się oddychało. Panowała tam też upiorna cisza.

Myślałam o Edwardzie i zastanawiałam się, co robi Fanny.

O Bładym Joe i liście, który wysłałam do niego z Birchwood; informowałam go w nim, że wyjeżdżam do Ameryki, i prosiłam, żeby się nie martwił, jeśli przez jakiś czas nie będę się odzywać. Myślałam też o zdjęciu, które na pamiątkę dołączyłam do listu; zrobił mi je Edward aparatem Felixa.

Myślałam o ojcu, o przyjemnym ciężarze jego dłoni, kiedy trzymał mnie za rękę, i radości, jaką czułam, gdy byłam mała i szliśmy razem na stację kolejową, by wyruszyć w podróż do jednego z zepsutych zegarów.

I o mamie, która była niczym promień słońca na powierzchni moich wspomnień, jasny i ciepły, lecz zmienny. Pamiętam dzień, kiedy obie byłyśmy

nad rzeką płynącą za naszym domem w Londynie. Upuściłam do wody kawałek wstążki, który przechowywałam jak skarb, i patrzyłam bezsilna, jak odpływa z prądem. Płakałam, ale mama wytłumaczyła mi, że taka jest natura rzeki. „Rzeka – powiedziała – jest największym kolekcjonerem ze wszystkich, prastarym i bezkrytycznym. Zabiera wszystko, co do niej wpadnie, w jedną tylko stronę, ku niezmiernym głębinom morza. Nie oczekuj, że będzie łaskawa, Birdie, musisz więc być ostrożna”.

Uświadomiłam sobie, że pośród tej atramentowej czerni słyszę rzekę, że jej nurt kołysze mnie do snu...

I nagle usłyszałam coś jeszcze, ciężkie kroki na podłodze nad moją głową i stłumiony głos.

„Mam bilety. – To był głos Martina; dobiegał z góry, tuż znad kryjówki. – Gdzie jesteś? Zabierajmy klejnot i wynośmy się stąd”.

Chwilę później usłyszałam inny dźwięk. Gdzieś na dole trzasnęły drzwi i wiedziałam, że ktoś jeszcze wszedł do domu.

Martin pobiegł w kierunku, z którego dochodził hałas.

Podniesione głosy i krzyk.

I huk wystrzału.

Zaraz potem znowu krzyk... głos Edwarda.

Po omacku szukałam zasuwki, żeby otworzyć drzwi, ale nie mogłam jej znaleźć. Nie byłam w stanie usiąść ani się obrócić. Ogarnął mnie strach, a im bardziej panikowałam, tym płytszy był mój oddech i tym bardziej wiązał mi w gardle. Próbowałam się odezwać, lecz mój głos przypominał szept.

Było mi gorąco, tak bardzo gorąco.

Edward zawołał jeszcze raz; wołał mnie głosem schrypniętym ze strachu. Wołał Lucy. Zdawało mi się, że jest daleko, daleko stąd.

Gdzieś nad głową usłyszałam kroki, lżejsze niż te Martina. Dobiegały z korytarza na piętrze. A zaraz potem łupnięcie, od którego zadrżała podłoga.

W domu rozpętał się chaos, ale nie dla mnie.

Byłam łódką niesioną prądem, pode mną rzeka łagodnie toczyła swoje wody i gdy zamknęłam oczy, wróciło do mnie kolejne wspomnienie. Byłam dzieckiem, miałam niespełna rok i leżałam w łóżeczku w pokoju na piętrze małego domu nad rzeką w Fulham. Przez otwarte okno wpadał do pokoju ciepły wiaterek, a wraz z nim śpiew ptaków i zagadkowe zapachy bzu i błota. Światła i cienie malowały kręgi na suficie, a ja obserwowałam ich taniec. Wyciągałam rączki, żeby je pochwycić, ale za każdym razem przeciekały mi przez palce...

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

## *Wiosna 1882*

– To uroczy stary dom. Trochę zaniedbany w środku, ale mury ma solidne. Otworzę tylko i sama pani zobaczy.

Nie chcąc zachować się nieuprzejmie wobec prawnika Edwarda, Lucy nie przyznała się, że była już wcześniej w posiadłości, i w milczeniu czekała, aż mężczyzna przekręci klucz w zamku.

Był wczesnowiosenny poranek i w powietrzu czuło się chłód. Ktoś zajmował się ogrodem, przynajmniej na tyle, by wąsy roślin nie płożyły się na ścieżkach. Kapryfolium pokryło się pąkami, a na krzewach jaśminu rosnących wzdłuż muru i przy kuchennym oknie kwitły pierwsze kwiaty. Spóźniły się. Na ulicach Londynu już dawno unosił się ich zapach, ale jak mawiał Edward: „Miejskie rośliny zawsze są bardziej niecierpliwe od swoich wiejskich kuzynów”.

– Jeszcze chwila – rzekł pan Matthews z Holbert, Matthews & Sons i zamek ustąpił z niskim, głębokim szcęknięciem. – Już.

Drzwi stanęły otworem i Lucy poczuła ucisk w żołądku.

Po dwudziestu latach nieobecności, zastanawiania się i prób niemyślenia o domu w końcu nadszedł ten moment.

Pięć miesięcy temu, kilka dni po tym, jak dotarła do nich wieść o śmierci Edwarda, otrzymała list. Spędziła ranek w muzeum w Bloomsbury, gdzie pomagała katalogować ofiarowane kolekcje i po powrocie do domu zdążyła tylko napić się herbaty, gdy pokojówka Jane przyniosła popołudniową pocztę. List napisany na ozdobnym firmowym papierze rozpoczynał się od wyrazów głębokiego współczucia i już w drugim akapicie informował ją, że na mocy

testamentu brata, Edwarda Juliusa Radcliffe'a, została jego spadkobierczynią. Na koniec autor listu zapraszał *Pannę Radcliffe* do odwiedzenia kancelarii w celu dalszego omówienia sprawy.

Lucy kilkakrotnie czytała list, potykając się na słowach *pani brat, Edward Julius Radcliffe*. Pani brat... Zastanawiała się, jak wielu spadkobiercom trzeba przypominać, kim byli dla zmarłych.

Ona nie potrzebowała przypomnienia. Chociaż minęło wiele lat od krótkiego niesatysfakcjonującego spotkania z Edwardem w obskurnym budynku w Paryżu, dookoła pełno było rzeczy, które jej o nim przypominały. Jego obrazy wisiały niemal na wszystkich ścianach. Matka nie pozwalała ich zdjąć, do końca żyjąc nadzieją, że może Edward wróci i zacznie znów malować – że może nie jest za późno i jeszcze zdąży „wyrobić sobie nazwisko”, tak jak zrobili to Thurston Holmes i Felix Bernard. I tak oto piękne twarze Adele, Fanny i Lily Millington patrzyły z góry na Lucy – ze spokojem, w zamyśleniu, wyzywająco – obserwując każdy jej ruch, kiedy próbowała na nowo poskładać swoje życie. Te oczy, które za nią podążały. Lucy starała się nie patrzeć w ich stronę.

Kiedy otrzymała list od panów Holberta i Matthews, odpowiedziała niezwłocznie i umówiła się na spotkanie w piątek o godzinie dwunastej. Gdy więc na ulice Mayfair spadały pierwsze płatki grudniowego śniegu, siedziała po drugiej stronie masywnego ponurego biurka w kancelarii pana Matthews seniora i słuchała, jak wiekowy prawnik informuje ją, iż posiadłość Birchwood – „wiejski dom w małej wiosce nieopodal Lechlade nad Tamizą” – należy teraz do niej.

Na koniec przypomniał jej jeszcze, że musi poinformować kancelarię o terminie ewentualnej wizyty w posiadłości, tak by uzgodnił to ze swoim synem, który będzie jej towarzyszył w drodze do Berkshire. Lucy, która nie miała wówczas zamiaru udawać się do Berkshire, odparła, że nie śmiałyby o to prosić. „Ale to wszystko w ramach naszych usług, panno Radcliffe” – poinformował ją pan Matthews, wskazując wiszącą na ścianie za jego plecami drewnianą tablicę, na której złotymi pochyłymi literami napisano:

*HOLBERT, MATTHEWS & SONS*



*Spełniamy życzenia naszych klientów  
tak za ich życia, jak i po śmierci.*

Wychodząc z kancelarii, Lucy miała w głowie gonitwę myśli.  
Posiadłość Birchwood.  
Cóż za hojny prezent... cóż za obosieczny miecz...

\*

W ciągu kolejnych dni, a nawet tygodni, kiedy noce były ciemne jak nigdy, Lucy zastanawiała się, czy Edward zostawił jej dom, bo łącząca ich niegdyś głęboka więź sprawiała, że w głębi duszy wiedział. Ale nie, Lucy zbyt twardo stąpała po ziemi, by uwierzyć w coś tak nielogicznego. Przede wszystkim nic nie było pewne, nawet dla niej. Poza tym Edward wyraził się jasno: w dołączonym do testamentu liście pisał, że Lucy powinna otworzyć w domu szkołę dla dziewcząt równie mądrych jak ona. Dziewcząt poszukujących wiedzy, która na co dzień była im odmawiana.

I tak jak za życia posiadał dar przekonywania ludzi do swoich idei, tak po śmierci jego słowa również miały moc. Bo choć w kancelarii Holbert, Matthews & Sons Lucy obiecała sobie, że sprzeda dom, a jej noga nigdy więcej dobrowolnie nie postanie w Birchwood, tuż po wyjściu wizja Edwarda zapuściła korzenie w jej głowie i zaczęła osłabiać to postanowienie.

Lucy szła na północ przez Regent's Park, zatrzymując wzrok to na jednej, to na drugiej dziewczynce, które choć ciche i posłuszne, w głębi duszy na pewno marzyły o tym, by zrobić, zobaczyć i dowiedzieć się więcej niż to, na co im pozwalano. Oczami wyobraźni zobaczyła siebie roztaczającą opiekę nad gromadką rumianych dziewcząt, ciekawskich i rozprawiających o czymś podekscytowanymi głosami, dziewcząt, które nie pasowały do ról, jakie im przypisywano, i które marzyły o tym, by uczyć się i rozwijać. Przez kolejne tygodnie nie myślała o niczym innym, przekonana, że wszystko w jej dotychczasowym życiu prowadziło właśnie do tego momentu i że przekształcenie domu z dwoma bliźniaczymi szczytami, stojącego w zakolu rzeki, w szkołę dla dziewcząt jest jedyną słuszną decyzją.

\*

I oto stała tu. Potrzebowała na to pięciu miesięcy, ale była gotowa.

– Muszę coś podpisać? – spytała prawnika, który zaprowadził ją do kuchni z kwadratowym sosnowym stołem. Lucy miała wrażenie, że lada chwila zobaczy Emmę Stearnes, która wychodząc z salonu, pokręci głową zdumiona dziwnym zachowaniem mieszkańców domu.

– Ale co? – Prawnik spojrzał na nią zdziwiony.

– Nie wiem. Nigdy dotąd nie dostałam w spadku domu. Rozumiem, że jest jakiś akt własności.

– Nie musi pani niczego podpisywać, panno Radcliffe. Akt własności został przeniesiony na panią. Wszystko jest załatwione. Dom należy do pani.

– Cóż... – Lucy wyciągnęła rękę. – Dziękuję, panie Matthews. Miło było pana poznać.

– Może chciałaby pani, żebym ją oprowadził po posiadłości?

– To nie będzie konieczne, panie Matthews.

– Ale skoro już przyjechałem...

– Rozumiem, że mogę tu dziś zostać?

– Ależ oczywiście. Tak jak mówiłem, dom należy do pani.

– W takim razie jeszcze raz dziękuję, że zechciał pan ze mną przyjechać. A teraz proszę wybaczyć, mam wiele do zrobienia. Może pan słyszał, że zamierzam otworzyć tu szkołę? Szkołę dla obiecujących młodych dam.

\*

Ale Lucy nie od razu przystąpiła do przygotowań. Było coś, czym musiała się zająć w pierwszej kolejności. Zadanie równie niewdzięczne, jak istotne. Przez pięć miesięcy biła się z myślami. Dłużej, jeśli miała być szczerą. Przez prawie dwadzieścia lat czekała, żeby poznać prawdę.

Zamknęła drzwi za młodym panem Matthewsem, którego mina dobitnie świadczyła o niezadowoleniu, i z kuchennego okna patrzyła, jak odchodzi. Dopiero gdy wyszedł na drogę i zamknął za sobą drewnianą bramę, Lucy odetchnęła. Odwróciła się od okna i przez chwilę stała plecami do szyby,

rozglądając się po pomieszczeniu. Dziwne, ale wszystko wyglądało dokładnie tak, jak zapamiętała. Zupełnie jakby wyszła na krótki spacer do pobliskiej wsi i wróciła do domu po blisko dwóch dekadach.

Dom pogrążony był w ciszy, ale nie w bezruchu. Przypomniała sobie historię, którą Edward czytał jej z książki Charles'a Perraulta *La Belle au bois dormant* o księżniczce, która pod wpływem klątwy zapadła w trwający sto lat sen. To właśnie ona stała się inspiracją do namalowania *Śpiącej królowej*. Lucy nie była romantyczką, ale stojąc przy kuchennym oknie, wyobrażała sobie, że dom wie, że wróciła.

Że czekał.

Co więcej, miała niepokojące uczucie, że ktoś jeszcze jest z nią w pomieszczeniu.

Pospiesznie upomniała się w duchu, że nie jest osobą, która łatwo ulega wpływom, i że popełniłaby błąd, gdyby tu i teraz dała wiarę przesądom. Najwyraźniej umysł płatał jej figle. Nic więcej.

Zdeterminowana, wyszła na korytarz i ruszyła schodami w górę.

Krzesło z giętego drewna stało dokładnie tam, gdzie widziała je po raz ostatni, w kącie podestu na zakręcie schodów. Było zwrócone w stronę wysokiego okna z widokiem na ogród za domem i łąkę. W promieniach słońca tańczyły drobinki kurzu niesione niewidocznymi prądami powietrza.

Krzesło było ciepłe, gdy przycupnęła na skraju siedziska. Podobnie jak podest schodów. Przypomniała sobie, że przecież zawsze tak było. Kiedy ostatnio tu siedziała, dom pełen był śmiechu i pasji, a powietrze aż iskrzyło od kreatywności.

Ale nie dziś. Dziś była tylko ona i dom. Jej dom.

Przez chwilę delektowała się tą myślą.

Gdzieś w oddali za rozległą połacią zieleni czekał pies.

Nieco bliżej, bo w Pokoju Morwowym, tykał zegar ścienny. Zegar Lily Millington wciąż odmierzał czas. Lucy podejrzewała, że prawnik, pan Matthews, dopilnował, by go nakręcono. Pamiętała dzień, kiedy Edward go kupił. „Ojciec Lily był zegarmistrzem – oświadczył, wnosząc pakunek do przedpokoju domu w Hampstead. – Zobaczyłem go na ścianie domu pewnego

dżentelmena z Mayfair i wziąłem zamiast pieniędzy za zamówiony obraz. Zrobię jej niespodziankę”.

Uwielbiał dawać prezenty i najbardziej cieszyło go, kiedy okazywały się trafione. Książki dla Lucy, zegar dla Lily Millington... To on podarował Thurstonowi strzelbę. „Autentyczny balker, używany przez żołnierza piątego batalionu sześćdziesiątego pułku podczas wojen napoleońskich!”

Aż trudno uwierzyć, że siedziała tu teraz dlatego, że Edward nie żył. Że nigdy więcej go nie zobaczy. Jakoś zawsze wierzyła, że pewnego dnia wróci do domu.

Po tamtym lecie w Birchwood nie widywali się często, ale Lucy wiedziała, że gdzieś tam jest. Od czasu do czasu dostawała wiadomość skreśloną pospiesznie na odwrocie kartki. Zwykle były to prośby o przesłanie mu kilku funtów, tak by mógł spłacić długi, które zaciągnął podczas podróży. Czasami dowiadywała się pocztą pantoflową, że ktoś widział go w Rzymie, Wiedniu, Paryżu. Pozostawał w ciągłym ruchu. Wiedziała, że podróżował, by uciec przed żalem, ale czasami zastanawiała się, czy wierzył, że przenosząc się z miejsca na miejsce wystarczająco szybko i często, odnajdzie kiedyś Lily Millington.

Edward nigdy bowiem nie porzucił nadziei. Wbrew temu, na co wskazywały dowody, nie pogodził się z myślą, że była zamieszana w oszustwo, podobnie jak nie uwierzył, że nie kochała go tak bardzo jak on ją.

Kiedy ostatni raz widzieli się w Paryżu, powiedział: „Ona gdzieś tam jest, Lucy. Wiem to. Czuję to. A ty nie?”.

Lucy, która niczego takiego nie wyczuwała, ujęła jego dłoń i uścisnęła.

\*

Kiedy otworzyła oczy, była w jasnym pokoju, którego nie rozpoznawała. Leżała w łóżku, które nie należało do niej. I była obolała.

Mrugając, spoglądała na tapetę w żółte pasy, na witrażowe okno i wiszące po obu jego stronach spłowiałe zasłony. W pokoju pachniało czymś słodkim – może kapryfolium i kolcolistem. Zaszło jej w ustach.

Musiała wydać jakiś dźwięk, bo nagle przy łóżku pojawił się Edward i nalał do szklanki wody z małego kryształowego dzbanka. Wyglądał strasznie, włosy miał potargane, twarz ściągniętą i stroskaną. Luźna bawełniana koszula wisiała na nim smętnie, przez co wyglądał, jakby od kilku dni nie zmieniał ubrania.

Lucy zastanawiała się, gdzie jest i od jak dawna przebywa w tym miejscu.

Nie pamiętała, żeby cokolwiek mówiła, ale kiedy Edward przystawił jej szklankę do ust, wyjaśnił, że na kilka dni wynajęli pokój w zajeździe we wsi.

– Jakiej wsi?

Spojrzał na nią z uwagą.

– Jak to w jakiej? W Birchwood. Naprawdę nic nie pamiętasz?

Nazwa brzmiała dziwnie znajomo.

Brat uśmiechnął się do niej pocieszająco.

– Wezwę lekarza – powiedział. – Będzie chciał wiedzieć, że się obudziłaś.

Otworzył drzwi i przez chwilę rozmawiał z kimś ściszym głosem, ale nie wyszedł z pokoju. Kiedy wrócił, przysiadł na skraju łóżka, jedną ręką ujął dłoń Lucy, a drugą delikatnie gładził jej czoło.

– Lucy – zaczął, patrząc na nią zbolalym wzrokiem – muszę cię zapytać... muszę zapytać cię o Lily. Widziałaś ją? Wróciła po ciebie do domu i od tamtej pory nikt jej nie widział.

Miała mętlik w głowie. O jakim domu mówił? Dlaczego pyta ją o Lily? Czy chodzi mu o Lily Millington? Pamiętała, że była jego modelką, tą w długiej białej sukni.

– Moja głowa – jęknęła, nagle świadoma, że boli ją połowa twarzy.

– Biedactwo. Upadłaś, straciłaś przytomność, a ja zamęczam cię pytaniami. Przepraszam, po prostu... – Przeczesał włosy palcami. – Ona zniknęła. Nie mogę jej znaleźć, Lucy, i strasznie się martwię. Nie odeszłaby tak po prostu.

Nagle coś sobie przypomniała: huk wystrzału w ciemności. Był głośny, a zaraz po nim usłyszała krzyk. Pobiegła i wtedy...

Wydała stłumiony okrzyk.

– Co się stało? Widziałaś coś?

– Fanny!

Twarcz Edwarda pociemniała.

– To było straszne, potworne. Biedna Fanny. Ten człowiek... włamywacz... nie wiem, kim był... Fanny uciekła, a ja pobiegłem za nią. Byłem koło kasztanowca, gdy usłyszałem huk. Wbiegłem do środka, ale było za późno. Fanny... ona nie... I wtedy zobaczyłem plecy tamtego człowieka, który wybiegł frontowymi drzwiami w stronę uliczki.

– Lily Millington go znała.

– Co?

Lucy nie do końca wiedziała, co chce powiedzieć, jedynie to, że brat ma rację. W domu był człowiek, a Lucy była przerażona. Lily Millington też tam była.

– Wszedł do domu. Widziałam go. Wróciłam do domu i wtedy przyszedł. On i Lily Millington rozmawiali.

– Co mówili?

Miała w głowie goniwę myśli. Wspomnienia, wytwory wyobraźni i sny zlewały się w jedno. Edward zadał jej pytanie, a ona zawsze lubiła udzielać poprawnych odpowiedzi. Dlatego zamknęła oczy i sięgnęła w głąb wiru pełnego dźwięków i kolorów.

– Mówili o Ameryce – powiedziała. – O statku. I coś o Błękiecie.

– Proszę, proszę...

Lucy otworzyła oczy, zobaczyła, że ona i Edward nie są już sami. Kiedy skupiała się, by odpowiedzieć na pytanie brata, do pokoju weszli dwaj mężczyźni. Jeden z nich był w szarym garniturze, miał rude bokobrody i podkreślony wąsik, a w dłoniach trzymał czarny melonik. Drugi miał na sobie ściągnięty paskiem granatowy płaszcz z mosiężnymi guzikami i srebrną odznaką na klapie, a na głowie kapelusz. To mundur, pomyślała Lucy, a ten człowiek jest policjantem.

Jak się okazało, obaj byli policjantami. Niższy, ten w granatowym płaszczu, pracował w policji w Berkshire i brał udział w śledztwie, ponieważ posiadłość Birchwood podlegała jego jurysdykcji. Człowiek w szarym garniturze był inspektorem policji londyńskiej, który uczestniczył w śledztwie na prośbę pana Browna, ojca Fanny, człowieka majątnego i wpływowego.

Głos należał do inspektora Wesleya z londyńskiej policji, który widząc, że Lucy mu się przygląda, powtórzył:

– Proszę, proszę... – I tym razem dodał: – Tak jak podejrzewałem.

W ciągu kolejnych dni – po dokładnym przeszukaniu domu, kiedy odkryto, że Błękit Radcliffe'ów zniknął – Lucy dowiedziała się, że Wesley podejrzewa, iż Lily Millington była zamieszana w całą sprawę.

– Niebywały podstęp – oznajmił spod wąsa, wsuwając kciuki pod klapy marynarki. – Skandaliczny, bezwstydnny plan. Tych dwoje uknuło go dawno temu. W pierwszej kolejności panna Lily Millington musiała zostać modelką pani brata i dzięki temu zdobyć dostęp do Błękitu Radcliffe'ów. Razem ze współnikiem zaplanowała, że kiedy już zaskarbi sobie zaufanie pana brata, uciekną z klejnotem. I na tym by się skończyło, gdyby nie panna Brown, która przyłapała ich na gorącym uczynku i przypłaciła to swoim młodym, niewinnym życiem.

Lucy słuchała tego, próbując wszystko zrozumieć. Powiedziała Edwardowi prawdę: słyszała, jak Lily Millington i tamten mężczyzna rozmawiali o Ameryce i klejnocie, i pamiętała też, że widziała bilety na statek. Naturalnie widziała również naszyjnik z pięknym niebieskim brylantem – cenną pamiątkę rodzinną. Nosila go Lily Millington. Lucy miała przed oczami obraz Lily w białej sukni i z niebieskim kamieniem, który spoczywał w zagłębieniu jej szyi. A teraz modelka zapadła się pod ziemię, podobnie jak brylant i bilety. Można więc było przypuszczać, że to ona je ma. Był tylko jeden problem.

– Mój brat poznał Lily Millington w teatrze. Nie zabiegała o to, żeby być jego modelką. Przyszedł jej z pomocą, kiedy została napadnięta.

Górna warga inspektora zadrżała z radości, że oto nadarza się sposobność, by nakarmić uszy młodego niewinnego dziewczęcia opowieściami o ciemnej stronie życia.

– Kolejny fortel, panno Radcliffe – odparł, unosząc palec. – Podstępny i skuteczny. Zwodniczy akt, w którym oboje brali udział. Wiemy, jak działają tacy jak oni. Jest coś, co zawsze zwróci uwagę dżentelmena pokroju pani brata. To widok pięknej kobiety w tarapatkach. Po prostu nie mógł nie zareagować, każdy dżentelmen tak by się zachował. Tymczasem, gdy on był zajęty okazywaniem jej troski, tamten człowiek, który był z nią w zмовie, wrócił i oskarżył pani brata o to, że jest złodziejem, który chwilę temu uciekł z bransoletką jego siostry, po czym wykorzystując zaistniałe zamieszanie –

mówiąc to, inspektor rozłożył ręce, by przydać swym słowom dramatyzmu – wsunął dłoń do kieszeni kamizelki pani brata i go okradł.

Lucy pamiętała opowieść Edwarda o tym, w jakich okolicznościach poznał Lily Millington. Ona, Clare i matka – nawet ich pokojówka, Jenny, która nadstawiała ucha, nalewając herbatę do filiżanek – wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, kiedy oświadczył, że wracał do domu piechotą, był bowiem tak urzeczony twarzą młodej kobiety i nadziejami, które z nią wiązał, że w roztargnieniu zgubił portfel. Roztrzepanie leżało w naturze Edwarda, więc żadna z nich nie kwestionowała jego słów, nie mówiąc już o tym, że jego portfel był jak zwykle pusty, więc nie było sensu go szukać. Ale zdaniem inspektora Wesleya portfel wcale nie został zgubiony; został zabrany – skradziony – przez tamtego człowieka, Martina, w chwili, gdy Edward pospieszył z pomocą Lily Millington.

– Wspomni panienka moje słowa – dodał inspektor – bo kaktus mi tu wyrośnie – postukał palcem w otwartą dłoń – jeśli się mylę. Ktoś, kto tak jak ja od trzydziestu lat ogląda zgniliznę toczącą ulice Londynu, wie to i owo o nikczemnej stronie ludzkiej natury.

Lecz Lucy widziała, jak Lily Millington patrzyła na Edwarda, jak zachowywali się, kiedy byli razem. Nie mogła uwierzyć, że wszystko to zostało ukartowane.

– Złodzieje, aktorki i iluzjoniści – dodał inspektor i postukał się palcem w nos. – Wszyscy są ulepieni z tej samej gliny. Oszuści i naciągacze.

Patrząc na wszystko przez pryzmat teorii inspektora, Lucy zaczęła podejrzewać, że może zachowanie Lily rzeczywiście nie było takie, jak jej się wydawało. No i przecież widziała Lily z tym człowiekiem, z Martinem, jak go nazywała. „Co ty tu robisz? – spytała go Lily. – Musisz iść, Martinie”. „Powiedziałam miesiąc”. Na co on odparł: „Tak, ale jesteś szybka, szybsza i lepsza od innych”. Chwilę później podniósł z podłogi bilety i powiedział: „Ameryka, tak? Kraj, w którym wszystko można zacząć od początku”.

Ale Lily nie opuściła domu razem z Martinem. Lucy wiedziała o tym, bo zamknęła ją w kryjówce. Pamiętała dumę, z jaką odkryła przed nią tajemny schowek.

Kiedy próbowała powiedzieć o tym inspektorowi, ten odparł:



– Wiem o kryjówce. To panienka się w niej ukryła, nie panna Millington. – Zaraz potem przypomniał jej o guzie na głowie, powiedział, że powinna odpoczywać, i wezwał lekarza: – Dziewczyna znowu ma mętlik w głowie, doktorze. Obawiam się, że zmęczyłem ją swoimi pytaniami.

Lucy rzeczywiście miała mętlik w głowie. Niemożliwe, żeby Lily Millington nadal siedziała w kryjówce. Minęły cztery dni, odkąd Martin zjawił się w Birchwood. Lucy pamiętała, co czuła zamknięta w wąskiej klitce, jak trudno było oddychać, jak nieruchome i zatechłe wydawało się powietrze i jak bardzo chciała się wydostać. Lily Millington już dawno wołałaby o pomoc. Nikt nie wytrzymałby tam tak długo.

A może Lucy się myliła? Może wcale nie zamknęła Lily? A jeśli tak, może Martin wypuścił ją i uciekli razem, tak jak mówił inspektor. Czy Lily nie mówiła jej, że spędziła dzieciństwo w Covent Garden i nauczyła się sztuczki z monetą od francuskiego magika? Czy nie mówiła, że okradała ludzi? Wówczas Lucy myślała, że żartuje, ale jeśli Lily Millington rzeczywiście od początku była współniczką tamtego człowieka, Martina? Co innego mogła mieć na myśli, kiedy mówiła mu, że potrzebuje miesiąca? Może dlatego tak bardzo chciała, żeby Lucy pobiegła do lasu i zostawiła ich samych...

Bolała ją głowa. Zacisnęła powieki. Guz musiał pomieszać jej w głowie, tak jak mówił inspektor. Zawsze przykładała wagę do dokładności i pogardzała tymi, którzy mówili półprawdy i upraszczali, nie dostrzegając różnicy, dlatego przysięgła sobie, że nie powie nic więcej, dopóki nie będzie miała stuprocentowej pewności, że to, co pamięta, jest prawdą.

Edward oczywiście nie zgadzał się z teorią inspektora.

– Nigdy by mnie nie okradła i nie uciekłyby. Zamierzaliśmy się pobrać – tłumaczył mu. – Oświadczyłem się jej, a ona powiedziała „tak”. Tydzień przed przyjazdem do Birchwood zerwałem zaręczyny z panną Brown.

Wtedy głos zabrał ojciec Fanny.

– Chłopak jest w szoku – rzekł. – Nie myśli jasno. Moja córka cieszyła się na ślub i rankiem przed wyjazdem do Birchwood omawiała szczegóły z moją żoną. Z pewnością powiedziałyby mi, gdyby zaręczyny zostały zerwane. Zapewniam pana, że w tej sytuacji zaangażowałbym swoich prawników. Moja córka miała nieskazitelną reputację. O jej rękę starali się dżentelmeni, którzy

mieli do zaoferowania znacznie więcej niż pan Radcliffe, chciała jednak poślubić jego. Nie dopuściłbym do zerwania zaręczyn. – Głos mu się załamał i postawny mężczyzna zaczął szlochać. – Moja Frances była przyzwoitą dziewczyną, inspektorze. Powiedziała, że chce spędzić weekend na wsi, w domu, który kupił jej narzeczony i gdzie gościł grupę przyjaciół. Mój stangret zawiózł ją na miejsce. Nie puściłbym jej, gdyby nie to, że ona i pan Radcliffe byli zaręczeni... zresztą gdyby nie to, nigdy by mnie o to nie poprosiła.

Takie rozumowanie wystarczyło inspektorowi Wesleyowi i jego koledze z Berkshire, zwłaszcza że Thurston poprosił inspektora „na słówko” i powiedział, że jest przyjacielem Edwarda i jego powiernikiem i że Edward słowem nie wspominał o zerwanych zaręczynach, nie mówiąc o tym, by napomknął coś o planowanym ślubie z panną Millington.

– Odwiódłbym go od tego – zarzekał się Thurston. – Fanny była cudowną młodą damą i miała na Edwarda dobry wpływ. Nie jest tajemnicą, że zawsze bujał w obłokach, a ona sprowadzała go na ziemię.

– Zastrzelono ją z pańskiej broni, prawda, panie Holmes? – spytał inspektor.

– Niestety, tak. Służyła mi do ozdoby. Tak się składa, że był to prezent od pana Radcliffe’a. Jestem równie zaskoczony jak pozostali, że była naładowana i została wykorzystana w tak niecnym celu.

Na wieść o kradzieży brylantu dziadek Lucy pojawił się w Beechworth, by swoimi zeznaniami dopełnić obrazu Edwarda.

– Już jako dziecko miał dziwne pomysły i jeszcze dziwniejsze upodobania – wyznał inspektorowi. – A kiedy zamieniał się z chłopca w mężczyznę, był prawdziwym utrapieniem. Odetchnąłem z ulgą, gdy dowiedziałem się o jego zaręczynach z panną Brown. Wydawało się, że w końcu się ustakuje. On i panna Brown mieli się pobrać i wszelkie sugestie ze strony Edwarda, że było inaczej, są dowodem na to, że postradał zmysły. Nic dziwnego po tym, co się wydarzyło, zwłaszcza że mój wnuk ma duszę i temperament artysty.

Pan Brown i lord Radcliffe mieli rację, orzekł trzeźwo Thurston: Edward był w szoku. Nie tylko stracił ukochaną pannę Brown, ale także musiał

pogodzić się z myślą, że był odpowiedzialny za całą tę tragedię, to on bowiem wprowadził Lily Millington do grona swoich znajomych.

– Zupełnie jakby nic do niego nie docierało – dodał Thurston. – Kilka miesięcy temu powiedziałem mu, że po wizycie jego modelki w moim domu zginęło kilka cennych drobiazgów. Pobił mnie wtedy za to, że w ogóle zasugerowałem coś takiego.

– Co to były za drobiazgi, panie Holmes?

– Och, nic takiego, inspektorze. Nic, czym warto zawracać panu głowę. Wiem, jak bardzo jest pan zajęty. Cieszę się, że mogłem choć trochę pomóc w rozwiązaniu tej jakże nieprzyjemnej sprawy. I pomyśleć, że mój serdeczny przyjaciel dał się oszukać parze szarlatanów... Na samą myśl krew się we mnie gotuje! Cały czas wyrzucam sobie, że wcześniej ich nie przejrzałem. Mamy szczęście, że pan Brown przysłał pana do nas.

Ostatnim gwoździem do trumny okazała się wieść o tym, że modelka naprawdę nie nazywała się Lily Millington, o czym pewnego ranka poinformował inspektor Wesley.

– Moi ludzie w Londynie zasięgaliby języka i przeglądali akty urodzeń, zgonów i ślubów. Jedyne Lily Millington, jaką udało im się znaleźć, była biedna dziewczynka, która została zatłuczona na śmierć w pubie w Covent Garden w tysiąc osiemset pięćdziesiątym pierwszym roku. Kiedy była mała, ojciec sprzedał ją parze oszustów i włamywaczy. Nic dziwnego, że nie przeżyła.

I tak oto kłamka zapadła. Nawet Lucy musiała pogodzić się z tym, że inspektor miał rację. Wszyscy padli ofiarą wyjątkowo podłej intrygi. Lily Millington była oszustką i złodziejką; nawet się tak nie nazywała. A teraz była w Ameryce z Błękitem Radcliffe'ów i człowiekiem, który zastrzelił Fanny.

Śledztwo zakończono i inspektor oraz konstabl wyjechali po tym, jak uścisnęli dłonie panu Brownowi i dziadkowi, obiecując, że skontaktują się z nowojorską policją w nadziei, że w całym tym nieszczęściu może uda się chociaż odzyskać kamień.

Nie wiedząc, co ze sobą począć, kiedy okres słonecznej pogody dobiegł końca, zastąpiony falą deszczów, członkowie Bractwa Magenta wrócili na krótko do Birchwood. Edward był jednak wrakiem człowieka, a w powietrzu

czuć było jego rozpacz i złość. On i dom stanowili jedność i zdawało się, że pokoje cuchną jego smutkiem. Nie wiedząc, jak pomóc bratu, Lucy starała się schodzić mu z drogi, ale rozpacz Edwarda była zaraźliwa, przez co ona również nie mogła się na niczym skupić. Schody, na których wszystko się wydarzyło, napawały ją dziwnym lękiem, zaczęła więc korzystać z innych, w drugiej części domu.

W końcu Edward nie był w stanie dłużej tego znieść: spakował swoje rzeczy i posłał po powóz. Dwa tygodnie po śmierci Fanny zasłony w Birchwood zostały zaciągnięte, drzwi zamknięte, a spod posiadłości odjechały dwa konne powozy, zabierając jej mieszkańców.

Lucy, która siedziała na tylnym siedzeniu drugiego z nich, odwróciła się i w milczeniu obserwowała zostający w tyle dom. W pewnej chwili wydało jej się, że jedna z zasłon na poddaszu poruszyła się, ale wiedziała, że to tylko echa opowieści Edwarda o Tamtej Nocy.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Po powrocie do Londynu nic nie było już takie samo. Edward niemal od razu wyjechał na kontynent i nie zostawił adresu do korespondencji. Lucy nie wiedziała, co stało się z jego ostatnim obrazem Lily Millington. Po wyjeździe brata znalazła klucz do pracowni i weszła do środka, ale obraz zniknął. Zniknęło też wszystko, co miało związek z Lily, a setki szkiców zostały zdjęte ze ścian. Zupełnie jakby Edward wiedział, że już nigdy więcej nie namaluje niczego w ogrodowej pracowni domu w Hampstead.

Clare również nie została długo. Przestała uganiać się za Thurstonem Holmesem, poślubiła pierwszego zamożnego dżentelmena, który się jej oświadczył, i zamieszkała w pozbawionym charakteru wielkim wiejskim domu, który z pewnością oczarowałby ich babkę. Wkrótce potem w niedługim odstępie czasu urodziła dwójkę dzieci – małe pyzate tłuścioszki – i czasami, gdy Lucy przyjeżdżała w odwiedziny, wspominała, że chętnie miałyby jeszcze jedno, gdyby mąż bywał w domu częściej niż tydzień w miesiącu.

W 1863 roku, kiedy Lucy skończyła czternaście lat, w domu w Hampstead zostały już tylko ona i matka. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że obie były w równym stopniu zaskoczone rozwojem wypadków. Kiedy znalazły się w tym samym pokoju, unikały patrzenia sobie w oczy, aż w końcu któraś – zwykle była to Lucy – znajdowała pretekst, żeby wyjść i oszczędzić im obu kłopotu szukania przyczyn tej niezręcznej ciszy.

Z wiekiem Lucy zaczęła wystrzegać się miłości. Widziała, do czego jest w stanie doprowadzić. Lily Millington zostawiła Edwarda i złamała mu serce. Lucy unikała więc miłości jak ognia... czy może raczej unikała komplikacji, jakie powstają, gdy oddaje się serce drugiemu człowiekowi. Zakochała się w wiedzy. Chłonęła ją chciwie, zniecierpliwiona i zła na siebie o to, że nie jest w stanie szybciej przyswajać faktów. Świat obfitował w rozmaite cuda i każda

przeczytana książka, każda nowo poznana teoria prowadziła do kolejnej. Bywało, że nocami Lucy leżała w łóżku, zastanawiając się, jak najlepiej podzielić swoje życie, zbyt krótkie, by mogła poznać wszystko, co chciała.

Pewnego dnia, kiedy miała szesnaście lat i przeglądała swój dobytek, robiąc w sypialni miejsce na kolejny regał z książkami, natknęła się na małą walizeczkę, z którą w 1862 roku pojechała do Birchwood. Po powrocie schowała ją na dnie szafki pod parapetem okiennym. Chciała wymazać z pamięci wszystko, co się wydarzyło, i na trzy lata zapomniała o jej istnieniu. Ale Lucy była rozsądna i choć widok walizki nieco ją zaskoczył, uznała, że najwyższy czas zmierzyć się z tym, co znajduje się w środku.

Otworzyła ją i uśmiechnęła się na widok leżącej na wierzchu *Chemicznej historii świecy*. Pod nią leżały dwie kolejne książki; pamiętała, że jedną z nich znalazła na najwyższej półce w bibliotece posiadłości. Otworzyła ją delikatnie, bo grzbiet trzymał się na kilku nitkach, i zobaczyła, że list i plany domu nadal są w środku, dokładnie tam, gdzie je zostawiła.

Odłożyła książki na bok i wyjęła leżącą na dnie sukienkę. Wróciły wspomnienia. Tę sukienkę nosiła tamtego dnia – miała w niej pozować do zdjęcia, które Felix zamierzał zrobić nad rzeką. Ktoś musiał ją przebrać po tym, jak upadła, bo kiedy obudziła się w pokoju z tapetą w żółte pasy, miała na sobie koszulę nocną. Lucy pamiętała, jak pakowała sukienkę do walizki, jak zwinęła ją w kulkę i upchnęła na samym dnie. Wtedy jej widok obudził w Lucy dziwne, nieprzyjemne uczucie i teraz trzymała ją w wyprostowanych rękach, by przekonać się, czy nadal ją przeraża. Nie przerażała. Lucy była tego pewna. Ciarki nie przeszły jej po plecach. Serce nie łomotało. Mimo wszystko nie chciała jej zatrzymać; odda sukienkę Jenny, żeby pocięła ją na szmatki. Najpierw jednak, tak jak uczono ją w dzieciństwie, sprawdziła kieszenie, choć nie spodziewała się znaleźć niczego poza kłaczkami i postrzępionymi nitkami.

Ale co to? Na dnie kieszeni leżał twardy okrągły przedmiot.

Chciała wierzyć, że to jeden z otoczków, które znalazła nad rzeką w Birchwood, ale w głębi duszy знаła prawdę. Poczowała ucisk w żołądku i zalała ją fala strachu. Nie musiała patrzeć. Zupełnie jakby dotykając go,

pociągnęła za linę unoszącą kurtynę i zakurzona scena jej pamięci po latach utonęła w blasku reflektorów.

Błękit Radcliffe'ów.

Teraz już pamiętała.

Miała go na szyi. Wściekła wróciła do domu i buszując w pracowni Edwarda, natknęła się na naszyjnik. Odkąd poszły razem do wsi, Lucy patrzyła na Lily Millington oczami brata i pragnęła się do niej upodobnić. Dzięki naszyjnikowi mogła choć przez chwilę poczuć, jak to jest być Lily Millington. Czuć na sobie pełen uwielbienia wzrok Edwarda.

Lucy nadal przeglądała się w lustrze, kiedy Lily Millington pojawiła się za jej plecami. W pośpiechu zdjęła naszyjnik i zamierzała odłożyć go do pudełeczka, ale wtedy pojawił się tamten człowiek, Martin, i próbował zabrać ze sobą Lily. Lucy wsunęła klejnot do kieszeni. A teraz go znalazła, dokładnie tam, gdzie go ukryła.

\*

Uwierzyła w teorię inspektora Wesleya na temat Lily Millington, lecz gdy znalazła Błękit Radcliffe'ów, gobelin zaczął się pruć, odsłaniając ukryty pod spodem misterny obraz. Nagle pojęła: bez kradzieży klejnotu nie było motywu. I choć policja w Nowym Jorku potwierdziła, że „państwo Radcliffe'owie” przyплыnęli do Ameryki i zostali zarejestrowani w porcie, właściwie każdy mógł wykorzystać bilety. Kiedy Lucy widziała je po raz ostatni, trzymał je w rękach ten straszny człowiek, Martin. Edward widział go, jak uciekał z domu. Mógł wykorzystać jeden z biletów, a drugi sprzedać. Albo mógł sprzedać oba.

Pozostawała też kwestia kryjówki na schodach. Jeśli Lily Millington uciekła z Martinem, musiała mu zdradzić, gdzie się ukryła, a on musiał odkryć, jak otworzyć drzwi w ścianie. Lucy wiedziała, że nie jest to łatwe, nawet jeśli się miało instrukcję. Martin potrzebowałby czasu na znalezienie Lily i mechanizmu otwierającego drzwiczki. A przecież chwilę później pojawiła się Fanny, a zaraz za nią Edward. Ten człowiek nie miał więc czasu na uwolnienie swojej współpracownicy.

Poza tym Lucy widziała przerażenie, z jakim Lily Millington na niego patrzyła; widziała też, jak patrzyła na jej brata. Edward kochał ją bezgranicznie, Lucy nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Po tym, jak zniknęła, stał się cieniem samego siebie.

Bo to, że Lily Millington zniknęła, nie ulegało wątpliwości. Jakby zapadła się pod ziemię. Lucy widziała ją jako ostatnia, kiedy zamykała ją w kryjówce.

Teraz, kiedy po dwudziestu latach wróciła do Birchwood, stała, splatając i rozplatając palce, jak zwykle, gdy była zdenerwowana. W końcu opuściła rękę.

Nic to nie da; nie było sensu zwlekać. Jeśli miała otworzyć w tym miejscu szkołę, a wiedziała, że tak jest, musi poznać prawdę. To nie zmieni jej planów. Nie cofnie czasu, więc nie było sensu żałować rzeczy, które już się wydarzyły.

Odstawiła krzesło, uklękła i przyjrzała się ruchomej klepce.

Musiała przyznać, że to niezwykle pomysłowe rozwiązanie. Ktoś, kto nie wiedział o istnieniu kryjówki, nie zwróciłby na nią uwagi. W czasie reformacji, kiedy katoliccy księża byli prześladowani przez ludzi królowej Elżbiety, miejsca takie jak to zapewniały im schronienie i poczucie bezpieczeństwa. Lucy zdążyła przeprowadzić małe dochodzenie i odkryła, że kryjówka w Birchwood ocaliła życie sześciu ludziom.

Chwilę później wcisnęła klepkę i otworzyła drzwi do kryjówki.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Lucy zajrzała do kryjówki i czym prędzej zamknęła sekretne drzwi. Wstrzymywane od dawna emocje doszły do głosu i wydała z siebie stłumiony jęk. Żałowała tych wszystkich lat, odkąd znalazła klejnot i w samotności mierzyła się z prawdą o tym, co zrobiła; żałowała Lily Millington, która była dla niej dobra i kochała jej brata. Ale przede wszystkim było jej żal Edwarda, którego zdradziła po tym, jak uwierzyła inspektorowi, i zostawiła brata na pastwę losu.

Kiedy mogła znowu oddychać, zeszła na dół. W głębi serca wiedziała, co znajdzie w kryjówce. Była tego pewna. Szczyciła się tym, że jest rozsądną kobietą, i dlatego miała gotowy plan. Będąc daleko stąd, w Londynie, brała pod uwagę każdą ewentualność i była przygotowana na każdą z nich. Ale tu, na miejscu, wszystko wyglądało inaczej. Ręce trzęsły się jej tak bardzo, że nie była w stanie napisać listu do pana Richa Middletona, mieszkającego w Chelsea przy Duke Street. Nie sądziła, że ręce mogą tak bardzo drżeć.

Poszła więc nad rzekę, żeby uspokoić skołatane nerwy. Dotarła do pomostu szybciej, niż się spodziewała, i ruszyła w stronę lasu. W pewnej chwili dotarło do niej, że podświadomie pokonuje tę samą drogę, którą tamtego dnia biegła z lasu do domu.

Pośród drzew mieściła się polana, na której Felix zamierzał zrobić zdjęcie. Wyobraziła sobie ich wszystkich w kostiumach. Niemal widziała siebie – trzynastoletnią dziewczynę, która przekonana, że spotkała ją wielka niesprawiedliwość, biegła przez łąkę w stronę domu. To tam znalazła naszyjnik z brylantem, który wyjęła z pudełeczka i założyła na szyję, tam pokazała Lily Millington kryjówkę i wprawiała w ruch ten przeklęty ciąg zdarzeń. Ale nie, nie zamierzała rozpamiętywać tamtej ucieczki. Zamiast tego wróciła nad rzekę.

Kiedy odkryła Błękit Radcliffe'ów w swojej walizce w Londynie, wiedziała natychmiast, że musi go ukryć, nie wiedziała tylko gdzie. Zastanawiała się, czy nie zakopać go na wrzosowiskach w Hampstead albo nie cisnąć do stawu w Vale of Health, ale żaden z tych planów nie wydawał się dość dobry. Zdawała sobie sprawę, że niemądrze jest wyobrazić sobie, że jakiś pies mógłby go wykopać i zanieść do domu albo że mogłaby go połknąć kaczka i zostawić na brzegu, gdzie wypatrzyłoby go jakieś dziecko. Równie niemądre wydawało się przekonanie, że gdyby coś takiego rzeczywiście miało miejsce, kamień zaprowadziłby śledczych prosto do niej. Lucy wiedziała jednak, że poczucie winy jest najmniej racjonalnym z uczuć.

Zresztą fakt, że znaleziony klejnot mógłby zwrócić na nią uwagę pewnych osób, był tylko jednym z wielu jej zmartwień. Bardziej przejmowała się tym, co by się stało, gdyby prawda ujrzała światło dzienne. Lucy nie umiała pogodzić się z myślą, że mogła zapobiec tułaczce Edwarda, że gdyby wcześniej wyjawiała mu prawdę, przez jakiś czas opłakiwałby Lily Millington, ale w końcu pogodziłby się z jej odejściem i żył dalej.

Nie, klejnot musiał pozostać w ukryciu, tak by świat nadal wierzył w wersję inspektora Wesleya. Wszystko zaszło za daleko, by dało się to odkręcić. Ale Lucy wiedziała. Ona jedna знаła prawdę. A zważywszy na to, że nie można cofnąć czasu i odwrócić biegu wydarzeń, nieustające, niesłabnące poczucie winy wydawało się odpowiednią karą.

Zamierzała schować naszyjnik do pudełeczka, podobnie jak wszystko inne, ale kiedy tak stała nad brzegiem Tamizy, jakże innej od tej, którą widywała w Londynie, poczuła nagłą chęć, by się go pozbyć. Rzeka była idealnym miejscem. Ziemia ochoczo zdradza własne sekrety, lecz rzeka niesie swoje skarby daleko, aż do morza, gdzie spoczywają głęboko na dnie.

Lucy sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła naszyjnik. Taki piękny kamień. Tak rzadki.

Ostatni raz podniosła go do światła. I zaraz potem cisnęła do rzeki, po czym nie oglądając się, ruszyła w stronę domu.

Pudło dotarło cztery dni później. Lucy złożyła zamówienie przed wyjazdem z Londynu, tłumacząc mężczyźnie, że poinformuje go listownie, gdzie i kiedy ma je dostarczyć. Przyszło jej do głowy, że być może popełnia błąd i niepotrzebnie wydaje pieniądze, uznała jednak, że jest to mało prawdopodobne.

Wybrała pana Richa Middletona, trumniarza i przedsiębiorcę pogrzebowego z Duke Street w Chelsea, udzieliła mu szczegółowych wskazówek co do wielkości i dołączyła do zamówienia krótką listę innych wymagań.

– Wykładana trzema warstwami ołowiu? – spytał zdumiony, drapiąc strzechę włosów wystającą spod wysłużonego czarnego cylindra. – Jest pani pewna? Przecież to trumna dla dziecka.

– Nie mówiłam nic o dziecku, panie Middleton, i nie pytam pana o zdanie. Przedstawiłam panu swoje wymagania, a jeśli nie jest pan w stanie ich spełnić, udam się gdzie indziej.

Pan Middleton rozłożył różowawe, delikatne ręce i odparł:

– To pani pieniądze. Skoro chce pani trumnę wykładaną trzema warstwami ołowiu, zrobimy ją dla pani, panno...

– Millington. Panna L. Millington.

Był to bezczelny wybór, a zarazem ukłon w stronę przeszłości. Nie mogła jednak podać prawdziwego nazwiska. Poza tym Edward nie żył i minęło dwadzieścia lat, odkąd Fanny została zastrzelona. Nikt już nie szukał Lily Millington.

Kiedy skończył spisywać szczegóły, Lucy poprosiła, by jeszcze raz przeczytał je na głos. W końcu zadowolona spytała, na jakie konto ma wpłacić należną sumę.

– Życzy sobie pani kondukt pogrzebowy? A może chce pani nająć żałobników?

Lucy odparła, że nie.

Mała trumna, kiedy przywieziono ją do Birchwood, została wniesiona do domu przez bagażowego ze stacji kolejowej. Zapakowano ją w drewnianą skrzynię, tak że nie było wiadomo, co znajduje się w środku. Tragarz, który z trudem dźwignął ją z wózka, był jednak na tyle nietaktowny, by o to zapytać. „Poidelko dla ptaków – odparła Lucy. – Marmurowe”. Otrzymałszy hojny napiwek, mężczyzna wyraźnie poweselał. Przesunął nawet skrzynię bliżej miejsca, w którym miało stanąć „poidelko” – rabaty nieopodal frontowej bramy. To tam stała Lily Millington w dniu, kiedy ona szukała Edwarda, żeby opowiedzieć mu o kryjówkach. „Chcę je widzieć z tak wielu okien, jak to będzie możliwe” – zwróciła się Lucy do bagażowego, choć już o nic nie pytał.

Kiedy odjechał, otworzyła skrzynię i przyjrzała się jej zawartości. Pomyślała, że pan Rich Middleton z Duke Street w Chelsea naprawdę świetnie się spisał. Najważniejszy był ołów. Lucy nie wiedziała, jak długo trumna pozostanie w ukryciu, ale jako że całe życie czytała obsesyjnie o skarbach z przeszłości, wiedziała, że ołów nie rdzewieje. Chciała schować przed światem pewne rzeczy i miała nadzieję, że pozostaną w ukryciu przez długi, długi czas, ale nie miała sumienia ich niszczyć. Dlatego było tak ważne, aby wieko szczelnie się zamykało. Zbyt często archeolodzy odkrywają naczynia, które przetrwały wieki, a gdy je otwierają, okazuje się, że ich zawartość zniknęła. Nie chciała, by powietrze czy woda dostały się do środka. Trumna nie mogła przeciekać ani rdzewieć; nie mogła też popękać. Lucy była bowiem przekonana, że pewnego dnia ktoś ją odnajdzie.

Kilka kolejnych godzin upłynęło jej na kopaniu. W stodole na polu znalazła łopatę, z którą wróciła do ogrodu. Bolały ją mięśnie, nienawykłe do machania łopatą, i od czasu do czasu musiała odpoczywać. Kiedy zauważyła, że po każdej przerwie kopanie przychodzi jej z coraz większym trudem, postanowiła nie przestawać do czasu, aż dół będzie wystarczająco głęboki.

Następnie przyszedł czas, by wypełnić ołowianą trumnę. Najpierw włożyła do niej *Demonologię* wraz z listem Nicholasa Owena i planami domu zdradzającymi położenie kryjówek. Weszła na poddasze i odetchnęła z ulgą, widząc, że skrzynia z kostiumami stoi dokładnie tam, gdzie ją zostawili. Była wśród nich biała suknia, w której Lily Millington pozowała Edwardowi. To

w nią Lucy owinęła kości znalezione w kryjówce i delikatnie umieściła zawiniątko w trumnie. Po dwudziestu latach zostało ich niewiele.

Na wierzchu położyła list (napisany na bezkwasowym papierze bawełnianym), w którym pokrótce opisywała to, co wiedziała na temat kobiety, której szczątki spoczywały w trumnie. Niełatwo było dowiedzieć się prawdy, ale odkrywanie przeszłości było tym, na czym Lucy znała się najlepiej, a nie należała do osób, które szybko się poddają. Musiała polegać niemal na wszystkim, co powiedziała jej Lily Millington, czego dowiedziała się od Edwarda i co tamtego popołudnia w Birchwood usłyszała od mężczyzny o imieniu Martin.

Kawałek po kawałku składała historię Lily: o domu nad sklepem z ptakami przy Little White Lion Street, o pokojach w cieniu kościoła Świętej Anny i wczesnych latach spędzonych nad rzeką; o dziewczynce, która przysłała na świat w czerwcu 1844 roku, o Antonii, najstarszej córce lorda Alberta Stanleya, i o Peterze Bellu, zegarmistrzu, który mieszkał w Fulham przy Wheatsheaf Lane pod numerem czterdzieści trzy.

Kiedy słońce zaczęło chować się za szczytami domu, Lucy zamknęła wieko. Uświadomiła sobie, że płacze. Nad Edwardem i Lily. Nad sobą i poczuciem winy, od którego już nigdy się nie uwolni.

Bagażowy miał rację – trumna była piekielnie ciężka, ale lata obcowania z naturą uczyniły z Lucy silną kobietę. Była też zdeterminowana i dlatego udało jej się umieścić trumnę w ziemi. Na koniec zasypała grób i mocno uklepała ziemię.

Życiowe doświadczenie pozbawiło ją religijności, co wcześniej nie udało się nawet panu Darwinowi, nie odmówiła więc modlitwy nad świeżym grobem. Mimo wszystko chwila wymagała powagi i Lucy zastanawiała się, jak najlepiej zaznaczyć miejsce spoczynku Lily Millington.

Postanowiła zasadzić na nim klon japoński. Miała już nawet urocze małe drzewko o bladej korze i smukłych gałązkach, długich i cienkich, ale silnych. Było to jedno z ulubionych drzew Edwarda. Jego liście, wiosną czerwone, jesienią zmieniały barwę na miedzianą, jak włosy Lily Millington. Nie, nie Lily Millington, poprawiła się w myślach, bo przecież nie tak brzmiało jej prawdziwe imię.

– Albertine – szepnęła Lucy, wracając wspomnieniami do tamtego słonecznego popołudnia w Hampstead. Matka poleciła jej zanieść do pracowni dwie filiżanki herbaty („Weź te z najlepszej porcelany”) i to wtedy pierwszy raz zobaczyła burzę rudych włosów. – Nazywałaś się Albertine Bell.

Stała ze wzrokiem wbitym w uklepaną ziemię obok bramy głównej, więc tego nie zauważyła, lecz gdy wypowiedziała te słowa, promień zachodzącego słońca padł na szybę okna na poddaszu, przez co rozbłysła, jakby ktoś zapalił w środku lampę.

## XI

Mówiłam wam. Nie wiem, jak to możliwe, a nie mam kogo zapytać.

Jakimś sposobem – nie rozumiem jak ani dlaczego – opuściłam kryjówkę i znowu byłam w domu. Chodziłam między nimi, a jednak nic nie było takie jak przedtem.

Ile dni minęło? Nie mam pojęcia. Dwa, może trzy. Kiedy wróciłam, już tu nie spali.

Nocami sypialnie były puste, a za dnia ten albo tamten przyjeżdżał, żeby zabrać coś do ubrania.

Fanny nie żyła. Słyszałam, jak policjanci mówili o „biednej pannie Brown”, co tłumaczyło huk wystrzału, ale nie łomot.

Słyszałam też, jak rozmawiają o Błękiecie Radcliffe’ów i biletach do Ameryki.

Mówili też o mnie. Zbierali wszystko, co miało jakiś związek ze mną. Z Lily Millington.

Kiedy dotarło do mnie, o co mnie oskarżają, byłam przerażona.

Co myślał Edward? Czy jemu też opowiedziano tę historię? Czy w nią uwierzył?

Kiedy w końcu wrócił do domu, był blady i rozkojarzony. Stał przy biurku w Pokoju Morwowym, patrzył przez okno na rzekę i od czasu do czasu spoglądał na mój zegar. Nic nie jadł. Nie spał.

Nie otwierał szkicownika i wyglądał, jakby stracił zainteresowanie malowaniem.

Byłam przy nim. Chodziłam za nim krok w krok. Płakałam, krzyczałam, prosiłam i błagałam. Kładłam się obok niego i próbowałam powiedzieć mu,

gdzie jestem, ale tę umiejętność nabyłam z czasem. Wtedy, na początku, wyczerpywało mnie to.

A potem opuścili posiadłość. Wszyscy. A ja nie mogłam ich powstrzymać.

Powozy odjechały i zostałam sama. Byłam sama przez długi, długi czas. Wyparowałam i wróciłam do ciepła i bezruchu domu, wniknęłam w szczeliny między klepkami, opadłam razem z kurzem i pogрузyłam się w długiej mrocznej ciszy.

Aż pewnego dnia, dwadzieścia lat później, mój spokój zburzyło pojawienie się pierwszego gościa.

I podczas gdy moje imię, życie i moja historia zostały pogrzebane, ja, która kiedyś marzyłam o tym, by pochwycić światło, odkryłam, że sama stałam się pochwyconym światłem.



CZĘŚĆ CZWARTA  
**Pochwycone światło**

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

## *Lato 2017*

Rano powietrze było naelektryzowane jak po burzy.

Pierwsze, co zauważył Jack, było to, że nie leży w piekielnie niewygodnym łóżku w dawnej słodowni. Miejsce, w którym leżał teraz, było jeszcze bardziej niewygodne, a mimo to czuł się dziwnie pogodny i wypoczęty.

Poznał, gdzie jest, po bogato zdobionej zielono-fioletowej tapecie ze wzorem w liście i dojrzałe owoce morwy i napisie nad drzwiami, który głosił: *Prawda, Piękno, Światło*. Spał na podłodze domu.

Coś poruszyło się na kanapie obok i Jack uświadomił sobie, że nie jest sam.

Niczym szkiełka kalejdoskopu wróciły wspomnienia ubiegłej nocy. Burza, taksówka, która nie przyjechała, i wino, które kupił pod wpływem impulsu w Tesco.

Wciąż spała, delikatna, z odsłaniającymi uszy krótkimi, ciemnymi włosami. Była jak jedna z tych filiżanek w luksusowych miejscach, które tak często zdarzało mu się tłuc.

Wyszedł na palcach na korytarz i poszedł do kuchni w dawnej słodowni, żeby zaparzyć herbatę.

Kiedy wrócił z dwoma parującymi kubkami, nie spała już; siedziała z kocem narzuconym na ramiona.

- Dzień dobry – powiedziała.
- Dzień dobry.
- Nie wróciłam do Londynu.
- Zauważyłem.

Przegadali całą noc. *Prawda, piękno i światło* – pokój i dom miały w sobie jakąś magię. Jack opowiedział jej o dziewczynkach i Sarah. O tym, co wydarzyło się w banku tuż przed tym, jak odszedł z policji, kiedy lekceważąc rozkazy, wszedł do środka i opuścił budynek z siedmioma ocalałymi zakładnikami i raną postrzałową ramienia. Gazety okrzyknęły go bohaterem, ale Sarah uznała, że tego już za wiele. „Jak mogłeś? – zapytała. – Nie pomyślałeś o dziewczynkach? Mogłeś zginąć”.

„W banku też były dzieci, Sar”.

„Ale nie twoje. Co z ciebie za ojciec, skoro nie umiesz dostrzec tej różnicy?”

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Niedługo po tym spakowała się, wzięła dziewczynki i oświadczyła, że wraca do Anglii, żeby być bliżej rodziców.

Opowiedział też o Benie, który zmarł w piątek dwadzieścia pięć lat temu, i o tym, jakim ciosem jego śmierć była dla ojca. Elodie w zamian opowiedziała mu o śmierci matki i pogrążonym w żalu ojcu, z którym zamierzała porozmawiać po powrocie do Londynu.

O swojej przyjaciółce Pippie, o pracy i o tym, że jeszcze do niedawna obawiała się, że może przez nią zdziwaczeć.

W końcu, ponieważ rozmawiali o wszystkim i wydawało się to nieuniknione, Jack zapytał ją o pierścionek, a ona odparła, że jest zaręczona.

Poczuł rozczarowanie. Było to o tyle niezrozumiałe, że znał tę dziewczynę od niespełna czterdziestu godzin. Starał się jednak tego nie okazywać. Pogratił ją i zapytał, jakim człowiekiem jest szczęśliwiec, który zostanie jej mężem.

Alastair – Jack nie znał żadnego Alastaira, którego by lubił – pracował w bankowości. Był miły. Odnosił sukcesy. Czasami bywał zabawny.

– Jest tylko jeden problem. – Elodie ściągnęła brwi. – On chyba mnie nie kocha.

– Jak to? Co z nim jest nie tak?

– Myślę, że kocha kogoś innego. Myślę, że kocha moją matkę.

– Cóż, to dość... niezwykle, zważywszy na okoliczności.

Uśmiechnęła się smutno.

– Ale ty go kochasz? – spytał Jack.

– Nie – odparła po chwili i sama była zaskoczona tą odpowiedzią. – Nie wydaje mi się.

– Skoro więc go nie kochasz i wydaje ci się, że on kocha twoją matkę, to po co za niego wychodzisz?

– Wszystko zostało już zaplanowane. Kwiaty, zaproszenia...

– No tak, to zmienia postać rzeczy. Zwłaszcza zaproszenia. Nie można ich zwrócić. – Podał jej kubek. – Masz ochotę na spacer po ogrodzie przed śniadaniem?

– Zrobisz mi śniadanie?

– To jedna z moich specjalności. Przynajmniej tak mi mówiono.

Wyszli tylnymi drzwiami nieopodal dawnej słodowni, przeszli pod kasztanowcem i przecięli trawnik. Jack żałował, że nie wziął okularów przeciwsłonecznych. Deszcz wymył świat do czysta, przez co wszystko wydawało się jasne jak na prześwietlonej kliszy. Kiedy skręcili za róg i weszli do ogrodu przed domem, Elodie wydała stłumiony okrzyk.

Jack podążył za jej wzrokiem i zobaczył, że wiekowy klon japoński przewrócił się podczas burzy i leży na brukowanej ścieżce, wyciągając ku niebu sękate korzenie.

– Moi koledzy z muzeum nie będą zachwyceni – stwierdził.

– Spójrz – rzuciła Elodie, kiedy podeszli bliżej. – Tam w dole chyba coś jest.

Uklęknął i musnął palcami widoczną wśród grudek ziemi gładką powierzchnię.

– Może to twój skarb – dodała z uśmiechem Elodie. – Przez cały ten czas leżał tu, na wyciągnięcie ręki.

– Myślałem, że mówiłaś, że to bajka dla dzieci?

– Nie po raz pierwszy bym się pomyliła.

– Jak myślisz, powinniśmy go wykopać?

– Chyba tak.

– Ale dopiero po śniadaniu.

– Dopiero po śniadaniu – zgodziła się. – Bo doszły mnie słuchy, że to twoja specjalność, a mam wobec ciebie spore oczekiwania, Jacku Roland.

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

## *Lato 1992*

Tip był w swojej pracowni, kiedy nadeszła wiadomość. Zadzwoiła ich sąsiadka: Lauren nie żyła, zginęła w wypadku samochodowym gdzieś w okolicach Reading. Winston jest zdruzgotany. Dziewczynka jakoś się trzyma.

Dopiero później zastanowił się nad ostatnim zdaniem. *Jakoś się trzyma*. Dziwny dobór słów, kiedy mowa o sześciolatce, która właśnie straciła matkę. Mimo to wiedział, co pani Smith miała na myśli. Widział tę dziewczynkę tylko kilka razy i zapamiętał ją jako drobniutką osobkę, która siedziała naprzeciw niego podczas niedzielnego lunchu, przyglądając mu się ukradkiem ciekawskimi dużymi oczami. To jednak wystarczyło, by wiedzieć, że nie jest taka jak Lauren, kiedy ta była w jej wieku. Była dużo bardziej skryta. Lauren, odkąd przysłała na świat, miała w sobie niespożyte pokłady energii. Zupełnie jakby w darze od matki natury otrzymała więcej sił witalnych niż inni. To czyniło ją fascynującym dzieckiem – i utalentowanym – ale bywała również trudna.

Wysłuchawszy wiadomości, Tip odłożył słuchawkę na widełki i usiadł przy stole warsztatowym. Szklistym wzrokiem spojrzał na stojący po drugiej stronie taboret. To na nim nie dalej jak tydzień temu siedziała Lauren. Chciała porozmawiać o posiadłości Birchwood i pytała, gdzie dokładnie się znajduje.

– Chodzi ci o adres?

Podał jej adres, zapytał, do czego jest jej potrzebny i czy zamierza tam pojechać, na co przytaknęła i odparła, że musi zrobić coś ważnego i chce to zrobić w odpowiednim miejscu.

– Wiem, że to tylko bajka dla dzieci – dodała – ale choć trudno to wytłumaczyć, wiem też, że to dzięki niej jestem dziś tym, kim jestem. – Nie chciała zdradzić nic więcej i pośpiesznie zmieniła temat, lecz wychodząc, powiedziała: – Miałaś rację, wiesz? Czas sprawia, że niemożliwe staje się możliwe.

Kilka dni później czytał w gazecie o koncercie, który grała w Bath, a gdy zobaczył, kim był drugi solista, wiedział już, co miała na myśli. Chciała pożegnać się z kimś, kto kiedyś wiele dla niej znaczył.

Sześć lat wcześniej po powrocie z Nowego Jorku siedziała na tym samym taborecie. Pamiętał jak dziś jej odwiedziny; kiedy tylko przyszła, wiedział, że coś się stało.

I rzeczywiście: oświadczyła, że się zakochała i wychodzi za mąż.

– Gratulacje – odparł, choć sądząc po jej minie, domyślał się, że kryje się za tym coś więcej.

Okazało się, że dwie części zdania tworzą bardziej skomplikowaną całość, niż się tego spodziewał.

Zakochała się w jednym z młodych muzyków, skrzypku, zaproszonym do gry w kwintecie.

– To było jak grom z jasnego nieba – wyznała. – Nagłe, autentyczne, warte każdego ryzyka i poświęcenia. Od razu wiedziałam, że już nigdy nie poczuję czegoś takiego do innego mężczyzny.

– A czy on...?

– On też mnie kocha.

– Ale?

– Ma żonę.

– Aha.

– Susan. To urocza, miła kobieta. Znają się od małego i nie mógłby jej skrzywdzić. Susan wie o nim wszystko, jest nauczycielką w szkole podstawowej i piecze najlepsze ciasto czekoladowe z masłem orzechowym. Poczęstowała nas nim przed próbą. Kiedy skończyliśmy grać, popłakała się, Tip... popłakała się ze wzruszenia. Więc nie mogę jej nawet nienawidzić, bo nie potrafię nienawidzić kobiety, którą muzyka doprowadza do łez.

Na tym mogłoby się skończyć, ale była jeszcze trzecia sprawa.

- Jestem w ciąży.
- Rozumiem.
- Nieplanowanej.
- Co zamierzasz zrobić?
- Zamierzam wyjść za mąż.

Wtedy powiedziała mu, co zaproponował Winston. Tip widział go tylko kilka razy: on też był muzykiem, ale nie takim jak Lauren. Dobry chłopak, beznadziejnie w niej zakochany.

- Nie ma nic przeciwko...?
- Dziecku? Nie.
- Chodziło mi bardziej o to, że kochasz kogoś innego.

– Byłam z nim bardzo szczerą. Odparł, że to bez znaczenia, że są różne rodzaje miłości i że ludzkie serca są ułomne. Powiedział, że może nawet z czasem zmienię zdanie.

- Może ma rację.
- Nie. To niemożliwe.

– Czas to dziwna i potężna bestia. Potrafi sprawić, że niemożliwe staje się możliwe.

Ale nie, była stanowcza. Upierała się, że nigdy nie pokocha innego mężczyzny tak, jak kocha tego skrzyпка.

– Ale Winstona też kocham. To dobry człowiek, miły, jest jednym z moich najlepszych przyjaciół. Wiem, że to niezwykle.

- Nie znam się na tym.

Sięgnęła ponad stołem i ścisnęła jego dłoń.

- Co powiesz dziecku? – spytał.

– Prawdę, jeśli kiedyś będzie chciała mnie o to zapytać. Tak ustaliliśmy z Winstonem.

- „Chciała”? Skąd wiesz, że to dziewczynka?

Lauren się uśmiechnęła.

- To tylko przeczucie.

Ona. Dziewczynka. Elodie. Siedząc w niedziele przy stole, Tip łapał się na tym, że od czasu do czasu przygląda się jej lekko zaintrygowany, bo rozpoznawał w niej coś, czego na początku nie potrafił nazwać. Kogoś mu

przypominała. I nagle wiedział, zupełnie jakby śmierć Lauren wyostrzyła mu zmysły. Dziewczynka przypominała mu jego samego. Była cichym dzieckiem, które skrywało wielką głębię.

Podszedł do półki, na której trzymał słoik pełen rozmaitych drobiazgów, wyciągnął kamyk i zważył go w dłoni. Nadal pamiętał tamten wieczór, gdy pewna kobieta, Ada, opowiedziała mu o nim. Siedzieli przed pubem w Birchwood; był letni wieczór i w zapadającym zmroku pokazał jej kamyczki i patyczki, które zebrał. W tamtym czasie jego kieszenie zawsze były ich pełne.

Wzięła jeden z nich, obróciła w palcach i przyjrzała mu się z uwagą. Powiedziała, że kiedy była w jego wieku, również lubiła zbierać różne rzeczy, a teraz była archeologiem, co znaczyło, że nadal robiła to samo, tylko jako dorosła kobieta.

– Masz jakiś ulubiony? – spytała.

Tip odparł, że tak, i wręczył jej wyjątkowo gładki owalny kawałek kwarcu.

– Znalazła pani kiedyś coś tak ładnego?

Ada przytaknęła.

– Raz. Byłam wtedy niewiele starsza od ciebie.

– Mam pięć lat.

– Ja osiem. Doszło do wypadku. Wypadłam z łódki do rzeki, a nie umiałam pływać.

Nagle Tip zrobił się czujny; miał wrażenie, że gdzieś już słyszał tę historię.

– Spadałam coraz głębiej i głębiej, aż na samo dno.

– Bała się pani, że utonie?

– Tak.

– W tej rzece utonęła dziewczynka.

– Tak – przyznała. – Ale to nie byłam ja.

– Uratowała panią.

– Tak. Kiedy czułam, że nie mogę dłużej wstrzymać oddechu, zobaczyłam ją. Niewyraźnie i tylko przez chwilę, a kiedy zniknęła, ujrzałam kamień, lśniący, otoczony światłem, i wiedziałam, jak gdyby ktoś szepnął mi do ucha, że jeśli wyciągnę rękę i go pochwycę, przeżyję.

– I przeżyła pani.



– Jak widzisz. Pewna mądra kobieta powiedziała mi kiedyś, że niektóre przedmioty przynoszą ludziom szczęście.

Tipowi spodobał się ten pomysł i spytał, gdzie może dostać jeden z takich przedmiotów. Wyznał jej, że jego tata zginął właśnie na wojnie i że martwi się o mamę, bo teraz to on będzie musiał się nią opiekować, a nie wie jak.

Ada pokiwała głową i odparła:

– Jutro przyjdę do ciebie w odwiedziny, dobrze? Mam coś, co chciałabym ci dać. Właściwie mam wrażenie, że to należy do ciebie. Zupełnie jakby to coś wiedziało, że tu będziesz, i znalazło sposób, żeby do ciebie dotrzeć.

Dodała jeszcze, że to musi pozostać ich tajemnicą, i spytała, czy znalazł już kryjówkę w domu. Kiedy odparł, że nie, szeptem opowiedziała mu o sekretnych drzwiczkach w korytarzu. Słuchał jej z wypiekami na twarzy.

Nazajutrz podarowała mu niebieski kamień.

– Co mam z nim zrobić? – spytał, kiedy usiedli w ogrodzie.

– Chronić go, a on będzie chronił ciebie.

Birdie, która siedziała obok niego, uśmiechnęła się na znak zgody.

Tip nie wierzył już w amulety ani szczęście, ale też nie zaprzeczał ich istnieniu. Kamień okazał się dla niego wystarczającym pocieszeniem. Jako chłopiec – w Birchwood, ale głównie po opuszczeniu posiadłości – wiele razy trzymał go w dłoni, a gdy zamykał oczy, wracały do niego słowa Birdie o tym, że zapamięta światła w ciemności i to, jak bezpiecznie się czuł w tym domu, i że wszystko będzie dobrze.

Myśląc o Lauren i małej dziewczynce, która straciła matkę, Tip wpadł na pewien pomysł. Miał w pracowni koszyki pełne rzeczy, które znalazł podczas wędrówek, rzeczy, które przemawiały do niego z tego czy innego powodu – bo były piękne, proste albo zwyczajnie ciekawe. Zaczął wyjmować te najładniejsze i układać je na stole warsztatowym; niektóre odkładał z powrotem i zastępował innymi, aż w końcu uznał, że dokonał właściwego wyboru. Następnie zaczął rozrabiać glinę.

Małe dziewczynki lubią szkatułki. Widział, jak w soboty na targu ustawiają się w kolejkach do straganów z artykułami rękodzielniczymi i szukają pudełeczek, w których mogłyby trzymać swoje skarby. Zrobi coś takiego dla córeczki Lauren i ozdobi je wszystkimi drobiazgami, które coś dla niego

znaczyły; wśród nich będzie kamień, który miał ją chronić. Nie było to nic wielkiego, ale nic innego nie przychodziło mu do głowy.

I może – jeśli postępował właściwie, przekazując go jej – zakłnie w nim tę samą potężną ideę, te same światło i miłość, które posiadał kamień, kiedy trafił w jego ręce.

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

## *Lato 1962*

Zaparkowała na poboczu i wyłączyła silnik, ale nie wysiadła z samochodu. Przyjechała za wcześnie. Fale wspomnień cały dzień rozbijały się o jej umysł, grożąc, że go zaleją, i teraz, kiedy się zatrzymała, przetoczyły się nad nią. Nagle Juliet przypomniała sobie tamtą noc, kiedy zmęczeni i głodni wysiedli z pociągu po tym, jak musieli wyjechać z Londynu.

To był jeden z najbardziej przerażających okresów w jej życiu – straciła dom i Alana – a jednak, nie wiedząc czemu, oddałaby wszystko, by móc cofnąć się w czasie i wrócić do tamtych dni. Jeszcze raz przejść przez bramę do ogrodu posiadłości, wiedząc, że zobaczy pięcioletniego Tipa z włosami jak kurtyna, opryskliwą dwunastoletnią już prawie Beę, zbyt dumną, by można ją było przytulić, i pełnego energii Reda z piegami i szczerbatym uśmiechem. Ich głosy, sprzeczki i bezustanne pytania. Ocean czasu między „teraz” i „wtedy” i niemożność powrotu choćby na krótką chwilę sprawiały jej niemal fizyczny ból.

Nie spodziewała się, że tak będzie. Że jej więź z domem będzie aż tak silna. Nie przytłaczała jej, przypominała raczej ciśnienie, które rozsadzało ją od środka i napierało na żebra, szukając drogi ucieczki.

Minęły dwadzieścia dwa lata od śmierci Alana. Zginął dwadzieścia dwa lata temu, a ona musiała żyć bez niego.

Nie słyszała już jego głosu.

A teraz wróciła. Zaparkowała na poboczu przed posiadłością Birchwood. W domu nikt nie mieszkał, wystarczyło na niego spojrzeć. Sprawiał wrażenie zaniedbanego, ale Juliet nie mogła kochać go bardziej.

Siedząc za kierownicą, wyjęła z torebki list i pospiesznie przebiegła go wzrokiem. Był krótki i rzeczowy; nie w jego stylu. Niewiele więcej prócz daty i godziny.

Zachowała każdy list, który do niej napisał. Lubiła wiedzieć, że leżą w pudełkach na kapelusze na dnie szafy. Beatrice żartowała z jej „korespondencyjnego przyjaciela”, chociaż odkąd urodziła Lauren, nie była już taka złośliwa.

Zegarek na desce rozdzielczej przeskoczył o minutę do przodu. Czas włókł się w ślimaczym tempie.

Juliet nie uśmiechało się siedzieć w fordzie triumphie przez kolejne czterdzieści minut. Zerknęła na siebie w lusterku wstecznym, musnęła wargi szminką i odetchnąwszy, wysiadła z samochodu.

Idąc krętą uliczką w stronę cmentarza, zamrugowała kilkakrotnie, by przegnać widmowy obraz Tipa. Zatrzymała się i spojrzała pod nogi, szukając na ścieżce osobliwych kawałków kwarcu i żużlu, po czym skręciła w lewo, w stronę wioski. Gdy dotarła do skrzyżowania, uśmiechnęła się, widząc znajomy budynek Łabędzia.

Po chwili zastanowienia zebrała się na odwagę i weszła do środka. Trzydzieści cztery lata temu razem z Alanem przyjechali tu pociągiem z Londynu, a ona robiła, co mogła, by ukryć ciążę. Teraz w głębi duszy miała nadzieję, że w drzwiach powita ją pani Hammett i zaczną rozmawiać, jak gdyby wczoraj jadły razem kolację, ale za barem stała nieznajoma młoda kobieta.

– Kilka lat temu zajazd zmienił właściciela – wyjaśniła. – Nazywam się Lamb. Rachel Lamb.

– A pani Hammett? Czy ona...?

– Ależ nie. Mieszka z synem i synową niedaleko stąd.

– Niedaleko?

– Za blisko. Wpada tu bez przerwy i udziela mi rad. – Rachel uśmiechnęła się, chcąc pokazać, że nie ma jej tego za złe. – Jeśli się pani pospieszy, złapie ją pani jeszcze przed drzemką. Ucina ją sobie codziennie w samo południe.

Juliet nie zamierzała odwiedzać pani Hammett, ale poszła w kierunku wskazanym przez Rachel Lamb i wkrótce dotarła do domku z czerwonymi

drzwiami i czarną skrzynką na listy. Zapukała i wstrzymała oddech.

– Przykro mi – wyjaśniła kobieta, która otworzyła jej drzwi. – Zdrzemnęła się, a ja nie mam odwagi jej budzić. Kiedy się nie wyśpi, bywa drażliwa.

– Proszę powiedzieć jej, że byłam – poprosiła Juliet. – Może mnie nie pamiętać. Miała tylu gości, którzy przyjeżdżali i wyjeżdżali, ale była bardzo miła dla mnie i mojej rodziny. Napisałam o niej artykuł. O niej i paniach z Kobięcych Służb Ochotniczych.

– Ach, trzeba było od razu tak mówić! Juliet z Laneway! Mama oprawiła pani artykuł w ramki i powiesiła na ścianie przy łóżku. Mówi, że to jej „tytuł do sławy”.

Rozmawiały jeszcze przez chwilę, po czym Juliet wyjaśniła, że musi już iść, ma się bowiem z kimś spotkać, na co synowa pani Hammett odparła, że ona również musi skończyć porządki w spiżarni.

Juliet odwracała się do wyjścia, kiedy zobaczyła obraz wiszący na ścianie nad kanapą. Był to portret uderzająco pięknej młodej kobiety.

– Śliczna, prawda? – powiedziała synowa pani Hammett.

– Zjawiskowa.

– Portret należał do mojego dziadka. Po jego śmierci znalazłam go na strychu.

– Wspaniałe odkrycie.

– Prawdziwy skarb. Uprzątnięcie strychu zabrało nam kilka tygodni... większość rzeczy zjadły szczury.

– Pani dziadek był artystą?

– Policjantem. Kiedy przeszedł na emeryturę, pudła z notatkami trafiły na strych i popadły w zapomnienie. Nie wiem, skąd ten obraz się tam wziął. Jest niedokończony. Na brzegach kolor jest nie taki jak trzeba i widać pociągnięcia pędzla. Ale ta kobieta ma coś w wyrazie twarzy, nie sądzi pani? Nie sposób na nią nie patrzeć.

W drodze powrotnej do posiadłości Juliet nie mogła przestać myśleć o portrecie. Nie знаła namalowanej kobiety, lecz kogoś jej przypominała. Wszystko w jej twarzy emanowało blaskiem i miłością. Z jakiegoś powodu pomyślała o Tipie, o posiadłości Birchwood i słonecznym popołudniu w 1928

roku, kiedy pokłóciła się z Alanem, zgubiła się i i obudziła w ogrodzie w cieniu klonu japońskiego.

Nic dziwnego, że właśnie teraz wróciło do niej to wspomnienie. Juliet i Leonard pisali do siebie od prawie dwudziestu lat, odkąd poprosiła go o pomoc w napisaniu artykułu o domu i ludziach, którzy mieszkali w nim na przestrzeni lat. Tak się złożyło, że list dotarł do niego z opóźnieniem i zanim zdążył odpisać, wojna dobiegała końca, a Juliet wróciła już do Londynu. Pozostali jednak w kontakcie. Leonard twierdził, że również lubi pisać.

Wiele ich łączyło. Wszystko to, o czym nie mogła pisać w swoich felietonach: złość, smutek i poczucie straty. A także rzeczy, które przytrafiły się im po drodze: piękne, zabawne, prawdziwe.

Lecz nigdy nie spotkali się osobiście, nie od tamtego popołudnia w 1928 roku. Dziś miał być pierwszy raz.

Nie powiedziała nikomu, co zamierza. Jej dzieci zawsze zachęcały ją, żeby poszła na kolację z tym czy innym mężczyzną i nie potrafiła im wytłumaczyć, dlaczego tego nie robi. Jak mogła im wyjaśnić to, czego oboje z Leonardem doświadczyli tamtego popołudnia w ogrodzie w Birchwood?

I powrót do domu, w którym kiedyś mieszkała z dziećmi, pozostał tajemnicą.

Na widok bliźniaczych szczytów Juliet przyspieszyła kroku, zupełnie jakby coś ciągnęło ją w stronę domu. Wsunęła dłoń do kieszeni, by upewnić się, że wciąż ma dwupensówkę.

Przez cały ten czas miała ją przy sobie i teraz, w końcu, mogła ją zwrócić.

## XII

Jack i Elodie poszli na spacer.

Elodie wspomniała, że chciałyby na własne oczy zobaczyć polanę w lesie, i bardzo się ucieszyła, gdy Jack zaproponował, że będzie jej przewodnikiem.

I oto jestem, kolejny raz siedzę w ciepłym miejscu na zakręcie schodów i czekam.

Jedno wiem na pewno: kiedy wrócą, ja wciąż tu będę.

Będę tu również, gdy wyjadą, a w domu pojawią się następni goście.

Może kiedyś znowu opowiem swoją historię, tak jak opowiedziałam ją małemu Tipowi, a przed nim Adzie, splatając nitki Edwardowej opowieści o Tamtej Nocy z tym, czego dowiedziałam się od ojca o ucieczce mojej mamy, i baśnią o magicznych dzieciach i królowej elfów.

To dobra, przejmująca opowieść o prawdzie i honorze, o dzielnych dzieciach i szlachetnych uczynkach.

Ludzie cenią błyszczące kamienie i talizmany, zapominają jednak, że najpotężniejszymi talizmanami są historie, które opowiadamy sobie i innym.

Dlatego będę czekała.

Kiedy żyłam, a w Anglii zapanowała moda na spirytyzm i chęć porozumiewania się z duchami, ludzie wierzyli, że duchy i zjawy pragną, by ktoś je uwolnił. Że „nawiedzamy” miejsca, bo zostaliśmy uwięzieni.

Ale to nie tak. Ja nie chcę, by mnie uwolniono. Należę do tego domu, ukochanego domu Edwarda; *jestem* tym domem.

Jestem każdym słojem w drewnie.

Każdym gwoździem.

Każdym knotem w lampie i haczykiem na ubrania.

Każdym wymyślnym zamkiem w drzwiach wejściowych.

Kapiącym kranem i rdzawym krążkiem na dnie porcelanowej umywalki.  
Jestem pęknięciem w płytce łazienkowej.  
Nasadą kominową i czarną wijącą się rynną.  
Jestem powietrzem w każdym z pokoi.  
Wskazówkami zegara i dzielącą je przestrzenią.  
Dźwiękiem, który słyszycie, gdy wydaje się wam, że dokoła panuje cisza.  
Jestem światłem w oknie, które pali się, choć nie ma prawa.  
I gwiazdami w ciemności, kiedy czujecie się samotni.



# NOTA OD AUTORKI

Podzielałm niepokój Lucy Radcliffe ogromem rzeczy, które możemy poznać i zrozumieć za życia, więc tym, co jest najlepsze w byciu pisarką, jest między innymi możliwość zgłębiania tematów, które mnie fascynują. *Córka zegarmistrza* to książka o czasie i ponadczasowości, o prawdzie i pięknie, mapach i kartografii, fotografii, historii naturalnej, dobroczynnym działaniu spacerowania, o braterstwie (mam trzech synów, więc braterstwo jest dla mnie wyjątkowo ważne), domach i idei domu, o rzekach i potędze miejsc. Pisząc ją, inspirowałam się sztuką i artystami, w tym angielskimi poetami epoki romantyzmu, preraphaelitami, wczesnymi fotografami, takimi jak Julia Margaret Cameron i Charles Dodgson, oraz projektantami, na przykład Williamem Morrisem (łączy mnie z nim zamiłowanie do domów i to on zwrócił moją uwagę na to, jak część budynków w Cotswolds naśladuje środowisko naturalne, w którym zostały zbudowane).

Wśród miejsc, które w taki czy inny sposób wplotłam w fabułę powieści, są posiadłości Avebury, Kelmscott, Great Chalfield, ogrody Malmesbury Abbey House, opactwo Lacock, Biały Koń z Uffington, Barbury Hill Fort, szlak Ridgeway, wiejskie krajobrazy Wiltshire, Berkshire i Oxfordshire, wioski Southrop, Eastleach, Kelmscott, Buscot i Lechlade, Tamiza oraz oczywiście Londyn. Gdybyście chcieli odwiedzić dom z autentycznymi kryjówkami, w których w czasie reformacji ukrywali się księża, to Harvington Hall ma ich aż siedem, a wszystkie zaprojektował święty Nicholas Owen. Zamek mieści się na otoczonej fosą wyspie.

Jeśli chcecie dowiedzieć się czegoś więcej o dziewiętnastowiecznym Londynie, po którego ulicach przechadzali się Birdie Bell i James Stratton, koniecznie sięgnijcie po: *London Labour and the London Poor* Henry'ego

Mayhew (zawiera fascynujące spostrzeżenia dotyczące zapomnianych zawodów, takich jak: niewidomi uliczni sprzedawcy, uliczni artyści czy pisarze listów proszalnych i petycji); *Victorian London: The Life of a City 1840–1870* Lizy Picard; *The Victorian City: Everyday Life in Dickens' London* autorstwa Judith Flanders; *The Victorians* A.N. Wilsona; *Inventing the Victorians* pióra Matthew Sweeta, a także *Charlesa Dickensa* Simona Callowa, tkliwą biografię jednego z najznamienitszych londyńczyków i ludzi epoki wiktoriańskiej. Seven Dials nadal pozostaje jednym z najbardziej gwarnych miejsc w Covent Garden, choć teraz więcej jest tam restauracji, a mniej sklepów z ptakami niż w czasach, gdy pani Mack robiła tam interesy. W 1938 roku Little White Lion Street została przemianowana na Mercer Street.

Pisząc *Córkę zegarmistrza*, inspirowałam się także muzeami, co wydaje się zrozumiałe, zważywszy na to, że jest to historia o pielęgnowaniu przeszłości i wykorzystywaniu narracji do uporządkowania chaotycznej przeszłości. Wśród moich ulubionych znalazły się Muzeum Charlesa Dickensa, Watts Gallery i Limnerslease, Muzeum sir Johna Soane'a, Muzeum Foxa Talbota, Muzeum Wiktorii i Alberta, Muzeum Brytyjskie oraz Królewskie Obserwatorium w Greenwich. Byłam zachwycona, mogąc uczestniczyć w następujących wystawach, i jestem wdzięczna galeriom i kustoszom, dzięki którym było to możliwe: *Julia Margaret Cameron* w Muzeum Wiktorii i Alberta, 2015–2016; *Painting with Light: Art and Photography from the Pre-Raphaelites to the Modern Age* w Tate Britain, 2016; *Victorian Giants: The Birth of Art Photography* w National Portrait Gallery, 2018.

Pragnę szczególnie podziękować: mojej agentce Lizzy Kremer i wszystkim z DHA, moim redaktorkom z wydawnictwa Simon & Schuster – Marii Rejt, Annette Barlow, Lisie Keim i Carolyn Reidy – oraz Annie Bond z Pan Macmillan. Dziękuję ludziom z A&U, Pan Macmillan i Atrii, dzięki którym moja opowieść stała się książką i tak pięknie wydana wyruszyła w świat. Isobel Long, która ochoczo opowiadała mi o pracy archiwistów. Jestem również wdzięczna Nitinowi Chaudhary'emu – i jego rodzicom – za pomoc w pendzabskich terminach w historii Ady. Rzecz jasna za wszystkie błędy – te popełnione celowo i te niezamierzone – odpowiadam wyłącznie ja. Na przykład pozwoliłam sobie umiejscowić wystawę Królewskiej Akademii

w listopadzie 1861 roku, mimo że w dziewiętnastym wieku organizowane tam coroczne wystawy odbywały się zawsze w maju.

Wśród tych, których wkład w powstanie *Córki zegarmistrza* był mniej konkretny, ale nie mniej ważny, są: Herbert i Rita – nieżyjący już cudowni przyjaciele; moja mama, tata, siostry i przyjaciele, zwłaszcza państwo Kretchie, Patto, Steinie i Brownowie; każdy, kto z radością przeczytał choć jedną z moich książek; moje trzy światelka w ciemności – Oliver, Louis i Henry – a przede wszystkim moja druga połówka i bratnia dusza, Davin.

# PRZYPISY

- <sup>1</sup> Oscar Wilde, *The Harlot's House*, przełożyła Anna Dobrzańska.
- <sup>2</sup> Christina Georgina Rossetti – angielska poetka i prozautorka.
- <sup>3</sup> Morris & Co. – firma założona w 1861 r. przez Williama Morrisa, produkująca tkaniny i tapety.
- <sup>4</sup> Alfred Tennyson, *If I were loved as I desire to be*, przełożyła Anna Dobrzańska.
- <sup>5</sup> The Proms – koncerty promenadowe muzyki klasycznej organizowane przez stację BBC.
- <sup>6</sup> Lucia Elizabeth Vestris – angielska aktorka i śpiewaczka operowa.
- <sup>7</sup> Sara Lane – angielska aktorka i dyrektorka teatru Britannia.
- <sup>8</sup> *Banshee* – w irlandzkiej mitologii zjawia w kobiecej postaci, najczęściej zwiastująca śmierć w rodzinie.
- <sup>9</sup> Dame Ellen Alice Terry (1847–1928) – jedna z najsłynniejszych angielskich aktorek.
- <sup>10</sup> Gra polegająca na zarzucaniu pierścienia na słupek.
- <sup>11</sup> Ready-made – dzieło sztuki utworzone w całości lub częściowo z przedmiotów codziennego użytku lub odpadów.
- <sup>12</sup> *Red* (ang.) – czerwony.
- <sup>13</sup> Północnoangielskie wierzenie spopularyzowane przez Ruth Tongue, według którego dzieci urodzone o pewnych godzinach dnia lub nocy posiadają magiczne zdolności.
- <sup>14</sup> Chodzi o kontrowersyjne dzieło Henry'ego Peacha Robinsona będące ilustracją do poematu *Pani z Shalott*.
- <sup>15</sup> William H. Mumler – amerykański fotograf, który zdobył popularność dzięki serii zdjęć z duchami.